

Sandra Brown

ZAZDROŚĆ

Zazdrość, Prolog

Key West, Floryda, 1988 r.

Sardynki i krakersy. Filary jego jadłospisu. Plus kawał cuchnącego sera, koszerne kiszzone ogóreczki i oto, szanowni państwo, cztery podstawowe grupy żywności, czego chcieć więcej. Życie jak w Madrycie.

Tak przedstawiała się niezachwiana opinia Hacha Walkera, którego spalona słońcem, wychłostana wiatrem twarz nie raziłaby tylko między maszkaronami z Notre-Dame. Kiedy przeżuwał kolacyjkę, jego zmrużone oczy, przywykłe do porywistych szkwałów, spoglądały na horyzont. Wypatrywał błyskawic, zwiastujących zbliżającą się burzę. Tu, na lądzie, na razie nic nie zapowiadało nawałnicy, ale czuto się ją w powietrzu, rosnącą w siłę, wysysającą wilgoć z wody, by oddać ją ziemi w postaci siekających strug ulewnego deszczu.

To później. Teraz na bezchmurnym niebie nad przystanią wisiał sierp księżyca. Gwiazdy rzucały wyzwanie neonom. Ale Hatch nie dał się nabrać. Wyczuwał w kościach zbliżającą się zmianę pogody jeszcze przed barometrem. Czuł zapach burzy, zanim pierwszy mocniejszy podmuch wiatru wydał żagle. Jego prognozy pogody były prawie zawsze trafione. Przed świtem spadnie deszcz.

Zmiażdżył ogórka w poźółkłych od nikotyny zębach; z satysfakcją posmakował pachnącego czosnkiem kwasu, który zagryzł kęsem sera. Lepiej być nie może. Nigdy nie rozumiał gości wydających tygodniową pensję na posiłek, który nie nasyciłby kanarka, podczas gdy mogliby zjeść równie dobrze – a na jego rozum dużo lepiej – za półtora dolca. Najwyżej.

Oczywiście, nie płaci się za samo żarcie. Trzeba jeszcze bulnąć za utrzymanie parkingowych i za te wykrochmalone białe obrusy, za kelnerów z kolczykami w uszach, sztywnych jakby kij połknęli, i obrażających się, jeśli człowiek poprosi ich o dodatkową porcję chleba. I za wymyślną francuską nazwę ryby, która normalnie nazywałaby się daniem dnia. Widywał już takie pretensjonalne knajpy w portach całego świata. Kilka załęgło się nawet tutaj, w Key West, i z tych kpił najbardziej.

W weekendowe noce ulice były względnie spokojne. Sezon turystyczny

dobiegał końca. Dziękujemy Panu za małe łaski, pomyślał, siorbnął pepsi z puszki i parsknął z pogardą na myśl o turystach w ogóle, a o tych, którzy zwalili się do Key West, w szczególności. Co roku zlatywali się tysiącami, wysmarowani kremami do opalania, śmierdzącymi jak małpie rzygi, obwieszeni aparatami fotograficznymi i kamerami, wlokąc za sobą jęczące dzieci, które wołałyby pojechać do Orlando i radować się stworzonymi przez człowieka cudami Disneylandu, zamiast podziwiać jedne z najbardziej oszałamiających zachodów słońca na tej planecie.

Hatch mógł tylko gardzić tymi idiotami, którzy przez pięćdziesiąt tygodni w roku pracują na wczesną wieńcówkę, a przez dwa pozostałe wysilają się dwa razy bardziej, żeby się dobrze zabawić. A jeszcze bardziej zadziwiające było to, że za ten przywilej byli gotowi zastawić te swoje białe, miękkie tyłki.

Niestety, zależał od nich. Poważny dylemat moralny. Gardził tą turystyczną stonką, ale nie mógł bez niej zarobić na życie. Do jego sklepiku trafiała część pieniędzy, które wczasowicze wydawali w mieście podczas swego hałaśliwego pobytu. Wyposażał ich w akcesoria do nurkowania, wypożyczał łodzie, zabierał na otwarte morze na połów ryb, skąd wracali ze zdjęciami, na których ich spalone słońcem, uśmiechnięte gębule sąsiadowały ze szlachetnymi rybami, prawdopodobnie bardziej upokorzonymi tym towarzystwem niż faktem, że dały się złapać.

Dziś interesy nie szły najlepiej, ale za to mógł odetchnąć. Ulga, można powiedzieć. Taka cisza nie jest zła. Zwłaszcza na dłuższą metę. W porównaniu z życiem na statkach handlowych, których kajuty są hałaśliwe i ciasne, a prywatność nie istnieje. Miał już tego po dziurki w nosie, piękne dzięki. Nie ma większego miłośnika samotności i ciszy niż Hatch Walker.

Wody zatoki były spokojne jak jezioro. Przybrzeżne latarnie odbijały się w tafli, niezmaconej ani jedną zmarszczką. Od czasu do czasu rozlegało się skrzywienie masztu albo telefon, dzwoniący na którymś jachcie. Czasem od strony przybrzeżnych klubów nocnych napływało parę nut, rytm perkusji. No i ten nieustanny szum samochodów. Poza tym było cicho i choć z finansowego punktu widzenia oznaczało to chudy tydzień, Hatch był zadowolony.

Dziś mógł zamknąć wypożyczalnię i wcześniej pójść do domu, ale jedna z jego łódek jeszcze nie wróciła. Ośmiometrowa, wypożyczył ją jakimś dzieciakom, jeśli tych dwudziestoparolatków można nazwać dziećmi. W porównaniu z nim na pewno. Dwaj mężczyźni, jedna kobieta. Według niego mieszanka wybuchowa, w każdych okolicznościach.

Dzieciaki były opalone i szczupłe, atrakcyjne i pewne siebie do granic zarozumiałości. Hatch podejrzewał, że pewnie nie przepracowali uczciwie ani jednego dnia w życiu. Byli tutejsi, albo przynajmniej tu zdomowieni. Czasem ich widywał. Weszli na pokład tuż przed zachodem słońca, już niezłe naprani, mieli ze sobą parę skrzynek z lodem. Ciężkie jak kamienie, sądząc z tego, jak się pod nimi

uginali. Duża szansa, że mieli w nich gorzałę. Za to nie mieli wędek. Wypłynęli w morze na parę godzin pijaństwa i rozpusty, albo nie nazywał się Hatch Walker. Nawet się zastanawiał, czy w ogóle wypożyczyć im łódkę, ale pomyślał o prawie pustej kasie i uznał, że nie są jednak pijani w trupa.

Surowo przykazał im nie pić podczas nawigacji. Uśmiechnęli się fałszywie jak handlarze brylantów i zapewnili, że ani im to w głowie. Jeden skłonił się w pas, ledwie hamując śmiech z tego, co musiało mu się wydawać kazaniem starego pierdziela. Drugi zasalutował służbiście i zawołał: „Aj, aj, kapitanie!”.

Hatch pomógł młodej kobiecie wsiąść na pokład. Miał nadzieję jak jasna cholera, że dziewczyna wie, w co się pakuje. Chyba wiedziała. Ją także widywał. Wiele razy. Z tłumami mężczyzn. Przepaska na oko zakrywałaby więcej ciała niż jej majteczki bikini, a Hatch byłby niegodny miana mężczyzny, gdyby nie zauważył, że mogłaby sobie nie zawracać głowy noszeniem biustonosza.

Zresztą nie nosiła go długo.

Jeszcze nie wypłynęli z przystani, kiedy jeden z nich zerwał go z niej i pomachał nim nad głową jak sztandarem. Jej wysiłki, by go odzyskać, przerodziły się w zabawę pełną łaskotek i chichotów.

Hatch odprowadził ich wzrokiem, pokręcił głową i pomyślał, jakie to szczęście, że nie ma córki, której cnoty musiałby strzec.

Wreszcie w puszcze została tylko jedna sardynka. Hatch wyłowił ją z oleju, ułożył ukośnie na krakersie, dodał ostatni kawałek ogórka i płatek sera, oblat to hojnie sosem tabasco, przydusił drugim krakersem i wsadził całość do ust, po czym otrzepał brodę z okruszków. Przeżuwał z zadowoleniem, zerknął przypadkiem ku ujściu przystani. To, co zobaczył, sprawiło, że kanapka utknęła mu w gardle. Jej rożek podrażnił mu przełyk; przełknął ją w całości.

– Co, do diabła?...

Ledwie zdążył wypowiedzieć tę myśl na głos, ryk syreny zbliżającej się łodzi niemal wykopał go ze stołka.

I tak by wstał. Zanim połknięta w całości kanapka dotarta na dno żołądka, Hatch był już za drzwiami rozchwianej szopy, mieszczącej jego wypożyczalnię, i gniewnie sadył wielkimi susami ku przystani, machając rękami i wrzeszcząc na pilota łodzi – prawdopodobnie turystę z któregoś z tych głupich śródlądowych stanów, gdzie wodę widuje się najwyżej w korycie – że płynie za szybko, że łamie przepisy i że te wygłupy będą go kosztować spory mandat, jeśli nie parę dni w areszcie.

Potem zdał sobie sprawę, że to jego łódź. Jego! Ten cholerny kretyn naraża na uszkodzenie jego łódź, największą i najlepszą z całej floty!

Dopiero teraz wybuchnął potokiem wyzwisk – mroczne dziedzictwo służby we flocie handlowej. Jak dostanie tych gnojków w swoje ręce, pożałują, że tatusiowie w ogóle ich splotzili. Może jest stary, brzydki i garbaty, może i ma siwe włosy, może i kuleje po niefortunnej różnicy zdań z pewnym kubańskim nożownikiem, ale jeszcze potrafi sobie radzić z chłoptasiami z dobrego domu. „I niech się wam nie zdaje, że nie, wy małe wredne gnojki!”.

Łódź nie zwolniła nawet za bojami. Pruła jak pocisk w kierunku brzegu. Minęła o włos piętnastometrową żaglówkę, która rozkołysała się dziko na falach, szalupa stuknęła w burtę wypieszczonego jachtu pewnego multimilionera, goście, sączący ostatniego drinka przed snem, rzucili się do relingu i zaczęli wrzeszczeć na nieostrożnego młodzieńca za kotem sterowym. Hatch pogroził mu pięścią. Ten pijany kretyn walił prosto w przystań, jak kamikadze. Nagle wyłączył silnik i ostro skręcił. Spod dziobu bryzgnęła piana.

Hatch miał dokładnie sekundę na uskoczenie z drogi; potem łódź uderzyła o nabrzeże. Młodzieniec stoczył się ze schodków kokpitu, zygzakiem przemierzył śliski pokład, skoczył na brzeg, potknął się o występ, padł na czworaki i tak przeczołgał się jeszcze parę metrów.

Hatch rzucił się na niego, chwycił za ramiona i poderwał z ziemi, jakby młodziak był rybą, którą trzeba wypatroszyć. Prawdę mówiąc, gdyby miał w ręce nóż, pewnie rozciąłby gnojka od jąder po gardło. Na szczęście jego jedynym orężem był stek przekleństw, gróźb i oskarżeń.

Które zamartyły mu na wargach, zanim zostały wypowiedziane.

Aż do tej chwili Hatch patrzył tylko na łódź, z przerażającą prędkością walącą prosto na przystań. Nie zwrócił szczególnej uwagi na pilotującego ją młodzieńca.

Teraz spojrzał i przekonał się, że chłopak ma krew na twarzy. Jego lewe oko było tak zapuchnięte, że właściwie zniknęło. Porwany na strzępy podkoszulek przywarł do torsu jak mokra szmata.

– Pomocy... Boże... o Boże... – Chłopak strząsnął z siebie dłonie Hatcha i podniósł się chwiejnie na nogi. – Oni tam są! – bełkotał, wskazując na wodę. – Na morzu. Nie mogłem ich znaleźć. Oni... oni...

Hatch widział raz człowieka, którego zaatakował rekin. Zdołał go wyciągnąć z wody, zanim rekin napoczął mu coś więcej niż lewą nogę. Facet żył, ale był w kiepskim stanie, w szoku, mato się nie zesrał, bełkotał coś i wykrwawiał się na piasek.

Teraz w oczach tego chłopaka Hatch dostrzegł ten sam paniczny strach. To nie żadne popisy, pijackie wyczyny, jak mu się wydawało. Ten chłopiec – to on mu zasalutował parę godzin temu – był na krawędzi hysterii.

– Spokojnie, synu. – Hatch wziął go za ramiona, potrząsnął nim lekko. – Co się

tam stało? Gdzie reszta?

Młodzieniec zakrył twarz rękami, także zakrwawionymi i posiniaczonymi. Zaczął histerycznie szlochać.

– W wodzie.

– Wypadli za burzę?

– Tak. O Boże. O Jezu.

– Ten kretyn prawie rozbił mi jacht! Co tu się dzieje, do kurwy nędzy?

Mężczyzna w klapkach podszedł do nich, klepiąc podszwami i rozsiewając wokół zapach wody kolońskiej, którą każda średnio szanująca się kurwa uznalaby za zbyt intensywną. Miał na sobie tylko kąpielówki, przystłonięte obwisłym, porośniętym ciemnymi kędzierzawymi włosami brzuchem. Prawą rękę zdobita gruba złota bransoleta, a mówił z nosowym akcentem z północnego wschodu – dokładnie takim, jaki doprowadzał Hacha do szalu.

– Ten chłopiec jest ranny. Miał wypadek.

– Wypadek, gówno prawda. Zrobił dziurę w „Dinky Doo”. – Obok nich stanęła jego towarzysza, ubrana w bikini i szpilki. Jej opalenizna była kupna, tak samo jak piersi. Babka trzymała pod obiema pachami po jednym pudlu z różowymi kokardkami na uszach. Oba jazgotały jak nakręcone.

– Dzwoń pan na policję – zarządził Hatch.

– Chcę wiedzieć, co ten sukinsyn zamierza zrobić z...

– Dzwoń!

W „gabinecie” Hacha czuć było sardynkami, mokrymi konopiami, zdechłymi rybami i benzyną. Panował tu nieprzyjemny zaduch i upał, jakby w pomieszczeniu, w którym zwykle przebywała jedna osoba, zabrakło powietrza dla dwóch nadprogramowych gości.

Na ograniczonej przestrzeni tłoczyły się skrzynie ze sprzętem do nurkowania i łowienia ryb, zwoje lin, mapy i atlasy, narzędzia, szmaty i szczotki, zabytkowa metalowa szafka katalogowa, w której nie było żadnych katalogów, a także biurko, uratowane z wraku statku i kupione na aukcji za trzydzieści dolarów.

Chłopak, który rozbił łódź, dwa razy powlókł się do toalety, ale Hatch uznał, że młodości mają więcej wspólnego ze zdenerwowaniem i strachem niż z tykiem brandy, który w niego wmusił, gdy nikt nie patrzył.

Oczywiście maty wypił sporo i bez tej brandy, co nie było tylko przypuszczeniem. Sam się przyznał oficerowi straży przybrzeżnej, który obecnie go

przesłuchiwał. Policjanci z wydziału w Key West już go przesłuchali na okoliczność rozbicia łodzi w przystani. Następnie przekazali go w ręce oficera straży przybrzeżnej, który chciał się dowiedzieć, jakie to wypadki na pokładzie łodzi doprowadziły do tego, że dwoje towarzyszy chłopaka wylądowało w Atlantyku.

Młodzieniec podał ich nazwiska i wiek, adresy zamieszkania. Hatch sprawdził dane, które mu podali, gdy wypełniał formularz wynajmu łodzi. Potwierdził ich prawdziwość.

Nie podobało mu się, że musi wpuścić tych ludzi na swój prywatny teren, ale i tak był zadowolony, że nie wyprosili go na dwór na czas przesłuchania. W przystani zaroilo się od gapiów, ciągnących do sensacji jak muchy do gówna. I wszędzie można się było nadziać na funkcjonariuszy w cywilu.

Hatch, poznawszy z bliska areszty w licznych portach kilku kontynentów, nabrał nieprzezwyciężonej awersji do mundurów i mundurowych. Wolał unikać przedstawicieli władzy wszelkiego rodzaju. Jeśli człowiek nie może żyć według własnych zasad, własnego kodeksu dobra i zła, po co w ogóle żyć? Ta filozofia zapewniła mu regularny pobyt na terenie zakładów penitencjarnych całego świata, ale i tak nie zamierzał z niej zrezygnować.

Jednak, uczciwie mówiąc, musiał oddać honor oficerowi straży oraz miejscowemu gliniarzowi, którzy przesłuchiwali młodzieńca i zorganizowali wyprawę poszukiwawczo-ratowniczą. Znali się na swoim fachu. Było jasne, że mają jest na krawędzi załamania. Obaj funkcjonariusze zorientowali się, że mogą go wykończyć, jeśli docisną jeszcze bardziej, a to nic by im nie dało. Aby go uspokoić i wydobyć z niego informacje, obchodzili się z nim dość łagodnie.

Chłopak nadal miał na sobie mokre kąpielówki i adidasy, zostawiające mokre ślady na podłodze z surowych desek. Oprócz brandy Hatch dał mu jeszcze koc, ale mały szybko się go pozbył razem z podartym na strzępy podkoszulkiem.

Chłopak podniósł głowę, słysząc tupot za oknem i czyjś podniesiony głos. Spojrzał z nadzieją na drzwi. Ale kroki minęły chatę, nie zatrzymując się. Policjant, odwrócony do niego tyłem i zajęty ekspressem Hacha, obejrzał się i prawidłowo odczytał jego reakcję.

– Dowiesz się wszystkiego tak szybko jak my, synu.

– Muszą żyć. – Mały miał taki głos, jakby przez długi czas usiłował przekrzyknąć burzę. I który od czasu do czasu załamywał się mu na niektórych słowach. – Nie mogłem ich znaleźć w tych ciemnościach. Tam było tak cholernie ciemno. – Jego spojrzenie skoczyło od Hacha do policjanta. – Ale ich nie słyszałem. Wolałem i wolałem... dlaczego nie odpowiedzieli? Nie wzywali pomocy? Chyba że... – Nie potrafił powiedzieć głośno tego, czego obawiali się wszyscy.

Oficer znowu usiadł na stołku w pobliżu krzesła, na którym kulił się chłopak. Przez parę dłużących się w nieskończoność minut tylko siorbał kawę. Siorb. Siorb.

Wkurzające jak diabli, ale Hatch się nie odzywał. Teraz rządziła tu policja, nie on. Łódź była ubezpieczona. Będzie się musiał poużerać z dokumentami i podejrzliwym rzeczoznawcą, ale Wyjdzie z tego obronną ręką. Może nawet trochę zarobi. Mniej optymistycznie wyglądała przyszłość tego chłopaka. Żadne ubezpieczenie nie ułatwi mu życia po czymś takim. A co do tych dwojga, którzy wpadli do wody, Hatch nie miał wielkich nadziei. Statystyka świadczyła na ich niekorzyść. Znał kilka osób, które wyleciały za burtę i przeżyły, ale nie było ich wiele. Kiedy wypadnie się z łodzi na pełnym morzu, utonięcie jest chyba najbardziej litościwą śmiercią. Z zimna umiera się dłużej. A dla morskich drapieżników jest się tylko świeżym mięsem.

Oficer straży przybrzeżnej objął obiema dłońmi wyszczerbiony kubek i zakotysał nim lekko.

– Dlaczego nie wzywałeś pomocy przez krótkofalówkę?

– Wzywałem. To znaczy próbowałem. Nie potrafiłem jej uruchomić.

Oficer wpatrywał się w chlupoczącą kawę.

– Na paru łodziach odebrano twój sygnał. Wszyscy ci mówili, żebyś nie odpływał. Nie postuchałeś.

– Nie słyszałem ich. Chyba... – Tu zerknął na Hacha. – Chyba nie słuchałem, kiedy nam tłumaczył, jak się tym postugiwać.

– Kosztowny błąd.

– Tak.

– Można powiedzieć, że nie jesteś doświadczonym wodniakiem?

– Doświadczonym? Nie. Ale pierwszy raz mam taki problem.

– Mhm. Opowiedz o tej bójce.

– Słucham?

Oficer zmarszczył brwi.

– Nie wciskaj mi tu ciemnoty, synu. Masz spuchnięte oko, rozbity nos i pękniętą wargę. I posiniaczone kostki palców. Wiem, jak wyglądają ślady bójki, rozumiesz? Więc mi tu nie ściemniaj.

Ramiona chłopca zaczęły się trząść. Z oczu popłynęły Izy, ale nawet nie starał się ich powstrzymać.

– Chodziło o dziewczynę? – spytał oficer łagodnie. – Pan Walker twierdzi, że była ładna. Zabawowa, tak mu się zdawało. Należała do któregoś z was?

– To znaczy, czy któryś z nas z nią chodził? Nie. To była przypadkowa znajomość.

– Pobiteś się z kolegą o jej wdzięki?

– Nie. To znaczy... nie całkiem. To znaczy, to nie o nią poszło.

– Więc o co?

Chłopak pociągnął nosem i milczał.

– Lepiej powiedz teraz, bo kiedy coś znajdziemy, będziemy cię tak długo dręczyć, aż wyśpiewasz całą prawdę.

– Byliśmy pijani.

– Aha.

– I... i... – Chłopak podniósł głowę, spojrzał na Hacha, znowu na oficera i wyrzucił z siebie z desperacją: – To mój najlepszy przyjaciel.

– W porządku. Więc co się stało?

Zlizął śluz z górnej wargi.

– Wściekł się. Jak cholera. Nigdy go takim nie widziałem.

– To znaczy?

– Jakby oszalał. Był agresywny. Chyba mu odbiło.

– Odbiło.

– Tak.

– Co mu zrobisz, że się aż tak wkurzył?

– Nic! Był z nią pod pokładem. Wycofałem się, żeby byli sami.

– Z powodu seksu? Uprawiali seks?

– Tak. Byli strasznie napaleni, niesamowicie. Aż raptem on wyskoczył na pokład i rzucił się na mnie.

– Bez przyczyny? Tak po prostu?

Chłopak pokiwał głową.

– To miała być impreza. Świętowaliśmy. Nie rozumiem, jak do tego doszło.

Przysięgam, nie rozumiem. – Schował zdeformowaną twarz w dłoniach i znowu zaczął szlochać.

Oficer spojrzął na Hacha, jakby prosił go o konsultację. Hatch odpowiedział tępym spojrzeniem. Miał ochotę spytać, czego się tak na niego gapi. Nie był psychologiem. Ani rodzicem. I na pewno nie był cholernym oficerem straży przybrzeżnej ani gliną. Nie jego problem.

Więc kiedy nie wypowiedział się z własnej woli, oficer spytał, czy chce coś dodać do wersji chłopca.

– Nie.

– Widział pan albo słyszał, jak się kłóć?

– Widziałem tylko, jak się dobrze bawią.

Oficer znowu odwrócił się do chłopaka.

– Najlepsi przyjaciele nie rzucają się na siebie bez powodu. Nawet jeśli za dużo wypili. Mogą wymienić parę ostrych słów, ewentualnie zdzielić się pięścią. Ale to szybko mija, nie?

– Pewnie tak – mruknął chłopak ponuro.

– Więc chciałbym, żebyś był ze mną szczery. Dobrze? Słyszysz? Dlaczego się pobiliście?

Chłopak przetłknął z wysiłkiem ślinę.

– To on się na mnie rzucił.

– Ale dlaczego?

– Ja się tylko broniłem. Przysięgam. Nie chciałem się z nim bić. To była impreza.

– Dlaczego cię zaatakował?

Chłopak pokręcił głową.

– No, teraz już kłamiesz, co, synu? Dobrze wiesz, dlaczego. Więc mi powiedz. Dlaczego twój najlepszy przyjaciel wściekł się tak, że aż zaczął cię tłuc?

Milczenie trwało jeszcze jakieś dwadzieścia sekund. Potem padło jedno ciche słowo.

Hatch nie był pewien, czy dobrze usłyszał, głównie z tego względu, że jednocześnie okno szopy zatrzęsło się od pierwszego grzmotu przepowiedzianej przez niego burzy – a także dlatego, że to, co usłyszał, wydało mu się bardzo dziwne.

Oficer chyba też tak pomyślał. Pokręcił głową i przysunął się bliżej.

– Słucham? Powtórz to, synu.

Młody mężczyzna podniósł głowę i otarł nos wierzchem dłoni. Odchrząknął. Zamrugał, spojrzał na oficera zdrowym okiem.

– Zazdrość – powtórzył ochryple. – O to chodziło. O zazdrość.

P.M.E.

Wyspa Świętej Anny, Georgia

Luty 2002 r.

Rozdział pierwszy

– Ależ musi być. – Maris Matherly-Reed niecierpliwie stuknęła ołówkiem o notes, w którym nagryzmoła rząderek trójkątów i łańcuch pętli. Poniżej naszkicowała projekt okładki książki.

– P. M. E., tak?

– Tak.

– Przykro mi, nie ma nikogo takiego. Sprawdziłam dwa razy.

Pomysł okładki książki – autobiograficznej analizy mrocznego związku autora z przyrodnim rodzeństwem – przyszedł jej do głowy, kiedy czekała, aż kobieta z informacji odnajdzie numer telefonu. Rozmowa, która powinna zająć najwyżej parę sekund, trwała już kilka minut.

– Nie ma nikogo takiego w tym stanie?

– W całym kraju. Sprawdziłam we wszystkich stanach.

– Może to nazwa firmy, nie inicjały.

– To także sprawdziłam.

– A może numer jest zastrzeżony?

– Wtedy miałabym go razem z informacją o zastrzeżeniu. Takiego skrótu w ogóle nie ma, kropka. Gdyby znała pani nazwisko...

– Nie znam.

– Więc bardzo mi przykro.

– Dziękuję za pomoc.

Jeszcze raz przyjrzała się swojemu szkicowi i zamazała go. Nie polubi tej książki, choćby okładka była ze złota. Aluzje do kazirodczego związku uznała za niepokojące i bała się, że wielu czytelników podzieli jej zdanie.

Ale redaktor, który otrzymał maszynopis książki, uparł się, żeby ją kupić. Temat gwarantował autorowi występy w telewizji i radiu, artykuły w gazetach, może ekranizację. Nawet jeśli recenzje będą słabe, temat był wystarczająco drastyczny, by zrobić pieniądze. Inni decydenci z Matherly Press zgodzili się z wydawcą, więc Maris musiała ustąpić przed zdaniem większości. Mieli u niej dług.

A to znowu przypomniało jej o prologu Zazdrości, który przeczytała dziś po południu. Odkryła go na stercie innych niechcianych maszynopisów. Od wielu miesięcy zalegały na półce w jej gabinecie, pokrywając się kurzem i czekając na ów

mityczny dzień, w którym będzie miała dość czasu, by je przerzucić. zanim wyśle czekającym w niepokoju autorom list z odmową. Wyobrażając sobie ich okropny zawód, kiedy odczytają te bezosobowe, zimne słowa, uznała, że każdy z nich zasługuje na choć parę minut jej czasu.

Poza tym zawsze istniała ta odległa, jedna na milion, jedna na całe życie szansa, że wśród odrzuconych kryje się nowy Steinbeck czy Faulkner. A to, oczywiście, jest od lat marzeniem każdego wydawcy.

Jej wystarczyłoby znalezienie bestsellera. Te piętnaście stroniczek prologu było bardzo obiecujące. Poruszyły ją bardziej niż cokolwiek, co ostatnio czytała, wliczając w to dzieła uznanych pisarzy, a cóż dopiero początkujących autorów. Zaostrzyły jej ciekawość, tak jak powinien to zrobić prolog czy pierwszy rozdział. Połknęła haczyk, chciała się dowiedzieć czegoś więcej. przeczytać resztę historii. Ale czy reszta historii w ogóle istnieje? Czy istnieją chociaż jej zarysy? Czy to pierwsza próba pisarska autora lub autorki? Jakie ma doświadczenie? Czy ktoś go zna?

Nic nie zdradzało płci autora, choć coś jej podpowiadało, że to mężczyzna. Wewnętrzny monolog Hacha Walkera dźwięczał prawdą jego surowego charakteru, a styl odpowiadał męskiemu sposobowi myślenia. Narrator mógł mieć poetycką duszę starego żeglarza.

Ale te strony wysłał ktoś zupełnie niedoświadczony, niewiedzący, w jakiej postaci oddaje się maszynopis przyszłemu wydawcy. Złamał wszystkie standardowe zasady. Nie załączył koperty ze znaczkiem i adresem zwrotnym. Zapomniał o liście intencyjnym. Nie podał adresu, numeru telefonu, numeru skrzynki pocztowej, adresu poczty elektronicznej. Tylko te trzy inicjały i nazwa wyspy, o której Maris nigdy nie słyszała. Jak mógł się spodziewać, że podpisze umowę?

Na znaczku widniała data sprzed czterech miesięcy. Jeśli autor wysłał ten prolog do kilku wydawców jednocześnie, całkiem możliwe, że już sprzedał książkę. Tym bardziej powinna go jak najszybciej odnaleźć. Albo marnuje czas, albo trafiła na coś rokującego duże nadzieje. Tak czy inaczej, musi się o tym przekonać, i to raczej szybciej niż później.

– Jeszcze niegotowa?

Noah stanął w otwartych drzwiach gabinetu, ubrany we frak od Armaniego.

– Jejku, aleś ty przystojny – westchnęła. Zerknęła na zegarek na biurku i uświadomiła sobie, że już jest spóźniona. Przeczesała włosy palcami i roześmiała się markotnie. – Za to ja wymagam gruntownego remontu.

Mężczyzna, który od dwudziestu dwóch miesięcy był jej mężem. zamknął za sobą drzwi. Rzucił na biurko magazyn branżowy, stanął za krzesłem i zaczął masować jej kark i ramiona. w których tak często gromadziły się bolesne węzły napięcia i zmęczenia.

– Ciężki dzień?

– Właściwie nie aż tak bardzo. Po południu miałam tylko jedno spotkanie. Głównie starałam się oczyścić teren. – Wskazała stertę odrzuconych maszynopisów, czekających na wyniesienie.

– Czytałaś te śmieci? Maris, no wiesz... Po co ten trud? W Matherly Press z zasady nie kupuje się niczego, co nie zostało przedstawione przez agenta.

– Tak brzmi oficjalna polityka, ale ponieważ noszę zacne nazwisko Matherly, mogę naginać zasady.

– Ożeniłem się z anarchistką – zażartował, pochylił się i pocałował ją w szyję.
– Ale jeśli planujesz powstanie, byłoby miło, gdyby to była twoja działalność uboczna, niezajmująca cennego czasu naszego wydawcy i starszego wiceprezesa.

– Strasznie to zabrzmiało – zauważyła, wzdrygając się lekko. – Człowiek od razu wyobraża sobie starą pannę, która pachnie cukierkami na kaszel i nosi praktyczne buciki.

Noah parsknął śmiechem.

– Człowiek wyobraża sobie kobietę silną, którą jesteś. I okropnie zapracowaną, czyli ciebie.

– Nie słyszałam słów „inteligentna” i „seksowna”.

– To się rozumie samo przez się. Nie zmieniaj tematu. Dlaczego męczysz się nad śmieciami, skoro nie robi tego nawet najniższy w hierarchii wydawca?

– Bo ojciec nauczył mnie szanować każdego, kto próbuje pisać. Nawet jeśli jego talent jest ograniczony, sam wysiłek zasługuje na uznanie.

– Nigdy nie odważyłbym się podważać zdania szacownego Daniela Matherly'ego.

Mimo łagodnej nagany Noaha Maris zamierzała dalej przeglądać teksty ze sterty śmieci. Nawet jeśli było to zadanie czasochłonne i nieproduktywne, ta zasada legła u podstaw wydawnictwa Matherly Press, założonego ponad wiek temu. Noah mógł kpić z tych archaicznych tradycji, ponieważ nie urodził się jako Matherly. Stał się członkiem rodziny dzięki małżeństwu, nie związkom krwi, a ta różnica wyjaśniała jego bardziej swobodny stosunek do tradycji.

W żyłach Matherlych płynęła krew z domieszką atramentu. Maris żywiła niewzruszoną wiarę w to, że u podstaw sukcesu jej domu wydawniczego i jego długowieczności leżą podziw i szacunek. Jakie cała rodzina Matherlych miała dla słowa pisanego i pisarzy.

– Mam szczotkę artykułu – powiedział Noah.

Wzięła gazetę, którą przyniósł. Odpowiednia strona była oznaczona żółtą karteczką samoprzylepną.

– Ach. Świetne zdjęcie.

– Dobry fotograf.

– Dobry model.

– Dziękuję.

– „Noah Reed ma czterdzieści lat, ale wygląda dużo młodziej” – przeczytała głośno. Przechyliła głowę i przyjrzała się mu krytycznie. – Zgadza się. Wyglądasz najwyżej na trzydzieści dziewięć.

– Ha. ha.

– „Codzienne sesje na siłowni na szóstym piętrze wydawnictwa – jedna z jego innowacji, które wprowadził w ciągu ostatnich trzech lat. odkąd zaczął pracować dla firmy – sprawiły, że przy wzroście metr osiemdziesiąt pozostaje szczupły i muskularny”. No, no, autorka się w tobie zakochała. Znasz ją?

Roześmiał się cicho.

– Zdecydowanie nie.

– Jakiś wyjątek.

W dniu ślubu zauważyła żartobliwie, że tak wiele samotnych kobiet oplakuje utratę jednego z najbardziej pożądanых kawalerów tego miasta, iż drzwi katedry Świętego Patryka powinny być przystrojone czarną krepeą.

– A wspomniała o twoich biznesowych umiejętnościach i zasługach dla Matherly Press?

– Trochę dalej.

– Zobaczmy... siwiejące skronie, które dodają mu dystynkcji... i tak dalej, i tak dalej, w kółko o twoim wyglądzie i uroku. Jesteś pewien... a, to coś nowego. „Stoi u steru wydawnictwa Matherly Press wraz ze swoim teściem, legendą rynku wydawniczego, Danielem Matherlym, pełniącym również funkcję prezesa i dyrektora, oraz z żoną, Maris Matherly-Reed, o której doskonałym smaku literackim tak często wspomina. Skromnie twierdzi, iż sukcesy wydawnicze firma zawdzięcza jej osiągnięciom”. – Uśmiechnęła się do niego. – Naprawdę tak powiedziałeś?

– I jeszcze więcej, ale tego już nie napisała.

– W takim razie bardzo dziękuję.

– Powiedziałem tylko szczerą prawdę.

Maris przebiegła wzrokiem resztę pochlebnego artykułu i odłożyła gazetę na bok.

– Bardzo to miłe, ale mimo tego słowotoku zapomniała o dwóch poważnych

informacjach biograficznych.

– Mianowicie?

– Że jesteś także wspaniałym pisarzem.

– *Zwyciężony* to stare dzieje.

– Ale powinno się go wymieniać za każdym razem, gdy twoje nazwisko ukazuje się w druku.

– A druga informacja? – spytał szorstko, tonem, który przybierał zawsze, gdy wspominała o jego jedynej wydanej powieści.

– Nie wspomniała ani słowem, że jesteś wyjątkowo uzdolnionym masażystą.

– Z radością ci o tym przypomnę.

Zamknęła oczy i przechyliła głowę.

– Trochę niżej... Oooo. Tutaj. – Jego kciuk wbił się mocno w punkt pomiędzy jej łopatkami; napięcie zaczęło ustępować.

– Jesteś bardzo spięta. Dobrze ci tak, po co się babrzesz przez cały dzień w śmieciach.

– Jak się okazuje, może nie zmarnowałam czasu. Właśnie znalazłam coś, co mnie zainteresowało.

– Żartujesz.

– Nie.

– Fikcja czy dokument?

– Fikcja. Sam prolog, ale intrygujący. Zaczyna się...

– Bardzo chętnie o nim posłucham, kochanie, ale powinnaś się sprężyć, jeśli mamy zdążyć.

Pocałował ją w czubek głowy i chciał się cofnąć, ale Maris chwyciła go za dłonie i nakryła nimi swoje piersi.

– Musimy iść?

– Mniej więcej.

– Moglibyśmy sobie darować, nie sądzisz? Tata się wykręcił.

– Właśnie dlatego powinniśmy iść. Wydawnictwo wykupiło stolik. Dwa puste miejsca dadzą się zauważyć. Jeden z naszych autorów dostaje nagrodę.

– Będą z nim agentka i wydawca. Nie zostanie bez wsparcia duchowego.

Powiedzmy, że się pochorowaliśmy. Wrócimy do domu i zamkniemy się na siedem spustów. Otworzymy butelkę wina, im tańsze, tym lepsze. Wskoczmy do jacuzzi, nakarmimy się pizzą. Będziemy się kochać w pokoju, który nie będzie sypialnią. Może nawet w dwóch pokojach.

Roześmiał się i czule pogładził jej piersi.

– Mówiłaś, że o czym jest ten prolog? – Cofnął dłonie i ruszył do drzwi.

Jęknęła z rozczarowania.

– Myślałam, że to propozycja nie do odrzucenia.

– Kusząca. Bardzo. Ale jeśli nie pojawimy się na tym przyjęciu, wzbudzimy podejrzenia.

– Masz rację. Za nic w świecie nie chciałabym, żeby ludzie uważali nas za nowożeńców, którzy ciągle są spragnieni wspólnych wieczorów.

– Bo to prawda.

– Ale...

– Ale mamy także zawodowe obowiązki. Dobrze o tym wiesz. Ludzie z naszego środowiska muszą wiedzieć, że mówiąc o naszym wydawnictwie, powinni używać czasu teraźniejszego, nie przeszłego.

– Dlatego bywamy na wszystkich przyjęciach w Nowym Jorku – dodała, jakby recytowała katechizm.

– Właśnie.

W ich terminarzach roiło się od oficjalnych śniadań, obiadów, kolacji, przyjęć i koktajli. Noah uważał, że ich obecność w kolach literackich jest bardzo ważna, wręcz obowiązkowa, zwłaszcza odkąd jej ojciec nie mógł już udzielać się tak jak niegdyś.

W ostatnich czasach Daniel Matherly zwolnił tempo. Nie pojawiał się już na tyłu branżowych spotkaniach. Nie przemawiał na nich, choć nadal go o to proszono. Ludzie z Four Seasons dzwonili codziennie, by spytać, czy Daniel wykorzysta rezerwację na obiad, czy też mogą posadzić przy jego stoliku kogoś innego.

Od ponad czterech dziesięcioleci Daniel był potęgą, z którą należało się liczyć. Pod jego przywództwem wydawnictwo Matherly Press ustaliło standardy działania w branży, dyktowało trendy, zdominowało listy bestsellerów. Jego nazwisko stało się symbolem na rynku krajowym i zagranicznym. Od paru miesięcy dobrowolnie zaczął się wycofywać na dalszy plan.

Ale jego powolne odejście nie oznaczało końca ani nawet osłabienia pozycji wydawnictwa. Noah uważał, że środowisko wydawców powinno to jak najszybciej przyjąć do wiadomości. A jeśli w tym celu on i Maris będą się musieli pojawiać kilka

razy w miesiącu na najróżniejszych przyjęciach, zrobią tak.

Spojrzał na zegarek.

– Ile czasu potrzebujesz? Zawiadomię kierowcę, kiedy zejdziemy.

Westchnęła z rezygnacją.

– Daj mi dwadzieścia minut.

– Będę wspaniałomyślny. Masz pół godziny. – Posłał jej całusa i wyszedł.

Nie rzuciła się natychmiast do przygotowań. Poprosiła asystentkę, żeby zadzwoniła pod pewien numer. Przyszedł jej do głowy kolejny sposób namierzenia autora Zazdrości.

Czekając, aż asystentka się dodzwoni, wyjrzała przez okno gabinetu. Sięgało niemal od podłogi do sufitu, zajmując dwie sąsiadujące ze sobą ściany. Nad centrum Manhattanu zapadał łagodny letni wieczór. Słońce schowało się za wieżowcami, ulice na dole skryły się w przedwczesnym mroku. W budynkach już teraz zapalały się lampy; ceglane i granitowe molochy rozjarzyły się migotliwymi iskierkami. W oknach biur naprzeciwko widać było zbierających się do domu pracowników.

Ulice były zakorkowane; ludzie albo wracali z pracy, albo usiłowali się przebić do kina. Taksówki manewrowały wariackim slalomem, wciskając się w niebezpiecznie wąskie przestrzenie między autobusami i ciężarówkami. Kurierzy na rowerach, prawdopodobnie potencjalni samobójcy, wypadali samochodom Przed maski. Z obrotowych drzwi wylewały się strumienie pieszych, włączających się w nurt na chodnikach i torujących sobie drogę aktówkami i reklamówkami.

Po drugiej stronie Avenue of Americas przed Radio City Music Hall stała kolejka; dziś wieczorem miał wystąpić Tony Bennet. Maris, jej ojciec i Noah otrzymali zaproszenia, ale musieli odmówić ze względu na bankiet z okazji przyznania nagród literackich.

A ona powinna się do niego przygotowywać. Uświadomiła to sobie w tej samej chwili, w której rozległ się dzwonek telefonu.

– Na linii pierwszej – powiadomiła ją asystentka.

– Dzięki. Nie musisz czekać, do jutra. – Wcisnęła migający klawisz. – Halo?

– Aha. Tu zastępca szeryfa Dwight Harris.

– Dzień dobry. Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać. Nazywam się Maris Matherly-Reed.

– Słucham?

Powtórzyła.

– Ach, tak?

Odczekała chwilę, dając mu czas na komentarz lub pytanie. Nie wykorzystał go, więc przeszła do rzeczy.

– Usiłuję się z kimś skontaktować... z kimś, kto chyba mieszka na Wyspie Świętej Anny.

– To w naszym okręgu.

– W Georgii, tak?

– Zgadza się – przyświadczył z dumą.

– Czy Święta Anna to naprawdę wyspa?

– Bardzo średnia. To znaczy... mała jest. Ale to wyspa, no owszem. Jakiś kilometr od brzegu. Kogo pani szuka?

– Kogoś, kto podpisał się inicjałami P. M. E.

– Powiedziała pani: P. M. E.?

– Zna pan kogoś o takich inicjałach?

– Trudno powiedzieć. Mówimy o mężczyźnie czy kobiecie?

– Niestety, nie wiem.

– Nie wie pani. Aha. – Po paru sekundach spytał: – Skoro nie wie pani, czy to mężczyzna, czy kobieta, czego pani od chce od tej osoby?

– Chodzi o sprawy zawodowe.

– Zawodowe.

– Tak.

– Aha.

Ślepa uliczka. Spróbowała jeszcze raz.

– Miałam nadzieję, że może zna pan kogoś, kto...

– Nie.

Zmierzała donikąd, a przydzielony jej czas kurczył się coraz bardziej.

– Więc dziękuję za pomoc. Przepraszam, że zajęłam panu czas.

– Nie ma sprawy.

– Czy zechciałby pan zapisać moje nazwisko i numery telefonu? Jeśli przypomni pan sobie, kto mógłby się podpisywać takimi inicjałami, będę bardzo

zobowiązana za wiadomość.

Podyktowała mu numery.

– A, proszę pani... – odezwał się. – Nie chodzi czasem o alimenty albo o nakaz aresztowania? Bo jeśli tak, to chętnie...

– Nie, nie. To nie ma nic wspólnego z prawem.

– Sprawa zawodowa.

– Tak.

– Hm, no to w porządku – powiedział z wyraźnym rozczarowaniem. – Przepraszam, że nie mogłem pomóc.

Jeszcze raz mu podziękowała, zamknęła gabinet i popędziła do łazienki, gdzie od rana czekała na nią koktajlowa sukienka. Tak często musiała się przebierać w pracy, że miała w szafce pełny zestaw kosmetyków i perfum. Teraz mogła z niego skorzystać.

Kwadrans później spotkała się z Noahem przy windach. Gwizdnął na jej widok i pocałował ją w policzek.

– Wstrząsająca przemiana. Właściwie cud. Fantastycznie wyglądasz.

Jadąc na parter, przyjrzała się sobie bacznie w metalowych drzwiach windy i uznała, że jej wysiłki nie poszły na marne. „Fantastycznie” było lekką przesadą, ale zważywszy na to, jaki był punkt wyjściowy, wyglądała lepiej, niż miała prawo się spodziewać.

Włożyła jedwabną suknię w kolorze żurawin, na cienkich ramiączkach i z głębokim dekoltem. Jej ustępstwem na rzecz uroczystego charakteru wieczoru były niewielkie brylantowe kolczyki i inkrustowana kryształem torebka w kształcie motyla od Judith Leiber, gwiazdkowy prezent od ojca. Stroju dopełniał kaszmirowy szal, kupiony w Paryżu, do którego wyskoczyła przy okazji pobytu na międzynarodowych targach książki we Frankfurcie.

Długie do ramion włosy ściągnęła w gładki, nisko spięty koński ogon, uzyskując szykowny, wyrafinowany efekt zrodzony z czystej desperacji. Poprawiła oczy, obrysowała wargi konturówką, wypełniła je błyszczkiem. Na opalizująco bladą cerę naniósł brązujący puder. Stanik push-up, cud techniki, nadał jej dekoltovi interesującą pełność.

– Jej opalenizna była kupna, tak samo jak piersi.

Drzwi się rozsunęły. Noah obejrzał się na nią, zaniepokojony, przepuszczając ją w drzwiach.

– Słucham? Roześmiała się cicho.

– Nie, nic. To cytat z czegoś, co dziś czytałam.

Rozdział drugi

Przestało padać jakieś pół godziny temu, lecz w powietrzu unosiła się taka wilgoć, że mokre chodniki nie mogły wyschnąć. Deszczówka gromadziła się w kałużach, zbierała się kroplami na płatkach kwiatów i mszystych brzoskwiniach, dojrzałych już do zbioru. Gałęzie wieczniezielonych drzew uginały się pod dodatkowym ciężarem. Grube krople kapały ze świeżo wymytych liści i wsiąkały w błotniste, namokłe podłoże.

Najdrobniejszy podmuch wiatru otrząsnąłby wodę z drzew, rozpętując małą ulewę, ale powietrze było nieruchome. Cisza była tak gęsta, że niemal dotykalna.

Zastępca szeryfa Dwight Harris wysiadł z wózka golfowego, który pożyczył w przystani na Wyspie Świętej Anny. Zanim wyruszył w drogę do domu, zdjął czapkę i zrobił chwilę przerwy. Wytłumaczył sobie, że musi trochę ochłonać, choć tak naprawdę właśnie dopadły go wątpliwości, czy rzeczywiście powinien tu przyjeżdżać po zachodzie słońca. Nie był całkiem pewien, czego ma się spodziewać.

Nigdy wcześniej tu nie był, choć owszem, słyszał o tym domu. Każdy, kto odwiedził wyspę, opowiadał niestworzone historie o dworze na plantacji w najbardziej oddalonej na wschód części wyspy, na cyplu, wskazującym jak palec w stronę Afryki. Niektóre opowieści wydawały się mocno naciągane. Ale sam opis domu, niech go piorun strzeli, okazał się cholernie wierny.

Piętrowy biały budynek, typowy dla wiejskiej architektury Karoliny, stał na starej ceglanej podmurówce. Na obszerną Werandę, biegnącą wzdłuż wszystkich ścian, prowadziło sześć szerokich stopni. Drzwi wejściowe były pomalowane lśniąco czarną farbą, podobnie jak wszystkie okiennice przeciwhuraganowe na obu kondygnacjach. Balkon na piętrze spoczywał na sześciu smukłych kolumnach. Dwa kominy wyglądały tak, jakby podpierały z obu stron stromy, spiczasty dach. Krótko mówiąc, wszystko prezentowało się tak, jak to sobie wyobrażał.

Ale zastępca szeryfa Harris nie miał pojęcia, że ten dom jest tak cholernie przerażający.

Na szyi rozbryznięła się gruba kropla deszczu. Podskoczył i krzyknął ze strachu. Kropla spadła z nisko wiszącej gałęzi drzewa, pod którym się zatrzymał. Wytał ją, włożył czapkę i rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt nie był świadkiem jego nerwowej reakcji. W gęstniejącym zmroku i przy tak nieprzyjemnej pogodzie nic dziwnego, że dom wydawał się upiorny. Harris nawymyślał sobie od tchórzy i zmusił odporne stopy do marszu.

Ruszył, wymijając slalomem kałuże na ścieżce z pokruszonych muszelek, po której obu brzegach rosły podwójne rzędy dębów. Z ich konarów zwisały długie brody mchu. Korzenie starych drzew wily się tuż pod powierzchnią ziemi, niektóre grube jak udo masywnego mężczyzny.

W sumie całkiem efektowny podjazd. Majestatyczny, można by powiedzieć. Po drugiej stronie domu rozciągał się widok na Atlantyckie.

Sam dom nie miał aż tak efektownych początków. Pierwszy czteropokojowy budynek został zbudowany ponad dwieście lat temu przez właściciela plantacji, który kupił wyspę od kolonisty, gdy ten uznał, że woli umrzeć ze starości na angielskiej ziemi, zamiast zapaść na febrę w nowo ustanowionym państwie amerykańskim. Dom rozrastał się równocześnie z bogactwem plantatora, który najpierw uprawiał indygowce, a potem bawełnę.

Kilka pokoleń później te cztery pierwsze pokoje przekształcono w pomieszczenia dla niewolników i rozpoczęto budowę wielkiego dworu. W swoich czasach był uważany za ósmy cud świata, przynajmniej według kryteriów Świętej Anny. Materiały budowlane i meble sprowadzono spoza wyspy, a potem przewieziono je na noszach ciągniętych przez muły – lasami i polami, aż do miejsca budowy. Prace trwały latami, ale budowla, która powstała, okazała się mocna. Wytrzymała okupację wojsk Unii i ataki dziesiątek huraganów.

A pokonała ją robactwo.

W początkach dwudziestego wieku plaga szkodników zaczęła masowo niszczyć plantacje bawełny. Okazała się bardziej potężna niż huragany i wojny: sprawiła, że życie na Świętej Annie zamarło. Spadkobierca owego pierwszego plantatora przewidział swoje bankructwo i powiesił się na żyrandolu w jadalni. Reszta rodziny w środku nocy opuściła potajemnie wyspę i zniknęła bez śladu, unikając w ten sposób odpowiedzialności za długi i podatki.

Mijały lata. Lasy stopniowo zagarnęły wydarte im ziemie wokół domu i na polach, niegdyś białych od bawełny. W pokojach, które gościły arystokratów i prezydentów Stanów Zjednoczonych, zamieszkały szkodniki. Jedynymi gośćmi w zrujnowanym dworze byli młodzi, którzy zapędzili się tutaj, szukając przygód albo chcąc się przespać po pijaństwie.

Dom stał w ruinie aż do zeszłego roku, gdy kupił go jakiś obcy, nikt z wyspy, i rozpoczął gruntowny remont. Harris podejrzewał, że facet pochodził z Północy, parę razy obejrzał pewnie Przemienię z wiatrem i zachciało mu się eleganckiego dworu na południu kraju, jak to Jankesom, którzy mają więcej pieniędzy niż rozumu.

Wieści, które rozeszły się po wyspie, zawierały same pozytywne wiadomości o nowym właścicielu. Podobno wprowadził znaczne unowocześnienia we dworze. Ale według Harris'a zostało mu jeszcze wiele do zrobienia, jeśli budynek miał wrócić do stanu z czasów swojej świetności. Trudno było zazdrościć nowemu właścicielowi gigantycznej roboty i wydatków z nią związanych. Nie budził zazdrości także fakt, że nad tym miejscem ciążyła chyba jakaś klątwa.

Legenda głosiła, że w starym domu nadal straszy duch wisielca, a żyrandol w jadalni nieustannie kołysze się pod wpływem tajemniczej siły. Harris nie miał specjalnego nabożeństwa do historii o duchach. Znał ludzi z krwi i kości, którzy

dopuszczali się rzeczy bardziej przerażających niż jakikolwiek upiór. Mimo to, wchodząc na schodki, żałował, że nie są jaśniej oświetlone.

Nieśmiało poruszył mosiężną kołatką. Potem zastukał mocniej, Sekundy mijały do taktu ze skapującymi z dachu kroplami deszczu. Nie było bardzo późno, ale może właściciel domu już się położył? Na wsi ludzie kładą się spać z kurami, nie?

Już miał odejść i wrócić kiedy indziej – najlepiej przed zachodem słońca – kiedy usłyszał zbliżające się kroki. Parę sekund później drzwi się uchyliły – choć nie na oścież.

– Tak?

Harris zajrzał w szczelinę. Podkreślił się tak, że nie zdziwiłby się, gdyby ujrzął ducha wisielca albo dwururkę, trzymana, przez wściekłego gospodarza, którego bez powodu zerwał z łóżka.

Na szczęście nie zobaczył żadnej z tych rzeczy: mężczyzna wyglądał w miarę przystępnie. Harris nie widział go dokładnie: jego twarz ginęła w mroku, ale głos brzmiał dość grzecznie. Przynajmniej nie miotał przekleństw. Na razie.

– Dobry wieczór. Jestem Dwight Harris, zastępca szeryfa. Z biura szeryfa w Savannah.

Mężczyzna pochylił się lekko do przodu i spojrzał za jego plecy, na wózek do golfa, zaparkowany na końcu ścieżki. Aby zniechęcić turystów i nieproszonych gości, na wyspę nie kursował żaden prom. Każdy, kto tu przyплыwał, musiał znaleźć się na pokładzie łodzi, własnej lub wy czarterowanej. Na wyspie można było wynająć wózek do golfa lub chodzić pieszo; liczyła jakieś dziewięć tysięcy akrów. Jedynie jej stali mieszkańcy mogli poruszać się samochodami po wąskich drogach, z których wiele celowo nie pokryto asfaltem.

Wózek do golfa nie miał tego wyglądu, co radiowóz; Harris podejrzewał, że trochę umniejsza jego autorytet. Aby go odzyskać. poprawił osuwający się pas z bronią.

– W czym mogę pomóc? – spytał mieszkaniec domu.

– Przede wszystkim przepraszam, że pana niepokoję, ale dziś otrzymałem telefon od pewnej kobitki z Nowego Jorku. – Mężczyzna czekał, nie odzywając się ani słowem. – Powiedziała, że usiłuje znaleźć kogoś, kto posługuje się inicjałami P. M. E.

– Naprawdę?

– Tak powiedziała. Nie udawałem, że coś mi to mówi.

– A mówi?

– Nie. Nie mogę tak powiedzieć.

– A jednak pan tu przyjechał.

– Przyznaję, że mnie zaciekała. Rozumie pan, nigdy nie znałem nikogo, kto by się posługiwał samymi inicjałami. Ale nie ma się czym martwić. My tutaj od dawna mamy poszanowanie dla cudzej prywatności.

– Cecha godna podziwu.

– Na Świętej Annie często ukrywali się różni ludzie, z tego czy innego powodu.

Pożałował tych słów w chwili, gdy padły z jego ust. Zabrzmiały jak oskarżenie. Zapadło długie milczenie. Harris odchrząknął nerwowo.

– No więc tak, pomyślałem, że powinienem spełnić prośbę tej pani. Przypłynąłem wydziałową motorówką. Rozpytałem się w przystani i skierowano mnie tutaj.

– Czego chciała ta pani z Nowego Jorku?

– A, właściwie to nie wiem. Powiedziała, że nie chodzi o żadne sprawy sądowe czy coś w tym guście. Miała tylko interes do tego P. M. E. Pomyślałem, że może wygrał pan w loterii i może szuka pana Ed McMahon albo Dick Clark.

– Nie gram na loterii.

– Tak, tak. Więc...

Harris odsunął czapkę na czoło, żeby podrapać się w potylicę. Zastanawiał się, dlaczego ten facet nie zaprosił go do środka albo czemu przynajmniej nie zapalił światła. Te uprzejmości nic mu nie dały, więc spytał wprost:

– Pan jest ten P. M. E. czy nie?

– Podała swoje nazwisko?

– Co? A, ta pani? Tak. – Harris wyciągnął z kieszeni na piersiach kawałek papieru, mokry od potu, co zauważył ze zmieszaniem. Ale mężczyzna nie zwrócił na to uwagi i chyba mu to nie przeszkadzało. Przyjął kartkę i odczytał to, co Harris na niej zapisał.

– To jej numery telefonu – wyjaśnił Harris. – Wszystkie. Tak sobie myślę, że pewnie miała ważną sprawę. Dlatego przyjechałem tak późno.

– Bardzo dziękuję za ten wysiłek, szeryfie.

– Jestem zastępcą.

– Tak.

I zanim Harris zdążył mrugnąć okiem, mężczyzna zamknął mu drzwi przed nosem.

– Ja panu także życzę dobrej nocy – wymamrotał Harris.

Pod jego podeszwami chrupnęły muszelki na ścieżce. Wieczorny mrok przeszedł w zupełną ciemność; pod kopułą dębów było nawet jeszcze ciemniej. Ale Harris przestał się bać. Mężczyzna z dworu był dość cywilizowany. Nie można mu zarzucić, że zachowywał się wrogo. Może niegościnnie, ale nie wrogo.

Mimo to dobrze, że ma tę sprawę z głowy. Gdyby musiał to zrobić jeszcze raz, pewnie nie zgłosiłby się na ochotnika. Co go obchodzi, czy jakaś pani z Północy załatwi ten swój tajemniczy interes?

Usiadł w wózku golfowym i przekonał się, że przez cały ten czas kapłała na niego woda z gałęzi dębu. Zanim dotarł do przystani, spodnie przemokły mu na wylot.

Człowiek, od którego pożyczył wózek – dla funkcjonariuszy prawa bezpłatnie – zmierzył go nieufnym spojrzeniem.

– Znalazł się?

– Tak, dziękuję za wskazówki. Widuje pan go czasem?

– Od czasu do czasu – mruknął mężczyzna.

– To dziwak?

– Niekoniecznie.

– Sprawia kłopoty?

– Nie, głównie siedzi u siebie.

– Tutejsi go lubią?

– Chce pan zatankować przed powrotem?

Był to wyraźny znak, by się stąd zabierał razem ze swoimi natrętnymi pytaniami. Harris miał nadzieję, że uda mu się bliżej poznać człowieka mieszkającego w nawiedzonym dworze i kryjącego się za drzwiami podczas rozmów, ale najwyraźniej szczęście mu nie dopisywało. Nie miał powodu prowadzić dalszego śledztwa – chyba że z czystej ciekawości: dlaczego ktoś ukrywa się za inicjałami i czego chce od niego kobieta z samego Nowego Jorku.

Podziękował za wypożyczenie wózka.

Mężczyzna splunął prymką w błoto.

– Nie ma sprawy.

Rozdział trzeci

– I jeszcze raz uśmiech proszę.

Maris i Noah uśmiechnęli się do fotografa, uwieczniającego bankiet „Publishers Weekly”. Przy koktajlach byli fotografowani w gronie innych wydawców, z laureatem nagrody i z gospodynią uroczystości. Niegdyś sławna tenisistka uważała się za pisarkę, ponieważ z pomocą anonimowego literata spłodziła powieść z kluczem o swoich wielkich dniach na korcie.

Zdołali zjeść kolację we względnym spokoju, ale teraz znowu poproszono ich o pozowanie do różnych zdjęć. W końcu, zgodnie z umową, fotograf zostawił ich i pomknął na spotkanie z guru ćwiczeń gimnastycznych, którego ostatni poradnik nie schodził z pierwszych miejsc listy bestsellerów.

Powoli przemierzyli elegancki hol hotelu Palace. Maris westchnęła z ulgą.

– Nareszcie! Nie mogę się doczekać, kiedy wskoczę w piżamkę.

– Jeszcze tylko jeden drink i powiemy wszystkim dobranoc.

– Drink?

– W „Le Cirque”.

– Teraz?

– Przecież mówiłem.

– Nie, nie mówiłeś.

– Na pewno mówiłem. Pomiędzy drugim daniem a deserem szepnąłem, że Nadia zaprosiła nas razem z jednym z laureatów na drinka.

– Nie wiedziałam, że to ma być dziś.

Jęknęła z rozpaczą. Nie znosiła Nadii Schuller z całego serca. Ta baba – krytyk literacki – była męcząca, nachalna i wiecznie zmuszała ją i Noaha do rzeczy, od których nie potrafili się wykręcić.

Jej rubryka, „Rozmowy o książkach”, pojawiała się w najlepszych gazetach i była uważana za wyrocznie – zdaniem Maris głównie dlatego, że Nadia wywalczyła sobie pozycję jedynej krytyki literackiego znanego szerokiej publiczności. Maris nie miała dla niej szacunku – ani prywatnie, ani zawodowo.

Nadia umiała stwarzać wrażenie, jakoby te spotkania miały się przysłużyć obu zainteresowanym stronom, ale Maris podejrzewała, że służą wyłącznie jej. Umiała promować własną osobę jak nikt na świecie i nie dawała się niczym zrazić. Uważała.

że może zażądać wszystkiego i nigdy nie usłyszy odmowy. A jeśli ją słyszała, odpowiedzią były zawołane groźby. Maris doskonale się orientowała w jej intrygach, ale Noah jakby ich nie zauważał.

– Proszę cię, Noah, nie możemy się wykręcić? Ten jeden raz.

– Jesteśmy już prawie na miejscu.

– Nie dziś – jęknęła.

– Coś ci powiem: pójdziemy na kompromis. – Odwrócił ją ku sobie, uśmiechnął się z czułością. – To spotkanie może się okazać ważne.

– Nadia zawsze sprawia takie wrażenie. Nie tylko ważne, ale najważniejsze na świecie.

– Oczywiście. Ale tym razem chyba nie przesadziła.

– Co to za kompromis?

– Usprawiedliwię cię. Powiem, że masz migrenę albo spotkanie z samego rana. Niech kierowca odwiezie cię do domu. Wypiję jednego drinka i do ciebie dołączę. Góra pół godziny. Przyrzekam.

Wsunęła dłoń pod jego frak i pogładziła tors pod sztywno wykrochmaloną koszulą.

– Mam dla pana lepszy kompromis, drogi panie. Zasugeruję Nadii, żeby spadała na bambus. I razem zwiniemy się do domu. Pamiętasz tę piżamkę? Ostatecznie możemy się bez niej obejść. Nie piżamkę potrzebuję, tylko ciebie.

– Piżamki.

– To ty jesteś pisarzem. Ja tylko zwykłym wydawcą.

– Byłym pisarzem.

– Nie ma czegoś takiego. – Zrobiła krok ku niemu, ich uda się zetknęły. – Więc co powiesz na tę piżamkę?

– Noah, czekamy.

Nadia Schuller wyglądała jak generał, gotowy wygłosić mowę zagrzewającą do ataku – z tą różnicą, że była lepiej ubrana. a do twarzy miała przyklejony fałszywy uśmiech. Doskonale umiała się posługiwać swoim urokiem – by komuś przeszkodzić. rozbroić go i zawsze wypromować siebie. Wiele osób dawało się na to nabrać. Była częstym i popularnym gościem w wielu programach telewizyjnych. Letterman za nią przepadał, a był tylko jednym z wielu jej wielbicieli. Przy każdej okazji fotografowała się z aktorami, muzykami, supermodelkami i politykami.

Zdołała się wywindować na wyżyny, na które – zdaniem Maris – nie

zasługiwała. Była autorytetem ustanowionym przez samą siebie, niepopartym żadnymi wiarygodnymi listami uwierzytelniającymi, ale pisarze i wydawcy nie mieli odwagi się jej narazić z obawy, że zniszczy ich następną książkę.

Dziś trzymała pod rękę autora bestsellera, trochę oszołomionego... lub na prochach, jeśli wierzyć plotkom. A może tylko ogłuszyła go turboosobowość Nadii.

– No. chodź, nasz stolik nie będzie czekać w nieskończoność. Idziemy.

Noah zawahał się i zerknął na Maris.

– O co chodzi? – spytała Nadia głosem świdrującym jak bormaszyna. Zwróciła się bezpośrednio do Maris, w niej wyczuwając źródło problemów.

– O nic. Właśnie rozmawiałam z Noahem na osobności.

– Och, och, och. Czyżbym się wtrąciła do jakiejś małżeńskiej aferki?

Nadia byłaby ładna, gdyby nie wredny charakter, który objawiał się w jadowym uśmiechu i wyrachowanym spojrzeniu czujnych oczu. Zawsze ubierała się z nieskazitelną elegancją, zawsze była zadbana i wypieszczona, ale nawet w najszlachetniejszych jedwabiach i biżuterii nie wyglądała kobieco. Plotka głosiła, że traktuje mężczyzn jak czekoladki. wybierając najbardziej smakowitych i odrzucając tych, którzy nie potrafili się jej przeciwstawić ani nie przysłużyli S'C jej karierze – innymi słowy tych z miękkim sercem. Maris chętnie wierzyła pogłoskom o bujnym życiu erotycznym Nadii. Zdziwiła ją tylko, że podobała się tak wielu mężczyznom.

– Tak, rzeczywiście, to taka małżeńska aferka. Właśnie powiedziałam mojemu mężowi, że ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, jest drink w twoim towarzystwie – odparła Maris ze słodkim uśmiechem.

– Rzeczywiście, wyglądasz na bardzo zmęczoną – odparowała Nadia, uśmiechając się równie słodko.

– Bardzo mi przykro – wtrącił Noah. – Musimy się dziś wykręcić. Zabiorę żonę do domu i utulę ją do snu.

– Nie, kochanie – odparła Maris. Nie zamierzała udawać zranionej małżonki w obecności Nadii Schuller. – Nigdy bym się nie odważyła odrywać cię od obowiązków.

– To nie obowiązek – warknęła Nadia. – Raczej rzadka możliwość rozmowy z jednym z najbardziej cenionych powieściopisarzy.

Ceniony powieściopisarz, który do tej pory nie dał znaku życia, wydawał się całkiem nie zainteresowany rozmową. Miał przekrwione oczy i patrzył w pustkę. Maris rzuciła Nadii znaczące spojrzenie.

– Ależ oczywiście. Dokładnie to miałam na myśli. – Potem zwróciła się do Noaha: – Zostań. Ja wracam.

Przyjrzał się jej z powątpiewaniem.

– Na pewno?

– Nalegam.

– Więc postanowione. – Nadia mocno szarpnęła pisarza za ramię. Ruszył za nią machinalnie, jak lunatyk. – Wy się tymczasem pożegnajcie, my zajmiemy stolik. Mam ci zamówić to, co zwykle?

– Tak, proszę.

– Tylko dobrze wypocznij, moja kochana – rzuciła lekko do Maris.

Parker Evans wpatrywał się pustym spojrzeniem w okno.

Z tej odległości nie widział wybrzeża, ale jeśli się skupił, słyszał szum fal. Deszczowe chmury zdławiły światło w pokoju. Nic nie rozpraszało ciemności.

Z okna na piętrze, wychodzącego na tyły jego posiadłości, widział połąć trawnika aż do stromego zbocza; dalej teren zaczynał łagodniej opadać w stronę plaży. Krawędź trawnika wyglądała jak próg czarnej przepaści, zlewającej się w jedną całość z morzeni. Nic dziwnego, że dawni żeglarze tak się bali nieznanym, przerażających światów za horyzontem.

Pokój za jego plecami także tonął w czerni. Umyślnie nie zapalił światła. Gdyby je zapalił, w szybie pojawiłoby się jego odbicie. Wolał patrzeć w nicość niż na siebie.

Zresztą, nie potrzebował światła, by wiedzieć, jakie numery zapisane są na kartce. Prawdę mówiąc, nie musiał ich odczytywać. Znał je na pamięć. A więc pół roku czekania wreszcie się opłaciło. Maris Matherly-Reed chciała się z nim skontaktować. Nie dalej niż wczoraj postanowił anulować ten plan i zastąpić go innym. Po wielu miesiącach wyczekiwania doszedł do wniosku, że przeczytała prolog Zazdrości, uznała, że jest do niczego. wyrzuciła go i nawet nie pofatygowała się, żeby wysłać list odmowny.

Przyszło mu także do głowy, że ten niepełny maszynopis w ogóle nie dotarł na jej biurko, że pracownicy go gdzieś przełożyli albo wrzucili do niszcarki w ciągu paru minut po dostarczeniu. W kilku dużych wydawnictwach w ogóle nie przyjmowano maszynopisów, których nie zgłosili agenci.

A jeśli jego prolog jakoś przetrwał pierwszy etap selekcji, kolejna pracownica, której zadaniem jest eliminowanie zbędnych materiałów, mogła go wyrzucić, zanim

jeszcze dotarł na biurko pani Matherly-Reed. Tak czy owak, już niemal postanowił wycofać się z pierwotnego planu i przystąpić do opracowania następnego.

To było wczoraj. Proszę, co też może się wydarzyć przez jeden dzień. Najwyraźniej prolog jednak trafił na jej biurko, a ona go przeczytała, bo dziś usiłowała się z nim skontaktować.

Marris Madderly Reade. Zastępca szeryfa zrobił błąd we wszystkich trzech wyrazach. Miejmy nadzieję, że numery telefonów zapisał poprawnie.

Sprawa zawodowa, powiedziała w rozmowie z zastępcą szeryfa, Dwightem Harrisem, kiedy ją spytał, dlaczego szuka niejakiego P. M. E. Chce rozmawiać w sprawie zawodowej. A to oznaczało dla niego dobre wieści. A może złe. A może coś pomiędzy.

Mogła zadzwonić, żeby mu powiedzieć, iż jest beznadziejnym pisarzem, i spytać, jak śmiało wysłać do jej prestiżowego domu wydawniczego takie nędzne wypociny. A może przybrałaby łagodniejszy ton i powiedziała, że ta próbka świadczy o jego talencie, ale temat nie pasuje do profilu wydawnictwa, po czym zakończyłaby życzeniem powodzenia w innych wydawnictwach.

Ale takie odpowiedzi przychodziły na ogół w listach odmownych, sformułowanych w taki sposób, by zniechęcić pisarza do wysłania następnego dzieła, lecz nie na tyle brutalnie, by nieszczęśnik rzucił się od razu z mostu.

No tak, ale pani Matherly-Reed nie wiedziała, na jaki adres miałyby skierować taki list. Dołożył wszelkich starań, żeby nie mogła się z nim skontaktować drogą korespondencyjną. Więc jeśli chciała odrzucić Zazdrość, pewnie w ogóle by się do niego nie odezwała. Tymczasem robi wszystko, żeby go znaleźć. A z tego można było wywnioskować, że oceniła tekst pozytywnie.

Nie pora otwierać szampana. Trochę za wcześnie na przyznawanie sobie medali. Zanim da się ponieść euforii, musi sprawić, by znów zaczął oddychać normalnie i myśleć rozsądnie. Jego sukces lub porażka zależy nie od tego, co do tej pory zrobił, ale co robi teraz.

Więc zamiast świętować osiągnięcie pewnego etapu, od paru godzin stał przy oknie, patrząc w deszczową, bezksiężycową noc. Rozważał możliwości, słuchając spokojnego szumu fal obmywających brzeg. Jego dalecy sąsiedzi już spali lub oglądali nocne kino. a może kochali się pod cienkimi kołdrami. Parker Evans snuł intrygę.

Ułatwieniem było to, że znał zakończenie tej historii. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby zmienić bieg wypadków. Nigdy nie zamierzał pozostawić telefonu Maris Matherly-Reed bez odpowiedzi. Nigdy nie dopuścił do siebie myśli, by dać sobie spokój.

Nie, zaszedł aż tak daleko, że chciał być świadkiem rozwoju całej akcji aż do finału. Ale aż do ostatniej kartki nie mógł sobie pozwolić na żaden fałszywy krok.

Każdy rozdział musiał być starannie przemyślany, wszelkie błędy są niedopuszczalne. Intryga nie może mieć słabych miejsc.

A jeśli kiedykolwiek osłabnie w nim chęć doprowadzenia jej do końca, musi sobie tylko przypomnieć, jak kurewsko długo musiał czekać, by dotrzeć do tego etapu. Pół roku.

A raczej... czternaście lat i pół roku.

Maris sięgnęła na oślep po dzwoniący telefon. Nieprzytomnie spojrzała na podświetlony budzik na nocnej szafce. Piąta dwadzieścia trzy. Rano. Kto...

Poderwała się z sercem bijącym na trwogę, nagle zupełnie przytomna. Czy to ten nieunikniony telefon z wiadomością, że jej ojciec dostał zawału, wylewu albo jeszcze gorzej?

Chwyliła za słuchawkę.

– Halo?

– Maris Matherly-Reed?

– Przy telefonie.

– Kiedy zamierza pani przestać się wtrącać do mojego życia?

Zupełnie zbił ją z tropu; dopiero po chwili zrozumiała treść tego niegrzecznego pytania.

– Słucham? Kto mówi?

Usiadła, włączyła lampkę, wyciągnęła rękę, by obudzić No-aha. Ale jego strona łóżka była pusta. Spojrzała na nietkniętą, gładką pościel.

– Nie jestem zachwycony, że zadzwoniła pani do szeryfa – dodał nieznajomy z furją.

Gdzie Noah?

– Przepraszam... Obudził mnie pan... Powiedział pan: do szeryfa?

– Tak. szeryf, szeryf. Jakies skojarzenia?

Złapała oddech.

– P M. E.?

- Zastępca szeryfa zjawił się u mnie, cholerny natręt. Za kogo się...
- Chciałam...
- ...pani uważa, do cholery?
- Chciałam...
- Żeby się tak wtrącać w cudze...
- Czy...
- ...życie. Piękne dzięki, droga pani.
- Zechce pan na chwilę zamilknąć?

Po jej rozdrażnionym pytaniu w słuchawce zapadła cisza, ale Maris czuła promieniujące ku niej fale niechęci i urazy. Wzięła parę głębokich oddechów, żeby się uspokoić, przybrała spokojniejszy ton.

– Przeczytałam pański prolog i bardzo mi się spodobał. Chciałabym o nim porozmawiać, ale nie mogłam się z panem skontaktować. Nie podał mi pan żadnych namiarów. Dlatego zadzwoniłam do szeryfa w nadziei, że...

- Proszę mi go odesłać.
- Słucham?
- Prolog. Proszę go odesłać.
- Dlaczego?
- Jest do niczego.
- Nie zgadzam się z panem, panie...
- Nie powinienem go w ogóle wysłać.

– Cieszę się, że pan to zrobił. Te parę stron mnie zaintrygowało. Są wciągające i dobrze napisane. Jeśli reszta książki jest tak samo dobra, zastanowię się, czy jej nie opublikować.

- Nie jest na sprzedaż.
- Jak to?

– Proszę pani, mówię z południowym akcentem, ale mimo wszystko po angielsku. Którego słowa pani nie zrozumiała?

Rzeczywiście, w jego głosie pobrzmiwał wyraźny akcent. Zwykle miękkie „r” i śpiewna wymowa, charakterystyczna dla Południowców, wydawały się jej urocze. Ale zachowanie tego człowieka było niegrzeczne i nie do zaakceptowania. Gdyby nie to, że wyczuła w nim prawdziwy potencjał, nieoszlifowany talent, już dawno

skończyłaby tę rozmowę.

– Skoro nie chciał pan publikować tej książki – spytała cierpliwie – po co wysłał pan prolog do wydawnictwa?

– Ze względu na przejściową niepoczytalność – odparł, przedrzeźniając jej staranny dobór słów. – Od tego czasu zmieniłem zdanie.

Spróbowała z innej strony.

– Czy ma pan swojego reprezentanta?

– Słucham?

– Agent.

– Nie jestem aktorem.

– Czy składał pan już gdzieś swoje prace?

– Proszę odesłać ten prolog i już.

– Czy złożył go pan w innych wydawnictwach?

– Nie.

– Dlaczego wybrał pan mnie?

– Wie pani co? Niech go pani nie odsyła. Niech go pani wyrzuci do najbliższego kubła na śmieci, użyje na podpałkę albo wyłoży nim klatkę dla ptaszków. Mam to gdzieś.

Wyczuła, że zamierza odłożyć słuchawkę, więc rzuciła szybko:

– Jeszcze chwilę.

– Mówimy na mój koszt.

– Zanim podejmie pan jakąś decyzję, której może będzie pan żałować, chciałabym podzielić się z panem moją opinią. Obiecuję, że będę brutalnie szczerą. Jeśli książka mi się nie spodoba, powiem panu o tym. Proszę pozwolić mi zdecydować, czy jest dobra. Chciałabym, żeby przysłał pan cały maszynopis.

– Ma go pani.

– Mam?

– Powiedziałem niewyraźnie?

– To znaczy, że ma pan tylko prolog?

– Nie, nie mam tylko prologu. Zapisałem tylko prolog. Resztę mam w głowie.

– Och. – Zawiodła się. Myślała, że reszta książki jest gotowa albo prawie gotowa. Nie przyszło jej do głowy, że cały maszynopis ogranicza się do tych piętnastu stroniczek. – Bardzo proszę, niech pan to skończy. A tymczasem...

– A tymczasem licznik bije, droga pani. Jeśli chce pani zaoszczędzić na znaczku, niech pani podrze prolog i cześć. Do widzenia. A, i proszę więcej nie nasyłać na mnie szeryfów.

Maris siedziała jeszcze przez parę chwil, słuchając martwej ciszy w słuchawce. Dopiero potem odłożyła ją ostrożnie. Ta rozmowa była niemal surrealistyczna. Zaczęła sądzić, że się jej przyśniła.

Ale to nie był sen. Według standardów Manhattanu był środek nocy – a jej mąż nie spał obok niej. Gdyby nie obudził jej ten dziwny telefon, z pewnością oprzytomniałaby, nie czując Noaha obok siebie.

Przestraszyła się tak, że zaczęłaby dzwonić po szpitalach – gdyby nie zostawiła go w towarzystwie Nadii Schuller. A to się jej nie podobało. Była zła. Miała ochotę rzucić czymś o ścianę.

Tak czy owak, ze snu nic już nie będzie. Odrzuciła kołdrę, wstała i sięgnęła po szlafrok; dokładnie w tej samej chwili Noah pojawił się w sypialni, kryjąc dłonią ziewnięcie. Ciągle był ubrany w spodnie od fraka i koszulę, choć zdjął spinki, a połę koszuli były wyciągnięte ze spodni. Frak zarzucił niedbale na ramiona, w ręce niósł buty.

– Czyżby dzwonił telefon? – spytał.

– Tak.

– Daniel? Mam nadzieję, że nic się nie stało.

Na jego widok ciężar spadł jej z serca, ale ta nonszalancja wytrąciła ją z równowagi.

– Noah, gdzieś ty się podziewał przez całą noc, na miłość boską?

Zatrzymał się w pół kroku, zmrożony jej tonem. Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Na sofie na dole.

– Dlaczego?

– Kiedy wróciłem, już spałaś. Nie chciałem ci przeszkadzać.

– O której to było?

Uniósł lekko brew z dezaprobatą wobec jej napastliwego tonu.

– Prawdopodobnie koło pierwszej.

Jego kamienny spokój jeszcze bardziej ją rozdrażnił.

– Powiedziałeś, obiecałeś, że będziesz za pół godziny.

– Wypiliśmy dwa drinki zamiast jednego. O co ci chodzi?

– O to, że obudziłam się dwadzieścia po piątej rano i byłam sama w łóżku! – krzyknęła. – Może jestem przewrażliwiona, ale chciałabym wiedzieć, dlaczego mój mąż nie sypia obok mnie!

– Najwyraźniej nie zauważyłaś mojego braku.

– A czyja to wina?

Jej głos nabrał przenikliwych tonów. To głos piekłającej się żony, przed oczami stanęła jej karykaturalna wizja baby w bezkształtnej flanelowej koszuli, pantoflach z pomponami, z lokówkami na głowie i wałkiem w ręku. czekającej na męża, który na paluszkach wkrada się do domu.

Zdołała się opanować, choć nie potrafiła całkowicie pozbyć się wrogości.

– Może sobie przypominasz, że usiłowałam cię uwieść i skłonić do powrotu prosto z pracy. Ale ty koniecznie musiałeś się pojawić na tym niekończącym się bankiecie. Potem usiłowałam cię skłonić do uratowania choć części wieczoru, ale postanowiłeś się spotkać z Wampirzycą i jej ćpunem.

Noah rzucił buty na podłogę, zdjął koszulę, rozpiął spodnie.

– Wszystkie książki tego „ćpuna” sprzedają się w półmilionowym nakładzie w twardej oprawie. Wydania w miękkich okładkach osiągają trzykrotnie wyższe nakłady. Ale on uważa, że mógłby osiągnąć jeszcze lepsze wyniki. Nie jest zadowolony ze swojego obecnego wydawcy i zastanawia się, czy nie przejść do innego. Natomiast „Wampirzyca” umówiła nas na drinka, sądząc, że spotkanie to będzie korzystne dla obu stron. Rzeczywiście było. Autor zgodził się, żebyśmy przedstawili mu naszą ofertę wydawniczą. Jego agent się odezwie, żeby przedyskutować warunki. Chciałem zaskoczyć ciebie i Daniela dobrymi wieściami. ale... – Wzruszył wymownie ramionami i usiadł na łóżku.

– A żeby być z tobą zupełnie fair – dodał – wyznam, że ćpun upił się tak. że nie mógł sam dojść do taksówki. Nadia i ja odwieźliśmy go do mieszkania i ułożyliśmy do snu. Zapewniam. nie było to miłe. Potem razem pojechaliśmy taksówką do miasta. Nadia wysiadła przy Trump Tower, a ja wróciłem do domu. wszedłem na piętro, zobaczyłem, że już śpisz, i postanowiłem ci nie przeszkadzać. Przez cały wieczór działałem w twoim interesie – a przynajmniej tak mi się wydawało. – Położył rękę na sercu i lekko skłonił głowę. – Wybacz, jeśli cię uraziłem.

Mimo logiki jego wyjaśnień czuła, że ma prawo się złościć.

– Powinieneś do mnie zadzwonić.

– Powinienem. Ale wiedząc, jak bardzo jesteś zmęczona, nie chciałem ci przeszkadzać.

– Nie chcę mieć zobowiązań wobec Nadii.

– Ja nie lubię mieć zobowiązań wobec nikogo. Ale, z drugiej strony, niemądrze jest umyślnie odsuwać od siebie Nadię. Jeśli cię lubi, będzie ci wyświadczać przysługi. Jeśli nie, może ci poważnie zaszkodzić.

– Więc tak czy owak, musi cię wydymać.

Teraz się uśmiechnął.

– Dlaczego kobiety, a zwłaszcza ty, są zawsze najpiękniejsze, kiedy się złością?

– Tak, byłam zła.

– Wiem.

– I jestem.

– Więc już nie bądź. Przepraszam, że cię zmartwiłem, nie chciałem. – Uśmiechnął się łagodnie. – Nie masz żadnych powodów do zazdrości, przecież wiesz.

– O, naprawdę? – syknęła. – Myślę, że mam prawo popaść w paranoję, zważywszy na to, ile romansów miałaś przed naszym ślubem.

– Ty też miewałaś romanse.

– Dwa. Ty masz tyle tygodniowo. Poza tym zaczęłaś dziesięć lat wcześniej.

Uśmiechnął się z rozbawieniem wobec takiej przesady.

– Nie zamierzam tego nawet komentować. Ożeniłem się z tobą i to jest ważne.

– I poświęciłaś tyle przyjemności.

Roześmiał się, poklepał miejsce obok siebie.

– Może dasz już spokój tym nonsensom, schowasz pazurki i po prostu mi przebaczysz? Wiesz, że tego chcesz.

Zmrużyła oczy z udawaną złościwością.

– Nie prowokuj.

– Maris...

Niechętnie zrobiła parę kroków ku niemu. Wyciągnął rękę, chwycił ją za dłoń i przyciągnął do siebie. Odgarnął jej z twarzy pasmo włosów, pocałował w policzek. Udawała, że się opiera, ale nie trwało to długo.

Po pierwszym długim pocałunku szepnęła:

– Marzyłam o tym wczoraj przez cały dzień.

– Wystarczyło tylko poprosić.

– Prosiłam.

– Rzeczywiście. – Westchnął z żalem. – Pozwól, że ci to wynagrodzę.

– Lepiej późno niż wcale.

– Mówiłaś, że pozbędziesz się tej piżamki, czy mi się wydawało?

Po chwili byli nadzy. Noah musnął wargami jej szyję.

– Kto dzwonił?

– Hmm?

– Ten telefon, który nas obudził. Kto dzwonił?

– To może poczekać. – Wzięła jego dłoń, poprowadziła ją w dół brzucha. –
Jeśli chcesz mówić, mów mi same brzydkie rzeczy.

Rozdział czwarty

Daniel Matherly odłożył strony maszynopisu i w zamyśleniu skubnął dolną wargę.

– I co sądzisz? – spytała Maris. – Jest dobry, czy mi się wydaje?

Korzystając z ładnego poranka, jedli śniadanie na patio domu Daniela przy Upper East Side. Kwitnące rośliny w terakotowych doniczkach były jedynymi barwami plamami na tle ceglanego muru. Nad patio kołysały się konary drzewa.

Podczas gdy Daniel czytał prolog *Zazdrości*, Maris pomogła Maxine w przygotowaniu śniadania. Maxine, gosposia Mathlerlych, stała się niemal pełnoprawnym członkiem rodziny na długo przed narodzinami Maris.

Tego ranka zachowywała się jak zwykle: najpierw omal nie wyrzuciła Maris z kuchni, potem skrytykowała jej sposób wyciskania soku z pomarańczy. W rzeczywistości kochała ją jak własną córkę i od dnia, w którym mała Maris straciła matkę, starała się ją zastąpić. Maris nie zwracała uwagi na zrządzenie gosposi, biorąc je za to, czym było – wyraz uczucia.

Maris i Daniel zjedli śniadanie w milczeniu – omlety z białek, sałatka pomidorowa i tosty z pełnego ziarna. Wreszcie Daniel odłożył maszynopis.

– Dziękuję, Maxine – powiedział, kiedy gosposia zjawiała się, żeby zabrać naczynia i nalać im kawy. – Zgadza się, kochanie – zwrócił się do Maris. – To dobre.

– Cieszę się, że tak uważasz.

Była zadowolona, że potwierdził jej opinię, ponieważ z jego zdaniem liczyła się najbardziej. Był chyba jedyną osobą na świecie, która przeczytała więcej książek od niej. Jeśli ich opinie się różniły, wynikało to z indywidualnych różnic smaku, ale oboje potrafili bezbłędnie rozpoznać dobry tekst.

– Nowy pisarz?

– Nie wiem.

To go zdziwiło.

– Nie wiesz?

– To nie jest zwykły przypadek. – Wyjaśniła, w jaki sposób trafiła na prolog i czego dowiedziała się o tajemniczym autorze. Zakończyła streszczeniem ich ostatniej rozmowy telefonicznej.

– Kto dziś się ukrywa za inicjałami? – spytała z rozdrażnieniem. – To dziecinne i pretensjonalne. Jak Artysta, Znany Wcześniej jako Prince.

Daniel roześmiał się cicho, dodając substytut śmietanki do jedynej dozwolonej filiżanki kawy.

– Moim zdaniem to mu dodaje tajemniczości i romantyzmu.

Parsknęła gniewnie.

– Jest cholernie uciążliwy.

– Bez wątpienia. Konfliktowość jest wpisana w charakter dobrego pisarza. Albo złego, nawiasem mówiąc.

Przyjrzała mu się uważnie. Kiedy się tak postarzał, pomyślała z niepokojem. Włosy miał zupełnie siwe, odkąd pamiętała, ale niedawno zaczęły rzednąć. Jej matka, Rosemary, była jego drugą żoną. młodszą od niego o piętnaście lat. Maris przyszła na świat, kiedy Daniel był już w średnim wieku. Jednak wciąż był aktywny fizycznie. Przestrzegał diety, niechętnie, lecz uczciwie. Już dawno rzucił papierosy, choć ciągle palił fajkę. Ponieważ spoczywał na nim obowiązek wychowania Maris, zrobił wszystko, co mógł, by spowolnić proces starzenia, na ile to tylko możliwe.

Ostatnio starość zaczęła go doganiać. Artretyzm w biodrze dawał mu się we znaki do tego stopnia, że czasem musiał chodzić o lasce. Gderał, że wygląda przez to jak ramol, co było zbył mocnym słowem, choć Maris zgadzała się w duchu, że laska odebrała mu sporo żywiołowości, jego znaku rozpoznawczego. Plamy wątrobiane na rękach stały się liczniejsze i ciemniejsze. A jego ruchy słabły z miesiąca na miesiąc.

Ale oczy patrzyły przenikliwie i mądrze jak zawsze.

– Ciekawi mnie, o co w tym wszystkim chodzi? – spytał.

– W jakim wszystkim, tato?

– W tym braku adresu zwrotnego czy numeru telefonu. No i ta dzisiejsza rozmowa. To, że według niego ten prolog jest do niczego. I tak dalej.

Wstała i podeszła do pelargonii, żeby oberwać suchy listek. przeoczony przez Maxine. Maris nakłaniała ją do sprawienia sobie okularów, ale gosposia twierdziła nieustępliwie, że widzi dokładnie tak samo jak trzydzieści lat temu.

– Otóż to – odparowała Maris. – Zawsze byłaś ślepa jak kret i zbył próżna, żeby coś z tym zrobić.

Teraz zastanowiła się nad pytaniem ojca, w roztargnieniu obracając w palcach łodyżkę liścia.

– Chciał, żebym go zaczęła szukać, tak?

Wiedziała, że o tym właśnie myślał, bo uśmiechnął się z aprobatą. Tę samą metodę stosował, pomagając jej odrabiać lekcje. Nigdy nie podsuwał gotowych rozwiązań, ale naprowadzał ją na właściwe tory, dopóki drogą dedukcji nie znalazła

właściwej odpowiedzi.

– Nie musiał dzwonić – ciągnęła. – Jeśli nie chciał, żebym go znalazła, mógł wyrzucić moje numery telefonów. Tymczasem zadzwonił o takiej porze, by mieć nade mną przewagę.

– A jego protesty były zbyt gorączkowe i zbyt głośne.

Zamyślona wróciła na krzesło z kutego żelaza.

– Nie jestem pewna. Był szczerze rozgniewany. Zwłaszcza kiedy mówił o zastępcy szeryfa.

– Bo pewnie był, i nie powiem, że go nie rozumiem. Ale nie mogłam się oprzeć pokusie, by skontaktować się z tobą i usłyszeć, co masz do powiedzenia na temat jego tekstu.

– Który bardzo dobrze się zapowiada. Ten prolog obudził we mnie ciekawość co do tego młodzieńca z Łodzi. Kim był? Co to za historia? Dlaczego pobił się z przyjacielem?

– Z zazdrości – podsunął Daniel.

– Ale to pewna prowokacja, nie sądzisz? Z zazdrości o co? Kto zazdrościł komu?

– Widzę, że prolog spełnił swoje zadanie. Pisarz zmusił cię do myślenia i zadawania pytań.

– Owszem, niech go diabli.

– Więc co zamierzasz?

– Spróbuję rozpocząć z nim rozmowę, jeśli to w ogóle możliwe z takim kretnym. Nie będę się łudzić, że współpraca przyjdzie mi łatwo.

– Masz chociaż numer jego telefonu?

– Teraz już tak. Dzięki Ci, Boże, za identyfikację numerów. Sprawdziłam dziś rano i numer kierunkowy jest taki sam, pod jaki dzwoniłam wczoraj.

– Ach, cuda nowoczesnej techniki. Za moich czasów...

– Za twoich czasów? – powtórzyła ze śmiechem. – To ciągle twoje czasy.

Pogłaskała go czule po naznaczonej plamami dłoni. Pewnego dnia ją opuści, a ona nie wiedziała, czy zdoła to przeżyć. Wychowała się w tym domu i nie było jej łatwo się z niego wyprowadzić. Nawet kiedy wyjeżdżała na studia. Jej pokój na drugim piętrze nadal na nią czekał. Sypialnia Daniela znajdowała się o piętro niżej i nie zgadzał się jej przenieść, choć codzienne pokonywanie schodów sprawiało mu ból.

Pamiętała gwiazdkowe poranki, kiedy budziła się przed świtem. pędziła do jego pokoju i błagała, by wstał i zszedł z nią na parter, żeby sprawdzić, co Święty Mikołaj zostawił pod choinką. Dzieciństwo jawiło się jej jako pasmo barwnych, radosnych wspomnień – ona i ojciec na ślizgawce w Central Parku, przechadzki po ulicach miasta, pałaszowanie hot dogów czy kebabu, przeglądanie straganów ze starymi książkami, herbatka w Plaża po porannym przedstawieniu, czytanie przed kominkiem, wyprawianie oficjalnych przyjęć w jadalni i wspólne nocne przekąski Z Maxine w kuchni. Miała wyłącznie dobre wspomnienia.

Ponieważ była jedynym dzieckiem, jakiego jej ojciec doczekał się w późnym wieku, stała się jego ulubienicą. Śmierć matki mogła rozerwać ich związek – tymczasem jeszcze bardziej go scementowała. Ojciec stosował wobec niej surowe metody wychowawcze. ale rzadko musiał je wprowadzać w czyn. Na ogół Maris była posłuszna, nie chciała narazić się na jego niezadowolenie. Najbardziej buntowniczym czynem jej młodości było nocne wymknięcie się z domu wraz z grupą przyjaciół do klubu. którego Daniel nie akceptował. Kiedy nad ranem wróciła, przekonała się. że ojciec jest człowiekiem czujnym i niedającym się wyprowadzić w pole: kuchenne okno, którym się wymknęła, zostało zamknięte.

Musiała zadzwonić do drzwi wejściowych i czekać – miała wrażenie, że w nieskończoność – aż Daniel ją wpuści. Nie nakrzyczał na nią. Nie prawił jej kazań. Po prostu poinformował ją, że teraz musi ponieść konsekwencje swojego wyboru. Dostała areszt domowy na miesiąc. Ale najgorszą karą była świadomość, że rozczarowała ojca. Nigdy więcej nie wyszła z domu bez jego wiedzy.

Rozpieszczano ją, ale jej nie rozpaskudzono. W zamian za dostęp do pieniędzy musiała wywiązywać się z obowiązków dobowych. Ojciec uważnie kontrolował jej stopnie. Częściej chwalił za to, co zrobiła dobrze, niż karał za błędy. Czowała, że Daniel ją kocha, a on każdego dnia jej o tym przypominał.

– Więc myślisz, że powinnam się zająć *Zazdrością*? – spytała.

– Zdecydowanie. Autor rzucił ci wyzwanie, choć być może nie zrobił tego umyślnie. A ty, Maris Matherly-Reed. nie potrafisz się oprzeć wyzwaniom – zacytował zdanie z artykułu na jej temat.

– Czyżbym to już gdzieś słyszała?

– A już na pewno nie potrafisz się oprzeć dobrej książce.

– To chyba dlatego jestem taka poruszona – odparła, poważniejąc. – Obecnie moje obowiązki dotyczą wyłącznie spraw wydawniczych. Zajmuję się książką, kiedy praca pisarska i korektorska jest już skończona. I uwielbiam te zajęcia, ale aż do wczoraj nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi brakuje pracy nad tekstem. Teraz czytuję już tylko ostateczną, w pełni ukończoną wersję, którą kieruję do produkcji. Nie mogę poświęcić jej zbyt wiele czasu, ponieważ na moją uwagę czeka dziesięć innych książek. Brakuje mi osobistego kontaktu z pisarzami. Chciałabym pomagać w tworzeniu postaci. Wynajdywać słabe punkty akcji. Boże, jak ja to uwielbiam.

– Dlatego zaczęłaś pracować w wydawnictwie. Chciałaś być redaktorką. I byłaś dobra, tak dobra, że zaczęłaś awansować, a teraz twoje obowiązki nie dotyczą już tego, co lubisz. Powrót do dawnych czasów ożywi cię i sprawi ci radość.

– Chyba tak, ale jeszcze nie przesądzajmy sprawy – powiedziała cierpko. – Nie wiem, czy *Zazdrość* jest warta mojej uwagi. Ta książka jeszcze nie istnieje. Intuicja...

– Której ślepo ufam...

– ...podpowiada mi, że tekst będzie dobry. To dobry materiał, który można jeszcze bardziej wzbogacić. I pełno w nim realiów Południa, które uwielbiam.

– Tak jak Zwyciężony.

Nagle jej entuzjazm prysł jak bańka mydlana.

– Tak.

Daniel czekał przez parę sekund. Potem spytał:

– Jak tam Noah?

Jako czytelniczka, a także żona, była bardzo zawiedziona, że Noah nie napisał drugiej książki. Daniel zdawał sobie z tego sprawę, nie wspominając już, że tytuł jedynej powieści Noaha dawał powody do domysłów.

– Tato, przecież wiesz. Rozmawiasz z nim kilka razy dziennie.

– Pytam jako ojciec, nie kolega z pracy.

Odwróciła wzrok, spojrzała na budynek naprzeciwko. Porośnięty bluszczem ceglany mur otaczający patio Daniela zasłaniał część domu, ale w oknie na pierwszym piętrze widać było przegowanego kota, który przeciągnął się i otarł o kraty.

Maxine wychyliła głowę na zewnątrz.

– Przynieść wam coś?

– Nie, dziękujemy – odpowiedział Daniel. – Niczego nam nie brak.

– Jakby coś, to wołajcie.

Zniknęła we wnętrzu domu. Maris siedziała przez jakiś czas w milczeniu, wodząc palcem po wzorze na lnianej podkładce pod talerz. Podniosła głowę; ojciec przybrał pozę, jaką przyjmował zawsze, gdy domyślał się, że chciała mu się zwierzyć: podparł brodę ręką, palec wskazujący położył na policzku, czubkiem zwrócony w stronę siwej krzaczastej brwi.

Nigdy nie naciskał, nigdy nie zmuszał jej do mówienia, zawsze cierpliwie czekał. Wiedział, że zacznie mówić, kiedy będzie gotowa i ani o sekundę wcześniej. Była to cecha, którą odziedziczyła po nim.

– Noah wrócił wczoraj bardzo późno – zaczęła. Nie wdając się w szczegóły, zrelacjonowała ich kłótnię. – Skończyło się na czułościach, ale nadal jestem zdenerwowana.

– Zareagowałaś zbyt gwałtownie? – spytał z wahaniem.

– Myślisz, że mogłam?

– Nie było mnie przy tym. Ale wydaje mi się, że Noah dysponował logicznymi argumentami.

– Na to wygląda.

Zmarszczył brwi.

– Myślisz, że powrócił do kawalerskich nawyków?

Wiedziała, że ojciec darzył Noaha wielkim szacunkiem i podziwem, dlatego nie chciała wystąpić z litanią skarg, które, wypowiedziane na głos, zabrzmiałyby w najlepszym wypadku jak kwękanie, w najgorszym – jak paranoja. Zdawała też sobie sprawę, że skarżąc się przed ojcem, stawia go w niezręcznej sytuacji. Był nie tylko teściem Noaha, ale także jego pracodawcą.

Daniel wprowadził Noaha do wydawnictwa przed czterema laty, ponieważ uznał go za najbardziej inteligentnego i przewidującego wydawcę w Nowym Jorku – nie licząc siebie samego. Kiedy znajomość Maris z Noahem wyszła poza ramy koleżeństwa, Daniel wyraził swoje obawy i przestrzegł ją przed biurowym romansiem. Ale gdy Noah po półtorarocznym pobycie w Matherly Press poprosił go o rękę córki, dał swoją zgodę. Noah zaproponował nawet, że w zamian za rękę Maris zrezygnuje z posady. Daniel nie chciał o tym słyszeć i uściskał go z takim samym entuzjazmem, z jakim awansował go na wiceprezesa i dyrektora finansowego wydawnictwa.

Przez niemal dwa lata udawało się im z powodzeniem oddzielać życie zawodowe od osobistego. Gdyby teraz zaczęła mówić o swoich małżeńskich problemach, zakłóciłaby tę równowagę. Daniel mógłby nie chcieć powiedzieć za dużo albo zbyt mało, mógłby nie chcieć opowiadać się po czyjejsz stronie czy ingerować w sprawy, które nie powinny go interesować.

Z drugiej strony musiała się komuś zwierzyć, a ojciec zawsze był jej najbardziej zaufanym powiernikiem.

– Nie, nie mam na myśli nic konkretnego. Nie wierzę, by Noah miał romans. Nie, raczej nie.

– Ale coś cię dręczy. Co?

– W ciągu ostatnich miesięcy nie poświęcał mi zbyt wiele uwagi. Właściwie poświęcał mi jej bardzo mało – poprawiła się z nieszczęśliwym uśmiechem.

– Miesiąc miodowy nie trwa wiecznie.

– Wiem. Tylko... – Urwała i westchnęła. – Może jestem zbyt romantyczna.

– Nie rób sobie wyrzutów. Może to niczyja wina? W małżeństwie zdarzają się takie okresy. Nawet w dobrych małżeństwach. To takie chwile posuchy, by się tak wyrazić.

– To także wiem. Boję się tylko, żeby się mną nie znudził. Niedługo będziemy obchodzić drugą rocznicę ślubu. Dla niego to prawdziwy rekord.

– Wiedziałaś, jak jest, kiedy za niego wychodziłaś – wypomniał jej łagodnie. – Miał ustaloną reputację podrywacza.

– Przyjęłam to do wiadomości, ponieważ go kochałam. Ponieważ zakochałam się w nim jeszcze na studiach, kiedy przeczytałam Zwycięzonego.

– A pomiędzy wszystkich tych kobiet Noah pokochał właśnie ciebie i to z tobą postanowił się ożenić.

Uśmiechnęła się tęsknie, pokręciła głową z dezaprobatą.

– Masz rację, tato. Tak było. To chyba przez te hormony. Czuję się zaniedbana, to wszystko.

– A ja muszę wziąć na siebie część odpowiedzialności.

– Słucham?

– Obarczyłem Noaha ogromną odpowiedzialnością. On tylko wywiązuje się z obowiązków, które – Bóg mi świadkiem – są już wystarczająco poważne. A jeszcze musi przejąć część moich funkcji. Zwalniam, a to znaczy, że on musi przyspieszyć. Zaproponowałem, żeby zatrudnił kogoś, kto go odciąży.

– Miał problemy z wyborem.

– Dlatego powinienem go wręcz zmusić, żeby kogoś zatrudnił. Zrobię to. A tymczasem chyba powinniście wyjechać gdzieś we dwójkę. Może na Bermudy? Opalicie się, będziecie pić tropikalne drinki, nie wychodzić z łóżka.

Uśmiechnęła się, ale był to smutny uśmiech. W zeszłym roku ojciec wypowiedział niemal te same słowa, pakując ich do samolotu na Arubę, dokąd lecieli na długi weekend. Mieli nadzieję, że wrócą już we trójkę. Choć zrobili wszystko, by do tego doprowadzić – i sprawiło im to wiele radości – nie osiągnęli celu. Maris była bardzo rozczarowana. Może właśnie wtedy zaczęli się od siebie oddalać, choć dystans między nimi stał się widoczny dopiero niedawno.

Daniel wyczuł chyba, że poruszył temat, o którym najlepiej zapomnieć, a przynajmniej na razie obchodzić z daleka.

– Wyjedźcie gdzieś razem – powtórzył. – Odetnijcie się od pracy, od tego

szalonego miasta. Dajcie sobie szansę, by wszystko wróciło do normy.

Nie przyznałaby mu się do tego, ale nie była pewna, czy rozwiążą swoje problemy w łóżku. Ich dzisiejsza sprzeczka zakończyła się seksem, ale Maris nie czuła w nim bliskości. Było raczej tak, jakby starali się jak najszybciej i jak najprościej zakończyć konflikt. Ich ciała wpadły w znajomy rytm, ale serca pozostały zimne.

Noah wykręcił się pochlebstwem – teraz widziała to jako objaw nonszalancji i poczucia wyższości. Była szczerze rozgniewana, a w takiej chwili nie powinien jej mówić, jaka jest piękna. Łóżko stanowiło wdzięczny sposób zakończenia kłótni, której oboje sobie nie życzyli. Nie chciała go dłużej oskarżać, a on nie chciał być dłużej oskarżany, więc zaczęli się kochać. Kiedy o tym myślała, dochodziła do coraz bardziej niepokojących wniosków.

Udała, że zastanawia się nad propozycją ojca, żeby nie zrobić mu przykrości. Potem powiedziała:

- Wiesz, tato, właściwie chciałam sobie zrobić wakacje w pojedynkę.
- Kolejny dobry pomysł. Na wsi?

Kiedy miasto zaczynało się jej wydawać zbyt klaustrofobiczne często wyjeżdżała do ich domku w zachodnim Massachusetts, gdzie przez cały długi weekend nadrabiała zaległości, czytała maszynopisy. W Berkshires, gdzie nikt nie przeszkadzał jej tak jak w pracy, mogła się skoncentrować i zrobić więcej we względnie krótkim czasie. Nic dziwnego, że Daniel od razu pomyślał o tym spokojnym wiejskim domku.

Pokręciła głową.

- Chyba pojedę do Georgii.

Noah przyjął wieści ze spokojem.

– Zdecydowanie powinnaś wyjechać na parę dni – powiedział, gdy oznajmiła, że zamierza wyjechać na południe. – Zmiana otoczenia dobrze ci zrobi. Ale co ty tam masz w tej Georgii, na miłość boską? Jakieś uzdrowisko?

- Autora.
- Co, jedziesz do pracy? Przecież miałaś odpocząć, czy nie o to chodzi?
- Pamiętasz ten prolog? Opowiadałam ci o nim wczoraj.

– Ten ze śmieci?

Zignorowała jego sceptyczny uśmieszek.

– Odnalezienie autora przyszło mi z trudem, ale jednak się udało.

– Jak to?

– To długa historia, a za dziesięć minut mamy zebranie. Dość powiedzieć, że nie jest to zwykły pisarz, który usiłuje sprzedać książkę.

– Dlaczego jest niezwykły?

– Bo jest wredny. Niegrzeczny. I nieoświecony. Nie zdaje sobie sprawy, jak dobrze pisze. Trzeba go uświadomić. Może nawet trochę wychować, a na pewno dopieścić. Sądzę, że podczas spotkania w cztery oczy osiągnę więcej niż przez rozmowy telefoniczne i faks.

Noah słuchał jej z roztargnieniem, zajęty przeglądaniem wiadomości, jakie asystentka dyskretnie przed nim położyła. Zerknął na zegarek, wstał i zaczął zbierać materiały na zebranie.

– Przepraszam, kochanie, ale musimy odłożyć tę rozmowę na później. To zebranie nie może czekać. Kiedy chcesz wyjechać?

– Chyba jutro.

– Tak szybko?

– Muszę wiedzieć, czy mam się przejmować tą książką, czy całkiem o niej zapomnieć. A dowiem się tylko po rozmowie z autorem.

Obszedł biurko, musnął jej policzek chłodnym pocałunkiem.

– Więc wyjdźmy gdzieś wieczorem, tylko we dwoje. Poproszę Cindy, żeby nam coś zarezerwowała. Gdzie byś chciała pójść?

– Mam wybierać?

– Tak.

– To może kupimy tajskie jedzenie na wynos? Moglibyśmy dla odmiany zjeść w domu.

– Świetnie. Przyniosę wino.

Tuż przy drzwiach gabinetu zatrzymał się gwałtownie.

– Psiakrew! Właśnie sobie przypomniałem, mam dziś zebranie.

Jęknęła.

– Z kim?

Wymienił agenta, reprezentującego kilku słynnych pisarzy.

– Dołącz do nas, będzie zachwycony. A potem wyskoczmy we dwoje na jednego.

– Nie mogę poświęcić całego wieczoru. Przed wyjazdem chcę załatwić jeszcze parę spraw. No i muszę się spakować.

– Już dwa razy odwołałem z nim spotkanie. Jeśli jeszcze raz wystawię go do wiatru, pomyśli, że go lekceważę.

– Nie, tak nie można. Kiedy wrócisz?

Skrzywił się.

– Jak wiesz, facet lubi mówić, więc spotkanie może się przedłużyć. Na pewno wrócę później, niżbym chciał. – Wyczuł jej rozczarowanie, zrobił krok ku niej, zniżył głos. – Przepraszani cię, Maris. Mam go przełożyć?

– Nie. On się dla nas liczy.

– Gdybym wiedział, że chcesz wyjechać...

– Bardzo przepraszam... – odezwała się asystentka, zaglądając do gabinetu. – Wszyscy czekają w sali konferencyjnej.

– Już idziemy. – Odwrócił się do Maris, odczekawszy, aż asystentka zamknie za sobą drzwi. – Obowiązki wzywają.

– Jak zwykle.

– Przebaczysz mi?

– Jak zwykle.

Uścisnął ją pospiesznie, mocno.

– Jesteś najbardziej wyrozumiałą żoną, odkąd wynaleziono małżeństwo. Czy można się dziwić, że tak za tobą szaleję? – Pocałował ją szybko i popchnął delikatnie w stronę drzwi. – Ty pierwsza, kochanie.

Zazdrość, Rozdz. 1

Wschodni Uniwersytet Stanowy Tennessee, 1985 r.

Członkowie bractwa zawsze byli zdania, iż założyciele ich kapituły wykazali się wybitną inteligencją, projektując i budując swą siedzibę w kształcie rombu, będącego ich herbem.

Ale to, co przypisywali geniuszowi, nastąpiło w wyniku przypadku.

Szukając gruntu pod budowę siedziby bractwa, ci przedsiębiorczy młodzieńcy z rocznika 1910 nabyli najtańszą dostępną działkę, której właściciel najwyraźniej chciał się pozbyć. Zdecydowali się nie ze względu na jej kształt czy umiejscowienie, lecz dla jej ceny. A ta była niska.

A więc najpierw była działka, nie projekt. Młodzieńcy zaprojektowali budynek, który pasowałby do działki, nie odwrotnie. Niektórzy zauważyli, że dom rzeczywiście ma kształt rombu, ich herbu, ale to podobieństwo było całkiem przypadkowe.

Potem, w 1928 roku, uniwersytecka rada planowania i rozbudowy uznała, że główna aleja, dzieląca miasteczko uniwersyteckie na dwie połowy, zostanie przerobiona na deptak. Samochody zostały skierowane na ulicę biegnącą przed nietypową siedzibą bractwa.

I w ten to sposób, nie dzięki geniuszowi założycieli, siedziba umiejscowiona w najważniejszym punkcie miasteczka zyskała w nim zasadnicze znaczenie, do którego na próżno pretendowały wszystkie inne bractwa. Front tego dwupiętrowego budynku był zwrócony w kierunku jezdni, jego skrzydła ustawiono pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Pomiedzy skrzydłami na tyłach budynku znajdował się zbyt mały parking, tablice do koszykówki, kipiące od śmieci kubły, dwa zardzewiałe grille i wybieg, zarezerwowany dla maskotki bractwa, brązowego labradora Brewa.

Fasada budynku robiła znacznie lepsze wrażenie. Prowadzącą do głównego wejścia kamienną dróżkę obsadzono po obu stronach gruszami, co roku pokrywającymi się śnieżnobiałym kwieciem, naturalną dekoracją corocznego wiosennego święta. Zdjęcia tych drzew w pełnej krasie często pojawiały się na okładkach uniwersyteckich broszur i katalogów. A to budziło zawiść innych konkurencyjnych organizacji. Kiedy pojawiała się groźba użycia pił łańcuchowych, bractwo wносиło podanie o zaangażowanie strażnika. Utrata drzew równałaby się utracie twarzy, poza tym bez nich ich siedziba wyglądałaby jak naga.

Jesienią liście grusz nabierały soczyście nasyconej rubinowej czerwieni – tak jak tego niedzielnego popołudnia. W miasteczku akademickim panowała niezwykła cisza. Drużyna futbolowa grała gościnny mecz. Gdyby była na miejscu, drzwi

siedziby bractwa byłyby otwarte i buchały z nich głośna muzyka. W budynku roiłoby się od członków bractwa, ich dziewczyn, rodziców i kolegów. W dniu meczu na drogach panowały zwykle wielokilometrowe korki, a ponieważ każdy pojazd musiał przejechać w drodze na stadion przez skrzyżowanie przy siedzibie bractwa, jego członkowie mieli doskonały widok na tę procesję. Wrzeszczeli szyderczo do kibiców rywalizujących z nimi drużyn, flirtowali ze studentkami, które odpowiadały tym samym, a czasami, po spontanicznym zaproszeniu, wysiadały z samochodów i dołączały do imprezy w siedzibie bractwa. W ten sposób doszło do licznych romansów i kilku małżeństw.

W dniu meczu całe miasteczko tonęło w szkartacie, jeśli nie na ubraniach, to na flagach i proporczykach. Dźwięki instrumentów dętych i perkusji niosły się po okolicy, od akademików najlepszych po najbardziej oddalone. W powietrzu unosiła się świąteczna atmosfera oczekiwania.

Ale tego dnia panowały tu pustki. Padał deszcz, zimny i ponury, niedający się pogodzić z jakimikolwiek rozrywkami na świeżym powietrzu. Studenci nadrabiali dziś zaległości – we śnie, nauce lub praniu.

Korytarze siedziby bractwa, cuchnące stęchłym piwem, były ciemne i ciche. Kilku członków zebrało się wokół wielkiego telewizora, który zamożny student podarował organizacji w zeszłym roku. Na ekranie toczył się mecz futbolowy; widzowie robili zakłady na pieniądze. Od czasu do czasu z pierwszego i drugiego piętra – z pokojów mieszkańców – dochodził wrzask albo jęk, ale i tak było to za mato, żeby rozproszyć senne milczenie korytarzy.

Milczenie, przerwane wściekłym wrzaskiem „Roark! Ty larwo!” oraz hukem zatrząskiwanych drzwi.

Roark uskoczył przed mokrym ręcznikiem i parsknął śmiechem.

– Znalazłeś?

– Czyje to? – Todd Grayson trzymał styropianowy kubek, w którym zwykle trzymał szczoteczkę. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby kubek nie został wykorzystany w charakterze spluwaczki. Szczoteczka pławiła się w brązowym śluzie.

Roark wycofał się ku trójnożnej sofie za pryzami, wiszącymi pod sufitem na krótkich łańcuchach. Prycze, zaprojektowane przez dwóch młodzieńców w jawnej sprzeczności z zasadami bractwa, zakazującymi jakichkolwiek zmian w strukturze budynku, miały na celu jak najlepsze wykorzystanie ograniczonej przestrzeni pokoju.

Jako czwarta noga sofy służyło parę cegieł, ale to paskudztwo było centralnym punktem ich siedziby, „jądrem naszej komórki”, jak się wyraził Todd pewnego wieczoru, gdy osiągnął szczególnie wysoki stopień upojenia. Meblując pokój, znaleźli tego rupiecia w sklepie ze starzyzną i zapłacili za niego dziesięć dolarów. Tapicerka

była podarta, paskudna i wymazana niezidentyfikowanymi substancjami, lecz sofa tak doskonale wtopiła się w ogólną brzydotę ich pokoju, że postanowili ją tu zostawić jako prezent dla następnych mieszkańców.

Todd, który niegdyś wyraził się o sofie w tak poetycznych słowach, był teraz tak wściekły, że trząsał się na całym ciele.

– Gadać. Czyja to spluwaczka?

Roark trzymał się ze śmiechu za brzuch.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Brady'ego? Jeśli to on, zabiję cię, przysięgam na Boga. – Brady mieszkał na końcu korytarza. Był fantastycznym gościem i idealnym członkiem bractwa, jednym z tych, który bez namysłu i słowa skargi pojedą po ciebie w zimową noc, gdy na dworze szaleje zadymka, jeśli się okaże, że zepsuł ci się samochód. Brady miał serce ze szczerego złota. Natomiast higiena nie stanowiła jego najmocniejszego atutu.

– To nie jego.

– Castro? Jezus, powiedz mi, że to nie Castro – jęknął Todd. – Ta pierdoła jest chora! – Wspomniany kolega nie był Kubańczykiem. Naprawdę nazywał się Ernie Campello. Ochrzczono go tym przydomkiem ze względu na wyjątkowy talent do porastania kędzierzawymi czarnymi włosami, nie tylko na głowie i twarzy, ale na całym ciele. – Bóg jeden wie, co za pasożyty nosi w tym futrze.

Roark śmiał się jeszcze przez chwilę. Potem wykrztusił:

– Dzwoniła Lisa jakaś tam.

Ta neutralna uwaga natychmiast zdławiła gniew Todda.

– Lisa Knowles?

– Może być.

– Kiedy?

– Pięć minut temu.

– Zostawiła wiadomość?

– Wyglądam jak sekretarka?

– Wyglądasz jak świnia. Co powiedziała?

– Że masz fiutka jak ołówek. Zaraz, nie, jak zapałka. Kurczę, nie pamiętam. Przepraszam. Ale zapisałem jej numer telefonu. Leży na twoim biurku.

- Później zadzwonię.

- Kto to? Jakaś laska?

- Tak, ale spotyka się z jednym z Delty. Chodzi ze mną na historię, chce notatki.

- Szkoda.

Todd rzucił swemu roześmianemu koledze paskudne spojrzenie i wyrzucił kubek do kosza. Roark znieważył jego szczoteczkę, wykorzystując pobyt jej właściciela pod prysznicem.

- Nie wkurzaj się – powiedział Roark, gdy Todd zaczął grzebać w szufladzie bieliźniarki, szukając czystych bokserek. – To był cholernie dobry kawał, wart nowej szczoteczki. Nawet dwóch.

- Powiesz mi w końcu, czyje to było?

- Nie wiem. Znalazłem na parapecie drugiego piętra.

- Jezus. To mógł być każdy.

- W tym cały dowcip.

- Zapłacisz mi za to – zagroził Todd, wkładając podkoszulek. – Mówię poważnie. Naraziłeś mi się, chłopie.

Roark tylko się roześmiał.

- Nie masz nic lepszego do roboty? Siedzisz na tyłku przez cały dzień.

- Muszę to skończyć w ten weekend. – Roark pokazał kiepskie wydanie Wielkiego Gatsby'ego.

Todd parsknął pogardliwie.

Najgorszy mięczak w całej literaturze amerykańskiej. Zjadł coś?

- Jasne.

Roark sturlał się z sofy, wdepnął w trampki. Wychodząc, obaj ucałowali swoje palce i dotknęli nimi Dziewczyny Miesiąca w kalendarzu.

- Trzymaj się, kochanie.

Ta knajpa należała do nich. Byli tu statymi bywalcami. Ledwie stanęli za drzwiami, sam T. R. przyniósł im dzbanek piwa.

- Dzięki, T. R.

– Dzięki, T. R.

W knajpie nie było menu, ale oni i tak wiedzieli, co zamówić. A T. R. wiedział, co im smakuje. Wrócił za ladę i zaczął przyrządzać dla nich pizzę. Ta pizza i piwo miały pójść na ich rachunek, uiszczany w rzadkich chwilach zamożności. T. R. zapewniał swoim klientom taką możliwość od ponad trzydziestu lat.

Podobno kiedyś zapisał się na uniwersytet jako student, ale pod koniec pierwszego semestru oblał egzaminy. Pieniądze przyznane mu na korepetycje przeznaczył na pierwszą ratę za ten budynek, będący na skraju ruiny. Nie zawracał sobie głowy remontem i nie zmienił w swojej ruderze nic od chwili, gdy stał się jej właścicielem. Wszyscy inspektorzy budowlani, badający jej stan, nie mogli się nadziwić trwałości konstrukcji.

Na kinkietach osiadła starożytna warstwa kopcia, linoleum na podłodze było miejscami wyszlizgane, a miejscami spękane. Nikt nie ośmielał się zajrzeć pod stoły z obawy przed tym, co mógłby tam znaleźć, a osoby z pęcherzami wzdętymi po piwie tylko w naprawdę podbramkowych sytuacjach szukały ulgi w toalecie.

Miejsce nie było zachwycające, ale stało się legendą. Każdy student znał T. R., ponieważ dostarczał on dwa artykuły pierwszej potrzeby – zimne piwo i gorącą pizzę. W połowie semestru T. R. znał już imiona wszystkich swoich klientów, a nawet jeśli nie pamiętał ich imion, wiedział, jakie pizze lubią najbardziej. Todd i Roark nigdy nie zmieniali zamówienia – grube ciasto, Pepperoni, podwójna mozzarella i trochę czerwonej papryki.

Roark przeżuwał w skupieniu pierwszy cudowny kęs.

– Naprawdę tak myślisz?

– Że co?

– Że Gatsby był mięczakiem.

Todd otarł usta serwetką, tyknął piwa.

– Gość jest bogaty. Mieszka jak, kurna, książę czy coś. Ma wszystko, czego można chcieć.

– Z wyjątkiem kobiety, którą kocha.

– Samolubną, egocentryczną idiotkę na granicy neurozy, która nieustannie robi z niego balona.

– Ale Daisy reprezentuje sobą wszystko, czego Gatsby nie może kupić. Wszystko, co jest nieosiągalne.

– Szacunek? – Todd wziął kolejny kawałek pizzy z pogiętego metalowego

talerza. – Z taką kasą komu zależy, czy jest akceptowany? Zapłacił za ideał najwyższą cenę. – Pokręcił głową. – Nie warto.

– Hmmm... – Roark pociągnął tyk piwa z oszronionej szklanki. Przedyskutowali temat Gatsby'ego, potem pisarstwa Fitzgeralda w ogóle, a to doprowadziło ich do własnych literackich aspiracji.

– Jak ci idzie z tekstem? – spytał Roark.

Na koniec studiów mieli przedstawić powieść liczącą minimum siedemdziesiąt tysięcy słów. Był to pierwszy krok do otrzymania tytułu magistra. Jediną przeszkodą, stojącą im na drodze do dyplomu, był koszmar każdego studenta kursu twórczego pisania – profesor Hadley.

Todd zmarszczył brwi.

– Hadley czepia się mnie o charakterystykę.

– A konkretnie?

– Mówi, że postacie są papierowe. Żadnej oryginalności, spontaniczności, głębi, srutu-tutu.

– Mówi tak każdemu.

– Tobie też?

– Mnie jeszcze nie wziął na warsztat. Przyszły wtorek, z samego rana, punkt ósma. Będę miał szczęście, jeśli mi daruje życie.

Poznali się na pierwszym semestrze pierwszego roku, podczas zajęć z kompozycji. Ich wykładowcą był student ostatniego roku, który – jak później uznali – nie odróżniał własnego narzędzia od narzędnika. W pierwszym tygodniu zajęć zadał im pięciostronicowe wypracowanie na temat Devotions Johna Donne'a.

Wykładowca, bardzo godny i poważny, przyjął ton i postawę doświadczonego profesora.

– Być może tekst nie jest wam całkowicie znajomy, ale z pewnością znacie zdanie „komu dzwoni dzwon”.

– Bardzo przepraszam. – Todd podniósł rękę, patrząc mu niewinnie w oczy. – Czy to to samo, co „komu bije dzwon?”

Roark uznał go za pokrewną duszę i podszedł do niego po zajęciach. Tego popołudnia rozpoczęła się ich przyjaźń. Tydzień później zaaranżowali zamianę miejsc w pokojach, w których administracja przydzieliła im miejsca na chybił trafił.

– Jak chcecie – burknął współlokator Roarka, kiedy zaproponowali mu, by się

przeniósł. Na pożegnanie ostrzegł Todda: – On stuka w tę cholerną maszynę dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Za tamto pierwsze wypracowanie dostali najwyższe noty w klasie.

– Kretyn nie ośmielił się postawić mi szóstki – zauważył Roark kwaśno. Na okładce jego niebieskiego zeszytu widniała wielka piątka z plusem.

– Przynajmniej masz plusa – mruknął Todd, oceniony na piątkę.

– Ty też byś miał, gdybyś się nie zaczął wymądrzać już od pierwszego dnia. Wkurzyłeś go, bracie.

– Pieprzyć go. Kiedy ja napiszę Wielką Powieść Amerykańską, on nadal będzie straszyć pierwszoroczników.

– Nie licz na to – odparł Roark ze śmiertelnie poważną miną. Potem błysnął szerokim białym uśmiechem. – Bo to ja napiszę Wielką Powieść Amerykańską!

Miłość do książek i potrzeba pisania stały się fundamentem, na jakim zbudowali swoją przyjaźń. Minęło parę lat, zanim te fundamenty zaczęły pękać. A zanim to odkryli, szkody stały się już zbyt wielkie i nie można było odwrócić procesu zniszczenia.

Byli dobrymi studentami, mieli przyzwoite wyniki z najważniejszych przedmiotów, ale celowali w językach. Na drugim semestrze wstąpili do tego samego bractwa. Byli zapalonymi sportowcami, grali w drużynach piłki nożnej i koszykówki, czasami rywalizując ze sobą równie zapalczywie, jak z przeciwnikami.

Stali się popularni w całym miasteczku akademickim. Todda wybrano do rady studenckiej, Roark zorganizował zbiórkę produktów spożywczych dla schroniska dla bezdomnych. Obaj pisali czasem do gazetki studenckiej.

Kiedy na jej łamach ukazał się jeden z artykułów Roarka, do dumnego autora zgłosił się sam dziekan szkoły dziennikarskiej.

Bardzo skomplementował pracę Roarka i zaproponował mu przedstawienie zainteresowań z pisarstwa na dziennikarstwo.

Roark odmówił. Jego wyłączną miłością była literatura.

Nigdy nie wspomniał Toddowi o tej rozmowie, ale wraz z nim uczcił jego zwycięstwo, pierwsze miejsce w ogólnokrajowym konkursie literackim dla studentów. Praca Roarka nie dostała nawet wyróżnienia. Musiał ukryć zazdrość.

Razem bawili się i brali udział w życiu bractwa. Wypili morze piwa. Od czasu do czasu wypalali skręta, ale nie wpadli w nałóg i nigdy nie spróbowali twardych narkotyków. Opiekowali się sobą, kiedy budzili się z kacem, pożyczali sobie pieniądze,

gdy wpadli w tarapaty finansowe, a kiedy Roark nagle zaczął chrypieć, a temperatura podskoczyła mu do trzydziestu dziewięciu kresiek, Todd zaprowadził go do akademickiego szpitala.

Gdy Todd otrzymał wiadomość o nagłej śmierci ojca, Roark zawiózł go do domu przez dwie granice stanowe i został z nim na pogrzebie jako wsparcie duchowe.

Od czasu do czasu wybuchały między nimi kłótnie. Pewnego razu Roark pożyczył samochód Todda i wgniół mu tylny zderzak, wpadając przy parkowaniu na hydrant. Todd spytał parę razy, kiedy Roark zamierza to naprawić. Pytał tak często, że temat stał się drażliwy.

– Zejdiesz ze mnie wreszcie czy nie? – warczał Roark.

– Naprawisz mój samochód czy nie?

Na tym ich kłótnia się skończyła. Następnego dnia Roark zabrał samochód do warsztatu, a Todd nigdy więcej nie napomknął o tej sprawie.

Była też sprawa zaginionego Pata Conroya.

Roark pojechał do księgarni w Nashville i stał przez ponad dwie godziny w kolejce, by spotkać się z autorem i dostać autograf na stronie tytułowej Wielkiego Santiniego. Uwielbiał Conroya bardziej niż jakiegokolwiek innego współczesnego pisarza i niemal umarł ze wstydu, gdy Conroy życzył mu powodzenia z własną twórczością. Ta książka z autografem stała się jego najcenniejszym skarbem.

Todd pożyczył ją od niego. Twierdził, że kiedy ją przeczytał, odłożył na półkę Roarka. Ale książka się nie znalazła, choć Roark przetrząsnął pokój od góry do dołu.

Los książki pozostał tajemnicą. Wreszcie przestali się o nią kłócić, ale Roark nigdy więcej nie pożyczył Toddowi żadnej ze swoich książek, a Todd nigdy o to nie poprosił.

Obaj byli przystojni, każdy na swój sposób, więc nigdy nie brakowało im dziewczyn. Jeśli nie rozmawiali o książkach, istniała duża szansa, że tematem będą kobiety. Jeśli któremuś się poszczęściło i dziewczyna zgodziła się zostać na noc, drugi przenosił się do sąsiedniej kwatery.

Pewnego ranka, gdy młoda dama opuściła już pokój, Todd spojrzął na Roarka i spytał smętnie:

– Nie była aż tak fajna, nie?

Roark pokręcił głową.

– Wczoraj miałeś wzrok zmącony piwem.

Todd westchnął.

– W nocy wszystkie koty są czarne – powiedział z uśmiechem.

Rozmawiali o kobietach nieustannie i bezwstydnie, choć na rozmowach przeważnie się kończyło. Tylko Roark mógł się pochwalić czymś w rodzaju stałego związku – i to tylko jednego.

Poznał ją podczas akcji zbierania żywności. Zgłosiła się na ochotnika do pomocy. Miała piękny uśmiech i smukłe, muskularne ciało. Była inteligentna, pojętna i potrafiła dyskutować na każdy temat. Miała także poczucie humoru i śmiała się z jego żartów. Doskonale potrafiła słuchać, skupiała się na temacie, jeśli stawał się poważny. Nauczyła go grać Pateczki na pianinie, a on przekonał ją do przeczytania Gron gniewu.

Świetnie się całowała, ale na nic innego nie zdołał jej namówić. Była bardzo religijna, miała zasady i nie zamierzała ich łamać. Nie zrobiła tego w liceum z chłopakiem, z którym chodziła od dawna, i nie zamierzała tego robić, dopóki nie znajdzie człowieka, za którego mogłaby wyjść za mąż i razem się zestarzeć.

Roark był pełen podziwu, ale cholernie go to wkurzało.

Pewnego wieczoru zadzwoniła i powiedziała, że właśnie skończyła Steinbecka. Może się spotkają? Pojechał po nią, wybrali się na przejażdżkę, potem stanęli.

Dziewczyna powiedziała, że powieść się jej podobała. Podziękowała mu, że jej o niej powiedział. Tego wieczoru jej pocałunki były bardziej namiętne niż kiedykolwiek. Uniosła sweter. Przycisnęła jego dłonie do swoich nagich piersi. A jeśli te pieszczoty i jej reakcje nie były najbardziej satysfakcjonującym oświadczeniem seksualnym, dla niej z pewnością miały największe znaczenie. Poświęciła coś dla niego, a on był na tyle wrażliwy, że to dostrzegł.

Zaczął się zastanawiać, czy się w niej zakochał.

Tydzień później rzuciła go. Wyznała ze łzami w oczach, że znowu zaczęła chodzić ze swoim chłopakiem z liceum. Oszłomiła go i całkiem nieźle rozdrażniła.

– Mogę chociaż spytać, dlaczego?

– Będiesz kimś wielkim, Roark. Sławnym. Czuję to. A ja jestem zwyczajną dziewczyną z małego miasteczka. Będę uczyć przez parę lat w podstawówce, potem urodzę dzieci i zostanę przewodniczącą rady szkolnej.

– Nie ma w tym nic złego.

– Och, ja się nie usprawiedliwiam. Takie życie wybieram, takiego życia chcę. Ale to nie jest życie dla ciebie.

– Dlaczego musimy już teraz planować, co będziemy robić później? Dlaczego nie możemy się wstrzymać z tymi poważnymi decyzjami, a teraz po prostu być

razem, spędzać przyjemnie czas, poczekać i sprawdzić, co będzie dalej?

– Bo jeśli będę się dalej z tobą spotykać, pójdę z tobą do łóżka.

– To aż takie straszne?

– Wcale nie. Tylko... – Pocałowała go mocno, jej słodkie usta pulsowały powstrzymywaną namiętnością, którą nauczył się wyczuwać. – Chcę tego – szepnęła z wargami przy jego ustach. – Chcę tego, okropnie. Ale złożyłam ślub czystości. Nie wolno mi go złamać. Więc nie mogę się z tobą dalej spotykać.

Uznał to za kompletny absurd, ale ona nie dala się przekonać. Przez wiele tygodni chodził zły i rozdrażniony. Todd, wyczuwając koniec rozkwitającego romansu, obchodził go z daleka. Wreszcie miał dość.

– Ty, daj już sobie spokój, dobra? – powiedział i dodał, że w takim wypadku najlepiej jest potraktować klin klinem. Wywlóknął Roarka siłą z pokoju. Tego wieczoru upili się i poderwali panienki na noc.

Cudowne lekarstwo nie uleczyło Roarka, ale z czasem zaświtało mu zrozumienie, iż nie ma wyboru. Teraz doszedł do wniosku, że dziewczyna miała rację. Może nie z tą gwarancją wielkości. To się jeszcze zobaczy. Ale wszystko inne przewidziała z niezwykłą trafnością.

Pod koniec semestru przeniosta się do uniwersytetu bliżej rodzinnego miasteczka, gdzie studiował jej chłopak. Roark pożegnał się z nią i powiedział, że jej chłopak jest najszcześniejszym draniem na tej planecie. Zarumieniła się, podziękowała za komplement i powiedziała, że będzie szukać jego nazwiska w księgarniach.

– Kupię dziesięć egzemplarzy twojej książki i roześle je znajomym. Będę się chwalić, że kiedyś chodziłam z wielkim Roarkiem Slade'em.

I tak wyglądał jedyny poważniejszy związek, jaki mu się przytrafił. Todd nie przeżył nawet tego. Mimo to nie przestawali myśleć o kobietach, a tamtego deszczowego sobotniego wieczoru to właśnie dziewczyna położyła kres ich rozważaniom o przerażającej, demoralizującej krytyce profesora Hadleya.

Dwie studentki miały na tyle odwagi – lub bezczelności – że wtargnęły na teren zdominowanej przez mężczyzn knajpy T. R. Stało się to dokładnie w chwili, gdy Roark radził Toddowi, by nie przejmował się uwagami Hadleya.

– To tylko jego opinia.

Todd, siedzący twarzą do drzwi, w mgnieniu oka zapomniał, o czym rozmawiają.

– A moja opinia jest taka, że to cholernie fajna laska.

Roark obejrzał się przez ramię na dwie dziewczyny.

– Która?

– *Niebieski sweterek. Z tic tacami.* – Było to określenie na wyraźnie widoczne sutki.

– *Jest w porządku* – zgodził się Roark.

Todd uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała uśmiechem.

– *Cześć, Christie* – odezwał się Roark.

– *A, Roark! Cześć!* – Wymawiała każde słowo przeciągle, dodając mu nadprogramowych sylab. – *Co u ciebie?*

– *Świetnie. A u ciebie?*

– *Też świetnie.*

Roark odwrócił się z szerokim uśmiechem.

– *Ty draniu* – wymamrotał Todd zza szklanki piwa. – *Mogłem się domyślić.*

Roark tylko się uśmiechnął i pociągnął łyk piwa.

– *Fajna jest* – westchnął Todd. – *Nie pamiętam, żebyś z nią chodził.*

– *Nie chodziliśmy ze sobą.*

– *Przygodna znajomość?*

– *Mniej więcej.*

– *Akurat. Przespałeś się z nią.*

– *Ja...*

– *Tak czy nie?*

– *Może. Raz. Tak mi się zdaje. A może znamy się z jakiejś imprezy.*

Kilku innych gości zaczęło uczyć dziewczynę zasad gry w bilard. Wymagało to pochylenia się nad stołem, dzięki czemu Todd mógł obejrzeć Christie z perspektywy, która wydarła mu jęk z piersi.

– *Cholera.*

– *Tylko się nie śliń, dobra?* – upomniał go Roark. – *Wstydu mi narobisz.*

Wstał i podszedł do roześmianej grupki. Mężczyźni spojrzeli na niego z serdeczną niechęcią, kiedy wziął Christie za łokieć i zaprowadził ją do swojego stolika.

– *Christie, to jest Todd, mój współlokator. Todd, to Christie.*

Roark pokierował nią tak, że musiała usiąść naprzeciw Todda.

– *Cześć, Christie.*

– *Cześć.*

– *Masz ochotę na piwo?*

– *Pewnie.*

Todd dał znak T. R., by przyniósł następny dzbanek i trzecią szklankę.

– *A na pizzę?*

– *Nie, dziękuję.*

Dopiero gdy piwo zostało nalane, Roark zwrócił się do Christie:

– *Stuchaj, głupio mi, ale muszę już lecieć. Mogę cię zostawić w jego towarzystwie? Jest niegroźny.*

Jej wydęte usteczka mogłyby sprzedać milion szminek L'Oreala – głównie mężczyznom.

– *Jest sobota wieczór – jęknęła. – Gdzie się wybierasz?*

– *Czeka na mnie Gatsby, Daisy i reszta towarzystwa. Muszę do nich wracać. – Skinął głową w kierunku Todda. – Jeśli zaczniesz brykać, daj mi znać. Już ja mu dam nauczkę.*

Zerknęła zalotnie na Todda.

– *Chyba dam sobie z nim radę.*

– *Nie wątpię – zgodził się Todd, poruszając znacząco brwiami. – Kiedy tylko zechcesz, kochanie.*

Roark odszedł przy wtórze jej rozkosznego chichotu. Do pokoju wrócił dopiero po paru godzinach. Przez chwilę nastuchiwał pod drzwiami, wreszcie zapukał nieśmiało.

– *No?*

– *Mogę wejść?*

– *Aha.*

Todd leżał samotnie w wiszącym łóżku, ze zwieszoną gołą nogą. Wyglądał, jakby był kompletnie wyczerpany, ale zdołał wymamrotać:

- Dzięki, że dałeś mi wolną rękę. Gdzie się podziewałeś?

- W bibliotece.

- Co u Gatsby'ego?

Taki sam mięczak jak ty, staruszk. Kiedy rozstałeś się z Christie?

- Dziesięć minut temu. Masz idealne wycucie.

- Miło się dowiedzieć.

- Wiesz co? Chciała wiedzieć, czy to twoi przyjaciele.

- Kto?

- Dokładnie o to ją spytałem. A ona na to: ci, którzy na niego czekają.

- Żartujesz.

- Nie. W życiu nie słyszała o Gatsbym. Ale kogo to obchodzi? Pieprzy się, jakby była do tego stworzona.

Roark otworzył okno.

- Czuć tu seksem.

- A, zanim zapomnę, dzwonił nasz ulubiony profesor. Zostawił ci wiadomość.

- Hadley?

- Powiedział, że o ósmej jest zajęty, więc przełożył spotkanie na dziewiątą rano we wtorek.

- Świetnie. Nie będę się musiał zrywać.

Todd ziewnął i odwrócił się do ściany.

- Jeszcze raz dzięki za Christie. Zawsze to jakaś odmiana. Dobranoc.

Rozdział piąty

Po zebraniu, na którym musiała pojawić się z Noahem, Maris wróciła samotnie do domu.

Kiedy wyjmowała listy ze skrzynki, była o krok od spytania dozorca, czy nie zauważył, o której Noah wrócił rano do domu. Nie zrobiła tego tylko dlatego, że nie potrafiła zadać pytania w taki sposób, by nie upokorzyć siebie i jego. Głównie siebie.

Zamówiła tajskie danie na wynos. Jedząc, przejrzała poprawiony tekst książki, zaaprobowała go i skierowała do druku. Po raz ostatni zajrzała do terminarza, by się upewnić, że ani ona, ani jej asystentka nie zapomniały przełożyć żadnego spotkania. Zarezerwowała sobie resztę tygodnia na podróż do Georgii, co mogło być zbyt optymistycznym krokiem, zważywszy na fakt, że autor jeszcze nie miał pojęcia o jej wizycie.

Niech to, wołała go przeprosić, niż błagać o zezwolenie. Musiała być asertywna. Przy takim człowieku musi działać przebojowo, walecznie. Nieśmiałością nic przy nim nie osiągnie. Konieczność przeorganizowania licznych spotkań umocniła jej postanowienie: teraz czuła, że musi pojechać i sprawdzić, czy warto w niego inwestować.

Obowiązek powiadomienia go o przyjeździe odkładała na ostatnią chwilę jak nieprzyjemne zadanie, od którego nie można się wykręcić. Wreszcie wybrała numer, który tego ranka wyświetlił się na jej telefonie. Wysłuchiwała czterech sygnałów, zanim ktoś podniósł słuchawkę.

– Tak?

– Tu Maris Matherly-Reed.

– Jezus.

– Nie, Maris Matherly-Reed.

Nie odpowiedział, nie usłyszała nawet gniewnego: „O co chodzi?”, choć jego wrogość dawała się odczuć nawet przez telefon.

– Myślałam... – Urwała. Zły ruch. Nie popuszczaj, Maris, przyduś drania. – Przyjeżdżam na Wyspę Świętej Anny, żeby z panem porozmawiać – oświadczyła.

– Słucham?

– Mówię po angielsku, prawda? Którego słowa pan nie zrozumiał?

Po chwili w słuchawce rozległ się chrapliwy dźwięk, może nawet śmiech.

– To już dwa. Dobra passa.

– Staram się.

– Więc przyjeżdża pani na Świętą Annę.

– Tak.

– Muszę panią ostrzec, tu jest inaczej, niż się pani spodziewa. Ludzie pani gatunku...

– Gatunku?

– ...zwykle spędzają wakacje na bardziej nowoczesnych wyspach. Hilton Head, St. Simons, Amelia.

– Nie przyjeżdżam na wakacje.

– Nie?

– Chcę z panem porozmawiać.

– Już sobie porozmawialiśmy.

– Ale nie osobiście.

– O czym chce pani porozmawiać? O florze i faunie wysp Georgii?

– O pańskiej książce.

– Chyba powiedziałem, że nie jest na sprzedaż.

– Powiedział pan także, że ta książka nie istnieje. Więc jak jest naprawdę? – Przyłapała go. Jego milczenie zdradziło, że o tym wiedział. – Przyjeżdżam jutro wieczorem.

– Pani pieniądze.

– Czy może mi pan polecić... – Mówiła do martwej ciszy. Odłożył słuchawkę. Przekornie zadzwoniła jeszcze raz.

– No?

– Pytałam, czy może mi pan polecić jakiś hotel w Savannah?

Znowu odłożył słuchawkę. Tym razem parsknęła śmiechem.

Jak powiedział ojciec, jego protesty były zbyt żywiołowe i głośne. Pan P. M. E. nie miał bladego pojęcia, że im bardziej się stawia, tym bardziej ją prowokuje.

Właśnie wyjęła spod łóżka walizkę, żeby się spakować, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Pomyślała, że to pewnie autor. Obmyślił sobie zapewne parę ważnych powodów, dla których jej przyjazd uznał za przedwczesny, jeśli nie niemożliwy. Przygotowała się więc na następną potyczkę i podniosła słuchawkę z radosnym „halo”. Jednak ku swemu zaskoczeniu usłyszała męski głos z rozwlekłym

brooklińskim akcentem. Nieznajomy chciał rozmawiać z Noahem.

– Przykro mi, tu go nie ma.

– Noooo, to gdzie mam zostawić klucz?

– Klucz?

– Nie dzwoniemy do klientów po godzinach, no nie? Tylko ten pan Reed zapłacił dwadzieścia dolców ekstra, żeby się wyrobić na dzisiaj. Pani jest jego żoną, czy tam co?

– Na pewno dodzwonił się pan pod właściwy numer?

– To ten od książek, czy tam co?

– Tak, to mój mąż.

– No to właśnie dał mi ten adres w Chelsea i...

– Jaki adres?

Podał jej numer na Zachodniej Dwudziestej Drugiej.

– Mieszkanie trzy B. Przydusił mnie, żebym wczoraj zmienił zamek, że to niby wstawił tam jakieś nowe rzeczy i nie chce, żeby coś tam tego, nie? Ale wczoraj mu nie dałem zapasowego klucza, a on powiedział, że musi mieć co najmniej dwa. No to mu powiedziałem, że będzie miał dzisiaj. I siedzę tutaj z kluczem jak idiota, cięć wyszedł na cały wieczór, na drzwiach wisi kartka, że mam dzwonić, ale na cholere mi ten telefon? Nie zostawię klucza do mieszkania pana Reeda u sąsiadów. Z ludźmi to nigdy nie wiadomo, nie?

– O jakie rzeczy chodzi?

– Co?

– Powiedział pan, że do mieszkania wstawiono nowe rzeczy.

– No, rzeczy. Meble. Wie pani, takie jak bogaci goście wstawiają se do domów. Dywany, obrazy, inne pierdoły. Mnie tam na to nie stać. Nieważne, chodzi o to, że chcę się zwijać do domu. bo Metsi grają mecz. Tylko że nie chcę obrazić pana Reeda. Dał mi te dwadzieścia...

– Tak, dolarów. Już pan mówił. Dam panu drugie dwadzieścia, jeśli pan na mnie poczeka. Będę za kwadrans.

Niemal popędziła na stację metra na rogu Siedemdziesiątej Drugiej i Broadwayu. Taksówką jechałaby zbyt długo. Chciała jak najszybciej zobaczyć na własne oczy te ładne meble, które Noah wstawił do kompletnie nieznanego jej mieszkania w Chelsea. Chciała jak najszybciej dowiedzieć się, do czego go potrzebował. I chciała się dowiedzieć, dla kogo dorobił zapasowy klucz.

Witrażowe drzwi wejściowe były otwarte. Ślusarz czekał na nią w holu. Materiał kombinezonu khaki napinał się do granic pęknięcia na brzuchu, sterczącym przed nim na jakieś pół metra.

– Kto pana wpuścił? – spytała, przedstawivszy się.

– Jestem ślusarzem czy nie jestem? – odparł z parsknięciem. – Tylko że było otwarte, nie. Na dworze za gorąco, pływałem w pocie.

Tu klimatyzacja ochłodziła jej rozpaloną skórę – pocila się, co przypisała podróży z innymi spoconymi pasażerami w metrze. Jego stacje były znane z tego, że w zimie hulał po nich lodowaty wichur, a w lecie brakowało powietrza. Ale musiała przyznać, że denerwuje się tym, co mogła znaleźć na drugim piętrze w mieszkaniu B.

– No to jak, załatwiamy sprawę czy nie?

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc. Potem przypomniała sobie, że obiecała mu dwadzieścia dolarów. Dała mu i poprosiła o klucz.

– Najpierw muszę sprawdzić – odparł. – To nie takie łatwe, jak ludzie myślą, dorabiać klucze. Nigdy nie zostawiam klienta, dopóki nie sprawdzę, czy wszystko gra.

– Dobrze.

– Nie ma windy. Trzeba iść.

Gestem poprosiła go, żeby ruszył pierwszy.

– A nie mógł pan wejść do mieszkania, wypróbować klucz i wyjść? Drzwi by się chyba za panem zatrzasnęły?

– Ale zasuwą by się sama nie zasunęła, nie? Poza tym tylko tego mi potrzeba – rzucił przez ramię, gdy dotarli na podest pierwszego piętra. – Niech tylko coś zginie, od razu na mnie pierwszego padnie.

– Wątpię.

– Nie będę ryzykować, kiedy właściciela nie ma w mieszkaniu. Mowy nie ma.

Na drugim piętrze ślusarz zaczął sapać jak lokomotywa. Wyjął zapasowy klucz i włożył do zamka.

– W porządku – oznajmił i otworzył drzwi. Cofnął się na bok i zaprosił Maris gestem do środka. – Kontakt jest po prawej.

Znalazła go, zapaliła światło.

– Niespodzianka!

Okrzyk wydobył się z gardeł pięćdziesięciu osób, jej znajomych. Maris otworzyła szeroko usta, przycisnęła rękę do serca, które niemal przestało bić.

Wszyscy roześmieli się z jej ogłupiałej miny.

Noah oderwał się od grupki gości i podszedł do niej, uśmiechnięty od ucha do ucha. Uścisnął ją mocno, pocałował głośno w usta.

– Wszystkiego najlepszego, kochanie.

– A... ale nasza rocznica jest dopiero...

– Wiem, kiedy. Zawsze potrafiłaś rozszyfrować moje wysiłki, w tym roku postanowiłem cię naprawdę zaskoczyć. Sądząc z twojej miny, doskonale mi się udało. – Spojrzał na ślusarza. – Był pan wspomniały.

Jak się okazało, był to aktor zaangażowany do odegrania tej roli.

– Miał mnie pan przekonać, że mąż mnie zdradza? – domyśliła się Maris.

– Wszystkiego najlepszego, pani Reed – odparł z akcentem godnym angielskiej królowej. Jak się później dowiedziała, jego najbardziej udaną rolą był Falstaff. Teraz ujął jej dłoń i ucałował. – Miłego wieczoru.

– Proszę nie odchodzić! Niech pan z nami zostanie – zawołała spontanicznie, a on zgodził się przyjąć zaproszenie.

– Nie gniewasz się, prawda? – spytała Noaha. kiedy aktor znalazł się już w gronie pozostałych gości.

– Jeśli ci to sprawi radość, kochanie...

– Czyje to mieszkanie?

– Ta część scenariusza była prawdziwa. Moje.

– Naprawdę?

– A myślałaś, że czyje?

– No...

– Muszę ci nalać szampana.

– Ale...

– Wszystko wyjaśnię później. Obiecuję.

Dopilnował, żeby dostała kieliszek bąbelków, i zaprowadził ją do gości, pomiędzy którymi znajdował się niemal cały zespół wydawniczy Matherly Press. Wiele osób wyznało, że zachowanie tajemnicy przyszło im z największym trudem. Jedna przyznała się, że omal nie spytała jej dzisiaj, co zamierza włożyć.

– Noah chyba by mnie zabił, gdybym mu zepsuła niespodziankę.

– I widzisz, jak mnie załatwiłaś? – Maris jęknęła. – Pomięty kostium i

błyszcząca twarz. Nie wiedziałam, że idę na przyjęcie.

– Mogłabym zamordować, żeby wyglądać tak jak ty.

W gronie gości znalazło się paru miejscowych pisarzy, i którymi Maris niegdyś pracowała, a także przyjaciele, działający zawodowo w zupełnie innych rejonach – na przykład lekarka anestezjolog oraz jej mąż, wykładający chemię na uniwersytecie, broker giełdowy oraz producent filmowy, który wyprodukował film na podstawie wydanej przez Maris książki.

Wreszcie tłum się rozstał, ukazując Daniela, siedzącego na fotelu, z dłonią opartą na grawerowanej srebrnej gałce laski. W drugiej ręce trzymał kieliszek szampana, który unosił w toaście.

– Tato!

– Najlepsze życzenia... parę tygodni przed terminem.

– Wiedziałaś o wszystkim? Nie wierzę! – Pochyliła się i pocałowała go w zaróżowiony od szampana policzek. – Nie pisałaś ani słowem.

– A nie było to łatwe, jeśli pamiętasz temat naszej rozmowy. – Jego znaczące spojrzenie przypomniało jej, że tematem tym były małżeńskie kłopoty.

Poczuła, że policzki palą ją ze wstydu.

– To wyjaśnia, dlaczego Noah był ostatnio taki zapracowany. Czuję się jak idiotka.

– Przestań – rozkazał Daniel, marszcząc surowo brwi. – Tylko głupiec lekceważy znaki ostrzegawcze.

Jeszcze raz musnęła jego policzek pocałunkiem. Potem znów zajęła się gośćmi. Noah spisał się wspaniale: nie tylko udało mu się ją zaskoczyć, ale zorganizował cudowne przyjęcie. Szef jej ulubionej restauracji przygotował najlepsze dania i czuwał w pobliżu nad ich odpowiednim podaniem. Szampan lał się strumieniami. Muzyka stawała się coraz głośniejsza, a choć był to zwykły dzień w środku tygodnia, goście zostali do późna. Jednak w końcu zaczęli się żegnać.

Daniel odszedł ostatni.

– Podeszły wiek ma swoje plusy – powiedział w drzwiach. – Nie ma ich wiele, ale parę się znajdzie. Jednym z nich jest to, że można się upić w środku tygodnia, a następnego dnia spać do późna, ponieważ nic cię nie goni.

Maris uścisnęła go z całego serca.

– Kocham cię, tato. I codziennie dowiaduję się o tobie czegoś nowego.

– Na przykład?

- Źe cholernie dobrze dochowujesz tajemnicy.
- Wyrażaj się, moja panno, bo Maxine wyszoruje ci buzię mydłem.
- To by nie było po raz pierwszy – odparła ze śmiechem. Uścisnęła go jeszcze raz i spytała, czy zdoła sam zejść po schodach.
- Wszedłem o własnych siłach, prawda? – odparł z rozdrażnieniem.
- Przepraszam. – Ale dała znak Noahowi, by odprowadził Daniela. – Czy samochód już czeka?
- Tuż przy wejściu – zapewnił ją Noah. – Już sprawdziłem.
- Dobrze. Tato, pamiętaj, zabieram do Georgii komórkę. Powiedziałam Maxine, żeby dzwoniła...
- I będzie dzwonić, stara plotkara. Zabierz mnie stąd, Noah, bardzo proszę, zanim Maris dojdzie do wniosku, że dojrzałem do pampersów.

Noah poszedł razem z nim ku schodom.

- Zaraz wracam, kochanie! – zawołał do niej. – Jeszcze nie dałem ci prezentu!
- Będzie jakiś prezent?
- Poczekaj! Tylko nie bądź wścibska!

Teraz, gdy w mieszkaniu nie było już gości, mogła mu się przyjrzeć po raz pierwszy. Wysokie okna w salonie wychodziły na ogródek założony na dachu sąsiedniego budynku. „Rzeczy” były ładne, ale nie tak drogie, jak sugerował ślusarz. Na ścianach wisiały obrazy, w kąciku z sofą i fotelami leżał dywan, ale meble były przede wszystkim funkcjonalne i wygodne, nie eleganckie.

Mała kuchenka była ciasna nawet jak na Nowy Jork. Zamknięte drzwi prowadziły z pewnością do sypialni. Ruszyła ku nim, kiedy jakieś ręce objęły ją w talii.

- Chyba mówiłem, żebyś nie była wścibska – odezwał się Noah, muskając wargami jej ucho.
- Nie wiedziałam, że jestem. Kiedy mi powiesz, po co kupiłeś to mieszkanie?
- W odpowiednim czasie. Bądź cierpliwa.
- Czy mój prezent jest za drzwiami z numerem jeden?
- Sprawdźmy. – Zaprowadził ją do drzwi. – Możesz je już otworzyć.

Pokój był mały, ale dzięki sporemu oknu wyglądał na przestronniejszy. Jego umeblowanie stanowiło biurko, skórzany obrotowy fotel i półki, tylko częściowo zapełnione książkami. Był tu też telefon, komputer, drukarka i faks. Na biurku leżał

żółty notes, obok niego stał metalowy kubek z zastrzonymi ołówkami.

Maris przyjrzała się wszystkiemu bardzo uważnie. Odwróciła się i spojrzała na męża.

Położył jej ręce na ramionach, rozmasował je.

– Wiem, że martwiłaś się, co robię w czasie, gdy nie ma mnie w domu ani w pracy.

– Przyznaję się do winy.

– Przepraszam, że przysporzyłem ci zmartwień. Chciałem umeblować to mieszkanie, zanim ci je pokażę. A to zabrało mi parę tygodni. Miesiące, jeśli doliczyć czas, który poświęciłem na szukanie odpowiedniego miejsca.

– Odpowiedniego do czego?

– Z pewnością nie do zdradzania ciebie, o co mnie podejrzewałaś.

Spuściła oczy.

– I znowu przyznaję się do winy.

– Z Nadią.

– Otwierała listę podejrzanych.

– Maris – szepnął karcąco.

Odrzuciła głowę do tyłu, potrząsnęła włosami, jakby uwolniła się od ciężaru.

– Boże, tak się cieszę, że to nie to.

– Czujesz się lepiej?

– Bez dwóch zdań. Ale skoro nie kupiłeś tego mieszkania na gniazdko miłosne, to po co ci ono?

Spuścił głowę – chyba zawstydzony.

– Do pisania.

– Do pisania – powtórzyła bez tchu.

– To jest mój prezent dla ciebie. Znowu zacząłem pisać.

Przez kilka chwil była zbył oszołomiona, żeby się odezwać.

Potem rzuciła się na niego.

– Noah! To cudownie! Kiedy? Dlaczego... Zawsze się tak broniłeś, kiedy o tym wspominałam. Och, jak się cieszę! Jak się cieszę!

Obsypała jego twarz deszczem pocałunków. Roześmiał się, wyrozumiale przeczekał wybuch jej entuzjazmu. Wreszcie odsunął ją od siebie, przytrzymał na długość ramienia.

– Tylko nie daj się ponieść. Najprawdopodobniej będzie to sromotna klęska.

– Nieprawda – zaprotestowała z niezłomnym przekonaniem. – Ani przez chwilę nie wierzyłam, że będziesz autorem jednej książki, choć ty się tego bałeś. Autor *Zwyciężonego*...

– Którego napisałem wiele lat temu, kiedy byłem pełnym pasji młodzieńcem...

– Pasji i talentu – podkreśliła. – Talent taki jak twój nie może się wyczerpać po jednej książce. Nie może tak po prostu zniknąć. Przeciwnie, dojrzewa z wiekiem i doświadczeniem.

– Zobaczymy. – Zerknął z powątpiewaniem na komputer. – W każdym razie zamierzam przetestować tę twoją teorię. Warto.

– Nie robisz tego tylko dla mnie, prawda?

– Nie mógłbym. Pisanie to cholernie ciężka praca. Na granicy masochizmu. Jeśli nie ma się do tego serca, jest się skazanym na klęskę jeszcze przed rozpoczęciem. – Przesunął kostkami palców po jej szczęce. – To coś, co pragnę robić. I to bardzo. A jeśli sprawię ci radość, tym lepiej.

– Sprawiasz mi wielką radość. Największą! – Uścisnęła go mocno, ucałowała z żarem, jakiego nie czuła już od dawna.

Noah zdjął marynarkę. Serce zabiło jej mocniej. To mieszkanie było nowe, nieznane. Seks miałby nieco zakazany posmak, gdyby zaczęli się kochać tu, na tej sofie, na tym dywanie. Na biurku, a co. Dlaczego nie? Byli dorośli.

Przesunęła dłońmi po jego piersi, zaczęła rozsupływać węzeł krawata. Ale on odsunął ją. usiadł przy komputerze, włączył go.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę.

– Teraz?

Obrócił się ku niej z uśmiechem zakłopotania.

– Pozwolisz? Urządzałem sobie to podwórko przez wiele tygodni, ale nie miałem czasu, żeby się tu pobawić. Dziś po południu ledwie zdążyłem z ostatnimi przygotowaniami: potem zadzwonił szef kuchni z kelnerami. Chciałbym zainstalować program i może napisać parę słów. Chodzi mi po głowie pewien pomysł. Boję się, że jeśli go nie zapiszę, przepadnie. Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli przez chwilę popracuję?

Uśmiechnęła się mężnie.

– Nie. Oczywiście, że nie. Wcale.

A więc ten wieczór nie będzie miał romantycznego zakończenia. Jaka szkoda. Ale właściwie nie miała prawa narzekać. Przecież właśnie tego pragnęła. Do tego namawiała go od lat.

– Pożegnaj się i zostawij cię z pracą.

– Nie, nie musisz. Jeśli chcesz, zostań.

Pokręciła głową.

– Nie chcę ci przeszkadzać. Poza tym muszę wracać i spakować się przed podróżą.

Wziął jej dłoń, pocałował ją.

– Nie gniewasz się?

– Nie bądź niemądry. Jak mogłabym się gniewać? – Oparła się o jego fotel, pochyliła ku niemu. – To było piękne przyjęcie. Dziękuję ci za wszystko, ale szczególnie za to. Nie mogę się doczekać, kiedy przeczytam twoją następną powieść. Zobacz, co się stało, kiedy przeczytałam pierwszą.

Pocałowali się, jego dłoń ześliznęła się po jej biodrze na udo. Cofnęła się, ale on nie przestał gładzić jej nogi.

– Właściwie, po namyśle... Może zacznę jutro.

Wskazała palcem ekran komputera.

– Pisać!

Kwadrans później, Noah wszedł do innego mieszkania. Znajdowało się o dwie ulice dalej – dokładnie siedemdziesiąt siedem kroków – od tego, w którym urządził gabinet do pracy i z którego nie zamierzał korzystać. Rzucił klucz na konsolkę w niewielkim korytarzu, wszedł do salonu i zatrzymał się w progu.

– Zaczęłam bez ciebie – powiedziała Nadia.

– Widzę.

Leżała na sofie, z jedną stopą na podłodze, zupełnie naga pod rozchyłonym kobaltowym jedwabnym szlafrocikiem. Miała przymknięte oczy. Jej ręka poruszała się rytmicznie między nogami.

– Dochodzę. Lepiej się pospiesz, jeśli się chcesz załapać.

Podszedł bliżej, pochylił się, ujął w palce jej sztywny sutek.

To wystarczyło. Z uśmiechem przyglądał się, jak jej wygięte w łuk ciało wyciska z orgazmu każdą kroplę rozkoszy, a potem opada bezwolnie na poduszki sofy.

– Jesteś bezwstydna.

– Wiem. – Uniosła ręce nad głowę, przeciągnęła się. – To rozkoszne, prawda?

Zaczął się rozbierać.

– To przyjęcie to był przebłysk absolutnego geniuszu. Maris jest kompletnie rozbrojona.

– Ooo... opowiedz wszystko.

– Wyznała, że potajemnie podejrzewała mnie o romans.

– A któż, jeśli wolno spytać, miał być twoją wybranką?

Rzucił jej spojrzenie, na którego widok wydała pomruk złośliwej satysfakcji.

– Teraz, gdy moja żona ujrzała na własne oczy miejsce, którym będę tworzyć – co nią wręcz wstrząsnęło – mogę z niego korzystać o każdej porze dnia i nocy.

– W tym celu?

– Zdecydowanie. I w innych, które nas interesują.

– Ale Maris to tylko połowa problemu. Co z Danielem?

– To stary człowiek. Zdziecinniały.

– Nigdy nie sprzeda Matherly Press.

Noah wyciągnął pasek ze spodni i lekko uderzył nim jej udo.

– Nie martw się. moja droga. Sprzedam Matherly Press, zanim któreś z nich się zorientuje, co jest grane. Maris myśli tylko o nowym pisarzu, którego odnalazła w śmieciach. To odwróci jej uwagę. Daniel już właściwie odszedł na emeryturę, a sprawy wydawnictwa zostawił w moich rękach. O sprzedaży dowiedzą się z gazet, a wtedy będzie za późno. Obejmę posiadłość Daniela i wszystkie łączące się z nią plusy, będę też miał dziesięć tysięcy udziałów w WorldView oraz okrągły milion na koncie.

– A oni będą mieć siebie i nic więcej.

– Tak sądzę. Mało mnie to obchodzi.

Zrzucił spodnie i bieliznę. Nadia przyjrzała się z aprobatą jego wzniesionemu penisowi.

– Zawdzięczam to Maris? Przypomnij mi, żebym jej podziękowała.

– Nie masz jej za co dziękować.

– Nie dała ci?

– Dziś rano.

– Myślałam, że dziś mieliście świętować rocznicę.

– Maris ma swoje sposoby świętowania, a ja swoje.

Roześmiała się, objęła jego penis, pogładziła go.

– Kiedyś musisz mi o tym opowiedzieć.

– Nie ma o czym mówić.

Powiodła kciukiem po gładkiej główce.

– Panna Maris nie pieprzy się ostro?

– Panna Maris nie pieprzy się w ogóle. – Ukląkł między jej udami, rozchylił je szerzej. – Ona się kocha.

– Jakie to słodkie.

– Właśnie to mi się w tobie podoba.

– Podoba ci się wiele rzeczy. Konkretniej proszę.

Wbił się w nią brutalnie.

– Ty nigdy nie jesteś słodka.

Rozdział szósty

Drogi na Wyspie Świętej Anny były z jednej strony ogrodzone ścianą lasu, gęściejszego i ciemniejszego niż te, które Maris знаła z Bershires, gęściejszego i ciemniejszego niż jakiegokolwiek znane jej lasy. Był gęsty i ciemny jak groźne bory i bajek braci Grimm.

Poszycie było zbite, splątane, drzewa niczym wieże wznosiły się nad nim, rzucając nieprzenikniony cień. Od czasu do czasu gwałtowny szelest listowia sygnalizował pojawienie się jakiegoś zwierzęcia niewiadomego gatunku i stopnia drapieżności. Maris, bojąc się tego, co mogłaby zobaczyć, gdyby się zanadto przyglądała, czuła się znacznie lepiej, gdy patrzyła prosto przed siebie.

Przybyła na miejsce później, niż się spodziewała. W Atlancie panowała burzowa pogoda, co spowodowało trzygodzinne opóźnienie lotu. Zanim dotarła do hotelu i poczyniła odpowiednie Przygotowania w sprawie podróży na wyspę, słońce zaczęło już zachodzić. Wyspa leżąca na morzu byłaby dla niej obcym terenem nawet w pełnym słońcu; zapadające ciemności jeszcze bardziej podkreślały jej osobliwość, potęgowały poczucie zagrożenia. A to wydało się jej złym znakiem.

Sunąc powoli w wózku do golfa, czuła się kompletnie bezbronna. Groźny las onieśmiał ją, tak samo nieprzyjazny jak mężczyzna z przystani, od którego wypożyczyła wózek.

Na jej pytanie o dojazd do domu pisarza odpowiedział pytaniem:

– Czego pani od niego chce?

– Zna go pan?

– No.

– Wie pan, gdzie mieszka?

– Pewnie.

– Czy może mi pan powiedzieć, jak do niego trafić? Jesteśmy umówieni.

Zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Tak?

Rozłożyła niedokładną mapę wyspy, prezent od pilota łodzi, którą wynajęła, żeby się tu dostać.

– Jestem tutaj, prawda? – Wskazała przystań, w której łódź zatrzymała się tylko na chwilę, po czym natychmiast odpłynęła. – Która, drogą mam pojechać?

– Jest tylko jedna, nie?

– Tak, widzę – powiedziała z wymuszoną cierpliwością. – Ale na mapie widać, że droga rozchodzi się na trzy strony. Tutaj. – Wskazała odpowiednie miejsce.

– Pani nie jest stąd, nie? Może z Północy?

– Co to za różnica?

Parsknął pogardliwie, splunął prymką na ziemię, po czym wskazał brudnym, wyszczerbionym paznokciem miejsce, w którym powinna skręcić.

– Trzeba przejechać, mmm, tak z pół kilometra za rozstajami. I skręcić w lewo, i już się jest na miejscu. Jak się pokaże Atlantyck, to znaczy, że pojechała pani za daleko. – Odsłonił w uśmiechu duże szczyrby, luki po zębach.

Podziękowała mu chłodno i ruszyła w ostatni etap swojej podróży. „Centrum handlowe” na przystani ograniczało się do dwóch instytucji: wypożyczalni pojazdów oraz „Baru i grilla u Terry'ego”. Przynajmniej taka nazwa widniała na ręcznie malowanym szyldzie, przybitym nad drzwiami z siatki.

Bar Terry'ego był okrągły, z dachem z blachy falistej. Na wysokości dwóch trzecich ściany znajdowały się okna osłonięte moskitierą, ale wewnątrz było tak kiepsko oświetlone, że widziała tylko mrugające neony na ścianach i lampy zwisające z sufitu. takie jakie zwykle widuje się nad stołami bilardowymi. Na parkingu stało parę samochodów, przeważnie furgonetek. Przez okna osłonięte siatką buchała muzyka z radia.

Na ganku jakiś mężczyzna, przypuszczalnie Terry, piekł mięso na sporym grillu, pociągając piwo z butelki z długą szyjką. Minęła go, czując na plecach jego spojrzenie, wypalające jej na skórze dwie dziury. Wreszcie skręciła i uwolniła się od przykrego wrażenia.

Miała całą drogę dla siebie. Nie mijaly jej żadne samochody, żadne furgonetki. Wyglądało to tak, jakby przystań była ostatnim przyczółkiem cywilizacji. Po tej dręczącej podróży – przymiotnik „dręcząca” był tu jak najbardziej na miejscu – świadomość, że zostanie miło przyjęta, byłaby dla niej prawdziwym ukojeniem. Niestety, nie miała złudzeń co do tego, jak będzie wyglądało powitanie.

Wreszcie przez silny zapach igliwia przebiła się woń słonego powietrza. Maris wywnioskowała, że plaża musi się znajdować bardzo blisko; zaczęła wypatrywać zjazdu, ale kiedy wreszcie się pojawił, przejechała go. Droga była nieoznaczona, tak wąska i dobrze ukryta w zaroślach, że gdyby jej nie wypatrywała, z pewnością by jej w ogóle nie zauważyła.

Zawróciła i skręciła w dróżkę. Była bardziej wyboista niż główna droga. Wózek zaczął podskakiwać na wykrotach. Konary drzew tworzyły zbite sklepienie. Las stał się cichszy, bardziej przerażający.

Maris zaczęła sobie uświadamiać, iż odważyła się na zbyt wiele. Powinna zachować rozsądek i wrócić do bezpiecznego hotelu w wytwornym i gościnnym Savannah. Tam może liczyć na posiłek przysłany do pokoju, kąpiel w pianie, kieliszek wina z barku. Pokrzepiona na ciele i duchu zadzwoni do autora i przekona go, by się spotkali na neutralnym gruncie.

Wtedy między drzewami dostrzegła dom i natychmiast znalazła się pod jego urokiem.

Był piękny. Uwodzicielsko piękny. Piękny w sposób, który wyzwala! smutek. Jak twarz niegdyś olśniewającej, teraz postarzałej gwiazdy filmowej. Jak stara suknia ślubna o pożółkłych, zetlałych koronkach. Jak gardenia, której śmietankowe płatki skaziły brązowe plamy. Ten dom emanował dawną, teraz utraconą świetnością.

Ale mimo oczywistych niedostatków, litościwie ukrytych w gęstniejącym mroku, był nadal piękny jak akwarela namalowana na podstawie blednących, lecz czułych wspomnień.

Wysiadła z wózka i ruszyła ścieżką obsadzoną podwójnym rzędem efektownych, porośniętych zwisającym mchem dębów. Weszła po schodkach, starając się nie robić hałasu. Na werandzie naszła ją dziwna myśl, że powinna zacząć się skradać na palcach jak Jem Finch z *Zabić drozda*, który wiedział, że jest tu intruzem, że to nie miejsce dla niego, nie jest tu mile widziany.

Ale wciągnęła głęboki haust powietrza, podeszła dzielnie do drzwi i sięgnęła po mosiężną kołatkę.

– Maris Matherly-Reed?

Podskoczyła ze strachu. Kołatka opadła z głośnym brzękiem na metalową płytkę na drzwiach. Odwróciła się w stronę, z której dochodził głos, spojrzała na długą werandę. Z jednego z wysokich okien spoglądała na nią czyjaś twarz.

– Ach – powiedział mężczyzna. – Więc naprawdę pani przyjechała.

– Dzień dobry.

Patrzył na nią w milczeniu przez moskitierę w oknie. Czuła, że znalazła się w nieco niezręcznej sytuacji. On widział ją lepiej niż ona jego. Ale nie zdradziła swojego zdenerwowania. Nie po to przebyła taki kawał drogi.

Wreszcie mężczyzna znowu się odezwał.

– Proszę wejść.

Nacisnęła klamkę lśniącą czarnych drzwi frontowych i weszła do obszernego holu. Mężczyzna wyłonił się z jednego z przylegających do niego pokojów, wycierając ręce w poplamioną szmatę. Był ubrany w szorty khaki i zwykłą roboczą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci, wyciągniętą i równie poplamioną jak szmata, którą trzymał. Na nogach miał jakieś starożytne trampki.

Spojrzał ponad jej ramieniem.

– Jest pani sama?

– Tak.

– Komary lecą do domu.

– Och... Przepraszam. – Odwróciła się i zamknęła drzwi.

– Tym razem bez zastępcy szeryfa?

W jego głosie brzmiała nutka dezaprobaty. Poczowała, że pora się wytłumaczyć.

– Zadzwoiłam do biura szeryfa z czystej rozpaczy. Spytałam zastępcę szeryfa, czy nie zna kogoś, kto mógłby się podpisywać inicjałami P. M. E. Nie miałam pojęcia, że to rozpęta taką aferę. Przepraszam za wszystkie niedogodności.

Parsknął, choć nie wiedziała, czy przeprosiny zostały przyjęte. Poczowała ulgę, że nie obrzucił jej przekleństwami i nie kazał się wynosić. Nie był aż tak groźny, jak sobie wyobrażała. Był starszy i mniej efektowny fizycznie, niż można się było spodziewać po rozmowie telefonicznej. Mówił ze śpiewnym akcentem i wcale nie tak szorstko.

Ale nie był też nadmiernie przyjacielski. Błękitne oczy przyglądały się jej nieufnie.

– Nie wiedziałam, czego mam się spodziewać – odezwała się w nadziei, że rozbroi go szczerością. – Bałam się, że nie zaprosi mnie pan do środka.

Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem i natychmiast pożałowała, że jednak nie odświeżyła się w hotelu. Powinna się przynajmniej przebrać. Jej kostium podróżny był odpowiedni na Nowy Jork, ale w tym klimacie okazał się zbyt gruby. Poza tym rażąco nie pasował do tego miejsca. I pomiał się podczas podróży w taksówkach, samolotach i na łodzi.

– Przebyła pani długą drogę z Manhattanu.

Jakby odgadł, o czym myślała.

– Nie tylko w sensie dosłownym. Z wyjątkiem może tych golfowych wózków Święta Anna znajduje się w innym stuleciu.

– Nasza wyspa jest prymitywna pod wieloma względami. Jej mieszkańcy życzą sobie, żeby tak pozostało.

Była outsiderem, który nie powinien się mieszać do tutejszego życia. Zrozumiała to i, by odwrócić uwagę od siebie, rozejrzała się szybko.

Wielkie, niczym niepodtrzymywane schody prowadziły na piętro, które tonało w mroku. Miała ochotę zadać dziesiątki pytań o ten dom, ale, nie chcąc przeciągać

struny, powiedziała tylko:

– To nadzwyczajny dom. Jak długo pan tu mieszka?

– Trochę ponad rok. Był w zupełnej ruinie.

– Zdażył pan już sporo zdziałać.

– I tak zostało dużo do zrobienia. A skoro o tym mowa, właśnie pracowałem w jadalni nad projektami. Chce pani rzucić na nie okiem?

– Bardzo.

Uśmiechnął się – odpowiedziała uśmiechem – po czym zawrócił i zaprowadził ją do pomieszczenia, z którego się wyłonił. Kryształowy żyrandol na środku sufitu kołysał się lekko. Spojrzała na niego, a jej gospodarz to zauważył.

– Jedną z pierwszych rzeczy było zainstalowanie klimatyzacji. Powietrze uderza prosto w żyrandol i porusza nim. Przynajmniej tak sędzę. – Roześmiał się enigmatycznie i zaprosił ją gestem w poblizę kominka.

Ozdobnie rzeźbiony gzyms był rozebrany do drewnianego rusztowania, gotowy do remontu.

– Nie spodziewałem się, że to tyle potrwa – wyjaśnił. – Gdybym wiedział, ile warstw lakieru i farby nałożyli tu byli właściciele, jak czasochłonne będzie ich usuwanie, wynająłbym zawodowca.

Podeszła do kominka, wyciągnęła rękę, zawahała się, spojrzała na niego.

– Mogę?

Zrobił przyzwalający gest. Przesunęła opuszkami palców po skomplikowanej płaskorzeźbie, przedstawiającej kwitnącą winorośl.

– Człowiek, który zbudował ten dom, prowadził szczegółowy dziennik budowy – wyjaśnił. – Gzyms kominka, a także balustrada schodów to dzieło pewnego niewolnika. Nazywał się Fineasz.

– Jest piękny. Na pewno po zakończeniu remontu stanie się jeszcze piękniejszy.

– Tak mówi Parker. Jest perfekcjonistą.

– Parker?

– Właściciel domu.

Opuściła rękę, odwróciła się do niego.

– Och... Myślałam, że to pański dom.

Pokręcił głową z rozbawieniem.

– Ja tu tylko pracuję.

– Więc jest bardzo uprzejmy.

– Kto?

– Pan Parker. Pozwolił panu tu pisać.

Mężczyzna wpatrywał się w nią przez chwilę w osłupieniu. Potem wybuchnął śmiechem.

– Droga pani, zdaje się, że wprowadziłem panią w błąd. Naturalnie, wzięła mnie pani za Parkera, z którym chce się pani widzieć. Parkera Evansa.

Prawda dotarła do niej dopiero po paru chwilach. Pokręciła głową ze smutkiem.

– Parker Evans. I środkowy inicjał „M.”.

– Nie znała pani jego nazwiska?

– Nie zdradził mi go.

– Nigdy go pani nie słyszała?

– Nie. A powinnam?

Patrzył na nią przez długą chwilę. Potem uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Jestem Mike Strother. Przepraszam, że się od razu nie przedstawiłem. Myślałem, że zna pani Parkera.

– Miło mi pana poznać.

– Jestem Mike.

Uśmiechnęła się. Polubiła tego starszego dżentelmena i teraz nie mogła sobie darować, że pomyliła go z agresywnym indywiduum, z którym rozmawiała przez telefon. Miał dobre, życzliwe oczy, choć czuła, że się jej przygląda i że ją ocenia. Jego nieufność nieco się zmniejszyła, ale nie ulotniła. Oczywiście, nie miała złudzeń, co usłyszał na jej temat od szefa. Nic pochlebnego.

– Został pan zaangażowany do remontu domu?

– Nie, dobry Boże, skąd. Tylko próbuję swoich sił. Pracuję dla Parkera od samego początku, odkąd kupił ten dom.

– W jakim charakterze?

– W każdym po trochu. Jestem kucharzem, pomywaczem, gosposią, ogrodnikiem, lokajem...

– Pan Parker jest wymagający? Mike roześmiał się cicho.

– Nawet pani sobie nie wyobraża.

Rzeczywiście, nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Wszystkie jej wyobrażenia na temat Parkera M. Evansa rozpląwały się jedno po drugim. Z całą pewnością nie spodziewała się, że jest to człowiek, który posiada własnego służącego.

– Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. Oczy Mike'a uciekły spojrzeniem w bok.

– Nie ma go tutaj.

Już się tego domyśliła, ale i tak poczuła miazdzące rozczarowanie.

– Wiedział, że przyjadę.

– O, wiedział, wiedział – przyświadczył Mike, kiwając głową. – Powiedział, że jest pani na tyle uparta, iż z pewnością wybierze się pani w tę podróż, choć uprzedzał, że to strata czasu. Ale nikt na świecie nie jest bardziej uparty niż Parker. Nie chciał tu siedzieć, by pani nie pomyślała, że na panią czeka. Wiec wyszedł.

– Wyszedł? Dokąd?

Maris ruszyła gniewnie w stronę człowieka, który wypożyczył jej wózek.

– Dlaczego pozwolił mi pan pojechać do domu pana Evansa?

Mężczyzna uśmiechnął się kpiąco.

– Bo wiedziałem, że to nieprawda, iż się pani spodziewa.

– Dlaczego mi pan nie powiedział, że tu jest?

– Coś nie pamiętam, żeby pani pytała.

Kipiała z wściekłości, ale uznała, że nie powinna marnować sił na tego prostaka i kretyna. Zachowa je dla pana Parkera Evansa. Miała mu dużo do powiedzenia. Prawdopodobnie świadomie bawił się z nią w chowanego. Terry, właściciel knajpy, na pewno o tym wiedział. Grill już wystygł, ale sam Terry stał za barem, kiedy Maris otworzyła skrzypiące drzwi jego przybytku i przekroczyła próg.

Przeszła przez podłogę z gołego betonu, przez kałużę jakiegoś płynu – miała nadzieję, że piwa – aż do stołów bilardowych i dalej, do baru. Mężczyzna, który wypożyczył jej wózek do golfa, szedł tuż za nią.

Bile przestały stukać o siebie. Rozmowy ucichły. Ktoś wyłączył radio. Przedstawienie miało się zacząć, a gwiazdą wieczoru była rozwścieczona panienska z Nowego Jorku.

Terry uśmiechnął się sardonicznie.

– Piwo proszę.

Jego uśmiech nieco zbladł. Tego się nie spodziewał. Ale sięgnął do skrzynki z lodem i wyjął butelkę o długiej szyjce. Otworzył ją, przesunął w jej stronę. Piana wyciekła na kontuar. Maris strzepnęła ją dłonią, pociągnęła długi łyk i odstawiła butelkę z głośnym łupnięciem.

– Chcę się widzieć z Parkerem Evansem – oznajmiła.

Terry oparł włochate ramiona na barze.

– Kogo mam zaanonsować?

Goście parsknęli śmiechem. Terry pławił się w blasku efektownego zwycięstwa. Roześmiał się głośniejszym od innych. Maris odwróciła się, spojrzała na zebranych. W pomieszczeniu unosił się gęsty papierosowy dym, choć okna były zasłonięte tylko siatką, a pod sufitem obracały się wentylatory. Ich skrzydła nie rozpraszały ciężkiego dymu. mieszały tylko ciepłe, gęste powietrze.

Kilkanaście par oczu wpatrywało się w nią nieustępliwie. W barze była tylko jedna kobieta, ubrana w bardzo obcisłe szorty i bluzeczkę, ledwie zakrywającą bujny biust z wytatuowaną kobrą, której głowa z rozpostartym kapturem i rozwidlonym językiem wychylała się pomiędzy piersi. Kobieta trzymała dłoń na biodrze, w palcach drugiej dymił czarny papieros.

W pomieszczeniu unosił się zapach piwa, pieczonego mięsa, dymu i męskiego potu. Maris zrobiła głęboki wdech i poczuła ten zapach na podniebieniu.

– Postępuje pan po szczeniacku, panie Evans.

Nikt się nie odezwał. Mężczyźni spoglądali na siebie, trącali się w bok, mrugali. Ktoś uniósł ku niej butelkę z piwem. Ktoś od niechcenia smarował kredą czubek kija bilardowego.

– I niegrzecznie – dodała.

Z pewnym wysiłkiem oderwała się od zwodniczego oparcia baru, podeszła do grupy mężczyzn przy stole. Przyjrzała się im uważnie. Sądząc po ich idiotycznych uśmiechach, żaden nie potrafił czytać, co dopiero pisać powieści.

– Przyjechałam z daleka, żeby się z panem spotkać.

– Więc już znasz drogę powrotną – odezwał się jakiś głos z ciemnego kąta, wzbudzając nową falę chichotów.

Odwróciła się, spojrzała na siedzącego samotnie mężczyznę. Był mniej więcej w wieku Mike'a Strothera, z siwą, rozwichrzoną brodą i ogorzałą twarzą żeglarza. Nie zwracał uwagi ani na nią, ani na nikogo. Zaczerwienionymi oczami wpatrywał się w szklanekę pełną ciemnego płynu, którą trzymał w zgrubiałych, pełnych odcisków dłoniach.

– Panie Evans, może mi pan chyba poświęcić dziesięć minut.

– Chodź no tutaj, kotku, i się pochyl – odezwał się jakiś nosowy głos. – Dam ci takie dziesięć minut, że w życiu ci się nie śniło.

– Chciałbyś – rzuciła kpiąco wytatuowana kobieta. – Tyle że staje ci najwyżej na dwie minuty.

Sala gruchnęła śmiechem głośniejszym niż dotąd. Kobieta przybiła piątkę mężczyźnie stojącemu obok niej, który powiedział:

– Dwayne dobrze gada, nie?

– No! Tej Jankesce trzeba pokazać, że nie ma to jak jurny południowiec.

Ze wszystkich stron posypały się obsceniczne propozycje i wrzaski robotników, anonimowych w swoich kaskach. Maris bywała już zaczepiana przez mężczyzn w bramach i bocznych uliczkach, a kiedy miała siedemnaście lat, ktoś zaczął ją obmacywać w metrze i do tej pory na to wspomnienie mrowiła ją skóra. Ale wulgarność bywalców baru obudziła w niej reakcję inną, niż się spodziewali. Nie przeraziła jej, lecz obudziła w niej gniew. Prawdę mówiąc, rozwścieczyła ją jak wszyscy diabli.

Dlatego teraz, nie starając się nawet ukryć pogardy, rzuciła głośno:

– Kimkolwiek pan jest, panie Evans, cholerny z pana tchórz.

Kpiny ustały jak nożem uciął. Zapadło ciężkie milczenie. Każda inna obelga dawała się usprawiedliwić, tchórzostwo – nie.

Maris uznała, że jest to najlepsza kwestia na koniec przedstawienia. Ruszyła szybkim krokiem do drzwi. Ale kiedy mijała stoły, bilardowy kij opadł przed nią na podobieństwo szlabanu; rąbnęła w niego biodrem z takim impetem, aż się rozległ głośny trzask.

Chwyciła kij, żeby nie upaść, spróbowała usunąć go z drogi, ale nawet nie drgnął. Spojrzała na mężczyznę, który go trzymał, i zdała sobie sprawę, że już go widziała: to on smarował kredą czubek kija.

– Nazywam się Parker Evans.

Zaskoczył ją. Nie bezczelnością spojrzenia wrogich oczu, w których odbijał się czerwony blask neonu.

Zaskoczył ją widok inwalidzkiego wózka.

Rozdział siódmy

Ten dziwny wynalazek wyglądał jak skrzyżowanie wózka golfowego z furgonetką. Później Maris się dowiedziała, że ten zielony pojazd nazywany jest gatorem, ale dopóki Parker Evans nie zaprowadził jej na parking przed barem, nie miała pojęcia o istnieniu takich cudactw. Evans zaprosił ją gestem do środka.

Ciągle nie mogąc ochłonąć po szoku na widok wózka inwalidzkiego, posłusznie usiadła na miejscu dla pasażera. Odwróciła głowę, by nie patrzeć, kiedy podciągnął się na fotel kierowcy. Potem pochylił się, złożył wózek i wrzucił go na płytką przyczepę.

Gator został dostosowany do jego potrzeb. Hamulec i pedał gazu były uruchamiane ręcznie. Parker Evans kierował pojazdem z wprawą wynikającą z długiej praktyki.

– Mogę panią zawieźć tylko do pomostu – powiedział. – Dla mojego wózka to zbyt stromo. Potrafię zjechać w dół, ale mógłbym mieć problemy z zatrzymaniem się, może nawet wylądowałbym w wodzie. Pewnie pani myśli, że mi się to należy.

Nie odpowiedziała.

– Ale nawet gdybym nie wpadł do wody, nie mógłbym wrócić po pomoście o własnych siłach.

Nie rozumiała, o czym mówi.

– Po jakim pomoście?

– Na przystani. Tam gdzie zostawiła pani swoją łódź.

– Nie mam łodzi. Zapłaciłam za przewóz.

– Nikt nie czeka, żeby panią zawieźć z powrotem?

– Nie wiedziałam, jak długo tu zostanę. Powiedziałam, że zadzwonię.

Zatrzymał pojazd; wydawał się niezadowolony, że nie zdoła się jej pozbyć tak szybko, jak sądził. Miał taką samą koszulę jak Mike, ale bez rękawów, obnażającą muskularne ramiona. Mięśnie na nich zadrgały ostro, gdy gwałtownie skrzywił kierownicę.

– Łódź można tu sprowadzić dość szybko. Terry zadzwoni. Ma pani numer?

– Czy możemy przez chwilę porozmawiać?

Znowu zatrzymał gatora.

– O czym?

– Proszę, niech się pan liczy z cudzym czasem. Przebyłam bardzo długą drogę...

– Nieproszona.

– Zaprosił mnie pan, przysyłając prolog.

Przyjął jej ostry ton lekkim zdziwieniem i uniesieniem dłoni w kpiącym geście kapitulacji.

Przez chwilę milczała, usiłując się opanować. Potem podjęła bardziej pojednawczo:

– To był dla mnie bardzo długi dzień. Jestem zmęczona. Marzę o kąpieli i łóżku. Ale jestem tutaj, więc chciałabym wierzyć, że warto było poświęcić czas, komfort i pieniądze, by przed wyjazdem odbyć z panem uprzejmą rozmowę.

Założył ręce na piersi, co – jak się jej zdawało – miało być gestem uprzejmości. Ale gest ten wyglądał także na wyraz uporczywości. Co było chyba bliższe jego intencjom.

– Wysłał mi pan swój tekst – ciągnęła uparcie. – Chciał pan, żebym go przeczytała. Utrzymuje pan, że jest inaczej, ale myślę, że chce pan wydać tę książkę. A ja się właśnie tym zajmuję. Możemy współpracować. Nie musi mnie pan nawet spotykać w połowie drogi. Ja przejdę trzy czwarte. Wydaje mi się, że już to zrobiłam, przyjeżdżając tutaj. Więc czy możemy porozmawiać?

Miał irytujące spojrzenie. I kamienny wyraz twarzy, który nie pozwalał odczytać jego prawdziwych uczuć. Mógł się zastanawiać nad jej argumentami albo rozważać, czy nie wyrzucić jej do wody, by wróciła wpław. Obie możliwości były tak samo prawdopodobne. A może równie nieprawdopodobne.

Uznała jego milczenie za zachętę do dalszej przemowy.

– Wiem, że jest dość późno, ale obiecuję, że nie zajmę panu zbyt wiele czasu. Mike powiedział, że...

– Wiem, co powiedział. Po pani odjeździe zadzwonił do mnie. Zachowuje się jak idiota.

– Nie sądzę, żeby był idiotą.

– Zwykle nie jest. Jest zrównoważony, spokojny i opanowany wcielenie rozsądku, cholerny filar mądrości. Ale pani przyłapała go w chwili słabości. Jest rozdarty między porządkami i przygotowywaniem kolacji. Zachowuje się jak stara panna, która czeka na pierwszego w życiu epuzera. – Twarz miał w cieniu ale Maris czuła na sobie jego spojrzenie. – Pewnie rzuciła pani na niego podwójnie silne czary.

– Nic podobnego. Mike jest miły, i tyle.

Parsknął ochrypłym śmiechem.

– W przeciwieństwie do mnie.

– Tego nie powiedziałam.

– Taaaa – przeciągnął. – Ale mogłaby pani, bo to prawda. Nie jestem miły.

– Ale mógłby pan być, gdyby pan tylko zechciał.

– No właśnie, w tym sęk, że nie chcę.

I, zanim zdążyła się przygotować, pochylił się ku niej, chwycił ją za kark, szarpnął ku sobie i uwięził jej usta w pocałunku. który wydał się jej bardziej atakiem niż pieszczotą. Był gwałtowny, bolesny, brutalny. Jego język wbił się jak klin między jej wargi, rozchylił je siłą.

Z gniewnym jękiem protestu odepchnęła go, ale nie zdołała się wyrwać. Bardzo powoli ruchy jego języka stały się wolniejsze, łagodniejsze, raczej badające niż agresywne. Pogładził kciukiem jej podbródek, policzek, kącik ust. Jej gniew zmienił się w rozterkę.

Głęboki pocałunek dobiegł końca; Parker musnął jeszcze ustami jej wargi, zanim zupełnie zerwał kontakt między nimi. ale nawet wtedy pozostali blisko siebie, oddaleni o jeden oddech. Wreszcie jego ręce opadły bezwładnie.

Maris odwróciła głowę. Spojrzała na wody zatoki. Były spokojne w porównaniu z burzliwym nurtem jej krwi. Światła na drugim brzegu wydawały się bardzo dalekie. O wiele dalsze niż przed chwilą. Jakby znajdowały się w innym świecie. Czowała się dziwnie, jakby to wąskie pasmo wody nagle się rozrosło w przeczeń nie do przebycia.

Z daleka dobiegł ryk syreny jakiegoś statku. W knajpie Terry'ego grzmiała smutna pieśń o utraconej miłości. Bliżej woda chłupotała cicho o kamienistą plażę i dno stromego pokostu, po którym Parker Evans nie mógł zjechać wózkiem inwalidzkim.

– To na nic – odezwała się cicho. – Nie wystraszy mnie pan.

Odwróciła się, by na niego spojrzeć; z zaskoczeniem przekonała się. że w jego oczach nie ma zadowolenia. Nie wyglądał też na skruszonego, ale nie miał szyderczej triumfującej miny. której się spodziewała. Patrzył na nią w ten sam irytujący, nieodgadniony sposób jak przedtem.

– Zignorowałam obelgi, jakimi mnie obrzucono u Terry'ego, tak jak teraz zignoruję ten pocałunek. Bo wiem, dlaczego mnie pan na to naraził. – Skinęła głową w stronę baru. – I dlaczego mnie pan pocałował.

– Tak?

- Rozszyfrowałam pański blef.
- Blef?
- Pocałował mnie pan, żeby mnie przestraszyć.
- W porządku.
- W porządku?

– Może pani tak myśleć, jeśli pani chce. – Patrzył na nią jeszcze przez parę chwil i uruchomił pojazd. – Czy Mike wspomniał przypadkiem, co będzie na kolację?

Jak się okazało, na kolację były kanapki z wędliną, podane w pomieszczeniu, które Mike nazwał oranżerią.

– Bardzo pretensjonalna nazwa oszklonej werandy – skomentował Parker.

– Rzeczywiście, to była weranda – wyjaśnił Mike, nakładając sałatkę ziemniaczaną na talerz Maris. – Teraz tego nie widać, ponieważ jest ciemno, ale okna wychodzą na plażę. Parker postanowił wstawić szklane panele, dzięki czemu pokój można zamknąć lub otworzyć. Teraz może tu pisać w każdą pogodę.

Maris udawała, że nie zauważa komputera w kącie pokoju, pomiędzy ratanowymi meblami. Było tu bardzo niewiele drobiazgów, mających służyć ku ozdobie. Kilka poduszek. Jedna walcząca o życie roślina doniczkowa, której los wydawał się przypieczętowany. To wszystko. Ten pokój należał do samotnego mężczyzny. Azyl pisarza.

Wokół komputera, na podłodze z kamiennych płyt, na każdej możliwej powierzchni leżały książki. Słowniki, encyklopedie. powieści klasyczne i najnowsze romanse, kryminały, science fiction, horrory, westerny, autobiografie, biografie, wiersze. książki dla dzieci, książki historyczne, poradniki i samouczki-Wszystkie możliwe rodzaje książek, niektóre w twardej oprawie, inne w miękkiej, a od czasu do czasu takie, które – Mans spostrzegła to z zadowoleniem – miały na grzbiecie logo Matherly Press. Sądząc z ich sfatygowanego wyglądu, zbiory nie służyły wyłącznie do ozdoby. Parker Evans był człowiekiem czytającym.

– Bez względu na to, jak nazywacie ten pokój, podoba mi się – odezwała się. – To wspaniałe miejsce do czytania. I pisania. – Rzuciła Parkerowi spojrzenie z ukosa, które zignorował, starannie rozsmarowując musztardę na kanapce.

Mike podał im kolację i także usiadł przy stole, potwierdzając tym samym jej

domysł, iż jest także przyjacielem Parkera, nie tylko służącym – co teraz znalazło smutne wyjaśnienie.

– Zadałeś sobie zbyt wiele trudu, Mike.

– Żaden kłopot. I tak mieliśmy zjeść późną kolację, a bardzo się cieszę, widząc wreszcie jakiegoś gościa. Parker nie zawsze jest najlepszym towarzyszem. Prawdę mówiąc, kiedy pisze, czasem nie odzywa się do mnie przez wiele godzin, a kiedy się wreszcie odezwie, okropnie zrzędzi.

Parker rzucił mu złe spojrzenie.

– A ty jesteś cholernie upierdliwy.

Maris parsknęła śmiechem. Mimo wymienionych obelg wyraźnie było widać, iż dwaj mężczyźni darzą się ciepłymi uczuciami.

– Doświadczyłam zrzędlivosti pana Evansa od pierwszej chwili, ale nie wzięłam jej do siebie. Jestem do tego przyzwyczajona, codziennie pracuję z pisarzami. Strasznie ponury naród. Pewnie nie obrywa mi się tak jak ich agentom, ale i tak dostaję za swoje.

Mike pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Artystyczny temperament.

– Otóż to. Nie chcę się skarżyć. Z mojego doświadczenia – a nie dalej jak wczoraj potwierdził to mój ojciec – zły charakter to często cecha dobrego pisarza.

Wytarta wargi serwetką; ze zdumieniem przekonała się, że nadal są obrzmiałe. Przyjrzała się sobie w lustrze nad umywalką, kiedy Mike litościwie wskazał jej drogę do łazienki. Jedynym widocznym śladem pocałunku było lekkie otarcie nad górną wargą. Zamaskowała je pudrem i szybko wyłączyła światło, by nie oglądać bardziej oczywistych śladów pocałunku, których istnieniu postanowiła zaprzeczyć.

W drodze do domu rozmawiali niewiele. Maris wpatrywała się przed siebie w bliźniacze promienie światła, jakie gator rzucał na drogę. Dzięki temu mogła udawać, że las nie jest aż tak mroczny, choć w pewnym momencie nie mogła się powstrzymać i rzuciła ukradkiem spojrzenie na drzewa.

– Och!

– Co?

– Świetliki! Tam, w lesie!

– Robaczki świętojańskie. W tych stronach tak je nazywamy

– Nie widziałam ich od lat!

– Środki owadobójcze.

– Niestety. Kiedy byłam mała, widywałam je koło naszego letniego domku. Łapałam je, wkładałam do słoika i trzymałam przy łóżku.

– Ja też tak robiłem.

Odwróciła się do niego zaskoczona.

– Tak?

– Tak. Wszystkie dzieci robiły zawody, kto złapie najwięcej.

A więc kiedyś mógł gonić za świetlikami. Nie zawsze był przykuty do wózka. Ciekawiło ją oczywiście, w jaki sposób stał się kaleką, ale zapytanie wprost byłoby nietaktem.

Nie był pierwszą znaną jej osobą na wózku. Miała ogromny szacunek do wszystkich, którzy nie poddali się złemu losowi. Niektórzy byli najbardziej optymistycznymi, twórczymi osobami, jakie miała przyjemność poznać. Niedostatki siły fizycznej i energii nadrabiali odwagą i siłą ducha.

Parker Evans wydawał się dysponować siłą kalekich sportowców, którzy uczestniczą w zawodach dzięki sile ramion – i woli. Często byli to sportowcy lub aktywni fizycznie młodzi ludzie, ofiary tragicznych wypadków, których los został przypieczętowany w jednej fatalnej sekundzie. Ciekawiło ją, co tak dramatycznie zmieniło życie Parkera.

Zerknęła na niego. Skubał skórkę chleba; nagle, jakby poczuł na sobie jej wzrok, podniósł oczy i odpowiedział nieruchomym, przeciągłym spojrzeniem.

Był zdecydowanie atrakcyjny, choć lata bólu, nieszczęścia, rozczarowania, czy też mieszanka tego wszystkiego, wycisnęły bolesne zmarszczki na jego twarzy, dodając mu wieku. Jeśli się uśmiechał, co zdarzało się nieczęsto, to zawsze z goryczą. Ciemne włosy były gęste, przetykane siwizną. Jego oczy nie miały określonego koloru. Najcelniejszym określeniem był przymiotnik „orzechowy”; być może nie byłoby w nim nic nadzwyczajnego, gdyby nie bursztynowe plamki na tęczówkach. Taj wyjątkowa cecha plus niezwykła zdolność do skupiania spojrzenia przez bardzo długi czas nadawały oczom nieprzeciętny urok

Pod tym nieruchomym spojrzeniem poczuła, że Parker dokładnie zna jej myśli. W jego oczach odczytała wyzwanie.

Śmiało, zdawały się mówić, przecież umieras z ciekawości, dlaczego siedzę na wózku, więc czemu nie spytasz?

Nie zamierzała podejmować tego wyzwania. Nie teraz. Najpierw musi go lepiej poznać albo przynajmniej wyrwać z niego obietnicę, że dokończy książkę.

– Czy napisał pan coś więcej?

– Chce pani jeszcze herbaty?

– Nie, dziękuję.

– A kanapkę?

– Nie, mam już dość. Napisał pan coś nowego?

Spojrzał znacząco na Mike'a, który natychmiast zareagował.

– Przepraszam, muszę posprzątać. – Wstał i wyszedł z pokoju.

– Jest pani bardzo zdeterminowana – odezwał się Parker, kiedy Mike nie mógł go już słyszeć.

– Dziękuję.

– To nie był komplement.

– Wiem.

Cofnął się od stołu, podjechał do szyby, wbił w nią wzrok. Jakby mógł przebić wzrokiem ciemności i zobaczyć fale. Nie ponaglała go. Jeśli rozważał wszystkie za i przeciw, nie chciała palnąć niczego, co mogłoby przeważać szalę na jej niekorzyść.

Po jakimś czasie odwrócił się do niej.

– Naprawdę jest dobra?

– Myśli pan, że przejechałabym taki kawał drogi, gdybym miała nieokreślony stosunek do pańskiej powieści?

– Proszę jaśniej.

– Tak, drogi panie, jest dobra.

Rzucił jej zdesperowane spojrzenie.

– Nasze języki się spotkały, przez co to „drogi panie” brzmi ciutek śmiesznie, nie sądzisz? Mam na imię Parker. W porządku?

Przełknęła ślinę z wysiłkiem, ale nie odwróciła wzroku.

– W porządku. Mam na imię Maris.

– Zaplanowałem to.

Wyraźnie starał się ją sprowokować, ale postanowiła, że mu na to nie pozwoli.

– Gdzie się urodziłeś? Na Południu, to wiem.

– Kurczę! Jak się zdemaskowałem? – Powiedział to z przesadnie rozwlekłym akcentem.

Roześmiała się cicho.

– Tak, mówisz z akcentem, ale Jankesi nie potrafią rozróżnić niuansów regionalnych. Teksaszczyki nie mówią tak jak mieszkańcy Karoliny Południowej, prawda?

– Teksaszczyki mówią jak nikt poza nimi.

Znowu się roześmiała.

– Więc co to za akcent?

– Czy to ważne?

– Pewne słowa, jakich używasz...

– Na przykład?

– Na przykład „ciutek”. „Epuzer”. „Robaczki świętojańskie”. Takie tam rzeczy.

– Być może od czasu do czasu wyrywają mi się jakieś kolokwializmy. Będę się ich wystrzegać.

– Nie! Nadają smaku twojemu stylowi.

– Im delikatniejszy smak, tym więcej pracy.

Przytaknęła.

– Widzę, że się nad tym zastanawiałaś. W swojej prozie wystrzegasz się idiomów. – Oparła łokcie na stole, pochyliła się do przodu. – Włożyłeś w swój tekst wiele ciężkiej pracy. Dlaczego nie pozwalasz go przeczytać?

Miał już gotową odpowiedź.

– Strach przed porażką.

– To zrozumiałe. Twórcy są dotknięci przekleństwem zwątpienia. To natura tych bestii. – Wskazała na jego książki. – Ale czy nie cieszymy się, że większość się jej nie poddała?

– Niektórzy się poddali, prawda? Nie mogli znieść wyśmiewających ich krytyków, kaprysów czytelników, konieczności sprostania oczekiwaniom i najmroczniejszemu zwątpieniu, które brzmi – czy w ogóle mam talent. Jak wielu znanych ci pisarzy zapiło się na śmierć? Albo odeszło przedwcześnie, rozwalając sobie głowę?

Milczała przez chwilę.

– Powiedz, czy do tego potrzeba więcej odwagi niż do zostania pustelnikiem na odludnej wyspie?

Trafiła w dziesiątkę. Przez kilka długich chwil Parker walczył ze sobą. Potem

odwrócił gwałtownie krzesło i podjechał do komputera. Włączył go.

– To nic nie znaczy, rozumiesz? – burknął przez ramię.

Skinęła głową, choć była pewna, że oboje kłamią. Cokolwiek to było, miało jakieś znaczenie.

– Napisałem pierwszy rozdział.

– Jako dodatek do prologu?

– Zgadza się. Możesz przeczytać, jeśli chcesz. Ale rozumiesz, że to mnie do niczego nie zobowiązuje. Niezależnie od tego, czy tekst ci się spodoba, czy nie, niczego nie obiecuję.

Stała obok niego. Razem przyglądali się, jak drukarka wypływa kolejne strony.

– Czy rozdział zaczyna się w miejscu, w którym skończył się prolog?

– Nie. Scena z prologu wraca pod koniec książki.

– Więc skaczesz w czasie?

– Tak.

– Jak daleko?

– Trzy lata. Rozdział zaczyna się w chwili, gdy Roark i Todd są kolegami z akademika.

– Roark i Todd. – Powtórzyła imiona postaci. Uznała, że się jej podobają. – Który jest który?

– Jak to?

– Którego z nich widzimy u Hacha Walkera w prologu? Który rozbił łódź, a który wyleciał za burtę?

Tym razem w jego uśmiechu nie było goryczy.

– Nie powiesz mi, prawda?

– Gdybym ci powiedział, po co miałabyś przeczytać resztę książki?

– Resztę? Więc jednak chcesz ją napisać?

Uśmiech nieco przybladł.

– Najpierw zobaczmy, co powiesz.

– Nie mogę się doczekać.

– Nie ekscytuj się tak, Maris. To tylko jeden rozdział.

Wyjął kartki z drukarki, wyrównał i podał jej. Chwyliła mocno, ale on nie wypuszczał ich z ręki. Spojrzała na niego pytająco.

– Ten pocałunek... Wcale nie chciałem cię wystraszyć.

Zanim zdążyła zareagować, puścił kartki i krzyknął do Mike'a:

– Przynieś jej telefon, niech zadzwoni po łódź! Przybędzie akurat wtedy, gdy wózek dojedzie do przystani.

– Ale już po jedenastej! – zawołał Mike. – Nie możesz jej wygonić o tej porze.

Maris obląła się rumieńcem.

– Nie, w porządku – pospieszyła z zapewnieniem, zbyt głośnym i gwałtownym. – Nic mi nie będzie.

– Nie ma mowy – oznajmił Mike, nie zwracając uwagi na ostrzegawcze spojrzenie Parkera. – Zostanie pani na noc, w domku dla gości.

Rozdział ósmy

Dla zachowania dyskrecji spotkanie odbyło się w prywatnej jadalni na trzydziestym pierwszym piętrze World-View Center. Ten wykładany drewnianymi panelami pokój był umeblowany z dyskretnym wykwintem. Podłogę wyściełał ręcznie tkany dywan, mięsisty, chłonący dźwięki, kwiatowe dekoracje skomponowano ze smakiem, światło było rozproszone. łagodne. Ogromne okna, za którymi zwykle rozciągał się wspaniały widok na centrum miasta, zasłonięto ciężkimi kotarami.

Gospodarz, siedzący u szczytu stołu, spytał uprzejmie:

– Nadiu, podać jeszcze kawy? A panu. panie Reed?

Nadia Schuller skinęła na kelnera w białych rękawiczkach.

Noah podziękował. Zjedli już zupę-krem z porów, sałatkę z homara i marynowane szparagi. Na deser podano truskawki z bitą śmietaną i czekoladki.

Noah podziękował za wystawny posiłek.

– Cieszę się, że wam smakował – odparł Morris Blume i odprawił obsługę.

Nadia od niechcienia mieszała kawę. Noah rzucił jej spojrzenie sygnalizujące, że towarzyskie rozmowy dobiegły końca i pora przystąpić do interesów.

Oprócz Morrisa Blume'a przy stole siedziało pięciu innych przedstawicieli WorldView. Pół roku wcześniej Nadia zaaranżowała pierwsze spotkanie Blume'a z Noahem. Blume już wtedy nie krył się ze swoimi zamiarami. Oświadczył prosto z mostu, że zamierza przejąć Matherly Press.

Natychmiast po tym pierwszym spotkaniu jego prawnicy rozpoczęli wyteżone prace nad wstępną propozycją transakcji. Po paru miesiącach analiz i badań, sporządzania szczegółowych planów działania, wykresów udziałów rynkowych i prognoz dochodów Noah otrzymał ostateczną propozycję, dokument oprawiony w ogromne okładki. Podczas obecnego spotkania miał dać odpowiedź.

Morris Blume był chudy i uderzająco blady. Przedwcześnie wyłysiał, a choć na potylicy został mu wianuszek włosów, golił go codziennie, pozostawiając jedynie szary cień na lśniącej, nieco guzowatej głowie. Nosił okulary w srebrnych oprawkach i ubierał się w konserwatywne szarości. Wyglądał tak, jakby miał wrodzoną niechęć do jakiegokolwiek koloru.

Stał na czele międzynarodowego koncernu wydawniczego od czterech lat, kiedy dokonał w nim przewrotu. Miał wówczas zaledwie trzydzieści sześć lat; bezwzględnie wyrzucił swoich poprzedników wraz z radą kierowniczą, obciążoną – jak to określił – „archaicznym i nienowoczesnym sposobem myślenia”.

Pod jego rządami WV – ta czuła nazwa przyłgnęła do koncernu zwłaszcza na giełdzie – zaczął rozszerzać zakres swojej działalności na Internet, łącza satelitarne oraz technologię światłowodową. Blume katapultował WorldView w dwudziesty pierwszy wiek, powiększając jego wartość z nędznego miliarda dolarów do blisko sześćdziesięciu miliardów w ciągu zaledwie dwóch lat. Właściciele akcji bez trudu przebaczyli mu brutalne metody działania.

Więc czego taki gigant mógł chcieć od pchły w rodzaju Matherly Press?

Takie właśnie pytanie zadał Noah.

– Bo istnieje – brzmiała zreżymowana odpowiedź wyblakłego człowieka. Wszyscy obecni roześmieli się głośno – w tym także Noah. Potrafił docenić arogancję tego sukinsyna, ponieważ sam był dokładnie takim samym aroganckim sukinsynem.

– Już pan przejął dom wydawniczy w Wielkiej Brytanii – zauważył. – Atrament na umowie jeszcze nie wysechł.

– To prawda. – Blume pokiwał poważnie głową. – Platt i Powers to dla nas dobra inwestycja. Rozpowszechniają wszystko, od szacownych tygodników po najbardziej obleśne z obleśnych pornosów. – Posłał Nadii uśmiech, niepokojąco upodabniający go do gada. – Zapewniam cię, Nadiu, że znacznie lepiej znam się na tym pierwszym.

Spojrzała na niego ponad krawędzią porcelanowej filiżanki.

– Co za rozczarowanie.

Blume odczekał, aż ucichnie ostatnie echo jego śmiechu i dopiero wtedy znów zaczął mówić.

– Platt i Powers sprzedali w zeszłym roku dwanaście bestsellerów w twardej okładce.

– Trzyście – poprawił któryś liczykrupa.

– I jeszcze więcej w oprawie broszurowej – dodał Blume. – Jako część WorldView zdominują w tym roku listy bestsellerów. Zaangażowaliśmy specjalistę i mamy na to specjalny budżet.

– Już rozmawiałam z dwoma pisarzami, których odbiłeś poprzednim wydawcom – odezwała się Nadia. – Mają wielkie nadzieje co do twoich strategii marketingowych, zwłaszcza tych, dzięki którym będą się lepiej sprzedawać w Stanach.

– Wykorzystujemy nasze źródła medialne – wyjaśnił Blume.

– Wszystkie. Mają gigantyczny zasięg, nieporównywalny z niczym innym.

Splótł bezkrwiste palce, położył dłonie przed sobą na stole i przybrał niewinną

minę.

– Kupując Platta i Powersa – podjął, zwracając się do Noaha – WorldView wszedł w posiadanie bogatego wydawnictwa. Ale rynek angielski jest mniejszy od amerykańskiego. Wyraźnie mniejszy. Chcemy zdominować też drugą stronę sadzawki. Chcemy Matherly Press. Wydajecie książki, które podobają się ogółowi. Robią pieniądze, można powiedzieć. Ale publikujecie też ambitne dzieła. Wasze wydawnictwo przynosi niezaprzeczalne dochody. Jest także szacowną instytucją publiczną. To gwarancja dobrego imienia. A tego właśnie potrzeba naszej malutkiej firmie.

W grupie pracowników WV rozległy się chichoty, ale Noah nawet się nie uśmiechnął. Blume uznał to za znak, że powinien się wycofać i pozwolić przemówić drugiej stronie.

– Przystudiowałem z uwagą waszą propozycję – zaczął Noah. – Dobrze się przygotowaliście, jestem pod wrażeniem. Prognozy są ekscytujące, choć mocno trzymają się ziemi.

– Brzmi dobrze – rzucił uśmiechnięty Blume.

Noah uniósł rękę w ostrzegawczym geście.

– Jednakże zanim przejdziemy dalej, chciałbym zadać wam parę pytań.

– W tym celu zorganizowaliśmy to spotkanie.

– Po pierwsze, co z prawem antymonopolowym? Pogwałcicie je? Nie chciałbym się wmieszać w długotrwały prawny konflikt z rządem.

– Zapewniam, że nic takiego nie będzie mieć miejsca. Przedsięwzięliśmy wszelkie środki ostrożności, by temu zaradzić.

Udzielono głosu jednemu z prawników, który wyjaśnił szczegółowo, dlaczego prawdopodobieństwo takiego zajścia jest bardzo niewielkie. Noah zadał kilka pytań i nie pozwolił się zbyć ogólnikami. Upierał się przy swoim tak długo, aż usłyszał konkretną odpowiedź na pytanie i uznał, że poświęcono mu odpowiednio dużo uwagi.

– Dobrze – odezwał się Blume, gdy Noah wreszcie poczuł się usatysfakcjonowany. – A co po drugie?

Noah strzepnął niewidoczny pyłek z rękawa marynarki, spojrział na Blume' a i oznajmił z zimną krwią:

– Matherly Press nie jest na sprzedaż.

- A on na to? – spytał Daniel Matherly.
- Nie powiedział nic, co by się nadawało do powtórzenia – odparł jego zięć.
- Może coś o sklerotycznych starcach, którzy nie idą z postępem?
- Nie aż tak dosadnie, lecz coś w tym rodzaju.

Znajdowali się w domowym gabinecie Daniela. Maxine podała im drinki.

- Wolno mu wypić tylko jeden. Ani kropli więcej – powiadomiła Noaha.

– Dopilnuję tego – zawołał za nią. Ale jednocześnie mrugnął konspiracyjnie do Daniela.

Pół godziny później rozkoszowali się następnym.

- Przynies mi fajkę, dobrze?

Noah znalazł fajkę na biurku. Podał ją wraz z kapciuchem Danielowi, siedzącemu wygodnie w wielkim fotelu ze skórzaną tapicerką, z nogami opartymi o otomanę. Daniel starannie nabił fajkę i zapalił zapałkę.

- Jeśli Maxine poczuje dym...

– Zwałę winę na ciebie. – Daniel wydmuchnął dym ku sufitowi. W zamyśleniu przyjrzał się plafonowi. – Te kundle nas otaczają. Są podli i mają ostre zęby.

Noah powoli popijał szkocką.

– WorldView? – Zrobił lekceważący gest. – Nie wiem, jak mógłbym to wyrazić dosadniej. Matherly Press nie jest na sprzedaż.

- Będą naciskać. Zwłaszcza ten łobuz Blume. – Podobno sika kostkami lodu.

Daniel parsknął śmiechem.

– Nie wątpię. – Przez jakiś czas pykał w zamyśleniu z fajki. – Nawet jeśli Morris Blume odczepi się od nas, zawsze znajdzie się inny kundel, jeszcze bardziej zajadły.

- I co z tego? Potrafimy je przepędzić.

Daniel uśmiechnął się, słysząc jego buńczuczne słowa. Środowisko wydawnicze poznało Noaha Reeda dziesięć lat temu, po pojawieniu się na rynku *Zwycięzonego*. Powieść, której akcja rozgrywała się po wojnie secesyjnej, zdobyła wszystkich szturmem. W Nowym Jorku nie było wydawcy, który by nie żałował, że nie udało mu się jej wydać. Dotyczyło to również Daniela Matherly'ego.

Ale ku powszechnemu zaskoczeniu i rozczarowaniu nowych wielbicieli

ambicją Noaha było nie pisanie, lecz wydawanie książek. Towarzyszył przy każdym etapie procesu wydawniczego Zwycięzonego, co sprawiło mu więcej radości niż napisanie powieści.

Był wtedy czarującym młodzieńcem o błyskotliwym umyśle i nieomylnym instynkcie. Wydawca wziął pod uwagę jego rady, jak najlepiej sprzedawać Zwycięzonego, i okazało się, że dobrze na tym wyszedł. Stało się jasne, że Noah będzie miał równie skuteczne pomysły w wypadku innych książek – dlatego otrzymał posadę w wydawnictwie. Szybko potwierdził swój talent. W trakcie tego pierwszego roku otrzymał tekst powieści nieznanego autora i zrobił z niego bestseller, który wciąż doskonale się sprzedawał.

Noah uczył się szybko, ale szczególnie wyróżnił się, zarządzając finansami. Jego pomysłowe strategie marketingowe odniosły taki sukces, że inni wydawcy zaczęli je bezczelnie kopiować. Był też nieustępliwym negocjatorem, podziwianym przez agentów literackich, lecz jednocześnie budzącym strach. Był urodzonym przywódcą. Raz, w przededniu strajku drukarzy, wybrał się do Pensylwanii, by osobiście z nimi porozmawiać. Wystąpił jako mediator pomiędzy nimi i kierownictwem drukarni. dzięki czemu konflikt został zażegnany i do strajku nie doszło.

Noah Reed był inteligentny, ambitny, nawet przebiegły. Daniel także cieszył się zasłużoną sławą człowieka przebiegłego. więc nie uważał tej cechy za wadę. Dlatego kiedy ku jego zaskoczeniu Noah zjawił się u niego przed trzema laty, wyrażając niezadowolenie z ograniczonych widoków na przyszłość i jasno oświadczając, że zamierza zmienić miejsce pracy, Daniel wysłuchał go z zainteresowaniem. Pomysły Noaha były nowatorskie, ale nie kłóciły z ideałami, na których bazie przodkowie Daniela zbudowali Matherly Press. W gruncie rzeczy były to również ideały Noaha.

W dodatku Noah podział na próżność Daniela, choć starszy pan nigdy by się do tego nie przyznał. Przypominał mu jego samego, kiedy był w tym samym wieku – agresywnego, zdeterminowanego, pewnego siebie do granic zarozumiałstwa, które to cechy Daniel również uważał bardziej za zalety niż wady.

Powiedział wtedy Noahowi, że musi się zastanowić przez parę dni. Niechętnie myślał o zaangażowaniu na tak ważną posadę kogoś spoza rodziny. Z drugiej strony sprawy wydawnictwa rozrosły się tak, że on i Maris potrzebowali pomocnika.

Co do Maris, omal nie zemdląła ze szczęścia, mogąc codziennie pracować z autorem swej ulubionej książki. Dotąd spotkała go tylko raz, na wieczorze autorskim, ale od lat żywiła do niego sekretne uwielbienie. Pod wpływem jej nalegań Daniel utworzył dla Noaha funkcję wiceprezesa marketingu. Nigdy nie żałował tej decyzji.

– Ciągłe się z nią zgadzasz? – spytał Daniel.

– Słucham?

– Z filozofią naszego wydawnictwa.

Noah rzucił mu karcące spojrzenie.

– Od samego początku naszej współpracy wiem, co sądzisz o wchodzeniu w spółki z innymi firmami. To jasne, że taka sytuacja ma swoje plusy. Mielibyśmy większe fundusze, więcej rynków marketingu i promocji.

– Ale utracilibyśmy autonomię.

– Właśnie do tego dążyłem. Autonomia to fundament, na którym zostało zbudowane to wydawnictwo. Znałem zasady tej rodziny, jeszcze zanim do niej wszedłem.

Gdy Maris zaczęła się spotykać z Noahem prywatnie. Daniel miał co do niego pewne zastrzeżenia. Niepokoiło go kilka spraw: po pierwsze – dziesięcioletnia różnica wieku między nimi – choć to należało do jego najmniejszych zmartwień. Po drugie – świadomość, że Noah był powszechnie znany nie tylko z umiejętności marketingowych. Cieszył się sławą wyjątkowego uwodziciela. Od lat krążyło o nim tak wiele plotek, że Daniel zaczął podejrzewać, iż mają one pewne podstawy. Jednak najbardziej niepokoiły go ukryte cele Noaha, jeśli takowe istniały. Małżeństwo z jedyną spadkobierczynią rodu Matherlych stanowiło w jego przypadku znaczny awans.

Oczywiście, Daniel nie miał tu nic do powiedzenia. Liczyło się zdanie córki, a Maris chciała Noaha na męża. Z powodu przedwczesnej śmierci matki zawsze była poważna nad wiek. Z konieczności musiała szybciej dorosnąć. Już jako dziecko zaczęła sobie wyrabiać własne zdanie na każdy temat. A Daniel wychował ją tak, by była samodzielna i ufała swojemu instynktowi. Kwestionowanie jej wyboru w sprawach tak delikatnych jak miłość byłoby nie na miejscu.

Należy przyznać Noahowi, że bez wiedzy Maris spotkał się ze swoim przyszłym teściem i powiedział, że jeśli żywi jakiegokolwiek wątpliwości co do tego małżeństwa, nie dojdzie ono do skutku. Kocha Maris do szaleństwa, ale odejdzie, porzuci posadę w Matherly Press i zniknie z jej życia, jeśli Daniel nie pobłogosławi szczerze ich związku.

Daniel pobłogosławił ich nawet kilka razy, ale ponieważ chodziło o szczęście Maris, pozostał czujny. Wczoraj Maris była trochę przygnębiona, choć przyjęcie-niespodzianka stanowiło logiczne wytłumaczenie braku zainteresowania ze strony Noaha. Maris nie wspominała o tym ani słowem, ale Daniel czuł, że jest gotowa do macierzyństwa i brak dziecka jest dla niej rozczarowaniem. Na razie nie musieli się tym martwić. Maris była jeszcze młoda. Noah przy licznych okazjach wyrażał chęć posiadania potomstwa. Mieli mnóstwo czasu na założenie prawdziwej rodziny.

Daniel żywił egoistyczną nadzieję, że wkrótce doczeka się wnuków. Chciał huścić na kolanie następne pokolenie, zanim przyjdzie czas się odmeldować.

– Miałeś jakieś wiadomości od Maris? – spytał.

– Nie, odkąd wyjechała. – Noah spojrzął na zegarek. – Powinna już być na miejscu. To długa podróż i chyba okaże się nieudana.

– Może nie. Maris była pełna nadziei co do tego pisarza. A skoro o tym mowa... powiedziała mi o prezencie.

– Prezencie?

– Od ciebie.

– Och... – Noah uśmiechnął się ze smutkiem. – Tak łatwo sprawić jej przyjemność, prawda?

– Twoja twórczość jest dla niej bardzo ważna. Dziś rano zadzwoniła do mnie z lotniska. Nie byłaby szczęśliwsza, nawet gdybyś dał jej pierścionek z brylantem. Zawsze pragnęła, żebyś znowu pisał.

Noah zmarszczył brwi.

– Mam nadzieję, że nie obiecuje sobie zbyt wiele. Pewnie sprawię jej zawód.

– Wystarczy, że się starasz.

– Dziś chciałbym się jeszcze postarać przez parę godzin. – Odstawił kieliszek i wstał.

– Zostań, zjemy razem kolację. Pogramy w szachy.

– Kusząca propozycja, ale wykorzystam nieobecność Maris i spłodzę parę stroniczek. Jest tylko jeden sposób, żeby napisać książkę – pisać ją. Nalać ci jeszcze?

– Nie, dziękuję. Maxine zmierzy, ile ubyło z karafki.

– Oho. Muszę zmykać, zanim burza się zacznie. – Włożył marynarkę i wziął aktówkę. – Mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze?

– Owszem. Kiedy ktoś znowu cię poprosi, żebyś sprzedał moje wydawnictwo, powiedz mu, żeby się odpieprzył.

Noah parsknął śmiechem.

– Mam cię zacytować?

– Zdecydowanie. Szczerze mówiąc, nalegam.

Dwie wódki z martini nie ukoiliły zdenerwowania Nadii. Czerwony alarm zaczął się dla niej od chwili, gdy Noah zrelacjonował jej rozmowę z Danielem.

Już od pół godziny krążyła niespokojnie po garsonierze w Chelsea, używanej wyłącznie do romantycznych spotkań. Jej oficjalne mieszkanie znajdowało się w Trump Tower. O garsonierze nie wiedział nawet jej księgowy.

– Może wydaje się zblazowany, ale nie ufam temu staremu piernikowi – powiedziała. – Skąd wiesz, że nas nie przejrzał?

– Bo na to nie wygląda. – W głosie Noaha pobrzmiewały nutki niecierpliwości.

– Nie chciałam kwestionować twojego wycucia.

– Nie?

– Nie. Boję się tylko, że coś pójdzie nie tak. Ze względu na ciebie bardzo chcę, byś zawarł tę transakcję.

– Ja chcę jej dla nas.

Jej niepokój rozplątał się bez śladu. Przestała nerwowo krążyć, podeszła do niego i położyła mu ręce na ramionach.

– Niech cię diabli – szepnęła. – Zupełnie mnie rozbroiłeś.

Ich pocałunek był głęboki i namiętny. Rozpięła mu koszulę, wsunęła pod nią dłoń. Kiedy oderwali się od siebie, nadal bawiła się jego włosami na piersi.

– Ale Daniel Matherly prowadzi to wydawnictwo od... od kiedy?

– Ma siedemdziesiąt osiem lat. Jego ojciec zmarł, kiedy miał dwadzieścia dziewięć. Od tego czasu Daniel jest odpowiedzialny za firmę.

– Więc od pięćdziesięciu lat.

– Mogę się wycofać.

– Chcę powiedzieć tylko tyle: Daniel nie stał się żyjącą legendą dlatego, że jest ograniczony. Nie odniósł sukcesu dlatego, że nie zna się na ludziach. Jest mądry. Jest uczony. Jest...

– Nie taki, jak kiedyś.

– Może. A może chce, żebyś tak myślał.

Noah nie znosił, kiedy ktoś podważał jego zdanie. Nie cierpiał nawet cienia krytyki. Odsunął ją i poszedł do kuchni, gdzie wsypał kostki lodu do wysokiej szklanki i chlusnął na nie szkocką.

– Znam mojego teścia co najmniej tak dobrze jak ty.

– Na pewno...

– Jeśli jesteś taka pewna, nie powinnaś mnie dręczyć. – Wychylił drinka

jednym haustem, odstawił szklanekę i odczekał chwilę, by się opanować. – Twoim zadaniem jest kontrolować Blume'a i firmę.

– Jutro wieczorem jem z nim kolację.

– Świetnie. Zrób się na bóstwo. Jedzcie, pijcie, tańczcie. Szepcz mu coś do ucha. Niech będzie szczęśliwy. A ja zajmę się Matherlymi. Robię to od trzech lat i jakoś sobie radzę. Znam ich sposób myślenia. Wiem, jak reagują w różnych sytuacjach. To trzeba przeprowadzić z największą delikatnością. Nie możemy się spieszyć, bo wszystko obróci się przeciwko nam.

Pierwszy krok został zrobiony, kiedy Daniel Matherly go zatrudnił. Noah zdobył jego zaufanie. Prawdziwa rozgrywka zaczęła się, gdy poślubił Maris, umacniając w ten sposób swoją pozycję. Potem, w odpowiednim czasie, przekazał Blume'owi poprzez Nadię sygnał swojego zainteresowania fuzją firm. Blume ciągle jeszcze sądził, że pomysł wyszedł od niego. Nic podobnego. Noah miał WorldView na celowniku od samego początku.

Aż do tej chwili wszystko działało się tak, jak sobie tego życzył, tylko tak i nie inaczej. Nie zamierzał spieprzyć sprawy, zbyt pośpiesznie dążąc do finiszu.

– Nie wiem, dlaczego się na mnie złościysz – odezwała się Nadia. – To Morris wyznaczył ten termin, nie ja.

Było to jedyne nieprzewidziane potknięcie Noaha i powód jego rozdrażnienia. Podczas spotkania z Danielem słuchał jego długich wynurzeń tylko jednym uchem. Myślał o Blumie, który i jaszczurczym uśmiechem dał mu dwa tygodnie. Przypomnił mu, że miał już dość czasu na przemyślenie jego propozycji; teraz Noah musi mu powiedzieć, czy jest na tyle zainteresowany, by dalej prowadzić rozmowy. Z kolei Noah przypomniał mu, że jego teść nie jest drobną przeszkodą.

– Daniel powtarza niewzruszenie, że jego wydawnictwo nie jest na sprzedaż.

– Więc trzeba podjąć śmiałe kroki, by zmienić zdanie, prawda?

Blume przypomniał mu, że inne wydawnictwa, niemal równie szacowne jak Matherly Press, z radością wykorzystają szansę połączenia z WorldView.

Najgorsze było to, że miał rację. Wiele mniejszych domów wydawniczych ciągnęło ostatkiem sił. Nie mogły konkurować z możliwościami dystrybucyjnymi i wielkimi budżetami na reklamę, jakimi dysponowali giganci mediów. Z radością powitałyby ulgę i stabilizację, bo właśnie to oznaczałaby dla nich współpraca z WorldView. W przeciwieństwie do Daniela chciały przetrwać za wszelką cenę, do diabła z sentymentami.

Noah nie miał zrozumienia dla sentymentów, ale doskonale zdawał sobie sprawę z fanatycznej wierności Daniela wobec tradycji i historii rodziny. Starszy pan nie podda się bez walki. Ta subtelność była dla Blume'a nie do pojęcia.

– Doskonale pamiętam o terminie – odezwał się Noah. – I zrobię wszystko, żeby go dotrzymać.

– Co z Maris?

– Jest zajęta na Florydzie.

– W Georgii.

– Co?

– Powiedziałaś, że pojechała do Georgii.

– Nieważne. Zamierzam zacząć zmiękczać Daniela, dopóki jej nie ma. Zacząłem od podkreślenia zalet oferty Blume'a.

– Co się stanie, kiedy wróci Maris?

– Poprze Daniela.

– Nie o to pytałam.

Powinien być szczęśliwy. Zamknął oczy, westchnął ze zmęczenia i ścisnął nos u nasady. Boże, nie miał ochoty teraz o tym rozmawiać. Miał już dość na głowie.

– Wiem, o co pytałaś. – Opuścił dłoń, otworzył oczy i spojrzał na nią. – Zastanów się. Myślisz, że mogę teraz poprosić Maris o rozwód? Nie. Nie mogę, dopóki nie podpiszę umowy z WorldView, póki wszystko nie będzie związane na ostatni guzik. – Westchnął z desperacją. – Myślisz, że dobrze się czuję, będąc jej mężem? Myślisz, że dobrze się czułem, całując tyłek Daniela?

– Cóż za buntowniczy nastrój.

– Naprawdę? Postaw się na moim miejscu. – Miał nadzieje że ją rozbawi. Nie udało się.

– A Maris? – spytała. – Będziesz tęsknił za całowaniem jej tyłka?

Roześmiał się sucho.

– Nie będę tęsknił za moją żoną, ale żałuję, że stracę dobrego wydawcę. Jednak z budżetem, który obiecuje mi Blume, będę mógł sobie pozwolić na trzy takie jak ona. Na pięć. A nawet, jeśli nie znajdę nikogo równie dobrego, będę miał dziesięć milionów na otarcie łez.

Przez długą chwilę patrzyła mu w oczy, coraz bardziej nadaśana.

– I nie przeszkadza ci, że będę szeptać Morrisowi Blume do ucha?

– Mówiłem w przenośni.

– Więc to, o czym wspomniałeś...

– O czym?

– O tym, że chcesz zawrzeć tę umowę ze względu na nas. Mówiłeś serio?

Nie odpowiedział. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Rozpięła mu koszulę do końca, rozchyliła jej poły, musnęła językiem jego sutek.

– Tak czy nie?

– Teraz powiem wszystko, co chcesz.

Roześmiała się ochryple, pogłaskała go przez spodnie.

– Nie podoba mi się, że muszę się tobą dzielić z Maris. Nie mogę się doczekać, kiedy to wszystko będzie tylko dla mnie.

– Ja też nie mogę. – Rozpiął spodnie, zsunął szorty. Nadia osunęła się na kolana, przesunęła językiem po jego wzniesionym penisie, wzięła go do ust. Noah jęknął z rozkoszy.

– Skup się na tym, co potrafisz najlepiej, a mnie zostaw problem Matherlych.

Rozdział dziewiąty

Parker siedział przy komputerze. Pracował od wielu godzin. Mike przyniósł mu trzeci kubek kawy.

– Twoja znajoma właśnie opuściła domek dla gości. Idzie spacerkiem, przygląda się morzu, ale wkrótce nastąpi scena wejścia.

Parker zlecił Mike'owi prowadzenie obserwacji; teraz skinął głową na znak, że przyjął jego raport do wiadomości.

Ruchy Mike'a były dziwnie niezdarne. Kiedy zastąpił pusty kubek pełnym, rozlał gorącą kawę na stół i kilka odręcznych notatek. Parker przyjrzał się zniszczeniom, podniósł głowę i rzucił starszemu panu znaczące spojrzenie.

– Przepraszam – powiedział Mike.

– No, myślę.

Mike parsknął.

– Słuchaj, jeśli chcesz coś powiedzieć, może zachowasz się jak dorosły człowiek i powiesz wprost?

– Chyba wiesz, co mam do powiedzenia.

– Więc może mi pogratulujesz?

– A może ty oprzytomniejesz? Naprawdę spodziewasz się gratulacji?

– Przyjechała, tak?

– Tak. Przyjechała. – Mike powiedział to bez szczególnego zadowolenia.

Parker wzruszył ramionami.

– No, czego? – rzucił niecierpliwie. – Psychologiczne podejście się sprawdziło. Dała się złapać. Na to właśnie liczyliśmy, tak? Gdybyś miał jakieś opory, mógłbyś wyrzucić numery jej telefonów, kiedy je dostałeś od zastępcy. Ale tego nie zrobiłeś. Oddałeś je mnie. Ja do niej zadzwoniłem, ona przyjechała. O co ci chodzi?

Mike odwrócił się i ruszył zdecydowanym krokiem do kuchni,

– Biskopki mi się przypała.

Parker wrócił do komputera, ale natchnienie minęło. Nie mógł się skupić na ostatnich zdaniach. Teraz wydawały mu się nieprzetłumaczalną gmatwaniną słów i fraz. Aby nadać im znaczenie, z wysiłkiem zatrzymywał wzrok na każdym wyrazie, ale choć koncentrował się ze wszystkich sił, nie potrafił wyłuskać z nich sensu.

Równie dobrze mogłyby być napisane w sanskrycie.

Wreszcie zdał sobie sprawę, skąd te nagłe problemy z odczytaniem i zrozumieniem własnych słów: był zdenerwowany. A to wydało mu się dziwne, zważywszy na to, że wszystko mniej więcej układało się zgodnie z jego życzeniem. Zdecydował się na parę spontanicznych zmian, by dostosować się do osobowości Maris Matherly-Reed, ale i tak reagowała na niego i całą sytuację lepiej, niż mógł się spodziewać.

Teraz, kiedy się nad tym zastanawiał, wydało mu się, że poszło mu zbył łatwo. Pociągnął za sznurki, a ona, jak marionetka, wykonała odpowiednie ruchy. Być może to dlatego Mike był taki rozdrażniony. Przez tę swoją niewinność wydawała się niemal ich ofiarą.

Ale przecież nią nie jest, pomyślał buntowniczo.

Owszem, sprowokował ją, poprowadził w kierunku, o który mu chodziło, ale w ogólnym rozrachunku to ona kontrolowała sytuację. Wszystko zależało od tego, jak bardzo spodoba się jej *Zazdrość* – i czy w ogóle się jej spodoba.

A to z kolei drażniło jego. Nie tylko ze względu na plan, ale też jako pisarza – nie spieszyło mu się, żeby usłyszeć, co Maris myśli o tekście, który wczoraj przeczytała do poduszki. A jeśli uzna, że to bzdet? Jeśli podziękuje za szansę zapoznania się z jego twórczością i doda, że nie jest nią zainteresowana?

Wtedy plan runie, a on poczuje się jak kretyn.

Odwrócił się z wózkiem i ujrzał ją; szła ścieżką pomiędzy dworem i domkiem gościnnym. Pierwotnie mieściła się w nim kuchnia. Parker kazał ją przebudować na dom dla gości – nie żeby ich szczególnie często przyjmował albo zamierzał przyjmować. Tak czy owak, budowla została gruntownie przebudowana, a on nie szczenił kosztów na odnowę i wygodne urządzenie.

Z myślą o tylko jednym gościu – tym, który spędził tu poprzednią noc.

Maris podniosła głowę, napotkała jego spojrzenie. Uśmiechnęła się i pomachała mu ręką. Pomachała? Nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz ktoś do niego machał. Czując się dość idiotycznie, uniósł rękę i odpowiedział takim samym gestem.

Weszła do oranżerii przez rozsuwane drzwi.

– Dzień dobry.

– Cześć.

Skórę miała lekko połyskującą od wilgoci. Pachniała kwiatowym mydłem, chyba magnoliowym. Trzymała kartki jego powieści.

– Jak tu pięknie! – wykrzyknęła, trochę zdyszana. – Wczoraj było za ciemno,

żebym mogła w pełni docenić piękno twojej posiadłości. Ale teraz, kiedy zobaczyłam ją w pełnym świetle, rozumiem już, dlaczego się w niej zakochałeś. – Spojrzała na rozległy zielony trawnik, na plażę białą jak z cukru i roziskrzony Atlantyk. – Tu jest cudownie. Tak spokojnie.

– Zapomniałem o suszarce.

Odruchowo założyła pasmo wilgotnych włosów za ucho.

– Szukałam, ale nie mogłam znaleźć. Jest tak ciepło, że z przyjemnością wyszłam z mokrą głową. Zresztą suszarka to jedyne, czego brakowało w domku. Znakomicie go wyremontowałeś.

– Dziękuję.

Przyjrzał się jej bacznie, a ona, zgodnie z jego zamierzeniami, jeszcze bardziej straciła pewność siebie.

– Meble są przepiękne. Szczególnie podobało mi się łóżko z kutego żelaza i wanna na lwich łapach.

– Pomysł Mike'a.

– Bardzo dobry.

– Tak, on to lubi. Żelazne łóżka, wanny na dziwnych nożach, kominki.

– Ma wycucie szczegółu.

– Aha.

Przez chwilę milczeli. Potem odezwali się w tym samym czasie.

– Masz mokrą bluzkę – powiedział on.

– Przeczytałam ten rozdział – powiedziała ona.

– I co sądzisz?

– Bluzkę?

– Jest mokra.

Spojrzała na siebie i zrozumiała, co przyciągnęło jego uwagę: była ubrana w tę samą bluzkę i spódnicę, w których przyjechała. Po kolacji Mike nalegał ze wszystkich sił, by zanocowała w domku gościnnym. Wreszcie przyjęła zaproszenie, ale ze względu na późną porę sprowadzenie walizki z hotelu w Savannah było niemożliwie. Dlatego dziś rano miała na sobie to co wczoraj, z wyjątkiem marynarki, którą zabrała, nie pamiętając o różnicy klimatów. Na wilgotnej bluzce odciskał się wyraźnie kształt biustonosza.

Zwinęła kartki maszynopisu. Gdyby tego nie zrobiła, chybaby się nimi

zasłoniła jak tarczą.

– Wczoraj zrobiłam małą przepierkę.

Małą. Gdyby zrobiła dużą, w czym by spała? Na myśl o tym Parker poczuł, że robi mu się gorąco.

– I bluzka jeszcze nie wyschła – dokończyła Maris słabo.

– Wilgoć w powietrzu.

– Chyba tak.

Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Potem Maris odwróciła wzrok. Była zażenowana – a to było dobre. A nawet wspaniałe. Chciał, żeby czuła się wytrącona z równowagi. A jeśli Mike tego nie aprobuje, niech się powiesi.

Wychylił się ku niej, wyciągnął rękę i wziął kartki z tekstem.

– Przeczytałaś?

– Trzy razy.

Zmarszczył brwi.

– Mam parę uwag.

Uniósł głowę w wyzywającym geście.

– Kto ma ochotę na śniadanie? – odezwał się Mike.

Pojawił się w drzwiach, pchając przed sobą wózek z talerzami pełnymi jajecznicy na bekonie i kawałków melona. Biskopki, prosto z piekarnika, spoczywały w wyścielonym serwetką drucianym koszyku. Sosjerka była wypełniona po brzegi, a w salaterce parującej owsianki leżał plasterek roztopionego masła.

Na ten widok Parker poczuł głośnie burczenie żołądka i ślinę napływającą mu do ust. Mike wybrał sobie chwilę najgorszą z możliwych, co bez wątpienia nie było przypadkiem. Zwłaszcza że unikał jego spojrzenia.

– Dobiorę się do ciebie, stary – powiedział Parker.

– Co? – Mike zdziwił się niewinnie.

Parker rzucił mu tylko znaczące spojrzenie, którym Mike zupełnie się nie przejął. Zaprosił Maris do małego stolika, na którym Parker czasem jadał posiłki, kiedy nie chciał na dłużej przerwać pracy.

– Dobry Boże... – Maris patrzyła z obawą na talerz, który napełniał Mike. – Zwykle zadowolam się bajgłem i kawą.

Mike prychnął pogardliwie i przypomniał jej, że śniadanie jest najważniejszym

posiłkiem dnia.

– Lubisz owsiankę?

– Nie jestem pewna. Co to jest owsianka? – Parker roześmiał się wraz z Mikiem, kiedy przełknęła pierwszą łyżkę specjału. – Pewnie można się przyzwyczaić – wykrztusiła.

– Rozłam biszkopt i podsuń mi go, to go poleję sosem – zarządził Mike.

Także sos bekonowy był dla niej nowością, ale uznała, że jest przepyszny.

– Jecie tak codziennie?

– To specjalna okazja – odparł Mike.

– Chce zrobić na tobie wrażenie – mruknął Parker.

– I udało mu się.

Uśmiechnęła się do Mike'a tak, że serce powinno mu stopnieć w ułamku chwili, a Parker na ten widok poczuł irracjonalną zazdrość.

– Zrobiłby lepsze, gdyby nie zapomniał zostawić suszarki do włosów w domku gościnnym – wymamrotał w talerz.

Maris i Mike gawędzili swobodnie o tym i owym, nie spiesząc się zjedzeniem. Parker wymiół swój talerz w rekordowym czasie. Czując, że nie może spokojnie usiedzieć w miejscu, ruszył do kuchni.

– Nie, nie wstawaj – rzuci! Mike'owi. – Ja przyniosę.

I wrócił z dzbankiem kawy, chybotającym się na tacy na jego kolanach.

Napełnił filiżanki i czekał niecierpliwie, podczas gdy oni Przedyskutowali szczegółowo kwestię uprawy rododendronów, jakby te kwitnące drapaki w ogóle kogoś obchodziły. Przeczekał też rozważania o wyższości Kotów nad Bulwarem Zachodzącego Słońca oraz pasjonującą debatę nad problemem przyjmowania kobiet do NBA. Wreszcie nie wytrzymał.

– Możemy wreszcie porozmawiać o mojej książce?

– Po co ten pośpiech? – spytał Mike.

– Tu nie hotel.

– A szkoda. – Mike zaczął zbierać talerze, układając je na łóżku. – Przynajmniej miałbym od czasu do czasu jakieś miłe towarzystwo.

– Ja jestem miły.

– Jak wysypka.

Parker roześmiał się, zmiął serwetkę i rzucił ją na wózek jak piłkę do kosza.

– Pospiesz się z tymi talerzami i wracaj. Spełniłeś obowiązki gospodarza, ale wiem, że aż cię skręca, żeby usłyszeć, co Maris ma do powiedzenia.

Mike wyszedł, mamrocząc pod nosem.

– Nie chciałbym wiedzieć, co tam o mnie mamrotał – odezwał się Parker, kiedy Mike oddalił się na tyle, żeby go nie słyszeć.

– Jesteście spokrewnieni?

– Nie dosłownie.

– On cię kocha.

Parker spojrział na nią ostro. Przekonał się, że Maris z niego nie szydzi, więc przelknął ciętą odpowiedź. Chwilę myślał nad jej logicznym stwierdzeniem i odparł powoli:

– Tak. Chyba tak.

– Nigdy ci to nie przyszło do głowy?

– Nigdy nie ubrałem tego w słowa.

– Zawsze się tobą zajmowałem?

– Nie.

– Ale od czasu wypadku...

– Jakiego wypadku?

Zrobiła gest w stronę jego wózka.

– Myślałam...

– Dlaczego myślałaś, że to był wypadek?

– A nie był?

Mike pojawił się w drzwiach, ale wyczuwając, że trafił na poważną rozmowę, przystanął w progu. Parker zaprosił go do środka. Tym razem pojawił się w samą porę. I znowu chyba nie przypadkiem. Mike Strother nie miał w zwyczaju pozostawać na marginesie ważnych wydarzeń.

Parker odetchnął głęboko, odwrócił się do Maris siedzącej na ratanowej sofie i powiedział:

– No, to miejmy to już za sobą.

Roześmiała się.

– To nie egzekucja.

– Nie?

– Zdecydowanie. Piszesz dobrze. Bardzo dobrze. – Zrobiła pauzę, powiodła wzrokiem od niego do Mike'a i z powrotem.

– Dlaczego mam wrażenie, że w najbliższej przyszłości usłyszę „jednak...”?

Uśmiechnęła się.

– To wspaniały szkic.

Mike odkaslnął cicho i spojrzał na swoje buty.

– Szkic?

– Wspaniały. – Oblizła wargi. – Ale... Powierzchnowy. Nie sięgnąłeś dość głęboko.

– Ach, tak.

– To nie jest zła wiadomość.

– Dość kiepska.

Odwrócił się z fotelem, podjechał do oszklonej ściany i spojrzał na łagodne fale, obmywające biały jak cukier piasek plaży. Na Świętej Annie nigdy nie było dużych fal, a szczególnie w taki dzień, kiedy wiatr nie zasługiwał na swoją nazwę.

– To, co przeczytałam do tej pory, wcale mnie nie zniechęciło – dodała Maris.
– Wręcz przeciwnie.

Mówiła jeszcze ciszej, onieśmielona ciężkim milczeniem. Z kuchni dobiegał bulgot zmywarki, ale poza tym w domu panowała zupełna cisza.

Ramiona Parkera zaczęły drżeć. Maris zaniepokoiła się w ułamku chwili.

– Och... proszę, nie...

Nagle odwrócił się i spojrzał na Mike'a, który także wybuchnął śmiechem.

– Wygrałeś, stary draniu! Pięćdziesiąt dolarów, szlag by cię trafił.

– Mówiłem – odparł Mike, chichocząc. – Mam wyjątkowe wyczucie.

– I wyjątkowy dar aliteracji.

Mike skłonił się dumnie.

Maris spiorunowała ich obu wzrokiem. Podparła się pod boki – czego naprawdę nie powinna robić, ponieważ mokry materiał przywarł jej mocniej do piersi, ujawniając szczegóły koronkowej garderoby.

– Widzę, że jestem obiektem jakiegoś prywatnego żartu. Zechciecie mnie uprzejmie poinformować, co się dzieje?

– To właściwie nie jest żart. – Mike opanował śmiech i nawet zdołał przybrać nieco zażenowaną minę. – Raczej eksperyment. Test.

– Test?

– Parę miesięcy temu przeczytaliśmy artykuł o tobie. Uznałem, że jesteś profesjonalnym, zdolnym redaktorem i wydawcą. Ale Parker powiedział, że prawdopodobnie ojciec ci kupił ten tekst...

– Użyłem słowa „przekupił”...

– ...oraz ludzi, którzy go napisali.

– Co tłumaczyło ten pochlebny ton.

– Powiedział, że z całą pewnością jedziesz na reputacji swojego ojca, że jesteś za młoda i... eee... zbyt niedoświadczona...

– Użyłem słowa „płytką”.

– ...żeby odróżnić dobry tekst od złego. Że prawdopodobnie czytujesz tylko artykuły w gazetach...

– Artykuły o wielokrotnych orgazmach.

– I że pewnie nie odróżnisz dobrej książki od dobrego... hm...

– Dopowiedz sobie resztę – dodał Parker z anielskim uśmiechem.

Słuchała, nie odzywając się i nie zmieniając wyrazu twarzy. Teraz powoli odwróciła się do Parkera, a on wreszcie przekonał się, że ludzkie oczy naprawdę mogą miotać pioruny.

Oczy Maris miały kolor szarego błękitu, jak deszczowe chmury, które w letnie popołudnia nadciągały z zachodu i miłosiernie zasłaniały palące słońce. Były łaskawe ludziom, ich gwałtowność nie trwała długo. Ale choć przelotna, czasem stawała się przerażająca. Oczy Maris pociemniały jak chmura, z której za chwilę padnie piorun.

– Nie dziwię się, że się wkurzyłaś. – Wzruszył ramionami bez skruchy. – Zrobiłem wszystko, co mogłem, powiedziałem wszystko, co mi przyszło do głowy, żeby cię zniechęcić do przyjazdu. Ale i tak przyjechałaś. Wczoraj, kiedy... – Zerknął na Mike'a i natychmiast postanowił nie wspominać o pocałunku. – ...kiedy chciałem cię przekonać do wyjazdu, postanowiłaś zostać.

Nie zasłużył na jej wybaczenie.

– Niepoprawny z ciebie sukinsyn, prawda?

– Prawda, prawda – zgodził się.

– Chciałeś mnie oszukać.

– Moja wina.

– Gdybym zaczęła opowiadać, jakim jesteś świetnym pisarzem, wiedziałbyś, że nie mówię szczerze.

– Albo że jesteś kiepskim wydawcą.

– Ale ja się na tobie poznałem – wtrącił Mike. – Czytałem książki, które redagowałaś. Powiedziałem Parkerowi, założyłem się z nim o pięćdziesiąt dolarów, że jego opinia jest niesprawiedliwa i zwyczajnie fałszywa.

Maris słyszała go, ale nawet na niego nie spojrzała. Jej wściekłość skupiła się na Parkerze. Uśmiechał się z zadowoleniem, jak aligator, który właśnie pożarł całe gniazdko kacząt – i dobrze wiedział, że tym uśmiechem jeszcze bardziej ją rozwścieczy.

– Teraz żałujesz, że przyjechałaś? Chcesz zadzwonić po łódź, żeby po ciebie przypląnęła?

Odrzuciła do tyłu wilgotne włosy.

– Co spowodowało śmierć ojca Todda?

Serce Parkera zatrzepotało z radości i ulgi. Za wrednym uśmiechem ukrywał niepokój, który dręczył go przez cały dzień.

– Umarł nagle czy w wyniku przewlekłej choroby?

– To znaczy, że nadal jesteś zainteresowana?

– Czy Todd przeżył ciężko jego śmierć, czy był zadowolony, że to już koniec? Czy ojciec był jego idolem? A może ta śmierć wyzwoliła go od wieloletniej psychicznej udręki?

Przysunęła się do niego z fotelem, wyrwała mu kartki rozdziału z ręki, usiadła.

– Rozumiesz, do czego zmierzam?

– Postacie muszą obrosnąć ciałem.

– Dokładnie. Skąd pochodzą? Z jakich rodzin? Bogatych, biednych, średnio zamożnych? Czy wychowano ich podobnie, czy ich dzieciństwo było krańcowo różne? Wiemy, że obaj chcą być pisarzami, ale nie powiedziałaś, dlaczego. Zwyczajnie z miłości do książek? A może dla Roarka jest to katalizator, sposób wyrzucenia z siebie gniewu? Może to panaceum na nieszczęśliwe życie Todda?

– Panaceum?

– Słuchasz mnie?

– Później poszukam w słowniku.

– Dobrze wiesz, co to znaczy – warknęła.

Znowu się uśmiechnął.

– Tak. – Kątem oka zauważył, że Mike wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Maris jeszcze nie straciła rozpedu.

– Życie w tej siedzibie bractwa...

– Więcej napisałem w drugim rozdziale.

– Jest drugi rozdział?

– Pracowałem nad nim dziś rano.

– Świetnie. Pierwszy mi się podobał. Bardzo. Jest pełen życia. Czytając, czułam zapach przepoconych skarpetek. – Wzdrygnęła się delikatnie. – A ten numer ze szczoteczką do zębów...

– Tak?

– Jest niemal zbyt obrzydliwy, żeby być fikcją. Osobiste doświadczenie?

– Co jeszcze trzeba zmienić?

– Ach, rozumiem. Pytania osobiste są zakazane.

– Jeśli wczoraj uprałaś bieliznę, to w czym spałaś?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie.

Zamknęła je tak mocno, że usłyszała ciche szczęknięcie zębów. Parker przechylił głowę i zmrużył oczy, jakby chciał się jej przyjrzeć uważniej.

– W niczym, tak?

Spuściła oczy, spojrzała w dół... na jego biodra. Miał ochotę powiedzieć: tak, funkcjonuje jak dawniej, ale jeśli jesteś ciekawa, może go dotkniesz i sama sprawdzisz? Nie odezwał się, bo wtedy mogłaby jednak wezwać łódź.

– Już rozumiem – szepnęła. – Żadnych pytań osobistych.

Znowu wzięła strony maszynopisu, przekartkowała je, przejrzała notatki nagryzmołone na marginesach.

– Chciałabym, żebyś rozwinął... hm, właściwie wszystkie wątki. – Podniosła głowę, by sprawdzić jego reakcję, a kiedy nadal trwał z kamienną miną, wyprostowała się z westchnieniem. – Wszystko to przewidziałeś, prawda? Wiedziałeś, co powiem.

Skinał głową.

– Prześliznąłem się po powierzchni, tak jak powiedziałaś.

– Żeby wypróbować moje kompetencje.

– Hmm...

– To był egzamin.

– Coś w tym rodzaju.

Uśmiechnęła się dzielnie. Starła się być dobrym kumplem, traktowała go lepiej, niż zasługiwał. Wolałby, żeby zaczęła się pieklić, zwymyślała go od najgorszych, dała mu w pysk. Byłoby mu łatwiej, gdyby okazała się suką równie podłą, jak on podłym sukinsynem. Wtedy można by mówić o równowadze. Ale ona była z zupełnie innej bajki i nawet o tym nie wiedziała.

– Mogłabyś powiedzieć nam, że możemy iść się dymać.

– Ojciec nigdy by mi nie wybaczył takiego wyrażenia.

– Jesteś córeczką tatusia?

– Bardzo. Bo to dobry tatuś. Dżentelmen i uczony. Spodobałbyś się mu.

Roześmiał się szorstko.

– Nie, jeśli jest dżentelmenem.

– Mylisz się. Spodobałaby mu się twoja bezczelność. Pewnie powiedziałały, że masz jaja.

Uśmiechnął się.

– Swój chłop.

– Przeczytał twój prolog, który mu się spodobał. To on mnie zachęcił, żebym się nim zajęła.

Machnął ręką w stronę zadrukowanych kartek.

– Więc się nim zajmij.

Znowu zajrzała do notatek.

– Nie spiesz się. Nie musisz się ograniczać. Skróty i robotę redakcyjną zostaw mnie, to moja działka. Nie musisz od razu w pierwszych rozdziałach ujawniać wszystkich informacji o pochodzeniu bohaterów. Mogą się pojawiać od czasu do czasu, ale musisz wiedzieć, jak wyglądało ich życie, zanim się spotkali.

– Już wiem. – Postukał się w skroń. – Mam to tutaj.

– Świetnie. Ale czytelnik nie jest jasnowidzem.

– Rozumiem.

– Na razie to tyle.

Wyrównała kartki, położyła mu na kolanach.

– Cieszę się, że zdałam ten twój głupi egzamin – powiedziała szczerze. – Brakowało mi udziału w tym etapie tworzenia. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo, dopóki nie zaczęłam czytać tego rozdziału. Uwielbiam kształtować historię, naradzać się z pisarzem, zwłaszcza utalentowanym.

Wskazał siebie.

– I ten utalentowany pisarz to ja?

– Zdecydowanie.

Jej spojrzenie, tak szczerze i niewinne, obudziło w nim poczucie winy. Spojrzał na ocean, żeby nie patrzeć w te oczy, nie czuć... nie czuć, kropka.

Może jednak i on był z innej bajki.

Pochyliła się ku niemu, dotknęła jego kolana, zniżyła głos niemal do szeptu.

– Pewnie dalej nie chcesz mi powiedzieć, który z nich...

– Przestań, dobra? – Odsunął się od niej z fotelem, podjechał do komputera. – Mam cholerną redaktorke, która właśnie zwała mi na łeb upiorną masę roboty.

Ten wtorkowy poranek na dwa dni przed Świętem Dziękczynienia był pochmurny i zimny. Jak na komendę, jakby pieczony indyk i ciasto z dyni były niekompatybilne z ciepłem, tuż przed świętem nadciągnął zimny front i strącił słupki rtęci w termometrach.

Roark nastawił budzik na wpół do ósmej. Za kwadrans ósma był już ogolony, wykąpany i ubrany. Za dziesięć ósma zszedł do jadalni, gdzie wypił kawę, przeglądając maszynopis i zastanawiając się, jak bardzo profesor Hadley będzie się zęcać nad tekstem, w który włożył całe serce i duszę.

Nastrój całych świąt zależał od wyniku tej rozmowy. Roark miał przed sobą albo długi, spokojny weekend spędzony ze świadomością, że jego praca zyskała aprobatę profesora, albo też taplanie się w bagnie nieszczęścia zwanym zwątpieniem we własne siły.

Tak czy owak, nie mógł już znieść dalszego czekania. Wkrótce pozna wyrok. Bez względu na to, czy opinia Hadleya będzie dobra, zła czy jeszcze gorsza, przyjmie ją z ulgą. Ta niepewność go wykańczała.

– Podać słodką bułeczkę?

Spojrzał na Mamę, stojącą obok niego.

– Pewnie, dzięki.

Tuż po złożeniu studenckiego ślubowania Roark oznajmił, że gospodyni siedziby ich organizacji jest najnieszczęśliwszą kobietą na świecie. Pani Brenda Thompson porzuciła spokojne życie wdowy i dobrowolnie wprowadziła się do dwupiętrowego domu, zamieszkanego przez osiemdziesięciu dwóch młodzińców, zachowujących się jak recydywiści na dziewięćmiesięcznych wakacjach.

Nie szanowali niczego, ani ludzi, ani dóbr osobistych. Nie znali świętości – ani Boga, ani ojczyzny, matki, siostry czy ukochanego zwierzaka. Ogłosili sezon myśliwski na wszystko i wszystkich bliskich sercu. Można było sztydzić z nich do woli.

Zachowywali się jak stado wieprzy. Jak to zwykle leży w zwyczaju samców Homo sapiens, gdy znajdują się w grupie liczącej ponad dwie osoby, tych osiemdziesięciu dwóch osobników cofnęło się w rozwoju do poziomu jaskiniowców, przy których neandertalczykowie stanowiliby szczyt wyrafinowania. W siedzibie bractwa robili dokładnie wszystko, czego matki zakazywały im w domu. Z

fanatycznym oddaniem i rozkoszą celebrowali swoje złe zachowanie.

Pani Thompson, dama spokojna i pełna godności, znosiła ich skandaliczne słownictwo i jeszcze bardziej skandaliczne nawyki. Jej macierzyńska natura sprawiała, że chłopcy chętnie powierzali jej swoje sekrety i zwierzali się z rozterek. Ale w przeciwieństwie do rodziców nie usiłowała im narzucić dyscypliny.

Przymykała oczy na picie, przeklinanie i rozpustę, której oddawali się z dzikim entuzjazmem. Bez słowa skargi znosiła muzykę, wstrząsającą budynkiem w posadach. Mogli nie zmieniać pościeli przez cały semestr albo dłużej. Kiedy wycięli inicjały bractwa na sierści kota, należącego do dziewczyny, która odtrąciła jednego z nich, Mama powiedziała tylko, że litery są bardzo kształtne. W jej obecności, zwłaszcza w środę wieczorem podczas jedyne go oficjalnego posiłku w tygodniu, kiedy obowiązywały marynarki i krawaty – wspomnienie cywilizacji – usprawiedliwiali się za przekleństwa, beknięcia i pierdnięcia obowiązkowym i niekoniecznie szczerym „przepraszam, Mamo”. Odpowiadała lekkim cierpliwym uśmiechem i zawsze wybaczała, choć już za chwilę robili to samo.

Mieli w niej Wymarzoną Mamę.

Roark podejrzewał, że cieszył się jej specjalnymi względami, choć nie miał pojęcia dlaczego. Był równie ordynarny i niegrzeczny jak inni. Na imprezie na pierwszym roku upił się do nieprzytomności, zasnął pod pianinem w salonie na parterze i obudził się, niemal uduszony wymiotami śmierdzącymi Jackiem Danielsem.

Pani Thompson nadeszła w długiej flanelowej koszuli nocnej i bamboszach, pogłaskała go po ramieniu i spytała, jak się czuje

– Świetnie – wybełkotał, choć nie była to prawda.

Z godnością i skromnością zakonnicy wzięła koc, którym ktoś przykrył nadmuchiwaną lalkę, anatomiczną obscenę i maskotkę bractwa, i narzuciła go na Roarka, skostniałego z zimna chorego jak pies i śmierdzącego pod niebo.

Od tamtej nocy traktowała go ze szczególną czułością. Może dlatego, że wytrzeźwiał, podziękował jej za dobroć i przeprosił, że ją obudził. Albo dlatego, że wyczyścił na własny koszt dywan spod pianina. Nikt inny tego nie zauważył – ani zabrudzenia, ani odczyszczenia. Nikt z wyjątkiem pani Thompson. Być może te ustępstwa na rzecz przyzwoitości przekonały ją, że jest dla niego jakaś nadzieja, że przynajmniej on wyniósł z domu pewne zasady.

– Wstałeś wcześniej niż zwykle, co? – odezwała się, stawiając kolo niego pączka z galaretką na papierowym talerzyku.

Zwykle nie podawała chłopcom posiłków. Obsługiwali się sami w jadalni, wybierając z kotłów to, na co mieli ochotę, a co ponury kucharz ładował im na talerze

z taką samą niechęcią, jakby napętniał koryto.

– Mam dziś spotkanie z promotorem – wyjaśnił. Ze względu na nią nie oblizał palców, lecz wytarł je serwetką.

Wskazała na maszynopis.

– To ta książka, którą masz przedstawić na koniec studiów?

– Zgadza się. Na razie tyle, ile zdążyłem napisać.

– Na pewno będzie bardzo dobra.

– Dziękuję, Mamo. Mam nadzieję.

Życzyła mu powodzenia i podeszła do drugiego chłopca, który właśnie ociężale przyczłapał do stołu. Był najprzystojniejszym facetem w domu, dziewczyny leciały do niego jak ćmy do ognia. Bracia mieli wielką ochotę zniechęcić go za to niezastuzone szczęście, ale był zbyt sympatyczny, żeby im się to udało. Zamiast wykorzystywać swoją urodę, starał się ją zatuszować. Zwykle jakby się jej wstydział. Podniósł kształtną głowę o podbródku przedzielonym subtelnym rowkiem, skinął nią Roarkowi.

– Co jest, Szekspir?

– Co jest, RB?

Wszyscy mieszkańcy domu mieli swoje ksywki, a oficjalnym powitaniem było „co jest?”, na co nie należało odpowiadać. Tego wymagał fason.

Roark – co akceptowali wszyscy z wyjątkiem Todda – był nadany Szekspirem. Bracia wiedzieli, że lubi pisać, a William Szekspir był jedynym pisarzem, którego potrafiliby wymienić, gdyby ktoś przystawił im pistolet do głowy. Nigdy nie usiłował im tłumaczyć, że Szekspir pisał sztuki białym wierszem, podczas gdy on parał się prozą. Niektóre zagadnienia były po prostu zbyt złożone, by bracia mogli je pojąć, zwłaszcza ci, którzy poproszeni na wykładach języka angielskiego, by rozpoznali wieszczą na podstawie portretu, odpowiedzieli: „Co, mam znać na pamięć wszystkich prezydentów?”.

Przydomek mile łechtał próżność Roarka, ale tego ranka wydawał mu się rozpaczliwie nieadekwatny. Zerknął na zegarek; miał kwadrans na dotarcie do gabinetu Hadleya. To więcej niż dość. Dopił kawę do końca, wsadził maszynopis w zniszczone okładki, okładki schował do plecaka i wyszedł z jadalni.

Dopiero na zewnątrz spostrzegł, że przez noc pogoda zmieniła się drastycznie. Lodowaty wiatr sprawił, że temperatura spadła do zera, nie na tyle, by skuć lodem staw w środku miasteczka akademickiego, ale tak, że pożałował, iż nie włożył cieplejszej kurtki.

Budynek Katedry Literatury był, jak większość w miasteczku, utrzymany w stylu georgiańskim. Starszy i bardziej okazały niż nowsze budowle, miał szeroki biały portyk z sześcioma białymi kolumnami. Starą ceglaną ścianę północną całkowicie porastał bluszcz, który za parę dni miał zmienić kolor z zielonego na rudy.

Ledwie budynek pojawił się na horyzoncie, Roark przyspieszył kroku, bardziej dla rozgrzewki niż z obawy przed spóźnieniem. Mimo konserwatywnego wychowania i regularnego chodzenia do kościoła co niedziela natura, istnienie i istota Najwyższego były mu całkowicie obojętne. Nie miał pojęcia, czy istota obdarzona boską wszechwiedzą jest zainteresowana codziennymi potyczkami Roarka Slade'a. Ale dziś nie mógł odrzucać żadnego dostępnego wsparcia, więc zbliżając się do białego portyku, zaczął pospiesznie odmawiać naprędce skleconą modlitwę.

W nozdrza uderzył go swąd starych pieców. Najwyraźniej dziś kotłownia pracowała pełną parą, ponieważ w budynku panowała nieznośna duchota. Roark zdjął plecak i kurtkę, wbiegano po schodach na pierwsze piętro.

Pod salą spotkał kilku innych studentów, którzy także chodzili na konsultacje u profesora. Jeden, chudy jak patyk hipis z długimi włosami i w różowych lenonkach, podszedł do niego rozkołysanym krokiem.

– Sie ma, Slade.

Tylko dziewczyny mówiły mu po imieniu. Wyjąwszy Todda na terenie uniwersytetu nie było chyba ani jednego chłopca, który by je znał.

– Pójdziemy na kawę? Zbieramy się przed egzaminami. O dziesiątej.

– Nie wiem, czy zdążę. Idę do Hadleya.

– Teraz?

– Zaraz.

– Oż, kurwa, ale masz. Powodzenia.

– Dzięki. Na razie.

– Na razie.

Ruszył dalej. Nie trzeba było jeść tego pączka. Leżał mu w żołądku jak kula do kręgli. Po kawie czuł w ustach kwaśny smak; zwymyślał się od idiotów za to, że zapomniał miętowej pastylki. Pod salą numer 207 przystanął, żeby wziąć głęboki oddech. Drzwi były lekko uchylone. Wytarł mokrą dłoń o nogawkę spodni i zapukał lekko.

– Proszę.

Profesor Hadley siedział za biurkiem. Nogi w butach z brązowego zamszu

opierał na otwartej górnej szufladzie. Na kolanach miał stertę tekstów, inne zajmowały wszystkie wolne powierzchnie w sali. Niezliczone drzewa poświęciły życie, by zappełnić gabinet Hadleya. Biorąc pod uwagę ilość papieru przypadającą na każdy centymetr kwadratowy, prawdopodobnie był on najpoważniejszym na świecie rynkiem zbytu papieru.

– Dzień dobry, panie profesorze.

– Witam.

Wydawało mu się, czy w głosie Hadleya brzmiała uraza?

Profesor nigdy nie zachowywał się szczególnie przyjaźnie. W przeciwieństwie do niektórych wykładowców, nie bratał się ze studentami. Szczerze mówiąc, z zasady traktował ich z ledwie maskowaną pogardą. Nawet pozytywna nota z wypracowania nie zmieniała jego nastawienia.

Jego metoda pedagogiczna miała na celu doprowadzić do tego, by student poczuł się zupełnym ignorantem. Dopiero strąciwszy go z piedestału samouwielbienia i strzaskawszy ów piedestał na pył, Hadley mógł osiągnąć swój cel i nauczyć studenta czegoś nowego. Zdawał się wierzyć, że upokorzenie wyostrza pojętność.

Roark wszedł do ciasnego gabinetu, powtarzając sobie, że ta opryskliwość jest zwykłym zachowaniem Hadleya i nie powinien brać jej sobie do serca.

– Nie, proszę nie zamykać drzwi – rzucił Hadley.

– O... przepraszam.

Roark przytrzymał zamykające się drzwi.

– I słusznie.

– Słucham?

– Ma pan problemy ze słuchem?

– Ze słuchem? Nie.

– Więc usłyszał pan dobrze. Rzeczywiście, powinien mnie pan przeprosić. Jest pan... – zerknął na coś ponad lewym ramieniem Roarka – ...spóźniony o pięćdziesiąt sześć i pół minuty.

Roark się odwrócił. Na ścianie za jego plecami wisiał zegar. Biała tarcza. Surowe czarne cyfry. Sekundnik. Krótka wskazówka dochodziła do dziewiątej. Wskazówka minutowa była oddalona o trzy kreski od dwunastki.

Stary zwariował, pomyślał Roark. Coś go odmózdżyło. Może zatrut się

wyziewami papieru. Jest coś takiego?

Odchrząknął.

– Bardzo przepraszam, panie profesorze, ale jestem na czas. Mieliśmy się spotkać o dziewiątej.

– O ósmej.

– Tak, na początku. Ale przecież zadzwonił pan i przelożył spotkanie...

– Zapewniam pana, że moja pamięć jest w doskonałym stanie. Nie dzwoniłem do pana. – Hadley tyknął na niego spod krzaczastych brwi. – Mieliśmy się spotkać o ósmej.

Rozdział dziesiąty

Starość. Aż do niedawna Daniel Matherly uważał się za człowieka w kwiecie wieku. Nie przyjmował do wiadomości, że może być inaczej. Listów od funduszy emerytalnych w ogóle nie otwierał, odmawiał korzystania ze zniżek dla seniorów. Ale ostatnio było mu coraz trudniej dyskutować z własnym odbiciem w lustrze, a reumatyzm udowodnił mu, że z całą pewnością jest już... dojrzałym seniorem.

Dziś, siedząc za biurkiem w domowym gabinecie, poczuł się rozbawiony takimi myślami. Jeśli refleksja nad swoim życiem nie była dowodem zaawansowanego wieku, to co nim było? To nadmierne zainteresowanie stanem degenerującego się ciała było niezaprzeczalnym dowodem jego degeneracji. Kto inny interesuje się takimi sprawami, jeśli nie starcy?

Młodzi nie mają na to czasu. Nie zastanawiają się nad śmiercią, bo są zbyt zajęci życiem. Kształceniem się. Zdobywaniem pozycji. Zawieraniem lub zrywaniem małżeństw. Wychowywaniem dzieci. Myśl o śmierci ich nie niepokoi. „Śmiertelność tylko słowo, odłożone na półkę, na kiedyś, na jakąś odległą przyszłość. Od czasu do czasu zerkają na nie i czują się nieswojo, ale pospiesznie zwracają uwagę na coś innego, nie na umieranie.

Jednak odległa przyszłość bezlitośnie podpełza coraz bliżej – aż nadchodzi ten dzień, kiedy nie można już odkładać temat śmiertelności na potem, kiedy trzeba zdjąć go z półki i przyjrzeć się mu z bliska. Daniel nie był przesadnie skupiony na nieuniknionym, ale wiedział, że nadszedł czas, by się nim zająć i rozważyć wszystkie jego implikacje.

Wierna Maxine sądziła, że co noc zapadał w spokojny sen, ale przynajmniej tu zdołał ją wywieść w pole. Kiedy powiedział Maris, że śpi jak dziecko, nie miała powodu mu nie wierzyć. Jako młodzieniec nigdy nie potrzebował więcej niż cztery, pięć godzin snu. Z wiekiem ten limit się skurczył. Teraz, jeśli miał szczęście, przesympiał dwie do trzech godzin.

Resztę czasu spędzał w łóżku, czytając ukochane książki – klasyczne powieści, które pożerał jako chłopiec, bestsellery, których szczęście opublikowania przypadło innym wydawnictwom. książki, które sam wydał i opracował.

A kiedy nie czytał, zastanawiał się nad swoim życiem, myślał o chwilach dumy i, szczerze powiedziawszy, także tych, które tej dumy mu nie przysparzały. Często wracał myślą do szkolnego kolegi, który umarł na białaczkę. Gdyby urodził się kilkadziesiąt lat później, pewnie zostałby wyleczony, by przeżyć jeszcze wiele owocnych lat. Po dziś dzień Daniel tęsknił za nim i za przyjaźnią, która została im odebrana.

Przypominał sobie ból utraty pierwszej miłości kobiety, która wybrała innego

mężczyznę. Teraz rozumiał, że wybór tej młodej damy wyszedł na dobre im obojgu, ale wtedy był przekonany, że ból złamanego serca go zabije. Od dnia jej ślubu więcej jej nie zobaczył. Słyszał, że przeprowadziła się z mężem do Kalifornii. Był ciekawy, czy miała szczęśliwe życie. I czy jeszcze żyje.

Jego pierwsza żona była piękna; jej śmierć go zdruzgotała. Ale potem poznał Rosemary, i to ona stała się niewątpliwą miłością jego życia. Piękna, urocza, wdzięczna, utalentowana, inteligentna, doskonała towarzyszka życia i żarliwa kochanka. Wspierała go, kiedy spędzał długie godziny w pracy i zbył często tonął w sprawach zawodowych. Doceniał jej cierpliwość i poświęcenie, ale był przekonany, że nigdy nie udowodnił jej, jak bardzo ją ceni.

Z perspektywy czasu żałował, że obowiązki w Matherly Press trzymały go z dala od Rosemary. Chciałby, żeby te dni Wróciły. Wtedy postępowałby inaczej. Zmieniłby priorytety, poleciliby więcej czasu i energii rodzinie.

Albo też, szczerze mówiąc, dokonaliby tych samych błędnych wyborów, popełniliby znowu te same błędy.

Na szczęście nie miał sobie wiele do zarzucenia, choć w jego przeszłości było parę wydarzeń, których się naprawdę wstydził. Kiedyś doprowadził do zwolnienia wydawcy – ze złości z powodu głupiej różnicy zdań. Rozpuścił plotkę, że ów wydawca jest homoseksualistą, co w tamtych czasach nie było ani akceptowane, ani nawet tolerowane. Dał do zrozumienia, że jego życie osobiste ma negatywny wpływ na pracę – co było oczywistym kłamstwem. Wydawca był doskonałym fachowcem i wywiązywał się ze swoich obowiązków bez zarzutu.

Pomimo wysokich kwalifikacji nikt nie chciał go zatrudnić z powodu plotki Daniela. Wydawca stał się wyrzutkiem środowiska, które kochał; w końcu wyprowadził się z miasta. Daniel zrujnował jego obiecującą karierę i stracił wartościowego współpracownika. Ciężar tej winy miał nieść aż po grób.

Kilka lat po śmierci Rosemary zaangażował się w romans, z którego nie był dumny. Dla samotnego mężczyzny w średnim wieku, mieszkającego z nastoletnią córką, prowadzenie takiego romansu nie jest łatwe. Wymagało finezji i nieustannych kombinacji z czasem. Jego kochanka była zazdrosna o Maris. Stała się bardzo wymagająca, nieustannie zmuszała go do wyborów między nią i córką. Wreszcie postanowił, że odtąd jego głowa będzie rządzić zmysłami. Zdał sobie sprawę, że nie może pokochać kogoś, kto nie pokocha i nie zaakceptuje jego córki w pełni, całkowicie i bez zastrzeżeń. I romans dobiegł końca.

Przez dziesiątki lat utrzymał reputację doskonałego wydawcy. Wyglądało na to, że został pobłogosławiony darem szóstego zmysłu, podpowiadającego mu, które maszynopisy akceptować, a z których rezygnować. W czasie swoich rządów stukrotnie powiększył majątek firmy. Zarobił więcej pieniędzy, niż mógł wydać, więcej, niż Maris mogła wydać przez całe życie, i prawdopodobnie więcej, niż mogłyby wydać jej dzieci.

Pieniądze były miłym produktem ubocznym sukcesu, ale to nie one stanowiły dla niego motywację. Motywacją było zachowanie dla potomnych tego, co jego przodkowie stworzyli z takim wysiłkiem i trudem. Stał u steru rodzinnej firmy jako niespełna trzydziestolatek. Na jego barki spadł obowiązek jej zachowania i ulepszenia na użytek przyszłego pokolenia.

A pokoleniem tym była Maris. Jego największe osiągnięcia tysiąc razy cenniejsze niż Matherly Press; to dla niej czuł potrzebę obrony wydawnictwa przed wilkami, które z każdym rokiem stawały się większe i bardziej wygłodniałe. Oczywiście nie mógł jej obronić przed wszystkimi ciosami. Żaden rodzic nie może oszczędzić swemu dziecku zawodów, jakie niesie ze sobą życie – a nawet gdyby mógł. Byłoby to niesprawiedliwe. Maris musiała przeżyć życie po swojemu, a pomyłki i niepowodzenia są nierozzerwalną częścią życia.

Miał tylko nadzieję, że jej rozczarowania nie będą zbyt liczne, że triumfy i radości przyćmią je swoim blaskiem i kiedy Maris osiągnie jego wiek – jeśli będzie mieć szczęście tak długiego życia – spojrzy na minione lata co najmniej z taką samą satysfakcją jak on.

Nie bał się śmierci. W tajemnicy przed wszystkimi, z wyjątkiem Maxine, skontaktował się z księdzem. Rosemary była gorliwą i praktykującą katoliczką. On nigdy nie przeszedł na jej wiarę, ale przyswoił ją sobie jak przez osmozę. Żywił niezłomną wiarę, że spotkają się po tamtej stronie.

Nie bał się śmierci.

Bał się tylko, że umrze jako głupiec.

Było to zmartwienie, które zeszłej nocy okradło go z godzin snu. Głęboko zaniepokojony, nie mógł nawet spędzić godzin czuwania na czytaniu. Ranek nie przyniósł mu ukojenia.

Nie potrafił się otrząsnąć z wrażenia, że coś mu umyka, że ucieka mu jakieś słowo, czyn czy zachowanie, które wykryłby i rozszyfrował, gdyby był parę lat młodszy i miał bardziej przenikliwy umysł.

Czy to paranoja? A może symptomy nadchodzącej demencji?

Dziadek przed śmiercią nieustannie oskarżał pielęgniarkę, że go okrada. Pewnego razu orzekł, że to niemiecki szpieg, którego zadaniem jest likwidacja amerykańskich weteranów wojennych. Z całym przekonaniem upierał się, że gospodyni będzie miała z nim dziecko. I za nic nie dał się przekonać, że sześćdziesięciosiedmioletnia Angielka w żaden sposób nie może być w ciąży.

Czy jego czeka to samo? Czy jego dziwny, irracjonalny niepokój to pierwszy zwiastun nadciągającego zdziecinnienia?

Albo – i w to wolał wierzyć – może to oznaka, że nie utracił zdolności, że jest równie przenikliwy jak niegdyś i że intuicja, która zapewniła mu pięćdziesiąt lat

sukcesów na rynku wydawniczym, nadal go nie zawodzi?

Dopóki jego instynkt nie okaże się zawodny, nie ma powodu mu nie ufać. A instynkt podpowiadał mu, że coś jest nie tak. Wyrwał to coś, jak jeleni wyczuwa obecność myśliwego, oddalonego od niego o kilometr. Być może za bardzo martwi się tym, że Maris jest nieszczęśliwa. Myślała, że potrafi ukrywać przed nim swoje uczucia, ale się myliła. Wychwytywał sygnały dysharmonii w jej małżeństwie. Jej przyczyn i rozmiarów na razie nie znał, ale skoro wyraźnie martwiły Maris, martwiły i jego.

No i był też Noah. Bardzo chciał mu zaufać, zarówno jako protegowanemu, jak i zięciowi, ale tylko po warunkiem, że Noah na to zaufanie zasługuje.

Ze stęknieniem wysiłku wyprostował oparcie skórzanego fotela i wysunął szufladę biurka. Wyjął skórzany notes z licznymi kieszonkami, w jednej z nich znalazł wizytówkę. William Sutherland. Nic więcej. Żadnej nazwy firmy, żadnego adresu. Tylko nazwisko i numer telefonu, kanciaste granatowe litery i cyfry. W zamyśleniu przesunął po niej palcami. Odkąd ją otrzymał – było to parę tygodni temu – często się jej przyglądał. Na razie nie zadzwonił pod wskazany numer. Nie rozmawiał osobiście z panem Sutherlandem, ale po dzisiejszych rozmyślaniach doszedł do wniosku, że pora to uczynić.

To, co zamierzał zrobić, było podstępne i niegodne. Na samą myśl o tym czuł się zdrajcą. Oczywiście, nikt nie musi o tym wiedzieć. Chyba że – nie daj Boże – jego działanie przyniesie jakieś skutki. Ale pewnie nie. Prawdopodobnie jest przeczulony. Nie mógł sobie jednak pozwolić na beztroskę. Gra szła o zbyt wielką stawkę, by poczucie winy miało go powstrzymać przed działaniem. Postawiony wobec wyboru między sumieniem i ostrożnością musiał przyznać, że właściwie nie ma wyboru. Jak mówi przysłowie: Strzeżonego pan Bóg strzeże.

Sięgnął po telefon. Postanowił, że teraz będzie bardziej ostrożny, wyczulony na niuanse głosu i mimiki, bardziej skupiony na tym, co działo się wokół niego. Nie chciał być ostatnim, który się dowie... cokolwiek by to miało być.

Nie bał się śmierci. Bał się umrzeć jako głupiec.

– Uważaj, to się może w każdej chwili zawalić – ostrzegł Mike, przesuwając po gzymsie kominka drobnoziarnistym papierem ściernym.

– Skoro jest w takim stanie, to Parker chyba nie powinien tam wchodzić?

– No jasne, że nie powinien. Spróbuj mu to powiedzieć.

– Mike...

Wyczuł jej wahanie, odwrócił się do niej.

– Nieważne – dodała. – Nie powinnam o to pytać ani ciebie, ani Parkera.

– O co?

– O jego kalectwo.

– Nie, nie powinnaś.

Skinęła głową, odsunęła od siebie poważny nastrój.

– Jak się tam dostać?

– To może być niebezpieczne.

– Obiecuję, że ucieknę, jeśli zacznie się walić.

– Nie mówiłem o budynku. Parker nie lubi, żeby mu przeszkadzać.

– Zaryzykuję. Czy to na tyle blisko, żeby dojść pieszo?

– W Nowym Jorku dużo spacerujesz?

– Codziennie, jeśli pogoda pozwala.

– Więc jest blisko.

Wyjaśnił jej, którądy ma iść, i dodał jeszcze raz:

– Parker nie będzie zachwycony.

– Też tak myślę – odparła z cichym śmiechem.

Cały dzień spędziła w domu na czytaniu. Wreszcie oczy zaczęły ją boleć i uznała, że dobrze będzie wyjść na zewnątrz, choć w żaden sposób nie można było tego nazwać „świeżym powietrzem”. Upał był nieznośny, wilgoć jeszcze bardziej dokuczliwa. Słońce prażyło niemiłosiernie, nawet cień nie dawał wytchnienia od przygniatającego upału.

Mimo to wyspa promieniowała egzotyczną urodą, a klimat był jej logicznym uzupełnieniem. Potężne dęby emanowały wiekową, niemal mistyczną godnością, którą jeszcze bardziej potęgował kędzierzawy mech, zwisający z ich konarów. Zapach słonej wody i ryb nie był wcale nieprzyjemny, kiedy mieszał się z upajającą wonią kwitnących obficie kwiatów.

Maris minęła dom, stojący w sporym oddaleniu od drogi. Na podwórku bawiły się dzieci – chłopiec i dziewczynka, na tyle mali, że nie wstydzili się tańczyć wokół zraszacza. Skakali przez niego na zmianę, z radosnym piskiem. Koło innego domu w cieniu furgonetki leżał wielki pies. Maris przeszła obok niego, obserwując go nieufnie. Nie musiała się martwić. Pies dźwignął 1 ziemi wielki łeb. spojrzął na nią z kompletnym brakiem zainteresowania i znowu się położył. Na drodze nie spotkała

zadach samochodów. Towarzystwa dotrzymywały jej tylko cykady grające głośno pod osłoną gęstego listowia.

Opuszczona oczyszczalnia bawełny znajdowała się dokładnie tam, gdzie wskazał Mike, choć gdyby jego wskazówki były mniej precyzyjne, Maris mogłaby ją przegapić. Zarośla podpełzły pod budynek, las starał się odzyskać utracone tereny. Oczyszczalnia niemal zupełnie ginęła w zieleni. Od strony drogi prowadziła do niej alejka wysypana okruchami muszli. Właściwie nie była to nawet alejka. Maris przyjrzała się jej z powątpiewaniem. Miała najwyżej metr szerokości. Po jej obu stronach rosły wysokie chwasty. Maris spojrzała na swoje gołe nogi i zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście musi iść do oczyszczalni, skoro na wyspie jest tyle innych zachwalanych przez Mike'a interesujących miejsc.

– Cykor – mruknęła do siebie.

Rozejrzała się za jakimś patykiem, znalazła odpowiedni i ruszyła przed siebie, uderzając nim pochyłe chwasty. Chciała wypłoszyć z nich węże i inne nieprzyjemne stworzenia, dając im szansę zmiany miejsca pobytu, zanim je spostrzeże.

Na szczęście spotkanie z przedstawicielami miejscowej fauny zostało jej oszczędzone. Rzuciła patyk, otrzepała dłonie i przyjrzała się uważnie chylącemu się ku ziemi budynkowi. Tak jak powiedział Mike, był na skraju ruiny. Drewniane ściany poszarzały ze starości. Błaznany dach przeżarła rdza. Część budynku zniknęła pod zbitym dywanem pnączy, które kwitły intensywną purpurą, jaskrawo kontrastującą z ogólnym wrażeniem ruiny i opuszczenia.

Maris zbliżyła się z obawą do szerokich drzwi. Stały otworem. Wnętrze było przestronniejsze, niż można się było spodziewać. Wyglądało jak ciemna pieczara; tylko gdzieniegdzie przez szpary między deskami sączyły się ukośne promienie słońca, a przez dziury w przerdzewiałym dachu padały snopy światła niczym z miniaturowych reflektorków.

W głębi pomieszczenie podzielono na dwa poziomy; sufit w miejscu, gdzie stała, zbudowano z ukośnych masywnych belek. Tuż pod nim znajdowało się ogromne koło. Średnicy trzech metrów; było osadzone na wbitym w podłogę drewnianym słupie, szerokim w obwodzie jak beczka. Nigdy nie widziała nic podobnego.

Zamrugła oczami, by przyzwyczaić wzrok do ciemności.

– Halo?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, zrobiła parę nieśmiałych kroków przed siebie.

– Parker? – Znowu nic. – Halo?

– Tutaj.

Podskoczyła nerwowo, chwyciła się za łomoczące serce, które omal nie

wyskoczyło jej z piersi. Parker był tuż za jej plecami, w kącie pomieszczenia, całkowicie ukryty w mroku. Tylko jeden promień słońca odbijał się w chromie jego wózka.

- Nie słyszałeś mnie? – warknęła, dochodząc do siebie.
- Żartujesz? Nie słyszeć tego tętentu? Nie skradasz się jak Indianin.
- Więc czemu się nie odezwałeś?
- Jak się tu dostałaś?
- Pieszko. A ty?
- A jak się poruszam?
- Możesz przetoczyć wózek po tej ścieżce?
- Udaje mi się.

Pozostał tam, gdzie był, lecz czuła na sobie jego wzrok. Wiedziała, że się jej przygląda, ale z pewnością widział tylko czarną sylwetkę na tle prostokąta światła. Podeszła bliżej, tylko o parę kroków.

- Skąd masz to ubranie?

Zerknęła na sportową spódnicę, koszulę i sandały, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu. W tym stroju zwykle jeździła do letniego domku na weekendy spędzone na wspólnym grillowaniu i chodzeniu po sklepach z antykami. Sama spakowała go dwa dni temu w Nowym Jorku, choć teraz wydawało się jej, że minęło znacznie więcej czasu i że przebyła o wiele dłuższą drogę.

- Mike sprowadził moją walizkę z hotelu. Poszedł na przystań i odebrał ją z łodzi.
- Oszalał.
- Słucham?
- Zakochał się w tobie.
- Jest miły i tyle.
- Już o tym rozmawialiśmy.

Rzeczywiście. Nie miała ochoty powtarzać tej rozmowy. Ostatnio skończyła się... nie miała też ochoty myśleć, jak się skończyła.

Zapadło ciężkie milczenie. Jej wzrok przyzwyczał się do ciemności, ale nadal prawie nie widziała Parkera, ukrytego w gęstym mroku. Odezwała się pierwsza, chcąc przerwać niezgodną ciszę:

- Jaki to malowniczy budynek.
- Do którego przypadkiem trafiłaś?
- Spytałam Mike'a o drogę.
- Mike za dużo gada.
- Nie aż tak. Nie zdradza twoich sekretów.
- Jeszcze parę minut temu ten budynek był moim sekretem. Przychodziłem tutaj, żeby побыć w samotności.

Zignorowała uwagę i rozejrzała się. Klepisko było usiane mysimi bobkami i śmieciami. Kiedyś ktoś rozpałił tu ognisko.

Nadal widać było ślady popiołu i zwęglone drewno. Schody pod jedną ze ścian prowadziły na podest, ale brakowało w nich wielu stopni, a te, które zostały, nie wytrzymałyby zapewne ciężaru motyla. W sumie budynek był stary i trochę upiorny, zwłaszcza ta jego część, gdzie pod niskim stropem wisiała przedziwna maszyna, wyglądająca jak narzędzie tortur, którym jakiś niegodziwy olbrzym poddawał inne olbrzymy. Trudno było odgadnąć dlaczego Parker lubił tu przesiadywać.

- Co tu się działo?
- Wiesz coś na temat bawełny?

Bezczelnie zacytowała slogan z popularnej reklamy:

- To tkanka naszego życia.

Ku swemu zaskoczeniu usłyszała jego śmiech. Prawdziwy śmiech, nie ten pogardliwy, jaki do tej pory słyszała. Wykorzystała tę rzadką okazję, by dodać:

- I można w nią coś owijać.

Jego śmiech ucichł, przez co ciężka cisza stała się jeszcze bardziej wyczuwalna.

- Chodź tu – rzucił opryskliwie.

Rozdział jedenasty

Parker przeczekał jej wahanie. Nie powtórzył wezwania; widać uznał, że Maris go posłucha. I rzeczywiście. Po paru chwilach namysłu ostrożnie ruszyła w jego stronę.

Włosy zebrane w zwykły koński ogon odejmowały jej co najmniej pięć lat. Białą koszulę związała w talii. Szorty khaki odsłaniały parę centymetrów uda. Były to gładkie, smukłe uda, nasuwające na myśl niebezpieczne skojarzenia.

– Początkowo oczyszczalnia była otwarta z trzech stron. Tę maszynię wprawiały w ruch zwierzęta.

– Jak to?

– Chodź.

Skierował wózek w głąb pomieszczenia. Wchodząc w ślad za nim pod niski strop, odruchowo się schyliła, co spowodowało Jego uśmiech. Udało się jej uniknąć zderzenia z niskim, oplecionym pajęczynami sufitem, choć nie całkiem.

– Nigdy nie miałem tego problemu – mruknął Parker. Wskazał na okrąg, rysujący się na twardym klepisku. – Jeśli dobrze się przyjrzysz, zobaczysz niewielkie wgłębienia w ziemi. W tym miejscu chodziły muły, obracające kołem oczyszczalni.

– Tutaj?

– Tak. W czasach, gdy bawełna była wszystkim, sprowadzano ją tutaj całymi wagonami. Wyspiarska bawełna o długim włóknie. Najwyższej klasy. Jedwabista, łatwiej oddzielająca się nasion niż inne odmiany.

– Więc najbardziej pożądana.

Przytaknął.

– A piaszczysta ziemia wyspy idealnie nadawała się do jej uprawy. Ładowano ją na platformę i wciągano na pierwsze piętro, gdzie oczyszczalnia oddzielała włókno od nasion. Następnie bawełnę odwiewano, zbierano i podawano do prasy, także poruszanej przez muły. Dopiero gdy została sprasowana w bele, pakowano ją i wieziono przez całą wyspę do przystani, gdzie bele ładowano na statek.

– Mnóstwo pracy.

– Właśnie. Od wczesnowiosennych siewów do wysłania ostatniej beli bawełny upływał rok.

– To jedyna oczyszczalnia na wyspie?

– Znowu zgadłaś. Jeden plantator, jedna oczyszczalnia, jedna rodzina. Rodzina, która zbudowała mój dom. Mieli monopol na bawełnę i na niej się wzbogacili, dopóki rynek się nie skończył. Usiłowali przestawić się na połów ostryg, ale nie znali się na tym i w ciągu roku splajtowali.

– Więc ten budynek to kronika historii wyspy.

– Przynajmniej dziewiętnastego wieku. Z pisemnych przekazów wynika, że w roku 1878 mała dziewczynka, córka robotnika, weszła pomiędzy muły, obracające kołowrót prasy. Któreś zwierzę kopnęło ją w głowę. Dziewczynka zmarła po dwóch dniach. Jej ojciec zabił muła, to była egzekucja. Lepiej nie wspominać, co zrobił z truchłem. Wiadomo także o historii pojedynku między dwoma braćmi. W roku 1855 obaj jednocześnie strzelili do siebie i obaj zginęli. Jest też romantyczna opowieść o romansie białego nadzorcy z piękną niewolnicą. Podobno ich związek spotkał się z tak zapalczywym sprzeciwem miejscowej społeczności, że kazano im odpłynąć z wyspy, udostępniając bardzo małą łódkę. Podobno ruszyli w stronę Charlestonu, choć ludzie, którzy obserwowali ich łódź, utrzymywali, że nabrała wody i zatonała, co wiele osób uznało za satysfakcjonującą karę. Ale wiele lat później na innej wyspie, pierwotnie uważanej za niezamieszkaną, znaleziono kolonię mulatów. Wierzyli oni, że są potomkami tej mieszanej pary oraz rozbitków ze statku przewożącego niewolników. Ludzie ci byli niezwykle piękni. Niektórzy mieli skórę koloru kawy z mlekiem i oczy zielone jak jadeit. Pewien francuski szlachcic, który zapuścił się w te okolice podczas połowu ryb, musiał się schronić na owej wyspie przed sztormem. Podczas pobytu na niej zwrócił uwagę na jedną z pięknych młodych dam, która podbiła jego serce. Pobrali się, a on zabrał ją wraz z rodziną do Francji. Żyli tam razem długo i szczęśliwie.

Maris odetchnęła pełną piersią.

– Bardzo dobrze opowiadasz.

– To bajka. Pewnie nie ma w niej słowa prawdy.

– Mimo to jest dobrą historią.

– Jesteś romantyczką?

– Bezwstydna. – Uśmiechnęła się i dodała: – Wiesz dużo o obróbce bawełny. Czy twoja rodzina miała z nią coś wspólnego?

– Mój prapradziadek pracował przy zbiorach podczas Wielkiego Kryzysu. Ale tak robił każdy zdolny do pracy mieszkaniec Południa. Kobiety, dzieci, czarni, biali, wszyscy walczyli o przeżycie. Głód nie zna podziałów.

– Czym zajmował się twój ojciec?

– Był lekarzem. Miał domową praktykę. Pełen zakres. Od przyjmowania porodów po przecinanie czyraków.

– Jest na emeryturze?

Parker pokręcił głową.

– Nie potrafił zerwać z czterdziestoletnim nałogiem i nie umiał się wyleczyć, kiedy dopadł go rak płuc. Zmarł w zbyt młodym wieku.

– A matka?

– Przeżyła go o dwanaście lat. Zmarła parę lat temu. Zanim zapytasz, jestem jedynakiem.

– Ja też.

– Wiem.

Przez chwilę walczyła z zaskoczeniem.

– Och – odezwała się po chwili. – Artykuł.

– Tak.

Kilka pasm włosów wymknęło się z końskiego ogona i leżało na jej karku. Miały kolor pszenicy i wydawały się mokre, falujące z wilgoci. Przyłapał się na tym, że się w nie wpatruje.

Odwrócił głowę.

– Tak, w tym artykule było pełno wiadomości o tobie, twoim ojcu i mężu. Jaki jest?

– Tryska energią. Zwłaszcza jak na siedemdziesięcioośmiolatka.

– Mówiłem o mężu. Też tryska energią?

– Umówiliśmy się, że nie będziemy zadawać osobistych pytań.

– To ma być osobiste pytanie? Dlaczego nie chcesz, żebym poznał twojego męża?

– To nie tak.

– A jak?

– Przyszłam tutaj, żeby porozmawiać o *Zazdrości*.

– Chcesz usiąść?

Pokręciła głową.

– Nie ma gdzie. – Zerknęła na belki nad głową. – Poza tym się brzydzę.

Wskazał jej drugą stronę pomieszczenia. Ruszyła w tamtą stronę, wyszła spod

niskiego stropu. Jej uwagę przykuł krąg cegieł na klepisku. Były wkopane w ziemię i tworzyły koło średnicy co najmniej półtora metra.

– Ostrożnie – odezwał się Parker, podjeżdżając szybko ku niej. – To opuszczona studnia.

– Dlaczego akurat tutaj?

– Jeden z bardziej nowoczesnych przedstawicieli bawełnianej dynastii postanowił zainstalować w oczyszczalni silnik parowy. Zaczął kopać tę studnię, by zapewnić dopływ wody, ale umarł na dyfteryt przed ukończeniem prac. Jego spadkobierca zrezygnował z pomysłu, uznawszy go za niepraktyczny. Słusznie, jak sądzę. Z ekonomicznego punktu widzenia nie przyczyniłoby się to do zwiększenia ich produkcji.

Spojrzała w ciemność okoloną cembrowiną.

– Jak daleko jest do dna?

– Wystarczająco daleko.

– Wystarczająco do czego?

Spojrzał na nią przeciągle, potem cofnął wózek i przejechał koło niej. Wskazał brodą porzuconą skrzynkę.

– To może pełnić funkcję ławeczki, jeśli nie jesteś szczególnie wybredna.

Wypróbowała wytrzymałość skrzynki i ostrożnie usiadła na nieheblowanym drewnie.

– Uważaj na drzazgi – ostrzegł. – Choć myśl o wyciąganiu ich z twoich ud ma swój urok.

Rzuciła mu miażdżące spojrzenie.

– Powstrzymam się przed jękami.

– Wyciąganie drzazg sprawiłoby mi wielką przyjemność. ale mam wyjątkowo silne przekonanie, że twój tryskający energią mąż nie byłby tym zachwycony.

– Czy to grzmot?

– Zmieniasz temat?

– Tak.

Obejrzał się z uśmiechem przez ramię. Za drzwiami zrobiło zdecydowanie ciemno.

– W lecie często miewamy burze z piorunami. Czasami miii po godzinie, czasem trwają przez całą noc. Nigdy nie wiadomo. – Pierwsze krople deszczu

uderżyły ciężko o dach. Maris wciągnęła powietrze w nozdrza. – Czuć zapach deszczu.

– Przyjemny, prawda?

– Dźwięk też jest przyjemny.

– Aha.

Deszcz nie sprowadził ochłodzenia, ale zdecydowanie zmienił atmosferę. Powietrze stało się gęstsze, cięższe. Czuł to. Maris też. Pewnie nie umiałyby scharakteryzować tej zmiany lepiej od niego, ale czułą ją wyraźnie.

Oderwała oczy od ściany deszczu za drzwiami i napotkała jego spojrzenie. Patrzyli sobie w oczy w gęstniejącym mroku. Dziwne, ale nie poczuli skrępowania. Gdyby Parker miał znaleźć stosowne określenie, użyłby słowa „wyczekująco”, łączącego ciekawość z ostrożnością, zadziwienie z nutką nieufności.

Wydawało mu się, że Maris przyciąga go ku sobie spojrzeniem. i wiedział, że on wpatruje się w nią z taką samą intensywnością. Pomiedzy nimi wytworzyło się takie napięcie, że z ciekawością czekał, co zrobi Maris.

Zdecydowała się na bezpieczne wyjście: rozmowę o *Zazdrości*.

– To, co Todd zrobił Roarkowi... paskudny kawał.

– Zaaranżował to tak, żeby Roark nie zjawił się na spotkanie z Hadleyem.

– Zaskoczyłeś mnie. Nie spodziewałam się czegoś takiego.

– To dobrze.

– Co teraz zrobi Roark?

– A co powinien zrobić?

– Zbić Todda na kwaśne jabłko.

Parker gwizdnął z podziwem wobec takiej gwałtowności.

– No, czy chłopak nie zrobiłby czegoś podobnego?

– Może. Furia z pewnością byłaby pierwszą reakcją. Na pewno szukałby jakiegoś ujścia dla niej. Ale porozmawiajmy o tym: pamiętasz. Todd tylko się zrewanżował za kawał ze szczoteczką.

– To był głupi dowcip – zaprotestowała. – Ohydny, wstrętny, zgoda. Ale studenci robią sobie takie numery, prawda?

– Znałaś studentów, którzy tak się zachowują?

– Chodziłam do szkoły dla dziewcząt.

– Prawda, prawda. Czytałem – mruknął, jakby właśnie sobie przypomniał tę część jej biografii – znanej mu przecież tak dokładnie. jakby sam ją napisał. – Więc bezpieczniej będzie przyjąć, że nie masz żadnych doświadczeń w temacie studentów i ich zachowania.

– Nie, bezpieczniej będzie przyjąć, że moje doświadczenie ogranicza się do ich zachowania na randkach, które z pewnością różni się od zachowania w towarzystwie kumpli.

– Tak poznałaś swojego męża? Na randce?

– Znacznie później.

– Jak bardzo?

– Kiedy przyszedł pracować w Matherly Press.

– Zmyślny ruch. Poślubił córkę szefa.

Rozdrażnił ją. Bardzo. Bo nie był pierwszym, który połączył te dwa fakty. Ona też o nich myślała. Może zbyt często, żeby czuć się spokojnie. Zmieniła się, stała się oficjalna, chłodna.

– Możemy wrócić do twojej książki?

– Jasne. Przepraszam za dygresję.

Przez chwilę zbierała myśli, zagryzając dolną wargę i z roztargnieniem bawiąc się guzikiem bluzki. Aż dziwne, pomyślał. Jak to się stało, że te dwa nieważne, podświadomie kobiece gesty stały się tak cholernie seksowne?

– Kawał to jedno – odezwała się. – Ale żart Todda miał w sobie niezaprzeczną niegodziwość. Nie był nieszkodliwy. Nie dawał się zatrzeć tak łatwo jak ten ze szczoteczką. Wtedy wystarczyło kupić nową. Tymczasem Todd igrał przyszłością Roarka. Jego dowcip mógł doprowadzić do obniżenia stopnia Roarka, do odrzucenia jego powieści, a w konsekwencji do zrujnowania jego ambicji. Roark nie może tego puścić płazem.

– Pewnie. Roark się nie ugnie. Nie zapomni łatwo o tym doświadczeniu, ale znajdzie w nim cholerną motywację do działania.

– Tak, tak – rzuciła z podnieceniem. – To go zdeterminuje do osiągnięcia sukcesu.

– Sukcesu tak wielkiego, że w Toddzie obudzi się...

– ...zazdrość – dokończyła za niego.

Uśmiechnął się drapieźnie.

– Idąc za twoją sugestią, dam mu się wyładować. Stłucze Todda, który uzna, że

mu się to należało.

– Więc pozostaną przyjaciółmi.

– W przeciwnym razie nie byłoby powieści. Gdyby ich przyjaźń się rozpadła w tym miejscu, nie byłoby o czym mówić.

– Niekoniecznie. Efekt byłby tak samo silny, gdyby stali się zażartymi wrogami.

– Poczekaj, Maris.

– Co?

– Daj mi trochę czasu.

Jej oczy rozszerzyły się lekko.

– Już to zaplanowałeś, tak?

– W ogólnych zarysach. – Wzruszył niedbale ramionami. – Niektóre szczegóły trzeba jeszcze dopracować.

Usiłowała się rozgniewać, ale jakoś jej to nie wyszło.

– Zwodziłeś mnie od samego początku.

– Żeby cię podniecić.

– Jestem podniecona. – Blask w jej oczach to potwierdził. – Czy mogę ci coś zasugerować?

– Nie obiecuję, że wezmę tę sugestię pod uwagę.

– Zgoda.

– Strzelaj.

– Czy możemy zobaczyć, jak Roark się zakochuje?

– W dziewczynie, która wróciła do swojego dawnego chłopaka?

– Tak. Powiedziałaś czytelnikowi, że się zakochał, ale nie doświadczyliśmy tego równocześnie z nim. Nie nadałaś tej dziewczynie nawet imienia. Ten wątek powinien być bardzo poruszający, a jednocześnie może też ukazać, jak kształtował się charakter Roarka. Jak zareagował na rozczarowanie. Takie rzeczy. A jeśli...

– Mów – zachęcił ją, gdyż przerwała i zamyśliła się głęboko.

– A jeśli Todd był jakoś zamieszany w to zerwanie?

Zmarszczył brwi, podrapał się w zamyśleniu w policzek, co mu przypomniało, że się nie ogolił.

– Czy to nie zrodzi zbyt wcześnie antagonizmu? W tych pierwszych rozdziałach usiłuję pokazać, że są ze sobą szczerze zaprzyjaźnieni. Z czasem ta przyjaźń zacznie się kruszyć, a potem zupełnie umrze na skutek rywalizacji. Ale jeśli Todd wmiesza się w życie uczuciowe Roarka, a potem zrobi mu ten numer z Hadleyem, od razu stanie się czarnym charakterem, a Roark lilią bez skazy.

– A nie tak to zaplanowałeś? Ja tak ich widzę.

– Naprawdę?

– Jesteś zaskoczony?

– Historia jeszcze się nie skończyła. Zanim dojdiesz do końca, zmienisz zdanie.

Spojrzała na niego uważnie, jakby usiłowała go rozgryźć.

– Tak naprawdę to nie mam wyboru, prawda?

– Nie masz.

– Dobrze. A na razie może weźmiesz pod uwagę moją sugestię odnośnie do życia uczuciowego Roarka?

– Powtarzam: daj mi trochę czasu.

Pochyliła się ku niemu z oczami błyszczącymi ożywieniem.

– Już to zmieniłeś, prawda? Jest coś więcej? Ta sama dziewczyna?

– Dlaczego nie przekłujesz sobie pępka?

– Słucham?

– Skoro chcesz nosić spódniczki-biodrówki i koszule wiązane w pasie, dlaczego nie...

– Słyszałam.

– Więc?

– Bo nie chcę.

– Szkoda.

– Na samą myśl ciarki mnie przechodzą.

– Małe kółeczko. Drobnutki brylancik. Byłoby seksownie. To znaczy... seksowniej. – Przeniósł spojrzenie z jej brzucha na twarz. – Ten migający od czasu do czasu pępek i tak jest bardzo podniecający.

Wyprostowała się godnie.

– Jeśli mamy rozmawiać jak profesjoniści, nie możesz się do mnie tak odzywać.

– Mogę się odzywać, jak mi się podoba.

Potrząsnęła głową.

– Nie, jeśli chcesz ze mną pracować.

– Nikt cię nie zatrzymuje.

Ale została na skrzynce, tak jak przewidział. Tak jak miał nadzieję.

Grzmot przetoczył się nad oczyszczalnią, deszcz zabębnił o dach z nową siłą. ale ten hałas tylko podkreślił ciszę, jaka między nimi zapadła. Parker podjechał bliżej, tak blisko, że niemal dotknął jej kolanami.

– Co powiesz mężowi?

– O czym?

– O pobycie tutaj. Rozumiem, że do niego zadzwoniłaś.

– Tak. Zostawiłam mu wiadomość, że wszystko idzie dobrze.

– Wiadomość?

– Rozmawiałam z sekretarką.

– Nie ma komórki? Kurczę, a wydawałoby się, że to jeden z tych gości, którzy są do nich przyklejeni.

– Jadł obiad z wydawcą naszego wydziału publikacji elektronicznych. Nie chciałam im przerywać. Zadzwoń do niego później.

– Pójdiesz do łóżka?

– Pewnie tak. Co za różnica?

– Zastanawiałem się tylko, czy włożysz dziś jakąś koszulkę. A może zawsze śpisz w tym, co wczoraj.

– Parker!

– Co mu powiesz?

– Nie twój interes.

– To dobrze, prawda? A może źle?

Odetchnęła głęboko.

– Powiem mu – oznajmiła przez zaciśnięte zęby – że odkryłam wyjątkowo

utalentowanego pisarza, który...

– Daj spokój, już się czerwienię.

– ...jest równocześnie najbardziej ordynarnym, wrednym i nieznośnym facetem, jakiego znam.

Wyszczrzył zęby.

– No, to by się zgadzało.

Jego uśmiech stopniowo zniknął. Przytoczył wózek jeszcze parę centymetrów bliżej.

– Na pewno nie powiesz mu, że cię pocałowałem – powiedział cicho. – Na pewno to przemilczysz.

Wstała gwałtownie, tak gwałtownie, że skrzynka zachwiała się i przewróciła. Chciała go wyminąć, ale on zareagował równie gwałtownie; zablokował jej drogę.

– Zejdź mi z drogi, Parkerze. Wracam do domu.

– Pada.

– Nie rozplnę się.

– Chyba „nie rozpuszczę”. Jesteś zła. Albo się boisz.

– Nie boję się ciebie.

– Więc siadaj. – Nie drgnęła. Wskazał na drzwi. – Świetnie. Idź. Przemoknij do suchej nitki. A to oznacza, że będziesz się musiała tłumaczyć przed Mikiem. Zrobi się niesympatycznie, ale skoro tego chcesz...

Spojrzała na ścianę deszczu za drzwiami i niechętnie podniosła skrzynkę. Usiadła na niej sztywno, wyraźnie wkurzona.

– Opowiedz, jak poznałaś męża.

– Po co?

– Bo chcę wiedzieć.

– Po co?

– Nazwijmy to zawodową ciekawością.

– Nazwijmy to wścibstwem.

– Masz rację. Po co udawać. Jestem wścibski.

Przyjrzał się jej twarzy. Spodziewał się, że Maris zamknie się w sobie i odmówi dalszej rozmowy, ale ona splotła ręce na brzuchu – bez wątpienia, żeby

ukryć pępek – i powiedziała:

– Noah przyszedł do Matherly Press do pracy. Ale na długo przed tym wiedziałam, że to on stoi za wszystkimi ruchami rywalizującego z nami wydawnictwa. Kiedy do nas dołączył, szalałam z radości, mogąc z nim pracować. Z czasem zdałam sobie sprawę, że moje uczucia są głębsze. Zakochałam się w nim. Mój ojciec początkowo nie chciał, żebym miała romans w pracy. Martwiła go różnica wieku między mną i Noahem. Chciał, żebym spotykała się z innymi mężczyznami, wdał się nawet w bezwstydną swatanie mnie z synami i siostrzeńcami swoich przyjaciół i współpracowników. Ale ja się uparłam. Chciałam Noaha. Na szczęście on odwzajemnił moje uczucie. Pobraliśmy się. – Skinęła głową, podkreślając koniec zdania. – Koniec. Zadowolony?

– Jak długo jesteście małżeństwem?

– Prawie dwa lata.

– Macie dzieci?

– Nie.

– Jak to?

Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Podniósł pojednawczo dłoń.

– Masz rację, to zbyt osobiste. Jeśli jesteś bezpłodna...

– Nie jestem.

– Więc chodzi o niego?

Już prawie znowu wstała, ale w porę pomachał ręką.

– Dobrze, dobrze, temat dzieci jest tabu. Już go nie poruszę. – Zrobił chwilę pauzy, jakby zbierał myśli. – Więc widzisz się z Noahem codziennie i w okamgnieniu zakochujesz się w nim po uszy.

– Prawdę mówiąc, zakochałam się w nim jak wariatka, jeszcze zanim go poznałam.

– Jak to?

– Przeczytałam jego książkę.

– *Zwycięzonego*.

– Znasz ją? A, znowu ten artykuł. Wspomnieli o powieść Noaha.

– Tak, ale już ją czytałam. Od razu po opublikowaniu.

– Ja też. Jakies pięćdziesiąt razy.

– Żartujesz?

– Nie. Uwielbiam ją. Główny bohater, Sawyer Bennington, stał się obiektem moich romantycznych fantazji.

– To ty miewasz fantazje?

– Jak chyba wszyscy. Nie ma się czego wstydzić.

– Może w twoim przypadku. Ja mam fantazje, których zdecydowanie powinienem się wstydzić. Opowiedzieć ci?

– Jesteś niepoprawny.

– Dokładnie tak powiedziała nauczycielka do mojej mamy.

– Kiedy...

– Kiedy przez trzy dni z rzędu przyłapywała mnie w łazience na testowaniu mojej nowej zabawki.

– Nie chcę o tym słyszeć.

– To i dobrze. No, to o czym mówiliśmy?

– O Sawyerze Benningtonie.

– Właśnie. Twój bohater i obiekt romantycznych rojeń. Co mnie dość dziwi.

– Dlaczego?

– Czy to nie przestępca?

– Złodziej i morderca.

– Co na ogół uważane jest za przestępstwo.

– Ale jego zbrodnie były usprawiedliwione tym, co spotkało jego żonę i dziecko. Wylałam morze łez, kiedy znalazł ich ciała. Za każdym razem płacę, dochodząc do tego miejsca. – Jej oczy stały się rozmarzone, tęskne. – Sawyer był twardy. Dla wszystkich z wyjątkiem Charlotte. Kochali się namiętnie i była to miłość, której nawet śmierć nie mogła położyć kresu. Kiedy go wieszali za popełnione zbrodnie, myślał o...

Urwała i wzruszyła ramionami z zażenowaniem.

– Przepraszam cię. Teraz chyba już rozumiesz, jak kocham tę powieść.

– Mówisz o bohaterach jak o ludziach, którzy żyli naprawdę.

– Noah opisał ich tak wspaniale, że chwilami zapominam, iż nie są prawdziwi. Czasami za nimi tęsknię. A kiedy tak się dzieje, otwieram książkę w dowolnym miejscu, odczytuję parę akapitów i jest tak, jakbym ich odwiedziła.

– Czy na podstawie tej książki nie nakręcono filmu?

– Straszny kit, nie oddał jej sprawiedliwości. Ale żeby być uczciwym wobec twórców... nie sądzę, by w ogóle można było przenieść ją na ekran. Niektórzy krytycy uznali *Zwycięzonego* za najlepszą powieść historyczną od czasu *Przeminęło z wiatrem*.

– Mocne słowa.

– Ale, jak sądzę, zasłużone.

– A co napisał potem?

– Nic. – Jej ożywienie przygasło. – Noah bardzo się zaangażował w proces wydawniczy *Zwycięzonego* i doszedł do wniosku, że to właśnie jest jego powołaniem, nie pisanie. Może jest tak, że kiedy pierwsza powieść zostaje przyjęta entuzjastycznie przez krytyków i czytelników, myśl o napisaniu następnej, równie dobrej, musi być niepokojąca. Może nawet przerażająca. Nigdy więcej nie napisał ani słowa. Aż do niedawna.

Spojrzenie Parkera nabrało ostrości.

– Znowu pisze?

– Urządził sobie gabinet specjalnie w tym celu. Jestem bardzo szczęśliwa.

Ale nie wyglądała na bardzo, a nawet na średnio szczęśliwą. Pomiedzy jej brwiami zarysowała się płytka, lecz wyraźna zmarszczka. Parker pomyślał, że Maris chyba nie wie, jak bardzo zdradza ją mimika. W przeciwnym razie bardziej by się kontrolowała.

Po chwili milczenia spytał:

– Czy w twoich fantazjach pojawiają się jeszcze inni bohaterzy literaccy?

– Kilku – przyznała ze śmiechem. – Ale żaden nie dorównuje Sawyerowi Benningtonowi.

Pochylił się ku niej i powiedział tak cicho, że z trudem słyszała go przez bębnienie deszczu:

– Maris... czy to możliwe... choćby teoretycznie... że zakochałaś się w postaci, a nie w autorze?

Spojrzała na niego ze złością, ale złość przeminęła z prędkością błyskawicy. Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Biorąc pod uwagę, jak zaczęłam się rozwodzić nad Sawyerem, pytanie jest uzasadnione. Pisarze często mi mówili, że czytelnicy myślą ich z postaciami, które stworzyli, i kiedy widzą ich na spotkaniach autorskich, są zawiedzeni, gdy okazuje się, że to zwyczajni ludzie, którzy nie dorastają do monumentalnego wyobrażenia,

jakie stworzył sobie czytelnik.

– Słusznie, ale nie odpowiedziałas mi na pytanie.

Rozdrażnienie powróciło.

– Nie wygłupiaj się. Zakochałam się w moim mężu. Najpierw w jego talencie, potem w nim samym. Nadal jestem w nim zakochana.

Patrzył na nią przez jakiś czas.

– A on, co myślał?

– Kto, Noah?

Pokręcił głową.

– Bohater książki. Sawyer. Powiedziałaś, że gdy go wieszali, myślał o...

– Ach... Myślał o pierwszym spotkaniu z Charlotte.

Zawahała się, ale ponaglił ją gestem.

– Noah napisał to tak wyraziście, tak szczegółowo, że widzę ten sad, czuję zapach dojrzewających owoców, jest mi gorąco. Sawyer był w drodze od wielu dni, pamiętasz? Przyjechał na farmę rodziców Charlotte w nadziei, że dostanie wody dla siebie i konia. Nikogo nie ma w okolicy, gospodarstwo jest jak wymarłe. Ale w pobliżu poidła znajduje Charlotte, śpiącą na kołdrach pod drzewem brzoskwini. Koło niej śpi chłopczyk. Sawyer uważa, że to jej dziecko. – Uśmiechnęła się i dodała cicho: – Ucieszył się, kiedy się okazało, że to jej braciszek.

Ton jej głosu zaczarował Parkera, wciągnął go w opisywaną scenę.

– Charlotte jest piękna. Ma rozpuszczone włosy. Jej opis, opis jej cery, warg, ciągnie się przez wiele akapitów. Ponieważ jest gorąco, uniosła spódnicę do kolan, stopy ma bose. Sawyer to gorącokrwisty młodzieniec. Sam widok jej nagiej łydki rozpała go do szaleństwa. Jest zafascynowany poruszającymi się w równym oddechu piersiami. A jednak jego podziw jest zabarwiony nutką szacunku, jakby była nietykalna niczym madonna. Mógłby się zachować jak dżentelmen i wycofać się w chwili, kiedy ją zobaczył. Tymczasem stoi i wpatruje się w nią tak długo, iż w pobliżu rozlega się turkot nadjeżdżającego wozu. To wraca rodzina Charlotte, która wyjechała do miasta po sprawunki.

– Charlotte nigdy się nie dowiedziała, że Sawyer widział ją uśpioną. On jej o tym nie powiedział, co szczególnie mi się w nim podoba. Było to zbyt cenne wspomnienie, żeby je z nią dzielić. Było tak cenne, że przywołał je w chwili egzekucji. Przeżywał je raz jeszcze, kiedy pod stopami otwarła się zapadnia. Ponieważ był to najważniejszy dzień jego życia. Umarł, wspominając to pierwsze spotkanie z Charlotte.

Parker słuchał jej w milczeniu. Bez ruchu. Chłonał każde słowo. Przez kilka chwil, gdy zamilkła, tylko patrzyli na siebie. Żadne nie potrafiło zniszczyć nastroju chwili... żadne tego nie chciało.

Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos był dziwnie ochrypły

– Sama powinnaś pisać.

– Ja? Nie. – Potrząsnęła głową i roześmiała się cicho. – Zazdroszczę pisarzom tego daru. Potrafię go rozpoznać u tych, którzy zostali nim pobłogosławieni, ale jestem stworzona do opracowywania, nie do tworzenia.

Zastanawiał się przez jakiś czas.

– Wiesz, co sprawiło, że ta scena ma w sobie tyle erotyzmu? – spytał.

Przechyliła głowę w pytającym geście.

– To, że miał do niej taki dostęp, że mógł przekroczyć pewne granice, podczas gdy ona nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Tak.

– Oczami i umysłem dotykał tego, co chciał dotknąć rękami i ustami. Nie zobaczył zbyt wiele, ale i tak czuł się winien, że coś zobaczył.

– Coś zakazanego.

Skinął głową i dodał jeszcze ciszej:

– Najsilniejsza stymulacja erotyczna. To, co nie jest dla nas. To, czego nie możemy mieć. To, czego pragniemy tak bardzo, że czujemy jego smak, choć nie możemy dotknąć.

Maris zaczerpnęła oddechu. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że z końskiego ogona wymknęły się jej luźne pasma. Podniosła do nich rękę, ale nie potrafiła opanować drżących palców. Położyła dłoń na kolanach, ale przedtem odruchowo dotknęła guzika, którym się przedtem bawiła. Tym razem ledwie musnęła go opuszkami palców, jakby przypominała sobie o jego istnieniu. Parker pochłaniał ją wzrokiem.

Nagle wstała.

– Wracam. Już nie pada.

Nie była to szczerza prawda. Przestało lać, ale nadal padało. Jednak Parker nie zgłosił sprzeciwu. Pozwolił jej przejść obok niego.

Prawie.

Zanim zdołała zrobić cały krok, wyciągnął rękę i zatrzymał ją. Jego dłonie zacisnęły się tuż poniżej jej talii, na biodrach. Jego oczy znalazły się na wprost tego

kuszącego paska nagiej skóry pomiędzy bluzką i spódnicą. Powoli, z ociąganiem podniósł wzrok.

Maris patrzyła na niego, przestraszona i nieufna. Miała uniesione ręce, dłonie trzymała przed sobą, jakby nie wiedziała, co z nimi zrobić.

– Wiesz, dlaczego wczoraj cię pocałowałem?

– Żeby mnie przestraszyć.

Zmarszczył brwi.

– To nieistotne. Pocałowałem cię, bo wyszłaś zwycięsko z knajpy Terry'ego i pokazałaś wszystkim, łącznie ze mną, że nie jesteś byle kim. Pocałowałem cię, bo sam twój widok mnie boli. Pocałowałem cię, bo jestem zepsutym sukinsynem, a twoje usta aż się prosiły o pocałunek. Krótko mówiąc, pocałowałem cię, bo miałem na to ochotę. Przyznaję to, a ty o tym dobrze wiesz. Pozostaje tylko jedno pytanie, które doprowadza mnie do szaleństwa.

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Dlaczego oddałaś ten pocałunek?

Rozdział dwunasty

Maris zadzwoniła w niesprzyjającej porze, ale Noah doszedł do wniosku, że musi z nią porozmawiać, żeby nie obudzić jej podejrzeń. Za dziesięć minut miał zebranie, ale powiedział asystentce, żeby go połączyła.

– Kochanie! Bardzo się cieszę, że cię słyszę.

– Miło, że wreszcie mogę z tobą porozmawiać. Po tak długim czasie twój głos wydaje mi się dziwny.

– Dziwny?

– Przyzwyczaiałam się do akcentu południowców.

– Boże, zlituj się.

– Jest jeszcze gorzej. Parę razy sama się przyłapałam, że mówię z akcentem. I zasmakowałam w tej ich owsiance. Cała tajemnica w tym, żeby ją mocno posolić i dodać pół kilo masła.

– Jedz tak dalej, to wrócisz gruba.

– Nie zdziw się, jeśli tak będzie. Południowcy dodają do wszystkich potraw albo masło, albo smalec i wszystko jest pyszne. Jadłeś kiedyś smażone zielone pomidory?

– Jak w tym filmie?

– I w książce. To nie fikcja. Obtoczone w mące kukurydzianej. usmażone na smalcu, pyszności. Mike nauczył mnie, jak się je robi.

– Genialny autor jest także kucharzem?

– Mike nie pisze. Jest... robi tu wszystko z wyjątkiem pisania.

Noah zerknął na srebrny zegar od Tiffany'ego na biurku, zastanawiając się, jak taktownie zakończyć tę rozmowę.

– Prace nad książką się posuwają? Jak kontakty z autorem?

– Jest bardzo utalentowany. Jest także konfliktowy, czasem bardzo trudny, czasem niemożliwy. Ale to wyzwanie, któremu nie mogę się oprzeć.

– Więc podróż się opłacała?

– Tak. A jeśli nic mnie nie wzywa z powrotem, posiedzę tu jeszcze przez weekend i nafaszeruję go pozytywną krytyką. Chyba nie ma powodu, żebym wracała?

– Jeśli nie liczyć mojej tęsknoty.

– Twoja tęsknota to dla mnie bardzo ważna rzecz.

– Nie jestem egoistą, nie wymagam, żebyś wracała ze względu na mnie. Entuzjazm w twoim głosie zdradza, że podoba ci się rola redaktora.

– Bardzo. Piszesz?

– Kiedy tylko mogę. Byłem zajęty raportami kwartalnymi, ale każdego wieczoru udawało mi się wygospodarować kilka godzin na pisanie. – Zamilkł na chwilę. – Chyba nie będziesz mnie o to nękać?

– Nie nazwałabym tego nękaniem.

– Pamiętaj tylko, że nie działam na pełen etat. Nie mogę zaniedbać moich obowiązków.

– Rozumiem. Tylko tak bardzo chciałabym przeczytać nową książkę mojego ulubionego autora...

– Nie obiecuj sobie za wiele. To może trochę potrwać, tego procesu nie można przyspieszać.

– Czy pomysł już się skryształizował?

– Powoli się kryształizuje.

– Bez względu na wszystko, warto będzie poczekać.

– Jeśli tak ci się nudzi, mogę ci dać zajęcie.

– O to się nie martw – odparła ze śmiechem. – Mam pełne ręce roboty przy tym projekcie, a poza tym nadchodzi termin odbioru innych tekstów. Będę pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

To mu się spodobało. Jeśli Maris zajmie się pracą, on będzie mógł poświęcić więcej czasu na sfinalizowanie umowy z WorldView. Czuł presję terminu, tak niespodziewanie ustalonego przez Morrisa Blume'a. I choć był to dodatkowy powód do zdenerwowania, dobrze było mieć konkretny cel do zrealizowania, coś, do czego należy dążyć.

Nie wpadał w panikę, ale z całą pewnością na myśl o umowie czuł przyływ adrenaliny. Był pewien, że zdoła się wywiązać terminu. Jeśli nie, nie miał wątpliwości, że uda mu się przekonać Blume'a do przełożenia go. Blume tak bardzo pragnął zdobyć Matherly Press, że kwestia kilku dni nie powinna stanowić dla niego problemu.

To naprawdę doskonale, że Maris wyjechała. Dzięki jej nieobecności on będzie mógł znacznie zgrabniej manipulować Danielem. Trzeba się z nim obchodzić z największą ostrożnością. Subtelność przede wszystkim. Wystarczy go uderzyć, a

będzie walczył do śmierci. Wystarczy go pogłaskać, a może zmienić zdanie. Jeśli nawet nie aż tak łatwo jak inni, to Noah i tak nie wątpił w swój dar przekonywania.

Nieobecność Maris dawała mu także więcej czasu dla Nadii. Ta kobieta potrafiła się zmienić w potwora, kiedy była nieszczęśliwa, a najbardziej nieszczęśliwa czuła się wtedy, gdy pozbawiał ją uwagi, na którą – jej zdaniem – zasługiwała.

– Nie mogę się doczekać, kiedy przeczytasz tę książkę – odezwała się Maris, wyrrywając go z zamyślenia.

O czym mówiła od kilku minut? Zatopiony we własnych myślach nie usłyszał ani słowa. Co chyba nie miało większego znaczenia.

– Autor nie zdradził mi całej intrygi – ciągnęła – ale sądzę, że będzie dobra.

– Skoro tak sądzisz, to pewnie tak jest. Słuchaj, kochanie, nie chciałbym przerywać naszej rozmowy, ale za dwie minuty muszę wyjść.

– No to co jeszcze słyhać? – spytała bez urazy. Ich rozmowy w czasie pracy były zwykle krótkie.

– Mam spotkanie z Howardem, a wiesz, jaką wagę przykładam do punktualności. – Howard Bancroft był głównym doradcą wydawnictwa i dyrektorem działu prawnego. – Jeśli spóźnię się o jedną nanosekundę, będzie się na mnie wściekał przez cały tydzień.

– Co jest tematem spotkania?

– Nie potrafię sobie przypomnieć. Coś z naszymi zagranicznymi umowami. Tak mi się wydaje.

– Nie chciałbym cię narażać na przykrości ze strony Howarda, ale muszę z tobą porozmawiać o czymś jeszcze.

Musiał zrobić duży wysiłek, żeby nie zdradzić zniecierpliwienia.

– Więc nigdzie mi się nie spieszy. O co chodzi?

– Czy tata dobrze się czuje?

– Na to wygląda. Widziałem go wczoraj wieczorem, a dziś rano z nim rozmawiałem.

– Przyszedł do pracy?

– Nie, zadzwonił, żeby spytać, czy dam sobie radę bez niego, powiedziałem, że powinien zostać w domu nie tylko dziś, ale do końca tygodnia. Ciebie nie ma, więc nie ma żadnych zebrań. którymi sam bym sobie nie poradził. To idealna pora na urlop.

– Zanudzi się na śmierć.

– Właściwie znalazł sobie sporo rozrywek. Powiedział, że przez cały ranek będzie załatwiał jakieś prywatne sprawy, a potem zje obiad z dawnym kumplem. Spotykają się w Four Seasons.

– Obiad z dawnym kumplem – powtórzyła z roztargnieniem. – Mam nadzieję, że nie wypije za dużo wina.

– Zasłużył sobie na parę kieliszków, Maris.

– Wiem, ale martwię się, co będzie, kiedy zacznie się wdrapywać po schodach w domu. Te jego słabe stawy...

– Nie powinno mu się kręcić w głowie. Rozumiem.

– Jeśli człowiek w jego wieku upadnie i złamie sobie biodro, niekiedy już nigdy nie odzyskuje w pełni sprawności. A ojciec nie może spędzić reszty życia przykuty do łóżka.

– Poproszę Maxine, żeby na niego uważała.

– Nie! To by rozpętało trzecią wojnę światową! – krzyknęła. – Ojciec dostanie szału, że Maxine uważa go za dziecko, a potem wścieknie się na mnie, że ją do tego namówiłam.

– Znowu racja. Więc może...

– Co?

– Może z nim o tym porozmawiam. W cztery oczy. Jak mężczyzna z mężczyzną.

– Tak – powiedziała z ulgą. – To mi się podoba o wiele bardziej.

– Odwiedzę go dziś wieczorem i utniemy sobie pogawędkę.

– Dziękuję, Noah.

– Proszę bardzo. Coś jeszcze?

– Bo co?

– Howard czeka.

– Och, przepraszam. Zapomniałam. Nie powinnam cię zatrzymywać.

– Nonsens. To było ważne. – Chciał szybko zakończyć rozmowę, ale nie życzył sobie, żeby martwiła się o ojca. Mogłaby zbyt szybko wrócić. – Nie przejmuj się niczym – dodał z czułością. – Daniel to stary twardziel, jest silniejszy, niż nam się wydaje. Naprawdę, nie ma powodu się o niego martwić. Nawet powiedziałbym, że w ostatnich dniach bardziej przypominał dawnego siebie. Znowu pełen sił i energii.

- Pewnie masz rację. Ale kiedy nie ma mnie przy nim, zaczynam się martwić.
- Zbytecznie, zapewniam cię. No. wybacz, naprawdę muszę już lecieć.
- Przepraszam Howarda ode mnie. Powiedz, że cię zatrzymałam.
- O to się nie martw, już ja mu powiem. – Roześmiał się cicho. – No to pa.
- Noah – rzuciła w ostatniej chwili. – Kocham cię.

Przez chwilę milczał, niemile zaskoczony. Potem, tonem dobrego, lecz zajętego czym innym męża, odparł:

- Ja ciebie też, kochanie.

Wyznania miłości nic dla niego nie znaczyły. To tylko słowa, uszeregowane w pewnym porządku wyrazy bez większego sensu. Wyznawał miłość już niejednej kobiecie, ale tylko wtedy, gdy chciał ją zaciągnąć do łóżka. Wyrażał słowami miłość do Maris, kiedy sytuacja tego wymagała. Zrobił to, żeby jej ojciec im pobłogosławił, bezbłędnie odegrał rolę zadurzonego małżonka. Ale ostatnio coraz rzadziej zdarzało mu się mówić, że kocha Maris.

Ona zaś, przeciwnie, była skłonna do wybuchów czułości, tak bardzo, że aż go to drażniło. Wyznawała mu miłość co najmniej raz dziennie, aż wreszcie przyzwyczał się do tego, choć nadal nie łączył tych słów z konkretnym uczuciem.

Jednak to ostatnie wyznanie miłości kazało mu się zastanowić. Nie chodziło o same słowa, tylko o sposób, w jaki je powiedziała. Prawie tak, jakby usiłowała przekonać samą siebie. Czyżby przyjęcie-niespodzianka nie odegrało oczekiwanej roli, nie upewniło jej o jego uczuciu? Czyżby nadal podejrzewała go o zdradę?

Minął asystentkę Bancrofta, ledwie skinąwszy jej głową, nadal pochłonięty rozmyślaniami o rozmowie z Maris. Ta rozmowa nasunęła mu pewne pytania, nad którymi należało się dobrze zastać nowić. To jej „kocham cię” było zabarwione dziwną nutką desperacji. Musiał zrozumieć, co to znaczy – jeśli w ogóle coś znaczy.

Jedno wiedział na pewno: Maris nie wyznałaby mu miłości, gdyby wiedziała, co znajduje się w aktówce, z którą zjawił się w gabinecie prawnika.

– Witaj, Howardzie, przepraszam za spóźnienie – zaczął od progu, nie dając Bancroftowi czasu na wytknięcie mu opieszałości. – Rozmawiałem z Maris. poinformowałem ją, że dostanie ten dokument jutro, najpóźniej pojutrze. Jest na jakimś strasznym zadupiu, ale zapewniła mnie, że poczta kurierska jeszcze tam dochodzi.

Bez zaproszenia usiadł na wyściełanej kozetce, rozłożył szeroko ręce na jej oparciu, ostentacyjnie nonszalancki. Spojrzał w okna za biurkiem i dodał:

– Wiesz, Howardzie, chciałbym wiedzieć, co trzeba zrobić, żeby dostać taki gabinet. Masz tu fantastyczny widok.

Jego zachowanie było obliczone na odciągnięcie uwagi Bancrofta od sprawy, którą mieli załatwić. Jednak Noah wiedział z doświadczenia, że ten mały Żyd nie daje się łatwo zastraszyć. Był drobny i skurczony, co postarzało go co najmniej o dziesięć lat. W butach na koturnach mierzył metr sześćdziesiąt. Miał łysą, lekko jajowatą głowę z wyraźnym guzem na czubku. Lubił nosić szerokie szelki do tweedowych spodni, bez względu na porę roku. Na nosie miał małe okulary do czytania. Krótka mówiąc. Howard Bancroft wyglądał jak gnom. Albo na osobę, którą był: szczwanego prawnika.

– Czy dokumenty już gotowe? – spytał Noah, choć dokument, o który chodziło, leżał na samym środku biurka Howarda.

– Gotowe – potwierdził Bancroft.

– Dziękuję, że się pospieszyłeś.

Noah pochylił się, sięgnął po dokument, ale prawnik położył na nim drobną dłoń. poznaczoną grubymi żyłami i plamami.

– Nie tak szybko. Nie dam ci go dzisiaj.

– Dlaczego?

– Poszedłem za twoimi wskazówkami i sformułowałem dokument tak, jak sobie życzyłeś, ale... mogę mówić wprost?

– To nam oszczędzi czasu.

– Zrobiłem to z dużymi oporami. Jego treść wydaje mi się niepokojąca.

Prawniki zdjął okulary i zaczął je czyścić dużą białą chusteczką, którą wyjął z kieszeni spodni. Kiedy ją strzepnął, wyglądało to tak, jakby powiewał białą flagą. Być może Howard Bancroft też tak uważał. Nie mógł wygrać tego pojedynku.

– Tak? Dlaczego? – Noah nadał swojemu głosowi ostrzegawczą nutkę, tylko na tyle, żeby dać do zrozumienia, iż przyczyny, dla których poprosił o przygotowanie dokumentów, nie podlegają dyskusji. I że nie powinny być kwestionowane. Ale Bancroft nie wychwycił tego niuanse.

– Jesteś pewien, że Maris to zaakceptowała?

– Wystąpiłem z tą prośbą w jej imieniu.

– Dlaczego Maris uważa, że ten dokument jest niezbędny?

– Wiesz równo dobrze jak ja i Maris, że rynek wydawniczy przestał przypominać dzentelmeńskie układy z zeszłego wieku. Teraz to rzeźnia, jak wszystko inne. Jeśli stoisz w miejscu, to tak, jakbyś się cofał. Jeśli tylko starasz się zachować dawną pozycję, konkurencja cię wyprzedzi i nawet się nie obejrzyysz, a będziesz ostatni. Nie chcemy, żeby Matherly Press zostało w tyle za wszystkimi, prawda?

– Porywająca mowa. Proponuję, żebyś ją wygłosił na następnej konferencji, doskonale zagrzewa do boju. Niestety, ciągle nie rozumiem, w jaki sposób te istotne sprawy, które mi tak plastycznie przedstawiłeś, mogą mieć związek z moim pytaniem o niniejszy dokument.

– Niniejszy dokument – powiedział Noah dobitnie, wskazując kartkę papieru – jest naszym zabezpieczeniem. Rynek wydawniczy zmienia się nieustannie, w dodatku bardzo gwałtownie. Musimy się przygotować na wszystkie okoliczności. Musimy umieć działać szybko, żeby natychmiast wykorzystywać okazje, kiedy tylko się nadarzą.

– Bez zgody Daniela.

Noah przybrał smutny wyraz twarzy.

– Ach, w tym właśnie rzecz. Daniel się postarzał, co i Maris, i mnie ogromnie martwi. Jest to smutny fakt, który musimy – chcąc nie chcąc – zaakceptować. Gdyby wydarzył się mu jakiś niefortunny wypadek, na przykład wylew, po którym nie będzie mógł podejmować ważnych decyzji, to pełnomocnictwo zagwarantuje nam sprawną zamianę ról i uchroni firmę przed chaosem.

– Sam sformułowałem tę klauzulę. Znam jej cel. Wiem także, że podobne dokumenty zostały już przygotowane, i to dawno. Prywatny prawnik Daniela, pan Stern, przygotował je, gdy Maris skończyła dwadzieścia jeden lat. Mam ich kopię, więc wiem, że zawierają testament i, jak to określiłeś, zalecenia na wypadek niefortunnych wypadków. W razie gdyby wydarzyło się coś nieprzewidywalnego, Maris miała otrzymać pełnomocnictwo na podejmowanie wszystkich decyzji w imieniu Daniela, w sprawach prywatnych i zawodowych.

– Zdaję sobie sprawę z ich istnienia. Jednak ten dokument jest inny.

– Rzeczywiście. Znosi poprzednie. Ponadto daje ci pełnomocnictwo do podejmowania decyzji w imieniu Daniela.

Noah spochmurniał.

– Chcesz powiedzieć, że się staram...

– Nie – przerwał Bankroft, unosząc obie dłonie. – I Daniel, i Maris wspomnieli w mojej obecności o konieczności zmiany dokumentów tak, by pełnomocnictwo objęło także ciebie. Ale to zadanie dla pana Sterna, nie dla mnie.

– Wygodniej jest zatrudnić ciebie.

– Wygodniej dla kogo?

Noah spiorunował go wzrokiem.

– Co jeszcze wydaje ci się takie niepokojące?

Prawnik się zawahał, jakby zdał sobie sprawę, że dalsze wywody będą nie na miejscu, ale silny charakter zwyciężył nad ostrożnością.

– Mam wrażenie, że załatwiasz to za plecami Daniela.

– Daniel to poparł. Sam to powiedziałeś nie dalej niż trzydzieści sekund temu.

Bancroft, wyraźnie wytrącony z równowagi, przejechał dłonią po guzowatej czaszce.

– Niepokoi mnie także, że mam sporządzić tak ważny dokument, który nie będzie podpisany w mojej obecności.

– Powiedziałem Maris, że nie podpiszę go przed nią. Wyraziłem się jasno i nie zmienię zdania. Maris złoży podpis u notariusza w Georgii. Dopiero po odesłaniu dokumentu przyjdzie kolej na mnie. A po jej powrocie spotkam się z Danielem. Szczerze mówiąc, sądzę, że z ulgą przyjmie wiadomość, że to się już stało. Nikt nie lubi myśleć o sobie jako o istocie narażonej na inwalidztwo czy śmierć. Daniel będzie zadowolony, że uwolniliśmy go od odpowiedzialności.

– Nie sądzę, żeby Daniel Matherly uciekał przed odpowiedzialnością, choćby oznaczała nie wiedzieć jakie niedogodności – mruknął Bancroft. – A poza tym może poczekamy do powrotu Maris i załatwimy to wtedy? Po co ten pośpiech?

Noah westchnął, jakby cierpliwe znoszenie tej sytuacji przychodziło mu z trudem.

– Maris wyjechała i tylko dlatego załatwiamy to bez niej. Pracuje z autorem dziwakiem, mieszkającym na zupełnym odludziu. Dopóki tekst nie zostanie ukończony, Maris będzie zajęta, często będzie znikać na krócej lub dłużej. Różnie bywa. Katastrofy samolotowe. Wypadki samochodowe. Nagłe choroby. Biorąc pod uwagę najgorsze, Matherly Press powinno być bezpieczne.

– To dlatego dokumenty nabiorą mocy po podpisaniu ich wyłącznie przez ciebie?

– Powiedziałem Maris – wycedził – i powtarzam tobie: nie podpiszę ich przed nią.

Bancroft rzucił mu przeciągłe spojrzenie i pokręcił głową.

– Wybacz, ale Maris musi potwierdzić, że chce sporządzenia tych dokumentów. A nawet jeśli to od niej usłyszę, doradzę jej namysł. Warunki klauzuli są dziwne i nietypowe. Pracuję dla Matherlych od dawna. Wiedzą, że zawsze działam w ich interesie. Dlatego na pewno zrozumiesz moją ostrożność.

– Zupełnie zbędną, a ponadto będącą dla mnie obelgą.

– Możliwe.

– Dobrze. Zadzwoń do Maris – powiedział, robiąc gest ku telefonowi. Był to błąd, ale ryzykował, sądząc, że Bancroft jednak nie zadzwoni. – Albo lepiej zadzwoń do Daniela. Poproś go, żeby tu przyjechał i przejrzał dokumenty.

– Najpierw chciałbym się zapoznać z pierwotnymi dokumentami. Dopiero wtedy spotkam się z Maris i Danielem. Do tego czasu nie będę marnować ich czasu. – Bancroft splótł dłonie na dokumentach w geście wykluczającym dalszą dyskusję. – Dopóki Daniel lub Maris nie zadzwonią do mnie, dając mi wolną rękę, nie mogę wydać ci tych papierów.

Noah spojrzał mu prosto w oczy. Potem się uśmiechnął. Uśmiechnął się szerzej i jeszcze szerzej. Miał nadzieję, że spotkanie skończy się właśnie w ten sposób. Miał nadzieję, że ten karzeł nie skapituluje zbyt szybko, nie zepsuje mu zabawy. Wszystko aż do tej chwili było rozgrzewką, przygotowaniem do wielkiego finału. Teraz dopiero się zacznie najlepsze.

– Wiesz co? – odezwał się cicho, z nutką groźby. – Wydaje mi się, że podejrzewasz mnie o spiskowanie na szkodę firmy.

– Nic podobnego – odparł prawnik z zimną krwią.

– To dobrze. Cieszę się, że to słyszę. Bo nie chciałbym, żebyś podejrzewał mnie o zakłamanie. To by było obrzydliwe, prawda? Zakłamanie. Zdrada. Nielojalność wobec rodziny. Wobec rasy.

Spojrzał mu prosto w oczy, ujął teczkę, którą ze sobą przyniósł, delikatnie położył ją na biurku i przesunął ku Bancroftowi, który spojrzał na nią z obawą – jak ktoś, kto musi zdjąć pokrywkę z kosza, wiedząc, że w środku znajduje się kobra. Minęła minuta ciężkiego milczenia. Wreszcie prawnik otworzył teczkę i zaczął przeglądać papiery w środku.

– Kto by pomyślał? – odezwał się Noah w zamyśleniu. – Twoja matka była hitlerówką.

Bancroft przygarbił się lekko.

– Widzisz, Howardzie, wiedza to władza. Staram się dobrze poznać ludzi, którzy mnie otaczają, zwłaszcza tych, którzy mogą narobić kłopotów. Zbadanie twojego pochodzenia było dość kosztowne i zajęło mi wiele czasu, ale muszę powiedzieć, że efekt przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Złożyłem wizytę twojej matce w domu starców, gdzie ją zamknęłaś. Wystarczyło trochę ją przycisnąć, a wyznała mi ten wstydlivy sekret; za niewielką opłatą pielęgniarka zapisała wszystko słowo po słowie. Twoja matka podpisała zeznanie. Poznajesz jej podpis na ostatniej stronie? Była tak słaba, że z trudem trzymała pióro. Właściwie nie dziwię się, że umarła parę dni później.

Dobrze znasz tę historię, ale ja byłem nią zafascynowany. Miała dwadzieścia trzy lata, kiedy wywieziono ją z Polski. Reszta jej rodziny, bracia, siostra, rodzice, zostali rozstrzelani. Ona miała to szczęście, że trafiła do obozu koncentracyjnego. W

tamtych czasach, w starym świecie, dwadzieścia trzy lata stanowiło wiek niemal staropanieński. Twoja matka nie dopuściła do małżeństwa młodszej siostry, bo ona jeszcze nie wyszła za mąż. Ponieważ nie potrafiła przyciągnąć do siebie żadnego mężczyzny, jej rodzinie zagroził niemal rozłam.

Ale w obozie mężczyźni zaczęli zwracać na nią uwagę. Na przykład strażnicy. Widzisz, twoja matka płaciła seksem za życie. Rutynowo. Przez pięć lat. Z czasem polubiła tę sytuację i zaczęła się nią szczycić. Mogła żyć jak inne więźniarki, chodzić z ogoloną głową, żyć o chlebie i wodzie, codziennie umierać ze strachu. Ale nie, ona się pieprzyła, żeby żyć wygodniej. Dobrze jadła. Piła wino. Bawiła się z hitlerowcami. Była obozową kurwą. I za to nią pogardzano.

Czy to dziwne, że po przyjeździe do Ameryki zmieniła nazwisko i stworzyła sobie fałszywą historię? W tej historii opowiadała o żydowskim bojowniku o wolność, który poświęcił życie dla niej i ich nienarodzonego dziecka. Słodkie, ale kompletnie nieprawdziwe, co chyba sam odkryłeś, gdy miałeś... ile lat? Siedem? Osiem? W każdym razie byłeś dość duży, by zrozumieć, o co się ją oskarża. Pewnego dnia przyjechałeś ze szkoły i spytałeś matkę, dlaczego wszyscy cię przezywają i opluwają. Wtedy postanowiła się przeprowadzić.

Dłonie Howarda Bancrofta drżały tak bardzo, że kiedy zdjął okulary, upadły mu na biurko. Zasłonił oczy i jęknął.

– Nie wiedziała, który strażnik był twoim ojcem. Sam rozumiesz, dawała wszystkim. Ale podejrzewała, że był nim oficer, który zastrzelił się na parę godzin przed wyzwoleniem obozu przez aliantów. Urodziłeś się cztery miesiące później. Cięża była zbyt zawansowana, żeby cię usunąć. A może twoja matka miała akurat słabość do tego oficera. Podobno nawet kurwy mają uczucia.

Howardzie, Howardzie, jaki brzydki sekret ukrywasz! Myślę że społeczność żydowska nie byłaby zbyt szczęśliwa, gdyby się okazało, że twoja matka radośnie służyła tym, którzy gnali Żydów do komór gazowych i że twój ojciec skazał tysiące ich braci na tortury i śmierć. Mylę się?

A ponieważ byłeś adwokatem dzieci Holokaustu, twoja kruczata mogłaby zostać uznana za hipokryzję. Twoi izraelscy przyjaciele – a masz ich wielu, jak sądzę – wyparliby się ciebie. W twoich żyłach płynie krew zdradzieckiej kurwy i aryjskiego mordercy.

No tak, zawsze możesz powiedzieć: nie zdołasz tego udowodnić. Ale twoja reakcja stanowi dostateczny dowód, prawda? Poza tym nie muszę szukać dowodów. Sama plotka skutecznie zniszczy twoją reputację. Wystarczyłby choćby cień pomówienia, żeby doprowadzić do nieodwracalnych szkód.

Twoja rodzina będzie skończona. Nawet twoja żona i dzieci wierzą w bajeczkę, którą stworzyła twoja matka. Aż strach pomyśleć, jak zareagują. Już sobie wyobrażam, jak tłumaczysz wnukom, że dziadzius jest bękartem hitlerowca. Od tej pory możesz zapomnieć o szacunku i zaufaniu – do końca życia. Będiesz żyć w

niesławie jako kłamca i zdrajca religii i rasy, taki sam jak twoja matka.

Howard Bancroft płakał, kryjąc twarz w dłoniach. Całe jego ciało trzęsło się jak w ataku dreszczy.

– Oczywiście nikt nie musi o tym wiedzieć – dodał Noah łagodniejszym tonem. Wstał, zabrał teczkę i dokument, dający mu pełnomocnictwo. – Potrafię dochować tajemnicy. Słowo daję. Ale na pewno rozumiesz moją nieufność – dodał z kpiącą powagą. – Kopia wyznania twojej matki spoczywa w sejfie. Kolejna znajduje się u notariusza, którego zatrudniłem specjalnie w tym celu. To paskudne, zakłamane, nikczemne indywiduum z silnymi antysemickimi skłonnościami. Jeśli spotka mnie cokolwiek nieprzewidzianego, ma on rozproszyc zeznanie twojej matki we wszystkich okolicznych synagogach. Całkiem interesująca lektura, nie sądzisz? Zwłaszcza te opowieści o obciążaniu łaski oficerom SS. Niektórzy byli zbyt przyzwoici na stosunek z Żydówką, ale dla fellatio najwyraźniej robili wyjątek.

Noah podszedł do drzwi. Bancroft nadal płakał, zasłaniając twarz rękami.

– Nie, nie, Howardzie – rzucił mu Noah na pożegnanie – nie odprowadzaj mnie, nie trzeba. Miłego dnia.

Rozdział trzynasty

– Wyjeżdżasz jutro? – Rano – powiedziała Maris. Jej spojrzenie przesunęło się nerwowo po oranżerii, starannie omijając Parkera. – Mike zamówił już łódź. O wpół do dziesiątej mam lot z Savannah, z przesiadką w Atlancie.

– Miłej podróży. – Wyraz jego twarzy nasuwał podejrzenie, że życzy jej raczej podróży do wszystkich diabłów.

Było to ich pierwsze spotkanie tego dnia. Rano Maris cicho weszła do kuchni na pospieszne śniadanie, ograniczone do miseczki zimnej owsianki, na obiedzie w ogóle się nie pojawiła, a potem poprosiła Mike'a, żeby przyniósł jej do domku kanapkę na kolację. Powiedziała, że jest zajęta pracą. Chciała jeszcze raz przeczytać maszynopis, w pełnym skupieniu, żeby nic jej nie rozpraszało. Mike przyjął wyjaśnienie za dobrą monetę. Przynajmniej takie robił wrażenie.

Teraz, widząc wściekłą minę Parkera, pogratulowała sobie, że przez cały dzień unikała spotkania z nim. Parker był w złym humorze, szukał zwady. Im szybciej mu powie, co ma do powielenia, tym lepiej.

– Zanim wyjadę – odezwała się – chciałabym, żebyśmy po raz ostatni porozmawiali o twojej powieści. Przez cały dzień pracowałam nad jej ponowną oceną.

– Pracowałeś. Tak to nazywasz?

– Co?

– Unikanie mnie.

W porządku. Więc jednak chciał się pokłócić. Czy mogła rozczarować?

– Tak, unikałam cię. Dziwisz się? Po tym, jak...

Urwała, gdyż w drzwiach pojawił się Mike z tacą.

– Świeży placek brzoskwiniowy – obwieścił.

Grymas na twarzy Parkera stał się jeszcze groźniejszy.

– Dlaczego bez lodów?

– Miały się rozpuścić przed podaniem? Rany boskie. – Mike postawił tacę na stole i odmaszerował do kuchni, mamrocząc pod nosem, że wszyscy są dzisiaj okropnie zrzędlivi. Wrócił z pudełkiem lodów waniliowych, nałożył po porcji na parujące kawałki ciasta.

– Ja zjem u siebie – oznajmił. – W telewizji dają przegląd filmów Bette Davis.

Jak ci czegoś trzeba, sam sobie przynieś – zwrócił się do Parkera. – Maris, jeśli będziesz czegoś potrzebować. zapukaj do moich drzwi. Na piętrze. Pierwsze po prawej.

– Dziękuję, nie sędzę, żebym musiała cię niepokoić. Placek wygląda pysznie.

– Smacznego.

Mike wyszedł. Parker zaatakował swoją porcję, jakby chciał ją unicestwić. Skończył, cisnął łyżeczkę na pusty talerzyk, talerzyk rzucił na tacę i podjechał z fotelem do komputera.

– Chcesz przeczytać to, nad czym pracowałem, czy nie?

– Oczywiście, że chcę.

Maris wzięła talerzyk z ciastem i. czekając, aż drukarka skończy pracę, zaczęła się powoli przechadzać wzdłuż biblioteczki, odczytując tytuły licznych książek.

– Lubisz kryminały.

Parker podniósł głowę.

– Jeśli są dobrze napisane.

– Więc pewnie uważasz Mackensie Roone'a za dobrego pisarza.

– Jest w porządku.

– Tylko tyle? Masz cały cykl o Decku Caytonie.

– Czytałaś któryś?

– Parę, nie wszystkie. – Wzięła z półki jeden tomik, przekartkowała go. – Szkoda, że to nie my je wydajemy. Sprzedają się jak świeże bułeczki.

– Jak myślisz, dlaczego?

– A dlaczego ci się podobają?

Zastanowił się przez chwilę.

– To bzdurki, ale zabawne.

Skinęła głową.

– Tak myślą miliony czytelników na całym świecie. Deck Cayton podoba się zarówno mężczyznom, jak i kobietom, bo dlaczego nie? Jest niezależny finansowo, praca detektywa to jego hobby. Mieszka na bajecznej łodzi, jeździ szybkimi samochodami, lata własnym odrzutowcem. Równie swobodnie czuje się w eleganckim fraku jak i w dzinsach.

– A jeszcze swobodniej bez nich.

– Pewnie czytałeś to o morderstwie na plaży nudystów.

Parker wyszczerzył demonicznie zęby.

– Mój ulubiony tomik.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

– A wracając do Decka Caytona...

W zamyśleniu oblizała łyżeczkę.

– Postać jest dobrze skonstruowana. Deck Cayton jest czarujący, dowcipny, przystojny. Jest...

– Draniem.

– Czasami. Przez duże D. Ale autor przedstawił go tak doskonale, że czytelnik przebacza mu wady. Cayton jest ludzki, a my lubimy takich bohaterów. I choć jest niebezpieczny i wyszczekany, w głębi duszy jest też wrażliwy.

– Co ma związek ze śmiercią żony.

– Tak. W poszczególnych tomikach są napomknienia na ten temat, ale nie czytałam tego, w którym jest opisana.

– Pierwszy z cyklu. W wypadku na nartach. Deck sprowokował ją do wyścigu, a ona wpadła na drzewo. Podczas sekcji okazało się, że była w pierwszych tygodniach ciąży. Nie wiedzieli o tym. Powinnaś to przeczytać.

– Przeczytam. – Dotknęła łyżeczką wargi. – Widzisz, jak autor zbudował fundament wrażliwości Decka? Czytelnicy mogą mu współczuć, ponieważ przeżył tragedię.

– Mówisz jak wydawca.

Parsknęła śmiechem.

– Z przyzwyczajenia.

– Zastanawiałaś się nad tym.

– Analizuję każdy bestseller. Zwłaszcza te, które wydaje konkurencja. Muszę zrozumieć, dlaczego Deck Cayton wzbudził tak pozytywne emocje. Do moich obowiązków należy także przewidywanie gustów czytelnika.

Zjadła ostatni kęs placka.

– Ale to nie znaczy, że nie jestem jego wielbicielką. Bez względu na wszystkie możliwe motywacje. Deck to prawdziwy bohater bez skazy. Zawsze udaje mu się rozwiązać zagadkę ukarać złoczyńcę, przelecieć panienkę.

– Tak, żeby dać jej orgazm.

Maris zatrzasnęła książkę i odłożyła ją na półkę. Powiedział to tylko po to, żeby ją sprowokować – i udało mu się. Ale nie pokaże mu tego, nie ma mowy.

– Jak powiedziałam, ta postać przemawia zarówno do kobiet, jak i do mężczyzn.

Parker uśmiechnął się pod nosem.

– A który tom lubisz najbardziej?

– *Reszty nie trzeba.*

Skrzywił się.

– Poważnie? Akurat tam Deck zaczyna niepokojąco przypominać mięczaka.

– Bo okazał więcej serca bohaterce?

Parker przycisnął drwiąco dłoń do serca.

– Wszedł w kontakt ze swoim żeńskim pierwiastkiem.

– Ale wkrótce doszedł do siebie i znowu stał się zimnym draniem, jakim chciałby być każdy mężczyzna.

– Spełnił twoje marzenia?

– Deck Cayton?

– Twój mąż. Jego książka miała niezaprzeczalny wpływ na twoje fantazje. Czy jego osiągnięcia łóżkowe cię nie zawiodły... albo nie zawodzą?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– To było niestosowne.

– Czyli zawodzą.

– Czyli nie twój interes. Ta ciekawość jest nie na miejscu. I właśnie z tego powodu unikałam cię wczoraj i dzisiaj. To, co się wydarzyło w oczyszczalni, było niedopuszczalne. Jestem mężatką.

– A coś się wydarzyło? Nie przypominam sobie żadnego wydarzenia, które by stało w sprzeczności z przysięgą małżeńską.

Ta fałszywa niewinność doprowadziła ją niemal do furii, ale postanowiła, że nie da mu tej satysfakcji, nie pokaże, że wytrącił ją z równowagi. Zmieniła taktykę; z wystudiowaną obojętnością odniosła talerzyk na tacę.

– Przywiązujesz do tego pocałunku zbyt wielką wagę. Spytałeś, dlaczego na niego pozwoliłam, a ponieważ wyraźnie leży ci to na sercu, wyjaśniam. Pozwoliłam,

ponieważ walka z tobą byłaby żenująca i poniżająca dla nas obojga. Wózek do golfa to nie miejsce na obronę cnoty. I ani przez chwilę nie łudź się, że się ciebie boję. – Rzuciła mu złe spojrzenie. – Zawsze mogę ci uciec.

– Auć! Zabolało. Walczysz nie fair.

– To jedyna metoda walki, jaką potrafisz pojąć.

– To jedyna metoda walki, kropka.

– Innymi słowy, nie warto walczyć, jeśli się nie walczy po to, żeby wygrać, co?

– Właśnie – powiedział dziwnym, napiętym głosem. – Wygrać za wszelką cenę. Bez względu na to, co trzeba zrobić, bez względu na koszty. Tego już się nauczyłem... a może zostałem nauczony. Jeśli chcesz być górą, nie wolno ci się oszczędzać.

W jego tonie było coś, co ją zaintrygowało, ale w oczach dostrzegła niebezpieczny błysk, niepozwalający na niedyskretne pytania.

– Chciałam pracować z tobą nad *Zazdrością*. Jeśli mógł mi to ułatwić jeden nieważny pocałunek, uznałam go za niską cenę. Czy nie moglibyśmy zapomnieć już o tym wygłupie i skupić się na sprawie, która mnie tu sprowadziła? Na twojej książce i mojej ofercie kupna.

– Za ile?

Do tej pory nigdy nie wspomnieli o pieniądzach; zmiana tematu zbiła ją z tropu.

– Jeszcze o tym nie myślałam.

– A ja tak.

– Przedwcześnie.

– Może dla ciebie, ale nie dla mnie.

– Nie zobaczyłam pełnego tekstu. Nie zawieram umów w ciemno.

– A ja nie będę się wysilał, żeby napisać książkę, którą potem odrzucisz.

– Przykro mi, takie są zasady.

– Nie moje.

Świeżo wydrukowane kartki spoczywały na jego kolanach. Korciło ją, by je przeczytać. Ale Parker siedział z zaciśniętymi zębami, zawzięty i nieustępliwy.

– Możemy pójść na kompromis.

– Słucham.

– Jestem skłonna zaproponować ci umiarkowaną zaliczkę, kiedy przedstawiś mi szczegółowy plan powieści.

– Nie. Żadnego planu.

– Dlaczego?

– Bo lubię spontaniczną twórczość bez żadnych ograniczeń,

– Nie musisz się tym przejmować. Jeśli w trakcie pisania przyjdzie ci do głowy lepszy pomysł, zaakceptuję to. Chce tylko mieć ogólne rozeznanie, o czym będzie ta książka. Streszczenie.

– To by zepsuło niespodziankę.

– Jestem twoim wydawcą. Nie musisz mi robić niespodzianek.

– Ależ muszę. Jesteś przede wszystkim czytelniczką, dopiero potem wydawcą. Ty pierwsza sprawdzasz, czy książka jest dobra, czy do niczego. A zwroty akcji mają na to zasadniczy wpływ. Poza tym wolałbym spożytkować wszystkie siły na pisanie książki, a nie głupiego streszczenia.

– Nie spiesz się, bardzo cię proszę. Dla swojego i mojego dobra.

– Zapomnij o tym.

– Mówisz jak Todd.

– Todd?

Podeszła do stolika, na którym położyła maszynopis.

– Chwileczkę... to chyba rozdział szósty. Nie, siódmy. W scenie między Toddem i Roarkiem. Todd mówi, że profesor Hadley kazał zmienić stosunek bohatera do ojca. Roark uważa, że to dobra rada.

Przebiegła wzrokiem stronę.

– Tutaj. Strona dziewięćdziesiąta druga. Todd mówi: „Kiedy twój ukochany profesor pisze książkę, może robić z postaciami, co mu się podoba. Ty też. Ale to moje postaci. Ja je stworzyłem. Wiem, jak je ożywić. Nie zmienię ich tylko po to, żeby dogodzić Hadleyowi. Nie. Nie. nie i jeszcze raz nie. Zapomnij o tym”.

Spojrzała na niego. Wzruszył ramionami.

– Dobrze. Wypowiedziałem się ustami Todda.

– Boże, jakiś ty uparty.

Przez długi czas mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Parker spytał:

– Chcesz usłyszeć, co dziś napisałem, kiedy ty się przede mną ukrywałaś?

– Oczywiście. – Pomięła milczeniem jego sarkazm. – Tylko... Powiedziałeś „usłyszeć”?

– Wolałbym ci to przeczytać, bo pisałem nieporządnie. Nie zawracałem sobie głowy dużymi literami, przecinkami, takim tam. Usiądź.

Umościła się w miękkich, głębokich poduszkach ratanowego fotela, zdjęła sandały i podwinęła stopy. Parker zatrzymał się tuż koło niej. zaciągnął hamulec i przekrzywił klosz stojącej lampy tak, by światło padało wprost na kartki. Z wyjątkiem tego jednego snopa światła w pokoju panowały ciemności.

– Poszedłem za twoją radą i rozbudowałem postać dziewczyny. Pojawia się tu i tam, ale główna scena między nią i Roarkiem ma miejsce w dniu po jego niepowodzeniu z Hadleyem.

Profesor wyznaczył spotkanie po Świącie Dziękczynienia. Roark wraca do siedziby bractwa, wywleka Todda z łóżka i, tak jak radziłaś, spuszcza mu manto. Koledzy przerywają bójkę, zanim Roark zdołał narobić więcej szkód, niż rozbita warga i nos. Todd go przeprosza.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Mówi, że kawał wydał mu się niezły, choć nie spodziewał się, że będzie mieć poważniejsze konsekwencje. Nie sądził, że Hadley zareaguje aż tak surowo. Myślał, że da Roarkowi po łapach, ale nie odmówi mu konsultacji.

– Czy Todd mówi szczerze?

– Na razie nie mamy powodów, by w to wątpić, prawda?

– Nie, chyba nie.

– No, więc Roark przyjmuje przeprosiny, ale ciągle jest wściekły jak cholera. Dzwoni do swojej dziewczyny i umawia się z nią na wieczór. Mówi, że bardzo chce się z nią zobaczyć, że miał gówniany dzień, takie rzeczy.

– A pomoc mu może tylko dobre łóżko.

– Właśnie. – Parker przejrzał parę pierwszych kartek, upuszczając je kolejno na podłogę. – To już przeczytasz sobie sama. No dobrze. Dziewczyna ma na imię Leslie.

– Ładnie.

– Krótko mówiąc, Roark zabiera ją do knajpy. Zamawiają chili i wiśniową oranżadę.

– Ale się szarpnął.

– E, nie tak szybko, dobra? Chłopak żyje z ołówkiem w ręku. Poza tym tak się składa, że lubi chili i wiśniową oranżadę.

– Przepraszam. Mów dalej.

– Następnie Roark jedzie nad jezioro. Parkuje. Gasi radio. Cisza wydaje mu się bardziej odpowiednia. No i... aha, tu. „Cisza go przytuliła, kojąca i dobra jak pierś matki. Ten dzień był chaosem wydarzeń, szarpiących nerwy początków i końców. Pomiędzy wybuchami gniewu przeżył druzgoczące rozczarowane przyjacielem i sobą samym”.

– Dobrze.

– Dziękuję – rzucił z roztargnieniem, przeglądając kartki. – A Leslie jest przez cały wieczór dziwnie przygaszona. Roark podejrzewa, że jego nastrój jest zaraźliwy. Zaczynają rozmawiać przy chili. bla bla bla. Sama przeczytasz.

Przejechał palcem w dół strony, zatrzymał go na akapicie o który mu chodziło.

– Dobrze, teraz słuchaj.

– Słucham.

– „Księżyc w pełni wisiał tuż nad horyzontem, odbity w wodzie pod tak ostrym kątem, że jego drżący wizerunek zajmował całe jezioro. Emanował zimnym blaskiem. Na przeciwległym brzegu wysokie sosny i nagie jesiony trwały nieruchomo w bezwietrznej nocy. surowe, nakreślone grubą kreską, jak akwaforta na tle nieba, które w ciągu jednego dnia stało się niebem zimowym”.

– Podoba mi się.

– Streszczając, ich rozmowa była wymuszona, utykająca. Leslie nie spytała Roarka, dokąd pojedą z knajpy. W drodze nad jezioro milczała jak grób... o Jezu, to ja to napisałem? – Wyjął ołówek z kieszeni koszuli i skreślił zdanie. – Ale teraz jej milczenie zaczyna działać mu na nerwy. Roark chce wiedzieć, co jej chodzi po głowie.

Znowu zaczął czytać:

– „Roark powstrzymywał to pytanie tak długo, aż zaczęło mu rozsadzać pierś. Czemu jesteś taka cicha? Ton tego pytania powinien ją wkurzyć. Jego by wkurzyło, gdyby ktoś, kto przez cały wieczór siedział ponury jak grabarz, teraz nagle oskarżył go o psucie nastroju. Ale kiedy Leslie na niego spojrzała, zobaczył w jej oczach tylko dobroć. Zrozumienie zamiast nagany. I nagle zauważył, jaka jest piękna.

Och, już pierwszego dnia, kiedy ją zobaczył, pomyślał, że jest ładna. Śliczniutka. Razem z kumplami, z którymi balował tego wieczoru, wyłowił ją z tłumu studentek. Ocenili ją, tak jak to robią chłopcy, komentując te jej walory, które zwykle się komentuje. Dostała wysokie noty.

Ale dziś ujrzał jej inną urodę, niemającą nic wspólnego z przyjemnymi proporcjami rysów i ciała. Promieniowała pięknem bardziej uderzającym niż jej nieskazitelna cera i rzadziej spotykanym niż jej niezwykle błękitne oczy.

Była piękna urodą, która nie miała szczególnego wzięcia. Według ówczesnych standardów nie była niczym szczególnym. Nie była wyrafinowana ani chłodna, lecz swojska, ciepła. Przy niej czułeś się kochany i akceptowany pomimo wad, pomimo wszystko. Dziś Leslie była piękna urodą, jaką pragnąłbyś dla swojej towarzyski życia”.

Parker przestał czytać i zerknął na nią. Zdołała tylko lekko kiwnąć głową.

– Leslie pyta go, co go wprowadziło w taki humor. Mniej więcej. – Rzucił kartki na podłogę i przez jakiś czas szukał właściwej strony. – „Roark mówił przez dziesięć minut bez przerwy. Słowa lały się nieprzerwanym strumieniem, jakby przez cały dzień dojrzywały w jego podświadomości, układały się w szyku, który najdobitniej i najwyraźniej wyrazi jego desperację.

Wreszcie rozpacz zmieniła się we wściekłość. Dał wyraz gniewnemu monologowi wewnętrznemu, w którym usiłował usprawiedliwić swój atak na Todda. Do dupy z jego przeprosinami! – Mocno zacisnął dłoń w pięść. – Nie może odwrócić szkód, do których tak łatwo doprowadził.

Skończył przeklinać Todda i zajął się zadufanym profesorem, zawziętym sukinsynem. Jednocześnie przyznał się do strachu, że nigdy nie odzyska jego łask, a przez to jego praca dyplomowa zostanie nisko oceniona.

Potok słów osłabł i wreszcie zupełnie ustał. Roark zamilkł, otulił się mocno kurtką, nie dlatego, że było mu zimno, ale że zawstydził się swojego lamentu”.

I znowu Parker podniósł głowę i spojrzał na Maris.

– No i? Mam to wyrzucić do kosza czy ciągnąć dalej?

– Ciągnąć dalej. Bardzo proszę.

Wrócił do czytania.

– „Zaczekała, aż zgasną ostatnie iskry jego gniewu. Wreszcie oboje zauważyli, że w samochodzie zrobiło się bardzo zimno. Z ust Leslie sączyły się obłoczki pary. Przemówiła łagodnie, jakby uspokajała znarowionego konia.

– Dobrze, że tak się stało.

Parsknął i spojrzał na nią z pretensją.

– Dobrze? Skąd ci to przyszło do głowy, na miłość boską? Nie żebym wierzył w Boga.

Wiedział, że Leslie nie lubi aluzji do jego ateizmu. Była bardzo religijna, bolały ją wszystkie kpiny ze spraw świętych. Zwykle tylko go napominała i prosiła, żeby łaskawie zechciał zachować te niegodziwe uwagi dla siebie. Dziś postanowiła nie zwracać na nie uwagi.

– Zareagowałeś tak ostro, bo pisanie dużo dla ciebie znaczy.

Miała rację. Zaciekawiała go.

– A ponieważ znaczy tak wiele, w końcu ci się uda. Gdybyś zdołał zapomnieć o nieporozumieniu z profesorem Harleyem i w dodatku śmiać się z tego, doradziłabym ci, żebyś się zastanowił nad wyborem innego zawodu. Mógłbyś je zlekceważyć tylko wtedy, gdybyś nie miał pasji pisania. A to, co się stało ukazuje, jak silna jest twoja pasja. Twoja reakcja na to, co właściwie jest niczym więcej jak drobnym potknięciem w kosmicznym planie, dowodzi, jak bardzo pragniesz pisać, i to pisać dobrze. Cios trafił bezbłędnie w najwrażliwsze miejsce, co potwierdza, że robisz to, do czego jesteś stworzony. – Uśmiechnęła się. – Ja nie potrzebuję tego potwierdzenia, ale może tobie jest potrzebne. A jeśli tak jest – to doświadczenie warte było całego bólu, jakie spowodowało.

Ujęła jego rękę w obie dłonie.

– Zastanów się nad tym, a zrozumiesz, że mam rację”.

Parker zrobił pauzę.

– Ta dziewczyna ma doskonałą intuicję – powiedziała Maris.

– Tak sądzisz?

Skinęła głową. Spojrzała na stosik kartek, nadal leżących na jego kolanach.

– Jak zareagował Roark?

– Tak jak na ogół reagują mężczyźni w sytuacjach budzących silne emocje.

– Mianowicie?

– Mianowicie, zależnie od tego, czy impuls jest pozytywny, czy negatywny, mają ochotę albo uderzyć, albo przelecieć.

Rozdział czternasty

Maris z trudem wydobyła z siebie głos.

– Nie sędzę, żeby Roark miał ochotę uderzyć.

– To przecież ty zaproponowałaś, żeby rozbudować ten wątek.

– Tak, to ja.

– Czyli w porządku. Całują się, stopniowo robi się coraz goręcej. Roark rozpina jej płaszcz, dobiera się do piersi. Leslie pozwala mu dotknąć swojej skóry. „Aksamitnej, ciepłej, wonnej kobiecej skóry”, tak tu jest napisane. Jeszcze nad tym popracuję.

Roark zaczyna pieścić jej piersi. Po raz pierwszy od czasu, kiedy zaczęli ze sobą chodzić, pieści ją ustami. Całuje sutki. uczy ją nowych rzeczy na temat podniecenia i przyjemności, dostępnych mężczyźnie i kobiecie, którzy chcą je poznać.

Serce Maris zabiło mocno w piersi.

– Jej zapach. Jej oddech. Faktura skóry pod jego językiem. Plus frustracja tego dnia. Pieszczoty już nie wystarczą, facet umiera z pożądania. Więc kieruje dłoń Leslie w swoje dzinsy, a ona, mówiąc oględnie, funduje mu ręczną robótkę.

– To jest oględne?

Podniósł głowę na dźwięk jej zachrypniętego głosu, spojrział na nią badawczo.

– W porównaniu z innymi możliwymi określeniami? Tak, to dość oględne.

– W porządku.

– Roark wyznaje jej miłość.

– Szczerze?

– W tamtej chwili? Kocha ją z całego serca.

Nie mogła się nie roześmiać na widok śmiertelnie poważnej miny Parkera.

– No, jasne. Co na to Leslie?

– Ach... – Zmarszczył brwi. – Jak się okazuje, ręczna robótką była prezentem na pożegnanie. Leslie odchodzi od niego.

– Już wtedy?

– Wszystko jest napisane czarno na białym.

– Hmm... Odchodzi z powodów wymienionych w pierwszej wersji?

– Tak.

– Więc jest dobra, prawda? I mądra. Choć ją to rani, robi to, co jest najlepsze dla nich obojga, zwłaszcza dla Roarka. Myśli o nim i jego karierze.

– Być może. Ale muszę ci powiedzieć, Maris, że kiedy kobieta wstaje i wychodzi tuż po twoim orgazmie, to robi ci się kijowo.

– Nie wątpię.

– Tak jest – zapewnił ją, kiwając głową z miną mędrca. – Każdy facet ci to powie.

– Wierzę ci na słowo.

– Roark uważa ją za sukę bez serca. Nie potrzebuje jej litości, zresztą za kogo się ona uważa? Wkurzyła go do żywego. – Maris chciała zaprotestować, ale Parker uniósł palec, by ją powstrzymać. – Przynajmniej tak było na początku. – Ujął pozostałe strony. – Mam czytać?

– Proszę.

– „Dzień zaczął się koszmarem, a skończył prawdziwym gównem. Roark zastanawiał się, czy się nie upić, ale nie widział w tym żadnego sensu. Rozczarowania tego dnia miały mu towarzyszyć również nazajutrz, a wtedy musiałby im stawić czoło na kacu. Poza tym nie zasłużył sobie na prawo do zalania pyska. Prawo to przysługuje mężczyźnie tylko wtedy, gdy ma powody do świętowania... lub rozpacz. Można oplakiwać katastrofę, która spadła bez zapowiedzi, mocą boskiego wyroku czy kaprysu losu. Ale głupota nie zasługuje na taki przywilej. Nie da się tak łatwo zapomnieć o odpowiedzialności za własne czyny.

I choć bardzo pragnął zwalić winę na Leslie, Hadleya czy Todda, musiał przyznać, że odpowiedzialność w dużej mierze, jeśli nie całkowicie – spoczywa właśnie na nim.

Leslie była mądra ponad swój wiek i doświadczenie. Co więcej, była też szczerą do bólu. Mieli zbyt rozbieżne pragnienia, zbyt różne marzenia, by myśleć o wspólnej przyszłości. Już teraz widać to było wyraźnie. Za parę lat nie uniknęliby konfliktów. Gdyby doszło do nieuniknionej separacji, wyszliby z tego związku pokaleczeni i obolali.

Mądrość jej wyboru, tego powrotu do małego miasteczka i dawnego chłopaka, nie osłodziła mu goryczy rozstania, ale zakończenie związku, zanim się na dobre rozpoczął, oszczędziło im obojgu przyszłego cierpienia. Przynajmniej rozstali się, kiedy ich wspomnienia były jeszcze słodkie.

Profesor Hadley miał prawo się rozgniewać. Nie zamierzał uczyć idiotów. Prawdopodobnie w takim samym stopniu wściekł się na Roarka za to, że ten dał się

oszukać koledze, jak za spóźnienie. Jego czas był zbyt ograniczony, a wskazówki zbyt cenne, by je marnować na głupców. A uwierzenie Toddowi w sprawie tak ważnej graniczyło z głupotą.

Teraz Roark stanął przed poważnym wyzwaniem: musiał udowodnić Hadleyowi, że choć wszystkie dowody wskazują na coś zupełnie przeciwnego, nie jest imbecylem. Potrafi się uczyć na błędach. Musi się na nich uczyć. Jeśli tego nie zrobi, istotnie okaże się głupi, niewart czasu i wysiłku, jak sądził Hadley.

Ten dzień był pierwszym zimnym dniem sezonu. Był także pierwszym dniem dorosłego życia Roarka Slade'a. Rytuał przejścia odbył się bez ceremonii i sakramentów. Resztki niewinności, z którymi obudził się tego ranka, znikły z jego życia bez śladu. Po tym dniu zaufanie stało się tylko słowem, pustym pojęciem, które nigdy więcej nie miało praktycznego zastosowania w jego życiu. Od tego dnia wszystkie jego przekonania skaziła kropla sceptycyzmu.

Sam Roark nie zdawał sobie sprawy z tej zmiany. Uświadomił ją sobie dopiero później, kiedy miał wiele godzin, dni, miesiące na analizowanie swojej osobistej historii, na szukanie tej chwili, w której zgasła jego dobra gwiazda, a nad jego życiem zaciążyło przekleństwo. Poszukiwania zawsze doprowadzały go do tego dnia.

Przez wiele miesięcy od tamtego wtorku przed Świętem Dziękczynienia Roark wracał myślą do profesora Hadleya i do tego, czego nauczyło go to żenujące doświadczenie. Rozmyślał o tym, czego dowiedział się od Leslie o sobie jako mężczyźnie. I Pisarzu. Rozważał to bez końca.

Unikał myślenia tylko o jednym: o tym, czego dowiedział się o swoim najlepszym przyjacielu”.

Parker skończył czytać, przez jakiś czas wpatrywał się w ostatnie zdanie, aż wreszcie upuścił kartkę, która opadła na pozostałe. Podłoga była zasłana strunami maszynopisu.

– To na razie tyle – odezwał się cicho, nie patrząc na Maris.

Powoli wyprostowała nogi. opuściła stopy na podłogę. Przesunęła dłońmi po udach, luźno splotła palce, zrobiła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

– Dobrze. To sprzeczne z polityką firmy i moimi zasadami, ale dam ci dziesięć tysięcy dolarów zaliczki tylko za skończenie tekstu. Kiedy napiszesz książkę do końca, zaczniemy negocjować warunki kontraktu. Jeśli się na nie nie zgodzisz i sprzedasz książkę komu innemu, musisz zwrócić te dziesięć tysięcy z pierwszej raty, jaką otrzymasz od swego wydawcy. Jeśli się na nie zgodzisz, pieniądze wejdą w ogólną sumę, jaką ustalimy. Tymczasem proponuję, żebyś znalazł sobie agenta.

– A ja proponuję, żebyś zeszła na ziemię.

– Nie zgadzasz się?

– Dwadzieścia pięć tysięcy. Co ledwie pokrywa moje wydatki. Muszę kupić toner do drukarki i papier.

– Szalenie kosztowny papier – dodała. – Piętnaście tysięcy. To wszystko, na co mogę się zdobyć, przecież nie mam nawet streszczenia.

Zastanawiał się przez parę sekund.

– Piętnaście, a zaliczka nie będzie doliczona do sumy, którą mi ostatecznie zaproponujecie. Innymi słowy, te piętnaście tysiączków ma być moje, bez względu na wszystko. Jeśli Matherly Press nie może zaryzykować takiej sumy, powinniście jutro zwinąć interes.

Oczywiście miał rację, a ona nie widziała sensu w dalszym oporze – może tylko dla zachowania twarzy. Ale prawdziwe targowanie się mogła ostatecznie odłożyć do finalnych negocjacji.

– Umowa stoi. Zaraz po powrocie do Nowego Jorku każe sporządzić stosowne dokumenty. Na razie zawrzemy dżentelmeńską umowę. – Wyciągnęła rękę.

Ujął ją i wykorzystał tę sposobność, by ją ku sobie przyciągnąć.

– Nawet w najdzikszych fantazjach nie widzę cię jako dżentelmena.

Pochyliła się jeszcze niżej, tuż nad nim, i szepnęła:

– Ja ciebie też nie.

Roześmiał się i puścił jej rękę.

– Słusznie. Chcesz to zabrać ze sobą? – Wskazał kartki rozrzucone na podłodze.

– Tak. Chciałabym to dać do przeczytania ojcu.

– A nie mężowi?

– Noah zwykle zajmuje się sprawami finansowymi, a kwestie wydawnicze zostawia mnie, ale ponieważ tak się zaangażowałam w twoją powieść, na pewno także zechce ją przeczytać.

Parker cofnął się z fotelem, by mogła pozbierać kartki.

– Chciałbym ci pomóc. ale...

– Nie ma sprawy.

– ...podoba mi się ten widok. Wręcz marzyłem o tym, jak padasz przede mną na kolana.

– I błagam o książkę?

– O to też.

Podniosła głowę i natychmiast tego pożałowała. Nie uśmiechał się, nie żartował. To nie były jego zwykłe kpiny.

– Nieprzyzwoite marzenia. W niektórych stanach by mnie aresztowali.

– Przestań.

– Dobrze, przestanę.

– Dziękuję.

– Jak tylko przestaniesz tak wyglądać.

– Jak?

– Zdecydowanie bzykankowo.

– Nie ma takiego słowa.

– Jakiego? Zdecydowanie?

– Powinam cię podać do sądu za molestowanie seksualne.

– Wszystkiego się wyprę.

– I tylko dlatego się powstrzymam. – Dalej zbierała strony szybkimi, gniewnymi ruchami. Wtedy zauważyła bliznę.

Parker nie nosił skarpetek, jego buty były zupełnie nowe, niezabrudzone – smutny widok. Przez podbicie prawej stopy biegła blizna, wspinająca się na kostkę i znikająca pod nogawką spodni. Ciało wokół niej było wzdęte, wybrzuszone.

– Dalej jest jeszcze gorzej. W gruncie rzeczy w porównaniu z innymi wygląda nawet ładnie.

Podniosła na niego wzrok.

– Bardzo mi przykro.

– Nie ma potrzeby. Zainteresowanie czymś tak groteskowym leży w ludzkiej naturze. Przyzwyczailem się do spojrzeń.

– Nie. Przykro mi z powodu tego, co ci się przytrafiło. Musiało niewiarygodnie boleć.

– Początkowo. – Mówił z obojętnością, a ona nie miała wątpliwości, że udawaną. – Ale po paru latach nauczyłem się z tym żyć. W końcu ból przeszedł w znajome pobołowanie. Tylko kiedy się oziębia, znowu zaczyna mnie boleć jak jasna cholera.

– To dlatego przeprowadziłeś się na Świętą Annę? Żeby uniknąć chłodu?

– Między innymi. – Obrócił fotel. – Przyniosę jeszcze ciasta. Chcesz?

Wstała z kartkami w dłoni.

– Nie, dziękuję. Muszę iść spać. Jutro wstaję z samego rana.

– Racja.

W ułamku sekundy zlodowaciał. Zobaczyła jego blizny, te zewnętrzne i wewnętrzne, a tego nie mógł znieść. Blizny równały się dla niego słabości, ograniczeniu jego męskości. Oczywisty idiotyzm.

Ponieważ – pomijając te zryte bliznami nogi – Parker stanowił uosobienie męskości. Miał szerokie bary i pierś. Jak zauważyła przy pierwszym spotkaniu, jego ramiona były bardzo muskularne. Muskularne były nawet nogi, na ile zdołała to zauważyć przez spodnie. Rozmawiając z Mikiem, spytała, dlaczego Parker nie używa zmotoryzowanego wózka. Wyjaśnił jej, że Parker chce zachować formę, a wprawianie fotela w ruch siłą własnych mięśni utrzymuje je w dobrej kondycji.

Nie był tak klasycznie przystojny jak Noah. Jego rysy były wyraźnie asymetryczne, ale te nieregularności sprawiały, że twarz przykuwała uwagę. Kwadratowa szczęka, surowe oczy, i ta czupryna, nad którą wyraźnie nie panował, wszystko to były atrybuty na wskroś męskiej urody.

Urody, od której zamężne kobiety powinny się trzymać z daleka.

– Wkrótce się odezwę.

– Nigdzie się nie wybieram – warknął.

– Pisz, pisz i jeszcze raz pisz.

– Aha. Do widzenia, Maris. – Odjechał do kuchni, nie oglądając się za siebie. Trochę tak, jakby uciekał. Drzwi zatrasnęły się za nim głośno.

Maris została sama w pustym, ciemnym pokoju, zbita z tropu i trochę przygnębiona. Nie wiedziała, czego właściwie oczekiwała, ale odejście Parkera przygnębiło ją. Dostała to, po co tu przyjechała – obietnicę, że *Zazdrość* zostanie ukończona. Jeden uścisk dłoni, by przypieczętować umowę, chyba go nie zabił, prawda? Nie wspomniał, że spotka się z nią rano. Oczywiście, nie spodziewała się długich i czułych pożegnań, ale i tak czuła się trochę rozczarowana.

Szczerze? Nie chciała stąd odjeżdżać. Powinna się cieszyć, że wraca na własne podwórko, gdzie akcent, potrawy i odgłosy nocy są jej dobrze znane. Tymczasem właśnie zdała sobie sprawę, że jutrzejszy odjazd napawa ją lękiem.

Ta wyspa podbiła jej serce przepięknym krajobrazem i śpiewającymi owadami, których koncerty usypiały ją do snu. Z początku wilgotność powietrza wydała się jej dławiąca i niemal nie do zniesienia, ale z czasem prawie polubiła jej dotyk na skórze. Ta wyspa, której porośnięte zwisającym mchem drzewa były stare jak świat,

wyglądała jak z innego świata, uwodzicielska. czarowna.

Tak jak Parker Evans. Odsunęła od siebie tę myśl.

Kartki maszynopisu zwilgotniały w jej mocno zacisniętych palcach. Rozluźniła chwyt i pokręciła głową ze smutkiem. Nie miała wątpliwości, skąd się wzięły te zmysłowe myśli. Zakiełkowały w jej umyśle, gdy Parker odczytał ten cholerny akapit o namiętnych pocałunkach, sutkach i przyjemnych możliwościach, dostępnych mężczyźnie i kobiecie, którzy chcą je poznać.

Chciała wrócić do domku gościnnego i jeszcze raz przeczytać tekst. Teraz zmieniła zdanie. Poczekaj z tym do Nowego Jorku, przeczyta maszynopis w jarzeniowym świetle, w znajomym otoczeniu, za bezpieczną barykadą biurka. Takich rzeczy nie wolno czytać, kiedy w sąsiednim pokoju znajduje się autor, snujący o niej marzenia, za które mógłby zostać aresztowany.

Wychodząc z oranżerii, wzięła z biblioteczki powieści Mackensie Roone'a. Miała dziwne wrażenie, że nie zdoła zasnąć. Deck Cayton dotrzyma jej towarzystwa.

Parker dotarł do oczyszczalni rankiem następnego dnia, płosząc swoim nadejściem szopa.

– Już prawie świta, koleś. Zabieraj stąd tyłek.

Zwierzak śmignął pomiędzy deskami ściany.

Parker lubił czekać w oczyszczalni na wschód słońca; było tu przyjemnie chłodno, a od oceanu wiał lekki wietrzyk. Przyglądał się, jak pierwsze promienie przeciekają przez szpary w ścianach. Wyobrażał sobie, że budynek ma duszę i budzi się o wschodzie słońca w próżnej nadziei, że nowy dzień przyniesie mu życie i witalność.

Wyobrażał to sobie, bo potrafił się utożsamić z takim pragnieniem.

Wiedział, jak to jest, kiedy ludzie cię obejrzą i odejdą, kręcąc głowami ze smutkiem, bo na nic się już nikomu nie przydasz.

Budził się tak przez wiele, wiele dni. Zanim zaświtała mu świadomość jego stanu, czuł przyjemne ożywienie na myśl, co może przynieść nowy dzień. Potem ból przypominał mu o wszystkim, a wraz z pełną przytomnością przychodziła okrutna świadomość, że dzień nie przyniesie nic prócz samotności i beznadziei, tej samej co wczoraj i przedwczoraj.

Dzięki Bogu, że zdołał się jakoś wygrzebać z tej depresyjnej magmy.

Siłą woli nadał znaczenie swoim dniom. Znalazł cel. Choć kosztowało go to przeszywający fizyczny ból, choć wiele razy cierpiał tak, że omal się nie poddał, wytrwał przy swoim. Teraz od osiągnięcia tego celu dzieliło go tylko parę tygodni.

Przez otwarte drzwi do budynku wleciał ptak, wytrącając go z zamyślenia. Brunatny, nakrapiany ptaszek – Mike, który był zapalonym ornitologiem, pewnie by go rozpoznał z odległości trzydziestu metrów – przysiadł na belce i przyjrzał się Parkerowi z zaciekawieniem, przekrzywiając łebek.

– Pewnie się zastanawiasz, co tu robie.

Sam też się zastanawiał, dlaczego zaczął dziś rozmawiać ze zwierzętami, choć nie było to dla niego źródłem szczególnego niepokoju. Niegdyś zdarzyło mu się krzyczeć i przeklinać cały batalion wyimaginowanych szczurów, biegnących po jego sparaliżowanych nogach, rojących się po lędźwiach i brzuchu, pędzących po piersi ku szyi i twarzy, by wbić w nie długie ostre zęby. Dlatego teraz nie martwiło go, że naszała go ochota porozmawiać przyjaźnie ze zwykłym ptakiem, nieszkodliwym i rzeczywistym.

Zjawił się w tych pustych ruinach, by jeszcze raz przemyśleć całą intrygę i znaleźć jej słabości. Chciał się tu zastanowić, czy naprawdę jest gotowy do działania, i zadać sobie znowu pytanie, czy jest coś, o czym zapomniał. Chciał tu sobie wyobrazić słodki smak zemsty, do której zbliżał się po czternastu latach oczekiwania.

A czasami przyjeżdżał, żeby uciec przed Mikiem. Dwóch upartych starych kawalerów w jednym domu to o jednego upartego starego kawalera za dużo. Kiedy dochodziło między nimi do kłótni, to zawsze z winy Parkera. W porównaniu z nim Mike był cierpliwy i szlachetny niczym święty.

Parker nie mógł się bez niego obyć. Nie mógł nawet znieść myśli o dniu, kiedy będzie do tego zmuszony. Mike nie chciał się przyznać, ile naprawdę ma lat, ale Parker wiedział, że na pewno przekroczył siedemdziesiątkę. Dzięki Bogu, robił wrażenie zdrowego i miał energię mężczyzny o połowę młodszego.

Parker naprawdę go lubił... nie, naprawdę go kochał.

Ale zdarzały się dni, kiedy nawet wyrozumiały Mike Strother grał mu na nerwach, kiedy trzeba mu było zupełnej samotności. kiedy jeden pokój nie stanowił dla niego wystarczającej przestrzeni do walki z demonami.

Tego ranka przybył tutaj specjalnie po to, by pomyśleć o Maris. W tych zniszczonych ścianach opracował podstęp, za pomocą którego ściągnął ją na Świętą Annę, pod swój dach i swój wpływ.

Nie przewidział tylko, że ona także na niego wpłynie.

Ale nie mógł pozwolić, żeby współczucie dla niej zatriumfowało. Jeśli miał dać Noahowi Reedowi przedsmak piekła na ziemi, musiał wykorzystać jego żonę, choć tego właśnie nie mógł przeboleć. Oczywiście, nie zasługiwała na nic innego,

skoro poślubiła tego sukinkota. Wyglądała na inteligentną, mówiła niegłupio, ale chyba nie była zbyt mądra.

– No, bo, rozumiesz, wyszła za faceta dlatego, że zakochała się w bohaterze książki. Chyba są jakieś granice głupoty? – spytał wróbla.

Nie, nie mógł się rozczuć nad Maris Matherly-Reed. Co z tego, że go rozśmieszała? I że dobrze się z nią rozmawiało? I że patrzyła na niego tymi tęsknymi, akwarelowymi oczami, że współczuła mu z powodu blizn? Nie chciał jej litości. Nie potrzebował jej. I na pewno by się nad nim nie litowała, gdyby wiedziała, co przygotował dla...

– Ty draniu!

Parker odwrócił się z fotelem w samą porę, by uchylić się przed lecącą ku niemu książką w twardej okładce.

Rozdział piętnasty

Parker cofnął się na ułamek sekundy przed tym, nim książka uderzyła go w skroń. Wylądowała na klepisku obok jego fotela, wzniesając obłoczek kurzu. Znał tę okładkę. Był to pierwszy tom serii o Decku Caytonie.

W otwartych drzwiach stała Maris. Kiedy po raz pierwszy pojawiła się w oczyszczalni, była trochę przestraszona, zawahała się w progu. Teraz płonęła wściekłym blaskiem jak nowo narodzona gwiazda. Gdyby stała na progu piekła, pewnie nie poczułaby cienia lęku.

Zważywszy na to, że widział zarys jej nóg – całych, aż po biodra – jej wściekłość nie zrobiła na nim wrażenia. W każdym razie mniejsze niż nogi. Jego spojrzenie samo uciekło ku lekkiemu zarysowi spojenia ud, ale zaraz potem podniósł je z wysiłkiem na bardziej neutralny rejon talii. Nie chciał sprowokować jej jeszcze bardziej.

– Nie spodobała ci się książka? – spytał od niechcenia.

– Pieprzę cię!

– Chyba nie.

Zacisnęła dłonie w pięści i ruszyła ku niemu.

– „Przynajmniej rozstali się, kiedy ich wspomnienia były jeszcze słodkie”. – Zatrzymała się tuż przed jego wózkiem. Dopiero teraz zauważył, że Maris ma na nosie okulary. – Albo jesteś plagiatorem, albo cholernym kłamcą. Tak czy owak. drań z ciebie.

– Już mówiłaś. Załapałem za pierwszym razem. Cytat pochodzi chyba z rozdziału siedemnastego, strona dwieście czterdzieści trzy. Deck stoi nad grobem swojej żony. – Spojrzał na nią z fałszywym zdumieniem. – Myślałem, że nie ma czegoś takiego jak plagiat samego siebie. Jest?

Gniew odebrał jej mowę.

– Deck jest zdruzgotany, ale wdzięczny za to, że mógł choć przez krótką chwilę dzielić z nią życie. Wydaje mi się, że nieźle mi to wyszło.

– Zbyt dobrze, żeby nie użyć tego po raz drugi. W *Zazdrości*. Kiedy Leslie zrywa z Roarkiem.

Kiedy odkryła to wymowne podobieństwo? Wczoraj w nocy, leżąc w domku gościnnym, czy dziś rano, przy kawie? Okoliczności w gruncie rzeczy nie miały znaczenia. Poznała jego sekret i wściekła się jak diabli.

– Dlaczego mnie okłamałeś?

– Nie skłamałem – sprzeciwił się ze spokojem. – Nie spytałaś mnie, czy Mackensie Roone to ja. Nie spytałaś, czy jestem autorem powieści o Decku Caytonie. Nawet wczoraj, kiedy o nim rozmawialiśmy, ani razu nie...

– Nie udawaj! Z premedytacją zataiłaś przede mną prawdę. Gdybyś chciał, wyjawiałbyś mi z własnej woli tę kluczową informację.

– Kluczową? Wątpię. Nie była nawet ważna. Nie miała znaczenia. Gdybyś spytała, na pewno bym...

– Wymyślił jakieś kłamstwo. Tak jak to robisz od samego początku.

– Gdybym nie chciał zostać zdemaskowany, nie użyłbym z rozmysłem tego zdania w *Zazdrości* i nie poleciłbym ci pierwszego tomu przygód Decka Caytona.

– To ma być kolejna gierka, żeby sprawdzić moją inteligencję? – krzyknęła.

Miała zmierzwione włosy i zaróżowione policzki, jakby biegła tu przez całą drogę z domu. Prawdę mówiąc, wyglądała zachwycająco. I pachniała waniliowymi herbatnikami. Ale coś mu mówiło, że komplementy nie będą teraz mile widziane.

– Nie wiedziałem, że nosisz okulary. Zwykle chodzisz w kontaktach?

Niecierpliwie przejechała palcami po włosach.

– Chcę wiedzieć, dlaczego.

Mówiła już ciszej, choć chyba kosztowało ją to sporo wysiłku. Pierś falowała gwałtownie, jakby w jej wnętrzu szalała burza.

– Dlaczego prowadzisz ze mną tę idiotyczną grę, Parkerze? Albo Mackensie, czy jak tam się nazywasz.

– Parker Mackensie Evans. Mackensie to panińskie nazwisko mojej matki. Kiedy szukałem pseudonimu, samo mi się nasunęło. Mama była nieskończenie dumna. Ładnie brzmi, jest androginiczne. Daje...

– Dopowiedz.

– ...zabezpieczenie.

– Przed czym?

– Przed odkryciem. – Rzucił to słowo jak rękawicę. Przez długą chwilę leżało między nimi, niemal tak namacalne jak sponiewierana książka, porzucona na klepisku. Wreszcie Parker dodał: – Sprzedając cykl o Decku Caytonie, chciałem pozostać anonimowy. Nadal chcę.

– Ten cykl cieszy się ogromną popularnością. Dlaczego się ukrywasz?

Założył ręce na piersi i spojrzał na nią znacząco.

– A jak sądzisz, Maris?

Rozchyliła wargi, jakby miała odpowiedzieć, ale potem w jej oczach mignęło zrozumienie i usta się zamknęły. Odwróciła wzrok, zażenowana.

– Masz rację. Deck Cayton to marzenie każdego mężczyzny. I, jak twierdzisz, każdej kobiety. Jest sprawny i silny, potrafi ścigać przestępców i zanieść kobietę do łóżka. Po co psuć ten oszałamiający wizerunek, pokazując siebie na wózku inwalidzkim? Na okładce nigdy nie było zdjęcia autora. Nie podpisywałeś książek, nie pojawiałeś się na bankietach. Często kwestionowałam strategię marketingową twojego wydawcy i zastanawiałam się, dlaczego cię ukrywa. A on cię chronił.

– Błąd. To ja chronięm siebie. Nawet mój wydawca nie wie, kim jest Mackensie Roone. Nie zna mojego prawdziwego nazwiska. Nie zna nawet mojej płci. Nikt nie zna prawdziwej tożsamości Mackensie Roone'a. Moja agentka twierdzi, że domysły obejmują całą gamę podejrzeń, od...

– Oczywiście! – zawołała cicho. – Mackensie Roone ma agentkę, a ja ją znam. Nie skorzystałaś z jej pomocy przy *Zazdrości*. Dlaczego?

– Ona o niej nie wie.

– Dlaczego?

– Bo jej nie powiedziałem. Dostanie udział od całego zysku *Zazdrości*, ponieważ włączę ją do negocjacji. Ale do tego czasu chciałem działać sam.

– Dlaczego?

– Czy tu jest jakieś echo?

– Chcę to zrozumieć, zanim cię zabiję.

Ale pomimo groźnego tonu była bardziej oszołomiona niż zła, choć Parker wyczuł, że jej gniew przygasł tylko na chwilę. O ile ją znał – a miał wrażenie, że zdążył ją już poznać – kiedy tylko będzie miała czas, żeby się nad tym zastanowić, znowu się wścieknie jak wszyscy diabli.

– Wytlumacz mi to. Po co te podstępny?

– Chciałem napisać inną książkę. Zupełnie inną, bez wartkich dialogów i szybkiej akcji. Nie zrozum mnie źle, wcale nie są łatwiejsze do napisania. – Uśmiechnął się krzywo. – Szczerze mówiąc, dziwię się, że są takie popularne. Ale skoro są, a Deck jest tak dobrze znany... niektórzy czytelnicy uważają go wręcz za członka rodziny, który powraca do nich z każdym nowym tomem... spodziewają się po mnie bardzo wiele. Chcą za każdym razem tego samego, ale inaczej. Chcą, by każda książka zabierała Decka w nową, oszałamiającą przygodę, ale dostają szału, jeśli za bardzo oddalę się od schematu. To trudne trafić raz za razem. Każda książka sprzedaje się lepiej od poprzedniej i to mnie cieszy. Ale jednocześnie podwyższa stawkę i standard, więc za każdym razem coraz trudniej jest pobić własny rekord.

– Często to słyszę od innych pisarzy, którym udało się napisać bestseller. Mówią, że trudno jest przebić samego siebie. Noah powiedział tak o *Zwycięzonym*.

Parker nie chciał rozmawiać o Noahu i jego cholernej bestsellerowej powieści.

– Byłem z tobą szczery, Maris, teraz ty bądź szczerą ze mną. Gdyby moja agentka zadzwoniła do ciebie i powiedziała: „Zgadnij, co mam? Na moim biurku leży nowa powieść autora serii o Decku Caytonie. Coś zupełnie innego od tych kryminałów. Bardzo wyciszony. Autor chce, żebyś przeczytała ją pierwsza”. Dostałabyś orgazmu, co?

Drgnęła, ale nie odwróciła spojrzenia od intensywnie wpatrzonych w nią oczu.

– Chciałem, żebyś dostała orgazmu z powodu *Zazdrości*. Ale nie wiedząc niczego o mnie i o moich dawnych sukcesach.

Odwróciła głowę, poprawiła okulary i z roztargnieniem szepnęła z ramienia komara. Znowu na niego spojrzała.

– Dobrze. Tak. Nie ujęłabym tego tak brutalnie jak ty, ale rzeczywiście taki telefon postawiłby mnie na równe nogi. Czy to aż takie straszne?

– Chciałem, żeby twoja opinia była całkowicie obiektywna.

– I to dało ci prawo, żeby zrobić ze mnie idiotkę.

– Nie, do cholery! Chodzi o coś zupełnie... – Teraz i w nim obudził się gniew, prawdopodobnie dlatego, że Maris miała rację. Zaczął od nowa: – Wysłałem prolog, nie korzystając z pomocy agentki, ponieważ tylko tak mogłem mu zagwarantować bezstronny osąd. Chciałem, żebyś przeczytała go bez uprzedzeń. Żebym został oceniony jako pisarz, nie jako autor bestsellerów. Chciałem, żeby było dobrze.

– Byłoby dobrze, nawet gdybyś nie ułożył tej szarady. Moja reakcja byłaby taka sama.

– Ale nigdy nie miałbym całkowitej pewności, prawda? – Zrobił pauzę, by mogła odpowiedzieć. Nie wykorzystwała jej. Nie mogła. Miał rację i dobrze o tym wiedziała. – Tak, oszukałem cię. Ale musiałem udowodnić samemu sobie, że potrafię stworzyć kogoś więcej niż pijącego szkocką, goniącego za spódniczkami samca z wielkim rewolwerem i jeszcze większym fiutem.

– Deck Cayton to ktoś więcej.

– Dzięki. Teraz tak uważam. Nie wiedziałem, co o nim sądzisz.

Pochyliła się i podniosła książkę z klepiska.

– Chcesz mnie nią zdzielić w łeb?

– Być może. – Jej gniew się nie ulotnił. Nadal kipiał pod powierzchnią, ale teraz bardziej nad nim panowała. – Ale choć jestem wściekła, nie potrafię spokojnie

patrzeć, jak się niszczy książki. Nie umiem nawet zaginać kartek.

– Ja też taki jestem.

Rzuciła mu mordercze spojrzenie.

– Nie waż się mnie czarować. – Oddała mu książkę, otrzepała ręce. – Zrobiłeś coś...

– Przeróżającego.

– Nie tego słowa chciałam użyć.

– Ale jest na miejscu. Kiedy wysłałem prolog, byłem przerażony do nieprzytomności.

– Czym? Perspektywą odmowy?

– No pewnie. Mogłaś przysłać mi niemiły list. Powiedzieć, żebym się odwalił. Że jestem do bani. Że powinienem przestać pisać i zająć się składaniem długopisów albo sklejaniami kopert. Wtedy pewnie kupiłbym sobie paczkę żyletek i zamknąłbym się w łazience.

– To nie było śmieszne.

– Masz rację.

– Poza tym jesteś zbyt wielkim egoistą, żeby się zabić.

Mało go znała. W tamtych mrocznych czasach jego dusza była równie zmasakrowana jak nogi, a blizny na sercu nie chciały się zagoić i bolały tak samo jak te zewnętrzne. Gdyby wtedy mógł się poruszyć, poszedłby po linii najmniejszego oporu i zakończył sprawę.

Ale nawet w otchłani rozpaczyci tliła się w nim wola życia. Jakaś wszechpotężna siła kosmicznego była silniejsza od jego wątłej ludzkiej duszy, tchnęła w niego determinację.

Nie był to anioł. Nie taki, jakie się widuje na obrazach. W jego planach w stosunku do Noaha Reeda nie było dobrotliwości, świętości ani zrozumienia.

Parker ujął dłoń Maris i uścisnął ją mocno.

– Nie myśl, że to dla mnie nieważne.

Nie oddała uścisku, ale spojrzała mu w oczy.

– Dlaczego wysłałeś *Zazdrość* akurat mnie? Znam wydawcę, który publikuje książki Mackensie Roone'a. Jest bardzo dobry.

– Jest – zgodził się poważnie.

– Nadal chciałabym usłyszeć odpowiedź. W dziesiątkach rywalizujących ze sobą wydawnictw pracują setki wydawców. Czym się od nich różnię? Dlaczego wybrałaś mnie?

– Bo przeczytałem ten artykuł. – Miał nadzieję, że zabrzmiało to przekonująco. Odpowiedź brzmiała dość prawdopodobnie, ale Maris wpatrywała się w niego z irytującą intensywnością. – To, co powiedziałaś, przekonało mnie, że powinnaś się zająć *Zazdrością*. Mówiłaś o jakości książek i o komercyjnym sukcesie, o tym, jak to pierwsze jest zagrożone tym drugim. Nie Piszę tej książki dla pieniędzy. Mam więcej, niż potrzebuję. Deck Cayton o to zadbał. Piszę *Zazdrość* dla siebie. Jeśli znajdzie czytelnika, będę zadowolony. Jeśli nie, a ty dostrzeżesz w niej coś wartościowego, zyskam cholernie wiarygodne potwierdzenie mojego talentu.

– Znajdzie. – Wyzwoliła się z jego chwytu. – Dopilnuję tego. Zainwestowałam w to zbyt wiele, żeby było inaczej.

– Te nędzne piętnaście patoli?

– Nie mówiłam o zaliczce.

Żartobliwy uśmiezek zniknął z jego twarzy. Spoważniał tak jak ona.

– Wiem.

– Mówiłam o...

Wydawało mu się, że w jej oczach zalśniły łzy, ale może był to tylko zwodniczy błysk szkieł okularów.

– Wiem, o czym mówiłaś.

Patrzyli na siebie jakiś czas w milczeniu. Wszystko w nim krzyczało, żeby ją objąć.

– Nie chcę, żebyś wyjechała.

Nie wiedział, że to powie, dopóki nie usłyszał własnego ochryplego głosu, dziwnie głośnego w ciężkiej ciszy. Nie powiedział tych słów świadomie, wypłynęły prosto z serca. I nie miało to nic wspólnego z zemstą na Noahu Reedzie.

– Pisz swoją książkę, Parkerze.

– Zostań.

– Zadzwoń. – Cofnęła się o parę kroków. Potem odwróciła się i odeszła.

– Maris!

Nie zatrzymała się. nie zwolniła, nie spojrzała na niego nawet wtedy, gdy jeszcze raz zawołał jej imię.

Rozdział szesnasty

– Od dawna czekałam na to spotkanie. Cieszę się, że wreszcie do niego doszło.
– Nadia Schuller posłała swojemu gościowi promienny uśmiech.

Na miejsce tego prywatnego spotkania wybrała małą, przytulną knajpkę na Park Avenue. Menu było bezpretensjonalne, a urządzono ją w stylu francuskiej prowincji. Zdaniem Nadii koronkowe zasłonki w oknach były nieco zbyt sielskie jak na Manhattan, ale stwarzały w restauracji przyjazną atmosferę.

A to właśnie usiłowała nawiązać, wykorzystując to spotkanie – przyjaźń.

Co jest dość trudne, gdy się sypia z mężem swojego gościa.

– Dziękuję za zaproszenie. – Maris uśmiechnęła się z przymusem i otworzyła menu – wyraźna aluzja, iż pora zająć się jedzeniem i zakończyć spotkanie najszybciej, jak pozwala na to dobre wychowanie.

Przy ich stoliku pojawił się kelner w długim białym fartuchu.

– Czego się napijesz? – spytała Nadia.

– Poproszę mrożoną herbatę.

– Ja zamówię białe wino. Nie masz ochoty? – Zabrzmiało to tak, jakby zezwalała Maris na zamówienie alkoholu. Tym razem Maris zwróciła się wprost do kelnera. Proszę mrożoną herbatę. Dużo lodu i ćwiartkę świeżej cytryny. – Odwróciła się do Nadii. – Nauczyłam się tego na Południu. – Oni tam piją to przez cały rok, prawda? I jeszcze bimber.

Nadia zamówiła wino. Kelner wycofał się dyskretnie.

– Wiem o twojej podróży na Południe.

– Tak?

– Od twojej sekretarki. Porozmawiałyśmy, kiedy do ciebie zadzwoniłam z zaproszeniem.

– Myślałam, że może od Noaha.

– Nie, nie widziałam się z nim od... hmm, chyba od tego bankietu, na którym was spotkałam.

Czekając na kelnera, wdały się w grzecznościową wymianę zdań. Potem wysłuchały listy specjalności zakładu. Nadia poprosiła o parę minut na zastanowienie. Ta zwłoka wyraźnie nie spodobała się Maris, ale Nadia nie zamierzała dać się łatwo spławić.

Nie cierpiała Maris z całego serca i miała absolutną pewność, że jej antypatia jest odwzajemniona. Obie były kobietami sukcesu, ale ich stosunek do zawodu, mężczyzn i życia nie mógł się bardziej różnić.

Maris Matherly-Reed cieszyła się wszystkimi tymi błogosławieństwami, których Nadia była pozbawiona. Urodziła się w bogatej i szanowanej rodzinie i od pierwszych chwil życia płała się w dobrobycie. Chodziła do ekskluzywnych prywatnych szkół, była częstym gościem w najlepszych domach. Jej zdjęcia co i rusz pojawiały się w kącikach towarzyskich. Wiele podróżowała. Jej tyłek nigdy nie spoczywał na niczym gorszym od złotych poduszek – a przy tym był to tyłek, którego nie trzeba było katować bolesnym i kosztownym odsysaniem tłuszczu. Ale choć nie można było mu odmówić powabności, wiało od niego chłodem jak od góry lodowej.

Nadia, właściwie Nadine, urodziła się biedna. Nędza jej rodziny była grzechem wybaczalnym; niewybaczalne były ignorancja i grubiaństwo. Już jako dziecko Nadia uznała, że nie chce pozostać w Brooklynie i poślubić jakiegoś nieudacznika, z którym miałyby walczyć przez resztę życia o dom i utrzymanie coraz liczniejszych dzieci.

Była stworzona do znacznie lepszego losu.

Straciła dziewictwo jako trzynastolatka z pierwszym człowiekiem, który dał jej pracę – kierownikiem sklepu kosmetycznego; pracowała tam popołudniami po szkole. Przyłapał ją na kradzieży lakieru i szminki i dał jej wybór: albo da mu się przelecieć, albo wyładuje w sądzie dla nieletnich.

Pominąwszy niewygodę stosunku na skrzynkach w śmierdzącym magazynie z partnerem o niezdatnych, spoconych łapach i oddechu cuchnącym czosnkiem, nie była to wymiana po niekorzystnym kursie.

Był to pierwszy, lecz nie ostatni raz, kiedy Nadia za pomocą seksu zdobyła coś, czego chciała, albo uniknęła czegoś, co jej było nie na rękę. Liceum przetrwała jak odsiadkę. Czas zabijała, kradnąc chłopców swoim koleżankom.

Nie obchodziły jej serca, które złamała. Nie martwiło jej, że nie miała przyjaciółki. Dopóki chłopcy się za nią uganiali, pragnęli jej zainteresowania, dawali prezenty i zabierali ją w różne miejsca w zamian za to, co i tak by zrobiła, cóż ją to mogło obchodzić?

Kiedy okazało się, że jej wyniki nie spełniają norm, namówiła nauczyciela matematyki do podwyższenia jej stopnia w zamian za obciążenie małego. Jej nauczycielka historii, żałośnie brzydka kobieta, ze łzami wdzięczności przyjęła wyznanie Nadii o skrywanej miłości do niej. Wystarczył jeden wieczór w jej śmierdzącym kotami mieszkaniu, by stopień Nadii poprawił się z jedynki na piątkę z plusem.

Mając maturę w kieszeni, uznała, że wyższe wykształcenie nie jest jej potrzebne. Nigdy nie miała cierpliwości do wkuwania. Zamiast tego ruszyła do pracy, co pół roku zmieniając miejsce zatrudnienia, aż wreszcie wyładowała na

stanowisku korektora w osiedlowym tygodniku.

Było to pierwsze zajęcie, które do niej przemówiło, i pierwsze, które wydało się jej godne. W ciągu paru tygodni doszła do wniosku, że jest to zawód, który stworzy ją od nowa – poczynając od zmiany imienia – i uczyni sławną.

Z czasem namówiła redaktora wydania, żeby pozwolił jej od czasu do czasu napisać jakiś artykuł. Negocjacje miały miejsce na tylnym siedzeniu jego samochodu w cieniu jednorodzinnej domku, w którym mieszkał z żoną i czwórką dzieciaków. Tam go dosiadła i, doprowadziwszy do ekstazy bliskiej delirium, wydusiła z niego bełkotliwą obietnicę, że pozwoli jej spróbować.

W rubryce Nadii Schuller można było znaleźć plotkarskie, wartkie opowieści o życiu i romansach ludzi z sąsiedztwa. Wkrótce stały się najbardziej czytowanymi artykułami w gazecie. Nadia znalazła się na fali.

Teraz, dwanaście lat i setki kochanków później, siedziała naprzeciwko Maris Matherly-Reed, rozmawiała z nią uprzejmie, ale nie mogła pohamować gigantycznej nienawiści do kobiety, która przewyższała ją we wszystkim, w ogóle się o to nie starając. Gdyby Maris nienawidziła jej bardziej, Nadia nienawidziłaby jej mniej. Ale tego jednego nie mogła znieść: że Maris okazywała jej taką obojętność. Jakby w ogóle się z nią nie liczyła.

Na przykład – kiedy spotkały się w wejściu do restauracji Nadia skomentowała lekką opaleniznę, z jaką Maris przyjechała z Georgii. Przypomniała jej, jak niszczący wpływ na cerę mają promienie słoneczne.

Na co Maris odpowiedziała chłodno:

– Następnym razem wezmę kapelusz.

I tyle.

Złożyły zamówienie. Nadia podała Maris koszyk z chlebem.

– Co za tragiczny wypadek z Howardem Bancroftem – zauważyła.

Reakcja była natychmiastowa. Maris podziękowała za chleb lekkim ruchem głowy. Jej oczy posmutniały.

– Bardzo. Dowiedziałam się dopiero po powrocie, wczoraj po południu.

– Jak długo stał u steru waszego oddziału prawnego?

– Kierował nim jeszcze przed moim urodzeniem. To był szok dla nas wszystkich.

– Czy wiadomo, dlaczego się zabił?

– Nadiu, ja...

– Och, to nie do mojej rubryki. Historia została już opisana ze wszystkimi ponurymi szczegółami. Wasz rzecznik prasowy wydał oficjalne, bardzo ogólnikowe oświadczenie. Niewiele wspominał o śmierci Howarda, bardziej o jego pracy dla Matherly Press.

Howard Bancroft został znaleziony w swoim samochodzie zaparkowanym kilkaset metrów za jego domem na Long Island, z mózgiem rozprysniętym na szybie i pistoletem w ręku.

– Pracownicy Matherly Press są ze sobą ściśle związani. Nikt nie zauważył sygnałów ostrzegawczych?

– Nie. Noah miał z nim spotkanie tego samego popołudnia. Powiedział, że Howard zachowywał się normalnie. – Potrzęsnęła głową z żalem. – Był uwielbiany, zwłaszcza w społeczności żydowskiej. Nie wyobrażam sobie, co mogło go doprowadzić do tak rozpaczliwego kroku.

Pojawiły się zamówione dania. Rozmowa przeniosła się na weselsze tematy – książki, mające się wkrótce ukazać w Matherly Press.

– Czuję, że sezon świąteczny będzie dla nas bardzo udany I oświadczyła Maris. – Najbardziej w naszej historii.

– Mogę to zacytować w mojej rubryce?

– Możesz.

Nadia otworzyła notes, z którym nigdy się nie rozstawała i poprosiła Maris o wyliczenie tytułów i autorów, którzy budziły jej szczególne nadzieje. Zapisawszy je, odłożyła pióro i wzięła apetyczny kawałek okonia z grilla.

– Opowiedz mi teraz o tym projekcie, nad którym pracowałaś w Georgii.

– Nie mogę.

Przestała jeść.

– Dlaczego?

– Nie będziemy o tym rozmawiać.

– Niesamowite. Uwielbiam projekty owiane mgłą tajemnicy.

– Ten do nich należy i musi taki pozostać. I nawet to, co teraz powiedziałam, nie może się ukazać w druku. Nie pisz o tym.

Nadia pociągnęła łyk wina, przyglądając się Maris ponad krawędzią kieliszka.

– Właśnie zaostrzyłaś moją ciekawość.

– Która musi pozostać niezaspokojona.

– Więc ten projekt...

– Musi pozostać w tajemnicy. Podobnie jak osoba, która napisała książkę. Nawet moi pracownicy nie znają jej tożsamości, więc nie próbuj wyciągać od nich informacji.

– Nikt nie wie, kim jest autor?

– Nie powiedziałam, że to mężczyzna.

– Tak, tak, nie powiedziałaś. To znaczy, że to kobieta?

– To znaczy, że nic ci nie powiem.

– Piśnij choć słówko. Jak przyjaciółka przyjaciółce.

– Nie jesteś moją przyjaciółką.

Ton głosu Maris podział na Nadię jak zimny prysznic. Nagle po tej cierpkiej uwadze nie mogły dłużej rozmawiać o anonimowym pisarzu z Georgii.

– Masz rację – powiedziała Nadia z uśmiechem przyklejonym do ust. – Nigdy nie byłyśmy przyjaciółkami. Jesteśmy zbyt zajęte pracą, by dobrze się poznać i nawiązać przyjaźń, ale chciałabym to zmienić. Chciałabym...

– Nigdy się nie zaprzyjaźnimy.

I znowu bezpośredniość Maris zbiła Nadię z tropu.

– A to dlaczego?

– Bo chcesz się przespać z moim mężem.

Nadia poczuła, że wbrew samej sobie podziwia Maris. Panna pocziwina jednak nie jest taką pocziwiną. Spojrzała Maris prosto w oczy.

– Chyba się temu nie dziwisz. Noah jest przystojny.

– I żonaty.

– To nigdy mnie nie powstrzymywało.

– Tak słyszałam.

Nadia roześmiała się bez cienia urazy.

– Dobrze. Uwielbiam być tematem plotek.

Pociągnęła kolejny łyk wina i przesunęła wskazującym palcem po krawędzi kieliszka, przyglądając się Maris z nowym zaciekawieniem. Spodobła się jej ta szczerść, choć nie sądziła że ta panienka z dobrego domu jest do niej zdolna.

Ciekawe tylko, czy Maris zachowałaby ten spokój, gdyby się dowiedziała o jej

romansie z Noahem. A gdyby tak Nadia zrelacjonowała jej – pieśczoćta po pieśczoćcie – wszystko, co robili w łóżku wczoraj w nocy? Ciekawe, czy dalej byłaby taka wyniosła.

Tak, tak, byłoby śmiesznie, tylko niezbyt mądrze. Miała zbyt wiele do stracenia. Opanowała pokusę.

– Rozmawiałaś o tym z Noahem?

– Tak.

– I co powiedział?

– Że interesuje się tobą tylko z powodów zawodowych. Twoja rubryka ma zbyt wielką moc opiniotwórczą, by cię obrażać. To dlatego godzi się z twoimi intrygami.

Nadia wzruszyła ramionami.

– Sama widzisz. Wyrobiłam sobie nazwisko, posługując się ludźmi, którzy są dla mnie źródłem wiadomości. W zamian oni wykorzystują mnie do darmowej reklamy i promocji. Noah to rozumie.

Zdołała obejść temat, nie kłamiąc i nie wyjawiając całej prawdy. Miała nadzieję, że Maris da za wygraną. Rozmowy z WorldView nie powinny się jeszcze bardziej skomplikować.

Wykorzystała milczenie Maris.

– Cieszę się, że oczyściłyśmy atmosferę. Masz ochotę na kawałek okonia?

– Nie, dziękuję.

– Jest pyszny, ale już się najadłam.

Prawdę mówiąc, była głodna, ale odsunęła od siebie talerz. Tkanka tłuszczowa w pewnym miejscu uda chłonęła tłuszcz jak cholerna gąbka mimo wszystkich zabiegów, jakim się poddała. Dlatego fanatycznie liczyła kalorie. Gimnastyka była jedyną religią, jaką wyznawała i praktykowała, a oddawała się jej codziennie, do utraty sił. Noah często kpił z jej niezłomnych nawyków. Twierdził, że gimnastykuje się nawet w łóżku. Rzeczywiście, traktowała seks jak aerobik. Dokładnie wiedziała, ile kalorii traci podczas jednego stosunku.

Noah dobrze ją znał. Był jedynym mężczyzną na tej planecie, któremu mogłaby dochować wierności. Nie kochała go, tak jak on nie kochał jej. Żadne z nich nie wierzyło w mit romantycznej miłości. On chętnie przyznawał, że małżeństwo zawarł nie z powodu porywu serca, lecz by wejść do rodziny Matherlych. Nawiązał z Danielem związek mistrz-uczeń, ale nawet to nie zaspokoiło jego ambicji. Małżeństwo z jego córką niemal dorównywało związkowi krwi. Mogło umocnić jego pozycję, więc do niego doprowadził.

Nadia podziwiała jego zdecydowanie i odwagę, której trzeba było, by przeprowadzić tak śmiały plan. Bezwzględność zawsze była dla niej najpotężniejszym afrodyzjakiem. Wyczuła ją w Noahu od pierwszego spotkania. Dostrzegła w nim ambicję równą jej własnej, zapragnęła go i nie udawała niewiniątka.

Ich pierwsze spotkanie przy obiedzie zakończyło się w łóżku. Ku jej zachwytowi Noah podchodził do seksu z tym samym egoistycznym apetytem i zwierzęcym zapamiętaniem co ona. Kiedy wyszedł, zostawił ją na wpół omdlałą w splątanej, wilgotnej pościeli, obolałą i nieprzytomną ze szczęścia.

Dogadywali się także poza łóżkiem. Rozumieli się w pół słowa. Ich cele i pragnienia współgrały ze sobą, a różnice tylko dopingowały ich do działania. Byli dla siebie stworzeni. Uzupełniali się nawzajem. Jako zespół nie mieliby sobie równych. I to dlatego Nadia zapragnęła zostać panią Reed.

Powiedzmy, między innymi dlatego.

Do drugiej przyczyny nie przyznałaby się tak łatwo. Z dawnej Nadine zostało w niej akurat tyle, że pragnęła umrzeć jako mężatka. Nie chciała się zestarzeć w samotności. Gdzieś pomiędzy spotkaniami z wielkimi tego świata a wspaniałymi przyjęciami kobieta wolna stawiała się starą panną.

Jako dwudziesto- i trzydziestolatka śmiała się z samej myśli o małżeństwie. Każdemu, kto tylko chciał jej słuchać, zwierzała się z braku zainteresowania monogamią i łóżem małżeńskim. Ale prawda wyglądała tak, że ze wszystkich tych mężczyzn, z którymi dzieliła łóżko, którzy wzdychali, krzyczeli, jęczeli i dyszeli pomiędzy jej udami, ani jeden, dosłownie, nie poprosił jej o rękę.

I, mówiąc z brutalną szczerością, Noah nie stanowił wyjątku. Nie należał do tych, którzy przynoszą kwiaty i padają na kolana. Miała więcej brylantowych pierścionków niż palców, na których mogłaby je nosić. Ich plany małżeńskie wyglądały tak, że to ona mu się oświadczyła. A Nadia nigdy nie przyjmowała odmowy do wiadomości.

Teraz obecna żona jej przyszłego męża kończyła pić cappuccino, za które ona podziękowała. W normalnych warunkach Nadia prośbą lub groźbą wyrwałaby z niej choćby strzępy informacji do swojej rubryki. Tymczasem Maris okazała się uparta jak muł. Nie chciała wspomnieć ani słowem o tajnym projekcie oraz tajemniczym pisarzu.

Nie żeby Nadia była zainteresowana tym głupim zamieszaniem. Celem spotkania było utrzymanie Maris w błogiej nieświadomości odnośnie do tego, co Nadia i Noah zamierzali dokonać za jej plecami z World View. Tymczasem Maris ich zaskoczyła. Trzeba ostrzec Noaha, że nie jest tak łagodna i naiwna, na jaką wygląda. W każdym razie miała nadzieję, że przynajmniej zdołała rozwiązać jej podejrzenia co do romansu z Noahem, bo ostatnie, czego potrzebowali w tych ważnych tygodniach, to zazdrosna żona, śledząca każdy ich krok.

– Coś jeszcze? – spytała z czarującym uśmiechem. – Może drugie cappuccino?

– Nie, dziękuję. Muszę wracać do pracy. Nadrabiam zaległości.

– Więc dlaczego się zgodziłaś na spotkanie? – Pytanie padło, zanim Nadia zdążyła się ugryźć w język. Ale skoro już się stało, musiała przyznać, że ją to zaciekało. Dlaczego Maris przyjęła jej zaproszenie?

– Już od dawna się nie znosimy, ale zawsze byliśmy dla siebie grzeczni. Nie znoszę fałszu, zwłaszcza u siebie. – Jej spojrzenie zmieniło się na chwilę, jakby skierowało się do środka. – A może tylko brzydzę się kłamstwem i kłamcami. W każdym razie uznałam, że pora ci powiedzieć w oczy, iż cię nie lubię.

Nadia przemyślała to i uśmiechnęła się krzywo.

– Szczerze powiedziane. – A w drodze do drzwi dodała: – Ale dalej będziesz mi dostarczać wiadomości, prawda?

– Wiadomości. Nie plotek.

– Kiedy nadejdzie czas, by ujawnić tego tajemniczego autora i jego książkę, dasz mi znać?

– Nadia! Cóż za miła niespodzianka.

Nadia odwróciła się i spojrzała prosto w bezkrwistą twarz Morrisa Blume'a. ostatniej osoby na świecie, z którą miała ochotę się spotkać w towarzystwie Maris Matherly. Nie, ta niespodzianka wcale nie była miła.

– Jak się masz? – Wyciągnęła do niego rękę, ale przybrała chłodny, odpychający ton. – Polecam okonia, jest pyszny.

– A ja polecam martini – odparł, unosząc oszronioną szklanę. – Sam nauczyłem tutejszego barmana, jak się je przyrządza.

– Zmieszane czy wstrząśnięte?

– Wstrząśnięte.

Maris poszła do szatni po płaszcz przeciwdeszczowy, więc Nadia uznała, iż ma prawo nieco poflirtować. Nie powinna okazywać Morrisowi zbytniego chłodu. Podczas wspólnej kolacji dobrze się bawili. Jeśli teraz stanie się odpychająca, on zacznie się zastanawiać, co się stało.

– Gin czy wódka?

– Wódka. Bardzo mocna, bardzo oszłamiająca.

Jedna z jej artystycznie wydepilowanych brwi uniosła się lekko.

– Brzmi zachęcająco.

– Proszę. – Wyjął z kieliszka szpadkę z oliwką i zbliżył ją do jej ust. Nie spuszczać z niego wzroku, dotknęła oliwki czubkiem języka, otoczyła ją wargami i wessała.

– Mmm. Uwielbiam to.

– Zechcesz mi towarzyszyć?

– Niestety nie mogę. Odezwij się.

– Zadzwoń.

Rzuciła mu swój najbardziej obiecujący uśmiech. Udoskonaliła go przez lata praktyki; teraz przychodził jej odruchowo. Życzyła Morrisowi dobrej zabawy i odwróciła się, żeby dołączyć do Maris.

Ku swej konsternacji przekonała się jednak, że uśmiech zadziałał zbyt skutecznie. Blume poszedł za nią, przez co przedstawienie go Maris stało się nieuniknione. Nadia spełniła ten obowiązek, usiłując zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

Oboje uścisnęli sobie ręce.

– Od dawna jestem wielbicielem pani wydawnictwa – powiedział Blume.

– I epuzerem – dodała.

Uśmiechnął się rozbrajająco.

– Więc czytała pani te liczne listy, które napisałem do szanownego ojca pani?

– Oraz jego odpowiedzi.

– Podziela pani jego zdanie?

– Z całego serca. Jesteśmy zaszczyceni, że firma pokroju WorldView jest zainteresowana połączeniem z nami, ale podobamy się sobie tacy, jacy jesteśmy.

– Dokładnie to samo powiedział pani mąż podczas naszego ostatniego spotkania.

Rozdział siedemnasty

Noah przeglądał właśnie najnowsze dokumenty finansowe, kiedy do gabinetu wpadła jego żona, zatrzasnąwszy za sobą drzwi z hukiem, który niemal doprowadził sekretarkę do zawału.

Rzuciła torebkę i mokry płaszcz przeciwdeszczowy na najbliższe krzesło i jednym skokiem dopadła jego biurka. Ód wczoraj, od czasu powrotu z Georgii, była rozdrażniona i wroga, choć nigdy nie wyglądała lepiej. Dziś miała na sobie oficjalny kostium szyty na miarę, jeden z tych dopasowanych, które zawsze mu się podobały. Czas spędzony na plaży przyciemnił jej cerę i rozjaśnił włosy. Twarz okalały złociste pasma, nadające jej młody, zdrowy wygląd.

Z tym że wyraz jej twarzy trudno by nazwać promiennym.

– Cześć, Maris. Jak było na obiedzie?

– Właśnie poznałam geniusza z WorldView, Morrisa Blume'a. Pozdrawia cię.

Cholerna Nadia, pomyślał. Dlaczego do niego nie zadzwoniła, czemu go nie ostrzegła? Potem sobie przypomniał: kazał Cindy nie łączyć absolutnie żadnej rozmowy, dopóki nie przejrzy wszystkich dokumentów finansowych, piętrzących się na jego biurku – jak na ironię, robił to ze względu na WorldView. Przeglądał sprawozdanie po sprawozdaniu, punkt po punkcie, zaznajamiał się z nimi, szukał potencjalnych słabych miejsc, które mogłyby zaniepokoić Blume'a i jego firmę. Chciał być przygotowany na wszelkie pytania.

– To miło, że o mnie pamięta – odparł, starając się zachować spokój.

– To dla niego żaden problem, skoro niedawno się z nim spotkałeś. – Oparta się o jego biurko, pochyliła się ku niemu groźnie płonącymi oczami. – O jakim to spotkaniu mówił? Idlaczego nic o nim nie wiedziałam? Jakie to spotkanie?

Wstał i wyszedł zza biurka.

– Maris, uspokój się, z łaski swojej.

– Nie rozkazuj mi!

– Dobrze, dobrze. Proszę, uspokój się.

Chciał ją wziąć za ramiona, ale cofnęła się, odtrąciła jego dłonie.

– Chcesz się napić wody?

– Chcę usłyszeć wyjaśnienie – odparła, wyraźnie akcentując każde słowo. – Wiesz, co ja i ojciec sądzimy o koncernach w rodzaju WorldView.

– Podzielałam waszą opinię. – Oparł się o krawędź biurka i splótł dłonie, choć miał ochotę je zacisnąć na jej smukłej szyi. – To dlatego zgodziłem się na spotkanie z WorldView.

Pokręciła głową z niedowierzaniem, jakby aż do tej chwili miała nadzieję, iż Blume kłamie.

– Spotkałeś się z tymi hienami? Naprawdę? Za moimi plecami, bez mojej wiedzy?

Westchnął i rzucił jej zbolące spojrzenie.

– Tak, spotkałem się z nimi. Ale zanim zupełnie wylecisz na orbitę, może dasz mi szansę się wytłumaczyć?

Zamilkła. Zrozumiał to jako pozwolenie.

– Ludzie Blume'a nękali mnie miesiącami. Dzwonili tak długo, aż przestałem przyjmować ich telefony. Nie pojęli aluzji i zaczęli mnie zasypywać faktami, zmęczyło mnie wyrzucanie tych śmieci. Uprzykrzali mi życie tak długo, że wreszcie uznałem, iż najlepiej umówić się z nimi na spotkanie i powiedzieć Blume'owi prosto w tę bezkrawędzią głowę, że nie jesteśmy zainteresowani połączeniem. Koniec, kropka. Nie sądzę, żętem mógł jaśniej wyrazić nasze stanowisko. Nie mówiłem ci o tym, bo byłaś wyjątkowo zajęta i nie chciałem cię dodatkowo obarczać.

– Zawsze jestem zajęta.

– To spotkanie nie miało żadnego znaczenia.

– Nie sądzę.

– Ach, prawdę mówiąc, podejrzewałem, że zareagujesz emocjonalnie. Przewidziałem, że od razu poniosą cię nerwy. Chciałem uniknąć takiej sceny.

– To nie jest żadna scena. To prywatna rozmowa między mężem i żoną, między partnerami w interesach. To dwa związki, które powinny się łączyć z zaufaniem.

– Otóż to – odparł, podnosząc głos tak samo jak ona. – Dlatego jako twój mąż i partner w interesach jestem zdumiony tym jawnym brakiem zaufania.

– Czy to dlatego, że poniosły mnie nerwy, zareagowałam emocjonalnie i wyleciałam na orbitę?

– A jakże. Wpadłaś tu jak burza i niemal oskarżyłaś mnie o zdradę Matherly Press.

– Knułeś z naszym wrogiem!

Oboje odwrócili się, słysząc szcęk otwieranych drzwi. W progu stał Daniel, ciężko oparty na lasce.

– Wykorzystałem jeden z przywilejów podeszłego wieku. Wszedłem bez zaproszenia.

Noah obciągnął mankiety.

– Zapraszam, Danielu. Maris właśnie wróciła z obiadu. Rozmawiamy sobie o...

– Słyszałem. Z drugiego końca korytarza. – Daniel wszedł do środka zamknął drzwi za sobą. – Maris jest zdenerwowana z powodu twojego spotkania z WorldView.

Maris drgnęła.

– Wiedziałaś?

– Noah poinformował mnie, że chce się z nimi spotkać. Uznałem, że to rozsądny pomysł, i było mi na rękę, że chce mnie zastąpić. Ja bym chyba tego nie przetrzymał.

– Dlaczego nikt mnie nie poinformował?

Zwróciła się do nich obu, ale odpowiedział Noah.

– Chciałaś wyjechać do Georgii. Daniel i ja widzieliśmy, jaka jesteś podniecona tym projektem. Baliśmy się, że zmienisz plany, jeśli dowiesz się o spotkaniu. Nie było powodu cię niepokoić.

– Nie jestem dzieckiem!

– Źle oceniliśmy sytuację – przyznał Daniel. – Nie chcieliśmy, żebyś się poczuła odsunięta.

– Nie czuję się odsunięta, tylko ubezwłasnowolniona! Nie potrzebuję opieki, tato. Ani specjalnych względów. W interesach nie jestem córką ani żoną, tylko pracownikiem tej korporacji. W tak poważnej sprawie powinniście się ze mną skonsultować, choćbym była nieprzytomnie zajęta i wybierała się na koniec świata. Popełniliście błąd i zwykłe świństwo, załatwiając to za moimi plecami. I jestem na was zła jak diabli za to, że wyszłam na idiotkę przed Morrisem Blume'em i Nadią Schuller.

– Przepraszam – powiedział Daniel.

– Ja też – zawtórował mu Noah. – Bardzo cię przepraszam za tę niezręczną sytuację. Biorę za nią całkowitą odpowiedzialność.

Nie odpowiedziała, ale Daniel uznał jej milczenie za wybaczenie.

– Czy nadal jesteśmy umówieni na kolację? Maxine robi zapiekankę.

– O siódmej – potwierdził Noah.

Daniel rzucił im zaniepokojone spojrzenie i wyszedł.

Maris podeszła do okna i odwróciła się plecami do pokoju. Noah pozostał na miejscu, oparty o krawędź biurka. Minęło parę minut.

– Przepraszam, że się uniosłam – odezwała się.

– Całkiem niedawno powiedziałem ci, że jesteś piękna, kiedy się złościś.

Odwróciła się szybko, ze złością.

– Nie traktuj mnie z góry.

– Nie bądź taka cholernie wrażliwa – warknął.

– Nie znoszę takich poniżających seksistowskich uwag.

– To była seksistowska uwaga? Nie mogę ci już powiedzieć komplementu?

– Nie wtedy, gdy się kłócimy.

Z irytacją i lekkim niepokojem pomyślał, że jego urok chyba powoli traci skuteczność.

– Co się z tobą dzieje? Odkąd wróciłaś, jesteś kolczasta jak jeżozwierz. Jeśli praca nad tym projektem ma na ciebie ściągnąć chroniczny syndrom PMS...

– I to ma nie być seksizm?

– ...radziłbym, żebyś...

– To nie ma nic wspólnego z tamtym!

– Więc z czym?

– Z Nadią.

– Nadią?

– Wiedziała o twoim spotkaniu z Blume'em.

Pokrył zmieszanie cichym śmiechem.

– Co? Myślisz, że zadzwoniłem do naszej lokalnej plotkarki i dałem jej cynk?

Objęła się skrzyżowanymi rękami i znów odwróciła się do okna.

– Kłamiesz.

Wyprostował się.

– Słucham?

– Ona wiedziała. Nadia jest najpodstępniejszą kobietą, jaką znam, i na ogół nie

robi z tego tajemnicy. Prawdę mówiąc, wręcz się tym szczyci. Ale kiedy Blume wspomniał o swoim spotkaniu z tobą – zbladła i spojrzała na mnie, jakby ją zdemaskował. Potem czym prędzej wywlokła mnie z restauracji, byle tylko przerwać naszą rozmowę. Przy pożegnaniu aż tryskała życzliwością, ale była zdenerwowana. – Odwróciła się powoli do niego. – Wiedziała.

Spojrzała na niego z taką cholerną wyższością, że furia aż się w nim zagotowała. Poczuł, że krew uderza mu do głowy. Wyobraził sobie naczynka krwionośne, pękające mu w oczach. Wściekłość zatętniła mu w żyłach. Tylko dzięki gigantycznemu wysiłkowi ta wściekłość nie ujawniła się w jego głosie.

– Po co miałbym o tym informować Nadię? Nie miałem jej nic do powiedzenia. Jeśli o tym wiedziała, to chyba od Blume'a. Widziałem ich razem przy wielu okazjach. Prawdopodobnie pochlebstwami i uprzejmościami wyciągają z siebie nawzajem informacje.

– Tak, tak to się zwykle dzieje – szepnęła jakby do siebie. Znowu na niego spojrzała. – Jeśli Blume jej powiedział, dlaczego nie napisała o tym w swojej kolumnie?

– To proste. WorldView jest właścicielem sieci gazet, do których pisze Nadia. Nie zaryzykowałyby konfliktu, wyjawiając, że Dawid zagrał na nosie Goliatowi. Gdybym wiedział, że narobisz takiego hałasu, dalej bym ich zwodził. Przysięgam na Boga, myślałem, że to spotkanie położy kres ich namowom.

– Ona się przyznała.

Serce znowu załomotało mu w piersi.

– Kto? Do czego?

– Powiedziała Nadii, że jej nie lubię. Że widzę jej machinacje i wiem, co knuje w związku z tobą.

– Knuje? – powtórzył z rozbawieniem. – Cóż za brutalne słowo.

– Nie zamierzałam jej robić przyjemności – warknęła. – Dziś jadłam obiad w towarzystwie kobiety, która powiedziała mi w oczy, że chce z tobą sypiać.

Wzniósł oczy.

– Maris, na rany Boga, Nadia chce sypiać z każdym mężczyzną na świecie. Zrobiła z tego misję swojego życia. Jest jednym wielkim, pulsującym hormonem. Jasne, leci na mnie. Myślisz, że tak łatwo mi pochlebić? Leci także na odźwiernych, kelnerów i pewnie śmieciarzy.

– Mnóstwo mężczyzn uważają za atrakcyjną.

– Bo jest atrakcyjna. Ale nie romansowałem z nią jako kawaler, więc z całą pewnością nie będę tego robić teraz. – Westchnął i pokręcił głową. – Więc o to

chodziło? Nadia cię zdenerwowała?

– Nie. Bardziej zdenerwowała mnie sprawa WorldView niż Nadia. Jeśli pragniesz Nadii, to na nią zasługujesz.

Uśmiechnął się z przymusem.

– Cieszę się, że dałaś mi okazję wyjaśnienia obu nieporozumień. Takie sprawy nie powinny się jątrzyć. To szkodzi naszemu małżeństwu,

Dał jej parę chwil do namysłu i przywołał na twarz nieśmiały uśmiech skrzywdzonego szczeniaczka.

– Jeśli to koniec przesłuchania, chciałbym uścisnąć przesłuchującą.

Nie zareagowała, więc podszedł do niej i objął ją mocno.

Wtulił twarz w jej włosy.

– Byłem zły, kiedy zrobiłem tę idiotyczną uwagę o chronicznym PMS, ale jest w tym trochę prawdy, nie uważasz? Nie jesteś sobą. – Poglądził ją po włosach. – Tak strasznie było na tej wysepce?

– Byłam ciekawa, czy wreszcie okażesz zainteresowanie.

– Jesteś niesprawiedliwa. Od powrotu właściwie bez przerwy na mnie warczysz. Chodzisz naburmuszona i wyniosła. Aż bałem się podchodzić bez bata. – Nie roześmiała się; niezrażony, pocałował ją w skroń. – Jaką miałaś podróż? Jak było na tej wyspie?

– Nie tak strasznie. Inaczej.

– Niż co?

Poczuł, że Maris wzrusza ramionami.

– Trudno to wyjaśnić. Po prostu inaczej.

– A ten pisarz, był tak kłopotliwy, jak się spodziewałaś?

– Bardziej.

– W przyszłym roku wydamy imponującą kolekcję powieści autorów, z którymi mamy kontrakt. Po co zawracać sobie głowę tym pustelnikiem?

– Bo dobrze pisze. Bardzo dobrze.

– Ale czy jest wart kłopotów, które powoduje?

– Nie zrezygnuję z tej książki.

– Myślę tylko o tym, co jest dobre dla ciebie. Jeśli praca z nim cię rozdrażnia

i...

– Nie rozdrażnia.

Na szczęście nie widziała jego twarzy. Nie wiedziała, jak bliski był pobicia jej do nieprzytomności za to, że mu przerwała. Przez długą chwilę walczył z gniewem, zanim spytał zwodniczo miłym tonem:

– Jak się nazywa ten literacki geniusz?

– Przyrzekłam zachować milczenie.

– To aż do tego doszło?

– Ma ku temu powody. Jest niepełnosprawny.

– Jak to?

– Naprawdę nie mogę o tym rozmawiać. Nie mogę zawieść jego zaufania.

– Jesteś pewna, że jego tekst nie spodobał ci się dlatego, że autor budzi współczucie?

– Tekst spodobał mi się. jeszcze zanim poznałam autora. A jego stan nie ma wpływu na to, co pisze. Byłby utalentowany. nawet gdyby był bardziej okaleczony. Mimo wszystkich trudności. jakie sprawia mu pisanie, jego twórczość bardzo mi się podoba. To mi dobrze robi. Muszę rozruszać mięśnie. Przez parę ostatnich lat stałam się tusta i leniwa.

– Może troszkę leniwa, ale nie tusta.

Przesunął dłońmi po jej pośladkach – wiedział, że lubiła tę pieszczotę i zwykle na nią reagowała. Tym razem było inaczej.

– Mówiłam w przenośni.

– Zdaję sobie sprawę. Mimo to... – Odchylił jej głowę do tyłu. pocałował ją, najpierw w policzek, potem w usta. Chciał się upewnić, że jej wybuch nie jest sygnałem sytuacji alarmowej, zwłaszcza teraz, gdy wątpiła w jego lojalność wobec Matherly Press.

Oddała pocałunek. Nie z żarliwością, o którą mu chodziło. ale kiedy się odsunął, uśmiechnęła się do niego.

– Gdybym nie musiał się zająć finansami – mruknął gardłowo – miałbym ochotę zamknąć te drzwi i wziąć cię tutaj.

– To może powiesz „do diabła z finansami” i zrobisz to, co zapowiedziałeś? Dałabym się wziąć.

Znowu ją pocałował, ale zaraz potem odsunął ją od siebie.

– Boleśnie kuszące, kochanie, ale obowiązki wzywają.

– Rozumiem.

– Może dziś w nocy? Po kolacji z Danielem?

– Jesteśmy umówieni. – Pocałowała go szybko, wzięła płaszcz i torebkę. – Mogę zostać do późna, więc pewnie nie zdążę się przebrać przed kolacją.

– Pojedziemy stąd. Na dole czeka mój samochód.

– Do zobaczenia.

Posłał jej całusa i wrócił za biurko, pewien, że uniknął niebezpieczeństwa. Maris zawsze dawała się zbyć odrobiną uwagi i czułości. Ale jej zdenerwowanie z powodu spotkania z WorldView nie było drobiazgiem.

Kiedy sobie uświadomił, jak blisko byli wpadki, zapragnął, żeby Morris Blume powoli i boleśnie wykrwawił się na śmierć. Z całą pewnością poinformował Maris o ich spotkaniu, żeby zasygnalizować, że wyznaczona data jest coraz bliżej. Wykorzystał to przypadkowe spotkanie, żeby się z nim zabawić, pokazać mu, kto tu rządzi.

Przez chwilę było gorąco. Musiał poświęcić nieco swojego cennego czasu. Ale na długą metę incydent ten nie spowodował trwałych szkód. Dzięki Bogu, miał na tyle rozumu, by poinformować Daniela o zamierzonym spotkaniu z WorldView. Przewidując, że któreś z nich, on albo Maris, może coś zwęszyć – a wiadomości w środowisku wydawniczym rozchodzą się szybko – wtajemniczył starego, tym samym wyjmując mu broń z ręki.

Daniel i Maris nie byli głupi, ale daleko im do niego. On pomyślał o wszystkim. Niczego nie zostawił przypadkowi. Zaplanował całość w najdrobniejszych szczegółach. Jego intrygi były zakrojone na wielką skalę, dlatego do ich realizacji trzeba było niezłomnej cierpliwości i siły ducha, czego brakuje słabszym charakterom.

Noah liczył na swój instynkt i inteligencję, ale także na najlepsze z najlepszych źródło władzy, niezawodne i zawsze obecne – ludzką naturę. Łatwo jest rządzić umysłami, jeśli pozna się cudze upodobania, sekrety, słabości, lęki. On posiadał dar manipulowania ludźmi i skłaniania ich, by tańczyli, jak im zagra. To prawdziwy talent. Miał wyjątkową zręczność w postępowaniu z ludźmi, przekonywaniu ich, że decyzję, jaką im narzucił, podjęli sami, z własnej nieprzymuszonej woli. Robił to już nie raz. Ostatnio z Howardem Bancroftem. Ale tę umiejętność wykształcił i udoskonalił dawno, dawno temu.

Dzwonek telefonu wytrącił go z zamyślenia. Cindy przemówiła, zanim zdążył się odezwać:

– Bardzo pana przepraszam, ale pani Schuller dzwoniła już pięć razy i ciągle nalega, żeby ją z panem połączyć.

– Świetnie. – Przycisnął migający klawisz. – Witaj, Nadiu – rzucił lekko. – Jak
słyszałem, obiad upłynął w atmosferze ożywienia?

Zazdrość, Rozdz. 12

Key West, Floryda, 1986 r.

Pierwszą reakcją Todda Graysona na widok Key West było dogłębne rozczarowanie.

Od miesięcy mówił wyłącznie o tym. Nie mógł myśleć o niczym innym; skreślał upływające dni w kalendarzu jak dziecko czekające na Gwiazdkę. Drażniło go wszystko, co przeszkadzało mu marzyć i planować, w tym także ostatni semestr studiów. Całym sercem, umysłem i duszą zaangażował się w podróż do Mekki Florydy.

A teraz, gdy już spełnił swoje marzenie, po pierwszym spojrzeniu na Key West miał ochotę wracać.

To miejsce skojarzyło mu się ze starą prostytutką. Było zniszczone, obłeśne, trochę niezdrowe i bardzo zmęczone. Rozwijając tę metaforę – jakby ją zapisywał w myślach – Key West było zwykłą uliczką, wystawiającą się na sprzedaż na rogu, nie egzotyczną kurtyzaną, szepczącą kuszące obietnice. Odarte z tandetnych i dość żałosnych ozdóbek, miasto nie miało nic do zaoferowania. Było tanie i zwyczajne, a jedyną obietnicą, jaka została mu na składzie, była rozpusta.

Todd i Roark mieli wyjechać na Florydę w dniu wręczenia dyplomów, Byli już spakowani i gotowi do drogi, wystarczyło zdjąć togi i czapki, w których wystąpili na uroczystości.

Chcieli wyruszyć każdy w swoim pojeździe i zgodzili się, że już przed miastem zatrzymają się i rzucą monetą o to, który pierwszy wjedzie na Duval Street. Ale w tym miejscu dał znać o sobie los. Ich doskonale opracowany plan musiał ulec zmianie. Obowiązki rodzinne zmusiły Todda do odłożenia daty wyjazdu. Roark zaproponował, że na niego poczeka, ale w pospiesznej naradzie ustalili, że powinien pojechać pierwszy i poszukać mieszkania.

– Będę zwiadowcą. Przygotuję obóz na twój przyjazd – powiedział Roark przy pożegnaniu. Jego toyota była wyładowana bagażami po sufit. Każdy centymetr kwadratowy powierzchni został wykorzystany do przewiezienia całego ziemskiego dobytku, wszystkiego, co posiadał w siedzibie bractwa, w którym spędził trzy lata.

– Do dupy z tym wszystkim – mruknął Todd.

– No jasne. Ale to małe miki, nie łam się.

– Łatwo ci powiedzieć, to nie twoje miki. Ja się tu będę opierniczał, a ty zaczniesz pisać.

– Nic podobnego, stary. Będę latać jak kot z pęcherzem, szukając mieszkania. Będę się użerać, żeby podłączyli telefon. I tak dalej. Nie będzie czasu na pisanie.

Todd wiedział, że to nieprawda. Roark zawsze pisał – pijany czy trzeźwy, zmęczony czy zdenerwowany, chory czy zdrowy. Pisał, kiedy był szczęśliwy i kiedy był smutny. Kiedy miał dobry nastrój i kiedy był wkurzony. Kiedy słowa same się mu nasuwały i kiedy za nic nie potrafił ich znaleźć. Pisał bez względu na wszystko. I choćby teraz nie wiem jak się zapierał, na pewno zacznie z dużym wyprzedzeniem, a to się Toddowi nie podobało.

Roark usiadł za kierownicą wypakowanej toyoty. Jeszcze raz spróbował podnieść Todda na duchu.

– Słuchaj, stary, to tylko teraz tak wygląda, pewnego dnia o tym zapomnisz. Zobaczysz.

Zgodnie z umową zadzwonił do Todda natychmiast po przyjeździe. Parę dni później zadzwonił znowu, donosząc, że wynajął mieszkanie. Todd zasypał go pytaniami, ale wszystkie odpowiedzi były dziwnie wymijające, a opisy ogólnikowe. Todd odłożył słuchawkę ze świadomością, że tak naprawdę wie o swoim nowym lokum tylko tyle, że go na nie stać.

Dopiero sześć tygodni później zdołał wyruszyć w podróż. W dniu swego wyjazdu, po raz ostatni opuszczając dom, w którym spędził dzieciństwo, nie tracił czasu na sentymenty. Nie obejrzał się za siebie. Wydawało mu się, że właśnie wyszedł na wolność.

Tego pierwszego dnia jechał niemal przez dwadzieścia godzin. Tuż za granicą stanu Floryda zjechał na parking i przespał w samochodzie całą noc. Do Key West przybył popołudniem następnego dnia. Miasto wprowadziło go rozczarowało, ale na szczęście nie we wszystkim.

Na przykład powietrze. Ciepłe i wonne. Koniec biegania na wykłady na mrozie i wichrze, piękne dzięki. Słońce świeciło mocno. Wszędzie rosły bujne palmy i bananowce. A piosenki Jimmy'ego Buffetta rozlegały się wszędzie, jakby sączyły się ze szczelin miasta.

Sunąc przez ulice pełne turystów, zgodnie ze wskazówkami, które otrzymał od Roarka, czuł, że jego rozczarowanie zaczyna się rozpraszać i ustępuje miejsca trzepotowi podniecenia. Zewsząd atakowały go widoki, dźwięki, zapachy.

Ale to podniecenie nie trwało długo. Zgasło, kiedy zobaczył swoje nowe miejsce zamieszkania. Dwa razy sprawdzał adres, modląc się, żeby to była pomyłka.

A może to następny kawał Roarka.

Wysokie krzaki oleandrów tworzyły zapuszczony żywopłot pomiędzy ulicą i

zachwaszczonym, nędznym trawnikiem przed budynkiem. Todd miał nadzieję, że Roark wyskoczy za chwilę spomiędzy kwitnących zarośli, śmiejąc się jak głupi, i wrzaśnie: „Ale masz minę! Jakbyś oberwał w twarz workiem gówna!”. Potem razem się z tego obśmieją, a jeszcze potem Roark zaprowadzi go do ich prawdziwego mieszkania. Pójdą na piwo, jeszcze raz się uśmieją i będzie to pierwszy z tysiąca razów, kiedy opowiedzieliby sobie tę historię – tak jak opowiadali wszystkie dobre historie, gdy chcieli albo musieli się uśmieć.

Z wyjątkiem tej o profesorze Hadleyu. Tej nigdy sobie nie opowiadali. Nie wspomnieli o niej ani razu.

Todd zatrzymał samochód przy szczerbatym krawężniku. Nie miał ochoty wchodzić między te oleandry – wyglądały jak krzaki hodowane na sterydach – ani ruszyć popękany chodnikiem do drzwi dwupiętrowego budynku. Betonowa ściana została Pomalowana na jadowity róż, jakby jaskrawy kolor mógł zatuszować kiepski materiał budowlany. Tymczasem wręcz go podkreślał. Przez całą ścianę, od dachu po fundamenty, biegło szerokie na palec pęknięcie. W pewnym miejscu wyrastała z niej Paproć. Drewniane okiennice przeciwhuraganowe – koloru zupy groszkowej – były połamane i trzymały się budynku chyba tylko !e strachu przed zatonięciem w stojącym bajorze wokół fundamentów. Kałuża, szeroka i głęboka jak fosa, była znakomitą wygarnia komarów.

Aluminiowa framuga drzwi z moskitierą niegdyś pewnie miała kształt prostokąta; teraz była wygięta w tak wielu miejscach, że przypominała modernistyczną rzeźbę. Spora część siatki zwisała oderwana, nie broniąc dostępu owadom... ani kameleonom, o czym Todd przekonał się, wchodząc do śmierdzącego wnętrza z betonową podłogą. Na ścianie siedziały dwie zielone jaszczurki. Jedna uciekła, druga wydeła czerwone gardło, jakby urażona niezapowiedzianą wizytą.

Na ścianie wisało sześć skrzynek pocztowych, choć powinny się znajdować na zewnątrz. Todd odczekał, aż wzrok przyzwyczai mu się do ciemności, i odczytał, ku swej rozpaczy, swoje nazwisko, figurujące obok nazwiska Roarka.

W całym budynku znajdowało się sześć mieszkań, po dwa na piętrze. Ich było na drugim. Przeskoczył kałużę niezidentyfikowanego płynu i ruszył po schodach na górę. Na podeście pierwszego piętra usłyszał odgłosy Koła Fortuny, dochodzące zza drzwi jednego z mieszkań. Poza tym w budynku panowała zupełna cisza.

Na drugie piętro dotarł, ociekając potem. Przeklinał to samo ciepłe powietrze, którym rozkoszował się jeszcze parę minut temu, jadąc w samochodzie z otwartymi oknami i pożerając wzrokiem dziewczęta z obnażonymi ramionami i nogami.

Ale mieszkania są na pewno klimatyzowane, pomyślał, naciskając klamkę mieszkania 3A. Drzwi były zamknięte na klucz. Zapukał – i pukał jeszcze trzy razy, zanim Roark zareagował. Otworzył, opalony i szeroko uśmiechnięty.

– Hej, dojechałeś! O godzinę za wcześnie.

– Co, nie ma klimatyzacji? Jaja sobie, kurwa, robisz?

Upał w mieszkaniu był jeszcze bardziej dławiący niż na schodach. A nie był to bynajmniej najgorszy z licznych minusów tego mieszkania. Todd rozejrzał się, czując, że jego złe przeczucia zaczynają się sprawdzać. I że rzeczywistość je przerasta.

Używając eufemizmu – była to szcurza nora. A ściślej mówiąc, musiałyby przejść gruntowny remont, żeby zastąpić na miano szcurzej nory. Żaden szanujący się szcur nie zgodziłby się tu zamieszkać. Obrotowy wentylator mieszał gorące powietrze. Wytarte krzesła stanowiły wyposażenie salonu. W mieszkaniu czuć było zapaszek starej pizzy, zaschniętej w pudełku na stoliku, który obok dwupalnikowej kuchenki oraz zlewu stanowił umeblowanie kuchni.

– Byłem pod prysznicem. – Rzeczywiście, Roark ociekał wodą. Jego jedynym ustępstwem na rzecz przyzwoitości był skromny ręczniczek, którym owinał biodra.

– Myślałem, że może stałeś się pedałem – warknął Todd.

– Chodź, musisz to zobaczyć. – Roark odwrócił się i ruszył w stronę otwartych drzwi.

Todd poszedł za nim, tak wściekły, że z trudem oddychał tym rozprężonym, stojącym powietrzem. Jego pieniądze zostały zmarnowane. Jeśli Roark podpisał umowę najmu, będzie musiał ją zjeść. On odmawia płacenia. Najwyraźniej jego przyjaciel doznał pomieszania zmysłów, a może przegrał ich pieniądze, zgubił je, dał się okraść czy coś w tym rodzaju.

Nikt rozsądny, nikt z wyjątkiem osób kompletnie zrozpaczonych i zdesperowanych, nie zgodziłby się z własnej nieprzymuszonej woli zamieszkać w speluncie. Życie bezdomnego niesie ze sobą więcej pewności; jeśli niebo nie runie na ziemię, bezdomny nie musi się obawiać, że zginie, przygnieciony spadającym kawałem sufitu.

– Roark, niech cię szlag! – Ruszył wściekły za przyjacielem.

– Roark! Co jest, kurwa?

Drzwi prowadziły do małego pokoiku z dwoma łózkami. Jedno jęczało pod ciężarem dobytku Roarka, na ogół jeszcze spakowanego. Tu i ówdzie poniewierały się ubrania, wyciągnięte z pudełek i rzucone byle gdzie. Drugie łóżko służyło do spania. I pracy. Stał na nim monitor i klawiatura, wieża i drukarka znajdowały się obok na podłodze.

– Komputer? – wykrzyknął Todd. – Masz peceta? Od kiedy? – Obaj marzyli o komputerze tak, jak inni studenci marzą o dobrym samochodzie. Roark nie

wspomniał ani słowem, że stał się szczęśliwym posiadaczem luksusowego sprzętu. – To na to wydałeś nasze pieniądze?

– Wujek dał mi za skończenie studiów – powiedział Roark scenicznym szeptem. – Zechcesz się łaskawie zamknąć i przyjść tutaj? Szybko.

Todd odwrócił się ku otworowi, w którym powinny znajdować się drzwi. Dostrzegł je pod ścianą, wyjęte z zawiasów. Przez głowę przemknęła mu myśl, że to dlatego, by ściana się nie zawaliła.

Za dziurą po drzwiach znajdowała się łazienka. Jediną różnicą między nią i wspólnymi łazienkami z siedziby bractwa było to, że te ostatnie były lepiej utrzymane i znacznie czystsze – pomimo spluwaczek, zapleśniałych kratek pod prysznic i ciekących kranów.

Ale jeszcze bardziej przerażający niż stan umywalki i toalety był widok przyjaciela, który zrzucił ręcznik i znowu wszedł pod prysznic. Stał pod deszczem kropel i wyglądał przez otwarte okienko.

– Jaki wujek? Dlaczego nie powiedziałaś, że wujek dał ci komputer?

Roark obejrzał się przez ramię.

– Wchodzisz czy nie?

– Nie wejdę z tobą pod ten obleśny prysznic. Czekam na wyjaśnienia, dlaczego...

– Zamknij się i chodź tu. Szybko, bo się schowają.

Podniecenie Roarka było zaraźliwe i intrygujące. Todd dał się zaciekać. Zrzucił trampki i wszedł w ubraniu pod prysznic. Odepchnął Roarka na bok i wyjrzał przez zardzewiałą siatkę na komary.

Na dachu sąsiedniego budynku opalały się trzy nagie dziewczyny. Zupetnie nagie, goluteńkie jak je pan Bóg stworzył. I wszystkie lśniły olejkami do opalania. Na oczach ostupiałego Todda jedna z nich zaczęła leniwie rozsmarowywać oleisty płyn na piersiach.

– Nazywa się Amber – szepnęła Roark.

Amber powoli masowała sutki, wielkie i czerwone jak truskawki. Todd głośno przełknął ślinę.

– Znasz je?

– No pewnie. Tyle, żeby zagadać. I znam ich imiona. Oba budynki mają wspólny parking. Te trzy tańczą w knajpie ze striptizem.

To wyjaśniało, dlaczego stanowiły przegląd najpiękniejszych kobiecych przymiotów. Olśniewające. Ich piersi nie były zapewne wyłącznie darem natury, ale kogo to obchodziło?

– Ta z wygolonym krocem to Migotka – poinformował go Roark. – Bo w finale jest posypana takim czymś migoczącym.

– Ma migoczącą cipkę?

– Jak Boga kocham. Kierują na nią reflektor.

– O kurwa.

– Ta brunetka to Mary Catherine.

– To ma być imię dla striptizerki?

– Rozbiera się z habitu. Potem bierze taki różaniec i...

– Nie mów, chcę mieć niespodziankę. – Brunetka leżała na brzuchu. Todd cmoknął powietrze. – Patrz na tę pupcię.

– Patrzę. – Roark się uśmiechnął. – Jak serduszko, co? To moja ulubienica. I jest najmiłsza z nich wszystkich.

– Robią tak codziennie?

– Z wyjątkiem niedziel. W soboty wieczorem dają trzy przedstawienia, więc w niedzielę odsypiają.

Amber zamknęła butelkę olejku, położyła się na ręczniku i rozchyliła uda – tak by promienie słońca dosięgły ich wnętrza.

– Kurczę – jęknął Todd.

Roark roześmiał się, wyszedł spod prysznic i podniósł ręcznik.

– Zostawiam cię samego na parę minut.

– Człowieku, tu parę minut nie wystarczy.

Roark był już ubrany w szorty i siedział po turecku na łóżku, trzymając klawiaturę na kolanach, gdy Todd wyłonił się chwiejnie z łazienki i oparł się ciężko o framugę. Roark podniósł głowę i wyszczerzył do niego zęby.

– No, i co sądzisz o naszym mieszkaniu?

– Kurwa, człowieku, jest fantastyczne. W życiu bym nie zamieszkał nigdzie indziej.

Rozdział osiemnasty

Mike Strother odłożył przeczytane kartki. Pociągnął łyk lemoniady z własnoręcznie wyciśniętych cytryn. Dziś zrobił sobie urlop od pracy nad kominkiem. Wczoraj pokrył go warstwą lakieru i dał mu o jeden dzień więcej na wyschnięcie – ze względu na dużą wilgotność powietrza. Przynajmniej taką wersję przedstawił Parkerowi.

Przez cały ranek pracował na dworze. Parker mógł go obserwować, jak na czworakach pieł grządki kwiatów. Później zamiótł werandę i umył frontowe okna. Ale popołudniowy upał zagnał go do wnętrza w samą porę, by przygotować obiad.

Parker pisał od świtu – właściwie na nowo przepisywał to, co już zostało napisane – i teraz czekał niecierpliwie na uwagi Mike'a. Cenił jego opinie, nawet kiedy nie były dla niego przychylne. Czasami miał ochotę powiedzieć, żeby się zabierał do wszystkich diabłów razem ze swoimi uwagami, ale zawsze odczytywał skrytykowane ustępy i dochodził do wniosku, że uwagi przyjaciela były trafne. Nawet jeśli się z nimi nie zgadzał, brał je pod uwagę podczas poprawek tekstu.

Mike nigdy nie spieszył się z komentarzami, bez względu na to, czy tekst mu się podobał, czy też nie. Ale jeśli z jakiegoś powodu był zły na Parkera, czekał tak długo, aż Parker musiał go spytać o zdanie. Dziś zwlekał bardziej niż zwykle.

Ale i Parker był tego dnia w przekornym nastroju. Uparcie czekał, podczas gdy Mike przeglądał kartki po raz drugi, odczytywał na nowo niektóre akapity, wydawał dziwne chrząknięcia niczym lekarz słuchający żalącego się hipochondryka, w zamyśleniu przygryzał dolną wargę.

Trwało to co najmniej dziesięć minut. Pierwszy złamał się Parker.

– Mógłbyś przetłumaczyć to stękanie na mniej więcej ludzki język?

Mike podniósł wzrok, zaskoczony, jakby zapomniał o jego istnieniu. Udawał, a Parker o tym wiedział.

– Bardzo często używasz słowa „kurwa” oraz podobnych.

– I już? Nad tym zastanawiałaś się przez dziesięć minut? To ma być najważniejszy punkt twojej recenzji?

– Trudno tego nie zauważyć.

– Chłopcy w tym wieku tak mówią. Zwłaszcza przy innych chłopcach. Nawet starają się przelicytować, sprawdzić, który jest najbardziej wulgarny.

– Ja tak nie robiłem.

– Ty jesteś anomalią.

Mike zmarszczył brwi, ale puścił obelgę mimo uszu.

– Użyłeś też słowa „pedał”. Bardzo obraźliwego.

– Owszem. Ale w roku 1988 jeszcze nie znaliśmy pojęcia „polityczna poprawność”. Ponadto staram się oddać charakter moich bohaterów. Jurne heteroseksualne samce nie są wyrozumiałe ani tolerancyjne dla gejów.

– Ani dla damskiej anatomii.

– Zwłaszcza dla niej. Nie określają aktu seksualnego ani części ciała słowami rodem ze słownika dla lekarzy, skoro istnieją inne, krwiste odpowiedniki. A skoro już załatwiliśmy sprawę twojego jojczenia nad brzydkimi wyrazami, co sądzisz o...

– Nie poszedłeś dzisiaj do oczyszczalni?

– Co to ma wspólnego z tekstem? – rzucił Parker niecierpliwie.

– A musi mieć?

– Aleś ty dzisiaj drażliwy. Zapomniałeś wziąć czopek na przeczyszczenie?

– Zmieniasz temat.

– Może ta lemoniادka jest wzmocniona Jackiem Danielssem?

– A raczej unikasz tematu.

– Ja? Myślałem, że tematem jest mój tekst. A ty zacząłeś mówić o...

– Maris.

– Oczyszczalni.

– Jedno łączy się z drugim. Odkąd wyjechała, nie byłeś w oczyszczalni ani razu, choć przedtem przesiadywałeś tam miesiącami.

– Nie. To znaczy, tak. To znaczy... cholera. Wszystko jedno. – Parker wzruszył ramionami. – Nic się nie wydarzyło.

– Czyżby oczyszczalnia wiązała się ze wspomnieniami? Miłymi czy przykrymi? Przypominałaby ci o niej? Albo o tym, co powiedziała? A może wolałbyś tego raczej nie pamiętać?

– Wiesz co? – Parker przechylił głowę do tyłu i spojrzał na Mike'a spod spuszczonej powiek. – Powinieneś być kobietą.

– Podsumowując: w jednej rozmowie zdołałeś mnie nazwać anomalią, ukrytym pijaczkiem z problemami jelitowymi, a teraz obrażasz moją męskość.

– Jesteś wścibski jak stara baba, której jedynym zajęciem jest wtrącanie się do cudzych spraw.

– Maris jest także moją sprawą.

Ostry ton głosu Mike'a zmienił charakter ich rozmowy, zasygnalizował koniec przekomarzania. Parker odwrócił się i spojrzał na ocean, spokojny tego popołudnia. Zwierciadło, na którego tafli kładły się miedziane blaski słońca. Tak jak codziennie o tej porze, tuż nad czubkami drzew przemknęło stadko pelikanów. Parker zastanawiał się czasem, czy życie w tak ściśle związanej ze sobą grupie jest kojące, czy klaustrofobiczne. Od tylu lat wiódł życie samotnika, że nie pamiętał, jak to jest, kiedy żyje się w rodzinie, bractwie czy jakiegokolwiek społeczności.

Mackensie Roone był ulubieńcem czytelników na całym świecie. Zajmował stałe miejsce na ich nocnych szafkach i w aktówkach. Towarzyszył im na plaży, w ubikacji, we wszystkich środkach transportu. Był zabierany do wanny i łóżka. Dzielił z ludźmi najintymniejsze chwile.

A on miał tylko paru znajomych, z których nikt go nie kochał. Oczywiście to on tak zdecydował – z konieczności. Ale ostatnio zaczął sobie uświadamiać, że za te lata samotności przyszło mu zapłacić ogromną cenę. Z czasem przyzwyczyił się do życia w pojedynkę; ale oto od niedawna zaczęło mu ono doskwierać. Lubił być sam. tym czasem teraz poczuł się samotny-To różnica. Ta różnica okazuje się oczywista w chwili, gdy nagle staje się jasne, że własne towarzystwo już nie wystarcza, że pragnie się obecności kogoś innego.

Odsunął od siebie czającą się rozpacz i cicho przeprosił Mike'a za uwikłanie go w podstęp.

– Wiem, że do pewnego stopnia czujesz się odpowiedzialny, i podziwiam cię za to.

– Wziąłem udział w tym idiotycznym teście, któremu ją poddałeś, bo mnie o to poprosiłeś. Czy to było konieczne?

– Chyba nie – przyznał Parker cicho.

– Mogłem jej powiedzieć, że Mackensie Roone to ty. Mogłem udać, że mi się wymknęło. Byłbyś zły, ale przecież byś to przeżył. Tymczasem zgodziłem się na te podchody i teraz się tego wstydzę.

– Więc przestań. W niczym nie zawiniłeś. Wszystko to moje dzieło. Od początku do końca... jakkolwiek się to skończy. To ja jestem winowajcą, nie ty.

– To mnie nie rozgrzesza ze świadomego uczestnictwa.

Parker wzruszył ramionami.

– Nie, ale tylko tyle mogę powiedzieć.

Zapadło ciężkie milczenie. Wreszcie Mike włożył okulary do czytania, nieświadomie przywodząc Parkerowi na myśl Maris i jej okulary, które miała na nosie, kiedy widział ją po raz ostatni. Może ostatni w życiu.

– Ci młodzieńcy pogodzili się ze sobą – zauważył Mike, znowu wertując kartki. – Nie wyczuwam między nimi żadnej podskórnej wrogości.

– Po incydencie z Hadleyem Roark zachowywał się tak, jakby nic się nie stało – wyjaśnił Parker. – Podjął świadomą decyzję, że nie pozwoli, by coś takiego zniszczyło ich przyjaźń.

– Bardzo szlachetne. Ale jednak coś...

– Pozostało – dokończył za niego Parker. – Jak brzydkie znamię na ślicznej twarzy dziecka. Żaden z nich nie chce przyznać, że takie samo znamię oszpeciło ich przyjaźń. Obaj omijają je wzrokiem w nadziei, że z czasem zblednie i wreszcie zupełnie zniknie, tak to się czasem dzieje ze znamionami.

– Dobre porównanie.

– Prawda? Mogę je wykorzystać. – Zanotował je na marginesie.

– Nie powiedziałaś, jakie to obowiązki rodzinne nie pozwoliły Toddowi na wyjazd.

– Rozmawiają o tym w następnej scenie. Roark składa Toddowi wyrazy współczucia z powodu śmierci matki. Nie chciała go martwić w tych ostatnich najważniejszych miesiącach przed dyplomem, więc nie powiedziała mu, że znaleziono u niej rozległe zmiany rakowe. Terapia, której się poddała, odebrała jej siły, ale nie osłabiła raka. Więc Todd, zamiast wyjechać na Florydę, odwiózł ją do domu. I został przy niej aż do jej śmierci.

– Co za poświęcenie, zważywszy na to, jak wiele znaczył dla niego wyjazd do Key West.

Parker uśmiechnął się sardonicznie.

– Kazałem mu powiedzieć... Czekaaj, przeczytam to. – Zaczął szperać wśród rozrzuconych na biurku odręcznych notatek, aż wreszcie znalazł właściwą. – Todd dziękuje Roarkowi za kondolencje, tratatata, i mówi: „Prawdę mówiąc, jej śmierć była mi bardzo na rękę”. Roark jest wstrząśnięty. Todd dodaje: „Jestem tylko szczerzy”. „Okrutnie szczerzy”, odpowiada Roark. Todd wzrusza ramionami. „Może, ale przynajmniej nie jestem hipokrytą. Czy rozpaczam z powodu jej śmierci? Nie. Wreszcie nic mnie nie krępuje, nic mnie nie wiąże. Jestem wolny. Teraz nie muszę myśleć wyłącznie o sobie. Nie muszę się z nikim liczyć. Ani zajmować się czymkolwiek innym oprócz pisania”.

Mike się zastanowił.

– Więc pozbywamy się białych rękawiczek.

– Jeśli chcesz powiedzieć, że teraz ukaże się prawdziwy charakter Todda, to nie. Nie całkiem. Ale zaczniemy dostrzegać rysy na tej pięknej fasadzie.

– Tak jak ukazał ci się prawdziwy charakter Noaha Reeda, gdy zamieszkaliście w Key West. Fragment po fragmencie.

Parker poczuł, że mięśnie twarzy mu tężeją, jak zawsze, gdy musiał świadomie pomyśleć o Noahu.

– Roark przekona się, jaki naprawdę jest jego tak zwany przyjaciel, już po paru rozdziałach. Mnie to zajęło parę lat. A wtedy było za późno.

Przez parę chwil wpatrywał się w swoje nogi. Potem, odepchnąwszy od siebie wspomnienia, jeszcze raz wrócił do notatek.

– W następnej scenie pojawia się też profesor Hadley.

Mike dolał sobie lemoniady, usiadł wygodnie i przygotował się do słuchania.

– Właściwie to Todd porusza jego temat. Zauważa, że sprawy obróciły się na dobre. Gdyby nie zrobił Roarkowi tego kawału, jego stosunki z profesorem nie byłyby tak doskonałe. Twierdzi nawet, że Roark powinien mu podziękować. Roark nie posuwa się aż tak daleko, ale przyznaje, że na dłuższą metę sytuacja rzeczywiście obróciła się na jego korzyść. – Parker nabrał oddechu. – W tej rozmowie chcemy poinformować czytelnika, że profesor Hadley ujrzał w obu młodzieńcach taki potencjał, iż zgodził się współpracować z nimi nawet po studiach.

– Jakież on łaskawy.

Parker zmarszczył brwi.

– Nie działał z zupełnie altruistycznych pobudek. Zaplanowałem już rozdział, napisany z jego punktu widzenia, w którym czytelnik się dowie, że Hadley opiekuje się tymi dwoma młodymi pisarzami dlatego, iż dostrzega w nich talent i chce, by został on odczyszczony, wyczelowany, a potem, jeśli to możliwe, zaprezentowany wdzięcznej publiczności.

– Wyczuwam, że teraz padnie słowo „ale”.

– Ale czy przy okazji nie dodałby blasku sobie, gdyby to on odkrył dwóch pisarzy młodego pokolenia?

– Innymi słowy, to stary oportunistą.

Parker parsknął śmiechem.

– Każdy z nas jest oportunistą, Mike. Każdy. Bez wyjątku. Różnimy się tylko stopniem oportunisty. Jak daleko jesteśmy skłonni pójść, żeby zdobyć to, czego pragniemy? Niektórzy szybko zjeżdżają na pobocze. Dają za wygraną, obierają inny kurs albo po prostu dochodzą do wniosku, że to, za czym gonią, nie jest warte ryzyka lub ceny, którą trzeba zapłacić. Natomiast inni...

Urwał i spojrzał w pustkę przed sobą.

– Inni, żeby dostać to, czego pragną, są gotowi na wszystko. Absolutnie na wszystko. Pogwałcą wszystkie zasady – prawa, przyzwoitości, moralności, byle tylko się wybić.

Mike miał skomentować tę filozoficzną uwagę, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i spytał o coś, co – jak odgadł Parker – uznał za mniej kontrowersyjne.

– Chcesz nadać takie znaczenie drugoplanowej postaci?

– Czyli Hadleyowi? Odgrywa ważną rolę w intrydze.

– Naprawdę?

– Jest niezastąpiony.

Mike skinął głową, zatopiony w rozmyślaniach. Minęło pół minuty. W końcu Parker spytał, o co mu chodzi.

– Tempo akcji? Dialogi? Za dużo opisów mieszkania w Key West czy za mało?

– Ta brunetka na dachu...

– Mary Catherine.

– Czy to ta sama dziewczyna...

– ...z prologu, która towarzyszy im na łodzi. Tak. Pamiętasz, któryś z nich zdjął jej stanik i pomachał nim nad głową, zanim jeszcze opuścili przystań. Dlatego to bardzo ważne, by czytelnikowi zapadło w pamięć, że to wesoła, zabawowa panienka. Więcej informacji o niej znajdzie się w następnej scenie.

– To miła dziewczyna. Parker.

– Striptizerka z pupcią w kształcie serduszka?

Mike rzucił mu surowe spojrzenie.

Parker zaklął w duchu. Mike postanowił porozmawiać o Maris, a kiedy Mike wbił sobie coś do głowy, nie popuszczał, dopóki nie dopiął swego.

Odłożył notatki na stół. Uznał, że powinien odbębnić tę rozmowę i mieć ją z głowy, żeby móc spokojnie zająć się pisaniem.

– Po pierwsze, Maris jest kobietą, nie dziewczyną. I kto powiedział, że nie jest miła? Na pewno nie ja. Słyszałeś kiedyś, żebym jej to zarzucił? Mówi „proszę” i „dziękuję”, wie, co zrobić z serwetką, i zakrywa usta przy ziewaniu.

Mike wpatrywał się w niego karcąco.

– Przyznaj to. Nie takiej kobiety się spodziewałeś.

– Nie. Jest trochę wyższa. – Znowu został spiorunowany. Rozłożył szeroko ręce. – Co mam powiedzieć? Że nie jest snobką, za jaką ją miałem? W porządku, nie jest.

– Spodziewałeś się bogatej zmanierowanej dziewczuchy.

– Kompletniej suki.

– Agresywnej i drażliwej...

– Prostaczki.

– Która tu wpadnie, mącąc nasz spokój, i spróbuje nas olśnić nowojorskim wyrafinowaniem i pokazać, że gdzie nam do niej. Tymczasem Maris jest... hm, wiesz lepiej ode mnie, jaka jest. – I dodał po namyśle: – A jednak nas olśniła, prawda?

Tak, prawda. Tylko w łagodniejszy, bardziej kobiecy sposób. Parker zerknął na flakon, stojący na stoliku do kawy. Maris zrobiła podczas porannej przechadzki bukiet z gałązek kapryfolium i spytała, czy może je włożyć do wody. „Żeby troszkę rozweselić pokój”, wyjaśniła.

Mike, zafascynowany nią do granic zdumienia, przewrócił całą kuchnię do góry nogami, szukając odpowiedniego wazonu. Od kilku dni bukiet dzikich kwiatów wypełniał oranżerię mocnym, uderzającym do głowy zapachem. Teraz jego widok raził wzrok. Kwiaty uschły, woda pozieleniała i zaczęła cuchnąć, ale Parker nie poprosił Mike'a o usunięcie wazonu, a sam Mike na to nie wpadł. To była pamiątka po dniach, o których obaj nie chcieli tak łatwo zapomnieć.

Muszelki, które zebrała na plaży, nadal leżały rozsypane na stoliku, gdzie z dumą wystawiła je na pokaz. Kiedy weszła z nimi do pokoju, jej bose stopy były unurzane w piasku. Zostawiła ślady na kamiennej podłodze i uparła się, że sama pozamiata. Usychająca roślina rozkwitła bujnie, ponieważ przeniosła ją w lepsze miejsce i podlała w miarę, nie za bardzo.

Dwa zurnale, które przeglądała, kiedy on pracował nad powieścią, nadal leżały na krześle. A tamtą poduszkę obszytą frędzelkami tuliła do piersi, słuchając, gdy czytał tekst.

Jego wzrok zatrzymywał się na świadectwach jej obecności.

– Jest inteligentna – dodał Mike. – Dowiodła tego. Inteligentna i wrażliwa.

Mówił ściszym głosem, jakby czuł jej ducha w pokoju i nie chciał go spłoszyć. A to rozdrażniło Parkera bardziej niż zgrzyt żelaza o szkło. Zachowywali się jak smarkacze. On w takim samym stopniu jak Mike. Dwaj sentymentalni idioci.

Poza tym, kto powiedział, że ten pokój trzeba rozweselić? Jemu podobał się taki, jaki był, zanim Maris Matherly-Reed przestąpiła próg tego domu.

– Tylko się nie rozpłacz – rzucił tonem ostrzejszym, niż zamierzał. – Udaję delikatną, bo chce dostać tę książkę.

– Książkę. Nie pieniądze. Pewnie w ogóle by się nie przejęła, gdyby *Zazdrość* nie zarobiła ani centa. Uwielbia twój styl.

Parker wzruszył obojętnie ramionami, ale w duchu przyznał Mike'owi rację. Maris wydawała się o wiele bardziej zainteresowana samą książką niż zyskiem, jaki mogła jej przynieść.

– Potrafi się także śmiać z samej siebie. Bardzo lubię tę cechę. – Potem, rzucając Parkerowi spojrzenie z ukosa, zauważył: – Oczywiście nie trzeba wspominać, że jest piękna.

– To po co wspominasz?

– Więc zauważyłeś?

– A co, myślisz, że jestem nie tylko kulawy, ale i ślepy? Tak, miło na nią popatrzeć. – Zrobił gest oznaczający „i co z tego?”. – Jej wygląd nie był żadnym zaskoczeniem. Widzieliśmy jej zdjęcie w tym artykule.

– Daleko mu do oryginału.

– Spodziewałem się, że jest atrakcyjna. Noah nigdy się nie spotykał z brzydkimi dziewczynami – wymamrotał Parker pod nosem. – Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

Mike powstrzymał się od komentarza, więc Parker dodał jeszcze:

– Wiesz co? Cieszę się, że jest ładna. Bardzo się cieszę. Dzięki temu to, co zrobię, sprawi mi więcej radości.

– A co zrobisz?

– Wiesz, że nigdy nie omawiam intrygi, dopóki nie zapiszę jej choćby w części. Będziesz musiał zgadywać.

– Chcesz się nią posłużyć.

– Otóż to. A jak ci się nie podoba, to nie patrz. – Otarł spocone czoło. Klimatyzacja działała, więc dlaczego było mu tak cholernie gorąco? – Czy teraz możemy zakończyć tę rozmowę? Mam robotę do odwalenia.

Mike spokojnie dopił lemoniadę i znowu przejrzał tekst. Wreszcie wstał, podszedł do Parkera i oddał mu zadrukowane strony.

– Ujdzie.

– Nie przesadzaj z tymi pochwałami, jeszcze mi woda sodowa uderzy do głowy.

Mike zatrzymał się w drzwiach.

– Może powinieneś jeszcze raz przemyśleć motywację.

– Motywacja moich bohaterów została przedstawiona wyjątkowo klarownie.

Mike nie raczył nawet odwrócić się i spojrzeć na Parkera.

– Nie mówiłem o twoich bohaterach.

Rozdział dziewiętnasty

– To mój ulubiony pokój.

Maris rozkoszowała się znajomą kojącą atmosferą domowego gabinetu ojca, gdzie pili koktajle.

Noah w ostatniej chwili musiał się skontaktować z dyrektorem działu umów, więc poprosił, żeby sama poszła do Daniela. Obiecał dołączyć do nich później. Maris nie miała nic przeciwko temu. Od powrotu z Georgii nie spędziła ani minuty sam na sam z ojcem.

– Ja także mam do niego słabość – przyznał Daniel. – Spędzam tu mnóstwo czasu, ale czuję się w nim najlepiej, kiedy jesteś ze mną.

Roześmiała się.

– Nie zawsze byłeś tego zdania. Kiedyś przychodziłam tutaj, żeby cię odciągnąć od pracy, bo przynosiłeś pracę do domu, pamiętasz? Naprzykrzałam ci się nieznośnie. – Uśmiechnęli się do wspólnych wspomnień, ale wkrótce Daniel spoważniał.

– Chciałbym przeżyć tamte czasy jeszcze raz. Gdybym mógł, częściej ślizgałbym się z tobą w parku, dłużej gralibyśmy w „Monopol”. Żał mi tamtych straconych szans.

– Nie byłam aż tak zaniedbana. Prawdę mówiąc, nie brakowało mi niczego. A zwłaszcza ciebie.

– Jesteś zbyt wyrozumiała, ale dziękuję, że tak mówisz.

Czuła, że ojciec jest dziś w melancholijnym nastroju. Ucieszył się na jej widok, ale w jego żartach brakowało szczerości. Jego komiczne utarczki z Maxine wydawały się wymuszone.

Uśmiechy wyglądały prawie jak prawdziwe, ale widać było, że przychodzą mu z trudem.

– Tato, jak się czujesz? Czy coś się stało?

Przypomniał jej o pogrzebie Howarda Bancrofta.

– To już jutro rano.

Skinęła głową ze współczuciem.

– Howard był nie tylko twoim pracownikiem, ale dobrym i zaufanym przyjacielem.

– Będzie mi go brakować. Mnie i chyba całemu miastu. Za nic nie potrafię zrozumieć, co go pchnęło do tak strasznego kroku.

Oczywiście, ojciec opłakiwał utratę przyjaciela, ale Maris nie była całkiem przekonana, czy tylko samobójstwo Bancrofta rzuca taki cień na jego czoło. Doszła do wniosku, że jego nastrój jest odbiciem jej własnego. Ona także nie miała dziś ochoty na żarty. A odpowiedzialnością za swój nastrój mogła obciążyć dwie sprawy. Właściwie dwóch mężczyzn. Noaha i Parkera.

Wyjaśnienia Noaha były przekonujące. Daniel je potwierdził. Mimo to nie mogła tak po prostu przyjąć do wiadomości, że nie powiedzieli jej o czymś równie istotnym dla przyszłości Matherly Press. Nigdy nie była aż tak zajęta, żeby nie mogła się o tym przynajmniej dowiedzieć.

Ze względu na swe wysokie stanowisko może żądać stosownego traktowania. Związki prywatne nie miały tu znaczenia. Jako wiceprezes korporacji powinna wiedzieć o spotkaniu z Blume'em. Jako żona powinna być szanowana przez męża.

To właśnie ją tak drażniło – nonszalancka reakcja Noaha na jej gniew.

Potraktował ją jak dziecko, które można udobruchać lizakiem, jak psa, którego wystarczy pogłaskać, żeby odzyskać jego zaufanie. Zachowywał się, jakby przeczytał jakiś poradnik życia małżeńskiego. Lekcja trzecia: Jak kłócić się konstruktywnie. Sposób, w jaki ją przeprosił, był bardziej poniżający niż jego przewinienie. Czyżby nie znał jej do tego stopnia? Czy naprawdę sądził, że da się mu tak łatwo zbyć?

– Maris?

Podniosła głowę i uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Odpłynęłam?

– Niezbyt daleko, najwyżej jakieś tysiąc kilometrów.

– Przepraszam. Mam mnóstwo na głowie.

– Zechcesz mi nalać? – Zawahała się, na co machnął ręką z irytacją. – Wiem, wiem. Uważasz, że za dużo piję. Nawiasem mówiąc, rozszyfrowałem tę radę, którą Noah dał mi jak mężczyzna mężczyźnie. Wyszła prosto od ciebie.

– Martwiłam się, jak wejdiesz na schody, to wszystko. Chodzisz trochę chwiejnie.

– Jeśli się dziś upiję, wniesiesz mnie na plecach, co ty na to? – Rzuciła mu karcące spojrzenie, zabrała szklankę i podeszła do barku. – A skoro już tam jesteś, może nalejesz i sobie? Przyda ci się.

Nalała whisky do jego szklanki, nappełniła swój kieliszek chardonnay.

– Dlaczego?

– Dlaczego sądzę, że przyda ci się parę łyków alkoholu? Bo wyglądasz jak szczenię wyrzucone z domu.

To prawda. Czuła się straszliwie opuszczona. Nie miała ochoty szukać przyczyny tego stanu ani jej nazwać, ale w głębi serca wiedziała, kto za tym stoi: Parker Evans.

Usiadła na swoim miejscu. Daniel zajął się metodycznym nabijaniem fajki, a ona tymczasem powiodła spojrzeniem po pokoju. Przyjrzała się bogatemu zbiorowi pierwszych wydań książek w skórzanych oprawach. Stały w równiutkich rzędach na półkach masywnej szafy o drzwiach lśniących taflami szkła. Mimo woli porównała ten uporządkowany i kosztowny księgozbiór z książkami Parkera, rozrzuconymi gdzie Bóg da. Porównała drogie meble z gabinetu ojca z wiklinowymi krzesłami i perkalowymi poduszkami w oranżerii Parkera. W tym pokoju znajdował się marmurowy kominek, uratowany i przewieziony z włoskiego pałacu. A drewniany gzyms kominka w domu Parkera był dziełem niewolnika o imieniu Fineasz.

I zdała sobie sprawę, że choć kocha ten dom, pokój i czułe wspomnienia dzieciństwa, jakie się z nimi łączyły – tęskni za Wyspą Świętej Anny i domem Parkera z jego skrzypiącymi drewnianymi podłogami i przytulną chatką dla gości, z łazienką, w której stoi wanna na zwierzęcych łapach.

Tęskniła za Mikiem, zręcznym w kuchni, i za klekotem klawiszy, w które Parker dziobał gwałtownie, dwoma palcami, długo szukając właściwych liter. Tęskniła za dziwną harmonią cykad i odległym szumem rozbijających się na plaży fal, za zapachem kapryfolium, dotykiem słonego powietrza na skórze, ciężkiego prawie jak deszcz, i za... Parkerem.

Tęskniła za Parkerem.

– Myślisz o nim? – spytał cicho Daniel. – To przez niego jesteś smutna?

– Smutna? O nie. – Potrząsnęła zdecydowanie głową. – Zła? O tak. Czy mam ochotę go udusić gołymi rękami? Zdecydowanie. Prowokuje mnie wszystkim, zaczynając od swojego stosunku do zawodu. Bardzo rzadko przyjmuje rady bez dyskusji, która nieodmiennie przechodzi w dziką awanturę. Siedzi w tym domu, na tej wyspie. I dom, i wyspa są piękne, ale on się tam zakopał jak w grobowcu. A powinien być między ludźmi. Każdy pisarz zwykle wykorzystuje wszystkie możliwe okazje, by się promować. Ale nie on, o nie. On udaje wyniosłego i twierdzi, że mu nie zależy, ale ja wiem lepiej. Wiedzie życie pustelnika, bo jest niepełnosprawny. Och, wspomniałam już o tym? Jest przykuty do wózka inwalidzkiego. Nie wiedziałam o tym, dopóki tam nie pojechałam. Początkowo byłam wstrząśnięta, bo kiedy rozmawiałam z nim przez telefon, nic nie wskazywało, że czegoś mu brakuje, może z wyjątkiem dobrego wychowania. Zupełnie mnie zaskoczył. Ale po chwili... No, nie wiem, tato, to takie dziwne. Teraz, kiedy na niego patrzę, wcale nie widzę tego wózka.

Zamilkła, uderzona prawdą tego, co powiedziała. Nie widziała już fotela

Parkera ani jego kalectwa i nie pamiętała, kiedy przestała je dostrzegać.

– Myślę, że to jego osobowość sprawia, że kalectwo staje się nie tylko nieistotne, lecz wręcz niewidzialne. Używa słów z niezwykłym wycuciem. Nawet jego brutalny – powiedzmy szczerze, ordynarny – język robi wrażenie. I to jego czarne poczucie humoru. Czasami złośliwe. Potrafi być też okropnie zrzędlivy, ale to chyba usprawiedliwione. Każdy w jego położeniu stałby się zrzędą. Przecież jest młody, w kwiecie wieku, więc rozgoryczenie płynące z faktu, iż został przykuty do wózka inwalidzkiego, jest zrozumiałe i wybaczone. Wstydzi się swoich blizn, choć nie powinien. Ludzie, zwłaszcza kobiety, uznałyby go za atrakcyjnego bez względu na to, jak wyglądają jego nogi. Nie jest... przystojny, tak zwyczajnie, ale... ma jakiś zwierzęcy magnetyzm, tak to chyba można nazwać. Czuje się promieniującą z niego energią nawet, kiedy jest nieruchomy. Gdy zaczyna mówić, tonie się w jego oczach. Intensywność spojrzenia sprawia, że kalectwo przestaje się liczyć. Ale nie myśl, że jest niesprawny. Jest bardzo silny, naprawdę. Jego ręce...

Jego ręce. Którymi ujął jej głowę podczas pocałunku. Który mi unieruchomił jej biodra i przytrzymał obok swojego wózka-Te ręce potrafiły być niewiarygodnie silne i władcze. Ale czasami, jak wtedy, gdy wyjął listek z jej włosów, stawały się lekkie i precyzyjne, nawet figlarne.

Kiedy pokazała mu na dłoni muszelkę z plaży, przesunął palcem po jej delikatnych zwojach, ostrożnie, jakby bał się ją zmiażdżyć. Żadna kobieta nie musiałaby się obawiać jego dotyku.

– To najbardziej złożona osobowość, jaką znam – szepnęła. – Wyjątkowy talent. – Przed oczami stanęła jej twarz Parkera. Usłyszała własny głos, mówiący: – I wyjątkowy gniew. Wielki gniew. To się czuje w jego tekstach. Nawet kiedy jest spokojny i żartuje z Mikiem, ten gniew jest ciągle wyczuwalny. W jego uśmiechu jest coś niepokojącego. Odrobina okrucieństwa, a to dziwne, bo nie sądzę, by mógł być okrutny... gdyby nie ten wieczny gniew. Nie opuszcza go, czai się tuż pod powierzchnią. Jest takie miejsce w jego powieści, kiedy opisuje gniew Roarka na Todda. Porównuje go do węża, który prześlizguje się przez nieruchomą, ciemną wodę, nigdy nie wypływa na powierzchnię, nie zdradza swojej obecności, lecz jest ciągle obecny, bezszelestny, zły i śmiertelnie niebezpieczny, gotów zabić ich obu. Być może ten gniew to reakcja na kalectwo. Ale wyczuwam, że jest coś jeszcze... coś, czego nie znam, co przegapiłam, jakby jakaś tajemnica, która jeszcze nie ujrzała światła dziennego.

Roześmiała się cicho.

– Nie wiem, co by to mogło być. Zaskoczył mnie już tyle razy. Nie zawsze było to przyjemne. – Upiła łyk wina i wzruszyła ramionami bezradnie. – Nie potrafię lepiej odpowiedzieć na twoje pytanie.

Daniel przyglądał się jej przez chwilę w zamyśleniu, nabijając fajkę. Rzadko ją zapalał. Lubił sam rytuał. Dzięki niemu miał zajęcie dla rąk.

Wreszcie odezwał się cichym, spokojnym głosem.

– Prawdę mówiąc, pytałem o Noaha.

Maris oblała się gorącym rumieńcem wstydu. Od pięciu minut trajkotała na temat Parkera.

– Och... och. oczywiście – wyjąkała. – Tak, on... Nie powiedziałabym, że jestem smutna przez Noaha, ale zdenerwowało mnie jego spotkanie z WorldView. A jeszcze bardziej to, że mnie o nim nie poinformował.

Daniel odłożył fajkę i sięgnął po szklanke. Przyjrzał się jej bursztynowej zawartości.

– Czy Noah wspomniał, że spotkał się z Howardem tego samego dnia, gdy Howard popełnił samobójstwo?

Pytanie zabrzmiało tak, że Maris poczuła ściskanie w gardle. To nie była zwykła uwaga.

– Wspomniał.

– Howard odebrał sobie życie parę godzin po tym spotkaniu.

Maris straciła ochotę na wino. Odstawiła kryształowy kieliszek na stolik i wytarła dłonie, mokre od kieliszka... lub potu.

– W jakiej sprawie się spotkali?

– Noah utrzymuje, że miał podpisać ostateczną wersję kontraktu z jednym z zagranicznych właścicieli licencji.

– A... – Odchrząknęła i zaczęła jeszcze raz. – A ty w to nie wierzysz?

– Nie mam podstaw, żeby nie wierzyć. Choć... – Maris wstrzymała oddech. – Sekretarka Howarda powiedziała, że spotkanie z Noahem było ostatnim, jakie miał wyznaczone na ten dzień. Kiedy wyszedł, nie był sobą.

– Jak to?

– Był bardzo zdenerwowany. Jej dokładne słowa brzmią: „wyraźnie wstrząśnięty”. – Daniel pociągnął łyk whisky. – Oczywiście, jedno może nie mieć nic wspólnego z drugim. Howard mógł się zdenerwować czymkolwiek, jakąś sprawą osobistą, niemającą związku z wydawnictwem i Noahem.

Ale widziała, że ojciec w to nie wierzy. Gdyby wierzył, w ogóle by o tym nie rozmawiali.

– Tato, chyba nie myślisz...

– Dobrze. Widzę, że zaczęliście beze mnie. – Noah otworzył podwójne drzwi i wszedł tanecznym krokiem do gabinetu. – Wybacz, kochanie, że znowu zostawiłem

cię samą. – Pochylił się i pocałował Maris, potem oblizał wargi. – Dobre wino.

– Bardzo. – Wstała i podeszła do barku, starając się ukryć przed nimi i sobą samą, że kolana się pod nią uginają. – Należę ci.

– Dzięki, ale wolałbym to, co pije Daniel. Tylko z lodem. To był ciężki dzień.

Noah uścisnął dłoń teściowi, usiadł obok Maris i objął ją ramieniem. Podała mu duży kieliszek.

– Na zdrowie.

Pociągnął łyk alkoholu.

– Maxine wysłała mnie z wiadomością, że kolację poda za dziesięć minut.

– Mam nadzieję, że pieczeń nie będzie tak wyschnięta jak ostatnio – burknął Daniel.

– Jej pieczeń nigdy nie jest sucha – odparła Maris, zastanawiając się jednocześnie, jak to możliwe, że rozmawiają o czymś tak trywialnym, skoro przed sekundą tematem rozmowy było tajemnicze samobójstwo człowieka.

– Wyschnięta czy nie, zniszczę ją – zapowiedział Noah. – Umieram z głodu.

Jedno może nie mieć nic wspólnego z drugim.

Chwyciła się kurczowo słów ojca, rozpaczliwie pragnąc w nie uwierzyć.

Przecież rozmawiali o Noahu. Jej mężu. Człowieku, w którym się zakochała, którego nadal kochała. Noah. Mężczyzna, z którym dzieliła łóżko. Z którym chciała mieć dzieci.

Położyła dłoń na jego udzie, a on, nie przerywając rozmowy z Danielem, nakrył ją swoją i uścisnął czule. Roztargniony, mężowski, krzepiący gest.

Kolacja była przepyszna, a pieczeń spełniła nawet wymagania Maxine. Ale kiedy na stole pojawiły się cytrynowe tarty. Daniel zaczął ziewać. Natychmiast po zakończeniu posiłku przeprosił Maris i Noaha.

– Zostańcie, wypijcie kawę – powiedział, wstając. – Ja was już pożegnam. Muszę wstać wcześniej, żeby zdążyć na pogrzeb Howarda. Nie powiem, żebym czekał na to z niecierpliwością.

– Ja też już idę, tato. Ten dzień był długi i męczący.

Wychodząc z jadalni, Maris odciągnęła Noaha na bok. Położyła dłonie na jego piersi, wspięła się na palce i pocałowała go czule w usta.

– Pójdę do domu pierwsza.

Objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

– Myślałem, że mamy plany na ten wieczór.

– Mamy. Ale chcę cię poprosić o przysługę. Zechciałbyś tu zostać i pomóc tacie się położyć? Wiem, że to nie twój obowiązek...

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Robi się drażliwy na punkcie swojej niestabilności, rozmakaliśmy o tym przed twoim przyjściem. Ale gdybyś wymyślił jakiś pretekst, żeby pójść z nim na górę, nie przyjdzie mu do głowy, że go ubezpieczasz. Będę ci bardzo wdzięczna.

– Zrobione, kochanie. A potem pójdę twoim śladem.

Gdy wychodzili z pokoju, udała, że przypomniała sobie o starym notesiku z adresami, zostawionym w sypialni na drugim piętrze.

– Muszę go poszukać. Nie pamiętam, gdzie jest.

Noah zaproponował, że go znajdzie. Nie była pewna, czy Daniel uwierzył w ich intrygę, ale nie protestował.

Powiedzieli sobie dobranoc. Daniel przytulił ją mocno. Odsunął ją od siebie i spojrzał baczenie w jej oczy, jakby chciał rozszyfrować dręczące ją myśli, które przed nim ukrywała.

– Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o tej nowej książce i jej skomplikowanym autorze.

Przypomniała sobie, jak zaczęła się rozwodzić nad Parkerem, i znowu oblała się rumieńcem.

– Zawsze cenię twoje rady. Jutro wyślę ci przez kuriera kopię maszynopisu. Spotkamy się w tym tygodniu i wtedy porozmawiamy.

Uścisnął jej dłoń, tak czule i mocno, że zapragnęła usiąść mu na kolanach, tak jak kiedyś, gdy była mała i szukała pociechy i zapewnienia, że wszystko będzie dobrze, że jej zmartwienia są błahie i że nie ma powodu się bać.

Niestety, nie mogła tego zrobić. Wyrosła już z tego, a jej troski były zmartwieniami kobiety, nie dziecka. Nie mogła się nimi dzielić z ojcem.

Daniel odsunął się na bok, Noah zajął jego miejsce i wziął ją w ramiona.

– Daniel wygląda dziś trochę niewyraźnie – szepnął. – Kiedy już się położę, wypiję z nim drinka do poduszki.

– Dobrze. Ale nie zostawaj za długo. Będę czekać.

Nie poszła prosto do domu. Wcale nie zamierzała tego robić. Czowała się trochę winna, bo wykorzystwała ojca jako przynętę, ale wyrzuty sumienia nie dokuczały jej długo. Nigdy by ich nie oszukała, gdyby nie musiała się pozbyć dręczących wątpliwości, które nie dawały jej spokoju.

Pojechała taksówką do centrum miasta, do mieszkania Noaha w Chelsea. Gdy stanęła pod jego drzwiami, serce biło jej mocno, i to nie tylko z powodu marszu po schodach. Bała się tego, co zobaczy.

Otworzyła drzwi kluczem, który nosiła przy sobie od czasów przyjęcia niespodzianki. Znalazła włącznik światła. Klimatyzacja mruczała cicho, ale poza tym w mieszkaniu panowała cisza. Poduszki na sofie wyglądały, jakby ktoś je przed chwilą uklepał.

Przeszła do kuchni, spojrzała w idealnie suchy zlew. W zmywarce nie było talerzy, nawet jednej szklanki. Kosz na śmieci pod zlewem był pusty, foliowa torba nieskalana.

Czyżby Noah zatrudnił sprzątaczkę? Nie wspominał o tym, ale chyba nie musiał.

Wróciła do salonu i ruszyła do pokoju służącego do pracy. Zatrzymała się z ręką na klamce, zmówiła modlitwę, choć nie wiedziała, o co właściwie się modli. Otworzyła drzwi.

Jednym spojrzeniem ogarnęła wnętrze i oparła się bezsilnie o framugę. Pokój wyglądał dokładnie tak, jak tamtej nocy, nic nie zmieniło miejsca. W koszu na śmieci nie leżały zmięte kartki, nie było encyklopedii z założonymi stronami, notatek przyklejonych do ekranu komputera czy nagryzmołonych w notesach. Wiedziała, jak wygląda miejsce pracy pisarza. Biurko Parkera było wystarczającym powodem, by poddać go wieloletniej terapii psychoterapeutycznej. Piętrzyły się na nim stosy notatek poplamionych kawą, ogryzki czerwonych ołówków, notesy pełne uwag, tabelki i gryzmoły, szufladki katalogowe, w których kartki miały wyświechtane, pozaginane brzegi, chwiejne piramidy materiałów źródłowych oraz spinacze do papieru, powyginane podczas długich rozmyślań.

A jednak gdyby ktoś ośmielił się dotknąć lub przesunąć cokolwiek na biurku Parkera, zginąłby marnie. Parker doskonale wiedział, gdzie co leży, i życzył sobie, żeby nadal tam leżało. Mike miał zakaz zbliżania się do biurka, jakby chaos dodawał Parkerowi natchnienia.

Na biurku Noaha panował idealny porządek. A po uważniejszym przyjrzeniu się Maris odkryła, że na klawiaturze leży cienka warstwa kurzu. Nikt na niej nie pisał.

Serce już w niej nie łomotało. Ciężko w piersi jak kamień, gdy wyłączyła światło i wyszła z mieszkania. Zamknęła drzwi na klucz, choć nie miała pojęcia,

dlaczego zawraca sobie tym głowę. W środku nie było absolutnie niczego, co miałyby dla niej jakąś wartość.

Wyszła z budynku, zatopiona w myślach. Szła ciężko; przytłaczał ją strach przed nieuniknioną konfrontacją z Noahem. Wróci od ojca, spodziewając się, że słodka żoneczka czeka na niego w domu, gotowa się z nim kochać.

Z premedytacją stworzyła takie wrażenie.

Stworzyła wrażenie, że jest kobietką równie łatwą do urabiania jak ciepły wosk, ślepo wierzącą mężowi, niepodejrzewającą niczego – a on dał się nabrać, bo do niedawna taka właśnie była.

Przyjdzie do domu, myśląc, że ich sprzeczka o WorldView jest epizodem puszczonego w niepamięć, że Maris nigdy nie zakwestionuje powodów jego spotkania z Howardem Bancroftem że nie ma powodu mu nie wierzyć, gdy wmawiał jej, że znowu zaczął pisać.

Łagodna, potulna, łatwowierna Maris. Głupia Maris. Tak o niej myślał.

Ale się pomylił.

Wychodząc na ulicę, dostrzegła pasażera, wysiadającego z taksówki o pół ulicy dalej. Nie spodziewała się tak pomyślnego trafu: uniosła rękę, by wezwać kierowcę.

Taksówkarz odebrał zapłatę i ruszył w jej stronę; ale ona nie patrzyła już na niego. Wpatrywała się w mężczyznę, który wbiegł lekko po schodach innego budynku, tak pewnie, jakby mieszkał tu od dawna.

Uświadomiła sobie, że nadal stoi z podniesioną ręką; powoli ją opuściła. Dała znak taksówkarzowi, żeby jechał dalej. Ruszyła szybkim krokiem w stronę budynku, w którym zniknął mężczyzna.

Był równie stary jak ten, z którego wyszła. Żaden strażnik ani dozorca nie pilnował drzwi. Spojrzała na skrzynki pocztowe. Na wszystkich z wyjątkiem jednej widniało nazwisko. Albo jedno mieszkanie było puste... albo mieszkaniec numeru 2A dostawał korespondencję pod inny adres.

Znowu ruszyła po schodach. Kiedy stanęła pod drzwiami lokalu 2A, ogarnął ją zadziwiający spokój. Zapukała energicznie i spojrzała w wizjer, wiedząc, że ktoś prawdopodobnie patrzy na nią zza drzwi.

Drzwi otworzyła Nadia Schuller. Stanęły twarzą w twarz. Nadia była ubrana jak do buduaru, tylko w jedwabny szlafroczek najwyraźniej narzucony w pośpiechu. Nawet nie starała się wyglądać na zaniepokojoną czy zmieszaną. Rozbawiona i zadowolona, odsunęła się na bok i szerzej otworzyła drzwi.

Maris spojrzała ponad jej ramieniem na Noaha, wychodzącego z sąsiedniego pokoju – pewnie z kuchni – z drinkami w obu rękach. Był w samej koszuli. Nie marnował czasu na zdejmowanie krawata.

Zobaczył ją i zatrzymał się w pół kroku.

– Maris.

– Mam nadzieję – odezwała się Nadia – że nie zrobicie tu jakiejś okropnej farsy niczym z filmów z Ronaldem Reaganem.

Maris nie zwróciła na nią uwagi. Nadia się nie liczyła. Jedyne, co sobą reprezentowała, to zły smak Noaha w doborze kochanek. Maris nie miała zamiaru marnować pogardy na Nadię. Skierowała ją w całości na człowieka, którego poślubiła niespełna dwa lata temu.

– Nie przepraszaaj, nie wyjaśniaj, szkoda czasu. Jesteś kłamcą i zdrajcą, i chcę, żebyś zniknął z mojego życia. Już. Natychmiast. Maxine spakuje twoje rzeczy, bo ja ich nie dotknę. Możesz się umówić z portierem, kiedy się po nie pojawisz. W każdym razie pod moją nieobecność. Nie chcę cię więcej widzieć, Noah. Nigdy.

Odwróciła się, zbiegła po schodach, do małego holu, na ulicę. Nie płakała. Miała suche oczy. Nie była zła, smutna ani zrozpaczona. Czuła się dziwnie lekko, jakby wyrwała się na wolność. Nie uważała, że coś zostawia, raczej – że dokądś zmierza.

Nie zaszła daleko.

Noah chwycił jej ramię i brutalnie szarpnął ku sobie. Uśmiechał się, ale był to zimny, przerażający uśmiech.

– No, no. Cwana jesteś.

– Puść! – Chciała mu się wyrwać, ale nie puszczał. Jeszcze mocniej zacisnął palce. – Powiedziałam, żebyś...

– Milcz – syknął i potrząsnął nią tak mocno, że przygryzła sobie język. Krzyknęła z bólu. – Słyszałem, co powiedziałaś. Każde słowo. Odważna mowa. Jestem pod wrażeniem. Ale teraz pozwól, że ci wyjaśnię, jak będzie. Nasze małżeństwo nadal będzie rozkwitać, na moich warunkach. Nie rozkażesz mi zniknąć ze swojego życia. Nie rozkażesz mi odejść. Odejdę, kiedy będę miał ochotę. Mam nadzieję, że to rozumiesz, Maris. Będzie ci się łatwiej żyło.

– Noah, to boli.

Parsknął śmiechem.

– Jeszcze nie wiesz, co to ból. – Ścisnął jej ramię mocno, okrutnie, miażdżąc mięśnie. W oczach poczuła łzy bólu, ale nie krzyknęła.

– Na razie będę pieprzył Nadię i każdą inną, na jaką będę miał ochotę. Możesz sobie patrzeć. I pozostaniesz posłuszną żonką, rozumiemy się? Albo sprawię, że życie twoje i wszystkich, którzy są ci drodzy, stanie się piekłem na ziemi. Wiesz, że to potrafię. I zrobię to. – Jego oczy lśniły złym blaskiem. Przysunął się jeszcze bliżej

i szepnął: – Zrobię to. Przysięgam.

Puścił ją tak nagle, że zatoczyła się do tyłu i wpadła na żelazne ogrodzenie wokół śmietnika, boleśnie uderzając się w ramię.

Noah zostawił ją i ruszył w stronę domu, w którym spotykał się z Nadią.

– Nie czekaj na mnie – rzucił wesoło przez ramię.

Patrzyła za nim, zbyt oszołomiona, by się poruszyć. Patrzyła na puste drzwi jeszcze długo po tym, jak Noah zniknął w środku. Była tak zdumiona, że nie czuła strachu. Niedowierzenie przykuło ją do chodnika. Ramię pulsowało bólem, w ustach czuła smak krwi, ale myślała tylko o tym, co się wydarzyło. Nie do wiary. Noah? Noah jej grozi? Grozi jej z lodowatym spokojem, który nadawał groźbom wiarygodność i sprawiał, że brzmiały przerażająco?

Wreszcie zaczęła dygotać, gwałtownie i histerycznie. Krew ścięła się lodem w jej żyłach. Musiała przyjąć do wiadomości to, co się jej tak nagle objawiło. Jej mężem był ktoś całkiem obcy. Mężczyzna, którego znała, nie istniał. Noah tylko odegrał jego rolę. Podszył się pod postać z książki, bo wiedział, że Maris jest nią zauroczona. Grał dobrze, ani razu nie wyszedł z roli. Ani razu. Aż do dziś.

Wstrząśnięta, zdała sobie sprawę, że właśnie dziś po raz pierwszy poznała prawdziwego Noaha Reeda.

Zazdrość, Rozdz. 15

Key West, Floryda, 1987 r.

– Roark?

Potart zaspane oczy, chwiejnie celując słuchawką mniej więcej w okolice ucha.

– No?

– Spałeś?

Było wpół do piątej rano. Położył się spać dopiero po trzeciej. Nocny klub, w którym pracował razem z Toddem, zamykano o drugiej. Do jego obowiązków należało zamknąć kasy, a tego nie mógł zrobić przed wyjściem ostatniego klienta. Po całodziennym pisaniu i ośmiogodzinnej pracy w klubie tego, w czym się pogrążył, nie można było nazwać snem, to był letarg.

– Kto mówi?

– *Mary Catherine. Przepraszam, że ci przeszkadzam.*

Dźwignął się z łóżka, trącił bosą stopą pustą puszkę po napoju, która potoczyła się z hałasem po cementowej podłodze aż pod łóżko Todda. Todd mruknął coś w poduszkę.

– Co jest? – spytał Roark szeptem.

– Możesz tu przyjść?

– E... teraz?

Knajpa ze striptizem znajdowała się tylko parę posesji dalej od nocnego klubu, w którym Roark obsługiwał bar, a Todd parkował samochody. Od czasu do czasu, w przerwach, oglądali występy sąsiadek. Zdołali się z nimi zaznajomić na tyle blisko, że mogli wchodzić bez biletu. Ochroniarz wpuszczał ich tylnymi drzwiami, stawali w kulisach. Czasami chodzili obaj, czasem osobno, rzadko mogli zostać dłużej niż piętnaście czy dwadzieścia minut, ale to wystarczyło, żeby rozjaśnić mrok ich życia.

Niezbyt duży budżet zmusił ich do ograniczenia randek. Na szczęście stosunki dobrosąsiedzkie z triem egzotycznych tancerek nie ograniczały się tylko do darmowych wejść na przedstawienia. Pewnego dnia Roark zaproponował, że zabierze samochód Migotki do mechanika na przegląd. To, co mechanik zrobił z silnikiem samochodu, było niczym w porównaniu z tym co Migotka zrobiła z silnikiem Roarka. Jej podziękowania nie miały sobie równych.

Ale ten telefon nie był wezwaniem na randkę, a zresztą ku żalowi Roarka Mary

Catherine nigdy nie okazywała mu swoich względów. Traktowała go jak brata, za to z Toddem flirtowała bezwstydnie i uszczęśliwiła go kilkoma wspólnymi nocami.

– Mógłbyś, Roark? Proszę... Jestem tu sama i... potrzebuję przystęgi.

Serce zabiło mu mocniej.

– Jasne. Już lecę.

– Nic nie mów Toddowi, dobrze?

To trochę ostudziło jego entuzjazm, bo już sobie wyobrażał, jak dokucza Toddowi opowieściami o nocnym wezwaniu od jednej z jego stałych dziewczyn. W sprawach kobiet Todd był cholernie pewny siebie.

Włożył szorty i podkoszulek, wsunął stopy w sandały i wyszedł, nie budząc Todda. Przeskoczył cuchnące bagno wokół budynku, ruszył po znanej mu już i wydeptanej ścieżce do domu dziewczyn. Wbiegł po dwa schodki i stanął pod drzwiami nieco zdyszany. Mary Catherine otworzyła, zanim zdążył zapukać.

– Wypatrywałam cię przez okno.

Wszedł, starając się nie zdradzić, jak bardzo się zawiódł na jej widok. W niczym nie przypominała olśniewającej piękności, która wyłaniała się z fałd habitu i stawała w świetle reflektorów i w promiennym blasku swojej nagości.

Twarz miała nietkniętą makijażem, oczy i nos czerwone, jakby od płaczu. Długie kędzierzawe włosy związała w niechlujny kucyk. A co najbardziej go rozczarowało, nie była ubrana w ciuchy, jakie nosi się na randce. Miała na sobie bezkształtny, za duży sweter i workowate bokserki.

– Obudziłam cię, prawda?

– Pisałem – skłamał.

– W waszych oknach było ciemno.

– Myślałem o akcji.

– O... – W palcach mięła rąbek swetra. – Przepraszam, że o to proszę, ale...

– Coś się stało?

– Właśnie poroniłam.

Wytrzeszczył na nią oczy jak kretyn.

– Dziecko. – Poruszyła bezradnie ręką. – No, to chyba jeszcze nie było prawdziwe dziecko, tylko, no wiesz... W każdym razie potrzebuję paru rzeczy, a nie czuję się za dobrze, więc może będziesz taki miły i pójdziesz do całodobowego sklepu?

Przetknął kulę do kręgli, która utknęła mu w gardle, nieświadomie oblizał wargi.

– E... pewnie. Chętnie.

– Będę ci bardzo wdzięczna.

– Nie ma sprawy, ale... jak się czujesz? Może trzeba wezwać lekarza albo co? Mam cię zawieźć do szpitala? Żeby ci... e, żeby cię zbadali?

– Nie, wszystko w porządku. – Odetchnęła głęboko, rozdygotana. – To nie jest pierwszy raz.

Przesunął dłoń po ustach i brodzie.

– Chyba nie zrobiłaś nic głupiego, co? Nie doprowadziłaś do tego? Wiesz, celowo.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się słabo.

– Nie. Żadnych takich. To się po prostu stało. Naturalny wypadek. Za pierwszym razem, tak. Poszłam do kliniki i kazałam usunąć. Ale tym razem wyszło samo. Już w pracy źle się czułam. Wiesz, miałam skurcze.

Pokiwał głową ze współczuciem, choć równie dobrze mogłaby mówić o rzeźbach z lodu. Zresztą o rzeźbach z lodu wiedział pewnie więcej niż o tym.

– Miałam iść z innymi dziewczynami na prywatne przyjęcie, ale wyglądało na to, że trzeba będzie zostać na całą noc, więc się wymówiłam, wróciłam do domu i od razu się położyłam. Obudziłam się godzinę temu i wszędzie... był nieporządek. – Wzruszyła ramionami. – Nie będzie dzidziusia.

W jej oczach zalśniły łzy, ale szybko się odwróciła, sięgnęła po karteczkę i kilka złożonych banknotów.

– To szczegółowy spis. Nazwy i rozmiary. Pomyślałam, że sam nie zgadniesz, co kupić.

– Tu masz świętą rację – powiedział, siląc się na głupkowatą wesołość, Poniósł żalostną klęskę. – Powinno wystarczyć.

Wziął listę i pieniądze.

– Coś jeszcze?

– Chyba zapisałam wszystko. Zostawię drzwi otwarte, więc nie musisz pukać. – Skinął głową i odwrócił się do drzwi, ale wzięła go za ramię i odwróciła ku sobie. – Dziękuję ci. Naprawdę. Dziękuję.

Poklepał jej drobną dłoń.

– Idź się położyć. Wrócę za parę minut.

Gdy wrócił, leżała na sofie; ramieniem zastaniała oczy, drugą rękę położyła na brzuchu. Podniosła ramię i uśmiechnęła się blado. Wszedł do pokoju na paluszkach.

– Masz wszystko?

– Chyba tak.

– Pieniędzy wystarczyło?

– O to się nie martw. Dlaczego nie leżysz w łóżku?

– No, wiesz, tak jak mówiłam... narobiłam bałaganu.

Drzwi na końcu krótkiego korytarza były uchylone. Roark postawił torbę z zakupami na podłodze koło sofy.

– Masz, tu jest wszystko.

Ruszył w stronę sypialni.

– Roark, nie... – zaprotestowała słabo, siadając.

– Zajmij się sobą, Mary Catherine. Ja zajmę się tym.

Zrobił to, ale nie sprawiło mu to przyjemności.

Przede wszystkim zachowanie spokoju okazało się o wiele trudniejsze, niż się spodziewał. Nie mógł się pozbyć myśli, że ten „bałagan” oznacza ludzkie życie, rozpoczęte dokładnie tak jak życie każdego człowieka. Z nieznanych przyczyn postanowiło dać sobie spokój, zwinąć interes i spadać. Podobno poronienia to utajone błogosławieństwa, naturalny sposób pozbycia się niedoskonałości. Mimo to świadomość, że dzisiejszej nocy to życie dobiegło końca, była przygnębiająca jak wszyscy diabli.

Ciąża musiała być zaawansowana, bo znalazł więcej krwawej substancji, niż się spodziewał. Najstaranniej, jak potrafił, zdjął pościel, w tym także pokrycie materaca, i wepchnął ją do foliowej torby na śmieci, którą znalazł w spiżarni. Zawiązał ją mocno i zaniósł do śmietnika za budynkiem.

Gdy wrócił, usłyszał szum prysznic w łazience. Znalazł w szafie w przedpokoju świeżą pościel i postawił łóżko. Właśnie je wygładzał, kiedy na progu stanęła Mary Catherine. Była zaróżowiona, jakby wyszorowała się szczotką, i miała na sobie inny rozciągnięty podkoszulek i workowate bokserki. Zaprosił ją zamaszystym gestem na łóżko.

– Wskakuj.

Położyła się, wzdychając z ulgą.

- *Wszystko w porządku?*
- *Jasne.*
- *Wzięłaś jakiś środek przeciwbólowy?*
- *Trzy. Pomyślałam, że nie zaszkodzą.*
- *Napijesz się herbaty?*
- *Już dość zrobiłeś.*
- *Napijesz się herbaty?*

Podniosła na niego oczy.

- *Naprawdę chcesz mi zrobić herbaty?*
- *Masz tu jakiś czajnik?*
- *Nie sądzę.*
- *A mikrofalówkę?*
- *No pewnie.*

Pięć minut później był z powrotem, z parującym kubkiem herbaty, pudełkiem słodzika i tyżeczką.

- *Nie wiedziałem, czy pijesz słodką.*
- *Poproszę dwie.*

Spojrzał na telewizor, mieszając herbatę. Dźwięk był wyłączony, ale Mary Catherine wpatrywała się w ekran.

- Uwielbiam to – powiedziała. – Kupiłam kasetę i obejrzałam chyba z tysiąc razy. Audrey Hepburn i Cary Grant.

- Złota para. Uważaj, gorące – ostrzegł, podając kubek. Odsunęła się, by miał gdzie usiąść, więc usiadł, opierając się o ścianę. – O co tu chodzi?

- Ona jest piękna i ma kłopoty. On jest przystojny i ją ratuje. Ona się boi. On jest dzielny. Pod koniec zakochują się w sobie.

Oglądali w milczeniu film aż do napisów końcowych. Wtedy Mary Catherine wyłączyła telewizor i oddała mu pusty kubek.

- *Dzięki, Roark, to mi pomogło. Nikt dotąd nie zrobił mi herbaty.*
- *Mama zawsze mi robiła, kiedy byłem chory.*

- Była dla ciebie miła?
- Bardzo. Miałem szczęście.
- No. Moja stara wyrzuciła mnie z domu, kiedy miałam piętnaście lat.
- Dlaczego?
- Przyłapała swojego faceta, jak się do mnie dobierał.
- Dlaczego nie wyrzuciła jego?

Mary Catherine roześmiała się, jakby powiedział coś śmiesznego, choć wcale nie zamierzał.

- Miły z ciebie chłopiec, Roark. - Skrzywił się, więc dodała: - To miał być komplement.

- No to dzięki. Ale wolałbym być uwodzicielski i niebezpieczny.

Jej uśmiech zbladł, oczy zgasty i spojrzały jakby do wewnątrz.

- Nie, to Todd.

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć, więc doszedł do wniosku, że najlepiej nie mówić nic. Klepnął się po udach i wstał.

- No, muszę już...

- Poczekaj. Byłeś słodki. Naprawdę, cholernie słodki. Nie znoszę kobiet, wokół których trzeba skakać, ale dziś nie chcę być sama. Zostaniesz? Dopóki nie zasnę?

- Dobrze. Zostanę.

- Połóż się.

Niezdarnie wyciągnął się obok niej. Przytuliła się do niego, oparła głowę na jego ramieniu. Przytulił ją do siebie.

- Może jutro wezwiesz doktora? - zaproponował.

- Może. Pewnie będzie chciał mi odessać do końca. Ble.

Roark zgodził się z nią. Miał bardzo blade pojęcie o badaniach, które trzeba będzie zrobić, i życzył sobie, żeby takie pozostało.

- Nie brałaś pigułki?

- Nie. Od hormonów robię się gruba - wyjaśniła. - A on zapomniał kondomów. Przynajmniej tak mi powiedział. Głupia byłam, że mu pozwoliłam.

- Pewnie. Cięża to jeszcze nie najgorsze, co mogło się stać.

– Wiem, ale on bardzo uważa, żeby się nie zarazić i tak dalej.

– Więc go znałaś? Dobrze?

– Roark, nie pytaj, zgoda?

– Zgoda.

– Pomówmy o czymś innym.

Ale zamilkli. Milczeli przez długi czas. Leżeli nieruchomo, tylko on przeczesywał palcami jej włosy, rozłożone wachlarzem na poduszce, schnące po prysznicu.

– Tak naprawdę nie nazywam się Mary Catherine – wyznała cicho.

– Nie?

– Tylko Sheila.

– Ładnie.

– Mary Catherine jestem tylko w tym numerze z zakonnica.

– Domyśliłem się.

– Tak myślałam. Jesteś mądry. A ja... ja rzuciłam szkołę, kiedy musiałam odejść z domu, w połowie liceum. Jestem głupia.

– Nie sądzę.

– Owszem. Kiedy klienci będą już mieli dość kawałka z zakonnica, wymyślę coś innego i pewnie zmienię imię, żeby pasowało. Powiedzieć ci?

– Pewnie.

– Mogłabym być syreną. Wiesz, miałabym taki ogon, cały w perłach i cekinach, i długie falujące włosy aż do tyłka. Albo nawet do kolan.

– Będziesz wyglądać bosko. Mogłabyś się nazywać Lorelei.

– Lorelei?

– Jak ta syrena. Z mitologii. – Patrzyła na niego bez zrozumienia. – Miała przecudny głos – wyjaśnił. – Śpiewem wabiła żeglarzy na skały, gdzie ich statki się rozbiły.

– Bez jaj, naprawdę? Muszę zapamiętać.

– Zapiszę ci, żebyś nie zapomniała.

Oparła się na łokciu, objęła go spojrzeniem pełnym niekłamanego podziwu.

– Widzisz? Jesteś kurewsko mądry.

Roześmiał się, ona także się roześmiała, a potem przez długą chwilę przyglądali się sobie w milczeniu.

– Możesz się nimi pobawić, jeśli chcesz – powiedziała.

Jego spojrzenie natychmiast powędrowało w dół. Uniosta podkoszulkę, odstawiając piersi. Obiekt jego fantazji, dotąd podziwiany z daleka, znajdował się w zasięgu jego wzroku, palców, ust. Dała mu je. Prezent.

Ale kiedy wyciągnął rękę, zakrył je podkoszulkiem.

– O co chodzi? – spytała. – Dziś nie mogę się pieprzyć, ale mogę ci obciągnąć.

– To nie jest konieczne.

– Myślisz, że robię to tylko dla ciebie? Akurat. – Sięgnęła ku lego kroczu, ujęła penisa. – Zastanawiałam się, co tam masz. Migotka kłamie jak ryża suka, ale wiem, że o tobie powiedziała prawdę...

Zacisnęła palce; Roark wstrzymał oddech. Krew popędziła ku uciśniętemu miejscu.

Ale odsunął od siebie jej rękę.

– To by było wykorzystanie sytuacji.

– I co z tego?

– Nie czułbym się w porządku.

– Jezu, faceci na ogół się o to zabijają. Jesteś prawdziwy?

– Jestem, jestem. Jutro będę się za to przeklinał.

– No, zawsze możesz się brandzlować pod prysznicem, kiedy nas podglądasz. – Zachichotała na widok jego osłupienia. – Aż tak tępe nie jesteście, Roark. Niby po co tak często bierzecie prysznic? Akurat wtedy, kiedy się opalamy?

Uśmiechnęła się, opadła na łóżko i znowu się do niego przytuliła.

– Co prawda, dziś nie pokazałabym ci, co potrafię. Gównianie się czuję, wiesz?

– Śpij, Sheila. Kiedy się obudzisz, już będzie po wszystkim.

– Jesteś słodki.

– Ty też.

Pogłaskał ją po plecach, pogładził włosy i trzymał ją w objęciach jeszcze długo

po tym, jak zapadła w sen. Wrócił do domu rano. Todd już nie spał, stukał w klawisze.

- Gdzieś ty był?

- Chodziłem po plaży.

Todd łypnął na niego podejrzliwie.

- Sam.

- Co to za jedna?

- Sam - powtórzył Roark wrogo.

- Ha. - Todd wrócił do pisania, rzucając tylko jedno zdanie: - Kawa gotowa, ale zużyłem całe mleko.

Rozdział dwudziesty

Noah postanowił, że da Maris tydzień na uspokojenie. Doszedł do wniosku, że kobiecie, która przyłapała męża na zdradzie, należy się siedmiodniowy okres ochronny na lizanie ran. To wystarczająco dużo czasu na odbudowanie ego. Bóg stworzył w siedem dni cały kosmos, więc żona z pewnością może się oswoić z niewiernością męża.

Ten termin zbiegał się z datą, którą narzucił mu Blume. Przy ich najbliższym spotkaniu Noah musi go zapewnić, że wszystko idzie gładko, zgodnie z planem. Będzie miło, jeśli przedtem uda mu się załagodzić sprawę z Maris.

Dla Blume'a był cenny tylko jako członek rodziny Matherlych. Odsunięcie od Maris i Daniela może zaszkodzić jego kontraktowi z WorldView. Blume może się wycofać na wieść o najdrobniejszym nieporozumieniu z nimi. Tak, zdecydowanie musi się pogodzić z Maris, zanim dojdzie do tego ważnego spotkania.

Jeśli Maris nie spotka się z nim w ciągu tygodnia, postanowił paść jej do stóp i błagać o przebaczenie. Wolałby się udławić, niż wypowiedzieć słowa skruchy, ale ostateczna nagroda jest warta kilku minut upokorzenia. A tymczasem wynajął sobie apartament w Plaża. Da jej spokój, da mnóstwo czasu na wysapanie złości... i zastanowienie się nad konsekwencjami usunięcia go z jej życia.

Nie zrobisz tego, kochanie. Miał nadzieję, że wypowiedział się dostatecznie jasno.

Niestety, nazajutrz po paskudnej scenie w mieszkaniu Nadii musiał spotkać się z Maris. Nieobecność na pogrzebie Howarda Bancrofta nie wchodziła w grę. Tuż po przyjeździe zobaczył Daniela, stojącego samotnie na schodach synagogi, i natychmiast się zorientował, że jego teść nie ma pojęcia, co się stało poprzedniej nocy. Daniel powitał go serdecznie, jakby nigdy nic.

Uścisnęli sobie poważnie dłonie. Daniel spytał, gdzie jest Maris.

– Na pewno w drodze. Musiałem wyjść pierwszy, żeby jeszcze wpaść do wydawnictwa.

Staruszek kupił to kłamstwo. Dał się zaprowadzić do synagogi. Na zewnątrz zaczął siąpić deszcz.

Maris pojawiła się parę minut później. W nietwarzowej czarnej sukience wyglądała blado i nieefekownie. To nie był kolor dla niej. Nigdy nie lubił jej w czerni. Zauważyła go, stojącego w przedsionku obok Daniela, w papierowej jarmułce na głowie. Po chwili wahania podeszła do nich. Okoliczności nie pozwalały na strojenie fochów. Liczył na jej dyskrecję, tak jak liczył, że nie powie Danielowi o jego romansie z Nadią. Wyjąwszy przesadną dumę, Maris była męcząco

przewidywalna.

Czule objęła Daniela.

– Jak się dziś czujesz, tato?

– To dla nas smutny dzień, choć nie tak, jak dla rodziny Howarda. Wejdziemy?

Ruszyli długim korytarzem. Maris zaaranżowała sytuację tak, by Daniel usiadł na ławce pomiędzy nimi. Wyglądała jak wcielenie spokoju, ale Noah wiedział, iż na pewno zaciska zęby, żeby wytrzymać. Wyobraził sobie, ile musi ją kosztować przebywanie w jego towarzystwie, i omal nie uśmiechnął się z rozbawieniem.

Po nabożeństwie zamieniła z Danielem parę słów, a na jego użytek wymyśliła pretekst, by pojechać do miasta inną taksówką. Nie spotkał jej do końca dnia.

Przez kilka następnych dni nie szukał jej towarzystwa. W trakcie zebrań i konferencji udawała, że wszystko jest w porządku. Nigdy nie okazywali sobie czułości w pracy, może czasem, za zamkniętymi drzwiami jego lub jej gabinetu. W obecności pracowników zawsze zachowywali się oficjalnie. Dlatego teraz nikt nie zauważył chłodu pomiędzy nimi.

Pod jej nieobecność poszedł do ich mieszkania, żeby zabrać parę ubrań. Nie zdziwił się, widząc, że wszystko jest, jak było – Maris nie kazała Maxine spakować jego rzeczy. Nie zdradziłyby sekretu o ich kłótni zaufanej gospodyni ojca. Złe wieści powędrowałyby prosto do Daniela, a Maris chciała mu tego oszczędzić. Nie życzyła sobie, by staruszek martwił się jej małżeńskimi problemami i ich katastrofalnym wpływem na wydawnictwo.

Daniel, nieświadomy niczego, nadal przyjmował telefony Noaha, a Noah nadal składał mu krótkie wizyty popołudniami, by przedyskutować wypadki dnia. Stosunki między nimi pozostały niezachwiane. Maris cierpiała samotnie i w milczeniu – i sama była sobie winna. Nie powinna go traktować tak wyniośle. Powinna się zastanowić, zanim postawiła ultimatum, które zresztą ośmieszyło tylko ją.

Z satysfakcją wyobraził ją sobie, krążącą po pokoju, żalującą bezmyślnego wybuchu i niemającą absolutnie nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Za każdym razem, gdy ją widział, samotną i pogrążoną w cierpieniu, które sama na siebie ściągnęła, uśmiechał się szeroko.

Ale po paru dniach sytuacja zaczęła go męczyć. Nabrał ochoty, by spotkać się z Maris i położyć kres tej dziecinadzie. Mimo to nadal chciał, by męczyła się przez całe siedem dni, zanim się z nią spotka. Z całą pewnością będzie płakać, obrzucać go obelgami i prosić, by jej wytłumaczył, dlaczego skrzywdził ją tak okrutnie, przecież niczym na to nie zasłużyła. A on pozwolił się jej wygadać i wypłakać. Potem ona mu wybaczy. Na pewno.

Wybaczy mu ze względu na starego. Zawsze można było liczyć, że zrobi wszystko, by oszczędzić Danielowi smutku. Wybaczy mu także dlatego, że kobiety

lubią wybaczać, żeby później uprzykrzyć rozgrzeszonemu każdy dzień jego życia. Oczywiście w jego wypadku będzie to wyglądać inaczej, ale podejrzewał, że Maris właśnie tak to zaplanowała. Ze względu na transakcję z WorldView nie zamierzał jej uświadamiać. Na to przyjdzie jeszcze czas.

Tymczasem to chwilowe rozstanie miało nawet swoje plusy. Maris z nim nie rozmawiała, więc nie musiał słuchać jej narzekań.

Nadia była zupełnie inną sprawą. Nieustannie nękała go, żeby się rozwiódł z Maris. Jej nalegania zaczęły go nużyć i doprowadziły do konfliktu między nimi – jak na ironię w ostatnim dniu terminu, jaki dał Maris.

Jedli razem obiad w nieprzyzwoicie drogiej i modnej restauracji w centrum miasta. Towarzyszył im jeden z piszących dla Matherly Press autorów bestsellerów, który miał dać wywiad Nadii. W chwili gdy zamówili aperitify, jeszcze do nich nie dojechał.

Obecni na sali – w dużym stopniu pracownicy wydawnictwa – sądzili, iż oboje rozmawiają uprzejmie o najnowszych trendach rynkowych lub fenomenie science fiction, który wstrząsnął wszystkimi listami bestsellerów. Tymczasem oni rozmawiali o swojej najbliższej przyszłości.

- Wie o nas, po co czekać? Wnieś pozew i skończmy z tym wreszcie.
- Nie porzucę ich, dopóki nie zawrzemy umowy z WorldView.
- Co jedno ma wspólnego z drugim?
- To było niewiarygodnie głupie pytanie.

Nadia znieruchomiała z uśmiechem przyklejonym do ust. W każdym innym miejscu jej temperament doprowadziłby do wybuchu na skalę Wezuwiusza. Tutaj pociągnęła tylko łyk martini, wygładziła serwetkę na kolanach i poprawiła potrójny sznur pereł na szyi, teraz zabarwionej gorącym różem.

- Uważaj – odezwała się cicho. – Nie chcesz chyba mnie rozgniewać?

Tak jak ona, on również się uśmiechał, ale w jego głosie brzmiały ostrzegawcze tony.

- Grozisz mi?
- Taki zimny drań bez serca na pewno wie, kiedy mu się grozi.
- Czy to nie dlatego masz do mnie taką słabość, że jestem zimnym draniem bez serca?

Nadia dostrzegła pisarza, na którego czekali, zbliżającego się do ich stolika w towarzystwie kierownika sali. Posłała mu promienny uśmiech, a do Noaha zwróciła się najcichszym z możliwych szeptów:

– Zrób sobie przysługę i zapamiętaj, że o braku serca mógłbyś się uczyć ode mnie.

Po nudnym spotkaniu odprowadził ją do wyjścia. Czekał na nich samochód z szoferem, ale Nadia uprzejmie podziękowała za propozycję odwiezienia jej do pracy. Uściskał jej rękę – miał nadzieję, że wyglądało to jak przyjazne pożegnanie dwojga kolegów – ale odezwał się tonem, który mogła zrozumieć tylko ona.

– Jeśli wydaje ci się, że ociągam się z rozwodem, to tylko dlatego, że nie chciałbym popełnić błędu, który mógłby nas kosztować tę umowę. Chcę, żebyśmy ją zawarli. Ale w tym celu musimy zdobyć się na poświęcenie. Nie mogę teraz rozwiązać mojego małżeństwa. To nie wchodzi w grę. Chyba to rozumiesz, prawda?

Ku jego niezmiernej uldze uśmiechnęła się i zrobiła stosownie skruszoną minę.

– Oczywiście, że rozumiem. Tylko chciałabym jak najszybciej być z tobą.

– Tak jak ja. A ściślej – dodał, zbliżając się o pół kroku – chciałbym być teraz w tobie.

Zamknęła oczy, pochyliła się lekko ku niemu, potem rozejrzała się dyskretnie, by sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje lub nie podsłuchuje.

– Ty niegrzeczny... Przez ciebie znów jestem rozpalona.

– Więc do szóstej czas szybko ci zleci.

Uściskał jej dłoń i wszedł na tylne siedzenie oczekującego samochodu. Uśmiechnął się do siebie. Cała tajemnica zadowolenia Nadii polegała na zadowoleniu jej żądy. To ona stanowiła podstawę jej dobrego zdania o sobie samej. Cały swój wizerunek zbudowała na tych fundamentach. Jeśli tu była zadowolona, to była zadowolona w ogóle.

Nie lubił tych jej nalegań, ale kłótnia z nią ożywiła go i przygotowała do spotkania z Maris. Taka próba, pomyślał, wychodząc z windy i otwierając szklane drzwi, prowadzące do gabinetów dyrektorskich.

Skierował się prosto do gabinetu Maris, który okazał się pusty. W drodze powrotnej wpadł na sekretarkę.

– W czym mogę pomóc?

– Szukam Maris.

Jej oczy, powiększone przez grube szkła okularów, spojrzały na niego ze zdziwieniem.

– Dziś jej nie ma. Jak pan wie, pojechała do Georgii.

Znowu do Georgii? Kiedy? Psiakrew! Tego zupełnie nie uwzględnił w planach.

Musiał dołożyć wysiłku, by nie zdradzić się przed sekretarką.

– Tak, tak, wiem, że dziś miała wyjechać, ale powiedziała, że jeszcze tu wpadnie w drodze na lotnisko.

– Tak? Mnie powiedziała co innego.

Zmusił się do uśmiechu. Miał nadzieję, że wyglądał naturalnie.

– Zadzwoń na jej komórkę.

Dzwonił co najmniej dziesięć razy, ale łączył się tylko z pocztą głosową. Rzucił przekleństwa pod adresem Maris przez resztę dnia. Gdyby nagle stanęła mu na drodze, zabiłby ją gołymi rękami.

Akurat teraz zachciało się jej udawać zdradzoną żonę i uciekać! Przecież dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie zniesie żadnych fochów, a jeśli każe jej warować i służyć, to ma warować i służyć! Te jej dasy mogły wszystko popsuć!

A zresztą, niech się wypcha.

Miał dokument przygotowany przez Howarda Bancrofta. Wolałby z niego nie korzystać, chyba że nie będzie miał wyjścia. Od strony prawnej mógł narobić smrodu, a on wolał unikać takich sytuacji. Trzymał go jako polisę ubezpieczeniową, na wszelki wypadek, na czarną godzinę.

Znów pewien siebie tuż po szóstej stanął przed domem Nadii. Miał ochotę na zimnego drinka, chłodny prysznic i gorący, agresywny seks. Pogwizdując, wbiegł po schodach, ale tuż za progiem mieszkania stanął jak wryty.

Młody byczek w obcisłym czarnym podkoszulku i czarnych spodniach wyłonił się z sypialni, zapinając pasek zegarka. Zarzucił na ramię sportową torbę i minął Noaha w drzwiach. Od niechcienia skinął mu głową.

Noah stał nieruchomo jeszcze przez parę minut po odejściu byczka.. Wszystko się w nim gotowało. Czuł taki żar, jakby zmienił się w piec hutniczy, ładnie opakowany w garnitur od Hugo Bossa. Obciągnął mankiety z monogramem, wygładził włosy, wytarł pot znad górnej wargi. Były to gesty wysilone, obliczone na to, by dać zajęcie rękom, które w przeciwnym razie chciały by bić, tłuc, niszczyć cokolwiek, przedmioty lub ludzi. W tej chwili nie czepiał się szczegółów. Kiedy wreszcie zdołał z grubsza odzyskać kontrolę nad sobą, ruszył ku sypialni i delikatnie uchylił drzwi. Otworzyły się bezgłośnie.

Nadia leżała nago na łóżku, pomiędzy wilgotnymi, zmiętymi jedwabnymi prześcieradłami. Włosy miała wilgotne i splątane. Skórę tylko wilgotną.

Na jego widok przeciągnęła się i uśmiechnęła sennie.

– Noah, kochanie... To już szósta? Straciłam poczucie czasu.

Żyły na skroniach tętniły mu boleśnie, ale głos pozostał spokojny.

– Co to za mężczyzna?

– A, poznałeś Frankiego? To mój osobisty trener.

– Co tu robił?

Podniosła się na łokciu i spojrzała na niego złośliwie, z chytrym uśmiechem.

– To było niewiarygodnie głupie pytanie.

* * *

Daniel Matherly skończył ostatnią stronę maszynopisu. Wyrównał kartki i spytał:

– To wszystko, co masz?

Maris przytaknęła.

– Nie dostałam nic więcej, odkąd wróciłam. Dzwoniłam do niego parę razy, żeby go zmotywować, ale rozmawiałam tylko z Mikiem, jego pomocnikiem. Powiedział, że P... autor nie pisze zbyt wiele.

– Ciekawe, dlaczego.

– Jest na mnie obrażony.

– Muza go porzuciła.

– Nie ma w tym nic mistycznego. Jest uparty jak muł. I jak każdego muła, trzeba go poganiać batem. – Wahala się przez chwilę. – Dlatego wracam.

– Naprawdę? Kiedy?

– Prawdę mówiąc, jestem właśnie w drodze na lotnisko.

– Rozumiem.

– Wstąpiłam tylko na chwilę, żeby cię pożegnać i spytać, jak ci się podobało to, co przeczytałeś.

Zwlekała z wyjazdem przez tydzień. Po epizodzie w mieszkaniu Nadii Schuller stało się bardziej niż pewne, że musi wrócić do Georgii i spotkać się z Parkerem. Jej mąż miał romans, a to dawało jej zielone światło na zanalizowanie niejednoznacznego uczucia, jakie połączyło ją z Parkerem. Ale aby być z nim uczciwą – z sobą także – zwlekała z wyjazdem, dopóki nie przyjrzała się swojej decyzji ze wszystkich stron. Nie chciała, żeby ten powrót był odruchową reakcją na

wiele wstrząsających zmian w jej życiu. Nie chciała się zachowywać jak rozeźlona i żądna zemsty żona. Chciała podjąć tę decyzję po kilkudniowym zastanowieniu.

Przez ostatnie siedem dni nie myślała o niczym innym.

Wyjeżdżała wściekła na Parkera, ale prawda wyglądała tak, że nie miała ochoty go zostawić. Teraz mogła się już do tego przyznać. Od chwili odejścia pragnęła znowu być przy nim.

Najpierw męczyły ją wyrzuty sumienia. Była mężatką. Złożyła przysięgę przed ołtarzem, uważała, że ta przysięga wystarczy na całe życie. Wzięła ją sobie do serca. Ale najwyraźniej tamtego dnia przed ołtarzem stała tylko ona. Noah złamał swoją przysięgę. Z tego, co wiedziała, wynikało, że Nadia nie była Pierwszą kobietą, z jaką ją zdradził. Przed ślubem z pewnością nie narzekał na brak przyjaciółek. Całkiem możliwe, że po ślubie także. Z premedytacją postanowił być jej niewierny. Biorąc sobie kochankę, zrezygnował jednak z prawa i przywileju bycia jej mężem.

Ale nawet gdyby nie przyłapała go z Nadią, i tak by go zostawiła. Tej nocy na chodniku w Chelsea Noah obnażył przed nią ohydną, odrażającą i przerażającą stronę swojego charakteru. Nie zamierzała przeżyć ani jednego dnia z mężczyzną, który zagroził jej przemocą tak skutecznie, że mu uwierzyła. Ich małżeństwo należało do przeszłości. Noah Reed należał do przeszłości.

Teraz musiała się zorientować, czy jej przyszłością był Parker Evans.

Nie mogła już dłużej zaprzeczać, że ją pociąga, nie tylko intelektem i talentem, jak się łudziła, lecz i męskością. Po wielokroć marzyła, że znowu go całuje, że jego ręce i usta ją dotykają. Nie wiedziała, czy Parker potrafi się kochać w tradycyjnym sensie tego słowa, ale to nie miało dla niej znaczenia. Chciała go dotykać i żeby on ją dotykał. Chciała się zbliżyć z nim w taki sposób, jaki jest dla niego dostępny. W całym swoim małżeńskim życiu nie czuła takiego pożądania. Odkąd Noah zaczął się do niej zalecać i gdy stał się jej mężem, nawet nie spojrzała na żadnego innego mężczyznę, o żadnym nie myślała w kontekście seksu, przez co jej nagła fascynacja Parkerem była tym bardziej niepokojąca.

Lecąc samolotem do Nowego Jorku, usiłowała sobie wmówić, że te romantyczne porywy to tylko wpływ wyspy i że wszystko minie, kiedy tylko wróci na znany sobie teren. Gdy samolot wylądował na La Guardia, zdołała się już przekonać, że rozdźwięk między nią i Noahem da się załagodzić, że to jedynie rafa, na której zatrzymało się jej małżeństwo, i że to właśnie ze względu na nią pozwoliła się wciągnąć w mgliste rojenia, które się ulotnią w chwili, gdy stanie na stałym gruncie.

Wmówiła sobie, że jeśli zdobędzie się na odrobinę fałszu, uratuje swoją miłość do Noaha i znowu poczuje to uniesienie, które ją przepelniało, gdy szła do ołtarza, wsparta na jego ramieniu.

Co za naiwność!

Teraz aż się wzdragala na myśl, że chciała wziąć na siebie całą odpowiedzialność za niepowodzenie ich małżeństwa. Jak mogła być tak łatwowierna? Czy wszyscy oprócz niej wiedzieli o romansach Noaha? Ludzie, z którymi codziennie się spotykali w pracy... czy wiedzieli? Czy była postacią tragikomiczną-żoną, która dowiaduje się ostatnia? Wszyscy pracownicy myśleli o niej pewnie „biedna Maris”, wiedząc, że jej mąż wykrada się nieustannie na schadzki z kochankami.

Noah miał w gronie ludzi pracujących dla Matherly Press swoich przeciwników, ale miał też i zwolenników, których odbił poprzedniemu pracodawcy. Rozwód z nim nie przedstawiał żadnych trudności w porównaniu z rozłamem w wydawnictwie, co z pewnością musiałyby nastąpić.

A to przypomniało jej o kolejnym progu do pokonania: poinformowaniu Daniela o ich rozstaniu.

Wolałaby to odwlekać w nieskończoność. Dla niego była to nie tylko utrata zięcia, ale i protegowanego. Była pewna, że ojciec zdoła to przeżyć, miał dość sił, ale nie widziała powodu, dla którego miałyby go przedwcześnie niepokoić. Dopóki nie nadejdzie odpowiednia pora, by go o wszystkim poinformować, czekało ją odpowiedzialne zadanie – odgrywanie komedii, w której wszystko działo się tak jak zwykle.

Daniel przyglądał się jej z niepokojącą wnikliwością. Z trudem powstrzymywała się przed nerwowymi ruchami.

– No to co myślisz, tato?

– O książce? Że jest bardzo dobra. Jako wydawca poganiałbym autora ze wszystkich sił, żeby ją skończył.

– To zmykam. – Wstała i zaczęła wkładać prochowiec.

– Co o tym myśli Noah?

– Jeszcze jej nie czytał.

– Nie mówiłem o książce. Co myśli o tym, że chcesz spędzić więcej czasu z tym pisarzem?

– Nie potrzebuję jego zezwolenia. – Daniel drgnął, uderzony opryskliwością jej głosu. Czym prędzej rzuciła się naprawiać szkody. – Przepraszam, tato. Nie chciałam na ciebie warknąć.

– Nie gniewam się. Nie chciałem się wtrącać w twoje życie osobiste. Tylko...

– Nie przerywaj. Zabrnąłeś już za daleko.

– Tylko pamiętam czasy, gdy byłaś zakochana w książce, a potem zakochałaś się w jej autorze.

Uśmiechnęła się blado.

– Tak to widzisz? Że zadurzyłam się jak pensjonarka?

– Nie po raz pierwszy.

– Teraz jestem starsza i mądrzejsza. – Powstrzymała się, zanim powiedziała: „Nauczyłam się na własnych błędach”. – Ta książka i jej autor nie mają nic wspólnego z Noahem i naszym małżeństwem. Zupełnie nic.

Tak wyglądała prawda. Jej małżeństwo i tak by się skończyło, nawet gdyby nigdy więcej nie miała zobaczyć Parkera Evansa. Skończyłoby się, ponieważ mąż ją okłamywał, a małżeństwo okazało się fikcją.

– Więc Noah zgodził się na twój wyjazd?

Jej ojciec bardzo liczył się z uczuciami Noaha. Tylko dlatego, że nie znał całej prawdy. Miała ochotę podwinąć rękawy i pokazać mu siniaki, które nie zbladły nawet po tygodniu. Mogłaby mu opowiedzieć, jak pluła krwią po tym, gdy przygryzła sobie język. Albo powtórzyć groźby Noaha, naśladowując ton, który dodawał im nuty prawdziwego zagrożenia. Ojciec byłby z pewnością równie wstrząśnięty jak ona. Na pewno by się nie zawahał, by ukarać Noaha.

Dlatego właśnie nie mogła mu o tym powiedzieć, chciała odwlec tę chwilę do czasu, gdy wszystko sobie poukłada, gdy przestanie uciekać, gdy zdoła opracować plan dla Matherly Press i dla siebie. Dopóki sama sobie nie odpowie na pewne pytania, nie zamierzała niepokoić ojca.

Teraz spojrzała mu prosto w oczy i po raz pierwszy w życiu okłamała go z zimną krwią:

– Tak. Zgodził się.

Daniel ujął jej twarz w dłonie, pocałował ją w oba policzki.

– O której wylatujesz?

– Ledwie zdążę. – Uścisnęła go mocno. Mimo wszystko zżerały ją wyrzuty sumienia. Zacisnęła powieki: to dziwne, ale czuła, że zbiera się jej na płacz. – Tato, wiesz... jesteś moim najlepszym przyjacielem. Bardzo cię kocham.

– A ja kocham ciebie. – Odsunął ją od siebie, by spojrzeć jej w twarz. – Bardziej, niż myślisz.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Drzwi otworzył jej Parker. Przez parę chwil patrzył na nią pustym wzrokiem. Wreszcie postanowił się odezwać.

– Zostawiłaś coś?

– Jakiś ty miły.

– Dziękuję.

– Zaprosisz mnie do środka?

Zawahał się, jakby musiał to przemyśleć, ale cofnął się z wózkiem, robiąc jej przejście.

– Gdzie Mike?

– Popłynął na drugi brzeg po zakupy, papier toaletowy, takie tam.

– I zostawił cię samego?

– Nie jestem bezradny – warknął. – Mieszkałem tu samotnie, zanim Mike do mnie dołączył. Poza tym nie jestem sam.

Tu jest kobieta.

Zdała sobie sprawę, że wszystko na to wskazuje. Mike zniknął. Parker miał rozpiętą koszulę, a włosy bardziej potargane niż zwykle.

– Przepraszam... Powinnam zadzwonić...

– Aha, powinnaś – rzucił z rozdrażnieniem. – Ale skoro już przyjechałaś, to wejdź. Jesteśmy tutaj.

Obrócił się z fotelem i ruszył w stronę jadalni. Maris poszła za nim z wahaniem. Chciałaby móc pod jakimś pretekstem zawrócić, a jednocześnie nie wyjść na tchórza. Zaraz potem pożałowała, że musi poznać jego przyjaciółkę, mając na sobie tak nieefektowny strój.

Nie spodziewała się, że pozna dziś kogoś nowego zwłaszcza kobietę, którą Parker zaprosił na noc. Spódnica Inianego kostiumu była solidnie pomięta, w pończosze zrobiło się oczko. Płaszcz, w Nowym Jorku jak najbardziej na miejscu, tutaj wyglądał jak maska do nurkowania na Saharze.

Postawiła walizkę w korytarzu, rzuciła na nią płaszcz, przejechała palcami po włosach, które potargał wiatr podczas przeprawy na wyspę. Nie było czasu na dalsze zabiegi. Wzięła głęboki oddech dla nabrania odwagi i ruszyła w stronę zwieńczonego łukiem wejścia do jadalni.

Mogła sobie oszczędzić fatygi. W jadalni oprócz Parkera nie było nikogo. Spojrzała na niego pytająco.

– Tam – powiedział, wskazując kierunek brodą.

– Już wcześniej zauważyłam, że się kołysze – odparła, spoglądając na żyrandol. – Porusza go prąd powietrza z szybu wentylacyjnego.

– Rozsądne wyjaśnienie. Ale błędne. To duch wisielca.

Parsknęła krótkim śmiechem. Gdy się przekonała, że Parker jest jednak sam, poczuła słabość w kolanach.

– Duch wisielca?

Opowiedział jej o plantatorze i jego upadku.

– Rozpaczliwe wysiłki, by zachować rodzinną fortunę, tylko go spychały coraz głębiej w finansową ruinę. Powiesił się tutaj, w jadalni. – A po namyśle dodał: – Myślę, że od tego czasu jadalnia nie była używana.

– Naprawdę sądzisz, że jego duch jest... – Wskazała na kołyszący się żyrandol.
– Tam?

– No pewnie.

– Nie przeszkadza ci, że w twoim domu mieszka duch?

– Mieszkał tu na sto lat przed moim przybyciem. – Wzruszył ramionami. – My mu nie przeszkadzamy, więc nie zwracamy na niego uwagi. Na ogół. Dziś dotrzymał mi towarzystwa. Świetnie się z nim gada.

Maris spojrzała na niego podejrzliwie, potem zerknęła na otwartą karafkę na stoliku.

– Jesteś pijany.

– Jeszcze nie.

– Ale będziesz.

– Robię, co mogę. – Podjechał do stolika. – Chcesz się przyłączyć?

– Pewnie.

Odwrócił się gwałtownie, zaskoczony. Potem uśmiechnął się z aprobatą.

– Do twarzy ci z grzechem, droga pani Matherly-Reed. Powinnaś się mu częściej oddawać. – Wziął czystą szklankę ze srebrnej tacy. – Powiedz, kiedy.

– Już.

Ścisnął udami obie szklanki i podjechał do niej.

– Proszę.

Było to bezczelne wyzwanie. Nie spuszczać z niego oczu, sięgnęła pomiędzy jego uda.

– Nie spiesz się – mruknął.

Wzięła jedną szklanekę, trąciła nią drugą.

– Na zdrowie.

Znowu się uśmiechnął.

– To może ci dodać rumieńca, ale będziesz musiała wypić dużo więcej, jeśli chcesz mnie dogonić. – Uniósł ku niej szklanekę i wypił wszystko jednym haustem.

Ostrożnie upiła łyk bourbona.

– Tym się teraz zajmujesz? Zamiast pisać?

– Chyba rozmawiałaś z Mikiem.

– Skoro ty nie chciałeś...

– Ależ z niego plotkarz.

– Niektórych rzeczy potrafię się sama domyślić.

– Tak, tak, zmyślna z ciebie dziewczyna.

– Dlaczego przestałeś pisać *Zazdrość* i dlaczego jesteś pijany w środku dnia?

– Nie ma lepszej pory. Poza tym wszyscy wielcy pisarze to pijacy. Nie wiedziałaś? Zakładam się, że Homer chodził do starożytnych Anonimowych Alkoholików. Od Edgara Allana Poe przez Fitzgeralda po...

– Dlaczego to robisz?

– Po co wróciłaś? – odwarknął.

– Ja spytałam pierwsza.

– Bo nie mam pod ręką żadnych narkotyków, do których jestem przyzwyczajony, a byłoby mi cholernie trudno powiesić się na żyrandolu.

– To nie jest śmieszne.

– I nie miało być.

– Dwa razy wspomniałeś o samobójstwie. To drastyczne i w złym guście. Zwłaszcza dziś. Tydzień temu mój przyjaciel strzelił sobie w głowę.

Wymiana zdań zgasła. Parker odwrócił spojrzenie, przez długi czas żadne z

nich się nie odezwało. Maris wysączyła bourbona do dna i odstawiła pustą szklankę na stolik. Wreszcie Parker przerwał milczenie.

– Mike skończył kominek.

– Zauważyłam. Jest piękny. – Podeszła do niego i przesunęła palcami po drewnie, pociągniętym lakierem. – Fantastyczna robota.

– Powiedz mu to.

– Powiem.

– Kim był twój przyjaciel?

Odwróciła się do niego.

– Pracował w wydawnictwie jako prawnik. Znałam go od urodzenia. Był dla mnie jak rodzina.

– Bardzo mi przykro.

– Dla niego było po wszystkim, zanim cokolwiek poczuł. Ludzie, którzy go kochali, nie mieli tak łatwo. Cierpią przez cały czas.

– Jakież problemy?

– Nikt o niczym nie wie.

– Więc dlaczego to zrobił?

– To tajemnica. – Stojąc twarzą do kominka, dodała jakby po namyśle: – Tego popołudnia spotkał się z Noahem.

– Noah nic nie zauważył?

– Nie, nic.

– W jakiej sprawie się spotkali?

– Zwyczajnie, w finansowej. Bo co?

– Tak pytam.

Odwróciła się do niego.

– Bo co?

Zamiast odpowiedzieć, spytał, czy ma ochotę na drugiego drinka.

– Nie, dziękuję. Już teraz nie czuję palców u nóg.

Spojrzał na jej buty.

– Jesteś ubrana w sam raz na Nowy Jork. Może się przebierzesz? Potem

przeczytasz to, co napisałem od czasu twojego wyjazdu.

Uśmiechnęła się, zaskoczona.

– Więc jednak pisałeś?

– Mike'owi tylko się wydaje, że wie wszystko.

* * *

– Nie mogło się lepiej złożyć, możemy swobodnie rozmawiać. – Noah silił się na nonszalancję, której nie czuł. Niedbale zamieszał martini szpadką z nadzianą na nią oliwką. – Maris znowu wyjechała.

– Zawsze tak robi?

Morris Blume zjawił się na spotkaniu, obnosząc się z pogardą jak z modnym dodatkiem. Noah uparł się, żeby ich spotkanie było nieoficjalne i sam na sam, bez popleczników Blume'a. Ciągnęli za nim krok w krok, jak cielęta za matką... a może jak sępy.

Noah wręczył odzwiernemu gigantyczny napiwek, żeby wpuścił Blume'a, i natychmiast zapomniał o nim na wieki. Czekał na swojego gościa przed windą, jak wcielenie gościnności. Blume dosłownie wziął jego mieszkanie szturmem, obejrzał je jak sierżant na inspekcji, jego bezbarwne oczy przebiegły wszystkie sprzęty, szukając niedociągnięć. Najwyraźniej mieszkanie zdało egzamin.

– Ładnie tu.

Noah przypisał gustowny wystrój Maris.

– Ona ma rękę do takich rzeczy. Drinka?

Teraz siedzieli na dwóch stojących naprzeciw siebie sofach, trzymali kieliszki od Tiffany'ego i znowu mówili o Maris.

– Często wyjeżdża, tak? – spytał Blume.

– Zaczęła od niedawna... odkąd pracuje nad projektem, którego autor mieszka na wyspie przy brzegach Georgii.

– Jesteś pewien?

Ponieważ Noah czuł, że ostatnio traci panowanie i nad żoną, i nad kochanką, uwaga Blume'a wytrąciła go z równowagi.

– Pewien czego? – warknął. – Tego, gdzie się podziewa moja żona?

Blume rozciągnął bezkrwiste wargi w kiepskiej parodii uśmiechu.

– Znałem faceta, jego żona podobno konsultowała się z projektantem wnętrz, który pracował nad ich nowym mieszkaniem w Sonoma. Jak się okazało, konsultowała się z prawnikiem od rozwodów, znanym z tego, że najlepiej spisywał się w łóżku. Żona dostała prawnika, dom i wszystko inne. Po rozwodzie facet dziękował Bogu, że zostawili mu jaja. Wszyscy powinniśmy o tym pamiętać.

Noah zacisnął zęby i się roześmiał.

– Ten pisarz jest kaleką, porusza się na wózku. To nie namiętność sprowadziła Maris do Georgii.

Zdjął zębami oliwkę ze szpadki i rozgryzł ją z leniwym uśmiechem.

– Jeśli sugerujesz, że Maris działa za moimi plecami, to jej nie znasz. Ona nie myśli tak jak my. To mól książkowy. Romantyczka, marzycielka. Chodzi z głową w chmurach. Wierz mi, zaskoczmy ją, czym chcemy.

– Zakładam, że także tym, iż Matherly Press stanie się częścią WorldView.

– Wkrótce się okaże.

– W twoim głosie brzmi pewność. To mi się podoba.

Noah uśmiechnął się przebiegle, odstawił kieliszek na stolik i sięgnął po aktówkę. Otworzył zamki, zrobił ręką okrągły ruch.

– Jak obiecałem... dostarczone na czas.

Podsunał Blume'owi dokument, przygotowany przez Howarda Bancrofta. Znalazszy Nadię w łóżku, cuchnącą potem innego mężczyzny, zaniepokojony dziwnym, niespodziewanym zniknięciem Maris, postanowił, że pora na śmiałe, agresywne działanie.

Miał już dość asekuractwa, dość innych ludzi – kobiet, na Boga! – mówiących mu, co ma robić, jak i kiedy. Pora zadziałać szybko, zdecydowanie. Pora zająć się Noahem i tylko Noahem, pora powiedzieć im wszystkim, żeby się pieprzyli. Oni i ich bykowaci trenerzy. Jezu.

Blume przebiegł wzrokiem dokument, gwałtownie odwracając strony. Był na tyle przyzwyczajony do prawniczego żargonu, że potrafił się zorientować, w czym rzecz. Noah czekał na gratulacje.

Ale kiedy Blume doszedł do ostatniej strony, położył dokument na stoliku.

– Bardzo ładnie. Teraz trzeba tylko ich podpisów.

Entuzjazm Noaha oklapł jak przekłuty balon.

– Niekoniecznie. Jeśli przeczytasz...

– Ten punkt, że dokument nabiera ważności mocą twojego podpisu? – Blume roześmiał się i zapiął górny guzik idealnie skrojonej szarej marynarki. – Bardzo problematyczna klauzula. Bardzo. Już teraz walczę z prawem antymonopolowym i milionem innych przepisów. – Machnął bladą ręką w lekceważącym geście. – To tylko czasochłonne zawałidrogi. Ale tylko pod warunkiem, że wszystko inne jest w idealnym porządku, do ostatniej kropki nad „i”. Nie mógłbym wejść w układy, mając pod ręką taką bombę z opóźnionym zapłonem. Nawet nie chcę ryzykować. Ten dokument – w takiej postaci jak teraz – jest fantastyczną przynętą na władze federalne. A nawet jeśli nie, rodzina Matherlych podniesie wrzask pod niebiosa, a wtedy wszyscy leżymy. Nie wiem, jak ty, ale ja lubię, jak mi jest przyjemnie, kiedy leżę.

Mrugnął, a Noah poczuł, że chce go zamordować.

– A teraz wybacz, ale umówiłem się z kimś na kolację.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia. Noah zamrugał, by pozbyć się sprzed oczu migających czerwonych światełek, i pobiegł za nim.

– O nic się nie martw. Zdobędę ich podpisy.

– Ja się nigdy nie martwię – uspokoił go Blume.

Otworzył drzwi, zatrzymał się i odwrócił ku niemu.

– Wystarczy jeden podpis. Albo twojego teścia, albo żony. – Zastanawiał się przez kilka sekund i skinął głową. – Tak. Wystarczy tylko jeden, a będę kryty.

– Ty zajmij się prawem antymonopolowym – wycedził Noah. – Matherlych zostaw mnie.

– Chętnie. Jeśli mam wybierać, wolę organizacje rządowe. – Jego uśmiechnięta twarz przywodziła na myśl szczerzącą zęby czaszkę. – Zadzwoń, kiedy zdobędziesz podpis. Dopiero wtedy, dobrze? Mój czas jest wyjątkowo cenny, a to wszystko trwa już za długo.

I z tymi słowami zniknął.

Godzinę później Noah wszedł do domowego gabinetu Daniela. Po tym, co usłyszał od Blume'a, potrzebował tylko paru minut, by zdecydować, do kogo teraz się zwrócić.

Nie rozmawiał z Maris od ponad tygodnia. Nadal miała pretensje o Nadię. To pełnomocnictwo raczej się nie nadawało na gałązkę oliwną. Poza tym ostatnio zaprezentowała upór, o który jej nie podejrzewał.

Daniel był słabszy. Stał się mistrzem w swoim zawodzie wiele lat temu; teraz czas odebrał mu to mistrzostwo. Nie był już tą potęgą, co niegdyś. Zmęczony życiem, upadający na zdrowiu, nie mógł się zdobyć na dawny upór. Jeśli w ogóle się postawi, Noah był pewien, że zdoła go pokonać.

Drzwi otworzyła Maxine; powiedziała, że Daniel jest w gabinecie.

– Zamknął się zaraz po kolacji. Podobno chce jeszcze poczytać, zanim pójdzie spać.

Rzeczywiście, kiedy Noah stanął w drzwiach gabinetu, na kolanach starszego pana leżała książka. Ale jego głowa zwisała bezwładnie w dół i przez sekundę Noah przestraszył się, że stary drań umarł. Takie miał dzisiaj szczęście od samego rana.

– Danielu...

Podniósł głowę.

– Witaj. Czytałem książkę.

– Zawsze chrapiesz przy lekturze?

– Powiedz, że się nie śliniłem.

– Nie zauważyłem.

– To dobrze. Siadaj. Napijesz się?

– Nie, dziękuję.

W drodze tutaj do głowy przyszła mu nieprzyjemna myśl. A jeśli Maris opowiedziała ojcu o jego romansie z Nadią? Może zwierzyła się mu, zanim drapnęła do Georgii. Jeszcze tego mu dziś brakuje, żeby teść oskarżył go o cudzołóstwo i nakazał opuścić jego dom. Ale stary zachowywał się normalnie.

Noah przysiadł na sofce.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale później ma zadzwonić Maris, chcę jej przekazać pełny raport, łącznie z tym, co jadłeś na kolację.

– Solę z rusztu, brązowy ryż i warzywa na parze.

– To się jej spodoba. Zobowiązała mnie także do dotrzymania ci towarzystwa pod jej nieobecność.

Daniel prychnął z urazą.

– Nie potrzebuję niańki.

– Zgadza się. Ale pobądź ze mną trochę, bo mi się oberwie po jej powrocie. – Oparł łokcie na kolanach, pochylił się do przodu. – A może byśmy wyjechali na wieś na cały weekend? Będziemy łowić ryby. Odetchniemy. Mnie się to przyda, Bóg mi świadkiem.

– Rzadko już tam jeżdżę.

– Rozmawiałem o tym z Maris przed jej wyjazdem; przyklasnęła temu z całego

serca. Chyba się wstydzi, że częściej nie jeździ z tobą na urlop. Jeśli pojedziemy, zdejmujemy jej ciężar z serca.

Daniel zastanawiał się przez chwilę. Noah czekał w milczeniu. Nie mógł naciskać zbyt mocno, żeby nie spłoszyć starego. Zrobił otwierający ruch; teraz musi siedzieć cicho i czekać, aż Daniel podejmie decyzję.

– O której?

Noah odetchnął i uśmiechnął się.

– Jutro mam spotkanie przy śniadaniu. Byłoby mi trudno je odwołać. Możemy wyjechać zaraz potem.

– Ale to znaczy, że Maxine nie zdąży...

– Wiesz, tak sobie pomyślałem, że powinniśmy pojechać we dwóch. Męska wyprawa. – Obejrzał się do tyłu, jakby sprawdzał, czy gospodyni ich nie podsłuchuje. Zniżył głos. – Jeśli Maxine z nami pojedzie, będzie się nad tobą trząść jak kwoka. Wyliczy ci każdego drinka, każdy gram tłuszczu. A już o fajce możesz zapomnieć.

– Dręczy mnie gorzej niż żona, a o wszystkim od razu donosi Maris.

– Czasami my, mężczyźni, musimy się trzymać razem.

– Święta racja.

– Więc jesteśmy umówieni?

– Ja na pewno.

– Świetnie. – Wstał i uściśnął rękę Danielowi. – Będę gotowy koło dziesiątej. Spakuj mało rzeczy. Zadzwoń do sklepu i każę im dostarczyć jedzenie i napoje do domu, żeby już na nas czekały. – Przy drzwiach rzucił jeszcze przez ramię. – Mogę nawet przekazać Maxine, że nie jest zaproszona.

Rozdział dwudziesty drugi

Maris siedziała ze wzrokiem wbitym w tekst, a Parker – ze wzrokiem wbitym w nią.

W domku gościnnym spędziła całą godzinę. Wróciła ubrana w luźną sportową spódnicę, sięgającą prawie kostek, a także koszulę bez rękawów, którą zawiązała w talii tak, że odsłaniała odrobinę brzucha. Zdjęła sandały i podciągnęła stopy pod siebie.

Włosy miała świeżo umyte. Błyszczak nadawał jej wargom brzoskwiniowy połysk. I czy to przez whisky, czy też kosmetyki, jej policzki były zaróżowione bardziej niż w chwili przybycia. Wyglądała i pachniała rozkosznie.

Pewnie powinien się cieszyć, że to, co napisał, tak ją zaabsorbowało, iż nie czuła na sobie jego wzroku. Nie odwracała spojrzenia od tekstu, aż wreszcie doznał irracjonalnej zazdrości o własne dzieło.

Zanim przybyła – tak niespodziewanie – był o krok, żeby się zalać. Przez cały dzień nie mógł napisać ani słowa, choć z meteorologicznego punktu widzenia pora była idealna. Chmurno, ponuro i szaro. Dokładnie taki dzień, w którym łatwo było zatonać w świecie fantazji i wyłonić się z niego dopiero, by zaspokoić głód. pragnienie lub naturalną potrzebę.

Ale dziś jego umysł był jak biała kartka. No... właściwie nie całkiem. Nie mógł napisać tego, co chodziło mu po głowie, ponieważ po głowie chodziła mu tylko Maris. Dziś, jak codziennie od jej wyjazdu, nie mógł myśleć o niczym więcej.

Maris przewodniczy zebraniu.

Maris uśmiecha się do Noaha.

Maris wzywa taksówkę.

Maris całuje Noaha.

Maris pracuje przy biurku.

Maris śpi koło Noaha.

Maris robi zakupy na Piątej Alei.

Maris rozchyła uda dla Noaha.

Te obrazy, powracające jak na karuzeli, doprowadzały go do szaleństwa. A już na pewno do alkoholizmu.

Teraz zaczął się zastanawiać, czy nie przeczuł jej przyjazdu. Kto wie? Wszak

rozgościł się w jadalni, gdzie bywał bardzo rzadko, użalał nad sobą, złopał Wild Turkey w możliwie ekspresowym tempie i ponuro wpatrywał się w okno.

Słyszając warkot pojazdu, skręcającego z głównej drogi w podjazd, uznał, że to Mike wraca z zakupów. Pomyślał z nadzieją, że Mike przywiózł mu torbę małych batoników Milky Way, takich na jeden kęs.

A gdy za kierownicą golfowego wózka zobaczył Maris, jego serce zatrzepotało i stanęło.

Czy przez cały czas wypatrywał jej, nie zdając sobie z tego sprawy, niczym wdowa po żeglarzu, wpatrująca się w morski horyzont? Nie chciał myśleć o sobie jako o jakiejś żalostnej, kalekiej postaci, czekającej, by Maris zaszczyliła go swą obecnością. Boże, kiedy zdążył tak nisko upaść?

Zdał sobie sprawę, że właściwie nie robi nic innego od czasu, jak odwróciła się od niego i wymaszerowała z oczyszczalni. Od tamtego ranka tonął w żalu, spalał się z zazdrości, a przy życiu trzymały go whisky i fantazje. Dręczące fantazje o niej i Noahu. Rozkoszne o niej i o nim.

W nocy miewał sny erotyczne, w których Maris więziła go w kurczowym uścisku i powtarzała jego imię zdyszczanym, nagłym, ekstatycznym szeptem. Na jawie widywał ją, jak go pieści, jak jej palce muskają jego pierś i brzuch, a jej usta jedwabiście przesuwają się...

– ...Todda?

Drgnął, jakby wózek go ugryzł.

– Co? – Odchrząknął i otrząsnął się z erotycznych marzeń. – Słucham?

– Pytam o dziecko, które poroniła Mary Catherine. Było Todda?

– A jak sądzisz?

– Narracja tak sugeruje. Czy się tego dowiemy?

Pokręcił głową.

– Lepiej zostawić to tak, jak jest. Niech czytelnik sam dojdzie do własnych wniosków.

– Zgoda. – Przekartkowała tekst, zatrzymując wzrok na poszczególnych akapitach. – To wyjątkowa postać. Mówię o Roarku. Jest taki... no, bohaterski. Jak powiedziała Mary Catherine, jest miły.

Parker skrzywił się niechętnie.

– Ale chyba nie za miły, co? Nie chciałbym, żeby wyszedł na świętego. Albo gorzej, na mięczaka.

– Nie wyjdzie. – Uśmiechnęła się optymistycznie, ale nie zdołała go przekonać. – Wierz mi. Powiedziałabym ci, gdyby był przesłodzony.

– Kobiety nie zachwycają się zbyt miłymi bohaterami, tak jak mężczyźni nie pragną zbyt cnotliwych bohaterek. Powinno się w nich wyczuwać bodaj ślad, choćby sugestią zepsucia.

– W takim razie nie musisz się martwić o Roarka. Czytelniczki go pokochają, już choćby po tej scenie, jeśli nie wcześniej. Wcale nie jest zniewieściałą. Jego reakcje są na wskroś męskie. Na wszystko patrzy w kontekście seksu. Dopiero potem przypomina sobie o innych sprawach, na przykład o moralności. A jednocześnie jest wrażliwy na potrzeby Mary Catherine. Nie zgodził się na seks, bo wie, gdzie przebiegają granice przyzwoitości. Nie zanudzasz czytelnika jego prawością, ale dajesz mu do zrozumienia, że Roark ma silny kręgosłup moralny. Przestrzega zasad honoru i... – Podniosła głowę i spojrzała prosto w jego roześmiane oczy. – Co?

– Naprawdę wzięłaś to sobie do serca, nie?

– Na tym polega moja praca.

– Rozumiem, że musisz się tym przejąć, ale koniec końców to tylko książka.

– Nie dla mnie – powiedziała cicho i trochę nieśmiało. – Kiedy książka naprawdę mi się spodoba, postaci stają się dla mnie prawdziwymi ludźmi. To chyba dlatego, że tak wcześnie straciłam matkę. Potrzebowałam towarzystwa, więc księżniczki i książęta, o których czytałam, stali się moim przybranym rodzeństwem. Mieszkałam w pałacach i na pirackich okrętach. Zdobywałam górskie szczyty i przedzierałam się przez dzikie dżungle. Łódź podwodna kapitana Nemo była mi tak samo znana jak własny pokój. Bohaterowie książek zabierali mnie na spotkanie z przygodą. Śmiałam się i płakałam razem z nimi. Miałam udział w ich życiu. Znałam ich sekrety, nadzieje, marzenia i lęki. Byli mi rodziną.

Wygładziła zagięty róg kartki i wzruszyła ramionami z zażenowaniem.

– I ta namiętność do książek towarzyszy mi aż do dziś.

Jeszcze przez parę chwil siedziała ze spuszczoną głową.

Wreszcie spojrzała na niego. Pochylił się ku niej i powiedział bardzo cicho:

– Jeśli potrafisz się tak podniecić książką, chciałbym wiedzieć, co jeszcze jest twoją namiętnością.

Doskonale wiedziała, o co mu chodzi. Ich myśli biegły tym samym torem. Był tego pewien, bo jej oczy się zamgliły, a oddech przyspieszył.

– Podnieca mnie słowo na „p” – szepnęła.

– Słowo na „p”?

– Pożywienie.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Wyrwał mu się z piersi i sprawił mu taką radość, że aż doznał wstrząsu. Po raz pierwszy od lat roześmiał się spontanicznie. I w jego śmiechu nie było goryczy ani cynizmu.

Maris wycelowwała w niego palec.

– Mam cię.

– Przyznaję. Jesteś głodna?

– Konam z głodu.

– Mike nigdy by mi nie wybaczył, że jestem takim marnym gospodarzem. Podejrzewam, że potrafię coś tam przyrządzić, ale musisz mi pomóc.

– Prowadź.

Poszli do kuchni i, ramię w ramię, przyrządzili kanapki z bekonem, sałatą i pomidorem.

– Awokado? – spytał, wkładając bekon do mikrofalówki.

– Mniam.

– Musisz obrać. Mike twierdzi, że ja zawsze je zgniatam.

– Podoba mi się w tobie jedno...

– Tylko jedno?

– ...że zawsze przyznajesz się do wad.

– Ach, jest ich tak niewiele, mogę sobie pozwolić na skromność.

Rzuciła w niego chrupkiem.

Zjedli wszystkie chipsy i korniszony prosto ze słoika.

– Nie przywykłaś do tego, co?

– Najwyraźniej pomyliłeś mnie z jakimś rozpieszczonym, zepsutym bachorem.

– Nie – powiedział szczerze. – Za ciężko pracujesz, żeby ten opis do ciebie pasował.

– Dziękuję.

– Jesteś oddana pracy.

– Owszem.

– I doprowadzasz rzeczy do końca.

- Staram się.
- Czy dlatego wróciłaś? Jestem niedokończonym zadaniem?
- Wróciłam, żeby przywieźć umowę oraz czek na piętnaście tysięcy.
- Nigdy nie słyszałaś o przelewach pieniężnych?
- Nie wiedziałam, czy dochodzą na wyspę.

Rzucił jej takie spojrzenie, że nagle zainteresowała się skórką od chleba. Skubnęła ją parę razy.

– No dobrze, mówmy szczerze. Chciałam sprawdzić, czy piszesz. a jeśli nie, pogonić cię do roboty. Ojciec mi to doradził.

– A, więc wróciłaś, bo tatuś ci kazał.

– Nie do końca.

– Więc dlaczego, Maris? Tak do końca.

Spojrzała na niego, otworzyła usta, zamknęła je i zaczęła od nowa.

– Pokłóciliśmy się. Chciałam oczyścić atmosferę między nami. W przeciwnym razie nasza praca...

Cmoknął karcąco.

– Może ci się wydaje, że mieszkamy na końcu świata, ale wierz mi lub nie. mamy tu telefony, pocztę elektroniczną, faksy, najróżniejsze metody komunikacji.

– Ale nie odebrałbyś mojego telefonu. Nie odpowiedziałbyś na e-mail czy faks.

– Kiedyś bym odpowiedział.

– Nie miałam pewności.

– Owszem, miałaś. – Uniósł rękę, kończąc dyskusję. – Wskoczyłaś do samolotu, bo chciałaś mnie znowu zobaczyć. Przyznaj się.

Uniosła dumnie głowę i przez chwilę wydawało mu się, że zaprzeczy. Ale znowu go zaskoczyła.

– No dobrze, tak. Chciałam.

Oparł się o stolik i pochylił ku niej.

– Dlaczego? Nie ze względu na mój wrodzony urok. Już ustaliliśmy, że go nie posiadam. – Poglądził się po brodzie. – Hm, a może pokłóciłaś się z mężulkiem? A potem pomyślałaś: „Już ja mu pokażę. Wrócę na to zadupie i utnę sobie romansik z kaleką”. Po to wróciłaś?

Myślał, że wypadnie z pokoju, pozbiera rzeczy z domku gościnnego i ucieknie golfowym wózkiem, obrzucając go przekleństwami. I znowu się pomylił. Nawet nie drgnęła, a kiedy się odezwała, miała wyjątkowo spokojny głos.

– Powiedz mi, Parkerze, dlaczego tak się upierasz przy tym okrucieństwie? Czy sprawianie ludziom przykrości powoduje, że czujesz się silniejszy i bardziej męski? Czy ta podłość kasuje twój wózek? A może z rozmysłem wkurzasz ludzi, żeby trzymać ich na dystans? Krzywdzisz ich, zanim oni zdążą skrzywdzić ciebie? Jeśli tak, to szczerze ci współczuję. Po raz pierwszy, odkąd cię poznałam, naprawdę ci współczuję.

Wstała, wyprostowana z godnością, z uniesioną głową. Kiedy zniknęła z kuchni, Parker poczuł się jak najniższa forma życia na ziemi. Oskarżył ją o to, że się nim posłużyła, żeby się odegrać na Noahu, a przecież było dokładnie odwrotnie.

Przestraszył się, że odjedzie, zanim zdąży ją przeprosić. Wycofał wózek z kuchni i szybko przejechał korytarzem do drzwi wejściowych. Z ulgą przekonał się, że Maris stoi na werandzie, oparta o jedną z kolumn. Patrzyła na gigantyczne dęby, trzymające straż po obu stronach podjazdu.

– Maris...

– Wyjadę rano.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

Roześmiała się smutno.

– Sam nie wiesz, czego chcesz. Pisać. Nie pisać. Być sławnym. Być pustelnikiem. Mieć mnie tutaj. Odesłać mnie. Nie wiesz nawet, czy chcesz dalej żyć. Nie powinnam tu wracać. Przyjechałam z przyczyn, które w najlepszym wypadku są niejasne... nawet dla mnie. Powinnam zostać w Nowym Jorku, gdzie moje miejsce, a tobie zostawić luksus gniewu i rozgoryczenia. Niech towarzystwa dotrzymuje ci duch wisielca. Możesz wrócić do tych żalosnych rozrywek już jutro, kiedy wyjadę.

Zatrzymał wózek tuż za nią, położył dłonie na jej talii, tam gdzie płynnie przechodziła w biodra.

– Nie wyjeżdżaj.

Pochylił się, przytulił czoło do jej pleców. Zacisnął mocniej palce.

– Nie obchodzi mnie, po co wróciłaś. Przysięgam. Nawet jeśli jesteś tu po to, żeby wkurzyć męża, nic mnie to nie obchodzi. Jesteś tutaj i tylko tego chcę.

Przesunął dłonie do przodu, zatrzymał je na chwilę na suple jej koszuli, wsunął je pod materiał i dotknął skóry. Delikatnie pociągnął ją ku sobie.

Szepnęła jego imię, trochę pytająco, trochę z rezygnacją.

Ciągnął ją ku sobie, aż nogi ugięły się pod nią i usiadła mu na kolanach. Odwrócił ją, przerzucił jej nogi przez oparcie fotela, tak że mógł ją przytulić do siebie jak dziecko.

Spojrzała na niego z troską.

– Nie jest ci niewygodnie?

Przeczesał palcami jej włosy, kciukiem pogładził policzek, przesunął nim po dolnej wardze.

– Jest mi cudownie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Musiał przywołać na pomoc całą siłę woli, żeby jej nie pocałować. Spodziewała się, że to zrobi, więc – między innymi – właśnie dlatego się powstrzymał. A także dlatego, że czuł się winny. Jak mógł zasugerować, że jej motywy nie są czyste? Tak jakby jego były.

– Masz ochotę na przejażdżkę? – spytał.

– Proszę?

– Po plaży.

– Mogę iść.

Zwolnił hamulec i skierował fotel na pochyłą rampę, prowadzącą z werandy na wykładany płytami chodnik do lasu.

– To wygodne – zauważyła.

– Kazałem położyć chodniki podczas przebudowy.

– Mike powiedział, że nigdy nie brałeś pod uwagę korzystania ze zmotoryzowanego wózka, że wolisz załatwiać sprawy w trudniejszy sposób.

– To dobre ćwiczenie. Mike dobrze mnie karmi. Nie chciałem obrosnąć tłuszczem.

– Co tak ślicznie pachnie?

– Magnolia.

– Ale dziś nie ma świetlików.

– Robaczki świętojańskie uważają, że będzie padać.

– A będzie?

– Zobaczymy.

Chodnik kończył się przy piaszczystych wydmach. Tam Przechodził w pomost ze zniszczonych drewnianych desek. Trawa połaskotała stopy Maris. Pomost kończył się platformą. Parker zatrzymał się i zaciągnął hamulec.

Przed nimi rozciągała się opuszczona plaża. Z tego punktu wyspy nie było widać stałego lądu. Wszystko wyglądało tak dziko, jakby świat powstał dopiero przed chwilą. Księżyc krył się za gęstymi chmurami, ale przez ich warstwę przedzierało się dokładnie tyle światła, żeby dostrzec napływające fale. Zostawiały po sobie skrzący się osad, który zaraz wsiąkał w piasek. Wietrzyk był lekki jak

oddech śpiącego dziecka, docierał do nich monotony szum fal.

– Niezwykle miejsce – odezwała się Maris, głosem ściszone i pełnym szacunku, jaki zwykle przybiera się w kościele. – Ten gęsty las dociera prawie na samą plażę.

– A widoku nie psują żadne hotele. – Zamiast podziwiać widok, pocierał palcami pasmo jej włosów, badał ich fakturę, rozkoszował się ich dotykiem.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

– Jakie narkotyki?

– Ach. Powinienem się domyślić, że wychwycisz to, co mi się wymknęło.

– Owszem. I nie mogę przestać o tym myśleć. Jakie narkotyki brałeś? – Nie oceniała go, była tylko zainteresowana. Może mu współczuła.

Zostawił jej włosy, opuścił rękę.

– Farmaceutyki. Środki przeciwbólowe. Brałem je na tony. Garściami.

– Z powodu nóg?

– Długo dochodziłem do siebie.

– W wyniku czego?

– Własnej głupoty. – Odczekał chwilę, po czym podjął na nowo: – Przeszedłem kilka operacji. Pierwszą, żeby zrekonstruować kości i uzupełnić brakujące fragmenty kawałkami plastiku lub metalu. Potem trzeba było na nowo przymocować mięśnie i ścięgna. A potem skórę... Cholera. Maris, nie chcesz o tym słuchać, a ja wcale nie chcę o tym opowiadać. Dość, że nie wychodziłem ze szpitala przez ponad rok, a potem... z innych instytucji. Przez całe lata poddawałem się fizykoterapii. Paskudztwo. Czyste piekło, tylko gorsze. Właśnie wtedy przyzwyczałem się do środków przeciwbólowych. Wreszcie lekarze powiedzieli, że nie będą mi ich przepisywać. I wtedy zacząłem je kupować pokątnie.

– Od dilerów.

– Z którymi zaprzyjaźniłem się na śmierć i życie. – Nie była wstrząśnięta, choć może straciłaby ten spokój, gdyby jej opowiedział, jak nisko upadł, żeby zdobywać towar. – Byłem w strasznym stanie.

– Ale się podniosłeś.

– Nie. Ktoś mnie złapał za jaja i wyciągnął z tego.

– Mike.

– Mike – powtórzył, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Z przyczyn, których nigdy nie pojmem, zaprzyjaźnił się ze mną. Pewnego dnia pojawił się znikąd. Przez

mgłę narkotyków zobaczyłem go, jak stoi na środku mojego chlewu i patrzy na mnie, jakby usiłował zdecydować, czy jestem wart tego, by mnie uratować przed samym sobą.

– Może został do ciebie wysłany.

– Jako anioł stróż? Dobry wróżek? Przynajmniej nie okazał się Kosiarzem. Choć odkąd się pojawił i zaczął mnie ratować, często żałowałem, że nie kopnąłem w kalendarz. Bo zanim się zorientowałem, co się kroi, zabrał mi towar, a mnie wysłał na detoks.

– To było pewnie nieprzyjemne.

– Nie chcesz wiedzieć. Wierz mi. Kiedy wyszedłem, zapisał mnie na terapię, fizyczną i psychologiczną. Oczyszczył mnie, zainstalował w mieszkaniu przystosowanym dla potrzeb niepełnosprawnych, spytał, czym zamierzam się zajmować przez resztę życia. Gdy powiedziałem, że mam słabość do pisania, dał mi komputer.

– To dzięki niemu zacząłeś pisać.

– On to zaaranżował tak, jakby rzucił mi wyzwanie.

– Które dało ci powód, aby żyć dalej.

– Nie, wtedy już zdecydowałem, że muszę żyć. – Miałem cholernie dobry powód, dodał w myślach.

– Mogę zadać ci osobiste pytanie?

– Możesz. Możesz też tego żałować.

– Czy Roark to ty?

Wiedział, że spyta go o to, wcześniej czy później. Była zbyt inteligentna, żeby się tego nie domyślić. Pisarz piszący o pisaku. Oczywiście, że dostrzegła ten związek i musiała zadać pytanie. Nie skłamał, po prostu nie powiedział jej całej prawdy.

– Nie całkiem.

– Ma twoje niektóre cechy?

– Można tak powiedzieć.

Poważnie skinęła głową, ale nie naciskała.

– Czy od razu zacząłeś pisać kryminały?

– Nie. Spróbowałem sił w kilku gatunkach. Przez niemal dwa lata wymyśliłem i odrzuciłem dziesięć intryg. Na moją pisaninę poszło kilka tysięcy akrów lasu, zanim trafiłem na Decka Caytona. On pierwszy mnie zainteresował i oderwał moje myśli od ograniczeń ciała. Wreszcie napisałem coś, co według mnie nadawało się do druku.

Zatrudniłem agentkę i powiedziałem, że może przedstawić tekst wydawnictwom, jeśli przysięgnie na życie swoje i swoich dzieci, że nigdy nie ujawni nikomu mojej tożsamości.

– I tak powołałeś do życia Mackensie Roone'a. – Dotknęła jego policzka. – To ponowne narodziny, za które wszyscy możemy być wdzięczni. Szkoda tylko, że musiałeś tyle przecierpieć, żeby dotrzeć do celu.

– Na dłuższą metę ten cel jest wart wszystkiego.

W chwili gdy to powiedział, zdał sobie sprawę, że użył czasu teraźniejszego. Przestraszył się, że Maris to zauważy i spyta go, do czego dąży, ale odwróciła głowę i spojrzała na wodę. Gdzieś na horyzoncie zaśniły światła przepływającego statku.

Zaczął padać deszcz; krople wody robiły dziurki w piasku. Uderzały cicho o drewnianą platformę. Parker usłyszał je, zanim poczuł ich mokry dotyk na skórze. Były ciepłe i miękkie jak łzy.

– Parkerze...

– Hmm?

– Pamiętasz ten pierwszy dzień, kiedy przyszedłam do oczyszczalni? Powiedziałeś, że Noah poślubił córkę szefa, żeby awansować.

– Dotknąłem bolącego miejsca.

– Tak. I dotknąłeś bardzo precyzyjnie. To miejsce jest chore. – Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. – W tym tygodniu przyłapałam go z inną kobietą. – Zrobiła pauzę, dając mu czas na odpowiedź. Patrzył na nią wzrokiem bez wyrazu. – Nie będę cię zanudzać plugawymi szczegółami.

– Bardzo są plugawe?

– Wystarczająco.

– Wystarczająco, żebyś tu wróciła? Chcesz się odegrać?

– Nie. Przysięgam, nie dlatego tu przyjechałam. Jego romans dał mi po prostu wolną rękę. Ale prawda wygląda tak, że nie chciałam wyjeżdżać.

– Więc po co to zrobiłaś?

– To kwestia sumienia.

– W jakim sensie? Nic się nie stało.

– Coś stało się ze mną – krzyknęła cicho, przyciskając pięść do policzka. – Chciałam zostać z tobą i to był wystarczający powód, żeby wyjechać. Przebywanie w twoim towarzystwie nie mogło wyjść na dobre mojemu małżeństwu. To, co do ciebie czuję, przerażało mnie. Dla własnego spokoju musiałam znaleźć potwierdzenie, że

jestem szczęśliwa w małżeństwie. Jak na ironię, wróciłam do Nowego Jorku tylko po to, żeby odkryć niewierność Noaha.

– Noah jest głupi.

Uśmiechnęła się w podziękowaniu za subtelny komplement, ale zaraz posmutniała.

– Ja też. Byłam głupia, skoro wcześniej nie zorientowałam się, że nasze małżeństwo nie jest takie, o jakim marzyłam. A Noah nie jest człowiekiem, za jakiego go uważałam. Nie jest bohaterem ze swojej powieści.

– A teraz uważasz, że to Roark jest bohaterem.

Pokręciła głową.

– Nie myślę już rzeczywistości z fikcją. Wyrosłam z tego. Ty jesteś prawdziwy. Mogę cię dotknąć. – Sięgnęła po jego dłoń, przyjrzała się jej, przesuwając czubkiem palca po żyłach na wierzchu. – Moje małżeństwo jest skończone. To już poza mną. Nie chcę więcej rozmawiać o Noahu.

– Mnie to pasuje.

Wsunął palce w jej włosy, owinał je wokół pięści i przyciągnął ją do siebie, aż ich twarze prawie się dotykały. Zawahał się na kilka chwil, krótkich jak uderzenia serca, a potem położył wargi na jej ustach, poprawił ich pozycję... Panował nad sobą, dopóki nie usłyszał jej cichego jęku. Cofnął się, spojrzał jej w oczy i zobaczył w nich pożądanie dorównujące jego żądzy.

Wtedy zapomniał o opanowaniu. Obsypał jej twarz dzikimi, łapczywymi, niewyrafinowanymi pocałunkami; odpowiedziała tym samym. Ich wargi naparły na siebie, języki się spotkały i zaczęły się całować ze wściekłą pożądliwością.

Wreszcie Parker cofnął się, złapał oddech i zdobył się na większą powściągliwość. Musnął językiem jej dolną wargę, delikatnie ścisnął ją zębami. Obsypał kąciki ust lekkimi pocałunkami, wsunął język między jej wargi. Przechylił głowę na Jedną, potem na drugą stronę. Cofnął się, ale nadal ich wargi cykały się ze sobą, poruszając się delikatnie, jak najłżejszy wietrzyk.

Szepnęła, ledwie poruszając ustami.

– Kiedy się poznaliśmy, a ty mnie pocałowałeś...

– Hmm?

– Nie chciałam, żebyś przestał.

– Wiem.

– Wiesz?

– Nie sądzisz, że ja też coś czułem?

W odpowiedzi wplotła palce w jego włosy i pocałowała go.

Rozpiął jej bluzkę, rozwiązał supeł w talii, rozchylił poły.

Miała proporcjonalnie małe, krągłe piersi, teraz spryskane deszczem. Na jej skórze drżały duże krople; niektóre ściekały strużkami po gładkich krągłościach, krzyżując się ze sobą w sposób, który był dziwnie podniecający.

– Parkerze... Wiesz, że pada?

– Tak. – Przykrył dłonią jej pierś, pomasował ją. Kciukiem strącił kroplę wody z sutka. Pochylił się i potarł go wargami. – Kiedyś powiedziałaś, że się nie rozpułniesz.

I wziął jej sutek do ust.

– Rozpułam się. – Westchnęła głęboko.

Objęła go za szyję, tak jak w jego snach, przywarła do niego, powtarzając jego imię zdyszonym szeptem.

Jego ręka ominęła fałdy ubrania i odnalazła skórę. Wsunął dłoń między jej uda i przesunął w górę, aż do najczulszego miejsca. Dotknął go przez figi.

– Mogę?

Uznał, że jej jęk oznacza zgodę. Była bardzo wilgotna. Wsunął w nią palce.

– O Boże... Parkerze...

Pogładził ją od środka, zataczając kciukiem kręgi na zewnątrz. Wkrótce zaczęła napierać biodrami na jego rękę.

– Nie spiesz się, Maris.

Rozluźniła mięśnie i choć nadal oddychała płytko i szybko, przestała dążyć do orgazmu. Nadal drażnił jej sutki, które pod jego językiem stały się twarde. Ruchy jego palców stały się szybsze. kręgi zataczane przez kciuk zawęziły się do jednego miejsca.

W końcu to poczuł, to niezwykle napięcie. Nie do opanowania. Wymykające się kontroli. Jej plecy wygięły się w łuk. głowa odchyliła do tyłu. Zasłoniła oczy ramieniem. Jej obnażona szyja błagała o pocałunki. Pochylił się nad nią i przytulił wargi do jej gardła, z którego wyrwał się słodki, wibrujący dźwięk. Pozostał tak, aż przez jej ciało przeszły ostatnie spazmy, a Maris oparła się o niego bezwładnie.

Wyjął dłoń spod jej spódnicy, wygładził materiał. Potem przytulił ją do siebie mocno i oparł brodę na jej głowie.

Położyła mu na piersi omdlewającą rękę.

– Zapiąłeś koszulę.

– Do kolacji. Mama mnie nauczyła.

Rozpięła guziki, przytuliła policzek do jego piersi, opierając głowę w miejscu, gdzie biło serce.

– Tak lepiej.

Deszcz padał nieustannie, przemoczył ich włosy i ubrania, ale ani tego nie zauważyli, ani ich to nie obchodziło. Parker pogładził Maris po plecach, zatrzymując palce na każdym kręgu.

– Nie pieprzył cię jak trzeba, prawda?

Zesztywniała i przez chwilę się przestraszył, że posunął się za daleko, powiedział zbyt wiele, obraził ją. Ale ta pierwsza reakcja minęła szybko. Maris rozluźniła mięśnie.

– Myślałam, że tak. Parę minut temu zrozumiałam, że nie.

– Byłaś wygłodzona.

– Nie wiedziałam, dopóki mnie nie dotknąłeś. Moje życie erotyczne było kolejnym złudzeniem.

Chyba poczuła jego uśmiech, bo podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Musisz być z siebie okropnie zadowolony.

Jego uśmiech, niepoprawnie buńczuczny, złagodniał.

– Jestem zadowolony. – Pocałował delikatnie jej usta i mruknął: – Ale ty bardziej.

Pocałowali się, długo i głęboko. Nie chciał kończyć tego pocałunku.

– Lepiej wracajmy do domu, zanim Mike zorganizuje wyprawę ratunkową.

Sięgnął do hamulca, żeby go zwolnić, ale zatrzymała go.

– A co z tobą? Z tym? – Poruszyła biodrami, otarła się o jego twardy penis. – Nie chcesz, żebym... coś zrobiła?

Skrzywił się i chwycił ją mocno w talii.

– Tak, chcę, żebyś się przestała tak poruszać.

– Och... Przepraszam.

Uśmiechnął się i chwycił ją za kark.

– Kiedy będę w tobie, chcę myśleć tylko o rozkoszy, a nie o tym, jak mam

dojść, nie spadając razem z tobą z tego fotela.

– To będzie aż takie trzęsienie ziemi?

– O tak.

– Ale to mnie przypadła najlepsza zabawa.

– Od razu widać, że się na tym nie znasz.

Uśmiechnęła się, a on pocałował ją szybko, zawrócił wózek i ruszył do domu.

– Tak na marginesie, mam obie ręce zajęte, więc lepiej zapnij bluzkę, bo Mike'owi oczy wyskoczą z głowy.

Daniel wstał z samego rana. Wziął prysznic, ubrał się szybko i spakował parę ubrań na zmianę. Maxine przyjęła jego plany z najwyższym niezadowoleniem, któremu dała wyraz. Dlatego bardzo potulnie zapytał, czy nie przeszkadza jej, że zje śniadanie na tarasie.

– Wcale mi to nie przeszkadza. Muszę tylko przygotować tacę, to zajmie parę minut.

– Świetnie. Tymczasem zadzwonię do paru osób.

Poszedł do gabinetu i wystukał numer, który teraz znał już na pamięć. Przez następne pięć minut prawie się nie odezwał. Słuchał. Pan William Sutherland zrelacjonował wszystko, co miał do zrelacjonowania.

– Czy mam działać dalej? – spytał na koniec.

– Zdecydowanie tak.

Drugi telefon tego ranka odezwał się w Becker-Howa. Daniel nie był zaskoczony, że o tej porze, gdy nowojorczyki przeważnie stali w korkach i tłoczyli się w metrze, żeby dotrzeć do pracy o rozsądnej godzinie, słuchawkę podniósł sam pan Oliver Howe.

Howe zawsze się pysznił, że pracuje czternaście godzin dziennie, z wyjątkiem świąt, gdy pracował tylko osiem. Najwyraźniej teraz pomimo podeszłego wieku nadal pozostał wierny dawnym zasadom.

Jego kariera na rynku wydawniczym rozpoczęła się mniej więcej jednocześnie z karierą Daniela – i nawet w podobny sposób. Howe odziedziczył rodzinną firmę po dziadku zaledwie parę miesięcy po skończeniu studiów. Przez wiele lat po przyjacielsku rywalizował z Danielem i w końcu ich znajomość przerodziła się w

szorstką przyjaźń. Obaj darzyli się nawzajem najwyższym szacunkiem.

– Cześć, Ollie. Tu Daniel Matherly.

Zgodnie z przewidywaniami, ucieszył się z telefonu Daniela. Po wstępnej wymianie uprzejmości powiedział jednak:

– Nie gram już w golfa, Danny, stary byku. Cholerny reumatyzm mi nie pozwala.

– Nie o to mi chodzi. Dzwonię w interesie.

– Myślałem, że odszedłeś na emeryturę.

– Tak gadają, ale ty chyba znasz mnie lepiej. Trafiła mi się bardzo korzystna propozycja, która może cię zainteresuje.

Parę minut później Daniel wyszedł z gabinetu, nie wspierając się na lasce. Czuł się pełen sił. Wręcz zacierał dłonie. Rześko podszedł do Maxine.

– Nie zechciałabyś pójść do tej koszernej piekarni, wiesz, tej, co lubię?

– A co, w Massachusetts nie mają chleba? Pan Reed powiedział, że zadba o wyżywienie.

– Wiem, ale mam okropną ochotę na... wiesz, które. Z ziarenkami.

– Wiem, które. Ta piekarnia jest na drugim końcu miasta. Pojadę, jak pan zje śniadanie.

– Po śniadaniu wpadnie po mnie Noah. Jedź teraz. Sam się obsłużę.

Przyjrzała się mu podejrzliwie... i całkiem słusznie. Jego nagła zachcianka była zwykłym podstępem na wywabienie jej z domu. Za chwilę miał się tu zjawić gość, a Daniel nie chciał, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

Maxine piekliła się jeszcze przez jakiś czas, ale w końcu wypadła jak burza wyjściem dla służby, mamrocząc coś pod nosem. Zaledwie parę minut po jej odejściu rozległ się dzwonek do drzwi frontowych. Daniel wpuścił gościa do środka.

– Moja gospodyni jest na zakupach – wyjaśnił, prowadząc go na taras. Maxine zawsze nakrywała stolik na trzy osoby w nadziei, że na śniadanie wpadnie Maris, Noah albo oboje. I choć Maris wyjechała z miasta, a Noah miał przyjechać później. Daniel z zadowoleniem spostrzegł, że Maxine nie zerwała z dawnym przyzwyczajeniem. Wskazał swemu gościowi krzesło przy stoliku z kutego żelaza.

– Proszę siadać. Kawy?

– Tak, poproszę.

Daniel nalał kawy do filiżanek, podsunął śmietankę i cukier.

- Dziękuję za tak szybkie przybycie.
- To nie było zaproszenie, raczej rozkaz.
- Czemu więc zawdzięczam, że spotkał się z odzewem?
- Ciekawości.

Daniel przyjął tę szczerą aprobatę.

- Czyli wiadomość ode mnie była niespodzianką?
- Wstrząsającą.

– Cieszę się, że możemy porozmawiać szczerze. Zdaję sobie sprawę, jak cenny jest nasz czas. Mój zięć zjawi się tutaj o dziesiątej. Zabierze mnie do naszego domku na wsi. Sam zaproponował, że spędzi ze mną trochę czasu sam na sam, ponieważ moja córka wyjechała z miasta. – Podsunął gościowi srebrny koszyk, czek, wyłożony lnianą serwetką. – Bułeczkę?

– Nie, dziękuję.

– Jak na pieczywo z otrębami nie są takie najgorsze. Moja gospodyni sama je wypieka.

– Nie, dziękuję.

Daniel postawił koszyk na stoliku.

– O czym to mówiłem?

– Drogi panie, wiem, że nie jest pan zniedołężniałym starcem, więc proszę łaskawie nie obrażać mojej inteligencji i nie udawać. Nie zaprosił mnie pan na bułeczki swojej gospodyni.

Daniel porzucił wystudiowaną pozę. Oparł łokcie na stole, splótł palce i spojrzał na swego gościa spod nastroszonych siwych brwi, teraz ściągniętych niemal w jedną linię.

– Jestem gotów postawić całą moją fortunę na to, że kiedy przyjedziemy już do letniego domku. Noah przedstawi mi jakiś dokument, upoważniający go do kierowania wydawnictwem w moim imieniu – oznajmił z szorstką bezpośredniością, dzięki której zbudował swoją reputację i która pomagała mu w agresywnym, a czasem bezlitosnym prowadzeniu interesów. – Podczas tego weekendu będę zmuszony go podpisać. – Uniósł ostrzegawczo rękę. – Nie. Proszę nic nie mówić. Lepiej, żebym mówił tylko ja.

Jego gość zastanowił się przez długą chwilę, patrząc na niego z nieco nieufnym wahaniem. Wreszcie skinął ręką, pozwalając Danielowi kontynuować monolog.

Zazdrość, Rozdz. 20

Key West, Floryda, 1988 r.

Todd się nie spodziewał, że to potrwa tak długo. Spieszyło mu się do zdobycia fortuny i sławy – w takiej kolejności.

Po spłaceniu hipoteki za dom rodziców to, co za niego dostał, okazało się żałośnie matą sumką. Oboje rodzice mieli skromne polisy na życie, ale matka wydała pieniądze ojca na jego pogrzeb, a Todd pochował ją za pieniądze z jej polisy. Po załatwieniu wszystkich spraw jego spadek okazał się niewart wzmianki. Z trudem wystarczył na przeprowadzkę na Florydę. Todd przybył do Key West dosłownie bez grosza.

Życie kosztowało tu więcej, niż się spodziewali, choć mieszkali w ruderze i żywili się byle czym. Todd dostawał dobre napiwki za parkowanie samochodów, ale pieniądze szybko się rozchodziły na czynsz, benzynę, jedzenie i inne niezbędne sprawy.

A także na raty za komputer. W przeciwieństwie do Roarka nie miał szczęścia posiadania kuzyna, który pojawił się w jego życiu zaledwie dwa razy, ale czuł się na tyle zobowiązany powinowactwem, że sprawił ciotecznemu wnukowi kosztowny prezent za ukończenie studiów. Jego szczęście psuło Toddowi krew. Nie mógł przecież okazać się gorszy. Dlatego postanowił kupić komputer na raty.

Cholernie go wkurzał ten chroniczny brak kasy.

A jeszcze bardziej chroniczny brak natchnienia.

Stawa jeszcze bardziej niż bogactwo wydawała się poza jego zasięgiem. Tworzenie fikcji nie było łatwe. Przedrzemał niezliczone nudne wykłady z tego przedmiotu, ale był już całkiem pewien, że żaden z wykładowców twórczego pisania nie przesadził, twierdząc, iż twórczość wymaga dzikiego wysiłku. Nikt nie zapisał tej myśli drukowanymi literami na tablicy. Nikt nie pytał o to na egzaminie. Ale fakt pozostał faktem.

Co najmniej raz na tydzień Todd i Roark wybierali się do domu Hemingwaya. Ten budynek był ich świątynią, chodzili tam jak na pielgrzymkę, by oddać cześć. Todd zawsze podziwiał Hemingwaya, to oczywiste, ale dopiero ostatnio zaczął rozumieć jego wielkość.

Talent to coś, z czym człowiek się rodzi. Albo się go ma, albo nie. Ale sam talent to wciąż mało. Trzeba wielu godzin nudnych wysiłków, by go obudzić i ukształtować, by napisać to cholerne „jedno prawdziwe zdanie”, które czytelnikowi wydaje się takie proste.

Ta prostota to pozory. Nie przychodzi ot tak sobie. Lekkość stylu nie przychodzi sama z siebie. Pisanie jest pracą w samotności, wymagającą i wyczerpującą. Pisarz przekopuje tunele we własnym mózgu, za kilof mając słowa. I często z tego, co napisał przez cały tydzień, zostaje jeden okruch, który warto zachować. Jeśli tak się stanie, można się wręcz rozpłakać z wdzięczności.

Todd podziwiał tych, którzy potrafią pisać – i piszą dobrze. Ale w jego podziwieniu zawsze była nuta niechęci. Hemingway i jego następcy razili go swoim talentem i umiejętnością. Można by pomyśleć, że po tak dokładnym przestudiowaniu ich twórczości, po rozebraniu na części pierwsze każdego zdania, zanalizowaniu go, cholerne słowo po cholernym słowie, zdolności pisarskie udzielą się studentowi, przejdą na niego jak choroba zakaźna. Czy pragnienie już nic nie znaczy? Ale bywały dni, kiedy nie potrafił dostrzec w swoich tekstach ani jednej iskry geniuszu.

Podobnie jak inni.

Zmiał w dłoni kartkę z krytycznymi uwagami profesora Hadleya i cisnął ją w kąt pokoju.

Roark stanął w progu dokładnie w chwili, gdy kulka wylądowała na podłodze o parę centymetrów od kosza.

– Hadley cię przeczytał?

– Hadley mnie zabił.

– Skąd ja to znam. Mnie też przeciągnął przez płonące węgle.

– Poważnie?

– I zostawił, żebym się podpiekł. Więc postanowiłem sobie zrobić wolne. Idziemy się upić.

– Świetnie – mruknął Todd pochmurnie. – Nie mam za co.

– Ja też nie. Ale praca za barem nie jest pozbawiona plusów. – Z tymi słowami wyjął rękę zza pleców i zaprezentował butelkę taniej whisky.

– Ukradłeś?

– Nikt nie będzie płakać w barze po tej siarce.

– Jesteś poetą.

– Jakbyś nie wiedział. Idziemy.

Todd zeskoczył z wyrka.

– Nie trzeba mi dwa razy powtarzać.

Na plaży podzielili się sprawiedliwie trunkiem. Wzniesli toast za zachód słońca, potem za wschód księżyca, wreszcie za rozgwieżdżone niebo. Wznosili toasty tak długo, aż gwiazdy zaczęły im tańczyć przed oczami, a cały wszechświat nieco się zamglił.

– Gwiazdko, gwiazdko na niebie... i tak dalej. Pomyśl życzenie, Roark.

– Życzę sobie, żebyś mi oddał whisky.

Todd podał mu butelkę. Roark pociągnął łyk, przekazał butelkę Toddowi, wyciągnął się na piasku i założył ręce za głowę. Zaczął się śmiać.

– No co? – spytał Todd, moszcząc sobie siedzeniem dotek w piasku.

– Życzenia – wyjaśnił Roark. – Przypominają mi kawał o dzinnie.

– Są tysiące kawałów o dzinnie. Który?

– Jeden gość znalazł czarodziejską lampę. Pociera ją, wyskakuje z niej dzinn i mówi, że spełni jego trzy życzenia. Facet życzy sobie ferrari. Puf! Następnego ranka przed jego domem stoi nowiutkie błyszczące ferrari. Znowu pociera lampę, zjawia się dzinn i mówi, że zostały mu jeszcze dwa życzenia. Gość życzy sobie dziesięć milionów dolarów. Puf! Następnego ranka koło jego łóżka pojawia się dziesięć milionów dolarów. Facet znowu pociera lampę, dzinn znowu wyskakuje, zostało jeszcze jedno życzenie. Facet życzy sobie penisa aż do ziemi. Puf! Następnego ranka budzi się, a jego nogi mają sześć centymetrów długości.

Kiedy przestali się śmiać, Roark dodał:

– Morał tej historii: uważaj, czego sobie życzysz.

– Życzę sobie, żeby fiut Hadleya usechł i odpadł. Jeśli go w ogóle ma. W co wątpię.

– Który tekst mu wystateś?

– Zwycięzonego.

– Wypruwałeś sobie nad nim żyły. Co powiedział?

Todd pociągnął łyk z butelki.

– Akcja w miarę prawdopodobna. Dialogi do dupy.

– Hadley powiedział „do dupy”?

– Coś w tym stylu.

– Hmmm.

– Co?

– *Moje dialogi są wartkie i dobrze wyważone, ale akcja jest przewidywalna i utoyka w miejscu. – Zerknął na Todda. – Może powinniśmy założyć spółkę.*

– *Żadnych spółek. Od dwóch lat terminuję i nic z tego nie mam.*

– *Sprzedajesz opowiadanie.*

– *Jedno parszywe opowiadanie lokalnej gazecie za dwadzieścia pięć dolców. Ludzie będą je czytać w wychodku, jeśli w ogóle. – Wrzucił do morza muszelkę. – Mieszkam w budzie pełnej karaluchów i gangsterów.*

– *Ale widoki masz piękne.*

– *To prawda – przyświadczył Todd poważnie. – W życiu tak nie waliłem konia.*

– *Ale nie wyrosły ci włosy na ręce?*

– *Za nudyzm pomiędzy tancerkami egzotycznymi!*

Uniósł butelkę w toaście, ale Roark ją przejął i pociągnął tyk.

– *Na okrągło nie mam kasy – ciągnął Todd ponuro. – Mój samochód ma osiemdziesiąt tysięcy kilometrów przebiegu.*

– *A na razie parkujesz porszaki i bmw.*

– *Co mógłby robić nawet szympans.*

– *Szympanś jest miłszy. Na pewno dostawałby większe napiwki.*

Todd tyknął złowrogo na Roarka.

– *Dasz mi dokończyć czy nie?*

– *Przepraszam. Nie chciałem cię wyciągać z tego bajora rozpaczy. – Roark oddał mu butelkę. – Łyknij sobie.*

– *Dziękuję. – Todd wypił i wydał głośne, bulgotliwe beknięcie. – Kiedy te wszystkie cierpienia zaczną mi się zwracać, chcę mieć całą chwałę dla siebie i tylko dla siebie! Bez urazy.*

– *Nikt się nie gniewa. Ja też nie chcę z tobą współpracować. Tylko żartowałem.*

– *A. – Todd położył się na piasku. – Więc co naprawdę napisał ci Hadley?*

– *Już mówiłem.*

– *Naprawdę?*

– Po co miałbym kłamać?

– Żebym poczuł się lepiej.

Roark parsknął.

– Aż tak dobry nie jestem.

– Racja, racja, jesteś sukinsyn. Więc może skłamałeś z innej przyczyny.

Roark wyprostował się powoli.

– Chcesz mi coś powiedzieć? Jeśli tak, to wal śmiało.

– Zawsze lekceważysz uwagi Hadleya.

– Nie będę rozdierać nad nimi szat, to tylko opinia jednego człowieka. Nie zamierzam wpadać z ich powodu w depresję tak jak ty.

– Może.

– Może co?

– Może i tak. A może chcesz mnie zepchnąć na pobocze.

– Że co?

– Dobra, nieważne.

– Akurat. Najpierw oskarżasz mnie o kłamstwo, potem o parszywe motyw. Wypraszam sobie.

– A ja sobie wypraszam twoje myślenie, że jesteś lepszym pisarzem jak ja.

– Ode mnie – poprawił go Roark.

– Pieprz się!

Zerwał się na równe nogi, ale ziemia zakotysała się mu pod nimi. Usiadł ciężko na piasku. Roark chwycił go za ramiona, szarpnął ku sobie.

– Dlaczego z premedytacją wprowadzam cię w błąd w sprawie uwag Hadleya?

Todd wyszarpnął się mu.

– Żeby mnie wyprzedzić. Żebym czasem pierwszy nie wydał książki!

– Och, tak jak ty byś się ucieszył, gdybym ja wydał pierwszy.

– Prędzej wyrwałbym sobie flaki przez gardło!

Przez krótką chwilę powietrze między nimi aż iskrzyło od wrogości, w każdej

chwili grożącej wybuchem. Todd zacisnął pięści, spodziewając się ataku.

Ku jego zaskoczeniu Roark zaczął się śmiać.

– Prędeż wyrwałbyś sobie flaki przez gardło?

Todd usiłował się nie uśmiechnąć, ale sprawa była przegrana i po chwili on także zaczął chichotać.

– W ogniu chwili, nie wspominając już o stanie wskazującym, tylko to przyszło mi do głowy.

– Odradzam użycie w książce.

– Stuszenie.

Przez parę minut patrzyli na wodę.

– Mam już dość – odezwał się Roark. – Myślisz, że się doczołgamy do samochodu?

Todd z satysfakcją uznał, że Roark złamał się pierwszy.

– Nie wiem, chłopie, nie wiem. Jestem nawalony jak bombowiec.

Roark objął go i dźwignął. Udało im się dotrzeć na parking, choć po drodze zaliczyli parę upadków i przymusowych postojów. Nieustannie chichotali, rozbawieni własnymi pijackimi wysiłkami. Żaden nie był w stanie prowadzić, ale Roark usiadł za kierownicą, ponieważ był minimalnie mniej pijany od Todda.

Dopiero w południe następnego dnia, gdy leczyli kaca cheeseburgerami i frytkami, Todd podjął wczorajszą rozmowę.

– Wiesz, trochę rywalizacji dobrze nam zrobi.

Roark jęknął.

– Nie zaczynaj. Nie uważam cię za rywala.

– Gówna prawda, uważasz.

– Dlaczego ma nam dobrze zrobić?

– Bo będziemy więcej pracować. Przyznaj się, kiedy widzisz, że piszę, nie możesz przejść nad tym do porządku. Nie potrafisz siedzieć i gapić się na mecz w telewizji. Ja też nie. Jeśli piszesz, czuję się winny, że ja nie. Jeśli stukasz w klawiaturę siedem godzin dziennie, ja muszę co najmniej tyle samo. To rywalizacja daje nam kopa.

– Mnie nie daje kopa nic z wyjątkiem tego, że chciałbym dobrze pisać.

Todd machnął ręką.

– Święty Roark. Alleluja.

– Wkurzasz mnie.

– W porządku, już nic nie mówię. – Ugryzł kęs cheeseburgera. – Coś ci powiem. Za Zwycięzonego dostanę gigantyczną kasę, zanim ty zdążysz dokończyć swoją książkę. I zobaczymy, kto zzielenieje z zazdrości.

– Mowy nie ma.

Todd parsknął śmiechem.

– Chłopie, żebyś ty widział ten złośliwy błysk w swoim oku. Właśnie udowodniłeś, że to ja mam rację.

Rozdział dwudziesty czwarty

– Jest tu jakaś kawa?

– A kiedyś nie było?

Parker rzucił Mike'owi ponure spojrzenie, przejechał na wózku przez kuchnię i nalał sobie kawy z ekspresu.

– Zwykle przychodzisz i pytasz, czy nie chcę kawy albo czegoś innego.

– Bałem się, że mi urwiesz głowę. Przy śniadaniu dałeś wyraźnie do zrozumienia, że Maris i ja mamy ci nie wchodzić w drogę, i właśnie to robimy.

– Pracuję nad trudnym miejscem. Nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

Był już przy drzwiach, kiedy dobiegło go mruknięcie Mike'a:

– Mogłeś poprosić grzeczniej.

Zatrzymał się i odwrócił wózek.

– Powiedziałaś coś?

Mike rzucił ścierkę do talerzy i odwrócił się na pięcie.

– Powiedziałem, że wczoraj, kiedy wreszcie uznałeś za stosowne przywieźć ją do domu i poinformować mnie, co się z wami działo, miała krzywo zapiętą bluzkę.

– Ha! Kilka znaczeń w jednym jedynym zdaniu. Mamy dokonać jego rozbioru? Czy tylko przyjąć do wiadomości, że jesteś wkurzony, i wrócić do pracy?

– Wróciłem po całym dniu spędzonym na łodzi i zastałem dom otwarty, z zapalonymi światłami i pusty. Pomyślałem, że was porwano.

– Nie przyszło ci do głowy, że to było Wniebowzięcie i że zostałeś sam? Ale byś się wkurzył.

– Ty i Wniebowzięcie to dwa absolutnie sprzeczne pojęcia. Nigdy nie wpadłbym na to, żeby je zestawić razem. A zresztą, wkrótce zrozumiałem też, że nikt cię nie porwał. Jaki szalenciec chciałby cię mieć przy sobie?

– Kurczę! Naprawdę się wkurzyłeś.

– Mam prawo. Nawet bym nie wiedział o przyjeździe Maris, gdybym nie zauważył w zlewie dwóch kompletów naczyń. Od razu poszedłem do domku gościnnego.

– Prawdziwy z ciebie Sherlock Holmes.

– Mogłeś mi zostawić wiadomość, że idziecie na plażę.

– Mogłem. Ale bałem się, że znowu ci się włączy ten instykt macierzyński i polecisz za nami, żeby sprawdzić, czy nic nam nie potrzeba.

– I czy niczego nie kombinujesz.

Parker porzucił pozory rozbawienia.

– Masz rację – rzucił ostro. – Nie chciałem, żebyś nas przyłapał. Mnie nie przeszkadza, ale Maris raczej by to nie odpowiadało.

– A to prowadzi do następnego punktu.

– Nie chcę o tym słyszeć.

– Wykoncypowałeś sobie plan zemsty i chcesz go doprowadzić aż do smutnego końca, tak?

– Już to przerabialiśmy.

– Tak czy nie?

– Tak, do cholery! – krzyknął Parker.

Ale Mike nie przestraszył się podniesionego głosu.

– Jaki będzie ten ostatni rozdział?

– Co, mam zdradzić zakończenie? Powiedzieć ci i zepsuć niespodziankę? Mowy nie ma.

– To nie będzie happy end.

– Nie obchodzą mnie melodramaty.

– Tylko zemsta.

– Zemsta zawsze jest dobrym motywem, doskonale napędza akcję. Skończyliśmy?

– Jeszcze nie. Co z Maris?

– Jest nieodłącznym elementem intrygi.

– Wykorzystujesz ją, tak? Mimo tego, kim jest.

– Właśnie dlatego.

Mike chyba wyczuł, że Parker zaciął się w uporze. A może jego władczy ton przypomniał starszemu panu, że przekroczył pewne granice. A może zwyczajnie go to zmęczyło. Tak czy inaczej, gniew Mike'a zniknął bez śladu. Starszy pan znowu się przygarbił.

– Nalegam, żebyś z tego zrezygnował. Daj sobie spokój. Opowiedz Maris o wszystkim. Dla swojego i jej dobra. Powiedz jej.

– O czym masz mi powiedzieć?

Na dźwięk jej głosu obaj odwrócili się gwałtownie. Najwyraźniej przerwała im ożywioną wymianę zdań, która przypominała raczej kłótnię.

– Więc... o czym? – powtórzyła.

– Napisałem parę nowych stron – powiedział Parker. – Właśnie się drukują.

– Przyniosę. – Mike rzucił Parkerowi wyjątkowo znaczące spojrzenie. Maris nie potrafiła go rozszyfrować. Mike wyszedł do oranżerii, zostawiając ich samych.

– Zrobił świeżą kawę – mruknął Parker.

– Dziękuję, ale już wyczerpałam limit. Jeśli wypiję jedną filiżankę więcej, zacznę się huśtać na żyrandolu razem z twoim przyjacielem duchem.

– Zapłacę ci, jeśli to zrobisz. – Jego uśmiech był wymuszony, a żart nie zabrzmiał szczerze.

Maris nie potrafiła zrozumieć, dlaczego w domu zapanował ten dziwny nastrój. Coś się zmieniło od wczorajszego wieczora, kiedy wróciła z Parkerem z plaży. Mike, który przybył pod ich nieobecność, stał na werandzie, oparłszy ręce na biodrach, wypatrując ich. Wyglądał na zaniepokojonego. Nakrzyczał na nich za to, że wrócili przemoczeni do suchej nitki. Powiedział, że takie kretyńskie, nieodpowiedzialne zachowanie jest typowe dla Parkera, który nie miał prawa wciągać Maris w swoje szaleństwa.

Potem wygonił Parkera do jego pokoju na tyłach domu. Maris wiedziała, gdzie się znajduje, ale tego pokoju jej nie pokazano, choć Mike oprowadził ją po wszystkich pomieszczeniach domu, nawet po własnym pokoju i niewykończonych jeszcze Pokojach na piętrze.

Nieco zmieszana po tak gwałtownym zakończeniu romantycznego wieczoru, wróciła do domku gościnnego. Wyczuła, że przyczyną awantury nie jest to, że przemokli, ani nawet ich niezapowiedziane zniknięcie z domu. Mike był bardzo rozdrażniony, bardziej, niż usprawiedliwiałaby to sytuacja.

Nie rozumiała, czym go tak sprowokowali. Co zrobili? Czego zaniedbali?

Gdyby chodziło o kogoś innego, mogłaby sądzić, że Mike jest zazdrosny o nową osobę w otoczeniu Parkera. Byłoby chyba całkiem naturalne, że nie polubił intruza, wdzierającego się w jego uporządkowane życie. Dni w tym domu miały własny rytm, to oczywiste, że każdy nowy przybysz wydawałby się mu zagrożeniem. W pierwszym odruchu powinien bronić swojej pozycji i znaczenia. I chronić przed ewentualnym cierpieniem człowieka, nad którym czuwał.

Ale Mike nigdy nie był o nią zazdrosny. Nie uważał też za niebezpieczną dla Parkera. Przeciwnie, był szczerze zadowolony, gdy pojawiła się w ich życiu. Okazywał jej życzliwość i nawet w najmniej istotnych dyskusjach popierał ją częściej niż Parkera.

Mimo to czuła, że Mike wiedział, co robili na plaży, i że tego nie pochwałał. Bez względu na inne czynniki, to właśnie leżało u podstaw jego rozdrażnienia. Po powrocie do domku dla gości odkryła, że zapięła krzywo koszulę, w pośpiechu ominęła jeden guzik. Nieomylny znak.

Ciągle jednak była bardziej zdziwiona niż zawstydzona. I ona, i Parker od dawna byli dorośli, więc Mike powinien rozumieć, że tamto na plaży zaszło za obopólną zgodą. Może chodziło mu o moralność? Może – nie wiedząc, w jakim stanie znajduje się jej małżeństwo – uważał, że Parker uwodzi żonę innego?

Tak czy owak, po powrocie nie było już mowy o powtórzeniu tego, co zrobili na plaży. I choć długo leżała bezsenne, spodziewając się, że Parker jednak do niej przyjdzie, pozostała sama. Dziś rano przy śniadaniu był rozdrażniony i wrogi. Bardziej niż zwykle. I zachowywał się tak, jakby na plaży nic się nie zdarzyło.

Wszystko to leżało jej ciężarem na sercu. Rozpaczliwie usiłowała pozbyć się chandry. Mimo wczorajszych czułych pieszczot jej związek z Parkerem nadal był niesprecyzowany i chwiejny. W każdej chwili spodziewała się zmiany uczuć, która straci ją w otchłań rozpacz.

Już raz dała się oszukać mężczyźnie. Nie chciała powtarzać tego błędu. Nigdy. A już na pewno nie w tym samym tygodniu.

Po pierwszej nieudanej próbie rozmowy ani ona, ani on nie odezwali się do siebie. Zerkali na siebie spod oka, przelotnie i ukradkiem. Parker wydawał się unikać nawet spojrzeń.

Wreszcie odezwała się nieśmiało, pytając, czy jest zadowolony z tego, co napisał dziś rano.

– Mniej więcej – wymamrotał, nie podnosząc głowy.

To wszystko było głupie. Przecież są dorośli. Do niedawna Parker nie przepuścił żadnej okazji do zrobienia jawnie seksualnej aluzji. Z całą pewnością nie krył swego zainteresowania jej osobą, poczynając od tego wieczoru, gdy się spotkali. Ta nagła wstydlivość nie miała najmniejszego sensu.

– Mike cię pouczał?

Spojrzał na nią.

– O grze wstępnej?

– O... o... chciałam powiedzieć, o uwodzeniu mężatki.

- A tak zrobiłem?
- Bardzo przeze mnie zachęcony.
- Więc można powiedzieć, że to było uwodzenie w dobrej wierze?
- Parkerze, chcesz się przekomarzać czy odpowiesz na moje pytanie?
- Mike się boi o ciebie.
- Dlaczego?
- Uważa, że jestem zepsuty do szpiku kości.
- Mike uważa, że jesteś ósmym cudem świata.
- Boi się, że cię skrzywdzę.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- A skrzywdzisz?
- Tak.

Jego brutalna odpowiedź wstrząsnęła nią. Usiadła przy kuchennym stole, nie odrywając oczu od Parkera.

- Przynajmniej jesteś szczery.
- Do bólu. Większość ludzi tego nie lubi.
- Zgadzasz się. Ale ja nie należę do większości.

Twarda linia jego ust złagodniała. W oczach, które zaledwie przed sekundą wydawały się obce, coś zamigotało. Spojrzenie przesunęło się po niej, zatrzymując się na jej ustach, piersiach, łonie. Te miejsca, których wcześniej dotykał, zaczęły pulsować w odpowiedzi.

Wreszcie znowu spojrzał jej w oczy i powiedział schrypniętym głosem:

- Zauważyłem.

Zapatrzyli się w siebie i nie oderwali od siebie spojrzenia aż do chwili, gdy w kuchni pojawił się Mike, niosący kilka stron tekstu.

– Tusz się kończył, więc musiałem wymienić pojemnik. – Podał stroniczki Maris.

- Muszę wracać do pracy – oznajmił Parker, kierując wózek w stronę oranżerii.
- Nie obgadujcie mnie za plecami.
- Mamy ciekawsze tematy – odgryzł się Mike.

Parker zatrzasnął za sobą drzwi. Maris parsknęła śmiechem.

– Kłóćcie się jak bracia. Albo jak stare małżeństwo.

– Uchowaj Boże.

– Byłeś kiedyś żonaty?

– Jestem zaprzysięgłym starym kawalerem. Co powiesz na kraba au gratin?

– Mniam mniam. A Parker?

– Czy był żonaty? Nie.

– Kobiety?

Mike wyjął z zamrażarki paczkę z mięsem kraba i położył ją na stole. Dopiero potem odwrócił się do Maris.

– A jak myślisz?

Spuściła oczy i powiodła czubkiem palca po słojach na blacie stołu.

– Oczywiście, że tak.

– Więcej niż kilka, mniej niż wiele. Nic trwałego. Nigdy nic poważnego.

Skinęła głową. Mike zaczął się krzątać po kuchni.

– Parker powiedział mi, że uratowałeś go z przepaści, że tak to określe.

Odwrócił się do niej z wyrazem autentycznego zaskoczenia. Po chwili zdołał się opanować.

– Parker bardzo przesadza. Ja tylko powiedziałem mu to, co i tak wiedział.

– To znaczy?

– Że idzie prostą drogą do samozniszczenia. Ale wytknąłem mu też, że nie wybrał najprostszej drogi. Spytałem, czemu się ociąga. Powiedziałem, że gdyby naprawdę chciał umrzeć, już by się zabił.

– Dobre podejście.

Mike wzruszył skromnie ramionami.

– Najważniejsze, że poskutkowało. – Wskazał kartki, które Moris przyniosła ze sobą z domku gościnnego. – Podoba ci się ostatnia część?

– Przeczytałam od nowa rozdział o poronieniu Mary Catherine. Todd zaczyna się nam prezentować jako czarny charakter.

– Interesujące – mruknął Mike. – To, że tak o nim myślisz.

- A nie powinnam?
- Sądzę, że Parkerowi o to właśnie chodzi.
- Czytasz wszystkie jego teksty?
- Tylko te, które mi daje.
- Czyli?

Mike błysnął ku niej uśmiechem, schylając się do szafki po rondel.

- Wszystkie.
- Na pewno ceni twoją opinię.

Mike prychnął niecierpliwie.

- On uważa, że liczy się tylko jego opinia.

– Chodzi bardziej o reakcję niż opinię. Pracując z pisarzami, nauczyłam się, że lubią mieć prywatnego odbiorcę. Nawet jeśli im nie odpowiada, chcą, żeby słuchał, gdy mówią o swoich pomysłach. Wyświadczasz Parkerowi cenną usługę – nie wspominając już o tych oczywistych.

Mike nie pociągnął tematu „oczywistych” usług, które świadczył Parkerowi. Natomiast spytał, czy ktoś z Matherly Press przeczytał już tekst powieści.

– Aby zapewnić Parkerowi anonimowość, zachowałam tekst w tajemnicy. Ale dałam go ojcu. Miał o nim równie pozytywne zdanie jak ja.

- I nikomu innemu?
- Nie.

Kilka razy prosiła Noaha, żeby go przeczytał. Nie był zainteresowany, ale na odczepnego obiecywał, że zabierze się do niego, kiedy tylko pozwoli mu na to obowiązki. Teraz już wiedziała, dlaczego miał tak mało czasu. Cały poświęcał kochance.

– Skoro mówimy o tacie... – Było zupełnie niemożliwe, żeby nie usłyszała dzwonka, ale wyjęła telefon z kieszeni spódnicy i spojrzała na wyświetlacz. Nikt do niej nie dzwonił. – Spróbuję go złapać. Rano nie mogłam się dodzwonić do domu, a to jest dosyć dziwne.

Na razie się nie martwiła, była tylko zdziwiona, że Maxine wyszła na tak długo. Zwykle zakupy dostarczano do domu, więc nie musiała opuszczać domu i Daniela.

Daniel nie pojawił się dzisiaj w pracy, już to sprawdziła.

Więc pewnie poszedł gdzieś razem z Maxine. Może na spacer do Central Parku

albo do muzeum czy kina. Daniel to uwielbiał. a Maxine czasami mu towarzyszyła, żeby się oderwać od codziennych zajęć. Ale Maris usiłowała dodzwonić się do nich od wielu godzin. Zostawiła wiadomość, żeby oddzwonili do niej natychmiast po powrocie. Albo nie sprawdzali poczty głosowej albo wyszli na bardzo długo; obie możliwości były nietypowe

– Możesz skorzystać z naszego telefonu – powiedział Mike

– Dziękuję, zadzwonię z komórki. – Przed wyjściem spytała {a jeszcze, czy może w czymś pomóc. – Jestem kobietą pracującą ale trochę znam się na kuchni.

– Dobrze, w odpowiednim czasie nalejesz wino.

Wiedziała, że odrzuci jej propozycję tak jak Maxine, ale i tak musiała z nią wystąpić.

– Więc przepraszam na chwilę. – Wzięła nowe strony i ruszyła do wyjścia. – Już się nie mogę doczekać, żeby to przeczytać.

Rozdział dwudziesty piąty

Noah podniósł słuchawkę dzwoniącego telefonu.

– Halo?

– Gdzie jesteś?

– Nadia?

– Nadia, Nadia – przyświadczyła jadowicie.

Obejrzał się ostrożnie przez ramię, sprawdzając, czy Daniel nie zszedł jeszcze na dół. Promienie popołudniowego słońca sączyły się pomiędzy deszczułkami okiennic, rzucając na drewnianą podłogę długie pasy światła i cienia i nadając jasnoszafranowym ścianom ciepły blask.

Wiejski domek Matherlych był trochę zbyt przeładowany ozdóbkami, zbyt dopieszczony jak na jego gust. Wolał styl nowoczesny. Proste kąty, gładkie powierzchnie. Ale jak na wnętrze kolonialne, było tu całkiem przyjemnie. Kilka lat temu domek przedstawiono w „Architectural Digest” – wiejska samotnia giganta rynku wydawniczego.

Tu, w salonie, fotele były rozłożyste i głębokie, a przed każdym stał podnózek. Kuty w skomplikowane wzory mosiężny ekran przed kominkiem należał do pierwotnego wyposażenia domku. Za szklanymi drzwiami wysokiej serwantki znajdowała się kolekcja Rosemary Matherly – porcelanowe talerze z całego świata. Na stolikach i półkach stały zdjęcia Daniela z wybitnymi pisarzami i wybitnymi przedstawicielami innych zawodów, od przemysłu rozrywkowego po sport i politykę – z dwoma prezydentami włącznie. Zdjęcia Maris upamiętniały jej dzieciństwo, wiek dojrzewania i wejście w świat dorosłości.

W pokoju znajdowało się także parę zdjęć Noaha i Maris. Na jednym, zrobionym na ich weselu, roześmiana panna młoda karmiła go kawałkiem tortu. Noah z perwersyjną przyjemnością przyjrzał się mu, rozmawiając ze swoją aktualną kochanką.

– Dzwonię do ciebie przez cały dzień!

– A ja cię unikam. Kiedy widzę, że wyświetlają się twoje numery, nie podnoszę słuchawki.

– Tak myślałam. Dlatego teraz dzwonię z czyjegoś telefonu.

– Przyjaciela czy kochanka?

– To zależy od tego, czy ze mną porozmawiasz.

– Masz wybiórczą pamięć. Nadiu. Najwyraźniej już zapomniałaś, dlaczego nie chcę z tobą rozmawiać.

– Oczywiście, że nie zapomniałam. Ale dziś rano obudziłam się i postanowiłam ci przebaczyć, więc...

– Ty chcesz przebaczyć mnie? To nie ja się bzykałem z moim osobistym trenerem.

– Widziałam twojego trenera, Noah. Nikt by nie chciał się z nim bzykać.

Znowu to robiła. Kpiła z niego. Traktowała go z góry. Tak jak wtedy, gdy ją znalazł w zmiętych prześcieradłach, w postkoitalnym rozmarzeniu. Kpiące nutki w jej głosie obudziły w nim wściekłość, którą wtedy poczuł. Emocje, jakie w nim zakipiały, nie miały nic wspólnego z zazdrością. Było mu doskonale obojętne, z kim Nadia się pieprzy i jak często. Ale zaczęła z niego kpić – a to było nie do zniesienia.

Zamiast się zawstydić czy przestraszyć – a straszliwie pragnął zobaczyć przestraszoną Nadię – ona śmiała się z niego bezczelnie. Suka! Jak śmiała! Był na nią wściekły tak, że mógłby ją zabić gołymi rękami. Nachodziły go nawet wizje, w których obejmował jej smukłą szyjkę i zaciskał palce, aż oczy wyszły jej z orbit, a serce przestało bić.

Starczyło mu przytomności umysłu, by nie poddać się impulsowi, ale był on na tyle silny, że odsłonił na mgnienie ciemną stronę jego duszy, niewidzialną, lecz zawsze obecną, niczym ciemna strona księżyca.

Parę razy w jego życiu zdarzyło się, że okoliczności wymagały przekroczenia granicy między światłem i ciemnością. Ale po tych krótkich wypadach w strefę mroku wracał wstrząśnięty i wdzięczny, że zdołał się z niej wyrwać. Zapuszczał się tam tylko wtedy, gdy nie miał wyboru.

Ostatnio aż dwa razy ukazała mu się jego ciemna strona. Najpierw z Maris, przed mieszkaniem Nadii. Teraz z Nadią. W obu przypadkach ogarnęła go żądza zniszczenia. Chciał skrzywdzić kobietę, która go obraziła. Zamknąć jej usta. Okaleczyć. Zabić.

Ta ciemna strona zaczęła go intrygować swoją rozległością. Nie miał pojęcia, że sięga aż tak daleko. Ogarnęło go pragnienie zbadania jej granic, tak silne, że niemal nie do odparcia.

A Nadia, nieświadoma niczego, nadal myślała, że kłócą się o jej skok w bok z osiłkiem.

– To dlatego, że wtedy zachowałeś się jak kompletny osioł. Uznałam, że należy ci uświadomić, iż nikt nie nazywa bezkarnie Nadii Schuller „niewiarygodnie głupią”. Ty miałaś swoją chwilę radości i ja swoją. Czy możemy już o tym nie mówić?

Miał ochotę rzucić jej w twarz obelżywe słowo, które tak dobrze do niej pasowało, i odłożyć słuchawkę. Tego właśnie pragnął. Ale nie byłoby mądrze odsuwać ją teraz od siebie. Umowa z WorldView nie była jeszcze podpisana. Rozstanie z Nadią mogłoby nie być najlepszym ruchem. Morris Blume chyba ją lubił. Nadia ich do siebie zbliżyła. Dlaczego nadal jej nie wykorzystywać? W końcu dostanie to, na co zasłużyła, ale dopiero po podpisaniu umowy z WorldView. Jego nagrodą za połknięcie tej niewielkiej żabki będzie dziesięć milionów dolarów. Szczerze mówiąc, za dziesięć milionów i kontrolę nad Matherly Press był gotów na znacznie gorsze rzeczy.

– Noah, proszę, powiedz, gdzie jesteś.

Teraz mówiła cicho i pojednawczo. Ułatwiała mu zadanie. Idealna sytuacja, nie mógłby sobie życzyć lepszej.

– Jestem sam na sam w wiejskim domku z moim teściem – oznajmił, uśmiechając się pod nosem.

– Z Danielem Matherlym?

Zachichotał.

– Innego teścia nie mam.

– Dlaczego się na to zgodziłeś?

– Wręcz sam mu to zaproponowałem. Mamy do poruszenia parę spraw zawodowych.

– Ach, WorldView. Planujesz coup de grace.

– Właśnie. – Wyjaśnił, że Maris znowu wyjechała, a Maxine została w mieście.

– Jestem tylko ja i stary. Łowimy ryby. Jak to mężczyźni.

– A potem go przydusisz.

– Wątpię, żeby do tego doszło.

– On się nie podda tak łatwo.

– Łatwo może nie, ale da się przekonać. Jestem tego pewny.

– Potrzeba ci wsparcia? Mogę przyjechać. Ulokujesz mnie w jakimś kąciuku. Czy w tym wiejskim domku jest dość miejsca by pomieścić ciebie, mnie i twojego teścia?

– Interesująca propozycja. Kuisz mnie, ale to by było nieprzyzwoite. Kiedy stary sobie podpije, lubi łązić po domu. A jeśli zawędruje do nie swojego pokoju i zobaczy obrazek prosto z Kamasutry?

– Z której strony?

– Jesteś niepoprawna.

– Zdecydowanie. Jak również bezwstydna. To dlatego chciałabym, żeby mnie przyłapano. Jeśli stary nas zobaczy, kto wie? Może mu to dobrze zrobi na serce. – Uwodzicielsko zniżyła głos. – Najlepszy seks to ten udawany, wiesz? Mogę przywieźć pudełko czekoladek. Nadziewanych. Tych z miękkim kremem, który tak lubisz wylizywać.

– Świetny seks przez telefon. Podnieciłaś mnie – powiedział szczerze.

– Daj mi dwie godziny.

– Chciałbym się z tobą zobaczyć. Ale wiesz, że nie możesz tu przyjechać.

– Och, wiem, że to nie wchodzi w grę. Ja też wiele rzuciłam na szalę i nie zrobię nic, co by zaszkodziło tej umowie. Tylko za tobą tęsknię. Chyba muszę się zadowolić moim zaufanym wibratorem.

– Masz zapas baterii?

– Nigdzie się bez niego nie ruszam.

– Oho, Daniel nadchodzi. Muszę kończyć. Spotkamy się, kiedy wrócę do miasta.

– Na razie, kochanie.

Przycisnął widełki i dodał do milczącej słuchawki:

– Ja też cię kocham, słonko.

Odwrócił się w chwili, gdy Daniel przekroczył próg salonu.

– O, do diabła! Właśnie dzwoniła Maris. Nie chciała, bym cię zawołał, żeby nie przerywać ci drzemki. Mam do niej zadzwonić? Powiedziała, że siadają do kolacji, ale na pewno...

– Nie, nie. Jak się miewa?

– Ciężko pracuje nad tekstem. Mówi, że strasznie tam gorąco. I okropnie za nami tęskni, poza tym wszystko gra.

– Więc jej nie przeszkadzaj. – Daniel usiadł w fotelu i oparł łaskę o podłokietnik. – Strasznie zachciało mi się pić po tej drzemce.

Noah roześmiał się lekko i podszedł do stolika, służącego im za barek.

– Te drzemki ogromnie wyczerpują człowieka. Podwójna whisky?

– Z lodem.

– Dzwoniłem do delikatesów. Wkrótce dostarczą kanapki. sałatkę

ziemniaczaną z prawdziwym majonezem, ciasto czekoladowe i lody waniliowe na deser.

– Boże, jak ja uwielbiam kawalerskie życie. – Daniel westchnął błogo, przyjmując drinka. – To był jednak doskonały pomysł.

Maris postanowiła się przebrać do kolacji; okazało się, że dobrze zrobiła, bo po raz pierwszy od jej przyjazdu posiłek został podany w jadalni, bez żadnego szacunku dla ducha wisielca.

Włożyła sukienkę z szarego jedwabiu, którą kupiła na początku sezonu u Bergdorfa, sądząc, że będzie idealna na kolację w domku na wsi. Uznała, że cienki materiał, obcisły stanik i rozkloszowana spódnica pasują także do dworu na plantacji. Jako dodatek wybrała naszyjnik z białoróżowych koralików.

Mike zadbał o zachwycające przybranie stołu. Na środku stały wonne kwiaty magnolii w kryształowej czarze, otoczone srebrnymi świecznikami. Zastawa była porcelanowa, sztucze srebrne, a kieliszki kryształowe, piękne i kosztowne.

– Jakie cudne – powiedziała Maris, gdy Mike odsunął przed nią krzesło o smukłym oparciu.

– Nie zachwycaj się za bardzo – odezwał się Parker ze swojego miejsca u szczytu stołu. – To wszystko z wypożyczalni.

– Tak, z baru Terry'ego – dodał Mike z komiczną powagą. – Oprócz grilla i piwa prowadzi także ogromną wypożyczalnię nakryć.

Roześmiała się.

– Nie wiem, skąd pochodzą, ale podobają mi się.

– Należały do matki Parkera – wyjaśnił Mike, nalewając wino, choć przecież ta funkcja miała przypaść jej.

Spojrzała pytająco na Parkera.

– Ten serwis był przekazywany w rodzinie mamy z pokolenia na pokolenie. Dziedziczyła go zawsze najstarsza córka albo synowa. Moja matka nie miała ani jednej, ani drugiej, więc siłą rzeczy serwis musiała oddać mnie. Od jej śmierci trzymałem go w schowku. Dziś został wyjęty po raz pierwszy. – Zerknął przelotnie na Mike'a. – Nie pojmuję, co to za okazja.

Maris uniosła kieliszek.

– Za ukończenie *Zazdrości*.

– Chętnie za to wypiję. – Mike uniósł kieliszek.

– Jeszcze jej nie skończyłem – przypomniał Parker, ale i on podniósł kieliszek.

Kryształowe nóżki zadźwięczały cicho jak wietrzne dzwoneczki. Pinot Grigio było zimne i cierpkie, doskonale uzupełniało posiłek.

Może Parker nie dostrzegał tu żadnej specjalnej okazji, ale on również przebrał się do kolacji. Była ciekawa, czy Mike go do tego zmusił, czy też zdecydował się na to z własnej woli. I choć uczesał się, przejechał po włosach palcami, było mu do twarzy z taką rozczochraną fryzurą. Świeżo się ogolił; Maris czuła zapach mydła sandałowego. Miał na sobie te same spodnie co zwykle, ale wpuścił w nie koszulę, a rękawy podwinął tuż nad łokcie, ukazując muskularne ręce.

Światło świec zatuszowało bruzdy, jakie wyryło na jego twarzy wieloletnie cierpienie. Złagodziło gorycz rysów i ironię uśmiechu. Wydawał się rozluźniony i w dobrym humorze. Podczas posiłku zabawiał ich niesłychanymi opowieściami o Terry' m z baru. o którym krążyły pogłoski, iż dopuścił się najrozmaitszych przewinień, od nowoczesnego piractwa po handel narkotykami i białymi niewolnicami.

– Nie wiem, co z tego jest prawdą, jeśli w ogóle. Wiem jedno: Terry robi cholernie smaczne hamburgery.

Maris wzdrygnęła się na samo wspomnienie tawerny.

– Nikomu bym nie poleciła tej kanapy. Okropna klientela.

– Hej! – obraził się Parker.

Zręcznie skierowała rozmowę na temat książki.

– Napięcie rośnie.

– Między Roarkiem i Toddem?

– Prawie namacalnie. To, co dziś przeczytałam, świadczy, że wkrótce nastąpi wybuch.

– Nic ci nie powiem.

– Chociaż słówko, proszę...

Spojrzał na Mike'a.

– Myślisz, że powinienem zdradzić zwrot akcji?

Starszy pan zastanawiał się przez parę chwil.

– W końcu to twój wydawca.

– Tak, jestem twoją wydawcą – potwierdziła. Wszyscy parsknęli śmiechem. – A jeśli jesteś o krok od fatalnego błędu. Z wydawniczego punktu widzenia? Jeśli opowiesz mi o paru następnych scenach, mogę cię wyprowadzić z ewentualnych mielizn. Zaoszczędzisz sobie mnóstwo poprawek.

Parker przyjrzał się jej podejrzliwie.

– Wiesz, jak to zabrzmiało? Jak zawoalowana groźba.

– Wcale nie. – Rzuciła mu uśmiech słodki jak sacharyna. – To zwykłe wymuszenie.

Nakrył kieliszek dłonią i z roztargnieniem przesunął palcami po wzorze na kryształ. Patrzył na nią. Odpowiedziała wyzywającym spojrzeniem.

Mike odsunął krzesło i wstał.

– Kto ma ochotę na sorbet truskawkowy? Ze świeżych owoców.

– Pomóc ci? – spytała, nie odwracając spojrzenia od Parkera.

– Nie, dziękuję. – Mike zniknął za drzwiami.

Maris poczuła, że brakuje jej oddechu. W żołądku ją ścisnęło, choć przed chwilą zjadła kolację. Dwa kieliszki wina to zdecydowanie za mało, żeby zaczęło się jej kręcić w głowie. A zatem przypisała to nagłe zachwianie równowagi spojrzeniu Parkera – patrzył na nią, jakby była najsmaczniejszym daniem tego wieczoru.

– No, więc? Co będzie, drogi panie?

– Powiem ci, co będzie. – Jego oczy, wpatrzone w okolice jej biustu, powoli wróciły do jej twarzy. – Zagramy w wojnę.

Uniosła pytająco brew.

– Pamiętasz taką scenę ze *Słomianego wdowca*, w której Cayton i świadek zbrodni grają w tę grę?

– Mniej więcej – skłamała. Prawdę mówiąc, pamiętała ją doskonale. Ta scena wzbudziła sensację. „Pełna erotycznego napięcia”, napisano w „Publishers Weekly”.

– Ten świadek to kobieta. prawda?

– Francuzeczka. Delikatna, jasnowłosa i płocha. Swoje przezwisko zawdzięcza...

– To akurat pamiętam.

Uśmiechnął się szelmowsko, jak lis, który właśnie wypatrzył najtłustszą kurkę w stadzie. Maris czuła, że ta kurka to ona, ale nie zrobiło jej to żadnej różnicy. Była zajęta walką z idiotycznym uśmiechem, który rozciągał jej wargi.

Wreszcie udało się jej spoważnieć.

– Natomiast nie całkiem pamiętam zasady tej gry – dodała.

– Są łatwe. Bierze się zwykłą talię kart, obie osoby ciągną po jednej. Wygrywa starsza.

– Co wygrywa?

– Gdyby wygrał Cayton. Francuzeczka miała mu zdradzić kim jest morderca.

– A gdyby wygrała ona?

– Cayton miał jej wyświadczyć erotyczną przysługę

– On jej?

– Właśnie.

Dotknęła palcem warg, jakby nie mogła zrozumieć logiki te-go układu.

– Wydaje mi się... popraw mnie, jeśli się mylę... że w obu wypadkach to Cayton wygrywa.

– No wiesz, to on ustalił zasady, a głupi na pewno nie jest.

– Ale Francuzeczka...

– Ekstra laska, jakkolwiek na to patrzeć. Długie rude włosy. Nogi do nieba. Piegowate cycuszki. I pupcia, która... no, już wiesz. Ale, niestety, nie jest najbystrzejsza.

– Więc w rezultacie Caytonowi dostała się i informacja, i laseczka.

– Świetny pomysł, nie?

– I myślisz, że nie jestem mądrzejsza od Francuzeczki? Mam się dostosować do tych zasad?

– Zależy.

– Od tego, jak bardzo pragnę poznać dalszą akcję?

– Od tego, jak bardzo pragniesz erotycznej przysługi.

Rozdział dwudziesty szósty

Daniel trzymał w dłoni ostatnie dzieło w prawniczej karierze Howarda Bancrofta. Noah zaczekał do kolacji, zanim mu je zaprezentował. Siedzieli w przytulnym salonie, oświetlonym tylko blaskiem lamp stołowych.

Daniel skończył czytać tekst pełnomocnictwa. Spojrzał na Noaha ponad okularami.

– Więc jednak coś się kryło za tym wspólnym męskim weekendem.

Noah wydmuchnął kłęb dymu z cygara.

– Ależ skąd. Mogłem ci to dać w mieście. W każdej chwili.

– Ale zrobiłeś to tutaj. Dlaczego?

– Bo tutaj, na wsi, nic cię nie rozprasza. Możemy porozmawiać spokojnie, z dala od biura, w którym ciągle się coś dzieje, zdała od Maxine, która się nad tobą trzęsie jak kwoka. Możemy porozmawiać szczerze, jak mężczyzna z mężczyzną.

Widział, że stary jeszcze się waha. Tego się spodziewał. Prawdę mówiąc, był przygotowany raczej na wybuch. Daniel zareagował dziwnie spokojnie.

Ale stary był uparty i nieprzewidywalny. Jego nastrój mógł się zmienić drastycznie z sekundy na sekundę. Wybuch mógł nastąpić w każdej chwili. Noah przyglądał się nieufnie, jak Daniel podnosi się ciężko z fotela i sięga po laskę. Pochylił się ku niemu.

– Podać ci coś, Danielu? Jeszcze porto? Przyniosę.

– Sam wezmę, dziękuję – rzucił Daniel opryskliwie.

I tak zrobił. Noah trwał w starannie ukrytym zdenerwowaniu. Nogi opierał na otomanie przed fotelem, każdy mięsień jego ciała był rozluźniony. Tak jakby jedyną jego troską było wydmuchiwanie ku sufitowi równych kóleczek dymu.

Daniel wrócił na fotel. Odezwał się dopiero po paru łykach porto.

– Jeśli to spotkanie rodzinne, dlaczego zdecydowałeś się je zwołać pod nieobecność Maris?

Noah nie spieszył się z odpowiedzią. Spojrzał na żarzący się koniuszek cygara, jakby starannie dobierał i analizował słowa.

– To wyjątkowo delikatna kwestia, Danielu.

– O to właśnie mi chodzi.

– Mnie także. Nie jest to rzecz, o której można jej powiedzieć przez telefon. – Pociągnął łyk szkockiej. Odstawiając szklanekę na stolik, zauważył ślubną fotografię. Dotknął w zamyśleniu srebrnej ramki, uśmiechnął się ciepło. – Maris reaguje najpierw sercem, potem głową. – Odnalazł spojrzeniem Daniela i dodał: – Ty to wiesz. Znasz ją dłużej ode mnie.

– Nie jest dzieckiem.

– To prawda. Jest kobietą, jej instynkt i reakcje są na wskroś kobiece. I urocze. Dzięki nim stała się tą cudowną osobą, jaką jest. Ale nie zawsze wychodzą jej na dobre w sprawach zawodowych. Pamiętasz, jak porywczo zareagowała w zeszłym tygodniu, gdy dowiedziała się o moim spotkaniu z WorldView? Sądzę, że jej reakcja na ten dokument będzie jeszcze bardziej irracjonalna. – Przez parę chwil patrzył nieruchomo na kartki, leżące na stoliku pomiędzy nimi. – Jeśli znam moją żonę, zacznie panikować. Pomyśli, że chronimy ją przed czymś brzydkim. Zacznie sobie wyobrażać Bóg wie co. Że masz raka. Że czekasz na transplantację serca. Że... no, rozumiesz. Bóg jeden wie, co jeszcze przyjdzie jej do głowy, a my zaharujemy się na śmierć, rozprasząc jej lęki.

Pokręcił głową i roześmiał się cicho.

– W zeszłym tygodniu oskarżyła nas, że odsunęliśmy ją na margines i niesłusznie bronimy przed nieprzyjemnymi sytuacjami. Gdyby...

– Gdybym podpisał ten dokument bez jej wiedzy, byłaby na nas wściekła.

– Bez wątplenia. Chodzi tylko o to, kiedy zrobi nam taką scenę jak w zeszłym tygodniu. Przed czy po podpisaniu dokumentu. Jeśli przed, jej reakcja będzie bardziej długotrwała. Każe ci się poddać wszelkim możliwym badaniom, zanim przyjmie do wiadomości, że nie jesteś jedną nogą na tamtym świecie. Jeśli po, reakcja będzie krótsza. Osobiście sądzą, że to najlepsze wyjście. Wszyscy możemy lepiej spożytkować nasz czas i energię. – Zaciągnął się cygarem. – Ja także myślę o Maris. Usiłuję jej oszczędzić trudnej decyzji. Ona nie potrafi się zmusić do myślenia o pewnych nieuniknionych sprawach.

– Jak na przykład moja śmiertelność.

Noah przytaknął poważnie.

– Albo choćby perspektywa ograniczonej sprawności fizycznej. Maris po prostu nie przyjmuje tego do wiadomości. Zawsze byłś jej bohaterem. Ten dokument byłby dla niej zdradą tego wyobrażenia. Mogłaby nawet uznać, że podpisując go, kusimy los. Że kiedy go podpisze, ciebie natychmiast dotknie jakaś straszna choroba.

Zrobił strategiczną pauzę, udając, że zastanawia się nad zachowaniem żony.

– Z całą szczerością, wątpię, by Maris w ogóle podpisała pełnomocnictwo... chyba że zobaczy na nim twój podpis. To uspokoi jej sumienie i poczucie

odpowiedzialności.

Daniel wziął dokument, w zamyśleniu skubnął dolną wargę.

– Nie jestem kretynem.

Noah poczuł, że serce przestaje mu bić.

– Rozumiem, że taki dokument jest bardzo ważny.

Noah powoli odetchnął i, usiłując zachować spokojny ton, odparł:

– Howard też tak chyba myślał. To on go opracował.

– I to mnie zastanawia. Howard wiedział o istnieniu podobnego pełnomocnictwa, a także mojego testamentu i innych osobistych dokumentów. Pan Stern przygotował je przed wielu laty, ale Howard miał ich kopie.

– Wyjaśnił mi, że są przedawnione.

Teraz następowała trudna część. Aż do tej chwili Noah uważał, że to dopiero wprawka. Jego argumenty były rozsądne i – jak zauważył Daniel – ważne. Ale teraz musiał wykonać parę skomplikowanych ruchów. Jeden fałszywy krok mógł go kosztować przegraną.

Z wykalkulowaną niedbałością strzepnął popiół z cygara do cynowej popielniczki.

– Moim zdaniem Howard zdał sobie sprawę, że stary dokument się zdezaktualizował. Najpierw zwrócił się z tym do mnie, nie do Maris... z przyczyn, o których już rozmawialiśmy. Nie chciał jej denerwować.

– Dlaczego nie do mnie?

– Z tego samego powodu. – Odwrócił wzrok, jakby to, co miał powiedzieć, było dla niego zbyt bolesne. – Howard bał się twojej reakcji. Nie chciał, byś pomyślał, że według niego nie jesteś już zdolny do podejmowania takich decyzji.

– Byliśmy na to zbyt dobrymi przyjaciółmi – warknął Daniel. – Na miłość boską, od dziesiątek lat nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Żartowaliśmy ze słabości podeszłego wieku.

– Tu chodzi o coś więcej niż narzekanie na reumatyzm. Howard miał świadomość delikatnej natury tego dokumentu. – Noah uniósł rękę, widząc, że Daniel zamierza mu przerwać. – Powtarzam tylko, co od niego usłyszałem. Bał się, że się obrazisz.

– I zastrzelę posłańca?

Noah wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Coś w tym stylu”.

– To tak osobista, prywatna sprawa, że lepiej było, by ktoś z rodziny cię o niej

powiadomił.

Daniel sapnął i pociągnął łyk porto. Znowu przejrzał dokument. Zatrzymał się nad jedną z klauzul i zaczął ją czytać od nowa. Noah wiedział, która z nich przyciągnęła jego uwagę.

– Dopóki Maris tego nie podpisze...

– Tylko ja będę dysponował pełnomocnictwem. Wiem. Ja też dostrzegłem ten słaby punkt.

– Dlaczego Howard sformułował dokument w ten sposób, skoro wiedział, że to niezgodne z moim życzeniem? Nie żebym ci nie ufał, ale Maris to Matherly Press i vice versa. Nie wolno podejmować decyzji bez jej udziału i aprobaty.

– Oczywiście. Howard o tym wiedział. Podobnie jak ja. Jak wszyscy. Zwróciłem mu uwagę na tę lukę. Przeraził się, wyznał, że to przeoczenie. – Noah zachichotał cicho. – To chyba jego przyzwyczajenia rodem ze Starego Świata. Uważał Maris za córkę i żonę, nie osobę kierującą firmą obracającą dziesiątkami milionów dolarów. Miał dla niej wyjątkowe uczucie, jak sam wiesz, i prawdopodobnie nadal widział w niej słodką dziewczynkę z mysimi ogonkami, którą tak często kołysał na kolanach. Więc poprosiłem, żeby dodał na ostatniej stronie kodycył stwierdzający, że dokument jest nieważny, dopóki nie podpiszemy go wszyscy troje.

Miał nadzieję, że Daniel nie zauważy, iż ostatnią stronę da się w niezauważalny sposób odłączyć od całości dokumentu tak, że będzie on nadal wyglądać na nietknięty. Był to efekt gorączkowych rozmyślań, pomysł, na który powinien wpaść już wcześniej. Kodycył opracował wynajęty prawnik, ten sam, dzięki któremu Noah zaszantażował Bancrofta. Prawniczy żargon brzmiał wiarygodnie, choć brakowało mu klasy oryginalnego dokumentu. Noah miał nadzieję, że Daniel nie zauważy także tego.

Zaciągnął się cygarem po raz ostatni i zgniótł je w popielniczce. Lekko klepnął się po udach i wstał.

– Jestem skonany. Ty chyba musisz się z tym przespać. Możemy o tym porozmawiać później. Wiesz już, co chciałbyś zjeść na śniadanie? Mamy tyle jedzenia...

– Nie muszę się zastanawiać – przerwał mu Daniel gwałtownie. – Podpiszę to cholerne pełnomocnictwo i skończmy już z tym. Mam dość gadania.

Noah się zawahał.

– Nie podejmuj pochopnej decyzji. Wróćmy do miasta, niech pan Stern nam doradzi.

– Mam kwestionować decyzję mojego zmarłego przyjaciela? Nie.

Samobójstwo Howarda już obudziło niesmaczne domysły. Nie chcę, żeby ludzie plotkowali o jego niekompetencji. Gdzie to cholerne pióro?

– Sam podpis nie daje dokumentowi mocy prawnej. Trzeba go potwierdzić u notariusza. – Był to kolejny potencjalny problem z oczywistym rozwiązaniem – prawnik, którego żądza pieniędzy była silniejsza od zasad. Po załatwieniu sprawy Noah będzie musiał się z nim rozprawić, żeby uniknąć ewentualnego szantażu, ale to była sprawa na potem.

– Natychmiast po powrocie do miasta nadamy mu moc prawną – burknął Daniel. – Ale chcę to załatwić już dziś. Dla własnego spokoju. W przeciwnym razie nie będę mógł odpocząć ani myśleć o śniadaniu czy o czymkolwiek innym. Jutro nie życzę sobie problemów większych od założenia przynęty na haczyk. Więc daj mi wreszcie to cholerne pióro.

Noah grał jak natchniony – tak to przynajmniej oceniał. Z wahaniem podał pióro Danielowi, lecz zanim je wypuścił z palców, spojrzał mu głęboko w oczy.

– Sporo dziś wypiteś – odezwał się głosem ociekającym troską. – Czy nie lepiej zaczekać, aż...

Daniel wyrwał mu pióro z ręki i nagryzmolił swoje nazwisko w wyznaczonym miejscu.

Uroczysta kolacja na Wyspie Świętej Anny przeniosła się na werandę, ponieważ do jadalni wtargnęła osa.

Bzyczące okropieństwo pojawiło się nie wiadomo skąd i wylądowało na krawędzi nietkniętej jeszcze filiżanki. Maris wydała słaby pisk – w bardzo nieodpowiednim momencie, bo tuż po tym, jak Parker wspomniał o erotycznej przysłudze.

Przypomniawszy sobie, jak przed wielu laty instruktor z letniego obozu radził, co zrobić, gdy w pobliżu pojawi się jadowity owad, zastygła w bezruchu.

Parker po krótkiej chwili oszołomienia dostrzegł prawdziwą przyczynę pisku i wrzasnął:

– Mike! Spray na owady! Szybko!

Mike wpadł do jadalni, uzbrojony w środek w aerozolu. Strzał trafił w cel z przerażającą precyzją i po chwili cała trójka, opędzając się od trujących oparów, była świadkiem męczeńskiej śmierci owada.

Parker wysunął podejrzenie, że osa ukryła się w kwiatach magnolii. Mike odparł, że gdyby tak było, pojawiłaby się dużo wcześniej. Zanim kłótnia rozpełtała się na dobre, Maris taktownie zauważyła, że owad mógł wtargnąć do domu na wiele sposobów, i zaproponowała, by zjedli deser na werandzie, gdzie zapanuje przyjemny chłód, jeśli Mike włączy wentylatory, przemyślnie zainstalowane podczas remontu domu.

Mike podał różowe sorbety w zamrożonych kompotierkach, ozdobionych gałązkami mięty. Maris poprosiła o przywilej nalania kawy i zrobiła to w pełen wdzięku sposób, którego nauczyła ją Maxine. Udało się jej ani razu nie szczerknąć filiżanką o spodeczek.

Parker przyjrzał się niechętnie filiżance z cienkiej porcelany.

– Nawet nie poczuję smaku, tu się zmieściło najwyżej parę kropel. Co złego jest w zwykłym kubku?

Maris i Mike zlekceważyli jego gderanie. Maris kołysała się błogo na wiszącej ławeczce, nasłuchując odgłosów nocy, tak obco brzmiących w dniu, w którym się tu zjawiała, a teraz tak znanych.

– Dam ci pensa, jeżeli powiesz, o czym myślisz – odezwał się Parker.

– Zastanawiałam się, czy zdołam się na nowo przyzwycząić do warkotu ulic Manhattanu. Przywykłam do cykad i żab.

Mike zebrał puste kompotierki na tacę i zaniósł je do domu. Parker zaczekał, aż zniknie z pola widzenia.

– Zamierzasz nas wkrótce opuścić?

Wentylator owionął jego głowę delikatnym powiewem. Światło z salonu padało tylko na połowę twarzy; druga tonęła w cieniu. Maris nie widziała jego oczu i ich wyrazu.

– W końcu będę musiała odjechać – powiedziała cicho. – Kiedy skończysz pierwszą wersję *Zazdrości* i nie będziesz już mnie potrzebował.

– To dwie zupełnie różne sprawy, Maris.

Znowu poczuła ściskanie w żołądku.

Drzwi skrzypnęły znajomo i kojąco; Mike pojawił się z dzbankiem kawy i kubkiem dla Parkera. Usiadł w wiklinowym fotelu, który zatrzęszczał niebezpiecznie. Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Mam nadzieję, że ten zabytek się nie rozpadnie – mruknął Parker.

– Mówisz o mnie czy o fotelu?

– Nie odważę się na nim usiąść – powiedziała Maris, klepiąc się po brzuchu. –

Za dużo zjadłam.

– To była pyszna kolacja – dodał Parker. – Dziękujemy, Mike.

– Bardzo proszę. – Mike leniwie mieszał kawę. – Teraz do pełni szczęścia potrzeba nam tylko dobrego opowiadania.

– Hmm... Gdybyśmy tylko znali kogoś, kto dobrze opowiada... – Maris zerknęła na Parkera spod spuszczonej rzęsy.

Parker skrzywił się niechętnie, ale ich prośba mu pochlebiła. Splótł dłonie i przeciągnął się z rękami nad głową, aż zatrzeszczały stawy.

– Dobra, dobra. Nie mogę walczyć z dwojgiem naraz. Na czym skończyłaś?

– Poszli na plażę i razem wykończyli butelkę whisky – odpowiedziała Maris. Scena na plaży nadal stała jej przed oczami. – Ciągle nie rozumiem, dlaczego muszą się tak wulgarnie wyrażać.

Parker zmarszczył brwi. Dał Maris znak, żeby mówiła dalej.

– Todd oskarżył Roarka o umyślne lekceważenie uwag profesora.

– Czytałaś już ten moment, kiedy Roark się wkurzył?

– Tak, i miał rację. Nigdy nie dał Toddowi powodu do podejrzeń.

– Przeciwnie, to Todd przy licznych okazjach go zawodził – zauważył Mike.

– Ostatnio z Mary Catherine. Chyba muszę dodać jeszcze jedną scenę z jej udziałem – powiedział Parker na poły do siebie. – Może jednak powie Roarkowi, że to było dziecko Todda.

– Myślałam, że czytelnik miał dojść do własnych wniosków.

– Miał. Ale może zmienię zdanie. To wzmocni narastający rozdźwięk między Roarkiem i Toddem. A gdyby... – Chwilę się zastanawiał. – A gdyby Todd rzucił Mary Catherine? Zacznie jej unikać. Nawet pożali się Roarkowi, że dziewczyna mu się narzuca, nie daje spokoju, coś w tym rodzaju. A tymczasem Mary Catherine zwierzy się Roarkowi. Przyzna się, że poroniła dziecko Todda, że jest w nim zakochana i tak dalej. Roark ją lubi, to on posprzątał po Toddzie – dosłownie – więc teraz nie może spokojnie patrzeć na to, jak Todd ją traktuje.

– Czy Todd wie o dziecku? – spytała Maris.

– Nie, nie sędzę. Mary Catherine nie chce mu powiedzieć, a Roark nie zawiedzie jej zaufania.

– Mówiłam ci, że to honorowy facet.

– Nie tak szybko – odparł Parker cicho. – Nie uderzyło cię, że zbyt głośno zaprotestowałam, kiedy Todd oskarżył go o nieuczciwość?

Powoli kiwnęła głową.

– Właściwie... jeśli się zastanowić... Czy profesor nie skrytykował go tak jak Todda?

Parker wyjął z kieszeni na piersi kilka złożonych kartek.

– Trzasnąłem to w ostatniej chwili przed kolacją.

Wyciągnęła rękę, ale Mike zaproponował, żeby je przeczytał na głos.

– Chcesz? – spytał Parker, zwracając się do Maris.

– Zdecydowanie tak. Proszę.

Rozdział dwudziesty siódmy

Parker rozłożył kartki i przechylił je do światła.

– „Drogi panie Slade – zaczął. – W swoim liście zażyczył pan sobie, bym wysyłał dalszą korespondencję na adres skrytki pocztowej, od niedawna będącej w pańskim posiadaniu. Jako że nie zmienia to w niczym mojej sytuacji, mogę jedynie przyjąć, iż prośba pańska wypływa ze znanych tylko panu powodów, dla których dąży pan do własnego komfortu”.

Wzdrygnął się.

– Dobry Boże. Ależ wygadany stary drań, co?

– No, wiesz, w końcu uczy twórczego pisanie – zauważyła Maris. – Można się spodziewać, że będzie się posługiwał kwiecistym stylem.

– Kwiecisty styl to coś zupełnie innego, to tu jest nieznośne!

Parker rzucił swemu niedyskretnemu służącemu spojrzenie spode łba.

– Wielkie dzięki za tę nieproszoną i nietaktowną uwagę.

– Pierwszy zacząłeś krytykować.

– Mnie wolno, jestem autorem.

Maris zdławiła śmiech.

– Może jednak zastanowisz się nad odchudzeniem stylu. Tylko odrobinę.

– W porządku. Nie ma sprawy. Ale z drugiej strony – to tak na marginesie – kwiecisty styl Hadleya jest jego nieodłączną cechą charakterystyczną. Pamiętaj, że szczyt się pochodzeniem ze starej, błękitnokrwistej rodziny południowców. Mieli więcej dumy niż pieniędzy i żyli ponad stan. Szable konfederatów na ścianie w salonie. Matka rodu, która jako lekarstwa na migrenę używała zacieru. Ciotka, stara panna i wariatka – czytaj: zdeflorowana i porzucona – mieszkająca na strychu, pachnąca gardenią i niebiorąca do ust surowych owoców.

– Pamiętam te barwne szczegóły – potwierdziła.

– Moi dziadkowie mieli takich przyjaciół – wyjaśnił. – Pamiętam, że wypowiadali się kwiecicie i rozwlekle.

Maris spojrzała na Mike'a, szukając u niego potwierdzenia.

– Odwołuję się do twojej wspaniałej znajomości kultury i dziedzictwa Południa. Czy to przesada?

– Oczywiście, że przesadził, jak zwykle. Ale jest w tym ziarno prawdy. Wystarczy się przyjrzeć z bliska, żeby się przekonać, że niemal w każdej wielopokoleniowej rodzinie południowców był co najmniej jeden duchowny, jeden wariat, jeden przestępca i tyle alkoholu, że można by upoić całą armadę.

Roześmiała się i spojrzała na Parkera.

– Co było dalej?

Znalazł miejsce, w którym skończył czytać.

– „Kiedy zbuduje się związek, oparty na pewnych fundamentach. niezwykle trudno jest zniszczyć te fundamenty i zastąpić je innymi, nie burząc jednocześnie pierwotnego związku”.

– Zgubiłem się – powiedział Mike. – O co mu chodzi?

– Zgodziłem się odchudzić styl, tak? – warknął Parker, rozdrażniony pytaniem. Przesunął palcem po paru liniijkach tekstu. – Krótko mówiąc, chodzi o to. że zaczęli jako profesor i student. Hadley twierdzi, że trudno jest wyzbyć się przyzwyczajenia, które nakazuje mu rozmawiać z Roarkiem z pozycji profesora, pouczać i radzić, a jeszcze trudniej zwracać się do niego jak do kolegi. – Spojrzał na Mike'a. – Jasne?

– Teraz tak.

– Dobrze, więc... „Oczywiście nie jestem pańskim kolegą. Nie mam dostatecznych kwalifikacji, by krytykować pański tekst. Zasługuje on na ocenę kogoś znacznie dostojniejszego, choć nie znajdzie pan gorliwszego ode mnie wielbiciela pańskiego talentu”. I tak dalej przez parę akapitów. Wyznaje, że kiedyś sam miał pisarskie aspiracje, dopóki do niego nie dotarło, że nie posiada talentu. Twierdzi, że jego zadaniem jest uczyć, krytykować, inspirować, bum tralala.

Przewrócił kartkę.

– „Rzadko się zdarza, by ktoś o tak ograniczonych możliwościach jak ja miał okazję pracować z kimś tak utalentowanym jak pan. Uważam za wielki przywilej możliwość uczestnictwa w rozwoju wielkiego amerykańskiego pisarza, którym – w co głęboko wierzę – wkrótce się pan stanie”.

Parker uniósł palec wskazujący, dając znak, że zbliża się do najważniejszego miejsca.

– „Pańska twórczość przewyższa o niebo teksty pozostałych studentów, dawnych czy obecnych, w tym także pańskiego przyjaciela Todda Graysona. Napisał on interesującą opowieść, w której występuje kilka ciekawych postaci, zwłaszcza protagonista. Jednak w jego stylu brak głębi emocjonalnej i uczuć, którymi tętni pański tekst. Nie mam wątpliwości, że jego książki będą wydawane. Potrafi on wyprodukować technicznie poprawny tekst, w którym zastosuje wszystkie podręcznikowe zasady. To jednak nie znaczy, że pisze dobrze.

Potrafię nauczyć studentów podstaw, zaznajomić ich z regułami fikcji literackiej, zapoznać z twórczością mistrzów pewnych technik, ale talent pochodzi od Boga. Tego niesprecyzowanego i ulotnego pierwiastka nie można się nauczyć czy zdobyć, choćby się pragnęło tego z całej duszy i ze wszystkich sił. Tej smutnej prawdy nauczyłem się na własnym przykładzie. Gdyby talent można było wypracować, byłbym autorem wielu powieści.

Proszę podziękować Bogu, do którego się pan modli, za to, że pobłogosławił pana tą magiczną zdolnością. Został pan obdarzony rzadkim i cudownym talentem. Pański przyjaciel – nie. Obawiam się, że kiedyś ten nieproporcjonalnie rozdzielony dar stanie się przyczyną rozdźwięku między wami.

W czasie mojej kariery uniwersyteckiej obserwowałem tysiące młodych mężczyzn i kobiet pochodzących z najróżniejszych środowisk, dlatego uważam się za wytrawnego znawcę charakterów. A przynajmniej jestem wnikliwym ich obserwatorem. Niektóre cechy ludzkiego charakteru są wspólne dla nas wszystkich. Ujawniają się w sposób zależny od okoliczności. Każdy przeżywał chwile strachu, szczęścia, frustracji i tak dalej. Inne zaś są właściwe tylko pewnym osobom. Określają je i ich charakter. Wśród tych cech znajdują się perły w rodzaju pokory, dobroczynności, odwagi. Niestety, mają one także swoje mroczne odpowiedniki: pychę, chciwość, zazdrość. Osoba, którą powoduje jedna z tych cech, na ogół maskuje ją wdziękiem i przeważnie potrafi ukryć, ponieważ łączy się ona zawsze z umiejętnością oszukiwania. Ale wciąż trwa w tej osobie, dojrzewa wraz z nią, rośnie w niej jak węgorez ukryty w grocie. Aż wreszcie nastąpi moment, kiedy nosiciel tej cechy zaatakuje wszystko i wszystkich, którzy staną mu na drodze.

Nie chciałbym wyrażać się źle o pańskim przyjacielu. Pragnę wierzyć, że tym razem wyczucie mnie zawiodło i że okrutnie pomyliłem się co do motywów, jakie nim kierują. Jednak pamiętam, że spóźnił się pan na spotkanie ze mną właśnie w wyniku machinacji pana Graysona. Mówiąc wprost, był to podły kawał w którym wyczułem nutę złośliwości. Dziwię się, że wasza przyjaźń to przetrwała. Sądzę, że to wyłącznie pańska zasługa. Wątpię, żeby pan Grayson był zdolny do wybaczenia, co stanowi kolejną różnicę między wami.

Nie posunę się do tego, by wybierać panu przyjaciół. Nie chciałbym przyjąć za to odpowiedzialności, nawet gdyby dał mi pan wolną rękę. Ale zakończę ten list wyrażeniem, które czasem słyszę w miasteczku uniwersyteckim. Jest to współczesny idiom, okrutnie kaleczący język angielski, jednak w tym kontekście wydaje się odpowiedni: miej oczy dookoła głowy.

Czekam niecierpliwie na możliwość przeczytania następnej wersji pańskiego tekstu. W listach swoich zwykł pan przeproszać za to, że zabiera mi pan czas, i dziękować za uwagę, z jaką studiuję pańską pracę. Drogi panie, chcę to powiedzieć jasno: to przywilej, nie przysługa. Z poważaniem, profesor Hadley”.

Parker złożył kartki i wsunął je do kieszeni koszuli. Przez parę minut nikt się nie odzywał. Maris siedziała nieruchomo, ukołysana słowami i głosem Parkera.

Wreszcie otrząsnęła się z lekkiego odrętwienia i zakołysała ławeczką.

– Więc Todd miał dobre przeczucie. Hadley naprawdę był łaskawszy dla Roarka.

Parker przytaknął.

– A Roark postąpił nieuczciwie.

– Nie sędzę.

Spojrzał na nią z taką uwagą, że poczuła się w obowiązku rozwinąć myśl.

– Todd nie zareagowałby dobrze, gdyby Roark mu powiedział: masz rację. Hadley uważa, że twój talent jest ograniczony, a ja będę drugim Steinbeckiem.

Mike przyznał jej rację.

– Gdyby Roark powiedział mu na tej plaży prawdę, Todd zerwałby ich przyjaźń i nie byłoby dalszego ciągu. Koniec.

Parker mruknął coś buntowniczo.

W trakcie czytania stracił dobry humor; Maris nie rozumiała, dlaczego. Tekst zainteresował i ją, i Mike'a. List stanowił sprytny sposób przesunięcia akcji dalej, nie uciekając się do zwykłej narracji. Oboje przyjęli go dobrze, więc nie mogła się obarczać odpowiedzialnością za nagle spochmurnienie Parkera.

– Co cię dręczy?

– Roark ma być tym dobrym, tak? Facetem w białym kapeluszu?

– To tylko jedna strona medalu.

– Nie przeszkadza ci, że oszukał przyjaciela?

– Kierował się dobrymi chęciami. Chciał oszczędzić Toddowi tego, co Hadley nazwał „smutną prawdą”, ponieważ wiedział, że byłaby dla niego druzgocząca. Todd po prostu nie był tak utalentowany jak on. Roark mógł wyczuć, że Toddowi brakuje...

Strzeliła palcami.

– Nie, on to wiedział! Prawda? Oczywiście, że tak, wiedział, że jest lepszy. Musiał to wiedzieć. Po co zakładałby sobie skrytkę pocztową? Bał się, że Todd przechwyci któryś z listów pochwalnych Hadleya.

– Nic się przed tobą nie ukryje – powiedział Parker z wyraźną ulgą. – Teraz zapomnij, że o tym wiesz.

– Dlaczego?

– Bo w następnym rozdziale wydarzy się najważniejsze.

– Wzmianka o skrytce pocztowej była zapowiedzią?

Uśmiechnął się enigmatycznie.

– Todd przechwyci list, tak? – zgadła. – Może nawet ten, bo ten stanowiłby największe zagrożenie dla ich przyjaźni. Podkreśla rozdźwięk ich zdolności i charakterów. Todd... hm, powiedzmy, że pożyczą od Roarka dzinsy, może nawet bez jego wiedzy, i znajduje w kieszeni list.

– Dzięki. Jeszcze nie wpadłem na to, jak się do niego dobierze. To było niezłe.

Rozpromieniła się w uśmiechu.

– Todd czyta list. Prawie nie wierzy własnym oczom. Jego potajemny lęk stał się jawą. Roark jest od niego lepszy. Właśnie dlatego chciał przecież popsuć jego stosunki z profesorem Hadleyem. I proszę, zupełnie mu się nie udało. Nawet gorzej, fortel zaszkodził jemu samemu. Hadley go rozszyfrował. Co więcej, uznał talent Roarka. To dla Todda podwójnie silny cios. Więc reaguje... jak?

– Ty mi powiedz.

Skoncentrowała się, nieświadoma, że skubie zębami kącik ust.

– Chciałam powiedzieć, że powinien się załamać, ale teraz uważam, że to do niego nie pasuje. – Pokręciła głową. – Nie, jest za bardzo w siebie zapatrzony, żeby dać się zniszczyć jakiemuś profesorowi. Myślę, że wpadnie w szal. Okropny. – Wsunęła we włosy palce, zakrzywione jak szpony. – Morderczy, niszczący szal.

– Jak go wykorzysta?

– Rzuci się na Roarka.

– Nie.

– Parker... – odezwał się Mike cicho.

– Nie jest na tyle uczciwy, by zmierzyć się z nim oko w oko. Todd...

– Parker – powtórzył Mike.

– ...będzie czekać. I...

– Parker.

– I...

– Parker!

– Cholera, Mike! Co?

Odwrócił się jak burza, ale Mike nie drgnął pod jego surowym spojrzeniem.

Odpowiedział tym samym. Powietrze między nimi jakby zgęstniało od napięcia, tak jak tego ranka w kuchni. W obu przypadkach nastąpiła między nimi telepatyczna wymiana myśli, których Maris nie potrafiła rozszyfrować.

Parker ustąpił pierwszy. Zamknął oczy i pomasaował czoło.

– Przepraszam, Mike. Wybacz. Dałem się ponieść.

– Nie szkodzi. Wiem, że nie lubisz, kiedy ci się przeszkadza.

– Kolacja była świetna.

– Już mówiłeś.

– A, tak. Prawda. I tak dziękuję.

– Proszę bardzo. Cieszę się, że ci smakowała. – Mike wstał i zabrał srebrną tacę z dzbankiem i filiżankami. – Uciekam, zanim komary zjedzą mnie żywcem.

– Świetny pomysł. Dobranoc.

– Dobranoc, Mike – powtórzyła Maris.

W drzwiach Mike odwrócił się do Parkera.

– Czy mam zaczekać i pomóc...

– Nie, nie. Dziś dam sobie radę. Idź spać.

Mike się zawahał, spojrzał na Maris, skinął głową i zniknął za drzwiami.

Kiedy zostali sami. Maris uniosła rękę w bezradnym geście.

– Wyjaśnij mi, co się stało.

– Kiedy?

– Teraz. Między tobą i Mikiem.

– Nic.

– Parker! – krzyknęła z rozpaczą.

Otworzył szeroko oczy z miną niewiniątka.

– Nic.

Wbiła w niego surowe spojrzenie, ale nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia. Zerwała się z huśtawki.

– Proszę bardzo, dalej baw się sam. Dobranoc.

– Nie odchodź w złości.

– Więc nie traktuj mnie z góry, nie cierpię tego. Przeciągnął dłońmi po twarzy.

– Masz rację. Przepraszam. – Odetchnął głęboko i odwrócił głowę w stronę szpaleru dębów. – Chodzi o to... o to coś między Mikiem i mną. Czasami Mike widzi, że nachodzi mnie mrok. Podłość. Brzydota. Tak jak wtedy, kiedy mnie znalazł. On się chyba tego boi. Boi się, że znowu wpadnę w to bagno. Wyciąga mnie z niego, zanim się zdążę zanurzyć.

Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

– To mniej więcej tyle.

– Dziękuję.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Parker uśmiechnął się krzywo.

– Ależ to był wieczór. Jak na kolejce śmierci.

– Owszem. Ale nie oddałabym z niego ani minuty.

Wyciągnął do niej rękę, objął palcami jej nadgarstek, pociągnął ku sobie. Przysunęła się, ale nie aż tak blisko, jakby chciał. Objął ją w talii i przyciągnął bliżej. Drugą ręką otoczył jej szyję, pochylił ku sobie. Położyła dłonie na jego szczupłych policzkach. Ich wargi i języki zagubiły się w szaleństwie pożądania.

Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, Parker przytulił twarz do jej brzucha.

– Pragnąłem tego przez cały dzień.

– Czasami się zastanawiałam, czy nie zapomniałeś o wczorajszej nocy.

Parsknął krótkim, ochrypłym śmiechem.

– Zapomniałem? Zapomnij.

Jego głowa otarła się przez jedwab sukienki o jej piersi. Wilgoć oddechu dotarła aż do skóry. Objął jej pośladki, wtulił się w nią twarzą.

Westchnęła, przeczesła palcami jego włosy.

– Ach... proszę...

– Tak, co zechcesz. Tylko poproś.

– Więc... hm...

– Tak?

– Nie mogę.

– Możesz. Już to zrobiłaś. Wczoraj. Pamiętasz?

Jego dłoń wśliznęła się pod sukienkę, odnalazła nagie ciało, wcisnęła się

między uda. Kolana ugięły się pod nią, ale odsunęła rękę i cofnęła się o krok.

– Nie mogę. Nie możemy.

Z trudem złapał oddech, zamrugał powiekami, by skoncentrować zamglony wzrok.

– Dlaczego?

Oblizła wargi, na których został jego smak.

– Martwię się o ojca.

– O ojca? – Wyglądał tak, jakby nie znał tego słowa. – Ojca? Boisz się, że będzie temu przeciwny? Że wpadnie tu ze strzelbą? O co chodzi?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie, nie o to. Przez cały dzień nie mogę się do niego dodzwonić.

Pokrótce opowiedziała mu o swoich wysiłkach.

– Wreszcie, tuż przed kolacją, udało mi się znaleźć Maxine w domu jej siostry. Zawsze do niej wpada, kiedy ma wolny dzień. A to nie zdarza się często. W każdym razie Maxine powiedziała, że tato pojechał do naszego wiejskiego domku w zachodnim Massachusetts na cały weekend. Pojechał razem z Noahem. Obaj chcieli, żeby została w domu. Woleli pojechać sami.

– I co z tego? Są dorośli. Co ma wspólnego ich wyjazd z Nowego Jorku z naszymi pieszczołkami na werandzie?

– Nic. Nie bezpośrednio.

– Więc nie rozumiem.

– Maxine czuwa nad ojcem jak jastrząb. Albo jak kwoka. Nie martwiłabym się, gdyby mu towarzyszyła. Ale nie podoba mi się, że jest sam.

– Nie jest.

Nie, jest sam na sam z Noahem.

Nie powiedziała Parkerowi, że Noah zapewnił Maxine, iż Maris wie o ich weekendowych planach i je popiera. Lojalna Maxine wpadła w rozpacz na wieść, że Maris dowiedziała się o tym dopiero od niej.

– Dlaczego pan Reed wprowadził mnie w błąd? – spytała.

Właśnie, dlaczego?

Maxine powiedziała także, że Daniel przyjął na śniadaniu jakiegoś gościa.

– Kogo?

– Nie wiem. – Wyjaśniła, że Daniel wysłał ją po zakupy. – Wydaje mi się, że pan Matherly chciał się mnie pozbyć z domu. Kiedy wróciłam, zmywał naczynia.

– Co robił?

– Chciał przede mną ukryć, że używał dwóch nakryć. Spytałam go, ale się zjeżył, powiedział, że to jego talerze i że jeśli ma ochotę jeść z dziesięciu naraz, to jego sprawa. Wygadywał straszne bzdury. Później mnie przeprosił. Ważne jest to, że ktoś z całą pewnością był w domu pod moją nieobecność, a on nie chciał tego zdradzić.

– Był zdenerwowany?

– Nie. Nawet wyglądał na bardzo ożywionego. Nie mógł się doczekać, żeby wyjechać z panem Reedem.

– Więc na pewno zamartwiamy się jakimś drobiazgiem – zakończyła Maris. Miała nadzieję, że w jej głosie brzmi odpowiedni optymizm, który uspokoi zdenerwowaną gospodynię. Ona sama nie była przekonana nawet teraz, gdy powtórzyła to samo Parkerowi. – Ulżyło mi, bo wiem, gdzie jest i że nie stało się nic złego. Ale poczuć się lepiej dopiero, kiedy z nim porozmawiam.

– Próbowłaś się dodzwonić do wiejskiego domku?

– Linia jest zajęta od wielu godzin. I choć nie mam ochoty rozmawiać z Noahem, próbowałam dzwonić na jego komórkę. Także była zajęta, więc zostawiłam mu wiadomość w poczcie głosowej. Podałam mu twój numer, mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

– Pod warunkiem że nie wymieniłaś mojego nazwiska.

– Oczywiście, że nie. Ale nic nie osiągnęłam. Nikt nie zadzwonił. Muszę sprawdzić komórkę, czy nie wyświetliły się jakieś numery.

– To dziwne.

– Co?

– Że twój ojciec zgodził się spędzić weekend z mężem, z którym się rozstałaś.

– Tata nie wie o naszym rozstaniu. – Udało się jej go zaskoczyć. – Powinnam mu od razu powiedzieć, ale jakoś się nie składało. Chciałam to zrobić tak, żeby go jak najmniej zdenerwować.

– Myślisz, że Noah chce go o tym poinformować pierwszy?

– Tak pomyślałam – odparła nerwowo. – Albo że chce poprosić ojca o wstawiennictwo. Musi bronić swojej pozycji w Matherly Press. Jeśli poślubił mnie dla kariery, teraz dla niej nie zgodzi się na rozwód.

– Czy ojciec weźmie stronę Noaha?

– Zdecydowanie nie. Wie, że byłam nieszczęśliwa. Nie wie tylko, jak bardzo. –
Zniżyła głos i dodała: – Dopóki nie zjawiłam się na tej wyspie i nie poznałam ciebie,
sama tego nie wiedziałam.

Jęknął.

– Nie patrz tak na mnie.

– Jak?

– Z takim rozmarzeniem. Lepiej stąd pryskaj, zanim przestanę być taki
wrozumiały i współczujący. Zmarnowaliśmy kolejną idealną erekcję. Dwa do zera.

– Jesteś wulgarny. Tak jak powiedział Mike. – Roześmiała się i przesunęła
dłonią po jego rozczochranych włosach. – To był piękny wieczór.

– Mógł być piękniejszy – warknął Parker.

– Przepraszam. – Pochyliła się i pocałowała go w usta. – Śpij dobrze.

– Będę spać jak dziecko. Bardzo napalone.

– Jeśli cię to pocieszy...

– Tak?

– Mogę to zrobić. Już to zrobiłam. Wczoraj. I wszystko pamiętam.

Rozdział dwudziesty ósmy

W poczcie głosowej nie było żadnych wiadomości. Maris usiłowała się dodzwonić na komórkę Noaha, ale mechaniczny głos nieustannie informował ją, że abonent jest poza zasięgiem. Zdenerwowana już nie na żarty wykręciła numer wiejskiego domku.

Daniel podniósł słuchawkę po drugim sygnale. Osłabła z ulgi, ale jej pierwsze słowa zabrzmiały jak reprimenda.

– Tato, gdzieś ty był?

– Ostatnio w łazience. Zapomniałem poprosić o pozwolenie?

– Przepraszam, nie chciałam tak na ciebie naskoczyć. Tylko... dzwoniłam do ciebie przez cały dzień. Nie wiedziałam, że pojechaliście na wieś, dopiero Maxine mi powiedziała. Od tego czasu bez przerwy wiszę na telefonie.

– Zadzwoił po raz pierwszy. Przed chwilą zauważyłem, że słuchawka na aparacie w kuchni wisi krzywo. Noah chyba nieuważnie ją odłożył, kiedy dzwonił do sklepu w sprawie dostawy.

Akurat – odłożył ją umyślnie, wiedząc, że Maris będzie się chciała dodzwonić do ojca. Wiedział, że oszaleje ze strachu, jeśli się jej to nie uda. Czy w ten podły sposób karał ją za to, że go zostawiła? Zadziwiająco, jak wyraźnie widziała teraz jego prawdziwą naturę. Dlaczego przez tyle lat zachowywała się jak ślepa? Przez książkę, pomyślała, z pogardą przypominając sobie swoją naiwność.

Cóż, to już przeszłość. Teraz chciała, żeby Noah zniknął z życia jej i jej ojca. Nie zniesie jego towarzystwa ani przez jeden dzień dłużej. Po co dłużej czekać? Już teraz powie ojcu o ich rozstaniu.

Na szczęście odzyskała zdrowy rozsądek, zanim zdążyła zadziałać.

Po pierwsze, to by sprowokowało długą dyskusję, a w Massachusetts była równie późna godzina jak na Wyspie Świętej Anny. Po drugie, taką rozmowę powinno się przeprowadzić w cztery oczy, zwłaszcza że dotyczyła nie tylko życia osobistego, ale i interesów.

Postanowiła na jakiś czas zapomnieć o sprawie Noaha. Spytała Daniela, czy dobrze się czuje.

– A dlaczego mam się czuć niedobrze?

– Nie mogłam się dodzwonić, więc wyobraziłam sobie najróżniejsze rzeczy.

– Na pewno nic dobrego. Ja też się tak martwiłem, kiedy spóźniałaś się z powrotem o dziesięć minut.

– Czy teraz role się odwróciły?

– Ależ skąd. Nadal martwię się, jeśli się spóźnisz o dziesięć minut. Ale zapewniam, że spędziłem bardzo przyjemny dzień.

Poczynając od śniadania z tajemniczym gościem. Miała ochotę o niego zapytać, ale nie mogła tego zrobić, nie wydając Maxine. Liczyła na to, że ojciec sam o tym wspomni.

– A co się stało?

– Nic wielkiego, w tym cała uroda tego dnia.

– W domku wszystko w porządku?

– Porządek jak w pudełeczku.

– Dokąd poszliście na kolację? Do Harry'ego czy do którejś z twoich knajpek?

– Zjedliśmy w domu. Myślałem, że Noah ci powiedział.

– Kiedy?

– Dziś po południu, kiedy z tobą rozmawiał. Wszedłem do pokoju akurat, gdy odłożył słuchawkę.

Otworzyła usta i zamknęła je bez słowa. Noah go okłamał. Najwyraźniej Daniel usłyszał koniec jego rozmowy, a Noah udał, że rozmawia z nią. Bydlę!

– Może nawet wspomniał, ale zapomniałam.

– Nie dziwię się – powiedział Daniel spokojnie, jakby nie słyszał gniewu w jej głosie. – Masz tyle na głowie. Jak tam książka?

– Świetnie. Napięcie niesamowicie narasta. To zadziwiające przeżycie być świadkiem pracy pisarza. Nigdy nie uczestniczyłam w takim stopniu w procesie twórczym, to fascynujące.

– Czuję, że ci się podoba.

– Ogromnie.

– A autor? Nadal taki gbur?

– Albo złagodniał, albo ja się przyzwyczaiłam. Nie wiem, co jest prawdą.

– Pewnie i to, i to po trochu.

– Pewnie tak.

Wyczuła jego wahanie. Odezwał się po krótkim milczeniu:

– Cieszę się, że posłuchałaś instynktu i wróciłaś, żeby z nim pracować.

- Ja też, tato. To była właściwa decyzja. Jestem już tego pewna.
- Dobrze ci tam? Przy pracy? I w ogóle?
- Tak. Bardzo – powiedziała cicho.
- To dobrze. Zaslugujesz na to, Maris.

Gdyby słuchał ich ktoś trzeci, nie dostrzegłby w ich rozmowie nic nadzwyczajnego. Ale Maris, pamiętając ostatnią rozmowę przed wyjazdem z Nowego Jorku, poczuła, że ojciec coś przed nią ukrywa. Wiedział, że była nieszczęśliwa z Noahem. Nie zdziwiłaby się, gdyby wiedział także o jego zdradzie. Daniel Matherly był znany ze swojej przenikliwości. Podczas ostatniego spotkania z trudem powstrzymała się od wyznania, co czuje do Parkera. Nie wymieniając jego imienia, mówiła tylko o nim, z niedającym się ukryć zachwytem zakochanej kobiety.

Poprzez te ogólnikowe uwagi ojciec dał jej do zrozumienia, że pochwała te uczucia.

Przełknęła ślinę przez zaciśnięte z emocji gardło.

- Musiałam usłyszeć twój głos, tato.
- Ja też się cieszę, że cię słyszę.
- Przepraszam, że ci przeszkodziłam o tak późnej porze.
- Nigdy mi nie przeszkadzasz, a poza tym nie spałem.
- Jutro znowu zadzwonię. Nie, poczekaj!

Wiedząc o kłamstwach Noaha, na samą myśl o tym, że przez resztę weekendu będzie towarzyszył jej ojcu jako wierny zięć, czuła ściskanie w żołądku. Prawdopodobnie chciał się wkraść w łaski Daniela, przypodobać mu się. Może nawet zamierzał zwierzyć mu się ze łzami w oczach i zjednać sobie Daniela, zanim Maris powie mu o ich rozstaniu.

Nie zrobi tego. Już ona się o to postara.

– Tato, czy mogę jutro wysłać do ciebie Maxine? Tak bardzo chce pojechać na wieś i popatrzeć na wiosenne kwiaty. Nie przeszkadza ci to?

– Wiosenne kwiaty – mruknął Daniel sceptycznie. – Tylko jeden dzień odpoczynku od niej. No cóż... – Westchnął. – Jeśli to ci poprawi humor...

– Gigantycznie. Zadzwonię do niej z samego rana. – Na myśl, że Maxine weźmie sprawę w swoje ręce, z serca spadł jej wielki kamień. Gospodyni dotrze na miejsce przed południem. – Zadzwon, kiedy przyjedzie, żebym wiedziała, czy miała bezpieczną podróż.

- Dobrze, kochanie. Zadzwonię jutro. I... Maris...

– Tak?

– Wykorzystaj ten pobyt na wyspie. Nie żałuj sobie radości, jaką ci daje. I o nic się nie martw. Słuchasz swojego starego ojca? Wszystko się dobrze skończy. Zaufasz mi, kochanie?

– Zawsze ci ufam. – Przytuliła policzek do małego telefonu, tak jakby to była jego pomarszczona, poznaczona plamami dłoń. – Dobranoc, tato. Kocham cię.

– Ja także cię kocham.

Łóżko Parkera stanowiło rzadki widok. Było dość wąskie, ale wszelkie niedostatki nadrabiała wysokością. Wezglowie było wysokie i rzeźbione, drewno ze starości przybrało kolor ciemnego brązu, lśniące w świetle lampki na stoliku.

Łóżko stało na dywaniku, wyglądającym jak prawdziwy au-busson. Obracający się pod sufitem wentylator przypominał te, które Maris widywała wyłącznie w filmach. Pod wysokim sufitem wisiał mosiężny, niemal dwumetrowy pręt. Z obu jego końców zwisały osie, na których leniwie obracały się papirusowe skrzydła.

Trzy wysokie okna nie były zasłonięte draperiami, jedynie żaluzjami, których biel stanowiła subtelny kontrast ze ścianami koloru karmelu i ciemnym drewnianym parkietem. Pod jedną ze ścian stała masywna bieliźniarka, zdobiona płaskorzeźbami takimi jak na wezglowiu łóżka. Prawdopodobnie mieściła się w nim cała garderoba Parkera, gdyż w pokoju nie było żadnych szaf.

Jedynymi nowoczesnymi akcentami był telewizor i magnetowid. stojące na szafce naprzeciw łóżka – one i fotel inwalidzki, zaparkowany przed szafką. Poza tym w pokoju nie było żadnych sprzętów, zdradzających obecność osoby upośledzonej fizycznie. To akurat nie budziło zdziwienia Maris. Sama widziała, jak Parker podciąga się na rękach do gatora.

Parker siedział w łóżku, nagi do pasa. Podniósł głowę i powoli odłożył książkę, słysząc skrzypnięcie drzwi. Maris wśliznęła się do pokoju.

– Cześć – odezwał się Parker. – Zgubiłaś się?

Roześmiała się nerwowo; trochę brakowało jej tchu.

– Nieźle zabrzmiało, ale myślę, że się mnie spodziewałeś.

– Miałem nadzieję. Nawet się modliłem.

– Więc mogę wejść?

– Żartujesz?

– Myślałam, że... Mike...

– Nie, jeśli zamkniesz drzwi na klucz.

Od chwili, gdy zjawiała się w pokoju, trzymała ręce za plecami. Poczowała klamkę, ugniatającą ją w krzyż, i przekręciła klucz w zamku. Podeszła do łóżka.

Wypolerowane drewniane deski chłodziły podeszwy jej bosych stóp. Krótka nocna koszulka ważyła nie więcej niż podmuch wiatru, a sądząc z napięcia, z jakim wpatrywał się w nią Parker, zasłaniała tyle samo co on.

Wyjęła ręce zza pleców.

– Przychodzę z darami. Dokładnie dwoma.

Pierwszym darem była zwykła szklanka z barku w domku gościnnym. Podala mu ją. Parker uniósł ją do oczu i roześmiał się na widok migotliwych fosforyzujących iskierek.

– Robaczki świętojańskie!

– Sama złapałam – pochwaliła się z dumą. – Zobaczyłam je przez okno domku, gdy ubierałam się do kolacji, i ruszyłam na łowy.

Szklanka była przykryta folią spożywczą, przekłutą w paru miejscach, by przedłużyć świetlikom egzystencję. Parker podniósł głowę. Jego oczy lśniły uczuciem.

– To piękny prezent. Dziękuję.

– Bardzo proszę. Mogę? – Odebrała mu szklanekę i postawiła na stoliku.

– A drugi? – Wskazał książkę, którą tuliła do piersi. – Chcesz mi przeczytać bajkę na dobranoc?

– Mniej więcej.

– Zastanawiałem się, po co włożyłaś okulary.

– Zdjęłam szkła kontaktowe. – Wskazała głową pustą stronę łóżka. – Mogę?

– Zapraszam.

Obeszła łóżko i usiadła na nim z podwiniętymi nogami zwrócona do niego twarzą.

– Ty już chyba sobie znalazłeś bajkę na dobranoc.

Zamknął książkę i odłożył ją na szafkę nocną.

– Wolałbym posłuchać twojej.

Pokazała mu okładkę; na zielonym materiale lśniły złote litery.

– *Słomiany wdowiec* – przeczytał z uśmiechem.

– Powieść mojego ulubionego autora.

– Co, on?

– Nie czas na fałszywą skromność.

– Ale przecież pani, pani Matherly, ma bardzo wysokie wymagania. Trudno na pani zrobić wrażenie. Co się pani spodobało w tej powieści?

Zauważyła, że użył tylko jej panińskiego nazwiska, ale nie chciała przerywać gry. Otworzyła książkę.

– Cóż, szczególnie podoba mi się scena, w której Deck Dayton, przystojny, seksowny, czarujący łajdak, podczas gry w karty wyciąga informacje od pewnej słodkiej idiotki.

– Francuzeczki.

– Możliwe. Jest to scena prowokująca i bardzo wciągająca.

– Wielbiciele serii z pewnością tak uważali. Krytycy również.

Wydeła usta i zmarszczyła brwi.

– Jednakże...

– Oho. Zaczyna się.

– W scenie tej dostrzegam parę słabych punktów.

– Typowy wydawca – mruknął pod nosem. – Co pochwali, to zaraz skrytykuje.

– Drogi panie, jeśli moje uwagi są panu niemiłe...

– Nie, nie, są nawet bardzo miłe. Milutkie punkciki. – Jego spojrzenie osunęło się ku jej piersiom. – Przyjmę je jak mężczyzna. – Podłożył rękę pod głowę i uśmiechnął się chytrze. – To była metafora.

– Pojęłam – odparła sucho. – Mam mówić dalej?

– Bardzo proszę. Czekam na jakiś przykład.

– Hm... – Z trudem oderwała wzrok od spiralek włosów pod jego pachą. – Na przykład... język jest bardzo opisowy.

– To chyba nie wada?

– Nie, ale ta scena jest...

– Dosadna?

– Do granic.

– Czy to niedobrze?

– Nie powiedziałam, że niedobrze. Jednak wątpię, czy jest wiarygodna.

– Wiarygodna.

– Tak. Nie jestem pewna, czy opisane przez pana... hm, pozycje erotyczne... są możliwe z anatomicznego punktu widzenia. Dla istot ludzkich, oczywiście.

Słumił śmiech i z powagą pogładził się po brodzie.

– Rozumiem. Czy mogę prosić o przykłady?

– Oto i przykłady. A więc pomyślałam – dodała, odchrząknęła i otworzyła zaznaczoną stronę – że moglibyśmy odegrać tę scenę i sprawdzić, czy owe... hm, konfiguracje są wykonalne.

– Ach, tak pani myślała?

– Tak, tak właśnie myślałam.

Przez parę chwil leżał bez ruchu, przyglądając się jej. Potem powoli wyjął rękę zza głowy.

– Jeśli sobie przypominam, nasz przystojny, seksowny i czarujący łajdak zaczyna od położenia ręki na udzie Francuzeczki. Jest to miły gest. Nic więcej. Chce ją przekonać, że nie stanowi dla niej zagrożenia.

Położył dłoń na jej udzie tuż nad kolaniem i lekko ścisnął. Przez pudrowo błękitny jedwab poczuła palący dotyk i siłę jego palców.

– Kwestia wątpliwa – szepnęła. – Stwierdzenie, że nie stanowi zagrożenia. Ale pozostawmy tę sprawę otwartą.

– W zamian za ten gest dobrej woli, nie bacząc, że Deck wyciągnął młodszą kartę, Francuzeczka wyznaje, że w chwili popełnienia morderstwa usłyszała hałas, dobiegający z zaułka.

– Słyszac go, wyjrzała przez okno sypialni. I zobaczyła... – Maris udała, że musi zajrzeć do książki. – Mężczyznę w czerwonej bejsbolówce, wybiegającego z budynku naprzeciwko.

– Cenna informacja – zauważył Parker. – Zwłaszcza że Francuzeczka potrafi opisać czapkę ze wszystkimi szczegółami, aż po wyhaftowane na niej logo. Nasz bohater dziękuje jej pocałunkiem.

Parker zdjął jej okulary i ujął twarz w dłonie. Kciukami pogładził kości policzkowe, spojrzeniem błędząc po twarzy. Po chwili śladem spojrzenia podążyły

jego usta. Dotarł do jej warg i ucałował je delikatnie, zmysłowo.

Maris zdołała opanować się na tyle, że z gardła wydarł się jej tylko cichy jęk podniecenia.

Parker się wyprostował.

– Ma niezrównany smak – szepnął.

– W książce tego nie było.

– Nie? A powinno. Bohater musi wrócić po jeszcze.

– Francuzeczka się nie opiera.

Jego pocałunki były delikatne, kuszące. Rozpały jej pożądanie. Oderwali się od siebie dopiero po paru minutach. Maris czuła się odurzona, ogarnięta rozkoszną niemocą. Mimo to starczyło jej trzeźwości umysłu, by kontynuować grę.

Sięgnęła po okulary; wyslizgiwały się z omdlałych palców.

– A, nieważne. – Odłożyła je na bok. – I tak wiem, co jest dalej. Francuzeczka, ta szczęściara, znowu wyciąga wysoką kartę.

– To Cayton ma mnóstwo szczęścia. Musi jej wyświadczyć erotyczną przysługę.

– Ale znajdują się w dość niewygodnej pozycji, więc sadza sobie Francuzeczkę na kolanach.

Parker położył dłonie na jej talii. Uklękła i usiadła na nim.

– O ile sobie przypominam, Cayton zaczął całować jej uszy, szyję i...

Ale Parker już przeszedł do działania. W końcu to on napisał książkę i znał tę scenę. Zsunął ramiączka koszuli, zanim Maris zdążyła mu usiąść na kolanach. Objął dłońmi jej piersi, musnął kciukami sutki. A teraz wziął jeden z nich do ust i zaczął ssać, mocno przyciskając językiem do podniebienia.

Maris objęła jego głowę i obsypała pocałunkami czoło, skronie. każde miejsce, do którego mogła dotrzeć, nie odsuwając się od niego, bo za żadne skarby nie chciała, żeby przestał. Z gardła co chwilę wyrywał się jej nieartykułowany jęk.

Jej srom napęczniał i rozchylił się jak owoc pękający od nadmiaru soków. Parker sięgnął między jej uda; wystarczył jeden dotyk, by zadrżała w nieopanowanym spazmie. Jej ciało zamknęło się wokół jego palców.

– Dalej – szepnął. – Wiesz, czego chcesz.

Wyszeptała jego imię rwącym się, gorączkowym szeptem.

– Dalej, Maris.

Zaczęła się poruszać, kołysać biodrami, napierać na jego rękę. reagując na każdy delikatny ruch jego palców, aż wreszcie wstrząsnęły nią skurcze orgazmu.

Tak się jej tylko wydawało.

Parker wysunął się spod niej i jednocześnie podniósł ją wyżej, podtrzymując biodra mocnymi dłońmi i podnosząc ją sobie do ust. Wydała ostry, chrapliwy krzyk czystego przerażenia, który wkrótce przeszedł w ciche, zawodzące westchnienie niewiarygodnej rozkoszy.

Mocno chwyciła się wezglowia, a kiedy okazało się, że to nie wystarczy, oparła się o nie, przytuliła policzek do chłodnego drewna i oddała się mistrzostwu jego pieśczoł.

Jego włosy miękko muskały podbrzusze, zarost na policzkach przyjemnie ocierał się o wnętrze uda. Zatraciła się w doznaniach. Zatonęła w nich bez reszty. Jej umysł i ciało skupiły się tylko na zmysłowych impulsach, nie dopuszczając do siebie nic innego. Poddała się pierwotnym rytmom, które się w niej obudziły.

Wielokrotnie zbliżała się do orgazmu, ale Parker koił jej wysiłki najdelikatniejszymi pocałunkami i najśłodszymi słowami. by zaraz potem znów zwabić ją na krawędź przepaści. Kiedy wreszcie pozwolił jej osiągnąć szczyt, orgazm omal jej nie unicestwił. Zerwał ostatnie więzi ze świadomością i Maris zatoneła w szaleństwie.

Rzeczywistość wróciła do niej stopniowo. Bardzo leniwie. Jak spływające w dół piórko.

Była spocona, z zaróżowionymi piersiami, twardymi i czerwonymi sutkami. Serce biło jej mocno, każde uderzenie odzywało się w jej głowie echem. Leżała bez ruchu, dopóki oddech się jej nie uspokoił. Gdy wreszcie otworzyła oczy, okazało się, że są pełne łez.

Osunęła się na pierś Parkera jak rozbitek, wyczołgujący się na brzeg. Fałdy koszuli otoczyły jej talię. Włosy przyłgnęły w mokrych strąkach do policzków i karku. Parker przesunął dłońmi po jej plecach i biodrach, zatrzymał je na poślądkach. Lekko je ścisnął, uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Serce biło mu mocno i szybko, tuż przy jej uchu. Przy każdym oddechu w nos łaskotały ją jego włosy na piersiach. Widziała z bliska sutek, płaski, dopóki go nie dotknęła. Pod jej palcem w ułamku chwili stał się twardym paciorkiem; Parker gwałtownie wciągnął powietrze. Poczwała jego twardniejący penis.

– Daj mi chwilę – szepnęła słabo.

W jego piersi rozbrzmiał śmiech jak daleki grzmot.

– Nigdzie się nie wybieram.

Minęło parę minut. Maris pławiła się w uczuciu bliskości. Dopiero teraz zdała

sobie sprawę, jak wspaniale jest być kobietą w tak intymnym kontakcie z mężczyzną. Ale nie z jakimkolwiek mężczyzną. Była już z jakimkolwiek. Chodziło o tego konkretnego mężczyznę. Aż do dziś nie wiedziała, że pomiędzy dwoma przedstawicielami tej samej płci tego samego gatunku może być aż taka przepaść.

– Zboczyłeś z tematu – szepnęła.

– Naprawdę? Pamięć mi jakoś nie dopisuje.

– W tej książce nie było nic podobnego. Nawet w przybliżeniu. W żadnej książce tego nie czytałam.

Podniosła głowę, spojrzała na niego i delikatnie pocałowała go w usta. Wsunęła w nie czubek języka, lekko potarła nim o jego język. Pocałunek przybrał na sile; uwodzicielsko otarła się o jego penis.

Oderwał się od niej, wygiął w łuk, mocno wpierając głowę w poduszkę. Chwycił ją za biodra i unieruchomił w silnym chwycie.

– O co chodzi? – spytała niewinnie.

– Tego także nie było w książce.

– Och, przepraszam. Sprawdźmy, jak to dalej idzie. – Nie zmieniając pozycji, niezdarnie chwyciła okulary, nałożyła je, otworzyła książkę i udała, że odczytuje kolejny akapit.

– A, tak. Teraz sobie przypominam. On bierze jej rękę i kieruje ją do swego...

– Ptaka.

– Tak jest w książce.

Powoli podniosła się. uklękła obok niego. Wygładziła koszulę i zamierzała włożyć ramiączka, ale Parker pokręcił głową. Zdjęła koszulę i przez chwilę trzymała zwiniętą w kłębek przy piersi. Potem rzuciła na podłogę. Parker wziął głęboki oddech, nozdrza poruszyły się szybko.

Przesunął dłonią po jej piersiach, brzuchu, przeczesał mokre włosy łonowe, znów wrócił do piersi. Lekko ścisnął jej sutek i przyjrzał się, jak twardnieje.

Położyła mu dłoń na brzuchu. Włosy na nim tworzyły jedwabisty pas, zwężający się ku pępki. Przesunęła po nich spojrzeniem. a po chwili także dłonią. Sięgnęła pod koldrę.

Ale Parker powstrzymał jej rękę.

– Tutaj fikcja się kończy.

Spojrzała mu prosto w oczy. Miał zaciśnięte zęby, stężałą twarz. Nie żartował. W ciągu paru sekund zbudował między nimi wysoki mur.

– Nie rozumiem.

– To nie fikcja.

– I to mnie cieszy.

– To rzeczywistość.

– Wiem.

– Nic nie wiesz – rzucił opryskliwie. – Jeśli na to spojrzysz, zobaczysz widok, o który nie prosiłaś.

Szybko zerknęła na jego nogi pod kołdrą. Uśmiechnęła się łagodnie i pokręciła głową.

– Myślisz, że obchodzą mnie twoje blizny?

– Myślę, że będą cię obchodzić, kiedy je zobaczysz.

– Mylisz się. – Spojrzała mu w twarz, bliska łez. – Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, co dla mnie zrobiłeś. Nie, wysłuchaj mnie – dodała szybko, widząc, że chce jej przerwać. – Odwagi wystarczy mi tylko na jeden raz, już tego nie powtórzę.

Zdjęła okulary, potarła oczy, zwilżyła usta.

– Nigdy nie bawiłam się w takie gry. Czytałam tylko o nich. Myślałam, że zdarzają się wyłącznie w książkach. To, co powiedziałeś wczoraj na plaży, było trafne, choć brutalne. Przy Noahu nigdy nie mogłam wyrazić swojej seksualności. To, co się między nami stało... jeszcze parę tygodni temu było dla mnie nie do pomyślenia. Dla kobiety, która weszła do baru Terry'ego, taka rzecz w ogóle nie wchodziłaby w rachubę. Aż do teraz nie wiedziałam, czego mi brakuje. Tęskniłam za taką namiętnością. Za spełnieniem. Absolutnym i bezwstydnym zapomnieniem. Ty mi to dałeś. Ale czegoś mi brakuje. To wszystko nic nie znaczy, jeśli tego nie podzielimy. Pozwól mi się z tobą podzielić – zakończyła ochryplym głosem. – Proszę.

Patrzył na nią nieruchomym wzrokiem, ale z jego oczu zniknęły lodowaty chłód i napięcie. Nie spodziewała się, że może wyglądać tak bezbrinnie.

– Nie jestem ładny.

– Jesteś piękny.

Pochyliła się ku niemu ostrożnie. Nie powstrzymał jej. Zaczęła od szyi: pocałunkami znaczyła drogę w dół. Wargi muskały mu skórę, język łaskotał ją delikatnie. Objęła ustami jego sutek; Parker syknął i wplątał palce w jej włosy. Wycisnęła jeszcze jeden pocałunek tuż nad pępkiem i ściągnęła okrycie z jego bioder. Jęknął jej imię; objęła dłonią jego penis, pulsujący życiem i ciepłem. Pogładziła go powoli, zmieniając nacisk palców. Potarła kciukiem jego czubek,

rozsmarowała kroplę spermy, która z niego wyciekła.

– Czy nie tak Francuzeczka zyskała swój przydomek? – szepnęła mimo woli gardłowym, seksownym głosem.

– Maris... – tchnął niemal bezgłośnie, gdy pochyliła się nad nim.

Odkryła jego mocny smak i zapach. Spodobał się jej jego dotyk w ustach, jego ochryple okrzyki podniecenia.

Mocniej ścisnął jej włosy, nie tak, by sprawić jej ból, lecz by dać znać, że pora zmienić pozycję. Usiadła na nim okrakiem i uniosła się nieco. Wziął penis w dłoń i potarł ją jego gładkim czubkiem, rozbudzając w niej pożądanie, aż wreszcie musiała go przyjąć. Osunęła się w dół, powoli otoczyła go własnym ciałem, pochłonęła.

Kilka razy odetchnął gwałtownie i szepnął:

– Poczekaj.

Więc znieruchomiała. Przesunął rękami w górę i dół jej ud. Jego kciuki zetknęły się w gmatwaninie jej włosów łonowych, pogładziły jej ciało, aż wyprężyła się w łuk i jęknęła jego imię. Dopiero wtedy poruszył biodrami. Zaczęła go ujeżdżać, zmieniając rytm i kąt, zastygając w bezruchu, gdy dawał jej znak, że chce przedłużyć rozkosz. Wtedy zaciskała wokół niego mięśnie; jego oczy ciemniały, z gardła wyrzywały się przekleństwa, a potem znów unosił biodra, by podjęła przerwana akcję.

Pochyliła się i przyciągnęła jego głowę do swojej piersi. Potarł o nią szorstkim policzkiem, zamknął usta wokół sutka, połaskotał go językiem, lekko i szybko. Wreszcie krzyknęła jego imię i mocno wparła się w niego biodrami.

Przyciągnął ją do siebie i razem osiągnęli szczyt. Przycisnął dłoń do jej pośladków, drugą ręką przytulił jej głowę i tak, zagarniając ją władczo i pulsując w jej wnętrzu, pocałował ją w usta. Nie mogliby już zbliżyć się do siebie bardziej, by ukoić żądzę.

Gdy wreszcie wszystko minęło, Maris wyciągnęła się na nim. Czowała pod sobą wyboistą powierzchnię jego nóg. Ale teraz nie mogła i nie chciała o tym myśleć. Ona także miała blizny. Mniej widoczne, ale prawdziwe. Później nadarzy się okazja, by spytać, wysłuchać i okazać współczucie... a potem odesłać cierpienie w przeszłość, gdzie jego miejsce.

Teraz nie chciała mieć tej chwili. Chciała się tylko rozkoszować świadomością, że dała Parkerowi szczęście. Nienawidziła Noaha Reeda za te wszystkie noce, gdy odrzucał jej starania, gdy czuła się przez niego niezdarna i niekochana, gdy dawał jej do zrozumienia, że mu nie odpowiada. Ale nie zamierzała marnować cennego czasu także na myśli o nim. Stał przed oczami jak senna mara. przelotny ból, który po chwili znika bez śladu. Teraz skupiła się tylko na cudownym dotyku ciała Parkera, nadal w nią wtulonego. Mocno zaciskała uda, przywarła do niego, by bliskość trwała jak najdłużej. Pocałowała go w szyję.

– Koniec?

Odpowiedział dopiero po paru chwilach.

– Nie całkiem.

Ale ona już twardo spała.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Daniel stał przy oknie kuchennym, jedząc kanapkę i patrząc w mrok deszczowej nocy. Od czasu do czasu niebo rozświetlała błyskawica, ale burza była przyjazna, niegroźna, ot, letnia nawałnica, która wkrótce minie i zostawi po sobie czyste niebo.

Po rozmowie z Maris jego umysł zaczął pracować w przyspieszonym tempie. Pędził jak oszalała lokomotywa. Szkoda, że jego ciało nie miewa takich zrywów jak mózg. Gdyby tak było, mógłby popędzić na rowerze do Nowego Jorku i od razu przystąpić do maratonu. Jego umysł nadal tryskał energią i siłą.

Po rozmowie przez godzinę przewracał się bezsennie na łóżku. Wreszcie uznał się za pokonanego i zszedł na dół. W domu miał szlaban na przekąski o północy, zwłaszcza jeśli zawierały więcej tłuszczu, niż przewidywała jego tygodniowa norma, ale dziś Maxine nie stała na straży lodówki, a czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Wkrótce znowu się tu zjawi i będzie mu rozkazywać, jakby był dzieckiem.

Dzięki Bogu, pomyślał i roześmiał się cicho. Nie miał pojęcia, co by zrobił, gdyby Maxine nie opiekowała się nim i Maris.

Skończył kanapkę. Była pyszna... nie wspominając już o odrobinie brandy, która nappełniła jego ciało przyjemnym ciepłem. Ale nie uspiła go, nie rozleniwiła, przeciwnie – dodała energii. Miał ochotę zerwać się do działania.

Zawsze był człowiekiem czynu, rzadko odkładał sprawy na później. Wolał od razu się z nimi zmierzyć. Wyczekiwanie nie leżało w jego naturze. Wolał ukierunkować swoją energię na działanie, zamiast załamywać ręce i rwać włosy z głowy. Ale ta sytuacja wymagała ostrożności. Nie był pewien, w jakiej kolejności powinien realizować cele. Miał już obmyśloną strategię, ale trzeba ją było dokładnie przemyśleć i precyzyjnie wybrać odpowiednią porę. Właśnie to zaprzętało mu dziś głowę.

Ten problem nie miał jądra, na którym mógł się skupić. Nie można go było zniszczyć szybkim atakiem. Bardziej przypominał zmienną rteć. Dotyczył rodziny i pracy, ludzi i pieniędzy, władzy i uczuć. Skomplikowana mieszanka. Zwłaszcza kiedy jedną z zainteresowanych osób jest córka.

Cieszył się, że Maris jest w Georgii, z dala od Nowego Jorku. Sytuacja stała się nieładna. Mówiąc brutalnie, wkrótce gówno wpadnie w wentylator. Im dalej znajdzie się Maris, tym lepiej. Oczywiście i ona nie wyjdzie z tego nietknięta, ale miał nadzieję, że ochroni ją, na ile to możliwe. Odległość mu sprzyjała. Porządkowanie tego bałaganu będzie dla niej wystarczająco bolesne. Robienie tego na oczach innych zmieni się w piekło.

Chociaż, pomyślał z uśmiechem, będzie miała swojego pocieszyciela.

Od miesięcy widział wyraźnie, że małżeństwo nie daje jej szczęścia. I równie oczywiste stało się dla niego, że to nie tylko urok książki przyciągnął ją na tamtą egzotyczną wyspę.

W wydawnictwie miała dość obowiązków, by – zawsze ambitna ponad miarę – nie spocząć ani na chwilę. Zwykle codzienny kołowrót nie pozwoliłby jej na tak bliskie osobiste kontakty z jednym pisarzem, nawet gdyby miała ochotę aż tak się zaangażować, co zdarzyło się jej po raz pierwszy. Nie trzeba być geniuszem, żeby odgadnąć, iż to nie ta powieść miała dla niej tak nieodparty czar, lecz jej autor, Parker Evans vel Mackensie Roone.

O tak. Daniel znał nazwisko tajemniczego pisarza, podobnie jak jego pseudonim, pod którym zdobył sławę. Przed laty, gdy książki z serii o Decku Caytonie zaczęły regularnie gościć na listach bestsellerów, Daniel próbował prośbą, groźbą i szantażem zmusić agentkę pisarza do ujawnienia jego prawdziwego nazwiska, chciał bowiem skusić go do przejścia pod sztandar Matherly Press. Ale agentka nie dała się zastraszyć nawet szacownemu Danielowi Matherly'emu.

– Gdybym ci powiedziała, musiałabym cię zabić – powtarzała nieodmiennie. Niewzruszenie stała na straży tożsamości swego klienta, a Daniel, chcąc nie chcąc, musiał ją za to szanować.

Ale teraz już znał jego nazwisko.

Od kilku tygodni pracował dla niego prywatny detektyw. Daniel miał nadzieję, że jego złe przeczucia okażą się błędne, ale mimo wszystko postanowił sprawdzić przeszłość swojego zięcia, w tym także czasy sprzed opublikowania *Zwycięzonego*.

To potajemne dochodzenie wydawało mu się niesmaczne. Zawsze wolał atakować otwarcie, nie znosił skrytych działań, łączących się z pracą wywiadowcy. Wyobrażał sobie, że będzie się musiał zadawać z indywiduum rodem z kiepskich filmów, w brudnym krawacie i z żółtymi zębami, obnażonymi w obleśnym uśmiechu.

Ale William Sutherland okazał się zaprzeczeniem stereotypu prywatnego detektywa. Był założycielem elitarniej agencji detektywistycznej, której usługi kosztowały majątek. Był agent wywiadu zawsze nosił doskonale skrojony ciemny garnitur, miał mocny uścisk dłoni, władczy sposób bycia i sporą listę sukcesów.

Od pierwszego uścisku dłoni nie minęło pięć minut, a Daniel już przystąpił do przedstawienia swoich życzeń. Ostatnią rzeczą, jakiej spodziewał się dowiedzieć z pierwszego raportu Sutherlanda, była tożsamość powieściopisarza Mackensie Roone'a. Nie tego szukał. Niespodziewanie jedna z najlepiej strzeżonych tajemnic świata wydawniczego znalazła się w jego rękach w zapieczętowanej żółtej kopercie.

Ale najbardziej wstrząsająca wiadomość miała dopiero nadejść: Parker Evans i Noah Reed byli przyjaciółmi.

Poznali się na uniwersytecie w Tennessee, gdzie mieszkali w jednym pokoju. Po dyplomie przeprowadzili się do Key West. Tam przeżyli jakiś kryzys, którego

szczegóły pozostały nieznane. Sutherland prowadził dalsze dochodzenie; Daniel był pewien, że wkrótce wszystkie fakty zostaną ujawnione.

Tymczasem zestawiał ze sobą znane mu już fakty i otrzymał historię, która mogłaby stanowić kanwę wspaniałej powieści. Maris zatrzymała się w starym dworze na odległej wyspie razem z Parkerem Evansem, byłym przyjacielem jej męża, z którym zamierzała się rozstać. Już samo streszczenie sytuacji pękało w szwach od składników dobrej powieści – przyjaźń, miłość, nienawiść, zdrada, zemsta. Zazdrość? Możliwe.

Jedyne, czego brakowało w tym scenariuszu, to motyw głównego bohatera, Parkera Evansa.

Zwabił do siebie Maris, mając w tym swój cel. Nie wybrał jej na chybił trafił. Co go popchnęło do nawiązania kontaktu, choćby zawodowego, skoro musiał wiedzieć, że Maris jest żoną Noaha? Ciekawe, czy Maris jest tego świadoma. Po zdradzie Noaha mogła chcieć się odegrać na nim, posługując się jego byłym przyjacielem. Ale takie dziecinne gesty nie leżały w jej charakterze.

Daniel podejrzewał, że Maris nie ma o niczym pojęcia. Gdyby coś podejrzewała, nie zakochałaby się tak szybko w Parkerze Evansie. A zakochała się, to stawało się wyraźniejsze z każdym dniem.

W normalnych warunkach Daniel radośnie powitałby to jej nowe szczęście, ale teraz chciał zaczekać z okrzykami radości, aż się dowie, w jakim celu Parker Evans skonstruował całą intrygę. Kusilo go, żeby się z nim skontaktować, osobiście lub przez Sutherlanda, i spytać, do czego zmierza. Nie mógł tego zrobić, nie wtrącając się do związku Maris i Noaha, a na to nie był zdecydowany. Na razie.

Więc nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać, podczas gdy Sutherland prowadził dalsze poszukiwania.

Całkiem możliwe, że motywy kierujące Evansem ujawnią się inaczej – poprzez jego tekst. Po przeczytaniu ostatniej partii Daniel był przekonany, że pisarz relacjonuje burzliwe koleje losów swojej przyjaźni z Noahem. Nie wiedział jeszcze, ile czasu zajmie mu przenoszenie historii na papier, ale dopuszczał możliwość, że zostanie ona spisana, zanim Sutherland zdoła dojść do jakichś wniosków.

Na razie główną troską Daniela była Maris. Dowiedział się prawdy o Parkerze Evansie tuż przed jej wyjazdem na Świętą Annę. Mógł ją zatrzymać. Nie zrobił tego. Przede wszystkim dlatego, że wyraźnie chciała tam pojechać. Uspokoiła go też doskonała opinia, którą mieli na temat Evansa mieszkańcy Świętej Anny, zwykle nieznoszący obcych, o czym Sutherland się przekonał, wysławszy tam swego wywiadowcę.

Daniel postanowił zaryzykować. Coś mu mówiło, że Parker Evans zaopiekuje się Maris oraz jej sercem. Jeśli jego przyjaźń z Noahem skończyła się z powodu sprawy honorowej, to znaczy, że Parker Evans był człowiekiem honoru.

A Noah Reed – nie. To nie ulegało kwestii. Bez względu na dalsze doniesienia jego związek z rodziną Matherlych musiał się zakończyć. Noah sądził, że uśmiechem i pochlebstwami wkradł się w jego łaski. Tymczasem Daniel zgodził się na ten męski weekend powodowany ciekawością i rozbawieniem, a także cichą pogardą wobec rozmiarów zdrady Noaha.

Pewien siebie i nieznośnie zadufany w sobie pan Reed nie miał pojęcia, że jego głowa już spoczywa na katowskim pniu, a topór spadnie na nią lada chwila.

Daniel otrzepał dłonie z okruszków i zaniósł talerz i pusty kieliszek po brandy do zlewu. Wbrew temu, co zapowiadano w prognozie pogody, burza przybrała na sile. Błyskało się coraz bardziej, grzmoty przybierały na sile. Jeden z nich zatrzęsł domem w posadach. Porcelanowe talerze Rosemary brzęknęły w serwantce.

Kochana Rosemary. Nie ma jej już od dwudziestu lat, a on nadal tęskni. W tym domu szczególnie mocno. Dni, które tutaj spędzili, były tak szczęśliwe...

Wyłączył światło w kuchni i ruszył przez ciemny dom. Wchodząc po schodach, mocno opierał się o balustradę, by ulżyć zreumatyzowanym stawom. Cholera, jak on nie lubił tej starości!

W tej samej chwili z mroku u szczytu schodów dobiegł go głos:

– Zapomniałeś łaski.

– Jezu! – Daniel chwycił się za galopujące serce. W przelotnym błękitnym rozbłysku pioruna zobaczył Noaha, stojącego na podeście. – Przestraszyłeś mnie.

– Nie powinieneś chodzić bez łaski, to nieostrożne.

– Poradzę sobie. – Ruszył dalej, po jednym schodku. – Burza cię obudziła?

– Nie spałem.

Chłód w głosie Noaha zastanowił Daniela, ale uśmiechnął się z sympatią.

– Ja też nie mogłem zasnąć, więc wykorzystałem fakt, że nie ma przy mnie kaprała Maxine i zjadłem sobie małe co nieco.

Do podestu zostały mu już tylko dwa stopnie, ale Noah trwał na nim, jakby zapuścił korzenie. Nie pospieszył Danielowi z pomocą. Nie odsunął się na bok. Wręcz zagradzał mu drogę. Daniel poczuł się niepewnie, ale starał się tego nie zdradzać. Wskazał kartki, które Noah trzymał w dłoni.

– Przeglądasz pełnomocnictwo?

Niech ma, pomyślał. Niech się go nauczy na pamięć, jeśli go to podnieca. Dokument nie miał znaczenia dla nikogo z wyjątkiem Noaha.

– Nie – zabrzmiała spokojna odpowiedź. – To raport na mój temat, autorstwa twojego prywatnego detektywa, pana Williama Sutherlanda.

To wdarcie się na jego prywatny teren nie obudziło w Danielu zdumienia czy niepokoju, lecz gniew. Zacisnął mocno usta w cienką linię, którą rozpoznałby każdy, kto kiedykolwiek był świadkiem jego surowej dezaprobaty.

– Te dokumenty znajdowały się w domu, zamknięte w szufladzie biurka.

– Wiem. Trzeba było trochę poszperać, ale w końcu je znalazłem. Interesująca lektura.

– Ja też tak sędzę.

– Naprawdę myślałeś, że się nie zorientuję, iż ktoś mnie śledzi? – spytał Noah, śmiejąc się pod nosem. – Twój pies nie jest zły. Najlepszy, jakiego można kupić. Wyszkolony przez nasz wywiad i tak dalej. Ale wypytał o jednego przyjaciela za dużo.

– Z tych akt wynika, że nie masz przyjaciół.

– Więc nazwijmy mojego partnera od tenisa znajomym. Cwany gość. Na tyle cwany, że rozszyfrował kulawe wysiłki Sutherlanda. – Uśmiech, który do tej pory nie schodził mu z ust, zniknął. – Ciekawi mnie tylko jedno: kiedy zaczęłeś to dochodzenie.

Nie było powodu udawać.

– Zastanawiałem się od wielu miesięcy. Kłamka zapadła tuż po tamtym przyjęciu-niespodziance.

– Dlaczego akurat wtedy?

– Ponieważ właśnie wtedy przekonałem się, że jesteś wytrawnym oszustem i kłamcą.

Subtelne rysy Noaha nie zdradziły żadnej emocji, tylko jedna brew uniosła się pytająco.

– Naprawdę?

– Nie wiem. czy oszukiwałeś nas od początku, czy też zboczyłeś z prostej drogi przed kilkoma miesiącami, kiedy Morris Blume zaproponował ci sprzedaż wydawnictwa za moimi plecami. Wolę myśleć, że prawdziwa jest ta druga wersja, bo wtedy nie czuję się aż takim głupcem. Ale boję się, że takich umiejętności nie zyskuje się w krótkim czasie. Trzeba je rozwijać, doskonalić...

– Powtarzasz się. Danielu. Już powiedziałeś, że jestem wytrawnym kłamcą.

– Rzeczywiście. Podczas tego przyjęcia w Chelsea przyłapałem cię na paru kłamstwach. A choć niektóre dały się uzasadnić tym, że chciałeś zaskoczyć Maris, inne mnie zaniepokoiły. To do ciebie nie pasowało: nigdy nie myślałeś o Maris, nie planowałeś uroczystości z takim wyprzedzeniem, raczej zlecałeś swojej sekretarce

kupienie dla niej prezentu. Więc zacząłem cię uważnie obserwować, ominąłem pozory, pozę, którą przyjąłeś dla świata. I zacząłem widzieć cię takim, jakim naprawdę jesteś.

– Jakiś ty sprytny. Danielu.

– Nie. Gdybym był sprytny, nie dałbym się tak podejść. Doskonale się maskujesz. Masz do tego wyjątkowy talent. Dowiodłeś także, że jesteś uzdolnionym biznesmenem i wydawcą. Podziwiałem twoje osiągnięcia na długo przed twoim przyjściem do Matherly Press. Zwycięzony zrobił na mnie duże wrażenie, podobnie jak na Maris, więc błędnie uznałem, że tylko człowiek moralnie zdrowy mógł napisać powieść o honorze.

Noah splótł ręce na piersi i uśmiechnął się zimno.

– To fikcja. Nie przypadkiem napisałem *Zwycięzonego* z tego pokornego, poczciwego punktu widzenia. Stworzyłem bohaterów. kierujących się wzniosłymi ideałami nie dlatego, że sam jestem taki czy choćby dlatego, że w nie wierzę, lecz dlatego, że wiem, jak się sprzedaje książki. Przeciętniak chce się ludzić, że bohaterzy istnieją, dobro zwycięża zło, a cnota jest nagrodą sama w sobie. Kręcą ich takie bzdury. Zwycięzony pławi się w tym sentymentalnym sosie, którym karmili mnie rodzice. Musiałem go przelykać, dopóki nie dorosłem. Więc go wykorzystałem. Wlałem w tę książkę, żeby się go pozbyć na zawsze. Ta sarniooka bohaterka – ciągnął kpiąco. – Ten niedoskonały, lecz dzielny bohater. I ich porywająca, zachwycająca miłość. Każde słowo to kicz, ukryty za ładną prozą. Dla mnie to nic nie znaczy, jeśli nie liczyć zysku i dobrych recenzji, dzięki którym zwróciłem na siebie uwagę wydawców i wreszcie dotarłem do twojego wydawnictwa.

– Dlaczego akurat do mojego?

– Ponieważ tylko ty spomiędzy wszystkich właścicieli ważnych wydawnictw miałeś córkę na wydaniu, a ona, na moje szczęście, szczególnie sobie upodobała *Zwycięzonego*.

Daniel musiał przyznać, że nawet znając prawdziwą naturę Noaha. dał się zaskoczyć okrucieństwem tej deklaracji.

– Przyznajesz się do tego tak po prostu? Naprawdę tak traktujesz swój zawód, ludzi i życie?

– Jeszcze nie wiesz wszystkiego. Daniel pokręcił głową ze smutkiem.

– To przykre, marnować taki talent.

– Daj spokój. Nie rwijmy szat nad moją hipokryzją. Publikujemy powiastki kryminalne autorstwa zwykłego pedzia. W chwilach, gdy nie pisze o twardych, heteroseksualnych policjantach, daje dupy swojemu młodemu asystentowi. Autor książek religijnych został oskarżony o przestępstwa podatkowe i próbę oszustwa. Hipokryzja? Na twoim przyjęciu gwiazdkowym znalazło się kilku zdeklarowanych

alkoholików. a także piszące rodzeństwo, których jakże bliski związek doprowadziłby do zawału mamusie, czytające ich książki swoim dziatkom. Publikujemy książki kokainisty, któremu co najmniej dwa razy opłacałeś odwyk. Wszyscy są bardzo dobrymi pisarzami i chętnie ich publikujemy. Nie zauważyłem, żebyś się zastanawiał nad ich wadami i niedoskonałościami, kiedy zgarniasz za nich forszę. To dzięki nim możesz sobie pozwolić na masażystę, ten dom i limuzynę z szoferem, a także na inne miłe drobiazgi, którymi tak pompatycznie rozkoszujesz się w swojej wieży z kości słoniowej.

– Wystarczy – przerwał Daniel z rozdrażnieniem. – Nie przeczę, że finanse są dla mnie ważne. Lubię myśleć, że jestem dobrym biznesmenem. Stoczyłem niezliczone walki z bezwzględными wrogami, przetrwałem kryzysy ekonomiczne, w których niektórzy widzieli już moją klęskę. Owszem, bywały czasy, gdy dla dobra Matherly Press musiałem postępować wbrew sobie. W razie potrzeby uciekałem się do podstępów. – Przeszył spojrzeniem ciemność pomiędzy nimi. – To dlatego potrafiłem wyczuć twoje zakłamanie. A kiedy je poczułem, stało się oczywiste, że jesteś nim przesiąknięty.

Noah skrzyżował nogi w kostkach i oparł się niedbale o balustradę. Spojrzał na trzymane kartki, jakby chciał odczytać tekst. Ale na schodach panowały zbyt gęste ciemności, przeszywane tylko rozbłyskami piorunów.

– Przyznaję, że niektóre z tych uwag są niezbyt pochlebne.

Daniel zastanawiał się szybko, jak wiele dowiedział się Noah. Czy to wstępny raport? Nie pamiętał, co zostało uwiecznione na papierze, a czego dowiedział się dziś rano od detektywa podczas rozmowy telefonicznej.

– Gdyby uwierzyć temu wszystkiemu, można by pomyśleć, że jestem potworem w ludzkiej skórze. Wiesz, muszę przyznać, że szalenie mi imponuje ten uprzejmy ton, jakim ze mną rozmawiasz.

– Nie jest mi łatwo.

– Tak myślałem. Podejrzewam, że moje potajemne przymierze z WorldView bardzo cię zirytowało?

Daniel postanowił nie wyprowadzać go z błędu. Niech dalej tkwi w swoich przekonaniach.

– Prędzej wybaczę ci zdradę wydawnictwa niż zdradę Maris.

– O której wie, nawiasem mówiąc – rzucił Noah pogodnie, wypuszczając z dłoni kartki, które rozsypały się na podłodze. – O moim romansie z Nadią.

– Wiem.

Noah wyraźnie drgnął.

– Powiedziała ci?

– Nie, ale od pewnego czasu widzę, że jest bardzo nieszczęśliwa.

– Na brak szczęścia nie może narzekać – odparł z lekceważącym gestem. – Praca podoba się jej jeszcze bardziej niż kiedyś, odkąd ma tego nowego pisarza. Jest kaleką, a to na nią działa jak nic innego. Musi czuć, że jest potrzebna.

A więc nie wiedział o Parkerze Evansie!

– Może nie zaspokoilem jej macierzyńskiego instynktu – ciągnął Noah z nonszalancją, budzącą w Danielu mdłości. – Jestem samowystarczalny, a to powodowało między nami drobne niesnaski, ale twoja ukochana córeczka nie ma powodu do narzekań. Nie miała, dopóki nie przyłapała mnie z Nadią.

– Szczęście czerpała z samej siebie. Była szczęśliwa pomimo, nie dzięki tobie. Ty zabrałeś jej możliwość zaznania prawdziwego szczęścia.

Noah strzelił palcami.

– Mówisz o wasektomii?

– Tak. – Było to jedno z najbardziej ponurych odkryć w raporcie Sutherlanda. – Potajemna wasektomia. Jeśli sobie przypominam, powiedziałaś, że nie możesz jechać z nami do Grecji, ponieważ masz pilne interesy.

– Maris chciała, żebyśmy się różnili przez całe Morze Śródziemne, by zaszła w ciążę. Wynalazłem prawdopodobną wymówkę i wykorzystałem waszą nieobecność na zabieg, dzięki któremu nie musiałem się już martwić o antykoncepcję.

– Ta wiadomość mną wstrząsnęła – przyznał Daniel. – Czy dzięki dziecku nie związałybyś się mocniej z nami i fortuną Matherlych? Ale wkrótce zrozumiałem, dlaczego. – Spojrzał Noahowi prosto w oczy. – Nie chciałeś, żeby dziecko stało się kiedyś zagrożeniem dla twojego udziału w firmie.

Noah się wyprostował.

– Po raz pierwszy się pomyliłeś, Danielu.

– Zaprzeczasz?

– Skąd – oświadczył bezczelnie. – Ale mylisz się, sądząc, że zadowolilibym się nędznym udziałem.

Daniel parsknął z pogardą.

– Jeszcze nie dziel skóry na niedźwiedziu. Dokument, który podpisałem, nic nie znaczy.

– Tak sądzisz?

– Zagrałem na twoich warunkach. Chciałem sprawdzić, jak daleko się posuniesz. Tak naprawdę za najbardziej oburzające uważam to, że ośmieliłeś się

podpisać go nazwiskiem Howarda Bancrofta. On nigdy by...

– I znowu się mylisz – przerwał mu Noah. – Owszem, zrobił to. Wolał to niż rozgłoszenie, że jego ojcem był hitlerowiec, osobiście odpowiedzialny za śmierć tysięcy jego rodaków.

Daniel zbladł.

– Wykorzystałeś tę informację, żeby zmusić go do współpracy?

– Ach... – przeciągnął Noah i uśmiechnął się drapieżnie. – Więc wiedziałeś o jego kurwiącej się mamusi?

– Howard był moim przyjacielem – wycedził Daniel przez zaciśnięte zęby. – Zwierzył mi się. Podziwiałem go za to, że potrafił tak pokierować swoim życiem i że nie dał się pognębić.

– A jednak się dał, nie sądzisz? Na dłuższą metę okazało się, że nie mógł żyć ze świadomością tej tragicznej prawdy.

– Bo zagroziłeś, że ją ujawnisz! – krzyknął Daniel. Wreszcie zrozumiał wszystko.

Noah wzruszył ramionami i uśmiechnął się anielsko.

– Widzisz, na tym właśnie polega różnica między nami. A właściwie między mną i resztą świata. Ty walczysz o to, czego pragniesz, ale nie potrafisz się całkiem zaangażować. Twoje sumienie wytycza niewidzialną granicę, której nie potrafisz przekroczyć. Tkwisz w okowach zasad i etyki. I aczkolwiek jest to moralność godna podziwu, to jednak jakże cię krępuje! Tymczasem ja nie mam tych ograniczeń. Mogę robić wszystko, żeby osiągnąć cel. Nic mnie nie zatrzyma i nie pozwolę, by coś mi stanęło na drodze. Moje hasło to: znajdź słabość człowieka, a będzie twój. Dla osiągnięcia celu jestem gotów na wszystko, nie cofnę się przed niczym.

– Nawet przed doprowadzeniem człowieka... dobrego człowieka... do samobójstwa.

– Nie doprowadziłem Howarda do niczego. Sam na to wpadł. Choć przyznam, że zrobił mi wielką przysługę, wsadzając sobie lufę w usta. Jak sądzisz, o czym myślał, naciskając spust? O niebie? Piekło? O swojej matce z rozłożonymi nogami? Co?

Najbliższy przyjaciel Daniela cierpiał niewypowiedziane męki z powodu swojego strasznego sekretu. Przez całe życie usiłował spłacić ten okropny dług dobrymi uczynkami, życzliwością i tolerancją. Wreszcie pogodził się z nim.

A wtedy ta parodia człowieka, ten potwór zadał mu cios. Gorzej, potrafił o tym mówić z uśmiechem.

Daniel zdał sobie sprawę, że patrzy w twarz czystej, wyzywającej nieprawości.

Obojętność Noaha na zło, które wyrządził, doprowadziła go do szału. W oczach stanęły mu łzy wściekłości! Krew uderzyła mu do głowy, w żyłach rozlał się ukrop, jakby temperatura jego ciała osiągnęła punkt wrzenia w ciągu paru uderzeń serca.

– Jesteś odrażający – warknął i przeskoczył ostatnie dwa schodki.

Rozdział trzydziesty

Parker to był pierwszy widok, jaki ukazał się Maris tuż po przebudzeniu. Żaden inny nie sprawiłby jej większej przyjemności. Siedział obok jej łóżka na fotelu inwalidzkim i przyglądał się jej. Uśmiechnęła się z twarzą wtuloną w poduszkę i spytała sennie:

– Jak ci się udało wstać i przesiąść na fotel, nie budząc mnie?

– Lata praktyki.

Westchnęła, przeciągnęła się rozkosznie, usiadła i podciągnęła kołdrę aż po obojczyki.

– Która godzina?

– Godzina twojego odejścia. Chyba że chcesz, by Mike przyłapał nas na gorącym uczynku.

Miał na sobie tylko bokserki. Jego ramiona i ręce, wiedziała o tym od dawna, były doskonale ukształtowane, mięśnie twarde i wyraźnie zarysowane. Brzuch miał płaski, a poniżej rysowały się jego klejnoty, imponująco duże nawet w stanie spoczynku.

Ale dalej zaczynały się nogi. Wczoraj starała się na nie nie patrzeć, ponieważ Parker był zbyt zdenerwowany. Najwyraźniej po miłosnej nocy uznał, że nie powinien się wstydzić. W przeciwnym razie nie siedziałby z obnażonymi nogami, nie robiąc nic, by je zakryć. Chciał, żeby je zobaczyła.

Więc spojrzała.

I nie mogła ukryć wstrząsu. Zdołała się tylko powstrzymać od krzyku, ale nagłe wstrzymanie oddechu było wystarczająco wymowne, zwłaszcza że Parker przyglądał się jej czujnie.

Miał stężałe, stwardniałe rysy i obce spojrzenie. Jego głos ciął jak nożem.

– Mówiłem, że to nieładny widok.

– Och, kochanie... Byłeś strasznie, przerażająco ranny.

Ześliznęła się z łóżka i uklękła przed nim. Rekin, pomyślała w pierwszym odruchu. Widziała zdjęcia ofiar rekina, które ledwie uszły z życiem, przyplacając to zmasakrowanym ciałem. Blizny Parkera kojarzyły się tylko z czymś równie okropnym.

Najgorsza z nich była głęboka na pięć pozostałość po wyszarpanym mięśniu. Biegła od niej blizna szeroka na dwa centymetry, jak wawóz przecinająca całe prawe

udo i skręcająca pod spód kolana. Niżej ciągnęła się siatka krzyżujących się szram – niektóre były wzdęte i wybrzuszone, inne jak płaskie, lśniące tasiemki plastiku, łączące pomarszczoną skórę. Łydki były nieproporcjonalnie małe i płaskie. Na prawej stopie brakowało dwóch najmniejszych palców.

Zdjęta współczuciem dla bólu, jaki musiał przecierpieć, przesunęła palcem po jednej z powrozowatych blizn.

– Nadal bolą?

– Czasami.

Spojrzała na niego ze smutkiem, pochyliła się i pocałowała jedną z najpotworniejszych szram, przecinającą goleń. Poglądził ją po policzku. Uniosła jego dłoń do ust i pocałowała jej wnętrze.

– Skoro już zaspokoiliś tę makabryczną ciekawość, co powiesz na szybki numerek przed śniadaniem?

Gwałtownie poderwała głowę.

– Co?

– Powiedziałem niewyraźnie?

Wstrząśnięta tak, jakby ją uderzył, podniosła się, sięgnęła po koszulę i zasłoniła się nią niczym pajęczą tarczą.

– O co ci chodzi?

– O nic, z wyjątkiem porannej erekcji, którą powinnaś obsłużyć.

Pokręciła głową w oszołomieniu. Brutalne słowa nie robiły na niej aż takiego wrażenia, ale Parker mówił ze śmiertelną powagą, z celowym okrucieństwem.

– Dlaczego to robisz?

– Bo taki jestem, Maris.

– Nieprawda.

Wzruszył ramionami.

– Jak wolisz. – Cofnął się z wózkiem, skręcił w stronę bieliźniarki. – Mam coś dla ciebie.

– Parkerze! – zawołała w desperacji.

– Co?

– Dlaczego się tak zachowujesz? Nie rozumiem. Co się wydarzyło?

– Nie pamiętasz? Zaraz ci przypomnę. Wydarzyło się to, że twoje orgazmy

okazały się liczniejsze od moich, choć po piątym czy szóstym straciłem rachubę. Oczywiście z kobiecymi orgazmami trudno się połapać, kiedy jeden się kończy, a drugi zaczyna albo który jest prawdziwy. Ale jeśli udawałaś, słonko, to bardzo przekonująco.

Otworzył drzwi bielizniarki i z jednej z wewnętrznych szuflad wyjął pudełko. Obrócił się z okrutnym uśmiechem i zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Ale jedno muszę pani przyznać, pani Matherly-Reed. Jest pani ciasna. Ciaśniutka. I wilgotna. Bardzo przyjemna. Nie rozumiem, dlaczego mąż z tego zrezygnował.

Do oczu napłynęły jej łzy upokorzenia. Otarła je ze złością z policzków. Pospiesznie włożyła koszulę, jedyne dostępne okrycie.

– Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale nie będę tego ciągnąć. Nigdy nie dorównam ci w wulgarności.

– Ależ dorównasz. Masz bardzo bogate słownictwo. Może nie aż tak barwne jak moje, ale jeśli się postarasz, na pewno znajdziesz jakieś odpowiednie wyrażenie. Może przyjdzie ci do głowy w samolocie. Bo zakładam, że już nas opuszczasz.

Nie raczyła mu nawet odpowiedzieć. Ruszyła do drzwi.

– Czekaj! – Pojechał za nią. – *Zazdrość*. Ostateczna wersja.

Dosłownie wepchnął jej pudełko w rękę, więc nie miała wyboru, musiała je przyjąć. Spojrzała na nie, na niego.

– Skończona?

– Od dawna. Od samego początku. To, co czytałaś, to były ostatnie poprawki.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nie znajdując słów.

– Nigdy nie oddaję tekstu, który nie jest skończony. Nikt nie ogląda moich książek, dopóki nie nadam im ostatecznego kształtu. Nigdy nie wysłałbym prologu, gdybym nie miał ukończonej powieści.

– Dlaczego, Parkerze? Dlaczego?

Umyślnie udał, że nie rozumiał jej pytania.

– Prywatne zasady. Tak pracuję.

Maris miała wrażenie, że podłoga pod jej stopami ugina się i zapada, że lada chwila ją pochłonie. Ale nie zamierzała zginąć bez walki.

– Tak pracujesz – powtórzyła głosem podniesionym niemal do krzyku. – Po co ci to wszystko było? A może wcale się tak nie nazywasz? Ile masz imion? O co ci chodzi, do diabła? Po co te kłamstwa, te gierki?

– Dla zabawy. Poszliśmy do łóżka. Kilka razy tej nocy jęknęłaś: „Tak, tak, mocniej, szybciej”, albo coś w tym rodzaju. Miałem wrażenie, że ty też się zabawiłaś.

Przez parę sekund tylko na niego patrzyła, zdumiona, że nagle stał się jadowitym obcym człowiekiem. Potem ze wszystkich sił rzuciła pudełkiem przez cały pokój. Otworzyło się w locie, pokrywka upadła i jakieś czterysta stron rozsypało się we wszystkich kierunkach na podłogę z polerowanego drewna i dywan z Aubusson.

Podbiegła do drzwi i otworzyła je szarpnięciem.

Za progiem stał Mike z ręką wzniesioną, żeby zapukać. W drugiej trzymał słuchawkę bezprzewodowego telefonu.

– Maris. – W jego głosie nie było zaskoczenia. Wiedział, że jest z Parkerem. Natomiast chyba zaskoczyło go jej wzburzenie. Zerknął ponad jej ramieniem, jednym rzutem oka ocenił sytuację. W jego wzroku nie było dezaprobaty; było to raczej spojrzenie sędziego, mającego ogłosić wyrok śmierci. Sztywno podał jej słuchawkę. – Do ciebie. Nie chciałem ci przeszkadzać, ale ten dżentelmen się upiera, że to nagła sytuacja.

Roztrzęsioną ręką przyjęła telefon i wyszła na korytarz. Mike przekroczył próg sypialni i zamknął za sobą drzwi. Maris oparła się o ścianę i spróbowała się opanować. Wzięła głęboki oddech, mocno pociągnęła nosem, strzepnęła łzy z rzęs.

Odkasznęła i podniosła słuchawkę do ucha.

– Halo?

– Maris?

– Noah? – Miał dziwnie stłumiony głos. Z trudem go poznała.

– Musisz natychmiast wrócić do Nowego Jorku. Pozwoliłem sobie poczynić odpowiednie przygotowania. Na lotnisku w Savannah czeka na ciebie bilet. Masz lot o jedenastej dziesięć, więc musisz się pospieszyć.

Nagle opadło ją przerażające poczucie katastrofy. Serce ścisnął lodowaty chłód, zaciążyło jak kawał żelaza. Zamknęła oczy, ale łzy i tak potoczyły się spod powiek na policzki.

– Chodzi o ojca, tak?

– Niestety, tak.

– Coś złego? Zawał?

– Twój ojciec... Boże, jakie to trudne. Nie mogę. Nie powinnaś się o tym dowiedzieć przez telefon, ale... Maris, twój ojciec nie żyje.

Krzyknęła. Kolana ugięły się pod nią i osunęła się na podłogę.

Parker siedział przy biurku w oranżerii, ale nie pisał. Wpatrywał się w ocean. Odrywał od niego spojrzenie tylko na chwilę, by schować twarz w dłoniach w geście nagłej rozpaczy i wstydu.

Słyszał, że Mike wrócił z lądu, ale nie wyszedł z oranżerii, a Mike do niego nie zajrzał. Poszedł prosto na górę i od tego czasu nie wychodził z pokoju. Słychać było tylko jego kroki.

Parker wspominał ostatnią rozmowę z Maris, jeśli można ją było nazwać rozmową. Wszystko się w nim skręcało na myśl o okropnych rzeczach, które jej powiedział. Jej wstrząśnięta twarz nieustannie stała mu przed oczami.

Może pocieszyłaby ją świadomość, że on cierpiał tak samo jak ona. A może nie. Pocieszyłaby ją tylko wiadomość, że jego poćwiartowane ciało zostało rzucone świniom. Poczynając od języka. Jego paskudnego, jadowitego, brutalnego języka.

To popołudnie ciągnęło się w nieskończoność. Na dworze było gorąco i duszno, a ciężka atmosfera, jaka zapanowała w domu, kładła się mu na piersi nieznośnym ciężarem. Ale czy to rzeczywiście wina pogody? Może dusiły go wyrzuty sumienia.

– Zostałem z Maris. dopóki nie weszła na pokład samolotu.

Nie słyszał, jak Mike wchodzi do oranżerii. Wyprostował się gwałtownie i spojrzał przez ramię. Mike stał w drzwiach, sztywny jakby kij połknął, ubrany w garnitur z serży.

– Odleciał o czasie – dodał.

Maris spakowała się i wyruszyła na ląd w towarzystwie Mike'a. Odeszła bez słowa, choć Parker nie spodziewał się, że usłyszy od niej choćby „żegnam”. Nie zasługiwał na to. Nie zasługiwał nawet na „pocałuj mnie gdzieś”, „idź do diabła” czy „pieprz się”. Jej milczące odejście było wymowniejsze od wszystkich epitetów. Wymowne, z klasą i godnością. Bardzo w jej stylu.

Ukryty za kotarą w oknie jadalni, przyglądał się jej odjazdowi. W szerokoskrzydłym słomkowym kapeluszu wydawała się bardzo drobna i delikatna. Miała ciemne okulary, by obce oczy nie dostrzegły, że płakała. Opalenizna, którą zyskała na plaży, jakby zbladła. Maris była blada i bezbronna, tak krucha, jakby mogła się załamać pod samym naporem powietrza.

A jednak czuło się w niej odwagę i godność, zwiastujące obecność niepokonanej wewnętrznej siły.

Mike położył bagaże w przyczepie gatora, a sam pomógł jej wsiąść. Parker śledził ruch jej ust, gdy mu dziękowała. Patrzył tak długo, aż pojazd zniknął z oczu w tunelu drzew. Prawdopodobnie nie zobaczy jej nigdy więcej. Spodziewał się tego.

Nie spodziewał się tylko, że tak go to zabol.

Wierzył, że ból już nie ma nad nim władzy. Po tym, co przeżył, sądził, że jest na niego uodporniony. Nie był. Postanowił się znieczulić paroma kolejkami bourbona, ale po pierwszej zemdlilo go tak, że zwymiotował. Nie ma chyba środka tak silnego, by znieczulił ten rodzaj bólu.

Nadal był odwrócony od Mike'a. Piekącymi oczami wpatrywał się w ocean.

– Maris martwiła się wczoraj o ojca. Może miała przeczucie.

– Nie zdziwiłbym się. Byli sobie bardzo bliscy.

Po rozmowie z Noahem była w szoku, ale starczyło jej przytomności umysłu, by powiedzieć Mike'owi, że jej ojciec spadł ze schodów w domku na wsi. Skreślił kark; śmierć nastąpiła natychmiast. Tragedia miała miejsce w środku nocy.

Noah obudził się, słysząc hałas. Pobiegł na pomoc, ale kiedy nie zdołał ocucić Daniela, wezwał pogotowie. Karetka dojechała w ciągu paru minut, ale na ratunek było za późno – Daniel Matherly już nie żył.

Noah nie uwierzył sanitariuszom. Ambulans ruszył z piskiem opon do małego wiejskiego szpitala. Lekarze oznajmili, że Daniel nie żyje, bezsprzecznie i nieodwołalnie. Noah uznał, że nie warto dzwonić do Maris w środku nocy.

– Pewnie czuła się winna, że nie było jej przy nim – odezwał się Parker.

– Tyle zdołała z siebie wydusić w drodze na ląd.

– W jakim była stanie?

– A jak ci się wydaje?

Odpowiedź była ostra, ale Parker nie zareagował. Jego pytanie było głupie.

– Pewnie czuła się, jakby ją przepędzono pod batogami.

– Ty ze swojej strony na pewno zrobiłeś, co w twojej mocy.

Tym razem uwaga Mike'a była wyraźnie wymierzona w niego. Parker się odwrócił.

– Sugerujesz, że byłem niegrzeczny?

– Wiesz to i beze mnie.

– Co teraz zrobisz? Zaparkujesz mój wózek w kącie? Uziemisz mnie na miesiąc? Nie pozwolisz oglądać telewizji? Dasz mi po łapach?

– To ciebie należałoby przepędzić pod batogami.

Parker zgodził się z nim w cichości ducha, ale nie życzył sobie tego słyszeć z cudzych ust.

– Wciągnięcie Maris do łóżka stanowiło część intrygi. Pewnie się już domyśliłeś.

– Owszem. Co nie znaczy, że mi się to podoba.

– Nikt nie wymaga, żeby ci się podobało – warknął Parker.

– A tobie?

– Co mnie?

– Podobało się?

Miał na końcu języka jadowitą odpowiedź, ale zamilkł pod oskarżycielskim wzrokiem Mike'a. Odwrócił głowę.

– Nieistotne – wymamrotał.

– Doprawdy. Uważam, że jest to nie tylko istotne, lecz wręcz kluczowe dla dalszego rozwoju sytuacji.

Parker odwrócił się do komputera.

– Przepraszam, usiłuję coś napisać.

– Wspaniale. Możesz się odwrócić. Patrząc w ten pusty ekran. Wpatrywać się w kursor aż do końca świata, mnie to nie obchodzi. Możesz się łudzić, że piszesz. Obaj wiemy, że nie.

Parker odwrócił się, teraz już naprawdę zły.

– Najwyraźniej doszedłeś do jakichś wniosków, którymi koniecznie chcesz się podzielić. Więc dawaj. Wyrzuć to z siebie. Widać nie zaznam ani chwili spokoju, dopóki tego nie zrobisz.

Mike nie dał się zastraszyć.

– Nie będę się z tobą kłócić – rzekł spokojnym, wyważonym tonem. – Ale tak, chcę ci o czymś powiedzieć. – Parker przewrócił oczami, lecz on nie zwrócił na to uwagi. – Powstałeś z martwych, gdy twoje życie skończyło się pod każdym względem. Byłem przy tobie. Podrywałem cię do działania, nie dawałem odetchnąć, ale reszta to twoja zasługa. To był heroiczny wysiłek. Trzeba ci przyznać, że przewyciężyłeś niewiarygodne przeszkody. Pokonałeś los, który cię zdruzgotał.

– Chwała mi.

Zgryźliwa uwaga przeszła bez echa. Mike ciągnął dalej:

– Twoje ciało się zabiłiło, ale nie dusza. Została zmasakrowana tysiąc razy bardziej niż nogi. I jest bardziej od nich zdeformowana. Płytki i śruby zespoliły twoje kości, przeszczepy uzupełniły skórę tam, gdzie jej zabrakło, ale twojej duszy nikt nie uleczył. Nadal jest zmiażdżona i krwawiąca, a ty warczysz na każdego, kto chce ją opatrzeć.

– To właśnie usiłowałem ci powiedzieć przez wszystkie te lata – odparł Parker ze słodyczą. – Jestem straconym przypadkiem.

– Nie żadnym straconym przypadkiem, tylko tchórzem! – krzyknął Mike ze złością. – Łatwiej jest czepiać się przeszłości, niż stawić czoło przyszłości.

– A to dobre. Powinienem to sobie zapisać. Jak to szło? Łatwiej jest...

– Sarkazm? Proszę bardzo. Jeśli cię zdenerwowałem, to chociaż wiem, że mnie słuchałeś. – Pobrużdżona twarz Mike'a złagodniała, nabrała wyrazu niezwyklej powagi. – Zostaw Noaha sądowi boskiemu. A może diabelskiemu. Niech go zawłoką przed oblicze tego, który będzie jego sędzią. A potem jedź po Maris. Jeśli ją namówisz, żeby z tobą porozmawiała, otwórz przed nią serce. Opowiedz jej, co zrobił Noah. I co zrobiłeś ty. Może ci przebaczy. Może nie. W każdym razie, wyrzucisz to z siebie. Po raz pierwszy od długich czternastu lat uwolnisz się od tego, co się zdarzyło w Key West. Ocalisz siebie. Znowu. Ale to jest ta najważniejsza sposobność.

Serce Parkera biło tak mocno i głośno, że czuł jego stukot w uszach. Ale nie zmienił obojętnego wyrazu twarzy.

– Piękne kazanie. Szczerze. Bardzo poruszające. Ale zamierzam wytrwać przy planie A.

– I odrzucić szansę życia z kobietą, którą kochasz?

– Kocham? – parsknął. – Kto to powiedział?

– Ty. Za każdym razem, gdy na nią spoglądałeś.

– Znowu się dobrałeś do jakichś romansów? Podnoszą ci ciśnienie.

– Dobrze, śmiej się. Zaprzecz, że ją kochasz. Marnujesz tylko czas. Maris podziałała na ciebie jak te narkotyki, które brałeś. W chwili gdy się tu zjawiała, upoiłeś się nią i już się od niej uzależniłeś. Ona jest...

– Żoną Noaha! – Spokój Parkera prysnął jak bańka mydlana, pękł jak żyłka w tenisowej rakiecie, która uderzyła o jeden raz za dużo. – Jest poślubioną przed Bogiem i ludźmi ukochaną żoną! I to się liczy! Tylko to! – ryknął, młócąc powietrze dłonią. – Nic innego! Na pewno nie to, co do niej czuję albo co ona czuje do mnie, albo nawet co czujemy do siebie. Jest żoną Noaha Reeda, a ja ją miałem. I dobrze. Miałem ją, jak chciałem! Tak! – Uderzył się pięścią w pierś, w oczach zalśniły mu łzy szaleńczej wściekłości, wybuchającej w nim za każdym razem, gdy pomyślał o

zdradzie Noaha. A teraz także o swojej winie.

Rysy Mike'a zastygły w maskę powagi i ogromnego rozczarowania.

– Być może masz rację. Może rzeczywiście jesteś straconym przypadkiem. Twoje okrucieństwo przekracza dopuszczalne granice. Myślisz tylko o zemście.

– Zgadza się. Wreszcie załapałeś.

– Co będzie w następnym rozdziale?

– Skoro Maris rzuciła we mnie tekstem, chyba nie mogę liczyć, że pokaże go Noahowi. Wobec tego będę musiał mu go wysłać listem poleconym, wraz z wiadomością, że *Zazdrość* trafiła w tej samej chwili do każdego wydawnictwa w Nowym Jorku. Jeśli to go nie postawi na równe nogi, może zdoła tego dokonać dopisek, w którym opiszę talent jego żony do obciążania małego.

Mike pokręcił głową z obrzydzeniem.

– A co potem?

– Oczywiście wstrząsający punkt kulminacyjny.

Mike przyglądał się mu długo i surowo. Odwrócił się i podniósł z podłogi dwie walizki, które aż do tej pory znajdowały się poza zasięgiem wzroku Parkera.

– Gdzie się wybierasz?

– Jak najdalej od ciebie. Nie będę brał w tym udziału.

Mike go opuszcza? To nim wstrząsnęło, choć nie dał tego po sobie poznać.

– Już wziąłeś, nie zapominaj. Współpracowałeś ze mną.

– Czego się teraz bardzo wstydzę. Tak czy siak, jest to koniec mojego współuczestnictwa.

– Świetnie. Jedź. Miłej podróży.

– Poradzisz sobie?

– Teraz to już nie twoja sprawa, prawda?

Odwrócił się z fotelem i spojrzał w pusty ekran komputera. Po chwili usłyszał trzaśnięcie kuchennych drzwi. Został zupełnie sam.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Kiedy Maris wracała myślami do swojej podróży do Nowego Jorku, potrafiła przywołać tylko strzępy wspomnień. Funkcjonowała jak we śnie, tylko bez tej podświadomej pewności, że to sen i że wkrótce się obudzi. Niewytłumaczalne zachowanie Parkera i śmierć ojca to był podwójny cios. Jej umysł w samoobronie odciął się od świadomych myśli i rozsądku i funkcjonował na autopilocie.

Mike Strother dyskretnie poinformował stewardesę o jej stanie, więc obsługa starała się jej nie przeszkadzać. Maris przez cały lot wpatrywała się pustym wzrokiem w okno, nie wiedząc i nie chcąc wiedzieć, co się wokół niej dzieje.

Noah wyszedł jej na spotkanie na La Guardii. Nie ucieszyła się na jego widok, ale pomógł jej się wydostać z rozgardiaszu wielkiego lotniska. Odebrała bagaże. Samochód z szoferem już czekał.

W limuzynie, sunącej w korku na Manhattan. Noah smutnym głosem wtajemniczył ją w szczegóły, których nie zdradził przez telefon. Ciało Daniela nadal znajdowało się w Massachusetts, gdzie miano przeprowadzić sekcję. Być może znajdą fizyczną usterkę, która spowodowała śmierć. Zator płucny. Zatrzymanie akcji serca. Anewryzm, który nie ujawnił się podczas ostatniego badania.

– Ale najprawdopodobniej – dodał – Daniel po prostu stracił równowagę na ciemnych schodach. Laskę znaleziono w sypialni. Podobno Daniel upadł, wchodząc na schody. Mógł stracić równowagę, nie mając dodatkowego oparcia.

– Sporo wypił – wyznał Noah z ociąganiem. – Wiesz, Maris, że baliśmy się czegoś w tym rodzaju.

Poinformował ją, że po sekcji Daniel zostanie przewieziony do Nowego Jorku. Już poczynił wstępne przygotowania do pogrzebu, ale nie sfinalizował ich, czekając na Maris. Wiedział, że wybór trumny będzie miał dla niej szczególne znaczenie, więc pozostawił tę decyzję jej.

Zauważyła, że doskonale sobie ze wszystkim poradził.

– Chciałem ci oszczędzić nieprzyjemności, na ile to możliwe.

Był taki chętny do pomocy, łagodny, przymilny.

Nie mogła go znieść.

Brzydziła się nawet powietrza, którym oddychał, informując szofera, że ma ją zawieźć do domu ojca. Jej przyjaciółka zgłosiła się z pomocą; Maris wysłała ją do swego mieszkania z listą ubrań i przedmiotów, których potrzebowała. Już nigdy nie przekroczy progu apartamentu, który dzieliła z Noahem.

Weszła do swojego dawnego pokoju w domu Daniela. Przez następne trzy dni nie przyjmowała osób, które zjawiły się z kondolencjami. Maxine trwała w rozpacz. Obwiniła się o to, że pozwoliła Danielowi pojechać bez niej, jakby sama jej obecność mogła zapobiec wypadkowi. Maris usiłowała ją pocieszać, jednocześnie głęboko jej współczując. Sama cierpiała tak samo jak ona.

Jej ojciec zmarł, podczas gdy ona kochała się z Parkerem.

Za każdym razem, gdy jej myśli zbaczały w tym kierunku – co zdarzało się często – zatrzymywała je gwałtownie. Nie chciała się obarczać poczuciem winy. Daniel sam ją zachęcił, by wyjechała do Georgii. Dał jej swoje błogosławieństwo. W ostatnich słowach, jakie do niej skierował, powiedział, że zasługuje na szczęście i że ją kocha. Jego śmierć nie miała nic wspólnego z jej romansem.

Jednak związek między tymi dwoma sprawami zaistniał, a ona nie mogła myśleć o jednej, nie przypominając sobie drugiej.

Dowiedziała się, że śmierć w rodzinie to bardzo czasochłonne wydarzenie, zwłaszcza jeśli zmarły zajmował pozycję Daniela Matherly'ego. Był ostatnim patriarchą dynastii wydawniczej, jedną z nowojorskich gwiazd. Jego klepsydra pojawiła się na pierwszej stronie „New York Timesa”. Lokalne media zarejestrowały jego pogrzeb.

Maris przetrwała ten dzień z twardym postanowieniem, że nie załamie się pod jego ciężarem. Spowita w czerń od stóp do głów, była fotografowana podczas wejścia do katedry, wyjścia z katedry, modlitwy nad grobem, przyjmowania kondolencji burmistrza. Najbardziej miłe jej sercu były milczące sygnały – uściśnięcie dłoni, spojrzenie wyrażające współczucie i zrozumienie. Ludzie przeważnie mówili zbyt wiele. Ci, którzy mieli dobre intencje, starali się jej wytłumaczyć, że Daniel miał długie, owocne życie, z czego powinna czerpać pociechę. Że nie cierpiał. Że wszyscy powinniśmy mieć tak szybką śmierć. Że przynajmniej nie czekała go długa, bolesna agonia. Że nagły zgon to błogosławieństwo.

Takie słowa poważnie zagrażały jej opanowaniu.

Ale nikt nie zaskoczył i nie obraził jej bardziej od Nadii Schuller. Wykorzystując chwilę, gdy Noah rozmawiał z grupą wydawców, stanęła u boku Maris, obrzucając błyskawicznym spojrzeniem grób, i chwyciła ją za rękę.

– Bardzo mi przykro, Maris. Ogromnie, ogromnie przykro.

Uderzająca była nie tylko bezczelność Nadii, która miała odwagę pojawić się na pogrzebie, ale także to, jak przekonująco odegrała wstrząs i żalobę. Maris cofnęła rękę, podziękowała chłodno i chciała się odwrócić, ale Nadia nie dała się zbyć.

– Musimy porozmawiać, jak najszybciej.

– Jeśli chodzi ci o oświadczenie do twojej rubryki, zadzwoń do naszego wydziału kontaktów z prasą.

– Maris, proszę... – Nadia pochyliła się bliżej. – To ważne. Zadzwoń. – Wcisnęła jej w dłoń wizytówkę, odwróciła się i szybko odeszła. Miała na tyle przyzwoitości, że nie spojrzała na Noaha.

To on stanowił najgorsze wyzwanie dla wytrzymałości Maris.

Usiłowała tłumić wzdrygnięcie, gdy się do niej zbliżał. A starał się być jak najbliżej. Na stypie nie odstępował jej na krok, często obejmował, ścisnął dłoń, demonstrował przyjacielom i współpracownikom ohydnie fałszywą miłość. Wszystko to byłoby śmieszne, gdyby nie było tak odrażające.

Ostatni goście odeszli już po zmroku. Maxine nie chciała odejść do swego pokoju, co proponowała jej Maris. Uparła się, żeby dopilnować pracowników firmy cateringowej, sprzątających po przyjęciu. Wobec tego Maris podeszła do Noaha.

– Chcę z tobą porozmawiać.

– Oczywiście, kochanie.

Jego nieskazitelne maniery doprowadzały ją do szału. Nie mogła znieść nawet jego widoku. Te dwa lata, gdy dzieliła z nim dom i łóżko, musiały się wydarzyć w życiu innej kobiety. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że tą kobietą była ona.

Przed zupełną śmiesznością ratował ją fakt, że Noah był doskonałym aktorem. I wprawnym kłamcą. Nabrał i ją, i Daniela. i – Możesz już przestać udawać. Nie ma tu nikogo oprócz Maxine, a ona już wie, że się rozstaliśmy.

Zaprowadziła go do gabinetu ojca, pachnącego nim i jego tytoniem. I brandy, i książkami, które kochał. Z tym pokojem łączyło się tyle wspaniałych wspomnień, że jednocześnie budził w niej klaustrofobię i koł nerwy.

Usiadła w wielkim skórzanym fotelu za biurkiem Daniela. To było prawie tak, jakby ojciec ją przytulił. Cztery zeszłe noce spędziła właśnie tutaj, przeplatając rozpaczliwy płacz krótkimi, niespokojnymi drzemkami, gdy śnił się jej Parker, odchodzący coraz dalej, choć do niego wołała. Starła się go dotknąć, ale zawsze był poza jej zasięgiem. Budziła się, szlochając nad tą podwójną stratą.

Noah podciągnął czarne spodnie i usiadł w drugim fotelu.

– Liczyłem, że złagodniejesz na tej wyspie, ale wróciłaś tak samo wściekła, jak wyjechałaś.

– Śmierć taty nic między nami nie zmieniła. Nie zmieniła też twojego charakteru. Jesteś kłamcą i zdrajcą. – Odczekała chwilę i dodała: – A to chyba najmniejsze z twoich grzechów.

Jego spojrzenie ochłodziło.

– Co to ma znaczyć?

Otworzyła szufladę biurka i wyjęła wizytówkę.

– Znalazłam to w terminarzu ojca, szukając adresów znajomych. To dyskretna wizytówka z bardzo zwięzłą informacją. Samo nazwisko i numer telefonu. Zaciekało mnie to, więc zadzwoniłam. Wyobraź sobie moje zaskoczenie...

Patrzył na nią bez słowa, wreszcie uniósł ramiona w pytającym geście.

– Rozmawiałam z człowiekiem, którego ojciec wynajął do prowadzenia dochodzenia w twojej sprawie. Pan Sutherland wyraził swoje ubolewanie z powodu śmierci taty. Spytałam, co jego wizytówka robiła w notesie ojca. Był bardzo dyskretny, wyjątkowo profesjonalny, wreszcie ze skruchą wyjaśnił, że nie może rozmawiać o sprawach swojego klienta, nawet jeśli ten klient nie żyje. Jednak, dodał, jeśli mam dostęp do akt ojca, z pewnością znajdę w nich raport. Jeśli zyczę sobie, by kontynuował dochodzenie, którego jeszcze nie zakończył, chętnie włączy mnie w liczbę swoich klientów, a zaliczkę, którą wpłacił ojciec, przepisz na moje konto.

Oparła ręce na biurku.

– Szukałam tego raportu. Nie ma go tutaj. Ani w domu, ani w biurze, ani w prywatnym sejfie w sypialni, ani w sejfie w banku. Dziwnym zbiegiem okoliczności przed wyjazdem na wieś spędziłeś tutaj nieco czasu. Ojciec pakował się na górę, a ty powiedziałaś Maxine, że musisz do kogoś zadzwonić, i wszedłeś do gabinetu, rzekomo po to, by skorzystać z telefonu. Zamknąłeś za sobą drzwi. Maxine uznała wtedy, że to dość dziwne, bo zwykle dzwonisz z własnej komórki, ale wtedy już się nad tym nie zastanawiała. Przypomniała sobie dopiero, gdy spytałam, czy tamtego dnia nie szperałeś w prywatnych dokumentach taty.

Potrząsnął głową z cichym śmiechem.

– Maris, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Może rzeczywiście tu wszedłem. Prawdę mówiąc, nie pamiętam. Ale od kiedy to nie mam prawa wstępu do tego pokoju? Od chwili gdy zaczęliśmy ze sobą chodzić, byłem tu setki razy. Zwykle zamykam drzwi, gdy odbywam prywatne rozmowy. Każdy tak robi. Jeśli chodzi ci o Nadie...

– Nie – przerwała szorstko. – Nie obchodzi mnie ani Nadia, ani żadna, z którą sypiasz.

Rzucił jej powątpiewające spojrzenie. Miała ochotę go uderzyć. wybić mu z głowy te kpiące miny.

– Rozmawiałam także z policją z Massachusetts.

– Och, och, miałaś pełne rączki roboty.

– Podałam w wątpliwość naturalne przyczyny śmierci ojca. – Nie uderzyła go, na co miała wielką ochotę, ale i tak udało jej się pozbawić go sporej części arogancji. Jego uśmiech stał się dziwnie sztuczny, jakby przymarzył do ust. Noah wyprostował

się sztywno. – Zgodzili się wznowić dochodzenie. Tym razem będą szukali dowodów.

Zerwał się na równe nogi.

– Jakich dowodów?

– Jutro mamy spotkanie z komendantem policji Randallem. Opowie nam, co znaleźli – poinformowała go zimno. – Sugeruję, żebyś się na nim zjawił.

Posterunek policji to było sześciu policjantów – komendant, czterej podwładni i sekretarz, pełniący także funkcję oficera dyżurnego i oficjalnego miejskiego plotkarza. Wszyscy zajmowali się drobnymi sprawami, w rodzaju zepsutych pługów śnieżnych i zaginionych zwierząt, opłat za parkowanie, gdy bawiący tu przejazdem turyści zbyt długo zatrzymywali się w sklepie z antykami. oraz od czasu do czasu mandatów za jazdę w stanie wskazującym na spożycie.

Jak na wielkomijskie standardy, tutejsze plotki wcale nie były skandaliczne. Dotyczyły głównie tego, kto ostatnio pojechał do Nowego Jorku na lifting, kto sprzedał letni domek gwiazdzie filmowej, daremnie usiłującej zachować anonimowość, i kto po burzliwej interwencji rodziny wysłał zbuntowaną córkę do kliniki odwykowej. Mieszkańcy miasteczka mogli spokojnie zostawiać otwarte domy i samochody, ponieważ kradzieże zdarzały się tu rzadko.

Ostatnie zabójstwo w tym okręgu miało miejsce za czasów rządów Lyndona Johnsona. Sprawa była krótka. Morderca przyznał się do winy w chwili, gdy na miejscu zbrodni zjawiała się policja.

Niedoświadczenie miejscowych policjantów w rozwiązywaniu spraw kryminalnych działało na niekorzyść Maris; natomiast niezaprzeczalnym plusem był fakt, iż dochodzenie w sprawie morderstwa obudziło w funkcjonariuszach daleko większy entuzjazm niż zdejmowanie kotka z drzewa czy ustawianie skrzyń z piaskiem na okoliczność pokazu sztucznych ogni lub koncertu z okazji Czwartego Lipca.

Funkcjonariusze rzucili się do pracy z twardym postanowieniem znalezienia mordercy szacownego obywatela, nawet jeśli ów obywatel bywał w ich miasteczku jedynie w czasie weekendów.

Maris i Noah przyjechali osobno. Mały, porośnięty dzikim winem budynek wyglądał raczej jak sklepik z pamiątkami niż posterunek policji. Maris dotarła na miejsce na parę minut przed Noahem. Kiedy i on pojawił się w poczekalni, zaprowadzono ich do gabinetu komendanta. Oboje podziękowali za kawę i słodkie

bułeczki z miejscowej piekarni.

Randall, mężczyzna o czerwonej twarzy i łysince, na którą zaczesywał wątle pasmo jasnych włosów, wyczuł, że Maris chce jak najszybciej przejść do sprawy. Ograniczył więc wstępne uprzejmości do minimum i usiadł za biurkiem. Przedstawił wynik poszukiwań raczej z rozczarowaniem niż z ulgą.

– Obawiam się, że nie mam pani do przekazania nic ponad to, co znalazło się we wstępnym raporcie. Moi ludzie przeczesałi pani dom kilka razy. Nie znaleźli nic, co by wskazywało na morderstwo.

Kątem oka dostrzegła, że Noah z zadowoleniem składa dłonie na kolanach.

– Moi ludzie uważają, z czym się zgadzam, że pani ojciec po prostu spadł ze schodów. Na podłodze w miejscu, gdzie go znaleziono, widać plamy krwi, ale da się je wyjaśnić raną na jego głowie. Powstała przy uderzeniu o podłogę.

Maris przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło.

– A raport koronera? – spytała.

Randall otworzył teczkę i włożył okulary, zbył wąskie na jego pyzatej twarzy.

– Treść żołądka wskazuje, że denat spożył posiłek na parę minut przed śmiercią, o czym wspomniał pan Reed. – Zerknął nad okularami na Noaha.

Ten potwierdził poważnym skinieniem głowy.

– Kiedy wszedłem do kuchni, żeby zadzwonić na policję, w zlewie zobaczyłem brudne talerze. Pozmywałem po kolacji, więc doszedłem do wniosku, że Daniel zszedł na dół, by coś zjeść. Wracając na górę, spadł ze schodów.

– Czy to możliwe, że okoliczności zostały upozorowane?

– Jak to?

– Może ktoś włożył talerze do zlewu, żeby stworzyć wrażenie, iż ojciec ich używał.

– Och, używał – zapewnił ją Randall. – Są na nich jego odciski palców. Jego i niczyje inne.

– Może ojciec jadł z tych talerzy na piętrze. Często jadał w łóżku. Skąd wiemy, że był na dole?

– Okruszki.

– Słucham?

– Okruszki chleba na jego szlafroku, kapciach i podłodze przy zlewie. Sądzę, że stał przy kuchennym oknie i jadł kanapkę.

Dotknął przelotnie uklepanego na łysinie kosmyka włosów. Jakby upewniał się, że się nie odlepił, i znów spojrzał w akta.

– Poziom alkoholu w jego krwi przekraczał poziom dozwolony dla kierowców, ale nie o wiele.

– Jakież ślady substancji chemicznych?

– Tylko leków, które przyjmował. Skonsultowaliśmy się z jego nowojorskim lekarzem. Biorąc pod uwagę czas ostatniej realizacji recepty, z butelki nie znikło więcej pigułek, niż powinno. Nigdzie nie ma śladu walki.

– Znaleźliście laskę w jego pokoju?

– Opartą o nocną szafkę. Tak, sprawdziliśmy odciski palców – uprzedził jej pytanie. – To były jego odciski. Nie ma śladów włamania. Na ciele pani ojca brak obrażeń z wyjątkiem tego skaleczenia na głowie; koroner twierdzi, że powstało w wyniku upadku. Czas śmierci ocenia na parę minut po telefonie pana Reeda na policję. Wszystko to znajduje się w policyjnych raportach.

Zdjął okulary i złożył ręce na teczce z raportem. Odchrząknął i spojrzał na nią ze współczuciem.

– Kiedy wydarza się tak tragiczny wypadek i ktoś traci życie, jego bliscy szukają wytłumaczenia. Kozła ofiarnego. Kogoś lub czegoś, na co można zrzucić winę. Wiem, że trudno to pani zaakceptować, ale wszystko wskazuje na to, że pani ojciec natknął się na jakąś przeszkodę w drodze na piętro. Stracił równowagę i upadł, co zakończyło się tragedią. Bardzo mi przykro, pani Matherly-Reed.

Maris nie czuła ani otuchy, ani rozczarowania. Policja znalazła dokładnie to, czego się spodziewała. Wzięła torebkę i wstała. Uścisnęła dłoń policjantowi.

– Bardzo dziękuję za pański czas i wysiłek.

– Po to tu jestem. Włączyłem ten dom do rutynowego objazdu. Będziemy tu zaglądać na patrolu.

– Jest pan bardzo przewidujący. Dziękuję.

Wyszła na dwór i ruszyła szybkim krokiem do samochodu. Noah dogonił ją, zanim zdążyła wsiąść. Chwycił ją za ramię, odwrócił, przyciągnął blisko do siebie tak, że prawie dotykali się nosami.

– Zadowolona?

– Zupełnie. – Spojrzała na niego spokojnie. – Jestem pewna ponad wszelką wątpliwość, że to ty byłeś tą przeszkodą, na którą ojciec natknął się na schodach.

Jego wąskie wargi rozciągnęły się w uśmiechu, od którego zjeżyły się jej włosy na karku,

– W twoich brzydkich podejrzeniach nie ma żadnych konkretów.

– Puść mnie, bo zacznę krzyczeć. Ten miły policjant na pewno chętnie pospieszy mi z pomocą.

Przyjął jej argument do wiadomości.

– Randall z pewnością zainteresowałby się wiadomością, że ojciec wynajął pana Williama Sutherlanda, by prowadził w twojej sprawie dochodzenie.

– Mało istotne. Co będziesz z tego miała?

– Nic. Dołożyłeś starań, żeby nie zostawiać po sobie śladów. Ale nie doceniasz moich umiejętności rozpoznania dobrej intrygi.

– To nie powieść.

– Niestety. Ale gdyby była, uznałabym cię za czarny charakter. Do moich zadań należy rozpoznanie motywacji bohatera, prawda? Jego cele muszą być zrozumiałe, w przeciwnym razie historia nie będzie miała mocnych fundamentów. Dlaczego wywiozłeś ojca na wieś, kiedy szczęśliwym zbiegiem okoliczności wyjechałam z miasta? Dziwi mnie to, zwłaszcza że się rozstaliśmy. Dlaczego, choć tak lubisz wygodę, uparłeś się, żeby Maxine została w Nowym Jorku? Okłamałeś mnie w sprawie Nadii. Okłamałeś w sprawie pisania. W ilu jeszcze innych sprawach? WorldView? Oczywiście. Dałabym głowę. Kiedy Morris Blume przypadkiem wspomniał mi o waszym tajnym spotkaniu, wspiałeś się na szczyt pomysłowości, żeby się z tego wykręcić. Zadbaleś o zabezpieczenie tyłów, zawczasu informując o spotkaniu ojca, na wypadek gdyby któreś z nas jednak się połapało. Ale już wtedy nie byłam pewna twojej niewinności, a teraz jestem przekonana o twojej winie. Myślę, że tato też w ciebie wątpił. Po co by zatrudnił pana Sutherlanda? Sądzę, że wiedział o twojej podwójnej grze. Może nawet miał na nią dowody. Kiedy ci je przedstawił, zabiłeś go. Mam nadzieję, że nie popełniłeś morderstwa po to, żeby doprowadzić do umowy z WorldView. Bo jeśli tak, czeka cię gorzkie rozczarowanie. Musisz to przyjąć do wiadomości. Matherly Press pozostanie autonomiczne, jak zawsze.

– Bardzo uważaj, Maris. – Jego głos był cichy, lecz wibrował groźbą. Ujął pasmo jej włosów i owinał je ciasno wokół palca wskazującego. Każdy, kto by na nich patrzył, uznałby ten gest za wyraz czułości. Ale Noah naciągnął jej włosy tak, że poczuła ból. – To ty musisz coś zrozumieć. Nikt mi nie przeszkodzi w zdobyciu tego, czego pragnę.

Jakże słusznie bała się go w nocy przed wyjazdem do Georgii. Okrucieństwo, które w nim dostrzegła, nie było wytworem jej fantazji. Ujrzała niegodziwą stronę jego osobowości, która właśnie ocknęła się z uśpienia.

Ale – dziwne – już się go nie bała. Nie miał już nad nią władzy. Nie potrafił jej zastraszyć. Roześmiała się cicho.

– I co teraz zrobisz? Mnie też zepchniesz ze schodów?

– Daniel sam ściągnął na siebie śmierć. Zdenerwował się, zareagował zbyt gwałtownie, zapomniał o swoich ograniczeniach i poniósł tego konsekwencje. Jeśli szukasz winnego, on nim jest. Chociaż – dodał jedwabistym głosem – przyznaję, że jego śmierć była mi bardzo na rękę.

Cofnęła się gwałtownie, a ponieważ nadal trzymał ją za włosy, szarpnięcie było bolesne. Tak bolesne, że w oczach stanęły jej łzy. Prawie tego nie zauważyła. Bo ból jeszcze bardziej wyostrzył jej pamięć.

Prawdę mówiąc, jej śmierć była mi bardzo na rękę.

Przeczytała tę kwestię z dziesięć razy, może więcej. Było to kluczowe zdanie w dialogu, więc poświęciła mu wiele uwagi. Usiłowała je przerobić lub uzupełnić, ale po paru próbach okazało się, że zmiany są zbędne. Zdanie było idealne. Jego lodowata szczerość była obliczona na efekt. Parker chciał za jego pomocą ukazać mgnienie mrocznej duszy swojego bohatera. Olśnienie wstrząsnęło nią jak cios.

– Todd to ty.

Noah znowu się do niej pochylił.

– Co? Kto?

Myśli eksplodowały jej w głowie jak sztuczne ognie, ale jedna wybiła się na pierwszy plan i pozostała klarownie przejrzysta: to nie może być zbieg okoliczności.

– Po raz ostatni – wycedziła z nienawiścią, której by się po sobie nie spodziewała – powtarzam: daj mi spokój.

– Oczywiście, kochanie. – Uwolnił jej włosy. – Możesz iść. Zrozumieliśmy się. prawda?

Usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik. Zanim jednak zatrzasnęła drzwi, rzuciła na pożegnanie:

– Nawet sobie nie wyobrazasz, jak dobrze cię rozumiem.

Zazdrość, Rozdz. 22

Key West, Floryda, 1988 r.

Był to jeden z tych dni, kiedy słowa zwyczajnie nie przychodziły.

Roark ścisnął głowę dłońmi, jakby chciał z niej wycisnąć odporne myśli. Nic z tego. Skończyło się. Dziś wydusił z siebie dokładnie dwa i pół zdania. W sumie dziewiętnaście słów. Od trzech godzin kursor tkwił w tym samym miejscu i mrugał do niego znacząco.

– Mały złośliwiec – szepnął Roark. Powoli, akcentując każde słowo, napisał: „Trawa jest zielona. Niebo jest niebieskie”. – Widzisz, draniu? Potrafię napisać zdanie, jeśli mi się zachce.

Mniejsza o to, że wczorajszy dzień był ze wszech miar produktywny. Siedział i pisał przez szesnaście bitych godzin, bez jedzenia i picia, chodząc do toalety tylko wtedy, gdy było to naprawdę niezbędne. W rezultacie mógł się pochwalić dwudziestoma stronami tekstu. Ale euforia skończyła się dzisiejszego ranka, kiedy obudził się i stwierdził, że zły duch okradł go z wczorajszego talentu. Jak inaczej tłumaczyć sobie jego zniknięcie?

Tak mu się to dało we znaki, że zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej dać sobie spokój na dziś, pójść do kina, na plażę albo na ryby. Ale takie pobłażanie sobie łatwo wchodzi w nawyk. To zbyt proste poddać się chwilowej trudności. Taka blokada także może wejść w nawyk – i właśnie ta przerażająca możliwość przykuta go do krzesła i kazała wpatrywać się w pusty ekran, na którym ironicznie mrugał do niego złośliwy, nieruchawy kursor.

– Roark!

Na parterze trzasnęły drzwi, na schodach załomotały kroki Todda. Ostatnio wziął dodatkową pracę. Roark z ulgą przyjął jego nieobecność, dzięki której mógł spokojnie pisać w pustym mieszkaniu, gdzie nic go nie rozpraszało. Odwrócił się w chwili, gdy Todd stanął na progu.

– Co jest? Budynek się pali? Mam nadzieję.

– Sprzedałem!

– Samochód? – Było to pierwsze skojarzenie, które mu przyszło do głowy. Todd nieustannie narzekał na swojego rupiecia.

– Książkę! Sprzedałem książkę! – Todd miał zaczerwienione policzki, oczy błyszczące gorączką, uśmiech jak z reklamy pasty do zębów.

Roark wpatrywał się w niego w oszołomieniu.

– Co, ogluchłeś? – Głos Todda nabrał nienormalnie cienkich tonów. – Sprzedałem moją powieść.

Roark podniósł się chwiejnie.

– A... to genialnie. Nie wiedziałem, że... kiedy ją wystąłeś?

Todd zdołał nadać szerokiemu uśmiechowi nutkę skruchy.

– Nie mówiłem ci. Dwa miesiące temu coś mi strzeliło do głowy i wystąłem ją do wydawnictwa. Nie chciałem z tego robić żadnego halo, bo bałem się... Jezu, byłem pewien... że dostanę kolejną odmowę. A dziś, przed chwilą, nawet nie godzinę temu, zadzwonili do mnie do pracy!

– Wydawnictwo znało twój numer?

– No pewnie. W liście intencyjnym podałem im wszystkie możliwe zamiary na siebie. Na wszelki wypadek. No więc dziś kierownik klubu, ten pedzio, którego nienawidzimy, przydyrdał do mnie i zaczyna głądzić, że ktoś do mnie zadzwonił i że nie wolno mi rozmawiać przez służbowy telefon w sprawach prywatnych i że bym się ograniczył do trzech minut. Tak jakbyśmy byli tam zajęci – parsknął. – Od pół godziny nie zaparkowałem żadnego samochodu, więc domyśliłem się, że to ty albo laski – Dla Todda sąsiadki stały się kolektywnym zjawiskiem o nazwie „laski”. – Ustęp się zatkał czy coś, rozumiesz. A tymczasem, tymczasem ten gość przedstawia mi się jako wydawca, mówi, że przeczytał mój tekst i że go zjadło. Tak powiedział! „Zjadło mnie!”. I dodaje, że go wydadzą. Omal się tam nie posrałem na miejscu! Potem przyszło mi do głowy, że może ty albo ktoś inny, na przykład ten pedzio, którego nienawidzimy, robi sobie ze mnie jaja, no wiesz, podpuszcza mnie. Ale nie, gość wali dalej o mojej powieści, wymienia postaci z imienia i tak dalej. Mówi, że jest gotów zaproponować pięciocyfrową sumę, ale że to dopiero początek. Tak się zachwycał moją książką, że chyba mogę podbić cenę aż pod sufit!

Roark zmusił odporne ciało do przetłamania bezruchu, zmusił się do radości, podszedł do Todda i uścisnął go z całej siły, poklepał go po plecach, podniósł z podłogi, pogratulował, tak jak to powinien zrobić dobry przyjaciel i kolega z bractwa.

– Gratulacje, stary. Ciężko na to zapracowałeś. Zastużyłeś sobie.

– Dzięki, Roark.

Todd odsunął go od siebie, spojrzął mu prosto w oczy i wyciągnął dłoń. Uścisnęli sobie ręce, ale powaga nie potrwała długo. Sekundę później Todd ryknął jak syrena alarmowa i zaczął skakać po mieszkaniu z wściekłą energią rezusa na amfetaminie.

– Nie wiem, co mam najpierw zrobić! – wrzasnął ze śmiechem.

- Zadzwoń do Hadleya – podsunął Roark.

- Hadley może się gonić. Nie wierzył we mnie. Dlaczego mam się z nim dzielić dobrymi wieściami? Wiem! – Zatarł radośnie ręce. – Trzeba to oblać! Zapraszam! Ja stawiam.

Roark nigdy w życiu nie miał mniejszej ochoty na zabawę. Pokręcił głową.

- Nie musisz...

- Wiem. Nie muszę. Chcę. Dziś! Zaraz wszystko przygotuję.

- Muszę pracować.

- Olej pracę.

- Łatwo ci powiedzieć, sprzedasz książkę. Za pięciocyfrową sumę, z możliwością negocjacji.

To słowo szarpnęło rezusa za ogon. Todd przestał skakać i spojrzał surowo na Roarka.

- A, rozumiem. Jesteś zły, bo sprzedałem książkę przed tobą.

- Nieprawda.

- To dobrze – rzucił sarkastycznie. – Bo gdybyś był zły, mógłbyś się zachowywać w najradośniejszym dniu mojego życia jak świnia, a nie najlepszy przyjaciel.

Fakt. Zachowywał się jak świnia. Dotkliwa zazdrość zmieniła go w idiotę, który ze wszystkich sił starał się zepsuć najszczęśliwszy dzień w życiu swojego przyjaciela.

Oczywiście, gdyby sytuacja się odwróciła, Todd zachowałby się równie skandalicznie, może nawet jeszcze gorzej. Nadąłby się i zaczął robić uwagi o niesprawiedliwości losu. Byłby urażony i jadowity, a potem zacząłby się robić okrutny.

Ale od kiedy Todd Grayson stanowił dla niego przykład dobrego wychowania? Roark lubił myśleć, że jest lepszym człowiekiem i przyjacielem niż Todd. Lubił myśleć, że ma mocniejszy charakter i więcej prawości.

Przykleił do ust fałszywy uśmiech.

- A, co tam, zadzwonię, że jestem chory. Niech ten pedzio, którego nienawidzimy, mnie wyleje. O której zaczyna się impreza?

Todd powiedział, że musi jeszcze poczynić parę przygotowań, na co Roark odparł, że świetnie, ponieważ i tak musi trochę nadgonić robotę. Todd wyszedł, a on

został sam na sam ze swoją rozpaczą. I tym razem dopadła go na dobre.

Siedział bez ruchu, wpatrzony w pusty ekran, i zastanawiał się, dlaczego los zesłał na niego przekleństwo tego palącego pragnienia, by coś stworzyć, a odmówił mu możliwości i zdolności. Dlaczego Bóg bawi się w takie podłe gierki? Dat mu marzenie i tyle talentu, żeby prawie je spełnił, a potem je od niego odsunął?

Zaczął sobie powtarzać jak mantrę, że bardzo się cieszy z sukcesu Todda. Właściwie się cieszył. Naprawdę. A jednocześnie czuł niesmak. Na myśl o tym, że Todd załatwił wszystko w tajemnicy przed nim. Nie zawarli ze sobą umowy, że będą się nawzajem informować o tekstach, które wysyłają wydawnictwom, lecz z całą pewnością było to ich zwyczajem. Todd nie pogwałcił żadnej uświęconej umowy, choć takie się miało wrażenie.

Roark miał ochotę przypisać sukces Todda ślepemu szczęściu, kryzysowi na rynku wydawniczym, nawet kiepskiemu gustowi wydawcy, przez cały czas zdając sobie sprawę, że to niesprawiedliwe. Todd pracował bardzo ciężko, był utalentowanym, oddanym swojej pracy pisarzem. Zastugiwał na sukces.

A jednak Roark w głębi serca hołubił przekonanie, że to on bardziej zastugiwał na sukces.

Todd wrócił po godzinie z dwoma butelkami szampana – po jednej na łebka – i twardym przekonaniem, że powinni je osuszyć, zanim przejdą do fazy drugiej.

Faza druga nazywała się Mary Catherine. Pewnego niedzielnego popołudnia, niedługo po tamtej nocy, Roark zaprosił ją na lody. Na widok młodych par z małymi dziećmi dziewczyna wpadła w płaczący nastrój. Zwierzyła się Roarkowi, że to Todd był ojcem dziecka, które straciła.

– Drań, chyba miał jasnowidzenie, bo od tego czasu mnie unika.

W miarę upływu czasu Todd i dziewczyna zaczęli odnosić się do siebie przyjaźnie, lecz chłodno. W końcu uznali, że są przyjaciółmi i tylko przyjaciółmi. Na ile Roark mógł się zorientować, nigdy więcej ze sobą nie spali.

Dziś ich rozstanie i jego przyczyna wydawały się bardzo bladym wspomnieniem. Mary Catherine przybyła na imprezę w trzech minimalnych skrawkach jaskrawoniebieskiego materiału, mających uchodzić za bikini. Dotarła w samą porę, by pomóc im dokończyć szampana.

– Falstart! – krzyknęła z pretensją. – Dla mnie zostały tylko dwa łyki!

– Tam, skąd to mam, jest tego więcej, kochanie. – Todd pogłaskał jej pupę i cmoknął, najpierw z uznaniem, potem z żalem. Odwrócił ją i popchnął delikatnie ku Roarkowi. – Bracie, dziś jest cała twoja. Nie mów, że nigdy ci nic nie dałem.

– Nagroda pocieszenia? – W dobrodusznym pytaniu brzmiał tylko cień

goryczy.

– Potrafisz sobie wyobrazić lepszą?

Mary Catherine zarzuciła mu rękę na szyję, wtuliła biust w jego pierś i pomasaowała jego krocze swoim.

– Mnie to odpowiada. Od dawna mam na ciebie chętkę. – Wsunęła mu język do ust.

Szampan wypełnił mu głowę przyjemnym szumkiem. W smaku była dobra. W dotyku jeszcze lepsza. Podobała mu się. Dziś jego ego otrzymało potężny cios, a Todd usiłował mu to wynagrodzić. Byłby ostatnią szują, gdyby odrzucił dar przyjaciela.

Czysta przyzwoitość nakazywała mu ją pocałować.

– Hej! – odezwał się Todd po paru chwilach. – Mam was polać wodą czy jak?

Śmiejąc się, zbiegli z łomotem po schodach i cała trójka zapakowała się do samochodu Todda, od dawna w agonialnym stanie, który jednak zdołał się dowlec do przystani. Tam czekała na nich łódź wyczarterowana od pewnego starego wilka morskiego o nazwisku Hatch Walker. Już wcześniej pożyczał im łajby, najtańsze w całym Key West, a jeśli spóźniali się z oddaniem, był tylko umiarkowanie agresywny. Walker w ogóle nie odznaczał się przyjemnym charakterem, ale dziś był wyjątkowo upierdliwy. Nie chciał wydać łódki trójce ewidentnie pijanych młodych ludzi. Roark był pijany szampanem i podnieceniem, ponieważ w drodze na przystań Mary Catherine wykonała specjalnie dla niego prywatny taniec na jego kolanach – i nie obchodziło go, co sobie o nim myśli ten staruch i ile właściwie alkoholu wypił.

Tuż po podpisaniu umowy najmu Todd wskoczył i zygzakiem wspiął się po schodkach do sterówki. Roark wtoczył się I za nim, podał rękę Mary Catherine, która potknęła się i wpadła na niego.

– Hop! Tra la la – zachichotała i wtuliła się w niego. Pomachał wesoło do starego Hacha, który odcumował łódkę, a cumy rzucił na pokład.

– Powariowały szczeniaki – mruknął.

– Chyba nas nie lubi – pisnęła Mary Catherine.

– Może masz na sobie za dużo ciuszków.

I rozwiązał jej mikroskopijny biustonosz. Krzyknęła, uderzyła go w dłoń, ale wszystkie protesty były na pokaz. Roark uciekł z jej bikini, powiewając nim nad głową jak sztandarem. Todd powoli wyprowadził łódź z przystani. Tuż za bojami wrzucił całą naprzód i ruszył na pełny ocean.

Todd zapowiedział, że będzie to impreza, której żadne z nich nie zapomni, i

najwyraźniej zamierzał to zrealizować. Roark z zaskoczeniem przekonał się, że przyjaciel ma dziś gest. Skrzynie z lodem mieściły ciasno upakowane butelki z markowymi alkoholami. Jedzenie pochodziło z delikatesów, noszących dumną nazwę „Epikurejskie Smakołyki”.

– Bardzo podła sałatka z krewetek. – Roark oblizał kąciki ust, w których osiadł majonez z przyprawami.

– Ja to zrobię. – Mary Catherine usiadła mu na kolanach i zlizwała cały majonez. Wzięła sobie do serca rolę nagrody pocieszenia i całkowicie poświęciła się zabawianiu go i spełnianiu każdego jego życzenia. A może chciała go zmienić w hedonistę. Tak czy owak, nie zamierzał się opierać.

Wspólna tajemnica wytworzyła między nimi szczególną więź.

Będąc z nią sam na sam, nazywał ją Sheilą. Zrezygnowała z roli syreny, ponieważ „ogon by pewnie gryzł”, ale zastanawiała się nad występowaniem w charakterze pokojówki. Poprosiła Roarka, żeby wymyślił jej chwytliwe imię.

I choć flirtowali ze sobą często i śmiało, ich przyjaźń pozostała platoniczna. Roark udawał, że nie dostrzega jej nieśmiałych zachęt. Nie chciał psuć ładnego związku.

Teraz, gdy Mary Catherine zajęła się jego ustami, zadał sobie pytanie, co właściwie jest tak strasznego we wzbogaceniu tej przyjaźni o seks. Przyjaźnić się z Sheilą, kochać się z Mary Catherine. Kto powiedział, że nie można być jednocześnie przyjacielem i kochankiem? Dlaczego nie cieszyć się swoim twardym jak skała wzwodem, jej niewiarygodnie zgrabnym ciałem i zręcznymi sztuczkami języka i rąk, zajętych zawartością jego kąpielówek?

Może Todd zapłacił jej dziś za usługę. I co z tego? Była dobrą dziewczyną, usiłowała się utrzymać na powierzchni dzięki temu, w co została wyposażona.

Całkiem możliwe, że rzuciła się dziś na niego tylko po to, żeby Todd był zazdrosny. Nie zamierzał się tym martwić. Dziś nie zamierza! się martwić niczym.

Pieprzyć pisanie. Pieprzyć wydawnictwa. Pieprzyć słowa, które nie chcą przyjść.

Pieprzyć Mary Catherine. To numer jeden na jego liście rzeczy do załatwienia. Absolutnie. Miał już śmiertelnie dość bycia takim cholernym harcerzykiem. Zawsze na baczność. Co tym osiągnął? Gówno, taka jest prawda.

Będzie się obżerać tym fantastycznym żarciem, aż się porzyga. Zaleje mordę do nieprzytomności. Pozwoli Mary Catherine na wszystkie lubieżne sztuczki z jej repertuaru. Będzie się dziś bawić do upadłego, nawet gdyby miał od tego paść trupem.

Roark ocknął się, czując na sobie ciężar Mary Catherine. Po gwałtownej i hałaśliwej kopulacji na małej koi oboje stracili przytomność. Skacowany, z bardzo uwierającym pęcherzem wygrzebał się niezdarnie spod dziewczyny. Wymamrotała jakiś bełkotliwy protest i wyciągnęła rękę, żeby go zatrzymać, ale zrobiła to bez przekonania.

Wstał chwiejnie i podniósł slipki z podłogi. Włożenie ich wymagało skupienia i ekwilibrystycznych zdolności, ale w końcu jego wysiłki zakończyły się sukcesem. Ruszył po schodkach, po drodze poprawiając spodenki. Todd siedział z butelką rumu w ramionach, wpatrzony w konstelacje gwiazd. Odwrócił się i uśmiechnął.

– Przeżyłeś?

Roark odciągnął gumkę spodenek i zajrzał do środka.

– Sprzęt przeliczony i zdany, panie poruczniku.

Todd zachichotał.

– Bywały chwile, że zastanawiałem się, czy – sądząc po odgłosach – nie powinienem tam zejść i cię ratować.

– Bywały chwile, że zastanawiałem się, dlaczego mnie nie ratujesz.

– Zrobiła ten numer z kciukiem?

Roark puścił gumkę i uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

– A, zapomniałem. Sir Roark nigdy nie opowiada o krwistych szczegółach. Prawdziwy rycerz.

Roark miał się skłonić w pas, ale w jego obecnym stanie byłoby to ryzykowne przedsięwzięcie, więc ograniczył się tylko do salutów.

Todd wskazał skrzynie z lodem.

– Może nową buteleczkę?

– Dzięki, ale jestem zbyt wykończony.

– I zazdrosny.

Roark przytrzymał się ściany kabiny.

– Hm?

– Jesteś zazdrosny.

Wzruszył ramionami.

– Może. – Uśmiechnął się słabo. – Trochę.

– Bardziej niż trochę, Roark. Bardziej niż trochę. – Todd uniósł butelkę do oka jak teleskop i spojrzął przez szyjkę. – Przyznaj się, myślałeś, że to ty pierwszy wydasz książkę.

Roark czuł nadchodzące mdłości. Horyzont kołysał się miarowo. A ta rozmowa przybrała nieprzyjemny obrót.

– Jestem najszczęśliwszy na świecie.

– O nie. Byłbyś o wiele szczęśliwszy, gdybyś to ty podpisał dziś umowę. Hadley też. Podejrzewam, że szczytuje nad twoimi tekstami. On je uwielbia, nie? Jak to leciało, z tym zaszczytem i przywilejem czytania twoich prac? – Pociągnął łyk rumu. – Coś w tym stylu.

– Czytałeś jego list?

– Cwany jesteś, że sobie wymyśliłeś tę skrytkę pocztową, ale głupio, że zostawiłeś list w kieszeni dżinsów. Zabrakło mi kasy na pizzę, a twoje portki leżały na podłodze. Szukałem pieniędzy, a znalazłem peretkę.

– Nie powinieneś czytać listów do mnie.

– A ty nie powinieneś mnie okłamać w sprawie Hadleya.

– Obchodzi cię, co Hadley myśli o twojej pracy?

– Nie. To ja się śmieję ostatni. To ja sprzedałem książkę, a nie ty.

– I świetnie. Zostawmy to.

– Nie. Raczej nie.

Todd podniósł się powoli. Stał o wiele pewniej, niż powinien. Czy rzeczywiście był pijany, czy tylko udawał? Powoli, płynnym krokiem drapieżcy ruszył przez pokład.

– O co ci chodzi, Todd? Wygrałeś. Hadley się mylił.

– Może co do mojego talentu. Ale nie w innych sprawach.

– Jakich innych sprawach?

– Mojego charakteru. Pamiętasz, jaki jestem podły? Chciwy, zazdrosny i co tam jeszcze. Hadley napisał na ten temat cały poemat.

Żołądek Roarka skurczył się gwałtownie, żółć podeszła mu do gardła.

– To wszystko głupoty. W ogóle nie zwróciłem na to uwagi.

– A ja tak.

Niczego się nie spodziewał. Todd wykonał błyskawiczny zamach butelką. Uderzyła go w skroń; cios oszołomił go jak wybuch granatu. Roark ryknął z bólu i wściekłości.

Ale zostało mu jeszcze tyle przytomności, by dostrzec, że butelka znowu unosi się łukiem nad jego głowę. Uskoczył w samą porę, by uniknąć kolejnego uderzenia. Butelka uderzyła o ścianę kabiny, na wszystkie strony bryznęły odpryski szkła i rum.

Todd zaatakował go z furją, okładając pięściami jego twarz i głowę. Ciosy przeważnie trafiały celu, miażdżyły chrząstki, rozcinały skórę. Roark, ogłupiały, lecz na napędzie adrenaliny, oddał uderzenie. Trafił Todda w usta, skaleczył sobie kostki na jego zębach. Zabolato, ale Todd ucierpiał bardziej. Z ust trysnęła mu krew.

Ta pierwsza krew podziałała na nich jak silny narkotyk. W innej sytuacji Roark miałby więcej czasu na zdziwienie, że na widok krwi przyjaciela poczuł aż taką satysfakcję. To zazdrość pchała go do czynu, to przez nią chciał zobaczyć na swoich rękach jeszcze więcej krwi Todda. Chciał go ukarać za to, że pierwszy odniósł sukces, a on poczuł się przez niego gorszy.

Ale jego wściekłość była niczym w porównaniu z szalem Todda. Todd był głodny krwi. Ze zwierzęcym rykiem rzucił się na Roarka z pięściami.

Roark wkrótce miał dość. Był gotów się wycofać, uspokoić, ogłosić rozejm. Todd nie przyjmował tego do wiadomości. Nie wyhamował nawet wtedy, gdy Roark przestał go atakować i tylko bronił się przed jego ciosami.

– Przestań, do diabła!

– Nigdy! – Todd wyszczerzył usmarowane krwią zęby. Krew pieniała mu się na wargach. – Nigdy!

I rzucił się na niego.

– Cooest? – Mary Catherine stanęła w otwartych drzwiach kabiny, zupełnie naga, jeśli nie liczyć złotej bransoletki na kostce. Nie doczekawszy się odpowiedzi, chwiejnie wyłoniła się na pokład i stanęła bosą stopą na odłamku szkła. – Au! Coo jest, chooera?

Todd odwrócił się do niej; cios trafił ją w brzuch. Stała na jednej nodze, żeby nie urazić krwawiącej stopy. Natychmiast straciła równowagę, zatoczyła się do tyłu. Chromowany reling podciął jej nogi. Z rękami wirującymi w powietrzu jak skrzydła wiatraka wypadła za burtę. Jej krzyk ucichł w chwili, gdy uderzyła o wodę.

Roark wybałuszył oczy na miejsce, w którym przed chwilą stała. Wytrzeźwiał w ułamku chwili.

– Jest zbyt pijana, nie może pływać!

Skoczył w ślad za nią. Słona woda wżarta się w otwarte rany; wypłynął na powierzchnię, krztusząc się z bólu i od mdłości po zbyt dużej ilości alkoholu, a może i wstrząśnieniu mózgu od uderzenia butelką.

Ale wszystko to prawie do niego nie docierało. Młócił ramionami fale i rozglądał się gorączkowo, usiłując znaleźć na powierzchni ciemnej wody ślad po Mary Catherine.

– Widzisz ją? – ryknął do Todda, który stał na pokładzie i przyglądał się, podczas gdy krew kapłała mu z brody na gładką pierś. – Todd! Chryste, słyszysz? Widzisz ją?

– Nie.

– Włącz reflektory.

Todd stał nieruchomo, wpatrując się w wodę. Najwyraźniej szok go sparaliżował.

– Cholera.

Z łomoczącym sercem, bólem rozrywającym skronie zanurkował pod wodę. Nie zamykał oczu, choć piekły go jak diabli. Na próżno. Równie dobrze mógł pływać w kałamarzu. Nie widział nawet własnych rąk, wyciągających się w nadziei, że uchwycą rękę, nogę, włosy.

Został pod wodą tak długo, aż płuca zaczęły go palić żywym ogniem i zrozumiał, że nie wytrzyma ani chwili dłużej. Wyłonił się na powierzchnię, łapczywie chwycił wielki haust powietrza. Ze zdziwieniem przekonał się, że odpłynął bardzo daleko od łodzi. Przynajmniej Todd otrząsnął się z odrętwienia i włączył podwodne reflektory. Promieniowały upiornym zielonym blaskiem, ale nie penetrowały fal na dostateczną głębokość.

Roark ruszył w stronę łodzi, choć ręce i nogi ciążyły mu jak odlane z ołowiu i nie chciały słuchać rozkazów mózgu. Todd robił coś na lewej burcie. Roark poczuł słabe drgnienie nadziei.

– Znalazłeś ją? – krzyknął. – Jest tam?

Todd wrócił na sterburtę.

– Nie udało się?

Nie udało się? Nie zabawiali się łowieniem ryb! Co się dzieje z tym człowiekiem?

– Zadzwoń do straży przybrzeżnej! Nie mogę jej znaleźć.

O Boże... – Dopiero teraz dotarta do niego groza sytuacji i z gardła wyrwał się

mu szloch. Mary Catherine – Sheila – może już nie żyć. Utonęła, bo on nie potrafił jej uratować.

– Dzwon do straży! – powtórzył i znów zanurkował.

Wiedział, że wszystko to na nic, ale torował sobie drogę pod wodą, z otwartymi oczami, które nic nie widziały, z szukającymi rękami, które niczego nie znajdowały. Nie chciał się poddać. Jeśli istnieje choć cień nadziei, że ona tam jeszcze jest, że czepia się życia, nadziei, że liczy na pomoc...

Nurkował raz za razem, wynurzając się tylko po to, by zaczerpnąć oddechu, schodząc na taką głębokość, że bolały go bębrenki w uszach.

Po raz ostatni wydostał się z trudem na powierzchnię. Już się bał, że nie dołtynie, że zaryzykował o jeden raz za dużo. Wyraźnie poczuł smak powietrza. Łapczywie wypełnił nim płuca. Nie przeżyłby następnego nurkowania. Był zbyt zmęczony, nawet by przepełnąć odległość dzielącą go od łodzi. Niezdarnie ruszył w jej stronę, ledwie utrzymując się na powierzchni.

– Todd – wychrypiał. – Todd...

Todd pojawił się przy relingu. Oczy Roarka łzawiły od słonej wody. Prawie nic nie widział.

– Nie mogę jej znaleźć. Nie mogę już szukać. Rzuć mi koło ratunkowe.

Todd zniknął, by go poszukać. Przez głowę Roarka przebiegła mętna myśl, że chyba powinien już mieć je pod ręką.

Był wyczerpany, powieki mu ciążyły, ale bał się je zamknąć z obawy, że utonie, zanim zdoła z siebie wydusić dość energii, by się uratować. Ale oczy chyba same mu się zamknęły. Prawdopodobnie na ułamek sekundy stracił przytomność, bo ocknął się, słysząc ryk motoru.

Todd nie powinien go uruchomić. Powinien rzucić mu koto ratunkowe. Jeśli straż przybrzeżna miała ich współrzędne, muszą zostać na miejscu aż do ich przybycia. Dlaczego Todd ruszył, kiedy Mary Catherine i on są za burtą?

Wszystkie te myśli błysnęły mu w głowie w ciągu jednej nanosekundy, nie zawarte w słowach, lecz jako w pełni ukształtowane i spójne wrażenia.

– Todd, co robisz?

Słabo poruszył rękami i nogami w parodii kraula, ale czuł się tak, jakby płynął w galarecie. Zresztą chyba nie musiał się wysilać. Proszę, Todd do niego podpływa.

Ale podpływa zbyt szybko, żeby to było bezpieczne.

– Hej!

To był krzyk rodem z sennych koszmarów, kiedy otwierasz usta i chcesz krzyknąć, ale nie możesz wydobyć z siebie ani słowa i przez to koszmar jest jeszcze straszniejszy. Roark usiłował poruszyć rękami, ale każde ramię ważyło tonę. Nie mógł ich wydzwignąć nad wodę.

– Todd. – Wychrypiał. – Zawróć na sterburtę! Tu jestem! Nie widzisz?

Widział. Patrzył wprost na niego przez plastikową szybę kokpitu. Światelka na tablicy rozdzielczej nadawały jego posiniaczonej i opuchniętej twarzy wygląd halloweenowej maski. Oczy Todda płonęły czerwienią. Piekielnym ogniem.

Roark krzyknął po raz ostatni; strach kazał mu się skryć pod wodą. W ułamku chwili pochłoneła go kipiąca, dławiąca woda. Gardło ścisnęło przerażenie. Skoncentrowana zgroza. Taka, której niewielu przyszło doświadczyć. Zgroza tak absolutna, że śmierć wydawała się przy niej błogostawieństwem.

Zgroza, którą wyzwolić może tylko ból. Rozdzierający i bezgraniczny.

Ból, który szarpie ciało, ale duszę zabija.

Rozdział trzydziesty drugi

Nadia zjawiła się w barze w obcisłej czarnej sukience ze zwodniczo skromnym dekoltem i w kapeluszu, jednym z tych kokietyjnych, z woalką zakrywającą pół twarzy. Na ramieniu kołysała się na złotym łańcuszku torebka z czarnych piór. Bardzo interesująca. Bardzo w stylu femme fatale.

Na jej widok odwróciły się wszystkie głowy. Przy stolikach siedziała manhattańska elita i ci, którzy mieli nadzieję się w niej znaleźć. Ludzie zagadywali do Nadii, gdy mijała ich stoliki. Pomachała trzyosobowej grupce przy narożnym stoliku.

Noah puchł z dumy, że najbardziej elegancka kobieta w tej sali spotyka się właśnie z nim. Uścisnął ją ciepło, lecz ostrożnie. Musnął policzek przyjacielskim pocałunkiem i szepnął:

– Mógłbym cię zerznąć na ich oczach.

– Jak zwykle romantyczny. – Usiadła obok niego na małej wyściełanej ławeczce.

– Martini?

– Zdecydowanie.

Przekazał zamówienie kelnerowi, który zjawił się przy ich stoliku w ułamku sekundy po nadejściu Nadii.

– Jesteś tu znana – zauważył z uśmiechem.

– Jestem znana wszędzie.

Roześmiał się z uznaniem.

– Brakowało mi tych twoich ostrych ripost. Zbył długo cię nie widziałem.

– Ta głupia sprzeczka.

– To już historia starożytna. – Wciągnął powietrze w nozdrza. – Ach... Ten twój prowokujący zapach.

– Chanel.

Pokręcił głową i uśmiechnął się uwodzicielsko.

– Seks. Szkoda, że nie można go zamknąć w butelce. Zbiłabyś na nim fortunę. – Musnął jej twarz spojrzeniem pełnym podziwu. – Wyglądasz zachwycająco. Podoba mi się ta woalka.

– Dziękuję.

– Nadaje ci nieco tajemniczości, co jest niewiarygodnie seksowne. – Pod stołem przycisnął udo do jej nogi.

– Jesteś dziś strasznie napalony. Nie zaliczyłeś żadnej?

– Byłem zajęty czym innym.

– Rzeczywiście. – Przyglądała się uważnie warstwom gładkich, metalicznych piór na torebce. Przesunęła po nich palcem. – Byłeś zajęty pogrzebem swojego teścia.

– Festiwal idiotyzmów.

– Według mnie mowy były dość poruszające.

– Myślę, że Danielowi by się spodobały. Dobrze, że już po wszystkim. Teraz możemy przestać wychwalać jego życie i zająć się własnym.

– Zwykle lubisz żyć w świetle reflektorów. Myślałam, że rola wiernego, zdruzgotanego zięcia przypadnie ci do gustu.

Położył rękę na sercu.

– Dałem z siebie wszystko. – Kelner przyniósł martini. Tręcili się kieliszkami, skosztowali trunku. – Szczerze mówiąc, nie było aż tak źle, musiałem tylko opanować histerię Maris.

– Czy to nie naturalne, że była wytrącona z równowagi?

– Jej zachowanie wykraczało poza zwykły smutek. – Oderwała się od studiowania piór i spojrzała na niego. – Moja żona wbiła sobie do głowy, że jestem odpowiedzialny za śmierć jej ojca. – Usiłował dojrzeć ukryte za woalką oczy Nadii. – Wyobrażasz sobie coś takiego?

Uniosła kieliszek do ust.

– Owszem.

Jej nieruchome spojrzenie nieco go denerwowało. Z premedytacją udał, że nie rozumie, o co chodzi.

– Maris zawsze była skłonna kierować się emocjami, ale tym razem przekroczyła wszelkie granice.

– Na pogrzebie wyglądała bardzo spokojnie.

– Tak, ale potem straciła rozsądek. Zmusiła policję w Massachusetts do wznowienia śledztwa.

– I?

– Oczywiście nie znaleźli nic, co by potwierdzało jej oskarżenia.

– Miałaś szczęście.

– Szczęście nie ma tu nic do rzeczy.

– Na pewno. – Spojrzała na salę i dodała jakby do siebie: – Gdybyś to ty zepchnął go ze schodów, na pewno starczyłoby ci sprytu, żeby się nie dać przyłapać.

– Nie zrobiłem tego, ale masz rację. Starczyłoby mi sprytu. Dlatego mnie tak lubisz.

Spojrzała na niego.

– To fakt. Nigdy nie związałam się z nieudacznikiem. Nie dołączyłabym do spadającej gwiazdy. Wyłącznie do takiej, która właśnie wschodzi.

– Jesteśmy do siebie tak podobni, że to aż przerażające. – Pochylił się ku niej i dodał cicho: – Przynajmniej powinno być... dla innych. – Pociągnął z zadowoleniem łyk martini. – No cóż, Daniel przeniósł się na tamten świat. To dobra wiadomość.

– Na Boga, Noah. – Obejrzała się, jakby z obawy, że ktoś ich podsłucha. – Więc jak brzmi zła?

– Nie zła, kochanie. Lepsza. Jego śmierć była ostatnim gwoździem do trumny mojego małżeństwa. Rozpadło się i nie da się go skleić.

Uniosła kieliszek w geście toastu.

– Mam ci pogratulować czy złożyć wyrazy współczucia?

– Zdecydowanie to pierwsze. Bo mam dla ciebie jeszcze lepsze wieści.

– Już się nie mogę doczekać.

– Na pewno mam powiedzieć tu i teraz? Możesz zaliczyć orgazm.

– Czyżbym kiedykolwiek zrezygnowała z takiej okazji?

Uśmiechnął się szerzej.

– Tuż przed tym nieszczęśliwym wypadkiem przekonałem Daniela, żeby podpisał dokument, przekazujący mi pełnomocnictwo. Dzięki niemu mogę sprzedać Matherly Press i Maris mi w tym nie przeszkodzi.

Nadia otworzyła szeroko oczy.

– Ale przecież Matherly Press nie należy do ciebie.

– Nadia! Tu jesteś! – Morris Blume niespodziewanie zmaterializował się po drugiej stronie stolika. Noah nie zauważył jego nadejścia i nie powitał go z zadowoleniem. Na dzisiejszy wieczór zaplanował ugłaskanie Nadii i przeciągnięcie

jej na swoją stronę. Chciał sobie zapewnić jej poparcie przed rozmowami z WorldView. Potrzebował dobrej prasy, a nikt nie nadawał się do tego celu lepiej niż Nadia.

Trzeba mieć cholernego pecha, żeby w takiej chwili trafić akurat na Morrisa Blume'a! Szef WorldView był dziś równie bezbarwny jak zwykle – szary garnitur, szara koszula, srebrny krawat. Kiedy się uśmiechnął, Noah pomyślał, że nawet jego zęby i dziąsła mają niezdrowy szary kolor.

– Nie dostrzegłem cię, więc pomyślałem, że coś mi się pomyliło – zwrócił się do Nadii.

– Nie mogłeś trafić lepiej.

Nadia zerwała się z krzesła i, ku zgrozie Noaha, rzuciła się w objęcia Blume'a. Ich usta się spotkały. Po jakimś czasie Nadia odsunęła się i czule poprawiła mu krawat. Blume zmierzył ją zachwyconym spojrzeniem od stóp do głów.

– Wyglądasz absolutnie fantastycznie.

– Cieszę się. To wszystko dla ciebie.

– Olśniewająca.

Nadia zatrzepotała rzęsami z omdlewającą kokieterią, zupełnie nie w jej stylu. Blume gładził jej talię gestem właściciela. Wtulała się w niego biodrami, jej specjalność, dzięki której żaden mężczyzna nie był zdolny myśleć o czymkolwiek poza własnym fiutem i o tym, by go jej wsadzić.

Zwracali na niego akurat tyle uwagi, jakby był popartowym obrazem na ścianie. Całe jego ciało zatętniło gniewem. I czymś jeszcze, czymś obcym dla niego – upokorzeniem. Ludzie zauważyli, że Nadia przymila się do Blume'a. Noah stracił najpopularniejszą dziewczynę na imprezie na rzecz tego łysego, bezkrwistego płaza.

– Masz ochotę na drinka, kochanie? – zaszcebiotała Nadia.

– Czytasz w moich myślach. Jak zwykle.

Wezwała kelnera, który znowu zjawił się w ułamku chwili. Nie usiadła już na ławeczce u boku Noaha, lecz na krześle, które odsunął dla niej Blume. Oboje byli teraz zwrócenii do niego twarzami. Przysunęła się do Blume'a najbliżej, jak mogła, bez przesiadania się na jego krzesło. Wtuliła się w niego biustem. Jego dłoń spoczęła na jej udzie.

Noah nie miał wątpliwości, że ten pokaz uczuć został zaaranżowany z myślą o nim. Nadia zwracała się do Blume'a w ostentacyjnie uwodzicielski sposób. Pławiła się w swoim szczęściu. Miał ochotę stłuc ją na kwaśne jabłko.

Zadrwiła z niego. To ona obmyśliła ten scenariusz. Zadzzwonił do niej w drodze powrotnej z Massachusetts – po żalosalnej próbie oskarżenia go przez Maris – i

zaprosił dziś wieczorem na spotkanie. „Możemy się już pokazywać”, oznajmił.

Nadia zachowywała się jak zwykle, seksowne aluzje, erotyczne sugestie. Wyznaczyła miejsce spotkania. I złapała go w pułapkę!

Dobrze. Skoro chciała się pochwalić nowym kochankiem, niech będzie. To niczego nie zmienia – może z wyjątkiem standardów jej życia erotycznego. Biorąc pod uwagę bladość Blume'a, wtłoczenie krwi do jego penisa będzie nie lada zadaniem.

Blume podziękował kelnerowi i zwrócił się do Noaha:

– Sekretarka powiedziała mi, że dzwoniłeś z prośbą o spotkanie.

– To prawda. W związku z ostatnimi tragicznymi wydarzeniami w mojej rodzinie...

– A właśnie, przyjmij wyrazy współczucia.

– Dziękuję. – Strzepnął niewidoczny pyłek z koszuli. – Śmierć Daniela wymusiła chwilową zwłokę w naszych planach. Teraz możemy podjąć działania na nowo. Jak wyglądają twoje plany na jutro?

– Nie widzę już potrzeby spotkania.

To „już” zabrzmiało złowroźnie. To „już” znaczyło, że okoliczności uległy zmianie. Noah nakazał sobie nie patrzeć na Nadię. Zachował spokojny wyraz twarzy.

– A to dlaczego?

– Właśnie poruszyliśmy ten temat, kiedy się zjawiłeś – wyjaśniła Nadia Blume'owi. – Najwyraźniej zaszło nieporozumienie. – Rzuciła Noahowi zbolale spojrzenie. – To bardzo niezręczna sytuacja.

– Skoro tkwię w nieświadomości, może mnie oświecić.

Zerknęła na Blume'a, jakby pytała go o radę, ale on tylko wzruszył ramionami. Zagryzła wargę.

– Myślałam, że ktoś ci już powiedział. Z szacunku dla Daniela wstrzymuję tę historię od tygodnia.

Zrobiło mu się dziwnie gorąco. Jedno martini to za mało, żeby po żebrach pociekły strużki potu. Czuł się tak, jakby za chwilę miał otrzymać wyniki biopsji jąder.

– Jaką historię?

Nadia przysunęła się bliżej Blume'a.

– Całkiem niespodziewanie Daniel Matherly zaprosił mnie na śniadanie do swojego domu. Było to w dniu, w którym wyjechaliście na wieś. Kto mógł

przypuszczać, że ta wycieczka będzie miała tak tragiczny koniec? Szkoda, że tego nie przewidziałam. Odradziłabym mu ją. – Spojrzała Noahowi prosto w oczy i zrobiła pauzę, jakby po to, żeby dobrze ją zrozumiał. – Cóż... – podjęła, lekko kręcąc głową. – Daniel przekazał mi tę informację na wyłączność, ale poprosił, żebym ją zatrzymała przy sobie przez parę dni, co najmniej do powrotu Maris z Georgii.

Blume wpatrywał się w nią takim wzrokiem, jakby lada chwila miał się jej przyssać do szyi. Ona z roztargnieniem gładziła jego dłoń na swoim udzie. Noah uśmiechnął się z przymusem.

– Ciągle jeszcze nie wiem, czego dotyczy ta historia na wyłączność.

– Daniel mianował Maris prezesem i dyrektorem Matherly Press. Myślałam, że ci powiedział podczas tego weekendu na wsi. Nie? Cóż... pewnie uważał, że powinienes to usłyszeć od niej.

Przyjrzała mu się przenikliwie, wodząc palcami po nóżce kieliszka.

– Zasugerowałeś mi, że Daniel Matherly to zdzienniały starzec. Rozmawiając z nim, przekonałam się, że jest zupełnie inaczej. Był w pełni władz fizycznych i umysłowych. Doskonale wiedział, co robi.

Wszystkie naczynka krwionośne w jego ciele zatętniły krwią. Oczy, uszy, każdy centymetr jego skóry pulsował w coraz szybszym tempie. Zdołał się uśmiechnąć, choć graniczyło to niemal z cudem.

– Daniel nie był zbyt dobrego zdania o tobie, Nadiu. Myślę, że z ciebie zakpił.

– Mnie także przyszło to do głowy. Daniel Matherly był znany z przenikliwości. Dlatego sprawdziłam tę informację u pana Sterna, prawnika rodziny Matherlych. Potwierdził ją. Pozycja Maris jest niezaprzeczalna i nieodwołalna. Chyba że sama Maris zechce się jej zrzec.

Noah zdołał odkleić język, który przysechł mu do podniebienia.

– Ciekawe, dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałaś. Na przykład dzisiaj.

Albo tego wieczoru, gdy rozmawiałem z tobą przez telefon w wiejskim domku, dodał w myślach. Ta suka już wtedy o wszystkim wiedziała! Bawiła się jego kosztem.

– To do mnie nie należało.

– A teraz należy?

– Nie chcę, żebyś się dowiedział o tym z mojej rubryki. Wiadomość ukaże się jutro. – Obdarzyła go współczującym uśmiechem. – Szczerze mówiąc, sądziłam, że już cię ktoś poinformował. Ale skoro twoje małżeństwo się rozpadło, nie należysz już do wewnętrznego kręgu. Jesteś tylko pracownikiem.

– Masz ochotę na drugiego drinka?

– Nie, dziękuję. Morris. Za chwilę mam następne spotkanie. – Jeśli stąd nie wyjdzie, byle dalej od Nadii, to albo ją zabije, albo eksploduje. Wolałby nie robić tego przy świadkach.

– Ach, proszę, zostań – zachęciła go Nadia. – Mamy tyle powodów do radości. Spełniło się jedno z największych pragnień Morrisa: WorldView kupiło Becker-Howe. Na pewno znasz Olivera Howe'a, bo był starym przyjacielem Daniela. To sam Daniel skontaktował z nim Morrisa. Wiedział, że WorldView szuka odpowiedniego wydawnictwa i że w przeciwieństwie do niego Ollie Howe będzie tym zainteresowany.

– Bardziej zależało mi na Matherly Press – wtrącił Blume – ale skoro u steru stanęła Maris...

– Musiałam mu powiedzieć – wyjaśniła Nadia.

– A Maris dała mi do zrozumienia bez najmniejszych wątpliwości, że nigdy nie sprzeda firmy, więc postanowiłem zwrócić się do kogo innego.

Noah zaciskał zęby tak mocno, że rozboleły go szczęki.

– To miło, że ci się udało.

– Przeplącałem, ale co tam. – Blume zachichotał. – Jeszcze sobie odbiję. A na pewno inwestycja mi się zwróci. Becker-Howe jest tylko nieznacznie mniejsze od Matherly Press. Ale to się zmieni. – Puścił oko do Noaha. – Teraz będę waszą konkurencją. Uważajcie.

Noah ostentacyjnie spojrział na zegarek.

– Naprawdę, muszę już lecieć.

– Poczekaj! To jeszcze nie koniec dobrych wiadomości. – Nadia położyła na stole lewą rękę. – Nie zauważyłeś... a może jesteś zbyt uprzejmy, by to skomentować... że mam na palcu nieprzyzwoicie wielki brylant. Morris i ja pobieramy się w przyszłą niedzielę w Plaza. – Rzuciła Blume'owi promienny uśmiech i znów spojrziała na Noaha. – O trzeciej. Będziemy strasznie rozczarowani, jeśli się nie pojawisz.

Rozdział trzydziesty trzeci

Niech szlag trafi Michaela Strothera. Przeklinanie przyjaciela – byłego przyjaciela, jak się okazało – było jedyną postacią twórczości, do jakiej Parker potrafił się zmusić. Wyłączył komputer ze złością po kolejnym jałowym dniu pracy. Przez wiele godzin siedział nad klawiaturą, gotowy I do pisania, na wypadek gdyby przydarzył mu się nagły przypływ natchnienia. Na próżno. Ten stan powracał z niepokojącą regularnością.

Pracował nad następną książką Mackensie Roone'a. Deck Cayton zmienił się w nudziarza, wygadującego same głupoty. Nie był już czarującym łajdakiem. Czarny charakter nie był naprawdę zły, wyglądał jak postać z jasełek. A dziewczyna... dziewczyna też mu się nie podobała. Była płytka i głupia. Mike nie odezwał się od chwili odejścia. Od tego czasu Parker nie wydusił z siebie ani jednego strawnego zdania. Stary chyba rzucił na niego urok; może nauczył się go od Kreoli, mieszkających na południowym krańcu Świętej Anny. Mike fascynował się ich językiem i zwyczajami, przekazywanymi z pokolenia na pokolenie od czasu, gdy ich przodkowie tu przybyli. Parker uważał wszystkie te zaklęcia i uroki za głupoty. Ale może jednak coś w nich było.

Kiedy Mike kręcił się po domu, Parker nieustannie szukał spokoju i ciszy, by pisać. Aż dziwne, jak bardzo mu teraz brakowało tego zamieszania, jakie robi wokół siebie stary. Nieustannie nasłuchiwał, czy gdzieś nie rozlegną się kroki Mike'a, brzęk garnków w kuchni, trzask drzwi, wycie odkurzacza. Te dźwięki sprawiłyby mu teraz przyjemność. Ulgę. Bo czuł się okropnie samotny.

Wiele lat temu, gdy leżał na szpitalnej sali, a za sąsiadów miał obcych ludzi, kiedy opiekowały się nim fachowe, lecz obojętne pielęgniarki, był zupełnie pozbawiony przyjaciół. Całkiem sam. Właśnie wtedy zjawiała się jego towarzyszką – Nienawiść. Jego wymyślona przyjaciółka. Jego przytulanka.

W następnych latach bywało, że Nienawiść robiła się męcząca. Zwłaszcza kiedy odniósł sukces jako autor kryminałów i przestało mu się podobać, że Nienawiść ciągle przy nim jest. Że nie chce go zostawić. A on miał jej dość.

Czasami odpychał ją od siebie w nadziei, że sama go opuści. ale trwała przy nim jak wierny pies. A on nie potrafił jej naprawdę odtrącić. Karmił ją codziennie, aż wreszcie stali się od siebie zależni. Ona potrzebowała go, żeby przetrwać. On potrzebował jej jako motywacji.

Teraz Mike odszedł, a on został sam na sam z Nienawiścią, wiernym, lecz niebezpiecznym sprzymierzeńcem.

Czuł się okropnie, ale nie mógł nie zauważyć ironii sytuacji. Sam był sobie winien.

– Moje ty biedactwo – szepnął do siebie. – Ale spójrz na to od innej strony. Koniec jest już bliski.

Ostatni krok uczynił, gdy wysłał tekst *Zazdrości* Noahowi. Teraz nie mógł się już wycofać. Wkrótce będzie po wszystkim, w ten czy inny sposób. Wszystko, co zrobił, powiedział czy napisał przez ostatnie czternaście lat, miało go doprowadzić do tego celu. Ten wysiłek miał teraz zaowocować.

Czy efekt jego działań okaże się zgodny z zamierzeniami? Zdobył światową sławę, ale nikt nie znał jego nazwiska. Poświęcił sławę w zamian za anonimowość. Miał pieniądze, ale nie miał ich na co wydać. Posiadał piękny budynek, który nie był domem. Puste pokoje dzielił tylko z duchem wisielca. Dla zemsty musiał poświęcić jedyne prawdziwego przyjaciela. I Maris.

Tęsknił za nią tak, że czuł fizyczny ból. Gdyby był kobietą lub dzieckiem, każdego wieczoru płakałby tak długo, dopóki by nie usnął. Chodził po domu, dotykając przedmiotów, których dotykała, oddychając głęboko w nadziei, że poczuje cień jej zapachu. Był żaloszny jak zwariowana ciotka profesora Hadleya, która mieszkała na poddaszu, za jedyne towarzystwo mając gorzko-słodkie wspomnienia i strach przed świeżymi owocami.

Maris była mu niezbędna do przeprowadzenia planu, ani przez chwilę nie pomyślał, że stanie się niezbędna dla niego samego. Pojawiła się w jego życiu na chwilę, a mimo to zdążyła stać się jego najważniejszym elementem.

Drugim co do ważności, poprawił się.

Gdyby była najważniejsza, zostawiłby Noaha boskiemu osądowi, tak jak radził mu Mike, a resztę życia spędził, kochając ją i pozwalając się kochać. Nocami, kiedy nie mógł spać, stawał się okropnie sentymentalny. Wyobrażał sobie, że jest z Maris na plaży, że rzucają patyki golden retrieverowi i czuwają nad parą pulchnych, roześmianych dzieci, budujących zamek z piasku. Scenka jak z obrazka. Jak z reklamy Kodaka.

Zbyt często, by mogło mu to wyjść na zdrowie, wspominał ich wspólną noc. Boże, jakaż była słodka. Ale chyba najśłodsze było trzymanie jej w ramionach. Tylko tyle. Czuć pod dłonią bicie jej serca, jej oddech na skórze. Na parę chwil zapomnieć, że to będzie ich jedyna noc i że rano musi zadać jej okropny, nieuleczalny cios.

Maris stała się jedynym elementem jego planu, dla którego mógłby go zupełnie zmienić.

Ale to było niemożliwe. Nawet gdyby chciał. Bo zemsta, do której dążył, miała wymierzyć sprawiedliwość nie tylko w jego imieniu. Także w imieniu Mary Catherine. Nawet jeśli on na nią nie zasługiwał, to Sheili z pewnością się należała. Pozory świadczyły przeciwko niej, ale przecież ją znał. To efektowne ciało stanowiło opakowanie dla dobrej, serdecznej duszy. Pod wieloma względami była niewinna.

A Noah ją zabił.

Tak jak z pewnością zabił Daniela Matherly'ego.

Parker miał nadzieję, że Maris i policja prowadzą dochodzenie, ponieważ w tym tragicznym wypadku czuć było rękę Noaha. Było ją czuć na kilometr. Wątpliwe, by znaleźli jakiś dowód przeciwko niemu. Z pewnością już się o to postarał. Na pewno upozorował wszystko tak, żeby wyglądało na wypadek, a sam znalazł wiarygodne wyjaśnienia. Miał do tego talent.

Otwarty atak nie leżał w jego charakterze. Był na to zbyt sprytny. O, potrafił się bić o swoje. Parker wciąż miał tego dowód w postaci blizny nad brwią. Ale prawdziwym atutem Noaha nie była siła mięśni, lecz umysłu. Jego bronią był podstęp. Diaboliczna manipulacja. Nie dostrzegało się jej, dopóki nie było za późno. A przez to był najgroźniejszym zwierzęciem tej planety.

Ale miał też wielką słabość: nie potrafił znieść, że ktoś jest od niego lepszy.

Kiedy przeczyta Zazdrość, wsiaździe w pierwszy samolot na południe. Nie będzie mógł się oprzeć. Ta książka podziała na niego jak płachta na byka. Noah Reed po prostu nie może zignorować czegoś takiego.

Dotąd, jeśli Noah w ogóle myślał o Parkerze, to pewnie wyobrażał go sobie tak, jak przy ostatnim spotkaniu – jako zwyciężonego wroga, wyeliminowane zagrożenie. Przybędzie na wyspę choćby z ciekawości, jeśli nie z innego powodu. Zechce sprawdzić, jak stary Parker ułożył sobie życie. Będzie chciał się przekonać, czym jego dawny kolega tak zainteresował jego żonę.

Tak. Noah się tu zjawi.

A Parker będzie na niego czekać.

Maris zatrzymała wynajęty samochód na parkingu zarezerwowanym tylko dla gości. Zajęcia o ósmej właśnie miały się rozpocząć. Była to letnia sesja, więc do budynków uniwersyteckich nie spieszyło tak wielu studentów jak podczas semestru jesiennego.

Maris nie była tu nigdy przedtem, ale nie musiała pytać o drogę. Miasteczko uniwersyteckie nie było podobne do tego z Zazdrości. Ono nim było.

A leżało daleko od budynku policji w Massachusetts, który opuściła niespełna dwadzieścia cztery godziny temu.

Do Nowego Jorku wróciła w pośpiechu; w uszach ciągle brzmiały jej słowa Noaha: „Jego śmierć była mi na rękę”. Pędząc autostradą na złamanie karku, zarezerwowała przez komórkę bilet na samolot do Nashville. Pomiędzy biurem

Randalla i siedzibą Matherly Press na Manhattanie złamała wszystkie przepisy ograniczenia prędkości.

Zamierzała wstąpić do biura tylko po to, by zamienić parę słów z asystentką i sprawdzić korespondencję. Potem chciała wrócić do domu ojca, żeby się spakować i popędzić na lotnisko.

Nie wszystko poszło zgodnie z planem.

Asystentka zerwała się na jej widok na równe nogi.

– Chwała Bogu! Usiłowałam się dodzwonić na twoją komórkę!

– Godzinę temu wyczerpała mi się bateria.

– Ani kroku dalej. – Wystukała jakiś numer. – Powiedz panu Sternowi, że właśnie przyszła. – Przycisnęła guzik hold. – Powiedział, że musi za wszelką cenę z tobą porozmawiać.

– Wspomniał, o co chodzi?

– Nie, ale dzwoni od samego rana. Myślał, że przyjdiesz.

– Miałam sprawy poza miastem. – Nie miała natomiast czasu na długie rozmowy z prawnikiem.

– Kazał mi przysiąc, że go powiadomię, kiedy tylko cię zobaczę. Jest na drugiej linii.

Maris weszła do gabinetu i usiadła za biurkiem. Bardzo dobrze, że to zrobiła, bo od tego, co usłyszała od Sterna, mogło się jej zakręcić w głowie.

– Pan Matherly chciał oznajmić swoją decyzję natychmiast po pani powrocie z Georgii. Myślę, że chciał to zrobić w bardziej uroczysty sposób. Niestety, to już niemożliwe. Ale jak się okazuje, zdążył z decyzją w ostatniej chwili. – Zamilkł na chwilę i dodał: – Mam nadzieję, że jest pani zadowolona.

Świadomość, że ojciec powierzył jej taką odpowiedzialność, wstrząsnęła nią do głębi.

– Ogromnie.

Stern wprowadził ją w szczegóły, ale najważniejsze już usłyszała: ojciec powierzył jej firmę, będącą dziełem jego życia. Nie przyjęła tego daru z lekkim sercem, ale ogarnęła ją ogromna duma.

Stern odkaslnął cicho.

– Od pani zależy, czy pan Reed będzie nadal należał do pracowników firmy. Pan Matherly wyjawiał mi, że z racji zaplanowanego rozwodu jego obecność – nawet na mniej eksponowanym stanowisku – byłaby dla pani niezręczna.

Więc wiedział. Oczywiście. Jego decyzja nie była dziełem przypadku, jak sądził pan Stern. Być może Daniel planował to od pewnego czasu, wiedząc, że rozpad jej małżeństwa stał się faktem, a za chwilę rozpęta się walka o władzę. I dopilnował, żeby nigdy nie miała miejsca.

– Szczerze mówiąc, pani ojciec nie sądził, żeby pan Reed działał w interesie wydawnictwa – dodał prawnik. – Ale, jak powiedziałem, dalsze decyzje w tej sprawie należą wyłącznie do pani.

Rozmawiali jeszcze przez parę minut.

– Dziękuję panu – zakończyła. – Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że życzy pani sobie, żebym pełnił moje dotychczasowe obowiązki.

– To się rozumie samo przez się.

– Jestem zaszczycony. – I dodał po chwili milczenia: – Proszę mi powiedzieć, co czuje jedna z najważniejszych kobiet w Nowym Jorku?

Roześmiała się.

– W tej chwili? Czuje, że musi już uciekać.

Postanowiła, że zostawi samochód w wielopoziomowym garażu koło wydawnictwa, a do domu Daniela pojedzie taksówką.

Tam czekała na nią kolejna niespodzianka.

W chwili gdy wbiegała na schody, przy krawężniku zatrzymała się limuzyna. Nadia Schuller wysiadła, zanim szofer zdążył otworzyć jej drzwi.

– Witaj, Maris.

Miała na sobie czarną sukienkę i kapelusz, w którym każda inna kobieta wyglądałaby idiotycznie. Ale Nadia miała wystarczająco duże zamiłowanie do ostentacji.

– Rozumiem, dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać. Wiem, że myślisz o mnie jak o śmieciu, który przyczepił ci się do buta. Ale proszę cię tylko o minutę.

– Nie mam wolnej minuty, spieszę się.

– Proszę... Nabrałam odwagi dopiero po dwóch martini.

Maris wahała się przez kilka sekund. W końcu niechętnie zgodziła się ją wysłuchać.

Ze zgrozą usłyszała, co Nadia ma jej do powiedzenia o śniadaniu z Danielem.

– Wiedziałam, że miał tajemniczego gościa. Ciebie podejrzewałabym w

ostatniej kolejności.

– Ja też. Omal nie zemdlałam, kiedy do mnie zadzwonił. Miałam wrażenie, że przyjął mnie ukradkiem, pod nieobecność gospodyni. Ale naprawdę mnie poraził, kiedy opowiedział o tym dokumencie, który chciał mu wcisnąć Noah. Potem zaproponował mi wyłączność na wiadomość o twoim awansie. Moje gratulacje.

– Dziękuję.

– Wiadomość o twojej nominacji pojawi się jutro w mojej rubryce. Pan Matherly poprosił, bym zatrzymała ją w tajemnicy przez tydzień. Zgodziłam się. Oczywiście wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, że... że tego nie przeczyta.

Maris ujrzała z zaskoczeniem łzy w jej oczach; nawet woalka nie mogła ich ukryć.

– Twój ojciec był dżentelmenem. Maris. Nawet w stosunku do mnie. – Zakryła usta dłonią na kilka długich chwil. – Żałuję, że go nie ostrzegłam.

– Przed Noahem?

Przytaknęła.

– Wiem chyba nawet lepiej od ciebie, jaki potrafi być zdradziecki. Ale nigdy nie sądziłam, że jest zdolny do morderstwa. Kiedy dowiedziałam się o okolicznościach śmierci pana Matherly'ego, zaczęłam się zastanawiać.

– Ja też.

– Naprawdę?

Maris opowiedziała jej o spotkaniu z policją w Massachusetts.

– Jeśli nawet zepchnął ojca ze schodów, pozostanie bezkarny.

– Tamtego ranka przy pożegnaniu powinnam coś powiedzieć. Powinnam go ostrzec. – Jej oczy błagały o wybaczenie.

– Ja także mogłam go ostrzec. I też tego nie zrobiłam.

– Wszyscy nie doceniliśmy Noaha.

– Możliwe.

– Nawiasem mówiąc, nasz związek to już przeszłość.

– Nie obchodzi mnie to.

Nadia skinęła głową; rozumiała tę wzgardę, przyjęła ją bez słowa, bo na nią zasłużyła.

– Tuż przed przyjazdem tutaj miałam przyjemność poinformować go o twoim

awansie. Nie sędzę, żeby to dobrze przyjął. Uważaj, Maris.

– Nie boję się go.

Nadia przyjrzała się jej z bliska. W jej oczach błysnął podziw.

– Chyba rzeczywiście nie. – Na chwilę spuściła głowę, a potem znowu odważnie spojrzała Maris w twarz. – Nigdy nie czuję wyrzutów sumienia, z żadnego powodu. Ten przypadek należy do rzadkich wyjątków. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

Maris skinęła głową i ruszyła w górę schodów. Ale po paru krokach znowu się odwróciła. Morris Blume wysiadł z limuzyny i otworzył drzwi przed Nadia. Uprzejmie skinął głową Maris, ale ona zwróciła się do jego towarzyszki:

– Jak sądzisz, dlaczego ojciec zaprosił cię na śniadanie i powierzył ci tę informację?

– Zadawałam sobie to pytanie tysiące razy. Wreszcie doszłam do pewnego wniosku. Oczywiście to tylko moje domysły.

– Chciałabym je usłyszeć.

– Wiedział o nas. Noah cię zdradzał, ale pan Matherly był zbyt stary, by się z nim pobić. Dlatego chciał mu wymierzyć cios poprzez moją rubrykę. Wiedział, że dla Noaha będzie publicznym upokorzeniem, gdy cały świat przeczyta czarno na białym, że cudowne dziecko wydawnictwa dostało kopa. – Uśmiechnęła się ironicznie. – I z pewnością uznał, że kosmiczna sprawiedliwość wymaga, by to upokorzenie spotkało go z rąk kochanki, która nie będzie się mogła oprzeć takiej informacji.

– Z pewnością – szepnęła Maris z ciepłym uśmiechem. Jej stary ojciec był osobą, której wszyscy nie docenili.

– Maris, jeśli to coś znaczy...

– Tak?

– Myślę, że to mu sprawiło radość. Tamtego ranka był w świetnym humorze.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś. To dla mnie znaczy bardzo wiele.

Spędziła w domu niespełna pół godziny; na samolot zdążyła w ostatniej chwili. W Nashville zatrzymała się w niedrogim hotelu w pobliżu lotniska. Padła na łóżko, nawet się nie rozebrawszy. Następnego ranka pochłonęła gigantyczne śniadanie i ruszyła na uniwersytet. Jechała przez dwie godziny.

Teraz, przechadzając się po wykładanych cegłą alejkach miasteczka akademickiego i myśląc o wstrząsających wypadkach wczorajszego dnia, z trudem wierzyła własnym oczom. Nieustannie towarzyszyło jej silne poczucie déjà vu. Nic dziwnego. Już tu była – czytając książkę Parkera. Nadał uniwersytetowi fikcyjną

nazwę, ale opisał go z fotograficzną wiernością.

Poszła prosto do siedziby bractwa. Doskonale wiedziała, gdzie się kierować. Budynek wyglądał dokładnie tak, jak go opisał Parker: dwupiętrowy, ceglany, z oknami w wykuszach i szpalerem grusz po obu stronach alejki, teraz pustej, lecz z pewnością gwarnej i rojnej na jesieni.

Szła ścieżką, którą Roark podążał tego zimnego listopadowego ranka na dwa dni przed Świętem Dziękczynienia. Po słowach Parkera trafiła do budynku, w którym urzędował profesor Hadley. Weszła po schodach, gdzie Roark spotkał się z kolegą z klasy.

Przed nią rozciągał się korytarz – długi, ciemny, opuszczony i milczący. Tylko jedna sala była otwarta; siedziała w niej kobieta, wpatrzona w ekran komputera. Nie zauważyła przechodzącej Maris.

Drzwi sali 207 stały lekko uchylone, tak jak tego ranka, gdy Roark zbliżył się do nich z tekstem powieści w plecaku. Serce łomotało jej tak samo jak jemu. Delikatnie pchnęła drzwi.

Za biurkiem siedział mężczyzna odwrócony do niej plecami.

– Profesor Hadley?

Odwrócił się.

– Cześć, Maris.

Oparła się o framugę drzwi. Zachciało się jej śmiać z samej siebie.

– Mike!

– Klapnij sobie.

Zdjął z jedynej krzesła w sali stertę książek i magazynów, postawił ją na podłodze, obok kilku podobnych. Maris usiadła, nie spuszczając z niego wzroku.

Uśmiechnął się.

– Wiedziałem, że w końcu się domyślisz. Co cię naprowadziło?

– Już dawno odgadłam, że Roark to Parker. Przynajmniej w dużej mierze. Wczoraj Noah powiedział coś, co zabrzmiało niemal jak dosłowny cytat z jego książki. O tym, że śmierć mojego ojca jest mu na rękę.

– Tak jak śmierć jego matki. Mógł się przeprowadzić na Florydę bez dalszej zwłoki.

– Powinnam się domyślić, że Hadley to ty.

– Szczerze mówiąc, dobrze, że się nie domyśliłaś. Parker nie przedstawił tej postaci zbyt pochlebnie. Byłbym urażony, gdybyś mnie w niej rozpoznała.

Omiotła spojrzeniem zagraconą salkę.

– Parker opisał twoją klasę z najdrobniejszymi szczegółami. Jaka pełnisz funkcję na uniwersytecie?

– Profesor w stanie spoczynku.

– To duży zaszczyt.

Mike prychnął.

– To puste słowa, które znaczą tylko tyle, że jestem za stary, żeby robić to, do czego przywykłem. Ale mogę zajmować tę salę do końca życia. W zamian raz na semestr daję wykład z Faulknera dla kilkuset znudzonych smarkaczy, którzy przychodzą na niego tylko dlatego, że muszą. Dobrze, jeśli chociaż jeden wytrzyma przez cały wykład, nie zapadając w drzemkę. Poza tym nie mam tu żadnych obowiązków.

– Parker na pewno nie spał na twoich wykładach – powiedziała cicho.

– Parker był wyjątkowy. Nie przesadził z opisem mojej reakcji na „Roarka” i jego rozwijający się talent. Był wręcz zbyt powściągliwy.

– Naprawdę wyciągnąłeś go z uzależnienia?

– Jak już mówiłem i znowu powtarzam, sam się wyciągnął. Był uzależniony od środków przeciwbólowych. Wiem, co przeszedł, więc nie mogę powiedzieć, że go potępiam. Ale osiągnął punkt, w którym zaczął brać po to, by ukoić ból duszy. Ja tylko zapaliłem mu nad głową światelko alarmowe. To on przeszedł przez piekło odwyku, a potem rehabilitacji. – Uśmiechnął się. – Można powiedzieć tylko, że to ja wtrąciłem go w to piekło.

– Mimo to jest ci wdzięczny.

– A ja jemu. Miałem przywilej pracy z zadziwiająco utalentowanym pisarzem.

– Szkoda, że jest znacznie lepszym pisarzem niż człowiekiem.

Mike przyjrzał się jej w milczeniu. Sięgnął do szuflady i wyjął maszynopis, ściągnięty grubą gumką. Przesunął go po blacie biurka w jej stronę. Spojrzała na tytuł i uśmiechnęła się gorzko.

– Już to czytałam.

– Sporą część – poprawił ją. – Nie wszystko. Przeczytaj, zanim osądzisz go zbyt ostro. – Wstał i ruszył do drzwi. – Idę na kawę. Przynieść ci coś?

Rozdział trzydziesty czwarty

Jedną z najważniejszych cech charakteru Noaha była jego umiejętność zaprzeczania, że coś poszło źle. Jeśli się zaneguje porażkę, to tak, jakby tej porażki nie było.

Następnego ranka po katastrofalnym spotkaniu z Nadią pojechał taksówką do Matherly Press, udając, a właściwie wierząc, że uda mu się jakoś obejść ten problem i że na dalszą metę wyjdzie mu to na dobre. W skali Richtera było to zaledwie maleńkie drgnienie.

Cieszył się, że Matherly Press zachowa niezależność. Nowy nabytek WorldView wkrótce okaże się bombą z opóźnionym zapłonem. Becker-Howe od dawna chwiało się na skraju bankructwa, o czym wiedzieli wszyscy w branży. Ollie Howe był jeszcze bardziej uparty od Daniela. Nie chciał się dostosować do szybkiego tempa zmian i za nic nie mógł zrozumieć idei mediów elektronicznych.

Noah obiecał sobie, że osobiście dopilnuje, by ta transakcja doprowadziła do efektywnej klęski i by Morris Blume stał się pośmiewiskiem środowiska wydawniczego, przede wszystkim za to, że uważa się za wydawcę, potem – za ślub z tą kurwą. Jego żonę zaliczył każdy mężczyzna w okolicy.

A co do informacji, które miały się pojawić w rubryce Nadii – zamierzał im zaprzeczyć.

Daniel nie zarzuci mu kłamstwa. Stern najprawdopodobniej nie potwierdził tych rewelacji, Nadia skłamała. Noah oświadczy, że napisała to z zemsty. Przyzna, że wdał się w niefortunny, przelotny romans, którego teraz głęboko żałuje. Po gwałtownej śmierci teścia spostrzegł swój błąd i wrócił do żony oraz świętego związku małżeńskiego. A Nadia w rewanżu zmyśliła tę oburzającą historię.

Kiedy plotki ucichną, nikt nie będzie już pamiętać, o co naprawdę chodziło. Fakty, podawane z ust do ust, zostaną zniekształcone jak w zabawie w głuchy telefon. Nikt się nie zorientuje, komu i w co wierzyć. Noah wyjdzie z tego zamieszania bez jednego draśnięcia, w dodatku zyska punkt za uczciwe przyznanie się do skoku w bok, za który publicznie przeprosi żonę. Jego żona, Maris była słabym ogniwem jego planu. Miał nadzieję, że zignoruje artykuł Nadii. Nie da jej tej satysfakcji, nie potwierdzi ani nie zaprzeczy. Ale nie chodzi tylko o to. Co będzie, jeśli Daniel naprawdę oddał Maris władzę nad Matherly Press? Jeśli ten prawnik, Stern, wie o mianowaniu i ma na jego potwierdzenie stosowne dokumenty? Co wtedy?

W porządku. Noah zgodzi się na wszystko. Powie, że Daniel poinformował go o swojej decyzji podczas pobytu na wsi. Tak! Przedyskutowali to pod każdym kątem i Noah zgodził się, żeby Maris przejęła stanowisko i kompetencje ojca. Ale Daniel

poprosił go, by jej pomógł. Żeby jej służył radą. By strzegł ją przed niebezpieczeństwami i ostrzegał przed nieostrożnymi ruchami.

Tak. bardzo dobrze. I kto mu udowodni, że było inaczej? Może powinien się przyznać, że zastanawiał się nad połączeniem Matherly Press z gigantem mediów i że spotkał się z Blume'em, żeby to przedyskutować. Ale teraz, gdy Daniel odszedł, chce tylko pracować ramię w ramię z Maris, by umocnić znaczenie wydawnictwa. Doskonale.

No dobrze, a ich sprawy osobiste? To dość skomplikowane, ale zdoła to załatwić. Maris daje się tak łatwo ugłaskać. Może powinien się rzetelnie zainteresować książką, która ją tak pochłonięła? Zaproponuje, że osobiście zajmie się jej publikacją i że zrobi wszystko, by osiągnęła wspaniały sukces. Maris będzie zadowolona.

A może powinien zaproponować, żeby postarali się popracować nad dziedzicem dynastii? Oczywiście to niemożliwe, ale Maris będzie tkwić w błogiej nieświadomości, do czasu gdy znajdzie się coś innego, co ją zajmie bez reszty i uczyni podatną na jego wpływ.

Mógł wybierać spośród kilku możliwości. Z pewnością któraś z nich zasypie przepaść między nimi.

I wreszcie pozostawała kwestia tego prywatnego detektywa. Mógłby dotrzeć do tej brzydkiej sprawy na Florydzie. Ale nawet jeśli? To nieszczęśliwy wypadek, nic więcej. Nikt go nie oskarży. Najwyżej obudzi jakieś niezyczliwe domysły, ale można je rozbroić, nazwać okrutnymi plotkami.

Wolny od wątpliwości, gotów do działania i pełen optymizmu wyszedł z windy i energicznym krokiem skierował się ku swemu gabinetowi. Jego asystentka stała przy biurku, nerwowo wykręcając palce, jakby gotowa na wszystko, by go zadowolić.

– Kawę proszę, Cindy.

– Proszę pana...

Przemaszerował obok niej, wszedł do gabinetu i zatrzymał się tak gwałtownie, jakby wpadł na szklaną ścianę.

– Stern?

Mały człowieczek za biurkiem wyglądał jak bliźniak Howarda Bancrofta. Taka sama łysa, spiczasta główka.

– Witam – padło z takich samych wąskich ust.

– Co pan robi w moim gabinecie, za moim biurkiem, do kurwy nędzy?

Stern pominął milczeniem wulgaryzm i zrobił gest w stronę dwóch mężczyzn

obok niego.

– Ci panowie są pracownikami mojej kancelarii. Zgodzili się pomóc przy pakowaniu pańskich rzeczy osobistych. Będę przy tym obecny. Daję panu godzinę, następnie ma mi pan oddać klucze oraz przepustkę. Wówczas zostanie pan odprowadzony do wyjścia od strony Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Pani Matherly omówiła ze mną warunki pańskiego natychmiastowego zwolnienia, szczególnie nacisk kładąc na ten ostatni punkt. Chciała panu zaoszczędzić krępującej sytuacji podczas wychodzenia głównym wyjściem. Uważam, że okazała panu zbyt wiele względów. – Szybkim ruchem ręki poderwał z miejsca swoich pracowników. Spojrzał na zegarek. – Czas ucieka. Powinniśmy już zacząć.

Cindy zajrzała przez szparę w drzwiach.

– Przepraszam, ja do pana Reeda... Właśnie przyniesiono przesyłkę. Posłaniec nie chce jej oddać, dopóki nie złoży pan podpisu na pokwitowaniu.

Doskonała okazja, by wyładować na kimś gniew. Odwrócił się do niej z płonącymi oczami.

Cofnęła się trwożliwie, ale zdążyła mu wcisnąć paczkę w rękę i wykrztusić:

– To od jakiegoś pana Parkera Evansa.

Mike wrócił dokładnie w chwili, gdy Maris przeczytała ostatnie słowo maszynopisu. Siedziała bez ruchu, z kartkami na kolanach. Wpatrywała się w ostatnią linijkę tekstu, aż litery rozplynęły się jej przed oczami.

Ból, który szarpie ciało, ale duszę zabija.

Nie zauważyła Mike'a, dopóki nie trącił jej w ramię.

– Pamiętam, że czasem lubisz wypić herbatę. Masz ochotę?

Skinęła głową w oszołomieniu, ujęła ciepły styropianowy kubek. Mike usiadł za biurkiem. Rozdarł paczuszkę słodzika; dźwięk rozległ się nienaturalnie głośno w małym pokoju.

– Jedna czy dwie?

– Jedna.

Zdjęła z kubka plastikowe wieczko. Mike wrzucił zawartość paczuszki do wonnej, parującej herbaty, podał plastikową łyżeczkę. Mieszała herbatę dużo dłużej, niż było trzeba. Upiła łyk, który sparzył jej język.

– To nie jest koniec, prawda? – spytała.

Mike ściągnął brwi w jedną linię.

– Nie pokazał ostatniego rozdziału nawet mnie. Nie wiem, czy go napisał. Może to dla niego zbyt bolesne.

– Bardziej niż to? Boże – załkała cicho. – To niewiarygodne. Nie mogę uwierzyć, że do tego doszło.

Mike spojrzał na nią znacząco. To ostatnie zdanie nie miało znaczenia, wierzyła w każde słowo Parkera. Noah na pewno zrobił to, co zrobił. Na pewno. Był do tego zdolny, wiedziała o tym.

– Co było później?

– Todd...

– Noah. To nie fikcja.

– Noah wrócił na przystań.

– Tak jak w prologu. Udał histerię. Oznajmił, że Parker dostał szału. Że skrzywdził dziewczynę, rzucił się na niego. Że doszło do bójki, dziewczyna wypadła za burzę, a za nią Parker. Noah chciał ich ratować.

– Musiał wskoczyć do wody, żeby zmoczyć ubranie. Tak jakby ich szukał.

– Oskarżył Parkera o zazdrość.

– Oczywiście skłamał. Ale zrobił to bardzo dobrze. Wiarygodnie. Straż przybrzeżna zorganizowała akcję ratowniczą.

– A Mary Catherine?

– Nie znaleziono jej ciała. Oficjalnie uznano ją za zmarłą.

– Co się stało z Parkerem?

Mike upił łyk kawy, zwlekał z odpowiedzią.

– Tej nocy znaleziono go przez czysty przypadek. Zauważył go pewien rybak. Współrzędne, które Todd podał straży przybrzeżnej, były „przybliżone”.

– Czyli parę kilometrów dalej.

– Zgadza się. Parker był w wodzie od paru godzin, to cud, że w ogóle przeżył. Prawdopodobnie życie ocalił mu wstrząs. Poruszał rękami, by nie utonąć, ale Bóg jeden wie, w jaki sposób w ogóle udało mu się znaleźć siły. Nogi miał rozerwane na strzępy przez łopatki silnika. Rybacy pomylili go z daleka ze strzępem mięsa. Wokół niego unosiła się wielka plama krwi.

Maris odstawiła drżącą ręką herbatę, której po pierwszym łyku już nie tknęła.

– Przez tydzień jego stan określano jako krytyczny – ciągnął Mike. – Jakoś przeżył. W końcu poskładano mu nogi. Kawałek po kawałku.

– Powiedział mi, że przeszedł kilka operacji. Co robił wtedy Noah? Na pewno się bał, że Parker przedstawi policji swoją wersję zajścia i będzie bardziej przekonujący.

– Mówiłem w dużym skrócie – wyjaśnił Mike. – Rekonstrukcja jego nóg trwała latami. W czasie tych pierwszych dni lekarze ze wszystkich sił usiłowali utrzymać go przy życiu. Wreszcie jego stan się trochę poprawił, ale przez kilka tygodni Parker leżał na OIOM-ie, walcząc z infekcją. Żaden lek nie mógł mu przynieść ukojenia na dłużej niż kilka chwil. Przez resztę dni i nocy krzyczał i błagał, żeby ktoś go zabił. Tyle mi wyznał.

Maris zakryła dłonią, zimną i spoconą, drżące wargi. Oczy piekły ją od łez.

– Stracił ogromną ilość krwi. Być może dlatego nie amputowali mu nóg od razu. Bali się, że się wykrwawi na stole operacyjnym. A może chcieli, żeby jego stan się ustabilizował, zanim podejmą się tak traumatycznej operacji. Nie wiem. O niczym wtedy nie wiedziałem, nikt mnie nie powiadomił. Dowiedziałem się później, przez przypadek. Kiedy wreszcie nabrał dość sił, by mogli przystąpić do procesu rekonstrukcji, zaczął walczyć jak lew z każdym lekarzem, który choćby tylko wspomniał przy nim o amputacji. Nawet częściowej. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego go posłuchali. Może dlatego, że był taki młody. Może... nie wiem – powtórzył i wzruszył ramionami. – Boska interwencja? Opatrzność? Może lekarze zwyczajnie uszanowali jego siłę woli. W każdym razie, do amputacji nie doszło. Postanowili go odbudować, najlepiej jak potrafili.

– Widziałam jego blizny.

– Powierzchowne. Te, których nie widać, sięgają głębiej.

– Te po zdradzie Noaha?

– Kiedy Parker walczył o życie, Noah odegrał przed policją występ swego życia. Mary Catherine nie mogła przedstawić swojej wersji wydarzeń, zostali tylko oni dwaj. Noah odmalował Parkera jako zazdrosnego, porywczego szaleńca, który upił się i wpadł w szał. Zaatakował Noaha. Mary Catherine chciała ich rozdzielić; Parker uderzył ją tak, że wypadła za burtę. Impet ciosu sprawił, że i on wpadł do wody.

Kiedy lekarze pozwolili policjantom na rozmowę z Parkerem, był już zepchnięty do roli oskarżonego. Postawiony przed fałszywymi zarzutami, zareagował tak, jak było to na rękę Noahowi: jak zapalczywy, zazdrosny szaleniec z tendencją do agresji. Leżał w szpitalnym łóżku i wrzeszczał, że zabije tego kłamcę.

Mike się uśmiechnął.

– Wyobrażam sobie, że dobrze wykorzystał cały swój słownik, zwłaszcza wyrazów obelżywych. Już go widzę, jak się rzuca w pasach i dosłownie toczy pianę z ust.

– Zapewne mniej więcej tak było.

– Więc Parker wyszedł na furiata niebezpiecznego dla otoczenia i samego siebie. Policja uwierzyła Noahowi, nie jemu. Oskarżono go o nieumyślne spowodowanie śmierci Mary Catherine. Kiedy wydobrzeł na tyle, że mógł opuścić szpital, postawiono go przed sądem. Nie zgłosił sprzeciwu.

– Dlaczego? Nie był winny.

– Ale czuł się odpowiedzialny.

Potrząsnęła głową.

– To była wina Noaha.

– Zgadzam się, ale Parker oskarżał się o to, że nie potrafił jej uratować. Noah nie był obecny przy jego zeznaniach, ale przysłał nagrane na kasetę wideo oświadczenie. Był pokorny, smutny, łagodny, czasem jawnie płakał. Powiedział, że trudno jest mu wyjawić straszną prawdę o tamtym dniu. Wydarzyła się podwójna tragedia: śmierć Mary Catherine i koniec jego przyjaźni z Parkerem Evansem. Myślał, że go zna, ale oto w ciągu paru godzin jego najlepszy przyjaciel stał się wrogiem. Powiedział, że Parker był mu bliższy niż brat. Ale potem Noah odniósł sukces, a Parker nie mógł tego znieść. Zmienił się. Noah patrzył prosto w obiektyw i płakał. „Nie rozumiem, co się stało tamtego dnia z Parkerem. Zmienił się w zdrajcę, rozpustnika i mordercę”. Mam nadzieję, że zacytowałem go wiernie.

Maris wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

– Więc Noah przyjechał do Nowego Jorku w glorii *Zwycięzonego*.

– A Parker poszedł do więzienia.

– Do więzienia? – Spuściła głowę i oparła czoło na dłoni. – Kiedyś wspomniał, że spędził kilka lat na rehabilitacji i „w innych instytucjach”. Nigdy bym nie zgadła, że mówił o więzieniu.

– Ze względu na okoliczności łagodzące oraz jego stan fizyczny zesłano go do więzienia o złagodzonym rygorze i pozwolono kontynuować leczenie i fizykoterapię. Wypuszczono go po odsiedzeniu dwudziestu dwóch miesięcy z ośmiu lat. Gdyby zatrzymano go dłużej, wyszłoby mu to na zdrowie. Na wolności nie wiodło mu się najlepiej. – Spojrzał na nią spod nastroszonych brwi. – Już chyba wiesz, że zdążył dość nisko upaść, zanim się dowiedziałem, co się stało z moim najlepszym studentem, i zacząłem go szukać.

Podniosła kartki z kolan i wyrównała je.

– Żałuję, że w ogóle poznałam Noaha Reeda. Pokochałam go, Mike. Albo tak mi się zdawało. Wyszłam za niego. Chciałam mu urodzić dzieci. Jak mogłam nie dostrzegać, kim jest?

– Nie przyglądałaś mu się. Nie wiedziałaś, że powinnaś.

– Ale mogłam zauważyć znaki ostrzegawcze. Wiedziałam, na którym uniwersytecie studiował, ale nigdy nie wspominał, co robił przed przybyciem do Nowego Jorku. Nigdy nie zrobił nawet jednej przypadkowej uwagi. Nie miał żadnych pamiątek ani fotografii, z wyjątkiem jednej, na której jako mały chłopiec stoi obok matki i ojca. Nigdy nie kontaktował się z dawnymi przyjaciółmi. Nigdy niczego nie wspominał. Powiedział, że woli żyć terazniejszością, a ja jak idiotka przyjechałam to do wiadomości i nigdy nie zakwestionowałam. Dlaczego nie przyszło mi do głowy, że coś ukrywa?

– Nie bądź dla siebie taka surowa. Noah ma dwie osobowości. Nie ty jedna dałaś się oszukać.

– Czy to tylko zabieg literacki, czy naprawdę napisałeś do Parkera list, w którym go ostrzegałeś, żeby nie ufał Noahowi?

– Napisałem list bardzo podobny do tego, który zacytował Parker. Niemal identyczny.

– Więc zdemaskowałeś Noaha, a przecież był tylko twoim studentem. Nie świadczy to zbyt dobrze o moim wyczuciu.

– Pamiętaj, że Parker też z nim mieszkał. Przez niemal sześć lat. Tu, na uniwersytecie, potem na Florydzie. Od czasu do czasu dostrzegał w nim egoizm i egocentryzm, ale dopiero za burtą łodzi zdał sobie sprawę, że Noah jest wcielonym złem.

– To możliwe. Ostatnio sama dostrzegłam mgnienie jego drugiej osobowości. – Spuściła wzrok na trzymane kartki i przesunęła po nich palcem jakby w pieszczocie. – Parker nie jest zły tak jak Noah. Ale jest okrutny. – Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. – Dlaczego to robi?

– Z zemsty.

– Dlaczego mnie w to wciągnął?

– Przepraszam, że brałem w tym udział. Od samego początku nie czułem się z tym dobrze. A zwłaszcza od dnia, w którym cię poznałem.

Oparł się wygodnie, spojrzał w sufit, jakby musiał pozbierać myśli.

– Widzisz, w tym nagraniu na wideo zeznaniu Noah oskarżył Parkera o rozpustę.

– Więc Parker urzeczywistnił to oskarżenie. Ze mną.

– Mniej więcej. Sukces książek Mackensie Roone'a powinien mu wystarczyć. Ale nie wystarczył. Postanowił, że opíše historię swoją i Noaha, i to tak dobrze, żeby zainteresować ciebie, szanowanego wydawcę.

– I jednocześnie żonę Noaha.

– Myślę, że wpadł na ten pomysł, kiedy się dowiedział, że Noah się z tobą ożenił.

– Byłam elementem, dzięki któremu ta intryga zaczęła funkcjonować.

Mike przytaknął ze smutkiem.

– Każda dobra intryga zawiera jeden składnik, łączący wszystkie inne. Jak nitka, która je zszywa.

– A jaki będzie koniec?

– Nie powiedział.

– Może go nie ma. Może wystarczy mu to, że mnie oszukał, zaciągnął do łóżka i teraz może się śmiać z Noaha.

W jej głosie brzmiała nieskrywana gorycz. Mike pospieszył z odpowiedzią.

– Nie usprawiedliwiam tego, co zrobił, ale mogę to zrozumieć. Parker reaguje na wszystko albo gwałtownie, albo w ogóle. Tylko takie doznanie ma dla niego jakikolwiek sens. W przeciwnym razie po co sobie w ogóle zawracać głowę? Jak można podchodzić do zemsty w beznamiętny sposób? Parker chciał, żeby Noah poczuł choć przez chwilę ból taki, jaki on musiał przez niego przecierpieć. Chciał mu pokazać, co to znaczy zdrada do entej potęgi. Więc podstępem skłonił cię do przyjazdu. Zdradziłaś Noaha, idąc do łóżka z...

– Boże! – Chwyliła Mike'a za rękaw. – Wiem, co będzie dalej.

– Co będzie...

– Dalej. W książce. – Oblizwała wargi. – Zacytowałeś słowa Noaha. Powiedział, że Parker jest zdrajcą, rozpustnikiem i...

– Mordercą – dokończył Mike i uderzył się w czoło. – Do diabła, dlaczego jestem taki stary i głupi! Zanalizowałem miliony powieści, powinienem się zorientować, co z tego wyniknie. To dlatego nie pokazał mi ostatniego rozdziału! – Parker zrobił wszystko, o co oskarżył go Noah! – rzuciła Maris gorączkowo. – Z wyjątkiem... Nie, nie mógłby. Na pewno. Wiem, że nie.

– Ja też w to nie wierzę.

Ale żadne nie powiedziało tego z przekonaniem.

– Parker nie jest do tego zdolny – szepnęła Maris. – Nie byłabym nim tak

zafascynowana, nigdy bym go nie... – Pokochała? – Mike, na miłość boską, ja się zakochałam w bohaterze *Zwycięzonego*. I przeniosłam tę miłość na autora książki. Zobacz, do czego mnie to doprowadziło. Nie mogę już ufać swoim uczuciom. Wierzyłam, że Parker mnie przynajmniej lubi. Gdybym tak nie sądziła, nie poszłabym z nim do łóżka. Ale może znowu się pomyliłam. Może...

Przycisnęła pięść do serca, przypomniawszy sobie jego okrutne słowa. Biorąc pod uwagę cały ból, nienawiść, gorycz i gniew, które buzowały w nim od czternastu lat, może jednak mógł popełnić morderstwo.

Noah ukradł mu życie, o którym marzył. Oko za oko. Wet za wet. Życie Noaha jest tym samym życiem, które zostało mu odebrane. Życie Noaha w zamian za życie Mary Catherine.

Tak, w to mogła uwierzyć. Parker może zabić nie z zemsty, ale dla wymierzenia sprawiedliwości. Lubił tę dziewczynę. Była jego przyjaciółką, współczuł jej z całego serca. Mógłby uznać, że jest zobowiązany do pomszczenia jej śmierci.

Zerwała się na równe nogi.

– Musimy go powstrzymać.

Ale przy drzwiach zatrzymała się w pół kroku. Niepotrzebnie wpadła w panikę. Splotła palce dłoni, pochyliła głowę, jakby w modlitwie.

– Dzięki Bogu. – Odwróciła się do Mike'a. – Nie jest jeszcze za późno. Noah nie wie, że pisarzem, z którym pracowałam, jest Parker. Nie czytał *Zazdrości*.

Mike jęknął i przeciągnął dłonią po twarzy.

– Och, nie...

Rozdział trzydziesty piąty

Noah od razu po zejściu z łodzi pojawił się w barze Terry'ego z wyniosłą miną, dzięki której w ułamku sekundy znalazł się na pierwszym miejscu listy gatunków zagrożonych wymarciem.

Miejscowi nie lubili przyjezdnych w ogóle, a szczególnie takich, którzy patrzyli na nich z góry. Noaha Reeda zniechęcili od pierwszego wejrzenia. Pewnie nie pozwoliliby mu nawet przycumować wyczarterowanej łodzi, gdyby Parker nie rozpuścił wieści, że spodziewa się gościa z Północy. Jeśli ktoś go zauważy, ma go skierować do baru Terry'ego, gdzie Parker będzie już na niego czekał.

Noah podszedł władcym krokiem do Terry'ego.

– Hej! – rzucił opryskliwie.

Terry, akurat zajęty otwieraniem butelki, posłał ją wzdłuż baru do któregoś ze stałych gości.

– Co, głuchy jesteś?

Terry przesunął ogryzioną zapalną z jednego kącika ust w drugi.

– Nie jestem. Jak ktoś chce ze mną gadać, to gada grzecznie, bo jak nie, to znika. Spieprzaj z mojego baru.

– Widzę, że już się przywitałeś. – Noah odwrócił się gwałtownie. Parker uśmiechnął się do niego z wózka. – Wyrobiłeś się w rekordowym czasie.

Noah obrzucił go przeciągłym spojrzeniem od stóp do głów.

– Powiedziała mi, że jesteś kaleką.

Terry wyjął spod lady kij bejsbolowy. Jeden ze stałych bywalców sięgnął po nóż, wiszący w pochwie u pasa. Inni tylko przyglądali się spode łba.

– Powiedziała mi, że jesteś skurwielem – odparł Parker z uśmiechem. – Ale i tak o tym wiedziałem.

Noah parsknął śmiechem.

– Od razu zaczynamy się kłócić jak kiedyś, nie? Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo za tym tęskniłem.

– Zabawne, a ja wcale. Chcesz piwo?

Noah zerknął na Terry'ego.

– Chyba podziękuję.

Parker skinął głową w stronę drzwi.

– Zapłacę później, Terry.

– Nie ma sprawy.

Wszyscy odprowadzili ich wzrokiem, gdy otworzyli drzwi z moskitierą i wyszli w otępiający upał.

– Bezczelny jesteś, Noah, trzeba ci to przyznać.

Noah parsknął kpiąco.

– Bo przyjechałem do ciebie?

– Nie. Bo wszedłeś do baru Terry'ego w tych kapciach. – Zerknął na jego buty od Gucciego, ze złotym emblematem na przyszwie. – Cudeńka.

Noah pomiął milczeniem kpinę. Zdjął marynarkę.

– Wspaniały klimat – rzucił sarkastycznie.

– Trochę przypomina Key West.

Noah nie drgnął, ale i nie chwycił przynęty. Parker zaprowadził go do gatora.

– Wskakuj.

– Ale numer. – Noah zajął miejsce na jasnożółtym fotelu. – Nie widuje się ich na Piątej Alei.

Parker podciągnął się na rękach na fotel kierowcy, sięgnął po wózek inwalidzki, złożył go i umieścił w przyczepie.

– Stałeś się regularnym jankeskim snobem – zauważył, zapalając silnik.

– A ty się postarzałeś.

– Z bólu człowiek starzeje się szybciej.

Przez parę minut jechali w milczeniu. Noah nie zwracał uwagi na krajobrazy. Wpatrywał się w wąską drogę, nie odrywał od niej spojrzenia. Natomiast Parker odpowiadał na powitania ludzi, których mijali.

Kiedy starsza pani pomachała mu ręką z ganku. Noah nie wytrzymał.

– Co, jesteś miejscową gwiazdą?

– Jedyne kaleka na wyspie.

– Aha.

– I jedyny zawodowy pisarz, którego znają.

– Na razie nie sprzedajesz tej swojej powieści.

– Nie, ale książki Mackensie Roone'a sprzedają się jak gumki w burdelu.

Wreszcie. Po tym jednym zdaniu twarz Noaha wreszcie odzwierciedliła jakieś uczucie. Parker roześmiał się z jego zdumionej miny.

– Nie wiedziałeś? Niespodzianka!

Noah opanował się błyskawicznie, jak zwykle.

– Więc to za to kupiłeś sobie ten piękny dom i wiernego sługę, o którym wspomniała mi żona.

Parker zauważył jego władczy ton, kiedy napomknął o Maris, ale nie skomentował go.

– Staram się urządzić, ale w dom trzeba jeszcze włożyć sporo pracy. A mój wierny sługa właśnie odszedł.

– Jak to?

– Uważa, że jestem łobuzem, i powiedział, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

– To ma być wierność?

– Ach, wróci.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie.

Stanęli przed zrujnowaną oczyszczalnią w chwili, gdy słońce ukryło się za drzewami. W zapadającym zmroku wydawała się jeszcze bardziej ponura niż za dnia. Pnącza winorośli oplatały ją niczym kokon chroniący przed ciemnością.

Noah oszacował wzrokiem chylący się ku upadkowi budynek.

– Rzeczywiście, trzeba tu włożyć sporo pracy.

Parker wyjął wózek z przyczepy i postawił na ziemi.

– To nie mój dom, tylko interesujący zabytek. Ale skoro już tu jesteś, możesz poznać tutejszą historię.

Ruszył na wózku do oczyszczalni, nie pozostawiając Noahowi innego wyboru, jak tylko podążyć za nim. We wnętrzu budynku blednące promienie słońca wciskały się w szpary między deskami ścian i przez dziury w dachu, kładąc się na podłodze małymi świetlistymi krążkami. Wyglądały jak rozsypane dukaty. Reszta pomieszczenia tonęła w ciemnościach. Powietrze było tak gęste i ciężkie, że oddychanie wymagało niemal świadomego wysiłku.

Parker oprowadził Noaha po oczyszczalni jak zawodowy przewodnik, powołując się na fakty historyczne i przytaczając miejscowe legendy, tak jak to zrobił w rozmowie z Maris. Wspomniał nawet o nieudanych próbach uruchomienia silnika parowego.

Noah zmęczył się słuchaniem jego monologu. Przerwał mu w pół zdania.

– Przeczytałem twoją książkę.

Parker powoli odwrócił się razem z wózkiem.

– To oczywiste. W przeciwnym razie by cię tu nie było. Kiedy ją dostałeś?

– Dziś rano.

– Szybka reakcja. Marzenie każdego pisarza.

– Zorientowałem się po paru stronach. Nawiasem mówiąc, dobrze napisanych.

– Dziękuję.

– Wyczarterowałem prywatny odrzutowiec, żeby droga trwała jak najkrócej. Po drodze przejrzałem resztę tekstu.

– Ale przecież już znasz tę historię.

– Ta książka nigdy nie ujrzy światła dziennego.

Parker wzruszył ramionami z rozbawieniem.

– To tylko dowodzi, jak bardzo można się pomylić. A ja sądziłem, że po tylu latach zechcesz ulżyć sumieniu.

– Daj spokój tym bzdurom. – Głos Noaha przeciął ciszę jak bat. – Zakładam, że ta *Zazdrość* to ten sam tekst, na którego punkcie oszalała Maris.

– Ten sam. Przeczytała każde jego słowo. Kilka razy. Podoba się jej. Zwłaszcza pomysł, konkurencja między dwoma przyjaciółmi. Twierdzi, że postaci są nakreślone bardzo plastycznie. Uważa, że Roark jest bohaterem bez skazy, a Todd... hm, Todd nie.

– Zawsze lubiła melodramaty.

– Mylisz się. Jest dobrym wydawcą.

– To smarkula, tylko udaje dorosłą.

– To dama z klasą.

– Jezu... – prychnął Noah. – Przeleciałeś ją, tak?

Parker zacisnął zęby i zamilkł. Noah wybuchnął śmiechem.

– Ach, Parker, Parker. Siwiejesz, jesteś pomarszczony jak żółw, ale pod pewnymi względami się nie zmieniłeś. Zawsze taki rycerski, nigdy nie mówisz o kobietkach.

Pokręcił głową z rozbawieniem.

– Zawsze miałeś słabość do pań. Oczywiście wiem, dlaczego tak strasznie ci zależało na tym, żeby zaciągnąć Maris do łóżka. Chciałeś mi przyprawić rogi. Zadałeś sobie mnóstwo trudu, więc mam nadzieję, że rozczarowanie nie okazało się zbyt bolesne. Maris nie jest demonem seksu, co?

Spojrzał znacząco na biodra Parkera.

– A może jesteś wdzięczny za każdy rodzaj aktywności seksualnej, nawet za niezdarne wysiłki Maris? – Podrapał się w zamyśleniu po skrzydełku nosa. – Choć trzeba przyznać, że ma bujne futerko. Na pewno zauważyłeś, jeśli zostawiłeś zapalone światło.

Parker zapragnął go zabić. Chciał zobaczyć jego agonię, powolną i bolesną, i piekielne ognie liżące jego stopy.

Noah ciągnął nonszalancko, nie zdając sobie sprawy z morderczych instynktów, jakie w nim obudził.

– Oczywiście nie skarzę się na Maris. Na pewno potrafi być użyteczna.

– Dla twojej kariery.

– Oczywiście. – Noah zrobił krok w jego stronę. – I musisz wiedzieć, że nie pozwolę nikomu odebrać mi tego, co osiągnąłem. Ta książka nigdy nie zostanie wydana.

– Widzisz, tak naprawdę nie napisałem jej z myślą o wydaniu. Napisałem ją dla siebie.

– Jako katharsis?

– Nie.

– Żeby przelecieć moją żonę?

– Nie.

– Tracę cierpliwość.

– Napisałem ją, żeby cię tu zwabić, na mój teren. A to dlatego, że chcę patrzeć ci w twarz, kiedy będziesz umierał, tak jak tamtej nocy ty patrzyłeś na mnie ze sterówki łodzi.

Noah parsknął.

– Co, przejedziesz mnie wózkiem?

Parker tylko się uśmiechnął. Wyjął z kieszeni koszuli małe urządzenie.

– A, już rozumiem. Pobjesz mnie na śmierć pilotem.

– Jestem właścicielem tego budynku – wyjaśnił Parker tonem towarzyskiej pogawędki. – Lubię go. Ma dobrą atmosferę. Ale niektórzy uważają, że jest niebezpieczny dla dzieci, które mogłyby tu zawędrować. Ta studnia i w ogóle. – Wskazał ją kciukiem. – Więc postanowiłem zrobić przysługę moim sąsiadom i zniszczyć go.

Wcisnął guzik przyrządu. Gdzieś w odległym kącie pomieszczenia rozległ się głośny trzask, błysnęła iskra. Noah odwrócił się z zaskoczeniem i ujrzał, jak po starej drewnianej ścianie pełźnie płomień.

Parker podjechał do niego na wózku. Noah wyczuł ruch za swoimi plecami, odwrócił się i skoczył. Codzienne ćwiczenia na siłowni dały rezultaty, był w dobrej formie. Wymierzył parę celnych ciosów.

Ale po latach wymuszonej aktywności ramiona i pierś Parkera także stały się wyjątkowo muskularne. Parker zablokował większość uderzeń, nie dając się wyrzucić z wózka. Jednak jego prawdziwa przewaga polegała na znajomości zwyczajów Noaha. Noah walczył nie fair. Noah walczył, żeby wygrać. I to za wszelką cenę.

Dlatego nie zdziwił się, kiedy Noah popchnął jego wózek w stronę otwartej studni. Zaczął się bronić. Na oślep młócił rękami; Noah bez trudu uchylał się przed nimi. Im bardziej słabły ruchy Parkera, tym gwałtowniej napierał Noah. Wysiłki przeciwnika tylko go rozjuszały. Wreszcie skoczył na niego jak drapieżnik na ofiarę.

I dokładnie w tej samej chwili Parker zaciągnął hamulec wózka. Metalowe szczęki wbiły się w oponę, wózek stanął gwałtownie, obracając się wokół własnej osi. Noah nie spodziewał się czegoś takiego. Impet skoku poniósł go do przodu. Buty od Gucciego uderzyły w niską cembrowinę studni. Stracił równowagę, zatrzepotał rękami w powietrzu... i runął w czerń.

Jego wrzask brzmiał jak upiorne echo krzyku Mary Catherine, kiedy wypadła za burtę łodzi.

Parker dyszał ciężko. Wytarł rękawem zakrwawiony nos.

– Ty sukinsynu! – ryknął Noah z czeluści.

– Co, nie zabiłeś się?

– Skurwiel!

– Nie umiesz przegrywać. Kaleka cię przechytrył. Przecież to ja miałem tam wylądować, prawda? Chciałeś mnie zepchnąć do tej studni? Jak myślisz, dlaczego ciągle o niej wspominałem? Dawałem ci wskazówki. Każdy przeciętny pisarz od razu by się na tym poznał.

– Wyciągnij mnie!

– Oj, nie histeryzuj. Ta studnia nie jest tak głęboka jak Atlantyk. I o ile mi wiadomo, nie ma w niej drapieźników. Choć nie jestem pewien co do węży – dodał jakby po namyśle.

– Co chcesz zrobić, nalać tu wody, żebym się utopił?

– Jak ty mnie jednak nie doceniasz. Przecież musiałbyś tylko poruszać rękami i nogami, dopóki nie dopłynąłbyś do cembrowiny.

– Więc o co ci chodzi?

Parker odpalił następny ładunek.

– Zostało jeszcze dwanaście. Ale zanim wszystkie eksplodują, ty będziesz się już dusić. Oddychanie dymem nie równa się dramatyzmowi dławienia się słoną wodą albo śmierci w paszczy rekina, ale jest dość efektowne, nie sądzisz?

– Uuu, już się boję. Mam uwierzyć, że zostawisz mnie na pewną śmierć?

– A dlaczego nie? Jestem mordercą. Sam tak powiedziałaś. Pamiętasz? No, wysił się trochę. Na pewno sobie przypomnisz. W końcu przeciwczyłaś tę zająkliwą mowę pewnie z tysiąc razy. Łzy były bardzo przekonujące, muszę ci to przyznać. Nawet ja prawie ci uwierzyłem. Aż do tamtego dnia byliśmy jak bracia. Potem stałem się zdrajcą, rozpuśtnikiem i mordercą. Kojarzy ci się to z czymś?

– Ja... chciałem...

– Wysłać mnie do więzienia. A skoro odsiadkę mam już za sobą, pora popełnić zbrodnię.

Noah milczał przez chwilę.

– Chyba złamałem kostkę – odezwał się.

– Łamiesz mi serce.

– Parker, ja tu cierpię.

– Nie tym tonem, Noah.

– W porządku... źle zrobiłem. Przestraszyłem się. Sparaliżowało mnie ze strachu. Uciekłem. Kiedy zdałem sobie sprawę, co zrobiłem, nie miałem innego wyjścia. Musiałem tak postąpić. Rozumiem, że masz do mnie urazę, ale już chyba postawiłaś na swoim.

– Tak jak ty, kiedy mnie zostawiłaś w oceanie na pewną śmierć. To ci nie wystarczyło? Musiałaś pozwolić, żeby umarła Mary Catherine?

– Nie uda ci się – powiedział Noah zupełnie innym tonem.

- A ja myślę, że się uda. Tak jak tobie.
- Ludzie zobaczą dym i wezwą straż pożarną.
- Straż ma siedzibę po drugiej stronie wyspy. Zanim przyjadą, już się udusisz.
- A ciebie oskarżą o morderstwo.

– Nie sędzę. Wszyscy w knajpie Terry'ego słyszeli twoje wredne słowa. Wiedzą, że twoja żona mieszkała przez parę tygodni pod moim dachem. Domyślą się, że przyjechałeś tutaj, żeby mi skopać tyłek. Ale według nich jestem biednym inwalidą. Jak ci się wydaje, komu uwierzą? Komu będą woleli uwierzyć? A ja muszę im tylko powiedzieć prawdę. Pokłóciliśmy się. Ty się na mnie rzuciłeś – mam na to dowód, rozbity nos. Straciłeś równowagę i wpadłeś do studni. Niestety, ładunki były już odpalone, nie mogłem powstrzymać nieuniknionego. Chciałem cię ratować, ale nie dałem rady. Jestem kaleką, pamiętasz?

Pochylił się nad cembrowiną i uśmiechnął do Noaha, którego twarz majaczyła w ciemnościach jak blada plama.

– To jest równie prawdopodobne jak bajeczka, którą sprzedałeś straży przybrzeżnej, nie sądzisz?

– Parker. Parker! Posłuchaj mnie...

– Przepraszam na chwilę. – Wcisnął guzik, rozległ się kolejny wybuch. Teraz płomienie pełzły już w po ścianie w dwóch miejscach.

– Przestań! – krzyknął Noah.

– Nie.

– Na miłość boską!

– Na miłość boską? Myślę, że nawet Bóg zrozumie i wybaczy mi to wszystko, co ci zrobię. Zastanawiałem się, czy cię nie zastrzelić. Mógłbym powiedzieć, że zrobiłem to w obronie własnej, i pewnie by mnie uniewinnili. Ale potem przypomniałem sobie, jak mijałem się godzinami w tym przeklętym oceanie, zanim mnie uratowali. I o tych godzinach rozdzierającego bólu w szpitalu. Uznałem, że śmierć od kuli to zbytnia uprzejmość z mojej strony. Musiałem czekać czternaście lat. Gdybyś umarł od razu, nie miałbym żadnej satysfakcji. Potem pomyślałem, że mógłbym ci odciąć jaja i patrzeć, jak się wykrwawiasz, tak jak ja się nieomal wykrwawiłem. Ale zrobiłbym tu jatkę, no i nie miałbym dla siebie rozsądnego wytłumaczenia. Aż pewnego dnia, kiedy zastanawiałem się nad nową książką o Decku Caytonie, zorientowałem się, że patrzę na tę studnię, i raptem, ot tak – strzelił palcami – olśnił mnie świetny pomysł. Zobaczyłem, jak walczysz o łyk powietrza, jak z oczu płyną ci strumienie łez, jak cały jesteś zasmarkany. Tak mnie to podnieciło, że omal się nie spuściłem. Nawiasem mówiąc, sprzęt działa bez zarzutu, dziękuję za troskę. A Maris może i wzięła z tobą ślub, ale nigdy nie stała się twoją

żoną. Nie znasz jej. Nawet nie podejrzewasz, jaka jest naprawdę. Na czym to skończyłem? A, prawda. Poprosiłem jednego kolesia, żeby założył tu ładunki. To proste. Jak automatyczny kominek. Rozesłałem zawiadomienia, że zamierzam spalić tę rudę. Pożar kontrolowany, rozumiesz. Tak jak kiedyś podpalano tu pola trzciny cukrowej. Nieduży ogień, mnóstwo dymu.

Teraz swąd był już wyraźny.

– Parker, musimy uciekać.

Roześmiał się.

– Nie bój się, ucieknę bez trudu. Jestem zmotoryzowany. Ty natomiast jesteś udupiony.

Noah spróbował innej taktyki.

– Dobrze, chcesz, żebym błagał? Błagam. Wyciągnij mnie stąd.

Parker zakrztusił się dymem.

– Przepraszam. Nawet gdybym chciał, już za późno. Muszę się ratować. Przykro mi, że nie zobaczę, jak umierasz, ale...

– Parker, nie! – załkał Noah. – Proszę! Nie zostawiaj mnie tu na pewną śmierć! Co mam jeszcze powiedzieć?

Parker spojrzał na niego z twardą, zaciętą twarzą, z której uśmiech zniknął jak zdmuchnięty.

– Powiedz, że przepraszasz.

Noah przestał łkać, ale uparcie milczał.

– Wiesz chociaż, jak naprawdę miała na imię Mary Catherine?

– Co za różnica?

– Sheila. Powinieneś przynajmniej znać imię dziewczyny, która poroniła twoje dziecko.

– To nie było dziecko, tylko babska sztuczka. Pułapka.

– Więc jednak wiedziałeś.

– Nie byłem pewien.

– To dawne dzieje.

– Mylisz się. Są bardzo aktualne. Jeśli chcesz ujść z życiem, przyznaj, że wyrzuciłeś Mary Catherine za burtę i nawet nie kiwnąłeś palcem, ty skurwielu, żeby ją ratować.

Noah się zawahał. Parker oparł dłonie na kołach wózka i zaczął go odwracać.

– To na razie.

– Czeka! Dobrze! To, co się stało z Mary Catherine...

– Sheila.

– Sheila. To, co się stało ze Sheilą, zdarzyło się przeze mnie.

– A co ze mną? Umyślnie najechałeś na mnie łodzią?

– Tak.

– Powiedz to.

– Umyślnie najechałem na ciebie łodzią.

– Dlaczego?

– Bo... chciałem cię zabić tak, żeby wyglądało to na wypadek. Chciałem cię usunąć.

– Żeby ci nie przeszkadzał w karierze.

– Tak.

– To dlatego zabiłeś także Daniela Matherly'ego?

– Goń się!

– Zabiłeś go, tak? – krzyknął Parker. – Przyznaj się, bo się udusisz, ty gnido! Jeśli wcześniej nie utopisz się we własnych szczyinach!

– Ja... ja...

– Jak doprowadziłeś do tego upadku?

– Sprowokowałem go. Powiedziałem mu o tym starym Żydzie, jego przyjacielu. Rozzłościł się, rzucił się na mnie, uskoczyłem...

– Popchnąłeś go.

– No, dobrze.

– Powiedz to!

Zdesperowany Noah dał za wygraną.

– Popchnąłem go! Nie musiałem, ale popchnąłem. Żeby mieć pełną pewność.

Parker odkaslnął; dym szczypał go w oczy.

– Jesteś odrażający. Jesteś parodią człowieka. I mordercą. – Pokręcił głową z żalem. – Ale nie warto cię zabijać.

Parker cofnął się z wózkiem. Noah wrzasnął z przerażeniem jego imię. Krzyknął je kilka razy, ale Parker zniknął tylko na chwilę. Po chwili wrócił z liną, którą zostawił tu wcześniej, przygotowując się na ten moment. Zakołysał nią nad cembrowiną, tak by Noah mógł ją zobaczyć.

– Na pewno chcesz, żebym cię uratował? Pójdiesz do więzienia.

– Rzuć ją!

– Dokładnie wiem, co czujesz – powiadomił go Parker. – Wiedziałem, że nogi już na nic mi się nie przydadzą. Zrobiłbym wszystko, żeby przestało mnie boleć. Ale umrzeć nie chciałem. Myślałem, że chcę, ale kiedy pojawili się rybacy, wczepiłem się w ich ręce ze wszystkich sił.

Opuścił linę ku Noahowi, który złapał ją gorączkowo.

– Owiń się nią kilka razy i mocno zawiąż.

– Już! – odezwał się Noah po chwili. – Wciągnij mnie!

Parker odjechał kawałek, lina się naprężyła.

– Gotów? Jeśli znajdziesz oparcie dla stóp, idź po ścianie.

– Nie mogę, kostka...

– Trudno. Tylko spokojnie. Nie...

Chciał powiedzieć: „Nie szarp”. Nie zdążył.

Rozdział trzydziesty szósty

Noah, przerażony, mocno szarpnął za sznur. Parker nie był na to przygotowany. Wpadł z fotela, runął na klepisko.

– Cholera!

– Co? Parker, co się stało?

Przez kilka sekund Parker leżał bez ruchu tam, gdzie upadł, czołem dotykając ziemi. Parę razy odetchnął głęboko. Wreszcie podniósł się i na rękach przypelzł do studni. Zajrzał do środka.

– Przez ciebie wypadłem z wózka.

– Więc na niego wróc.

– Czekam na sugestie, jak mam to zrobić.

– Wymyśl coś!

Noah zachrypnął ze zdenerwowania. Nawet z dna studni musiał słyszeć trzaskanie płonącego starego drewna. Dym gęstniał z każdą sekundą.

– Parker! Musisz mnie stąd wyciągnąć!

– Nie potrafię ci pomóc, bracie. Jestem kaleką, pamiętasz? – Pokręcił głową ze smutkiem. – Przyznaję, że nie tak to zaplanowałem. Nie chciałem, żebyś umarł. Chciałem ci tylko pokazać, jak się czuje człowiek, który stoi w obliczu własnej śmierci. Żebyś przeżył ten dziki strach. Chciałem cię wystraszyć, żebyś wyznał swoje grzechy. Chciałem, żebyś mnie błagał o życie. I tak było. Ale na tym miało się skończyć. – Roześmiał się. – Rozumiem, że spanikowałeś i że myślisz tylko o tym, żeby przeżyć. Ale mam nadzieję, że starczy ci przytomności umysłu, żeby docenić ironię tej sytuacji. Tylko się zastanów. Jestem twoją jedyną nadzieją. Ale nie mogę cię uratować, ponieważ kiedyś mnie okaleczyłeś. To dopiero, co? Szkoda, że żaden z nas nie będzie mógł tego wykorzystać w książce. To dokładnie taka ironia losu. Jaka tak lubił profesor Strother.

Na samą wzmiankę o nauczycielu dystans między nimi jakby się zmniejszył. Ich spojrzenia spotkały się niemal fizycznie.

– Musisz się przyznać do jeszcze jednego grzechu, Noah – odezwał się Parker cicho.

– Musiałem być pierwszy. Musiałem.

– Profesor Strother nie miał wiadomości od żadnego z nas przez ponad rok. Listy wracały do niego nieotwarte, z nadrukiem „Adresat nieznanym”. Był zdziwiony i

niecو urażony naszym nagłym i niewyjaśnionym zniknięciem. Nie wiedział, że sprzedałeś *Zwycięzonego*, dopóki nie zobaczył książki w księgarni. Oczywiście od razu rozpoznał tytuł i twoje nazwisko. Kupił ją. Był ciekawy, jak dopracowałeś swój tekst. Chciał sprawdzić, czy poszedłeś za jego radami. Naturalnie był bardzo dumny, że to jego student jest autorem książki, o której było głośno na koktajlach, w gabinetach urzędników i w salonach fryzjerskich. Książki, która znalazła się na każdej liście bestsellerów.

– Parker...

– Wyobraź sobie jego zaskoczenie, kiedy umościł się w fotelu, poprawił lampę, otworzył *Zwycięzonego* autorstwa Noaha Reeda... i przeczytał pierwszą stronę mojej książki, mojej książki, Noah!

– To przez ten list! – odkrzyknął Noah. – Strother zawsze wołał ciebie ode mnie. Zawsze uważał, że masz większy talent. Według niego twoja książka była taka kurewsko świetna, więc pomyślałem, że to sprawdzę, zasięgnę opinii kogoś trzeciego. Pewnego dnia, kiedy cię nie było, otworzyłem twój komputer i wydrukowałem tekst. Dodałem mój tytuł i posłałem pod swoim nazwiskiem.

– A kiedy sprzedałeś książkę, musiałeś się mnie pozbyć. Natychmiast. Tego samego dnia.

– Taki był plan.

– Na pewno omal się nie zesrałeś ze strachu, kiedy się okazało, że żyję.

– Musiałem się zastanowić, ale nie panikowałem. Szybko przeniosłem twoją książkę do mojego komputera, a moją do twojego. Nie mógłbyś dochodzić swoich praw, bo już zdążyłem cię przedstawić jako agresywnego, zazdrosnego szaleńca.

– Strother zawsze twierdził, że dobrze konstruujesz intrygi.

– Nasz ukochany profesor także mnie niepokoił, ale pomyślałem, że jeśli zaczniesz mnie nachodzić...

– Wymyślisz coś, żeby się wyłgać.

– Jak zwykle.

– Aż do dziś.

– Przynajmniej umrę ze świadomością, że pociągnę cię za sobą. Może nawet pierwszy pójdziesz do diabła.

– Tak uważasz?

– Nie odpełniesz tak szybko, żeby się stąd wydostać.

– Nie odpełnę. Odejdę. – I na oczach zdumionego Noaha Parker ukląkł chwiejnie i wstał.

– Ty skurwysy...

– To specjalność Mackensie Roone’a – wyjaśnił Parker z uśmiechem. – Zwrot akcji przed samiuteńkim końcem.

– Zabiję cię, Parker! Spotkamy się w piekle! Jeszcze...

– Wszystko w porządku? – Do oczyszczalni wpadł zastępca szeryfa Dwight Harris, wraz z dwoma innymi funkcjonariuszami.

– Zmęczyłem się – poinformował go Parker. – Poza tym wszystko gra.

Wcisnął guzik pilota i płomienie natychmiast zgasły.

– Na zewnątrz czeka wóz strażacki. Zaczęliśmy się niepokoić. – W tej samej chwili o ściany uderzyła mocno woda z hydrantów.

– Także zacząłem się martwić – odparł Parker. – Te maszyny do dymu mnie wykańczają.

Zastępca szeryfa obejrzał z troską osmalone ściany.

– Trochę się tu narobiło szkód.

– Nie takie rzeczy się tu działy. Poza tym było warto.

– Ma pan wszystko?

– Każde słowo. – Parker uniósł poły koszuli i odpiął od paska dyktafon. Odłączył przewód i podał go zastępcy szeryfa. Lekko się skrzywił, odrywając przyklejony do piersi mikrofon. – Dziękuję za pomoc.

– To ja dziękuję, że mnie pan powiadomił. Pewnie już w życiu nie zorganizuję takiej fajnej zasadzki.

Uścisnęli sobie ręce. Noah nadal miotał w studni przekleństwa, ale policjant dopiero teraz przyjął jego obecność do wiadomości.

– Chętnie zajmę się pańskim gościem. W górę go! – rozkazał, kiwając ręką na dwóch funkcjonariuszy, stojących z linami w pogotowiu. – Jak się pan miewa? Policja z Massachusetts chętnie wysłucha, co miał pan do powiedzenia o wypadku kochanego teścia. Moi ludzie skontaktują się także z wydziałem na Florydzie.

Parker odwrócił się, symbolicznie zostawiając Noaha diabłu, tak jak poradził mu Mike.

I właśnie widok jego starego przyjaciela, stojącego w obszernych wrotach oczyszczalni, wstrząsnął nim, choć tak naprawdę nie zdziwił. Mike zawsze pojawiał się u jego boku, kiedy był naprawdę potrzebny.

Obok niego stała Maris.

Harris zauważył jego wahanie i stanął tuż przy nim.

– Pruli tu wózkiem golfowym jak wariaci. Zatrzymałem ich, zanim zdążyli tu się wpakować i wszystko zepsuć. Cholernie się wyrywali. Martwili się o pana.

– Bali się, że Noah mnie zabije?

– Nie, że pan zabije jego.

Parker uśmiechnął się lekko.

– Ciekawe, skąd im to przyszło do głowy.

– Ten starszy pan mówił coś o intrydze. Pani Matherly domyśliła się wszystkiego.

– Wcale mnie to nie dziwi.

Powoli, sztywnym, niezdarnym krokiem – pamiątka po zdradzie Noaha – wyszedł na zewnątrz. Mike chyba się domyślił, że nie powinien mu pomagać. Dopiero kiedy znalazł się o krok od nich, spytał, czy chce usiąść na wózku.

– Tak, dziękuję.

Mike wszedł do wnętrza oczyszczalni. Maris stała nieruchomo, wpatrując się w niego wielkimi oczami.

– Myślałaś, że jestem sparaliżowany?

Skinęła głową.

– Tak mi się zdawało. Nie chciałem cię wyprowadzać z błędu. Plan wymagał, żeby Noah też tak myślał. – Uznał, że najlepiej od razu powiedzieć o najgorszym. – Jeżdżę na wózku, kiedy to tylko możliwe. To wszystko, co mogę osiągnąć. Już nigdy nie będę lepiej chodzić.

Po policzku potoczyła się jej łza.

– To nie ma znaczenia. Nigdy nie miało.

– Najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałem, to ta szklanka ze świetlikami. – Parker gładził jej plecy, leniwie odprężony po zbliżeniu.

– Robaczkami świętojańskimi.

Roześmiał się cicho.

– Uczysz się. Przy odpowiedniej pomocy może nawet staniesz się prawdziwą ślicznotką z Południa.

– To w ogóle była piękna noc. Najpiękniejsza. Aż do dziś.

– Maris, tamten ranek...

– Ćśśś... Teraz rozumiem, dlaczego musiałeś być taki podły.

– Naprawdę?

– Musiałeś się mnie pozbyć, zanim ściągniesz tu Noaha.

Podniósł jej brodę, by móc zajrzeć w oczy.

– Ale wiesz, że chciałem cię wykorzystać, żeby się na nim odegrać.

– Prawdopodobnie miał nas przyłapać w takiej sytuacji.

Zerknął na ich splecione ze sobą ciała.

– Tak.

– Ale to się zmieniło, kiedy się we mnie zakochałeś. I już nie mogłeś mnie narazić na tak brzydką scenę. Dlatego mnie zraniłeś... żeby mi zapewnić bezpieczeństwo. Żebym na pewno wyjechała.

Pogłaskał ją po policzku.

– Aleś ty mądra. Aż strach.

– Więc mam rację?

– Zdecydowanie. Zwłaszcza co do tego, że się w tobie zakochałem.

– Naprawdę?

– I nadal jestem zakochany. Czas teraźniejszy. – Uniósł ku sobie jej twarz i pocałował w sposób, który rozwiał wszelkie wątpliwości.

– Ale jednego nie mogę zrozumieć – odezwała się po pewnym czasie. – Wiem, obiecałam o tym nie mówić, ale chciałabym wyjaśnić jeszcze jedną sprawę.

Zgodzili się, że dzisiaj nie będą sobie niczego wyjaśniać. Czekają ich miesiące, może nawet lata sądowych zachodów, zanim Parker zostanie zrehabilitowany, a Noah skazany za zbrodnię. Maris musiała kierować wydawnictwem, on musiał pisać. Jeszcze nie wiedzieli, jak będą dzielić czas między Nowy Jork i Wyspę Świętej Anny. Maris miała jeszcze długo opłakiwać śmierć ojca, Parker zastanawiał się, czy ujawnić prawdziwe oblicze Mackensie Roone'a tysiącom fanów. Czekają ich wiele spraw do załatwienia, ale wiedzieli, że sobie z nimi poradzą.

Jednak postanowili, że to wszystko zacznie się dopiero jutro. Dziś chcieli się

tylko cieszyć sobą.

– Nie chcę zapraszać Noaha do naszego łóżka – powiedział Parker.

– Rozumiem. I zgadzam się, ale właściwie nie chodzi o niego.

– Dobrze. Tylko jedna sprawa, a potem wrócimy do tego, czym się zajmowaliśmy.

– Umowa stoi – zgodziła się z uśmiechem. – Mike odkrył, że *Zwycięzcy* to twoja książka z tytułem Noaha.

– Tak.

– I chciał się z tobą skontaktować, żeby to wyjaśnić.

– Szukał mnie prawie przez rok. Zdążyli już wypuścić serię w broszurowej oprawie.

– Dlaczego Mike nie zdemaskował Noaha?

– Bo powiedziałem, że go zabiję, jeśli to zrobi.

– Dlaczego?

– Byłem w żalonym stanie. Były skazaniec, który wyglądał jak żebrak i żył jak żebrak. Przykuty do wózka. Dopiero po wielu latach terapii nauczyłem się chodzić tak jak teraz. Jeśli w ogóle można to nazwać chodzeniem. Kiedy Mike mnie znalazł, byłem słaby i wyniszczony. Uzależniony. – Potrząsnął hardo głową. – Nie chciałem się mierzyć z Noahem w takim stanie, bo on stał się księciem, któremu cały świat oddawał honory.

– I który cieszył się sukcesem, jaki należał się tobie.

– Chciałem zaczekać, aż stanę się silny i pewny siebie.

– I odniesiesz sukces.

– Tak, to też. Chciałem z nim rozmawiać jak równy z równym. I mieć dowody na to, że ukradł mi książkę. Wiedziałem, że to się będzie ciągnąć latami, ale postanowiłem czekać.

– Dziwię się, że Mike się na to zgodził.

– Wcale się nie zgodził. Poddał się.

– Bo co?

– Bo przysięgłem, że jeśli się nie podda, do końca życia nie napiszę ani jednego słowa.

– Ach... Więc miałeś go w garści.

Ponieważ odpowiedział na jej pytanie, wśliznęła się na niego i rozchyliła uda. Z jękiem satysfakcji wszedł w nią i zaczął ledwie wyczuwalnie poruszać biodrami.

– Hmm... Jest pan niewiarygodnie utalentowany.

– Aha. I mogę także napisać niezłą książkę.

Usiadła na nim, sięgnęła za siebie pomiędzy jego nogi i pogładziła penis u nasady. Parker zdławił przekleństwo.

– Pani także ma spore zdolności. Gdzie się pani tego nauczyła?

– Przeczytałam w jakiejś pana książce.

– Niech mnie, dobry jestem.

Pieściła go tak długo, aż pociągnął ją na swoją pierś, mocno objął w talii i wbił się w nią z całej siły. Jej piersi tłumiły jego urywany, chrapliwy oddech.

Wreszcie rozluźnił się, głowa opadła mu na poduszki. Odgarnęła mu włosy ze spoconego czoła.

– Dobrze było?

– Nadal jest. – Ujął jej twarz w obie dłonie, pocałował ją i wyszeptał z wargami przy jej ustach: – Narobiliśmy straszego bałaganu.

– Nie przeszkadza mi. Chciałabym mieć dziecko.

– Może być.

– Albo dwoje.

– Też dobrze.

– Parker?

– Hmm?

– Daj mi rozkosz.

Była gotowa. Wystarczyło parę ruchów palcem. Później położyli się twarzami do siebie, z głowami na jednej poduszce. Parker gładził palcem jej obojczyk.

– Rozpoznałam cię od razu po tamtym pierwszym pocałunku. Tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy.

Jego palec znieruchomiał w zagłębieniu tuż pod jej ramieniem. Parker podniósł na nią oczy.

– Co?

– To dlatego ten pierwszy pocałunek mnie zaalarmował. Bo poczułam, że cię

znam. I to znam cię dobrze. Intymnie. Spędziłam z tobą wiele nocy, zastanawiając się nad każdym słowem. Twoja książka była jak list miłosny. Jakbyś napisał go do mnie. Tylko do mnie. Kiedy mnie pocałowałeś, to było tak, jakbyś pocałował mnie już tysiąc razy. – Z zachwytem dotknęła jego twarzy. – Kochałam cię od dawna. Od lat. Od dnia, w którym przeczytałam *Zwycięzonego*.

Przełknął ślinę przez zaciśnięte gardło.

– Mówiłaś o nim z taką pasją... Zrozumiałaś wszystko – powiedział z naciskiem. – Zrozumiałaś to, co chciałem przekazać poprzez moich bohaterów i ich historię. Boże, kiedy słuchałem, jak o nich mówisz, omal nie pękło mi serce. Potrafisz sobie wyobrazić, jak trudno mi było nie wyznać, że to moja książka? Że to we mnie się zakochałaś, nie w Noahu?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie mogłem. Nie wtedy. Jeszcze nie. Poza tym bałem się, że nie spełnię twoich wymagań.

Przejechała palcami jego włosy.

– Prześcignąłeś je. To ty stworzyłeś moje marzenia. A teraz je spełniasz.

Pocałowali się czule i mocno, a kiedy wreszcie odsunęli się od siebie, Maris spytała go, jak miał brzmieć oryginalny tytuł. Więc jej powiedział. A ona uznała, że podoba się jej o wiele bardziej.